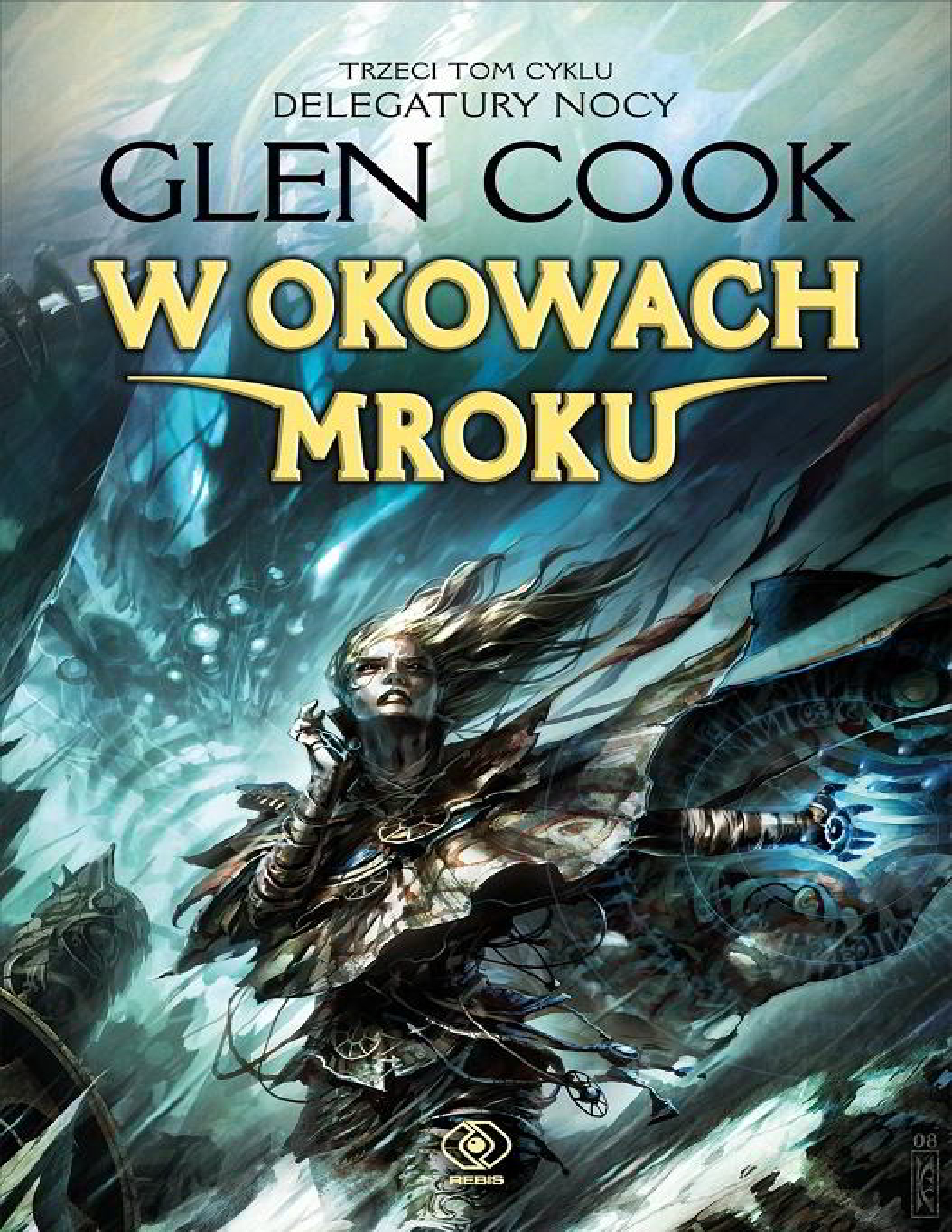


TRZECI TOM CYKLU
DELEGATURY NOCY

GLEN COOK W OKOWACH MROKU



**W OKOWACH
MROKU**

Na cykl
„DELEGATURY NOCY”
składają się:

TYRANIA NOCY
PAN MILCZĄCEGO KRÓLESTWA
W OKOWACH MROKU

GLEN COOK

W OKOWACH

MROKU

Przełożył
Jarosław Rybski



Scorpius Magna

Tytuł oryginału
Surrender to the Will of the Night

Copyright© 2010 by Glen Cook
All rights reserved

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce
Raymond Swanland



Wydanie I
Poznań 2014

ISBN 978-83-7510-562-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49,
60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

*Dobrym ludziom, którzy stworzyli cudowny konwent Austin
World Fantasy dedykuję
- dziękuję Wam!*



Lód nadchodzi. Może to oznaczać koniec świata.
Ale śmiertelnicy słuchają teraz wyłącznie własnego głodu.

Imperium Graala: Knieja Nocy

Z siedemdziesięciu, którzy wyruszyli z chłodnego Sparmargen, ostało się osiemnastu Wybrańców, świętych wojowników, którzy wyruszyli na południe. Większość z nich odniosła większe bądź mniejsze rany. Pięciu trzeba było przytroczyć do siodła. Kiedy wyjechali za bramy, przekonali się, że Drengtin Skyre jest martwy od tak dawna, że trup już zdążył się wychłodzić. Jego konia opanował upiorny strach.

W samej bramie nie było nic niezwykłego — ot, luka w balustradzie. Po jednej stronie był lód i marznące płatki śniegu. Szalejący wicher miotał wokół zwiędłe liście. Świat za ogrodzeniem mógł być nieco cieplejszy. Tam liście były namokłe. Wiatr nie zdołał ich poderwać.

Obszarpani, bladzi pielgrzymi z kośćmi i małymi czaszkami we włosach gapili się na spowity zimą las. Między kostropatymi szkieletami drzew widać było jakąś budowle z szarego kamienia. Każdy ze świętych zabójców miał nadzieję, że tam znajduje się jego zdobycz, aby ta wyprawa mogła wreszcie dobiec końca.

Spośród nich wyszedł Wybraniec Krepa Nocy. Przybrał mniej więcej ludzką postać. Był boskim wytworem. Jego lewa dłoń miała siedem palców. Prawa sześć. Podobnie było z palcami u nóg. Nie miał żadnego owłosienia. Jego skóra zdawała się nienaturalnie napięta i błyszcząca; połyskiwała wywołującą nudności zielenią glutów z nieregularnymi płatami ciemnordzawego brązu. Miał mocno wysklepione kości policzkowe. Oczy przypominały ślepie wielkiego kota. Kły, ostre i liczne, były ząbkowane na końcach.

W pełni ukształtowany Wybraniec Krepa Nocy wyskoczył z wyobraźni Kharoulke Wędrowca Wiatru. Istniał dla jednego tylko celu. Znajdował się

on na odległość strzału z łuku.

Wybraniec Krepa Nocy spiął konia ostrogami, zmuszając przerażonego wierzchowca, by ruszył naprzód. Zignorował całkowicie tabliczkę obok bramy z napisem STRZEŻ SIĘ WILKÓW I WILKOŁA... wyrytym w zacierających się już brotheńskich wielkich literach. I tak nie umiał czytać.

Podobnie jak wielu jego towarzyszy. A już na pewno w języku tej krainy.

Niespełna pół kilometra dalej Wybraniec Krepa Nocy zatrzymał się. Stał przed niewielkim, oddalonym o ledwo kilkanaście metrów zamkiem. Opuszczony most zwodzony spinał brzegi trzymetrowej szerokości fosy.

Wybraniec Krepa Nocy nie był w stanie samodzielnie przekroczyć płynącej wody.

Lecz woda nie stanowiła problemu.

W pierś Delegatury Nocy walnęła strzała. Wbiła się tak głęboko, że sterczała teraz Krepie z pleców. Drzewce było grube, dębowe, z osadzonym żelaznym ostrzem, które przebiło zbroję. Wybrańcem Krepą Nocy szarpnęło w tył od uderzenia, a potem po prostu zastygł jak skamieniały w siodle.

Rześkie, chłodne powietrze zawirowało wokół niego. Czuł każde tchnienie.

Nic nie mógł zrobić.

Dwóch mężczyzn przeszło przez most zwodzony. Jeden niósł żelazną łopatę, a drugi zardzewiałą halabardę. Ten z łopatą złapał za wodze rumaka boskiego wytworu i odciągnął go na bok. Koń parsknął z przerażenia. Po stu metrach, na skraju parowu, ten z halabardą za jej pomocą wyłuskał z siodła nieszczęśnika, który stoczył się w dół niewielkiego wąwozu. Obaj starcy zaczęli zagarniać ziemię, patyki, kamienie i zwiędłe liście na nieruchome ciało.

Światło odeszło. Minęło sporo czasu. Kruki z gałęzi drzew przyglądały się temu w milczeniu. Pojawiły się wilki, by podumać nad losem martwego tworu i ubawić się jego niedolą.

Z czasem towarzysze pielgrzyma odnaleźli boski wytwór. Wykopali go. Jeden z nich odłamał ciężki grot i wyciągnął drzewce z rany. Wybraniec Krepa Nocy strząsnął z siebie ziemię i zgniłe liście, po czym usiadł na podwiniętych pod spód nogach. Wrony nad ich głowami zatrajkotały wymownie na temat tego kapitalnego kawału, jaki mu zrobiono. Wilki

trzymały się na dystans, ale mowa ich ciała zdradzała pogardę nacechowaną okrucieństwem.

Wśród Wybranych byli szamani. Trzymali się blisko, kiedy Wybraniec Krepa Nocy wznowił swój marsz na zamek. Pokonali potęgę wody. Tuzin mężczyzn stał na wyciągnięcie ręki, kiedy Wybraniec Krepa Nocy przekroczył most zwodzony i zaniósł wolę swego boga do tej sielskiej twierdzy.

Oślepiający błysk. Ogłuszający ryk. Tysiące ukłuc potwornego bólu. Nieodwracalna śmierć Wybrańca Krepy Nocy i wszystkich, którzy kroczyli wraz z nim.

Gdy ciało wciąż jeszcze konwulsyjnie drgało, wilki rzuciły się na każdego, kto minął tablicę ostrzegawczą.

Trzech młodszych jeźdźców, którzy zostali z tyłu na rozkaz kapitana, wystrzeliło jak z procy, by zdać raport o tej katastrofie.

Kruki ruszyły ich śladem. Kpiąc w żywe oczy.

Noc nie darzy szczególną miłością tych, którzy uważają się za jej ludzi. Z całej trójki dwóch stało się ofiarami bezwzględnych pomniejszych Delegatur. Ostatniego, kiedy się przedarł, dotknęło zbyt wielkie szaleństwo, by można było dowiedzieć się od niego czegoś spójnego.

Już sam jego powrót był informacją godną przekazania.

Jego bóg nagrodił go tak, jak to bogowie mają w zwyczaju. Pożarł go.

2

Lucidia: W oku Gherig i Cienia Jdiamu

Wicher ciął niczym zardzewiała piła. Najstarszy mieszkaniec nie pamiętał takiego chłodu na lucidiańskiej pustyni. A już na pewno, zanim zima rozpoczęła się na dobre. Niektórzy wcześniej widzieli już śnieg — w oddali, na szczytach najwyższych z wysokich grani.

Kamienna wieża na szczycie Teł Moussa dawała niezwykły widok. Zbudowana przez krzyżowców, którzy wypatrywali najeźdźców z Kasr al-Zed, została przechwycona przez Indalę al-Sul Halaladina, Dzierżyciela Miecza Boga, po tym jak zmiażdżył siły krzyżowców u Studni Dni. Teraz stanowiła schronienie dla gotowych na wszystko zbiegów z Dreanger, którzy wstąpili na służbę Muqtaby Ashefa al—Fartebi ed-Dina, kaifa Kasr al-Zed.

Okrutny wiatr szarpał szpakowate włosy i brodę Nassima Alizarina. Nazywali go Górą. Był mężczyzną tak dużym, że jedynie zachodni dextrarius był go w stanie unieść. A kiedy podróżował, potrzebował całego ich stadka. Zbyt szybko je męczył.

Nassim odwrócił się powoli. Niewierni dobrze wybrali to miejsce, choć wybudowali tę wieżę na fundamentach osadzonych dawno temu. Setki armii podróżowały drogą wijącą się w dole, kierując się w jedną bądź w drugą stronę, odkąd człowiek nauczył się wojaczki. Nassim pomyślał, że niedługo znów się tu zaludni.

Z południa zbliżał się pojedynczy jeździec, żałośnie zgięty w siodle. To pewnie ten starzec, Kościej, wraca z objazdu stanowisk sha-lugów wzdłuż granic państw krzyżowców. Za Kościejem, przyczajony niczym sylwetka

złego sfinksa, na horyzoncie wyłaniał się ciemny zarys twierdzy krzyżowców, Gherig, której nie był w stanie zdobyć żaden śmiertelnik. Załogę Gherig stanowiło Bractwo Wojny. Czasami owi rycerze-kapłani o niespożytych siłach zbliżali się do Tel Moussy z nadzieją na wyciągnięcie uchodźców sha-lugów. Góra nie bawił się w takie podjazdy. W najlepszym razie miał mniej niż cztery setki ludzi rozsianych po Królestwie Pokoju. Jego wojna z niegdysiejszym przyjacielem, Gordimerem Lwem, wielkim marszałkiem sha-lugów, nie szła najlepiej. Większość sha-lugów uważała, iż mord na synu Nassima, Hagidzie, był odrażający. Nie uważali tego jednak za wystarczającą przesłankę, która mogłaby usprawiedliwić rozlew krwi między braćmi wojownikami.

Główną cechą al-Prama był posłuch, sha-lugów zaś — dyscyplina.

Pan Duchów, al-Azer er-Selim, przyłączył się do Nassima. Przeklinał przenikający do szpiku kości wicher. Pod nosem. Góra nie tolerował ani bluźnierstwa, ani przywoływania demonów.

— To Kościej? — zapytał Az.

Jego wzrok nie mógł się równać ze wzrokiem Generała.

— Tak. I wieści pewnie też niesie niezbyt dobre.

— Hmm?

Az spojrział na północ i nieco dalej na wschód, w stronę Idiam, tej najsurowszej z pustyń. Lękał się złych wieści. Gdyby zrobiło się naprawdę niebezpiecznie — tak źle, że Muqtaba al-Fartebi nie widziałaby już sensu wspierać buntu sha-lugów przeciwko kaifowi al-Min-fet — jedynym bezpiecznym miejscem byłoby Andesqueluz. Nawiedzone miasto.

Góra dobrze odczytał jego myśli.

— Nigdy do tego nie dojdzie. Lucidianie potrzebują każdego ostrza. Groźba At Hu'n-tai wciąż jest realna na północy i wschodzie. Kiedy tylko Tsistimed Złoty skończy pożerać Imperium Ghargarlikańskie, zwróci się przeciwko Lucidii.

Strudzony jeździec zaczął się wspinać w stronę wieży. Uda mu się? Ma jeszcze tyle siły?

Kościej był stary, ale ci, co go znali, nigdy nie obstawialiby inaczej.

— Jak to możliwe, że on wciąż żyje? — zapytał Nassim.

— Co takiego? — Mistrz Duchów patrzył teraz na dwa punkciki na południe od linii przedzielającej Idiam. W stronę rzeki Abhar i północnego krańca słodkowodnego jeziora zwanego przez miejscowych Morzem

Zebali. Ledwo o dzień marszu stąd. Widać było, jak połyskuje w słoneczny dzień. Przy jeziorze na południe leżała wioska Chaldar, miejsce narodzin chaldarańskiego błędu religijnego. Jedna z Ihriańskich Studni znajdowała się w pobliżu Chaldaru. Az nie pamiętał jej nazwy.

Od jakiegoś czasu miał problemy z pamięcią.

— Tsistimed, Panie Duchów. Jak to możliwe, że on wciąż żyje? Jest Królem Królów Hu'n-tai At od dwustu lat. — I wciąż płodził książęta, którzy dorastali, by się przeciwko niemu buntować.

Az wzruszył ramionami.

— Czary. — Słowo klucz, usprawiedliwiające wszystko. — Powitajmy Kościeja przy ogniu.

— Za chwilę. — Nassim patrzył teraz w stronę Gherig. I lekko na północ od fortecy, w stronę Studni Dni, miejsca największej klęski krzyżowców. Spoglądał to tu, to tam, nazywając Ihriańskie Studnie. — Studnia Pamięci. Studnia Pokuty. I tak dalej. Jakby je wszystkie połączyć liniami, to idealnie pokryłyby się z Równiną Sądu. — Na której od wieków toczono setki bitew. I gdzie nastąpi ostateczne starcie Boga i Przeciwnika, według wszystkich czterech religii zakorzenionych w Ziemi Świętej.

— Naprawdę? — zdziwił się Az. Był odczytany, ale nie bardziej religijny, niż było potrzeba, by przetrwać wśród żarliwie wierzących. — Czyżby to się łączyło z osłabianiem studni? Czy nie byłoby dla nas lepiej, gdyby Indala wyrzucił krzyżowców na Równinie zamiast na ugorze ciągnącym się za Studnią Dni?

— Jest to jakaś myśl. Dla kogoś bardziej związanego z Nocą niż ja. — Nassim ruszył na dół.

Przydomek pasował do Kościeja jak ulał. Mięśni było na nim jak na lekarstwo, a jego skóra miała chorobliwie blady odcień. Az bał się, że stara kompania znów się wkrótce skurczy. Została ich jedynie garstka. A ich kapitan był daleko, był kimś innym. Ani niebios, ani ziemia nie dały mu szansy.

Ktoś przyniósł rosół dla Kościeja, Aza i Nassima. Zebrali się wszyscy porucznicy Góry. Kościej siedział najbliżej ognia, ale i tak nie mógł opanować drżączki. Góra nakazał przynieść więcej opału. Kościej ścisnął kubek sinymi palcami i łykał z niego raz za razem. Zaczynał tajać; rozejrzał się wokół, z ulgą konstatując, że Az jest obecny.

— Nie przynoszę radosnych wieści — wychrypiał starzec. — Zapomnieli o nas. — Ale nie takie wiadomości przynosił. — Źle się wyraziłem. Nie, nie zapomnieli. Nie potrafią zdobyć się na to, by uruchomić marszałka. Bastard to zupełnie inna sprawa. Zarzną go, jak tylko uda im się go wypłoszyć z kryjówki. Sam Lew to zrobi. Ale nikt jeszcze nie jest na tyle zde gustowany przywództwem Gordimera, by zwrócić się przeciwko niemu. Nasi sekretni sprzymierzeńcy zaczynają się wykruszać. Mówią, że nie daliśmy im żadnej alternatywy, tylko kres tego, co jest.

Góra westchnął i zapadł się w niską otomanę. To była prawda. Wyruszył na wojnę przeciwko Gordimerowi i er-Rashał al-Dhul-quarnenowi. Choć byli niegodziwcami, stanowili prawo w kaifacie al-Minfet. Gordimer wciąż stanowią. Sha-lugowie i Wiara byli więksi niż suma wszystkich zbrodni. Przede wszystkim musi być marszałek. I prawo. Bo inaczej Dreanger ogarnie chaos. Ziemia Święta będzie stracona.

Lucidia — kaifat Kasr al-Zed — nie była w stanie poradzić sobie z obcymi. Indala al-Sul Halaladin był stary. W odróżnieniu od Gordimera był zbyt honorowy, by zagarnąć całą władzę dla siebie. Ustępował przed zachciankami swojego kaifa. Musiał też pamiętać o ciągłym zagrożeniu ze strony Hu'n-tai At.

— To prawda — odezwał się Góra. — Daję się ponieść emocjom. I przez to wszystkim wam to się udziela. Stajemy się Frakierami Gizeli dla Muqtaby al-Fartebi.

Frakierzy Gizeli byli to najbardziej pogardzani z Wiernych, pramanie, którzy służyli wrogom Wiary za pieniądze. Patrolowali i wzmacniali granice Rhûn wraz z zawodowymi armiami Wschodniego Cesarza. Zadawnione plemienne zatargi zmuszały niektórych Wiernych do wstąpienia w szeregi Frakierów Gizeli. W czasie przed objawienia się Rodziny Założycielskiej religia była decydującym kryterium tożsamości plemiennej. W świetle nowego podziału uświęconego przez Wiarę plemiona zostały równo podzielone na devedian, Chaldaran i wyznania animistyczne.

W ustach Nassima Alizarina określenie „Frakierzy Gizeli” brzmiało paskudniej niż „apostata”.

— Gdybyśmy mieli kaifa... — zauważył Nomun. Zbuntował się, kiedy Lew zabrał jego córkę do Pałacu Królów w al-Kam. Był genialnym kapitanem w polu. Do tego był naszpikowany wiedzą z ksiąg i cieszył się

reputacją wytrawnego chirurga. To właśnie Nomunowie z sha-lugów, gdy wzmocnią się ich szeregi, zakończą tyranię w al-Karn.

— Gdybyśmy mieli kaifa...? — zapytał Nassim.

— Al-Fartebi znów zaniemógł. Rozeszły się pogłoski o truciznie.

Jak zwykle w sytuacji, kiedy chorowała osoba znaczna. Częściej, gdy dotyczyło to Muqtaby al-Fartebi niż innych. Muqtaba otruł swojego poprzednika. Mówiło się o odstawieniu go na boczny tor z powodu gróźb Hu'n-tai At, odradzających się państw krzyżowców, oraz coraz większych nacisków z al-Minfet. I Muqtaba mógł tylko udać się do Indali al-Sul Halaladina. Cały świat obawiał się niezadowolenia Indali. Niektórzy uważali, że Hu'n-tai At powstrzymywali furję, bo nie chcieli obudzić geniusza Bitwy u Studni Dni.

— Toczy się debata, kto powinien zastąpić Al-Fartebiego. Indala odrzuca tę rolę. Jak zwykle. Ale dwaj jego synowie nie pogardziliby tym.

Wojna domowa? Zawsze jest to możliwe, gdy nie dziedziczy się stanowisk zgodnie z więzami krwi.

— Indala szkolił swoich synów na wojowników — powiedział Nassim.

— Kaif powinien być świętym mężem.

Kilku Lucidian parsknęło na to. Niewielu ostatnich kaifów było prawdziwie świętych. Niektórzy utrzymywali, że ostatnia choroba Muqtaby jest wynikiem jego zamiłowania do występku. A zwłaszcza do ulubionego absyntu.

Góra spoglądał na Kościeja, który zdawał się zapadać w sobie.

— To wszystko ma dla nas niewielkie znaczenie. Naszym światem jest Tel Moussa i obserwacja Gherig.

— Zawsze jest możliwość powrotu na zachód — zauważył al-Azer er-Selim.

— Nie dla Nassima Alizarina. Ja zostanę. Wytrwam. Gdybym musiał uciec do Idiamu, zrobię to. Zabawię się w pajaka pustynnego. Moja godzina nadejdzie. Bóg wyda niegodziwców w ręce prawych. Będę cierpliwy jak góra.

Az i Kościej poruszyli się niespokojnie. Nie widzieli Idiamu. Byli w nawiedzonym mieście, w Andesqueluz. Obaj wiedzieli, że nazwa „Góra” jest tłumaczeniem miana głównego boga w panteonie miejscowych, zanim powstały współczesne religie. A ostatnio szaleńcy starali się wskrzesić upadłych bogów.

Asher i Ashtoreth, Oblubienica Góry, byli wspominani wyłącznie na starożytnych płaskorzeźbach, głównie na murach Andesqueluz. Ale wystarczyłby jeden wyzuty z sumienia mag, by przywołać zło na ten świat. Er-Rashal al-Dhulquamen starał się wskrzesić przedwieczną grozę Dreanger, Seskę Nieskończonego.

— Az, o czym myślisz? — zapytał Góra.

— O tym, co zawsze. Groza intryg Delegatur Nocy. Oraz jej ludzkich pionków.

Góra lekko skłonił głowę.

— Dziękuję, żeś mi przypomniał. Egoizm to mój wielki grzech. Tylko mi w głowie własne pragnienia miast dobra naszych dusz.

3

Alten Weinberg: Uroczystości

Podczas wizyty w Imperium Graala Naczelnemu Wodzowi wyznaczono kwatery w trzypiętrowym, osiemnastopokojowym szkaradzieństwie z piaskowca. W domu pracowała dwunastoosobowa służba. Należał on do Bayarda va Milcz-Trajkota, syna i dziedzica Wielkiego Księcia Ormo va Milcz-Trajkota. Sama Cesarzowa Katrin rozkazała Bayardowi zwolnić domostwo na rzecz pierwszego żołnierza Kościoła.

Naczelnny Wódz Piper Hecht i jego ludzie przybyli do Alten Weinbergu w towarzystwie króla Jaime'a z Castaurigi. Tego, który zaciągnął wielu swoich poddanych setki kilometrów, by świętowali jego mariaż z najpotężniejszą władczynią zachodu. Naczelnny Wódz najwyraźniej cieszył się względami Cesarzowej, choć spotkali się jedynie dwa razy wcześniej i nie zamienili z sobą ani słowa.

Trzy dni po przybyciu Hecht słuchał, jak Kait Rhuk mówi:

— Nie możemy tego rozgryźć, ale ta kobieta z całą pewnością czegoś od ciebie chce.

Zdenerwowany krążył po komnacie jak lew w klatce, zastanawiając się, czy intrygi Katrin nie wiążą się przypadkiem z jej młodszą siostrą, Księżniczką Prawowitą, Hespeth. Nie miał nikogo, z kim mógłby się podzielić swymi obawami. Zaufanych ludzi zostawił w Connec, by wesprzeć ofensywę Kościoła w walce z upiorną Nocą. Towarzyszyła mu straż przyboczna, kanceliści-szpiedzy ze świty Titusa Zgody i czereda należąca do zbrojnej bandy Kaita Rhuka — ci ostatni na wypadek, gdyby Noc chciała w jakiś szczególnie nieprzyjemny sposób zwrócić na siebie uwagę. I był też jego adoptowany syn Pella. Oraz Algres Strach,

Braunsknecht czy też cesarski strażnik, który został relegowany do Viscesment po tym, jak obraził Cesarzową i członków Komisji Doradczej.

Kapitan Strach zwrócił się do Hechta:

— Węszyłem jak się tylko dało. Kait ma rację. Ona coś knuje. Nikt nie wie co. Komisja Doradcza jest zaniepokojona.

Cesarzowa Katrin była z rodu Ege. Córką swego ojca. Srogi Mały Hans wciąż ich przerażał, choć nie żył od wielu lat. Nieprzewidywalne córki Johannes'a przerażały ich jeszcze bardziej.

— Aż dziw, że nie zakuli cię w dyby.

— Ludzie nie widzą tego, czego nie spodziewają się zobaczyć. Al-gres Strach jest daleko, w Viscesment, chroniąc antypatriarchę. Tych kilku nielicznych, którzy mnie rozpoznali, mówi, że postąpiono ze mną niesprawiedliwie.

Hecht sam obszedł ulice. Nie dowiedział się wiele. Nie rozumiał dostatecznie dobrze języka. Nie miał też czasu, by się wpaśować. Co więcej, nie udało mu się przekonać dowódcy swej straży przybocznej, Madouca, że może bezpiecznie chodzić po mieście bez niego.

Pella jednak wtopił się w miejskie ulice i bez trudu wymykał się opiekunom. Jego największym problemem był język.

Alten Weinberg było bardziej zatłoczone i gwarne, niż pamiętali najstarsi miejscowi. Zbliżający się ślub postawił na nogi cały świat. Mógł to być najważniejszy mariaż stulecia. Mógł doprowadzić do odnowienia przyjaźni Cesarstwa z Brothe, kończąc całe wieki walk między Patriarchatem i Cesarstwem. Gdyby Katrin wydała na świat syna, który mógłby włożyć cesarskie gronostaje, dałoby to również Cesarstwu oparcie w Direcji. No i zapewniłoby też ochronę Jaime'a przed ambicjami króla Piotra z Navai.

— Uratowaliśmy go przed bandą złodziei — oznajmił Hechtowi Presten Reges. Hecht przypatrywał się Pełli. Chłopak był brudny, miał podarte odzienie. — To raczej nie była polityczna napaść. Miejskowa soldateska nie pozwoliłaby mi zaprowadzić tych zbirów na przesłuchanie.

— Powiedz, Pella.

Opowieść chłopca potwierdziła ocenę Prestena. Coś go zbyt zaciekawiło, a potem zdradził się z tym, że jest cudzoziemcem. Łatwa zdobycz.

— Tato, nawaliłem. Zapomniałem, gdzie jestem.

— Mam nadzieję, że wyniosłeś z tego naukę.

— Będę ostrożniejszy.

— Dowiedziałeś się przynajmniej czegoś?

— Wielu ludziom nie podoba się to weselisko. Ale to żadna tajemnica.

Katrin Ege nie była lubiana z uwagi na jej dogadywanie się z Kościołem Brothen.

— No fakt.

Hechta bardziej niepokoiła jednak siostra Katrin. Pewne faksje gotowe były wypchnąć Helspeth na szczyt w nadziei, że będzie kroczyć szlakiem ojca. Przez to właśnie Księżniczka Prawowita mogła się spodziewać wszystkiego najgorszego ze strony popleczników Katrin. Helspeth starała się zachować neutralność i utrzymać siostrzaną miłość. Ale samo jej istnienie stanowiło zarazem dźwignię, jak i punkt zborny dla wszystkich przeciwników Katrin.

Było wcześniej. Hecht jak dotąd spędzał czas na przerywaniu postu i studiowaniu przesyłek z garnizonów Connec i Patriarchatu z Firaldii. Nie dowiedział się niczego, co mogłoby go uradować.

Carava de Bos zbliżył się z niewielką drewnianą tacą, na której leżały trzy nierozpieczętowane listy. Udało mu się jakoś sprostać funkcjom kancelisty za dnia. W nocy zajmował się tym Rivademar Vircondelet. Obaj byli też szpiegami. Protegowanymi Titusa Zgody, szefa wywiadu i rejestratora sił Patriarchalnych. A do tego przyjaciela Naczelnego Wodza.

— Oto najświeższa poczta, sir — rzekł De Bos. — W kolejności, w jakiej przyszła. Ponadto pewien dżentelmen o imieniu Renfrow prosił o posłuchanie. Czy mam go umówić?

— Nie wiesz, kto to jest?

— Wydaje mu się, że jest ważną figurą.

— I tak chyba jest.

— Mam go umówić?

— Nie. Wprowadź go. A wy się zmywajcie. Madouc, dopilnuj, żeby służba nie podsłuchiwała.

Bayard va Milcz-Trajkot oczekiwał od swoich ludzi, by dla niego szpiegowali. Bardzo się starali. I byli okrutnie nieporadni.

Renfrow był osobą trudną do opisanie. Wkładał znoszone odzienie i wyglądał jak dziewięciu z dziesięciu ludzi na ulicy, był przeciętnego wzrostu i nie miał żadnych wyraźnych znaków szczególnych. Włosy już mu

lekką posiwiały. Hecht wielokrotnie czuł oddech tego człowieka, ale nie mógł sobie przypomnieć koloru jego oczu.

Hecht patrzył, jak Renfrow się zbliża, zaskoczony widokiem Al-gresa Stracha. Pella, jak wyczuł Hecht, pamiętał Renfrowa z gospody, Rycerza Różdżek, sprzed kilku laty.

Ten chłopak miał niebezpieczne wspomnienia.

Hecht spojrział na listy. Nie rozpoznał charakteru pisma. Jedna pieczęć należała do Patriarchy, pozostałe — do Cesarzowej i jej siostry.

Owe poranne konsultacje toczyły się przy stole zdolnym pomieścić tuzin siedzących. Hecht złożył kilka map i odwrócił dwa raporty, których nie zabrano. Renfrow objął to wszystko jednym spojrzeniem i zatrzymał się na chwilę na listach od cesarskich sióstr.

— Siadaj, jeśli ci będzie tak wygodniej — zaprosił go Hecht. — Ja w każdym razie usiądę.

— Doceniam, że przyjąłeś mnie tak szybko.

— Nasze rozmowy niezmiennie są ciekawe. A ja się znudziłem. Powinienem był poczekać i przyjechać tu tydzień po królu Jaime.

— Nie wyobrażam sobie, jak można się nudzić w takim politycznym klimacie.

— To nie moja polityka.

— Możesz się mylić, jak sądzę. Są tajemnice, których nawet ja nie jestem w stanie wygrzebać. Sekrety szczególnie ukrywane przed Ferrisem Renfrowem.

— Mogę to zrozumieć.

Renfrow błysnął konspiratorskim uśmiechem.

— Gdybym zapytał, czy wytłumaczyłbyś mi, dlaczego Algres Strach jest tu wraz z tobą? Poruszyłem niebo i ziemię, żeby go zrehabilitować na tyle, aby znów mógł być jednym z Braunsknechtów Bellicose'a.

— Bellicose kazał mu przybyć.

— Słyszałem, że zapalaliście do siebie wzajemnym podziwem.

— To prawda. Czy dlatego tu się zjawiałeś?

— Nie. Chciałem cię ostrzec, byś uważał.

Hecht ledwo uniósł brew.

— Mroczne siły zaczęły się burzyć. Docierają do mnie różne pogłoski, z drugiej, trzeciej ręki, ze źródeł, które nie są nawet marginalnie wiarygodne. Noc jest wciąż zaniepokojona tym, co robiliście w Connec.

— Nie jestem wcale zaskoczony.

— Masz potężnych wrogów. Właśnie tam.

Choć Hecht nie był całkowicie przekonany, pokiwał głową.

Renfrow wyciągnął złożony papier zza pazuchy. Hecht się skrzywił, niemal spodziewając się bełtu z kuszy. Madouc by wypatrzył. Madouc nie lubił, gdy ktoś wykonywał zbyt gwałtowne ruchy w pobliżu jego pryncypała.

Renfrow otworzył kartę i rozprostował ją.

— Co to ma być?

Utalentowany artysta narysował twarz, bok głowy oraz niezwykle parę dłoni.

— Jeden do jeden — powiedział Renfrow. — Zabity na północ stąd kilka tygodni temu wraz z kilkunastoma barbarzyńcami, którzy nosili we włosach kości zwierząt i czaszki we włosach.

— No i co to ma być?

— Miałem nadzieję, że będziesz wiedział. Jesteś przecież z Duarnenii. W dodatku weteranem walk z poganami.

— Żaden ze mnie weteran. Wyjechałem stamtąd, zanim podrosłem na tyle, by leżać na Mokradła. Ale Sheardowie nie mieli niczego takiego do pomocy.

— Jesteś jak sekret w płaszczu z tajemnicy, Naczelnny Wodzu. Ci ludzie z tym czymś mieli coś wspólnego z Kharoulke Wędrowcem Wiatru.

— W takim razie szukasz wśród nie tych pogańskich bóstw co trzeba. Sheardowie nie mieli nic wspólnego z Kharoulke — podkreślił Hecht. — Ani z żadnymi bogami z jego pokolenia. Kharoulke pochodzi z rejonów jeszcze dalej na północ, z ziemi Seattów. I jeszcze dalej. Kharoulke został zastąpiony przez bogów, których pokonał nasz Bóg, kiedy misjonarze chalderańscy nawrócili północ. Słyszałem pogłoski o powrocie Wędrowca Wiatru.

— Znów mnie zaskakujesz doskonałą orientacją.

— Mam kilku przyjaciół w dobrze poinformowanych rynsztokach.

— Czemu nie jestem zdziwiony?

— No więc?

— Odkryłem, że choć prawie nikt nie pamięta chłopca o imieniu Piper Hecht, który wyruszył na południe, by wstąpić na służbę Patriarchy, zapiski

na temat jego służby zachowały się w miejscowych garnizonach. Nigdzie nie zagrzał miejsca.

— Niektórzy dowódcy mają obsesję sporządzania raportów. Ja sam wpadłem w ten nawyk. Moi ludzie potrafią podać ilość wszystkich miedziaków, które wpadły nam w ręce. Dobre zapiski pozwalają ci zaprezentować zleceniodawcy, czego dokonałeś i dlaczego to tyle kosztowało.

— A i tak narzekają.

— Oczywiście. To coś. — Hecht stuknął w rysunki. — Powinieneś być truchło przytargać. To by wywołało zamieszanie.

Może odciągnęłoby uwagę od poważniejszych zagrożeń tego świata.

— Ten trup już był zgniły i rozpływał się z godziny na godzinę, choć zalegał śnieg, a na gałęziach wisały sople lodu. Ani kruki, ani wilki nawet nie tknęły truchła.

— Coś z Nocy.

— Bez wątpienia. Ale co?

— Nie mnie należy pytać. Ale znam kogoś, kto by na to pytanie odpowiedział. — Dziewiąty Nieznany. Cloven Februaren. Pan Milczącego Królestwa. Być może najpotężniejszy czarnoksiężnik na świecie. I przynajmniej jest przewidywalny. — Niestety jest w Brothe. Podobnie jak większość Kolegium czeka, aż Bonifacy zemrze.

— A co o tym słyszałeś? — zainteresował się Renfrow.

— Hugo Mongoz może przeżyć połowę swoich wyborców.

Hugo Mongoz to miano księcia, który postanowił rządzić jako Bonifacy VII, kiedy został Patriarchą.

— Czy Bellicose nie miał objąć po nim schedy?

— Taka była umowa. Mam rozkaz wymóc to siłą, gdyby Kolegium próbowało się cofnąć. Zrobię to, czego będzie chciał Bonifacy. Bellicose to chłop z kośćcami. Ale może nie wytrwać tyle co Bonifacy, choć jest od niego o trzydzieści lat młodszy.

— W takim razie Strach powinien być z nim, a nie tutaj — zauważył Renfrow.

— Bellicose'a wykończy samo jego zdrowie. Nie żadni zamachowcy. Posłał Stracha, aby reprezentował go na weselu. A ja tu jestem za Bonifacego.

Ferris Renfrow powstrzymał się od wyrażenia swojego zdania.

Hecht zrozumiał.

— Bellicose wiedział, co robi, kiedy posyłał Stracha. To z powodu tego, jak był traktowany, gdy był biskupem.

Renfrow parsknął.

— Ci z frakcji popierającej Brothen już czuli, że są przy żłobie.

— I to już wszystko? Mam sporo pracy.

— Mam jeszcze tego z dziesięć tysięcy. Dziewięć tysięcy dziewięćset przypadków, w których mi nie pomożesz. Zostawię cię więc z ostrzeżeniem. Możesz mieć wrogów, o których nic nie wiesz.

— Słyszałeś to, Madouc? Teraz możesz mi suszyć głowę raportem na temat samego cesarskiego szefa siatki szpiegowskiej.

Hecht miał dużo gorszy nastrój, niż udawał. Madouc z całą pewnością będzie przypominał o ostrzeżeniu Renfrowa przy każdej nadarzającej się okazji. Irytowało go, że będzie musiał tego wysłuchiwać. Mieli go tu jak na widelcu. A byli tacy, którzy naprawdę wierzyli, że świat byłby dużo lepszy, gdyby zabrakło na nim Pipera Hechta.

Madouc tylko się uśmiechnął. Bardziej niż sam Hecht strażnik nie mógł się doczekać wyjazdu z Alten Weinbergu i powrotu do wyrzynania Delegatur Nocy.

— Zrobiłem tutaj, co miałem zrobić. Czyli ostrzec cię, byś nie czuł się zbyt pewnie — rzekł Ferris Renfrow.

— Czasami nachodzi mnie taki błogostan. Madouca nigdy. Madouc jest Delegaturą rządzącą się własnymi prawami.

— W takim razie musisz go hołubić. Szanować go. A przede wszystkim go słuchać.

— Madouc, czyś ty go nakłaniał do tego? — zapytał Hecht.

Hecht zaraz po wyjściu Ferrisa Renfrowa posłał po Carava de Bosa i Rivademara Vircondeleta. Przystojny blondyn Vircondelet nie mógł przestać ziewać. Hecht wpatrywał się w listy na czarnej tacy, tęskniąc za chwilą, kiedy będzie się mógł w nie zagłębić.

— Czego dowiedzieliśmy się o Renfrowie? Ktoś ma coś do powiedzenia?

De Bos i Madouc spojrzeli na Vircondeleta. Senny Connecianin, Castreresończyk mógł przebić swego mentora, Titusa Zgodę.

— Niejaki Ferris Renfrow był zamieszany w politykę Imperium Graala od ponad stu lat — zaczął. — Ten Ferris Renfrow utrzymuje, że jest synem

Renfrowa, który służył dwóm Freidrichom, oraz wnukiem Renfrowa, który służył Ottonowi, Lingardowi, drugiemu Johannesowi oraz drugiemu Ottonowi. Każdy Ferris Renfrow wzbudzał przerażenie w otoczeniu. Ludzie niechętnie o nim mówili. Gdyby można było zakwalifikować śmiertelnika jako Delegaturę Nocy, Ferris Renfrow nadawałby się doskonale. Jest żyjącym upiorem opiekuńczym Imperium Graala.

— Czy w życiu któregokolwiek z Renfrowów była jakaś kobieta? — zapytał Hecht.

— Nie znalazłem powiązań żadnego z Renfrowów z żadną konkretną kobietą. Może robią tak jak ty i adoptują- odparł Vircondelet.

Pella właśnie wsunął głowę do środka. Zobaczył, że nie jest mile widziany.

Może rodzina Renfrowa była jak ród Delarich. Każde kolejne pokolenie pochodziło z nieprawego łoża, jedno po drugim.

— Katrin i Hespeth są teraz jedynymi kobietami w jego życiu — ciągnął Vircondelet. — To dlatego, że jest wykonawcą ostatniej woli Johanna Czarne Buty i Edyktu Sukcesji.

— Powinniście tak postępować, jakby wszyscy ci ludzie o nazwisku Ferris Renfrow to była jedna i ta sama osoba. I kopcie dalej. Dowiedzcie się, kim są jego wrogowie. Zwykle tacy ludzie lubią sobie poplotkować.

— Nikt tu się tym specjalnie nie przejął, ale Renfrow pojawił się na dworze, brudny i poraniony, z wieściami o zwycięstwie ledwo kilka godzin po Los Naves de los Fantas — zauważył Carava de Bos.

Hecht aż podskoczył, słysząc to. Miał nadzieję, że nikt tego nie widział.

— Jak to możliwe?

— To jest kluczowe pytanie, mam rację?

— Miejcie na niego oko. — Hecht zerknął na listy. Nie mógł dłużej czekać. — No to wszyscy do roboty. Vircondelet, ty wracaj do łożnicy.

Naczelnny Wódz się zadręczał. Najpierw otworzył list od Bonifacego VII. W ogóle go nie zainteresował. Wynikało z niego, że jego autor miał wizję, iż jego czas na piedestale się kończy, i błaga go, by dopilnował, aby honorowano ustalenia z Patriarchatem Viscement. Jeśli trzeba, przy użyciu siły. W ocenie Hugona Mongoza większość Książąt Kolegium jest oślizłymi płazami zainteresowanymi jedynie napychaniem własnej kabzy. Zlekceważyliby umowy, gdyby doszli do wniosku, że im się to uda.

Hecht spalił ten list. Marnowanie pergaminu. Bonifacy jednak nie mógł mieć pewności, że jego wola będzie wypełniona. Chyba że z niebios będzie obserwował, jak jego Naczelny Wódz siłą wprowadza jego postanowienia.

Następnie Hecht przeczytał list od Cesarzowej. Bał się, co może zastać w korespondencji od Księżniczki Prawowitej.

Katrin Ege, Cesarzowa Imperium Graala wraz z całym szeregiem tytułów dodatkowych, które wypełniały połowę kartki, domagała się obecności Naczelnego Wodza Patriarchatu Episkopalnego Kościoła Brotheńskiego...

Pochlebne kadzenie ciągnęło się bez końca. Piper Hecht nie należał do tych, na których mogło to wyrzucić jakiekolwiek wrażenie i którzy daliby się czemuś takiemu uwieść. Podszedł do tego jednak ze stoickim spokojem. I ułożył równie kwiecistą, obłudną i nieszczerą odpowiedź. Tak. Spotka się z Jej Wysokością Cesarzową Katrin... Wybór czasu i miejsca pozostawia jej.

Prośba Katrin została powielona w krótkim liście księżniczki Hespeth. Czytał go raz za razem, szukając jakiegokolwiek podtekstu.

Godzinę później Hecht stanął przed kobietą, która była obecnie najpotężniejszym władcą zachodniego świata. Zakleszczony w spekulacjach nie był pewien, jakie są jej prawdziwe motywy. Sam.

Pella był daleko, włączając się po mieście z jednym z opiekunów. Madouc wyraził poważne zastrzeżenia wobec takich eskapad.

Może i sam. W pokoju, w którym sypiał. Ale jeden z ludzi Madouca był tuż za drzwiami.

Niektóre rzeczy nie potrzebowały drzwi, by znaleźć się w środku.

Hecht czytał list Hespeth, kiedy płomień świec zatańczył gwałtownie.

— Cloven Februaren?

— Zrobiłeś się bardzo czujny. Jak pobędziesz trochę dłużej w Konstrukcie, to będziesz mnie wyczuwał na kilometr.

Hecht popatrzył w kierunku dobiegającego go głosu. Nie zobaczył niczego, dopóki mężczyzna się nie zmateriałizował, odwracając się doń twarzą. Był stary, niski, ogorzały i cały w brązach. W jego oczach o nieokreślonym w tym świetle kolorze igrały psotne iskierki. Włosy aż wołały o nożyce. I grzebień.

Cloven Februaren. Dziewiąty Nieznany. Dziadek księcia Muniera Delariego, Jedenastego Nieznanego, który twierdził, że jest naturalnym

dziadkiem Pipera Hechta. Cloven Februaren miał ponad sto lat. Prawdopodobnie ponad sto pięćdziesiąt. Ale też kłamał jak najęty. I miał poczucie humoru dziesięciolatka.

Hecht zerknął na drzwi. Kto jest na służbie? Ludzie Madouca wiedzieli, że ich pryncypał czasami wdaje się w duchową dyskusję z samym sobą. Jedynie Madouc ważył się wkraczać w to, by dopilnować, żeby nie doszło do przemocy.

— No i co? — zapytał starzec.

— Hmm.

— A więc będzie to jedna z tych intelektualnych dysput?

Hecht uśmiechnął się. Zrobiło mu się jakoś dziwnie.

— Może nawet filozoficznych. Właśnie uświadomiłem sobie, że rzadko się uśmiecham.

— Masz atrofię poczucia humoru. O co chodzi?

— Panie?

— Wezwałeś mnie. Musiał być jakiś powód.

Hecht powstrzymał się, żeby czegoś nie palnąć. Nic takiego nie zrobił. Jednak bardzo chciał się zobaczyć ze starcem.

— Nie wzywałem, ale cieszę się, że tu jesteś. Możesz mi pomóc w kilku sprawach. — Hecht skupił się na tym, co powiedział Ferris Renfrow. — Interesuje mnie wszystko. A jeszcze bardziej interesuje mnie sam Renfrow. — Nawiązał do garstki informacji odkopanych przez de Bosa i Vircondeleta.

Im dłużej Hecht mówił, tym bardziej Februaren był poruszony.

— Jesteś zaniepokojony. Dlaczego?

— Niefortunne podejrzenia. Czy ktokolwiek oskarżał tego człowieka o czary?

— Nie. Ale przeraża każdego. I tak się dzieje od czasów, kiedy ty zacząłeś to robić. I robi rzeczy, których nie powinien umieć robić.

— O których robienie też byś mnie oskarżył. W takim razie sprawdzę te zapiski. Bo, zdaje się, on sprawdza zapiski o tobie.

— Parę razy powiedział mi, iż uważa, że jestem Else'em Tage, kapitanem sha-lugów, na co zwrócono mu uwagę w al-Karn, kiedy przebywał w odwiedzinach u Gordimera Lwa i jego kopniętego czarnoksiężnika.

— To mogło być wtedy, kiedy dostał tego chłopaka, Armanda.

— Tak. Osę Stile. Dawnego alkowianego pieszczoška Muniera Delariego. Obecnie grającego w nocne gry z samym Hugonem Mongozem.

— I niedającego niczego swoim przyjaciołom poza Krois. — Przebłysk Februarowego szelmostwa. — Dreangerowie myślą, że nie żyje.

Hecht zeszywniał.

— Widziałeś Annę? I dziewczynki?

— Nie. Ale Muno posyła je regularnie do szkoły. Anna tęskni za tobą. Zaprzyjaźniły się z Heris. A Heris stała się adeptką Konstruktu.

Hecht był zaskoczony, jak bardzo dotyka go los jego prowizorycznej rodziny. Anna Mozilla nie była jego żoną, ale aż go bolało z tęsknoty za nią. Vali i Lila nie były z jego lędźwi, ale bardziej tęsknił za nimi niż za prawdziwymi córkami. Miał dwie, niemal zapomniane wraz z prawdziwą żoną. Jej twarzy nie mógł sobie już przypomnieć. Nie widywał ich latami, a nawet jeśli już to się zdarzało, spotykał się z nimi na kilka ulotnych godzin, zanim Lew popędził go w kolejną śmiertelnie niebezpieczną misję.

— Nie jesteś złym człowiekiem, panie Hecht — powiedział Cloven Februaren — Else Tage też nie był. Wszyscy jesteśmy niewolnikami okoliczności. A te mogą się okazać bardziej okrutne niż najgorszy diabeł.

Hecht zrozumiał. To właśnie chciał usłyszeć w tej chwili. Z wyjątkiem:

— Przeciwnik za wszelką cenę chce mnie ściągnąć w dół.

— No i? Masz zamiar ubiegać się o jakieś szczególne względy w Zwojach Pokuszenia?

— Helspeth. — Wcześniej nigdy nic nikomu nie mówił. — Księżniczka Prawowita. Mam obsesję. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem jako więźnia w Plemenzie. Ocaliłem jej życie w al-Khazen. Szaleństwo jest odwzajemnione. Wymieniamy bardzo powściągliwe listy. Teraz jestem tutaj, w Alten Weinbergu, a Helspeth jest niemal na wyciągnięcie ręki. — Hecht był zadziwiony. Wyznawał to, do czego bał się przyznać nawet przed sobą. — Okropnie się boję, że popełnię jakieś szaleństwo. Że zniszczę siebie i pociągnę za sobą księżniczkę.

Żartobliwy nastrój i filuterny błysk w oku opuścił Clovena Februarena.

— A niech mnie. Nasiona międzynarodowego eposu. Lepiej odłożę pomniejszych troski i skoncentruję się na tym weselu. Wciąż aktualne?

Hecht nie wyczuł delikatnego sarkazmu.

— Katrin czci ziemię, po której chodzi Jaime. Choć ten potrzebuje tęgiego kopa w rzyć, żeby osiąść galanterię Pinkusa Ghorta.

— Który obrasta w tłuszcz, dowodząc Regimentem Miejskim.

Bronte Doneto wraz z Pinkusem Ghortem tworzą niezłą ekipę. Obecnie Lordowie Brothe, ci dwaj. Co jest nie tak z Jaime'em?

— Jest pod zbyt wielkim wrażeniem króla Jaime'a. Otacza tego człowieka czcią. I wydaje mu się, że reszta świata powinna się do tego przyłączyć.

Poprawiło to wieczorny nastrój Clovena.

— Zdaje się, że daje to nam pewne możliwości — uznał starzec.

— Może i tak być.

Madouc wprosił się do komnaty Naczelnego Wodza i rozejrzał podejrzliwie wokół.

— Z kim rozmawiasz, panie?

— Madouc...?

Szef straży już kiedyś to zniósł.

— Gerzina słyszał jakieś głosy.

— Czy może głosy wołające o pomoc?

— Nie, panie. Ale wiadomo, że Bóg nie wyposażył człowieka, którego chronimy, w zdrowy rozsądek, by tak właśnie postąpił.

Hecht był zirytowany. Ale nie miał siły powiedzieć Madoucowi, że się myli albo też zapomina, gdzie jego miejsce.

Trzeba było coś zrobić. Zbyt mocno darli ze sobą koty, pozwalając, żeby ich osobowości przesłoniły zdrowy rozsądek. Pewnego dnia obawy Madouca staną się ciałem na skutek bezmyślnego lekceważenia jego rad. Madouc jednak też przesadzał w drugą stronę ze swoimi podejrzeniami.

Tarcie. Trzeba je jakoś przewyciężyć. Madouc był dobrym żołnierzem oddanym swojemu obecnemu zadaniu.

— Gdybyś był Mistrzem Komandorii Castella, do jakiej pracy twoim zdaniem nadawałbyś się najlepiej?

— Słucham?

— Gdybyś mógł wybrać sobie pracę, co to by było?

Hecht nie spodziewał się odpowiedzi. Chyba że ogólnikowej. Bractwo Wojny miało niezliczone zasady, którymi nie chciało się dzielić z obcymi.

— Gdybym miał wybór, objąłbym jedną z komandorii w Ziemi Świętej.

— I bronił pielgrzymów? Ciekawe. A prosiłeś o to?

— Bractwo zaczęło już spoglądać na zachód. Może dlatego też zachód zaczął się odwracać od Ziemi Świętej. Ty i ja braliśmy udział w dwóch

krucjatach. Żadna z nich nie była za morzem.

Złość Madouca na pryncypała przekształciła się w rozsierdzenie na jego własny zakon.

— A prosiłeś?

— Nie.

— Powinieneś. Mężczyzna powinien wykonywać zbożne dzieło tak, by koło to jego duszę. Wtedy sprawa się łączy.

Madouc nie miał na ten temat niczego do powiedzenia.

— Pewnie powinienem się szykować.

— Panie...?

— Listy od Cesarzowej. Nakazuje mi stawić się na prywatnej audiencji. Po wieczornym posiłku. Wiem tylko tyle.

— Jest jedna sprawa, którą powinieneś poruszyć. Schwytałismy tego człowieka, Bo Biognę, jak próbował się tu wśliznąć. Wiem, że się znacie, więc zostawię to twojemu osądowi, panie. Wypytywał o ciebie tutaj, w Hochwasser, i gdzie indziej.

— Książę Delari ostrzegł mnie. Książę Doneto uważa mnie za zdrajcę jego osobistej sprawy. Chce znaleźć jakieś moje brudy sprzed okresu, kiedy po raz pierwszy ocaliliśmy go w Connec. Jak dotąd nie dałem mu amunicji przeciwko sobie. Jeśli nie liczyć tego, że zamiast zostać jego tajnym agentem, wolałem wiernie służyć każdemu ze swoich panów.

— Czy może coś znaleźć?

— Wątpię. Nigdzie nie zagrzałem miejsca. Stawiałem stos i kierowałem się od razu dalej na południe. Zaraz, poczekaj. Raz, kiedy dopiero zaczynałem, ukradłem worek rzepy. Jakies zbóje zabrały mi mój kozik i ser... — Przerwał. Madouc był zaskoczony, słysząc, jak pryncypał się otworzył. — A gdzie jest Bo? Wiem aż za dobrze, co knuje.

— Ciężkie czasy? — zapytał Hecht, kiedy Biogna wszedł do komnaty. Na tym drobnym mężczyźnie, łachmany, które nosił, wisały luźno. Hecht pamiętał, jak niegdyś całe były wypełnione ciałem Biogny.

— Jasne, Pipe. Jak leci?

— Zleciałeś trochę na wadze.

— Bo łąziłem po zimnych pustkowiach, tam życie jest ciężkie.

— Tak słyszałem. A wiesz, że wszyscy ludzie Madouca są nieźle wkurzeni.

— Chciałem tylko zobaczyć Joe. Słyszałem, że jest tu z tobą.

— Tak pomyślałem. Posłałem po niego. Zrozumiesz, jak nie będziemy cię oprowadzać po okolicy? Pozostali nie znają cię tak dobrze jak ja.

Spojrzenie Biogny stało się na chwilę podejrzliwe.

— Trafiłeś na coś ciekawego na północy? — zapytał Hecht. — Na przykład na dzikich jeźdźców ze zwierzęcymi czaszkami wplecionymi we fryzury?

— Nic aż tak spektakularnego. Tylko Noc dwoi się i troi bardziej niż zwykle. Jak człowiek musi wyjść po zmroku, powinien zabrać z sobą jakieś talizmany ochronne. Im dalej na północ, tym gorzej.

— Dowiedziałeś się czegoś ciekawego na mój temat?

Biogna skrzywił się.

— Nigdzie nie możesz zagrażać miejsca. Prawie nikt cię nie pamięta. Ale w raportach zawsze piszą o tobie dobrze.

— Chciałem dostać się do Brothe. Pracowałem, kiedy potrzebowałem pieniędzy. Po raz pierwszy zapomniałem o moim celu, kiedy natknąłem się na was.

— Opłaciło się jednak. Nam wszystkim. Szczególnie tobie i Ghortowi.

Dobry humor na chwilę opuścił Hechta. Większości członków ich niewielkiej grupy się nie powiodło. Pochowano ich nieopodal Antieux.

— Tak — ciągnął Biogna. — Tym, którzy przeżyli ten absurd. A później Plemenę. Nieźle nam się wiedzie. Ale czekaj, spotkałem twojego brata!

Hecht nie byłby bardziej przestraszony, gdyby Biogna wyciągnął nóż zza pazuchy.

— Co takiego?

— Twojego brata. Tindemana. Wspominałeś o nim kilkakrotnie.

— Ale on nie żyje.

— Wyglądał na całkiem zdrowego. Trochę jednak posiwiiał. I ma paskudną fioletową szramę na twarzy, że aż mu trudno mówić. Ale żyje i ma się dobrze. Jest inżynierem artylerii w Grumbragu.

Hecht był zbyt zaskoczony, by improwizować. W jaki sposób Dziewiąty Nieznany był w stanie umieścić żywych ludzi, by wesprzeć jego legendę?

— Wyglądasz na przytłoczonego — zauważył Biogna.

— Bo jestem. Nigdy nie byłem tak zaskoczony. Zawsze myślałem, że tylko ja pozostałem przy życiu. Walki tego roku były szczególnie zażarte. Zabito niemal wszystkich z Zakonu Graala. Mimo że potęga Sheard została złamana.

Hechta uratowało przed dalszymi zwierzeniami pojawienie się przyjaciela Biogny, Po Prostu Joe.

Joe był dużym, powolnym, nijakim mężczyzną posiadającym prawdziwy dar radzenia sobie ze zwierzętami. Choć był szeregowym żołnierzem — Joe nie chciał brać na swoje barki większej odpowiedzialności — Hecht zaliczał go do grupki swoich najlepszych ludzi. Joe znał się na zwierzętach. Armia Patriarchatu nie była w stanie funkcjonować bez niezliczonej ilości zwierząt, jeśli chciała być skuteczną, nowoczesną siłą militarną.

Joe posprzątał już. Co było wyjaśnieniem tego, że tak mu długo zeszło.

— Popatrz, kto tu jest — zwrócił się doń Hecht.

— Widzę. Powiedzieli mi. Hej, Bo. Ej! Lepiej się nie zbliżaj. Aż tak dokładnie to się nie wyszorowałem.

— Popatrz na mnie, Joe. Czy wyglądam, jakbym się szykował do jakiejś parady?

Hecht kazał przynieść stawę i napitek. Jego gwardziści z wystudiowanymi obojętnymi obliczami obserwowali, jak jeden z najpotężniejszych ludzi świata episkopalnego odpoczywa w towarzystwie pomocnika stajennego i podejrzanego intruza.

Hecht był bardzo związany z nimi, z Pinkusem Ghortem i innymi, którzy nie przeżyli. Zmienne koło fortuny nie zerwało tych więzów. Nawet jeśli wywoływały nieporozumienia.

Pojawił się Carava de Bos.

— Wybacz, panie, że nachodzę, ale masz się zobaczyć z Cesarzową za dwie godziny. Musisz się najeść i przebrać.

— Dzięki. Jo, Bo, obowiązki. Wy bawcie się dalej. Cederig — rzekł do jednego z gwardzistów. — Pan Biogna może zostać tu tak długo, jak zechce. Ale może przebywać tylko tu i w stajni.

Biogna chciałaby się pewnie przywitać z opiekuńczym duchem, mułem nazywanym Żeliwo, który był z Joe od samego początku.

Hecht uważał tego muła za swoisty filozoficzny drogowskaz. Zwierzę miało odpowiedni stosunek do otaczającego świata. I bardzo mu z tym było dobrze.

Hecht też uważał się za osobę upartą i dość paskudną na dokładkę. A jeszcze nawet nie dobrał się do żadnego ze swoich przyjaciół.

Cloven Februaren pojawił się magicznym skrzętem, kiedy Hecht się ubierał. Bez pomocy. Uparł się, żeby ubierać się samodzielnie, i robił co

mógł, żeby tak było, pomimo swojego statusu wielmoży. Czuł się z tym niemal tak dobrze, jakby niewolnica szeptała mu do ucha.

— Podśluchałem doniesienia twojego druha. O odnalezieniu twojego brata Tindemana w Grumbragu — powiedział starzec. — Nie ja tu jestem winny. Mój udział w budowaniu twojej legendy to tworzenie fałszywych pozorantów za drobną zapłatą. Czy Biogna powiedział coś, co mógł wy dostać z ciebie kiedyś w przeszłości?

— Tak. Że ktoś, kogo wymyśliłem, żyje i ma się dobrze w jakimś mieście znajdującym się w połowie drogi stąd do wiecznego lodu.

— Myślisz, że mówił prawdę?

— Bo? Nie mam pojęcia. To sprytny i przebiegły drań. Może prowadzić grę zaproponowaną przez Bronte Doneto. Żeby sprawdzić moją reakcję. Ale bardziej skłaniałbym się ku twierdzeniu, że to Ferris Renfrow maczał w tym palce.

— Tak często opowiadałeś te bajeczki, że sam w nie wierzysz... chyba że przestaniesz myśleć. Sprawileś, że Muno zaczął wątpić w niepodważalne fakty, kłamałeś z takim przekonaniem.

Piper Hecht nie był całkiem pewien, że źródła jego „prawdy” nie zostały mu przekazane w taki sam sposób.

— To prawda, jak sądzę. A Renfrow ma swoich szpiegów wszędzie.

— Albo chce, żebyśmy myśleli, że tak jest.

— Może nie tylu jak wtedy, kiedy żył Johannes, ale naprawdę sporo. Jest całkowicie zaangażowany w sprawy Imperium Graala.

— Postaram się sprawdzić wieści o tym Tindemanie Hechcie.

— A ja muszę wezwać kogoś, żeby mi pomógł z tymi ostatnimi trokami. Są rzeczy, których nawet ja nie ogarniam.

— Nie ma sprawy, zrozumiałem.

Przed spacerem po zmroku do Winterhall, plebanii Ege w Alten Weinbergu, Madouc nalegał, by Hechtowi towarzyszyła grupa zbrojnych, włącznie z oboma oddziałami hakowników Kaita Rhuka z bronią naładowaną boskim śrutem. Każdy zbrojny niósł parę ręcznych hakownic dużej mocy oraz wolno tłący się wiecheć. Madouc spodziewał się ataku. Wróg nie będzie miał lepszej okazji.

Madouc pomyślał nie tylko o ochronie swego pryncypała, ale też o tym, co potencjalni zamachowcy mieli rzeczywiście nadzieję uzyskać.

Zamachy, w jego ocenie, były nader symboliczne i miały za zadanie mocno zaznaczyć czyjaś deklarację. Gdyby zdołał odgadnąć, czego by dotyczyła, mógłby też przewidzieć, kiedy i gdzie uderzy skrytobójca.

I się nie mylił. Choć dzisiejszy potencjalny zamachowiec objawił się pod postacią jednego wygłodzonego i oszalałego włócznika, który wypadł z ciemności, drąc się wniebogłosy, gotów cisnąć swoją bronią.

— Co powiedział? — zapytał Hecht, gdy intruza ogłuszono, związano i przekazano miejscowym oddziałom przywołanym szczeknięciem szybkiej jak błyskawica hakownicy.

— Coś o Castresone. Coś tam zrobiliśmy, co mu się nie spodobało.

Winterhall przypominało dom va Milcz-Trajkota, tyle że było większe. Dlaczego Cesarzowa chciała się z nim spotkać z dala od swego pałacu? Splendor tego miejsca onieśmieliłby takiego małego żuczka jak Piper Hecht.

— Wie, że widziałeś Krois, panie — zawyrokował Madouc. — Widziałeś pałac Chiaro i Castella dollas Pontellas. Jej pałac by cię nie przytłoczył, panie. I może chciała się uwolnić od ciekawskich spojrzeń szpiegów w swoim pałacu. Tutaj może rozmawiać z tobą z dala od swego narzeczonego, jedynie przy kilku osobach wściubiających nos we wszystko.

Krążyły pogłoski, że bardzo się nie spodobało, iż król Jaime zachowuje się tak, jakby to on tu rządził. Katrin podobno nie zareagowała na jego nieprzystojne zachowanie, ale podjęła pewne kroki, by temu zapobiec w przyszłości.

— Ciekawe, ile samodzielności pozwoli mu zachować po ślubie — zastanawiał się Hecht.

Katrin Ege przywykła załatwiać sprawy po swojemu. Często przy protestach jej Komisji Doradczej.

— W rzeczy samej — odparł Madouc.

— A co to takiego? — Hecht wskazał na budowę, którą mijali, niezbyt widoczną w świetle pochodni.

— Coś tu stawiają bankierzy z cesarskich krain w Firaldii. Własną fortecę. Widać ich coraz więcej na północy. Jedynie okrągłe kamienne wieże z kilkoma okienkami umiejscowionymi bardzo wysoko i jednym niewielkim wejściem jakieś cztery metry nad ulicą. Wystarczy to w zupełności, by radzić sobie z rodzinną i miejską polityką, gdzie nie ma w użyciu ciężkiej broni albo długich oblężeń.

Hecht przypomniał sobie zdobycie podobnej cytadeli w Clearenzie, kiedy Majestatyczny V chciał ukarać miejscowego diuka. W tamtym miejscu wejście było jednak na poziomie gruntu. I sam budynek był szerszy.

Naczelny Wódz musiał zostawić większość swej licznej świty na zewnątrz. I całą broń. Nieuzbrojonemu Madoucowi pozwolono towarzyszyć mu tylko do drzwi sporej komnaty, którą Cesarzowa wybrała na spotkanie z Hechtem. Pozostał na zewnątrz z kilkoma pozbawionymi poczucia humoru Braunsknechtami.

Komnata wyglądała, jakby powstała w wyobraźni jakiegoś orientalnego radży, cała w jedwabnych poduszkach o jaskrawych barwach. Powietrze było ciężkie od wytwornych kadzideł. Wewnątrz Hecht zastał sześć kobiet. Rozpoznał Cesarzową i jej siostrę. Katrin bardzo się posunęła. Pozostałych kobiet nie znał. Mogły to być pokojowe, damy dworu, żony czy córki notabli.

Unikanie wzroku Hespeth było męczarnią.

Jedna z kobiet zdawała się rozumieć, o co chodzi. Spojrzała mu prosto w oczy, kpiąco i zalotnie.

— Naczelny Wodzu, prosimy bliżej — rozkazała Cesarzowa.

Hecht zmusił się, by ruszyć z miejsca. W chwilach szczególnej presji był w stanie podporządkować się ceremonialnej procedurze. Zrobił wszystko, czego oczekiwałyby po nim władczynie, ale kiedy wypełnił swoją powinność, ośmielił się odezwać:

— To wszystko jest wbrew etykiecie, Wasza Miłość. — Wiedział, że te uprzejmości sprawiają Katrin przyjemność, choć bardziej pasowały do księcia Kościoła.

— To prawda. Tak. Siadaj. Wygodnie.

Naczelny Wódz posłuchał. Cesarzowa zyskała monarszą aurę, ale też wymizerowany wygląd. Hespeth zaś... coś, co było zapowiedzią niebezpieczeństwa. Więcej magnetyzmu niż w jego wystraszonej fantazji.

— Są sprawy, które chciałabym z tobą omówić — mówiła Katrin. — Nie mogę tego zrobić nigdzie indziej. Gdyby dowiedzieli się o nich moi doradcy, grzmieliby i ciskali na mnie gromy. Jaime dąsałby się na mnie. Nie na tyle jednak, by zaprzepaścić szansę, że zostanie cesarskim małżonkiem.

Do Hechta podeszła kobieta o wyzywającym spojrzeniu. Przyniosła kawę w małej filiżance o tak cienkiej powłoce, że przez porcelaną prześwitywał płyn. Zapach podpowiadał mu, że jest to najprzedniejsza ambonypsgańska

kawa przemycona przez Dreanger i tak droga, że jedynie królom i książętom dane jest się nią rozkoszować.

Wraz z pojawieniem się tej czarki nadeszła wiadomość. Cesarzowa bardzo wiele wiedziała o Piperze Hechcie. Włącznie z jego zamięłowaniem do kawy.

Kobieta, która przyniosła kawę, mruknęła:

— Z pozdrowieniami od księżniczki.

Wiedziała.

Zerknięcie na Hespeth. Księżniczka Prawowita nie przekazała mu tych pozdrowień. Miał wielką nadzieję, że ta kobieta jest przyjacielem, nie wrogiem.

— Dziękuję za kawę, Wasza Miłość. Nie miałem przyjemności jej kosztować od dawna. Czym więc mogę służyć?

Spotkania tego rodzaju zwykle ciągną się w nieskończoność, nikt nie mówi konkretnie, za to każdy szuka jakiejś słabostki drugiego. Hecht był zniecierpliwiony.

— Dwie sprawy, Naczelnny Wodzu. Może i więcej, ale później. Po pierwsze, przełącz Remyne. Przybyłeś stamtąd?

— Przybyłem z królem Jaime'em, przyjechał od północy. Miał jakieś zastrzeżenia co do tej przełączy.

— Ponieważ to coś, co wydusiła tam moja siostrzyczka, odnalazło nowe życie. W mniejszej formie. Rozrabia tam, ale nie mogę znów spuścić z łańcucha mojej drapieżnej siostruni Hespeth.

A więc tak. Słyszała głosy, które mówiły, że to Hespeth jest nieodrodną córką Srogiego Małego Hansa.

Hespeth nie była zachwycona. To było jasne. Ale, jak wspomniano w niejednym ostrożnym liście, zamierzała być ideałem młodszej siostry oraz Księżniczki Prawowitej.

— I?

— I jedynie Naczelnny Wódz sił patriarszych ma moc i środki, by wyeliminować tę zarazę. Imperium poniesie koszty. Włącznie z rekompensatą dla rodzin tych, co padną na owych łowach.

Hecht upił niewielki łyk kawy. To można było załatwić przez pośredników, nawet jeśli Katrin prężyła swe imperialne mięśnie na użytek mężczyzn, którzy próbowali ją skłonić do tego czy owego.

Ich próby mogły się nasilić szczególnie w te ostatnie dni przed ślubem.

Z początku niemrawa opozycja wobec jej wyboru niezwykle urosła w siłę, odkąd można było bezpośrednio oceniać króla Jaime'a po jego czynach.

Jedynie Katrin wciąż była nim zauroczona.

Cesarzowa dowiodła już nieraz, że potrafi postawić na swoim, jeśli tego chce.

— To pomniejszy problem. Myślę o czymś dużo ważniejszym. Najpierw jednak przysięgnij, że nigdy nie będziesz poruszał tego tematu poza tą salą. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia.

Hecht pomyślał, że Cesarzowa jest naiwna, jeśli wierzy, że to, co będzie tu omawiane, pozostanie w tajemnicy. Damy dworu miały mężów, którzy chcieli wiedzieć o takich sprawach. Ktoś powie komuś, w największej tajemnicy oczywiście.

Bawił się swoimi blond włosami, które ostatnio zapuścił. I zastanawiał się, czy ich znów nie skrócić. Zaczęły się w nich pojawiać siwe pasma.

— Mogę złożyć takie zobowiązanie. Ale moje milczenie nie wystarczy, by utrzymać to w tajemnicy.

— Bez wątplenia. Wielkim symbolem Imperium jest orzeł. Ale mnie otaczają same sępy.

— Przykro mi to słyszeć.

— Ale zaskoczony nie jesteś?

— To cena władzy, Wasza Miłość. Im wyżej człowiek siedzi, tym więcej gromadzi wokół siebie pasożytów.

Katrin uniosła się ze swych poduszek. Hespeth zrobiła to samo.

— Chodź z nami. — Cesarzowa zaprosiła Hechta. — Tam dalej jest odosobniona komnata.

Wszyscy gwardziści i damy dworu poruszyli się, chcąc zaprotestować.

— Moja drapieżna siostrzyczka będzie mnie strzegła przed niecnym Brotheńczykiem — warknęła Katrin.

Chwilę później Cesarzowa sama zamknęła drzwi najbardziej spartańskiej sali, jaką Hecht w życiu widział. Ściany były wykonane z nagich kamieni, przez które nie zdołałaby przeniknąć żadna magia. Nie było tu też mebli.

Hecht przyglądał się powłoce z mlecznego kamienia.

— Naczelnym Wodzu? Daję słowo, jest prawdziwy. Najlepszy kamień z kamieniołomów, w których pracowali Aaron i jego ojciec.

— Szukałem jakichś pęknięć. Pewien znajomy... należy do Kolegium... jest w stanie szpiegować w wyciszonej sali, jeśli gdziekolwiek w ścianie znajduje się pęknięcie.

— Muniero Delari.

— No tak. Właśnie on.

— Helspeth. Przestań już.

Młodsza kobieta drżała na całym ciele.

— No dobrze. — Księżniczka Prawowita udała niezwykle zainteresowanie spójnością kamieniarki.

— Przejdę wprost do sedna — oznajmiła Katrin. — Wkrótce jedno czy drugie wtargnie tu pod byle jakim pretekstem. Naczelny Wodzu, chcę cię wynająć, podkupić Kościołowi. Ciebie, twoich ludzi i wszystkich zawodowców w twoim fachu.

— Katrin? — Helspeth aż się zacukała.

— Wasza Miłość?

— Kiedy mnie koronowano, złożyłam przysięgę. Jedynie mój spowiednik wie. Mam zamiar odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Na czele krucjaty. Mam życzenie, abyś nią dowodził.

Nie było tajemnicą, że Katrin szykowałą się do krucjaty. Ale...

— Nie wiem, co mam powiedzieć.

— Przez całe życie otaczali mnie wielcy ludzie Imperium Graala. Najlepsi z nich, tacy jak Wielki Książę, są małostkowi, samolubni i wbijają nóż w plecy każdego wielmoży, którego wyznaczyłabym na mojego obrońcę.

Hecht próbował protestować.

— Zły dobór słów, Naczelny Wodzu. Nie obrońcę. Najwyższego dowódcę. Głównodowodzącego. Z tego samego powodu mianowano cię na dowódcę miejskiego pułku w Brothen. Nie masz powiązań z żadnymi koteriami.

— A więc wszyscy twoi książęta, grafowie i rycerze powstaną przeciwko mnie, gdyż jestem intruzem — zauważył Hecht.

— Mój ojciec opracował sposoby radzenia sobie z takimi problemami. Jeszcze ich nie próbowałam. Po ślubie zamierzam stworzyć nową Komisję Doradcą. Wesprą mnie Jaime i Patriarcha.

— Być może. Podejrzewam, że przeszkodą będzie Jaime, zdecydowany przejąć nad tobą kontrolę.

Katrin aż zaniemówiła z wściekłości. A więc to była prawda. Nie dopuszczała żadnego głosu przeciwko Jaime'owi.

Hecht spojrział ukradkiem na Hespeth, która uporczywie milczała. Ta uwaga jednak ją przestraszyła.

— Przecież służba w Imperium Graala jest ważnym krokiem w karierze, Naczelnym Wodzu. — Mówiła na bezdechu. Jej głos drżał.

Katrin przyjęła wsparcie z widoczną wdzięcznością, ale była zdziwiona nieśmiałością siostry.

— Z całą pewnością — odparł Hecht. — Nie wyobrażam sobie większego zaszczytu ani też większego wyzwania niż przyjęcie miana pana wojny Imperium Graala w tak zbożnym dziele. Ale...

— Ale?

— Krucjata będzie niezwykle kosztowna. Nawet jeśli każdy uczestnik wstąpi do oddziałów na ochotnika, i tak trzeba będzie mu płacić żołd. Ludzie muszą jeść. Zwierzęta też. Trzeba kupić broń. Zbroję...

— Powinno wystarczyć środków, Naczelnym Wodzu. Pomimo wielkich kosztów, jakie pochłonęła krucjata calzirska, mój ojciec był bardzo oszczędny. Zostawił skarbiec ze znacznymi zasobami. Mój brat nie tylko je zachował, ale jeszcze pomnożył. Choć otaczały go szakale. Podobnie obecna Cesarzowa. Spodziewam się dodatkowych znacznych bogactw, i to bardzo niedługo. — Była to uwaga, której nie powinna rozwijać.

— Mam umowę z Patriarchą — odparł Hecht. — Z jego woli. W rezultacie należę do niego dopóty, dopóki nie straci wiary we mnie. Obecnie jestem zaangażowany w trudną kampanię mającą na celu eksterminację upiornych Delegatur w Skraju Connec. Nie dają się łatwo wyeliminować.

— Tak jak to coś, co pokonało Hespeth.

— Zrobię z tym tyle, ile będę mógł.

— A kiedy Bonifacy odejdzie? — zapytała już mocniejszym głosem Hespeth. — Wtedy będziesz wolny?

— Nie. Bellicose z Viscesment będzie następnym Patriarchą. By zjednoczyć Kościół. Przysiągłem, że stanę za nim. Na wypadek gdyby Kolegium próbowało odstąpić od obietnic danych Kościołowi. Szkoda, że Bonifacy tak późno został Patriarchą. Mógł zasłużyć sobie na swe miejsce w historii, gdyby miał więcej czasu. Jest najlepszym Patriarchą, jakiego znam.

— Bonifacy nie pociągnie długo, prawda?

— Zapadł na zdrowiu. Bellicose może go przeżyć.

Rozległo się walenie w drzwi.

— Trwało to dłużej, niż się spodziewałam — odezwała się Hespeth. — Zaczynają się o ciebie bać, Katrin.

— Będą mieli dobry powód. Naczelnny Wodzu, co może sprawić, że się zgodzisz? Czy Bonifacy albo Bellicose pozwolą mi cię wykupić?

Hechtowi udało się nie spojrzeć na Księżniczkę Prawowitą.

— Nie w takim stanie rzeczy. Obydwóm mogę się przydać.

— Czy gdybyś mi służył, byłbyś wobec mnie tak samo lojalny?

— Tak. Oferuję swoją prawość. Ci ludzie na zewnątrz robią się naprawdę zniecierpliwieni.

— Pożaluję tego. — Zadźwiewała stal rodu Ege.

Przez chwilę ulotną jak zjawą na krużgankach koniuszki palców lewej dłoni Hespeth musnęły wierzch prawicy Hechta. Poczuł, jakby go prąd przebiegł. Szarpnęło nim. Hespeth wstrzymała oddech. Katrin nie zwróciła na to uwagi. Drzwi zaczęły się otwierać. Ruszyła w ich kierunku, kipiąc z wściekłości.

Dziewiąty Nieznany był w poważnym nastroju. Bez najmniejszego szelestu, mogącego zwrócić uwagę gwardzistów przed sypialnią Hechta, wszedł do środka.

— Rusz swą zaspaną dupę, chłopcze — wyszeptał. — Mamy problemy.

Hecht wynurzył się ze snu z udziałem Hespeth, w którym oddawali się czynnościom mogącym narazić na szwank sam Tron Graala. Starzec zakrył mu usta dłonią. Nie było to konieczne.

— No co jest? — mruknął Hecht.

— Bonifacy miał wylew. Musisz wracać do Brothe.

— Muszę tu tkwić do końca wesela.

— Może być zamach stanu. Bellicose nie dotarł jeszcze do Brothe. Ani Muno, ani ja nie możemy się zbliżyć na tyle, by podreperować zdrowie Bonifacego.

— Niech to szlag! — Hecht zaklął bezgłośnie. Wszystko w najbardziej z możliwych nieodpowiednim momencie. — A nie możesz się przebrać?

— Co takiego?

— Potrafisz tak zrobić, żeby cię nikt nie zobaczył. No wiesz. Możesz udawać kogoś innego?

Starzec zmarszczył brwi, co było widać w słabym świetle świecy.

— Czy możesz dostarczyć listy, nie zdradzając swojej tożsamości?

— Słucham, mów dalej.

— Mogę przesłać rozkazy do garnizonów wokół miasta. I do moich ludzi w Connec. Jeśli będziesz wyciągał krok, moje siły dotrą na miejsce przed czasem.

— Poślij po inkaust i pióro. Znajdę sposób. — Februaren odwrócił się bokiem i zniknął.

Hecht przywołał gwardzistę na służbie.

— Potrzeba mi piór, inkaustu, papieru i piasku. Natychmiast.

Lak i świecę miał. Uzbrojony w stosowne narzędzia zaczął pisać rozkazy.

Cloven Februaren pojawił się z powrotem.

— To źle, że nie miałeś więcej czasu z Konstruktem. Mógłbyś sobie poradzić z tym osobiście.

— To nie byłoby mądre, gdyby ludzie zaczęli myśleć, że mogę być w dwóch miejscach jednocześnie.

— Masz rację. Stukrotną. Co robiłeś w tej wytłumionej komnacie, ty i te smarkule z rodu Ege?

Hecht, zapytany po raz pierwszy, zapomniał o swojej obietnicy.

— Katrin chce mnie wynająć, bym poprowadził Imperium Graala na krucjatę do Ziemi Świętej.

— No, no. Ten pałac opanowuje szaleństwo od piwnic po strych i wszyscy zachodzą w głowę, co się tam wydarzyło. Ale o tym nikt nie pomyślał.

— Wywołało to jakieś poruszenie?

— Król Jaime i Komisja Doradcza są wściekli. Obwiniają księżniczkę Helspeth. Jedynie Jaime ma jako taki posłuch u Katrin. Zwolniła ze służby wszystkich, których zobaczyła, kiedy tylko wyszła z tej wytłumionej komnaty.

— No i bardzo dobrze. Mam nadzieję, że zacznie od czystki wśród swoich. Dowiedziałeś się czegoś o tym tworze Nocy, o którym donosił Renfrow? Albo o moim rzekomym bracie?

— A kiedy bym znalazł na to czas?

— Jasne. Człowiek szybko się przyzwyczaja do dobrego, prawda?

— Tobie wolno. Mnie nie. Zapieczętuj listy, które już napisałeś. Zaniose je. Resztę zostaw tutaj zaadresowaną. I dopilnuj, żeby nikt się tu nie dostał, kiedy cię nie będzie.

Hecht mruknął coś, ale złożył listy i zalakował je. W minutę Dziewiątego Nieznanego już znów nie było.

Hecht usiadł obok Kaita Rhuka.

— No to co mamy, szefie? — zapytał Rhuk.

Hechtowi nie przeszkadzała wcale poufałość. Rhuk wykonywał swoją pracę. Dobrze wykonywał.

— Dużo dowiedziałeś się od Proseka na temat tego czegoś na przełęczy Remyne?

— Taa. Opracowaliśmy strategię ataku na podstawie tych informacji. A dlaczego? Coś się szykuje?

— Podczas spotkania Cesarzowa powiedziała mi, że to coś wraca. I ma nadzieję, że coś z tym zrobimy.

— Poradzimy sobie. Mamy dużo lepsze uzbrojenie niż Prosek, który próbował zapolować na to. Jeden dobry strzał i powinno wyciągnąć kopyta.

— Dobrze. A więc zapolujemy na to. Po weselu.

— Nie za wiele mamy tutaj do roboty.

— No i?

— No i szwendałem się z kamratami, którzy przyjechali do miasta z panem jaśnie wielmożnym.

— No i?

— Dla człowieka mojego fachu otwierają się tu niezwykle perspektywy. Szczególnie na północy.

— Kharoulke Wędrowiec Wiatru.

— Jeszcze nie. Przynajmniej bezpośrednio. Ale jego kult powraca. Dziwne, nie? Studnie Mocy zaczynają wysychać, a tu nagle mamy dziesięć tysięcy Delegatur, które zaczynają się naprzykrzać. Można by pomyśleć, że powinno być na odwrót.

— Zwolnij nieco. — Rhuk mówił z wyraźnym akcentem. Kiedy był poruszony, jego akcent stawał się barierą nie do przejścia. — Wiesz, co zrobisz, kiedy staniemy przeciwko takiej Delegaturze Nocy jak Kharoulke?

— Jest bardziej wykształcony, niż był Seska. Najpewniej wsadzę sobie łeb między nogi i pocałuję się w rzyć na do widzenia.

— Dlaczego?

— Mówi się, że w pewnym stadium Delegatura Nocy jest tak potężna, że przewiduje zastawiane na siebie pułapki. Wtedy zaczają się i robi atakującym koło pióra. Z plutonem czarnoksiężników pierwszego stopnia mógłbym zwabić toto w pułapkę, która nie wyglądałaby na taką do chwili, gdy otworzylibyśmy ogień. Jeśli pierwsza salwa będzie celna, mogę go wykończyć, zanim się pozbiera. Ale jeśli nie dostanę go od razu, nie będę już miał takiej szansy.

— Nie to chciałem usłyszeć. Ale nie powiem, że się tego nie spodziewałem.

— Szefie, jeśli chcesz wiedzieć, jak masz poradzić sobie z demoniczną istotą taką jak Wędrowiec Wiatru, to lepiej byłoby, gdyby Patriarcha włączył Boga w tę sprawę. Niech się pojawi i napręży mięśnie tak, jak to robił za dawnych czasów.

Ciekawa propozycja. Ale niekoniecznie przydatna.

Hecht podejrzewał, że Bóg się jednak nie pojawi.

Jego wiara mocno ostatnio podupadła.

— Zastanów się nad problemem Kharoulke. Jeśli przyjdzie nam stanąć przeciwko czemuś tak wielkiemu, lepiej byłoby, gdybyśmy mieli opracowaną strategię.

— Oczywiście, panie.

Kait Rhuk był pełen zapału. Zrobi, co będzie mógł. Oczywiście, jeśli nie będzie zajęty uganianiem się za dziewczkami.

Cloven Februaren przybył i wybył. Przede wszystkim przyniósł dobre wieści. Buhle Smolens szedł na Brothe z pięcioma setkami elitarniej piechoty górskiej. Patriarchalne garnizony w Firdii zostały postawione w stan gotowości. Mistrz Komandorii, nowy wódz Bractwa w Castella dollas Pontellas, Addam Hauf, miał zakwaterować w zamku swe oddziały, co oznaczało, że Bractwo wesprze siły Patriarchy.

Bractwo toczyło wojnę w Ziemi Świętej. Nie mogło istnieć bez wsparcia zachodu. Wyniszczające walki w innych miejscach oznaczały zredukowanie środków dostępnych tym, którzy pragnęli wyzwolić ojczyznę Boga.

Naczelnny Wódz był zadowolony, że zrobiono wszystko, co było można. Jeśli Bonifacy wytrzyma przez tydzień, bezproblemowa sukcesja była

prawie pewna. Buhle Smolens będzie bliżej ojczystego miasta. Naczelnny Wódz ruszy na południe.

Dziewiąty Nieznany powiedział, że Patriarcha powinien wytrzymać miesiąc.

Kiedy wszystko dokładnie przemyślał, był w stanie dostatecznie się zbliżyć.

Po Clovenie Februarenie widać było napięcie związane z chęcią ogarnięcia wszystkiego naraz. Hecht powiedział, żeby nieco zwolnił. Skoro wszystko wyglądało dobrze, niech się samo rozegra. Niech wszystko dopasuje się samodzielnie.

Była to rada, którą powinien wziąć też sobie do serca. Nie mógł odjechać przed końcem wesela.

I w końcu ślub się zaczął, choć wydawało się, że trwa to w nieskończoność. Był wielkim rozczarowaniem. Jako przedstawiciel Bonifacego, Naczelnny Wódz obserwował wszystko wraz z biorącymi udział w uroczystości duchownymi. Sam nie uczestniczył w tym, nie miał takiego rozkazu. Pełni nie pozwolono dołączyć do ojca. Chłopak pozostał poza kościołem Świętych Kelama i Lalithy pod opieką Prestena Regsa oraz Shanga „Sakwy” Berbacha. Gwardziści nerwy mieli napięte jak postronki. Jeśli ktoś chciałby dopaść Naczelnego Wodza przez jego syna, to był to najodpowiedniejszy moment.

Święty Kelam i Lalitha był jednym z olbrzymich kościołów Imperium Graala o pysznej architekturze i bogatym wnętrzu z licznymi zdobieniami. Relikwie obydwu Założycieli znajdowały się pod ołtarzem. Chorzy i biedni przybyli, by zapalić świecę i pomodlić się do Lalithy, który za życia dokonywał cudownych uzdrowień.

Naczelnny Wódz nie poświęcił wiele uwagi przepychowi kościoła. Skupił się na przyjęciu weselnym. Na księżniczce Hespeth i królu Jaime. Jego zainteresowanie Księżniczką Prawowitą nie było wcale tak wielką tajemnicą. Przeciwnik znalazł na niego haka w głębi jego duszy. Zastanawiał się jednak nad przyczyną zainteresowania nim direcjańskiego monarchy.

Nastawienie? Z tym człowiekiem były zawsze kłopoty. Każdy to widział i mógł powiedzieć, że chciał, żeby skończyła się ta szopka. Że aż palił się do rządzenia.

Jaime'a czekało jednak spore rozczarowanie. Katrin może i była zauroczona, może i się przymilała do niego, ale była też nieodrodną córką Johanna Czarne Buty. Żaden gładki Direcjanin nie był w stanie przejąć władzy w Imperium Graala, biorąc ją za żonę.

A jeśli całkowicie porzuciła zdrowy rozsądek?

Może w to wkroczyć Komisja Doradcza. Tuzin posepnych starców wraz z jeszcze posepniejszymi żonami. Obserwowali całą ceremonię, obawiając się, że popełnili błąd, zgadzając się na ten mariaż.

Widzieli, że Castauriganin ma ambicje nieskrępowane rzeczywistością. Spodziewał się przyćmić Piotra z Navai, wykorzystując władzę i bogactwo małżonki.

Czyżby był aż tak ślepy? Prywatna audyencja z dowódcą sił Bonifacego rozwścieczyła go do białości. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali, ale był świadom, że Kościół nie jest zainteresowany gloryfikacją Castaurigi ani jej króla. Kościół wolał Piotra z Navai.

Król Jaime znajdzie się w niewygodnym klinczu z Kościołem. Jego żonę charakteryzowało wielkie oddanie Brothe. Stanowiło to źródło jej zewnętrznej siły oraz było wielkim politycznym ciężarem wewnątrz Imperium.

Hecht nachylił się do arcybiskupa obok niego, Elmira Conventiego, który reprezentował kilka imperialnych miast w północnej Firaldii.

— Musimy bacznie przyglądać się temu królowi. Jeśli będzie chciał przymusić do czegoś Cesarzową, jest w stanie sprzymierzyć się ze stronnikami występującymi przeciwko Brothe.

Mocno otyły arcybiskup najpierw zareagował złością, ale potem zrozumiał sugestię.

— Doskonałe spostrzeżenie. Przekażę je dalej.

Ceremonia ciągnęła się w nieskończoność. W jej trakcie nie łączono wyłącznie kobiety i mężczyzny, lecz formalizowano alians i tworzone nową dynastię.

Piperowi Hechtowi wydawało się, że wystarczająco długo przebywał na zachodzie, by przywyknąć do jego najdziwniejszych obyczajów. Osłupiał, kiedy odkrył, że wielkie damy dworu wrywały się na wypródki, by o tak późnej porze być świadkami defloracji Cesarzowej. Miało ich być pięć. Tradycja nakazywała, aby w tym gronie znalazły się matki małżonków oraz ciotki panny młodej. Ani Jaime, ani Katrin nie mieli już matek. Jaime nie

przywiózł też ze sobą wystarczająco wysoko postawionych castaurigańskich kobiet. Starał się nie dopuścić do tej celebry. Dworskie harpie nie chciały nawet o tym słyszeć.

Chciały być świadkami ponizenia smarkuli z rodu Ege.

W przedziwny sposób Cesarzowa, Alten Weinberg, Imperium Graala oraz cały świat przetrzymali tę noc. Podobnie jak Naczelny Wódz sił zbrojnych Patriarchy.

— Tylko wysoko urodzone muszą przez to przechodzić — tłumaczył mu Madouc. — Przed zmianą wiary na chaldaranizm dziewczęta szybko traciły wianek. Rzadko kiedy wychodziły za mąż, póki nie dowiodły, że są w stanie powić dzieci. Wciąż tak jest wśród chłopstwa. Ale szlachta ma za punkt honoru pewność ojcostwa. Żaden mężczyzna nie chce zostawiać schedy nie swemu potomkowi.

— Rozumiem — powiedział Hecht, nie rozumiejąc ani w ząb. — A jednak większość tutejszych kobiet w odpowiednim wieku zdaje się być wplątana w romanse z mężczyznami, którzy nie są ich mężami. Niektóre w więcej niż z jednym. Mężczyźni mają romanse z kobietami, a żony ich mało obchodzą.

— Cudzoziemcom trudno pojąć logikę tego fenomenu — rzucił kwaśno Madouc. — Odpowiedzialni są za to minstrele.

— Znaczy, że co?

— Mówią, że małżeństwo to związek interesów. Miłość to coś zupełnie innego.

Świat praman miał swoje miłosne opowieści. Bajki o oszustwach, zdradzie i przyprawianiu rogów, zwyczajowo przedstawiające słabość rogacza. W rzeczywistości nawet podejrzenie o niewierność mogło prowadzić do okrutnej śmierci obwinionej. Tutaj każdy traktował to dość lekko — nawet jeśli chodziło o jego własną kobietę.

A jednak Piper Hecht nie był w stanie patrzeć na Hespeth Ege i trzymać swoich kosmatych myśli na wodzy.

Uroczystości godowe ciągnęły się przez kilka dni. Dopiero po dwóch dniach Naczelny Wódz mógł opuścić towarzystwo, nikogo nie obrażając. Pozostawiał wynajęty dom w lepszym stanie, niż go zasiedlił, a w nim — egzaltowany list dziękczynny adresowany do młodszego va Milcz-Trajkota.

Kapitan Braunsknechtów, Algres Strach, pojechał wraz z nim.

— Moje najszczerze wyrazy uznania za pańskie wysiłki w mojej sprawie, Naczelnny Wodzu — powiedział w drodze wiodącej na południe z Alten Weinbergu. — Księżniczka Prawowita przyjęłaby mnie z powrotem, gdyby mogła. Ale jej siostra mi nigdy nie wybaczy. Ani ci starcy, z których zrobiła baranów i tchórzy w przełęczy Remyne. — Wspomniawszy o przełęczy, kapitan Strach zrobił się nerwowy.

— Cieszę się, że jedziesz z nami. Byłeś tam wcześniej. Możesz pomóc w opracowaniu planu.

— Naprawdę chcesz, panie, załatwić tego potwora?

— Powiedziałem Cesarzowej, że to zrobię. Kait Rhuk mówi, że nasze możliwości są stukrotnie większe niż Proseka.

Zerknął przez ramię. Było tam czterech zbrojnych z hakownicami, którzy przeżyli poprzednią zasadzkę. Zostali ranni, a potem Imperialni wzięli ich do niewoli, bo mieli nadzieję wydostać od nich tajemnice hakownic. Niczego nie zdradzili, bo też niczego nie wiedzieli.

— Przeprosiłbym — powiedział Strach, idąc za jego spojrzeniem. — Ale też wiedziałbyś, panie, że to nieszczerze przeprosiny. Księżniczka Prawowita była wściekła. Ma nadmiernie wybujałe poczucie honoru.

— Mniej więcej tak jak jej ojciec?

— Johannes Czarne Buty potrafił zapomnieć o honorze, kiedy stawka była wysoka.

— Podejrzewam, że księżniczka też byłaby do tego zdolna, gdyby zaszła realna potrzeba. Jesteśmy jednymi z nielicznych, którzy są moralnie nieugięci. Ci, co zdobywają wielkie uznanie, przeważnie najmniej rzucają się pod tym względem w oczy.

— Cynik.

— Być może. Uważam się za realistę. Zapomniałem, że te góry są takie wielkie.

Góry Jagos pięły się do nieba, a każdy szczyt spowijała czapa wiecznego lodu.

— Bardzo się zmieniły, jeszcze za mojego życia. Teraz jest o wiele więcej lodu i śniegu — zauważył Strach.

Szaleństwo księżniczki Helspeth w przełęczy nie wzburzyło miejscowej ludności. Ich życie zależało od liczby przejezdnych korzystających z przełęczy.

Naczelny Wódz stanął, by zwierzęta mogły odpocząć, i przygotował swój sprzęt przed wjazdem do przełęczy. Wioska nazywała się Aus Gilden. Była znana wyłącznie jako punkt graniczny służący podróżnym.

Tam właśnie zastał Naczelnego Wodza kurier z Connec.

Hecht zebrał swoich ludzi wieczorem.

— Dostałem wiadomość od porucznika Zgody. Nasi bracia w Connec mieli kilka pracowitych tygodni, kiedy my gnuśnieliśmy w Alten Weinbergu.

Chichot. Każdy z jego ludzi chwycił się okazji, by odreagować wszystko śmiechem.

— Osaczony Prosek wysłał Hilita i Kinta w kolejne noce. Jest teraz tuż za Śmiercią.

— Miejmy nadzieję, że mu się powiedzie — zawołał ktoś.

— Hagan Brokke dwa razy rozbił duże bandy grasantów przy pomocy hrabiego Raymone'a. Clej Sedlakova oczyściła kilka miasteczek i zasadziła się na Gawrona. Na nieszczęście zdołał się znów wyśliznąć. Ale mocno osłabiony. Czyli zostaje tylko Shade na wolności i bez strat.

Skilen oraz kilkunastu pomniejszych upiorów już padło.

Zbrojni nie wiwatowali. Nie mieli tego w zwyczaju. Ale byli dumni z tych dokonań.

— Miejmy nadzieję, że tam nam gładko pójdzie — westchnął Kait Rhuk.

— Przewidujesz jakieś problemy? Potwór nie będzie w stanie zrobić tego, czego doświadczył Prosek.

— Lubię być przygotowany na najgorsze.

Był to pogląd, który Piper Hecht w pełni aprobował. Jak się jest przygotowanym na najgorsze, to trudno cię zaskoczyć.

Dziewiąty Nieznany pojawiał się od czasu do czasu, ale nie było miejsca na pogaduszki.

To jednak dobrze, że stary ich obserwował.

— Zbliżamy się do tego miejsca, gdzie to się stało — ostrzegwał Strach.

Ci, którzy byli wraz z Prosekiem, zaczęli wskazywać na coś i wyjaśniać.

Hecht wysłał większość grupy, by rozbiła obóz na starym obozowisku Proseka. Ciągająca na północ karawana wkrótce wypełniła cały wąwóz. Hecht wraz z weteranami poprzedniego spotkania i Madoukiem parli pod

prąd w drugą stronę. Nie znaleźli żadnych bardziej widocznych śladów poprzedniego spotkania. Nawet rysy na skałach zbladły i zatarły się.

— Jutro zaczynamy skoro świt — oświadczył Hecht.

Po powrocie do obozu zastał podróżnych zmierzających na północ. Posłał Kaita Rhuka, by wypytał, czy ktoś z nich widział coś niezwykłego.

Nie. Było ich zbyt wielu, żeby potwór mógł sobie poużywać.

— Tak jak nas — zauważył Rhuk.

Hecht tego się obawiał. I nie miał pojęcia, jak upolować poczwarę.

— Tego nie przewidziałem.

Patriarchalni poczynili tak gruntowne przygotowania do obrony przed Nocą, że sąsiadujący z nimi Firaldianie kpili z nich w żywe oczy. Wysłano wszystkich zbrojnych. Każdy z nich miał przynajmniej jedną ręczną broń prochową. Obie hakownice naładowano boskim śrutem. Hakownicy zasadzili się blisko z tłącymi się wiechciami. Olbrzymie ogniska oświetlały cały obóz.

A i tak klęska była o krok.

Hecht poczuł mocne swędzenie w lewym nadgarstku. Wiedział, że śni, jednak swędzenie odczuwał naprawdę. Musiał się obudzić, lecz nie był w stanie. Dręczyło go dojmujące uczucie deja vu. Już to raz przeżywał. Nie w tym miejscu, ale sytuacja była taka sama. Był świadom tego, lecz nie mógł zareagować, gdy coś straszliwego zaczęło się do nich zbliżać.

Rozum wziął górę. To się już kiedyś stało w Ownvidiańskim Węzle. Ocknął się na tyle przytomny, że zdołał wyzwolić Bronte'a Doneto z kontrolującego jego poczynania zaklęcia.

Szczęknęła hakownicą. Całkowite zaskoczenie osaczonej istoty. A potem smolisty ból, po którym nastąpiła nagła świadomość, że to, co niemożliwe — eksterminacja — jest tuż obok. I błyskawiczne zapadnięcie się w próżnię tego, co się nie powtórzy.

Natarcie było tak bezwzględnie brutalne, że Hecht ledwo wywlókł się z namiotu. Zlany potem trząśł się na całym ciele. Lewy nadgarstek bolał go, jakby był złamany.

Z innymi było jeszcze gorzej. Nie mieli amuletów ochronnych. Białe światło gasnących ognisk ledwo oświetlało wijących się albo powalonych mężczyzn leżących jak martwi z wywróconymi oczami. O kilka metrów od dymiącej lufy hakownicy z poczerniałej ziemi unosił się słup pary. W

samym środku leżało jajko tak rozgrzane, że emanowało czerwoną poświatą.

— Dobra robota, panowie — próbował powiedzieć Hecht. Nie udało mu się. Miał zbyt sucho w ustach. Ani też, co zrozumiał, nikt tak naprawdę nie zasługiwał na pochwały. Hakownicy na służbie leżeli powaleni i wyglądali tak, jakby niebezpieczeństwo zaskoczyło ich podczas snu.

Potwór z Ownvidiańskiego Węzła też zaatakował falą snu.

Cloven Februaren.

— Dziękuję ci, dziadku.

Teraz powinien sprawdzić, co z Pellą.

— Co? — Algres Strach pojawił się, zataczając się na boki. Wyciągnął rękę w stronę Hechta.

— Moi przodkowie mnie strzegli. — Była to podejrzenie niechaldarańska deklaracja.

— Może i tak. To to samo co w Węzle, prawda?

— Tak właśnie myślę.

— I nie był to potwór, którego przyjechaliśmy tu zabić?

— Wątpię. Mogło to być coś, co się zwie bogon. Książę Nocy. Tak mi to wcześniej wyklarowano. Dlaczego jesteś w tak dobrej kondycji? W porównaniu z innymi?

— Zasnąłem za tym głazem. Myślę, że ochronił mnie przed najgorszym.

Hecht zerknął na kamień. Nie zobaczył niczego szczególnego. Może tylko to, że przechodziła przezeń żyła rudy żelaza czy srebra. Może został zestrzelony podczas niedawnej przygody Proseka i stoczył się ze zbocza. Może skała była na tyle mocna, że sama stanowiła naturalną barierę. Nieważne.

— Sprawdźmy, jak możemy pomóc tym ludziom.

— Jak to możliwe, że tak szybko się pozbierałeś?

— Mam kilku przyjaciół w Kolegium. Zapewnili mi ochronę przeciwko temu paskudztwu. Choć wiem, że po czymś takim będę prosił o więcej. Teraz jakoś nie odczuwam specjalnej wdzięczności za ocalenie życia.

— Marudny wojak to szczęśliwy wojak.

Hecht parsknął śmiechem.

Nikt nie zginął. Nikt nie miał żadnych złamań czy ran szarpanych. Nikogo nie trzeba było zszywać. Ale sponiewierano ich serca i dusze. Lęk znalazł słaby punkt. Wiara poniosła poważne straty.

— Nie zapominajcie — rzekł Hecht. — Przeżyliśmy. Zwyciężyliśmy. Teraz to Noc powinna się bać. Noc teraz musi schodzić nam z drogi. Baranie gadanie pomogło. Odrobinę.

Hecht postanowił zostać tu jeszcze dzień, by wszyscy doszli do siebie. Miał nadzieję na jakiś sygnał od Clovena Februarena. Nie doczekał się.

Nazajutrz zarządził wymarsz z pierwszym brzaskiem.

Pokłócił się z Madoukiem. Chciał jechać na przedzie. Madouc nie mógł tego znieść. Gwardia zwyciężyła.

Hecht postanowił ulegać za każdym razem, gdy jego zamiar nie był bezpośrednio związany z zadaniem, które miał wykonać. Nie musiał jechać na czele, po prostu chciał. Zgoda załagodzi ich stosunki i łatwiej będzie mu przekonać Madouca, kiedy podjęcie ryzyka będzie miało sens.

Pella spoglądał na niego podejrzliwie. Nie pytał o nic. Hecht miał wrażenie, że chłopak zrozumiał. Był bystry i inteligentny. Szkoda tylko, że Madouc był równie inteligentny i jeszcze bystrzejszy.

Karawana poruszała się wolno. Zbrojni na czele jakoś nie mieli ochoty natknąć się na to, co przegapili podróżni z południa. Ich dowódca często zmieniał ludzi na szpicie.

Przełęcz Remyne poszerzyła się nieco. Po obu stronach rozpościerały się zbocza porośnięte chaszczami oraz lichowatą wiecznie zieloną roślinnością wśród głazów, które stoczyły się tu z góry. Gdy wschodzące słońce padło na szczyty, szybko z pomarańczowych zrobiły się zbyt jaskrawobiałe, by móc na nie patrzeć.

Strumień dudnił przy szlaku, niosąc topniejący lód. Powietrze zrobiło się rzadsze i chłodniejsze.

Hecht zawrócił do taborów i dołączył do Po Prostu Joe oraz Żeliwa. Nie mówił wiele. Joe też nie. Żeliwo był zatopiony we własnych myślach. Hecht nie potrafił wytłumaczyć swojej potrzeby przebywania z Joe.

Po Prostu Joe był jednym z jego najstarszych znajomych po tej stronie Matki Morza. Znajomość z Pinkusem Ghortem i Bo Biogną datuje się na ten sam okres, a z Redfearnem Bechterem nieco później. Jedyne Annę Mozillę znał dłużej.

Joe nie miał żadnych ukrytych celów. Przyjmował każdy dzień taki, jaki był. Zawsze ułatwiał zwierzętom życie. Hecht mógł się odprężyć w jego

towarzystwie. Nie musiał mu niczego tłumaczyć, niczego się domyślać ani planować; mógł być jedynie znajomym Joe.

Joe był w jednym ze swych towarzyskich nastrojów.

— Bardzo się spieszysz, Pipe? — zapytał w kwadrans po tym, jak Hecht do niego dołączył.

— Zawsze. To jednak nie jest istotne. Jak sądzę.

— Wciąż patrzę na tę rzekę i myślę sobie, że powinny w niej pływać tłuste pstrągi. W jednej z tych zatoczek, gdzie rzeka odpoczywa sobie chwilę, żeby za moment znów mszyć pędem.

— Masz ochotę na smażoną rybę?

— Minęło już trochę czasu, odkąd złapałem dobrą rybkę z zimnej wody. Lepsze takie niż te, co pływają na nizinach.

— A kiedy najlepiej łowić?

— Po południu. Gdy już słońce ogrzeje wodę i robaki wychodzą. Wczesny wieczór jest jeszcze lepszy, bo wtedy jest więcej robaków.

— Jak zbliżymy się do dobrego miejsca na połów, to krzycz. Ci na szpicy najwyraźniej potrzebują przerwy.

— Pietrają się, co?

— Tutejszy potwór ma paskudną reputację, od dawna. Teraz jednak pewnie będziemy mieli problem, żeby go znaleźć.

— To to nie był on wtedy, w nocy? Ten, co tak skotłował konie?

— Skotłował nas wszystkich. To był jeden z tych bogonów, takich jak te, które książe Doneto przegnał z Ownvidiańskiego Węzła.

— Hmm. — Joe znów się zamknął w sobie i rozluźnił. Jakies pół godziny później ocknął się, by pogawędzić o sposobach zredukowania przypadków ochwacenia się wśród armijnych ogierów.

Niewielka grupa sunąca na północ nie wiedziała nic na temat potwora, ale poinformowała gwardzistów, że cała Firaldia wstrzymuje oddech, mówiąc o stanie zdrowia Bonifacego. Stan Patriarchy najpierw poprawiał się przez kilka dni, po czym nastąpił nawrót choroby. W czasach świetności Bonifacy VII wykonywał swoją pracę z wielkim zapamiętaniem. Doprowadził do przełomu w stosunkach ze Wschodnim Kościołem. Niewiele brakowało do załagodzenia sytuacji w rozmaitych falcjach w Connec. Pokój panujący w tych prowincjach w dawnych czasach miał być lada dzień przywrócony.

Gdyby tylko Bonifacy miał wystarczająco dużo czasu.

Już to powinno wywołać wylęg trucicieli, jak uważał Hecht. Zbyt wielu ludzi w łonie Kościoła i wewnątrz Arnhandu zbyt wiele postawiło na Skraj Connec. Wszyscy to podli złodzieje, z wyjątkiem kilku fanatyków.

Kolumna stanęła. Kait Rhuk i ludzie na jej czele sformowali tyralierę, szykując się na atak. Hecht popędził naprzód. Jego gwardia zbliżyła się do niego, ale go nie zatrzymała. Tak było trzeba.

— Rhuk, co my tu mamy?

— Ranny na wprost. Może już nie dycha.

Rhuk obstawił wszystko ludźmi, którzy ustawili się w minimalnej odległości dziesięciu metrów od siebie. Jeden hakowniczy usadził się tak, żeby mógł wystrzelić do czegoś, co mogło wyleźć zza jednej tylko przeszkody nieopodal.

— Dycha — rzucił Rhuk. — Teraz widzę.

Mężczyzna leżał wśród kamieni na wznak, tak jakby spadł z nieba. Był słusznej postury i zakrywały go wyłącznie lekko spłowiałe rudawe włosy. Gęsty kołtun okalający jego głowę nosił ślady siwizny. Widać, że mężczyzna nie odżywiał się zbyt dobrze.

— Wygląda na to, że ktoś go nieźle podrapał — zauważył Madouc. — Nigdy nie widziałem tylu szram.

— No i nie ma prawej dłoni — dodał Rhuk. — Mam go ocucić?

— Nie. Niech nikt nie wchodzi na linię ognia.

Wszyscy spoglądali w kierunku zarośli na stoku. Czy leżał tu na przynętę?

— Widziałem go już wcześniej — powiedział Hecht. — Próbuję sobie przypomnieć gdzie.

Wspomnienia nadciągnęły całymi stadami. Nie miał zamiaru ich do siebie dopuszczać.

— Pod murami al-Khazen. To był jeden z bezdusznych.

Ich mordercza walka z Ordnan oraz Wybrańcami Zarzniętego rzuciła na niego klątwę wyniesienia do rangi Delegatury.

— Wycelujcie w niego obie hakownice. Niech każdy ma broń w pogotowiu.

— Panie?

— To jest nasz cel. Ten człowiek stał się potworem.

Wywołało to spore zamieszanie. Dało też impuls do pospiesznych przygotowań.

— Daj rozkaz, panie — ponaglił Rhuk z wiechciem w dłoni.

— Jeszcze nie. Dopiero gdy zrobi coś groźnego.

To wymagało bliższych oględzin. Hecht miał świadomość, że nie było przypadku, by jakiś bezduszny wrócił do ludzkiej postaci. Musi być jakiś powód.

— Pella, mam dla ciebie zadanie.

— Tak, tato.

— Zbierz trochę kamyków i postaraj się nie trafić go w głowę.

— Dobra.

— Rhuk i pozostali, nie strzelać bez mojego rozkazu.

Pella rzucił. Nie chybił. Ciało leżące nieopodal drgnęło.

Gdzie się podział Dziewiąty Nieznany?

Włochaty mężczyzna wzdrygnął się. Jego naga skóra nosiła świeże ślady otarć, z których kilka było sporych i z całą pewnością bolesnych. Uniósł się do pozycji siedzącej i znów wzdrygnął, po czym oparł dłonie i brodę na kolanach.

— No i co teraz? — zapytał Kait Rhuk.

— Poczekaj. Pella, dość już.

Długo czekali. W końcu nagi mężczyzna wzdrygnął się po raz kolejny, uniósł głowę i rozejrzał się dookoła kaprawymi ślepiami. Wolno uniósł dłoń, widząc pokaz militarnej siły.

— Niech nikt nie spuszcza go z oka — rozkazał Hecht. — Nie bierzcie niczego za dobrą monetę. — Do nagiego zaś warknął: — Mów.

Hecht nie był w stanie zrozumieć jego odpowiedzi. Nie zbliżył się do mężczyzny. Bezduszny został stworzony w jednym tylko celu — by go zabić. Być może nie był nawet w stanie zrezygnować swej misji.

— Naczelnny Wodzu? — Rhuk czekał na rozkazy. Kolejne.

— Czekać.

— Głodny — wykrztusił bezduszny.

Tyle Hecht zrozumiał.

— Rzućcie mu podpłomyk. I suchą kiełbasę. No już. Nie stawać na linii ognia.

Algres Strach zgłosił się na ochotnika. Zbliżył się do nagiego od szczytu, unikając wejścia na linię strzału hakownic. Rzucił podpłomyk i kiełbasę tak, że spadły na kolana mężczyzny.

Bezdzusny zjadł wszystko w wielkim pośpiechu. Z południa nadeszła jakaś grupa. Trzeba ich było zdrowo pogonić. Wieści, jakie przynieśli, nie były zachęcające. Pięć Rodów Brothe ruszyło całą swą siłą, by nie dopuścić do objęcia schedy przez Bellicose'a. Mogli się starać zastawić drogę obcym księżętom do pałacu Chiaro, by nie zdołali oddać głosu w kolejnej patriarchalnej elekcji.

Te wieści rozwścieczyły Hechta. Chciał pędzić na złamanie karku do Miasta Matki. Idioci! Czy nie umieją już postępować honorowo?! Czy nie mogą dotrzymywać zawartych układów?

Najpierw jednak należało zbadać tę sytuację.

Mógł po prostu rozwalić bezdzusnego. W tej postaci rozszarpałby go na sztuki. Ale musiał istnieć jakiś powód zmiany jego kształtu.

— Może to trochę potrwać. Ktoś zna tę przełęcz? Czy gdzieś powyżej jest dobre miejsce na obozowisko? Ja sobie nie przypominam.

— Jest taka bagnista polanka jakieś pięć kilometrów stąd — odezwał się Algres Strach. — To był teren obozowiska, zanim pojawił się potwór.

F

— Musimy go jakoś odziać — stwierdził Hecht. — Kupię ubranie od kogoś, kto będzie chciał mi sprzedać. Coś, co będzie pasować, Carolans.

Bezdzusny był wielki. Żołnierz Carolans sięgałby mu ledwo do piersi.

Odzianie nagiego stanowiło nie lada wyzwanie ze względu na rozmiar oraz to, że niewielu zbrojnych zabierało ze sobą dodatkowe ciuchy.

Mężczyzna pożarł wszystko do ostatniego okruszka. Zeszło mu zsinienie. Usiadł na podwiniętych nogach. Sam się ubrał.

Poddał się, kiedy założono mu srebro na szyję, a nadgarstki spętano mu z tyłu, łącząc kostki skórzanym powrozem.

— Jest jakiś powód, dla którego to robięś? — zapytał Hecht, zanim ruszyli. — Poza tym, żeby mnie zamordować?

— Muszę mówić — mruknął więzień.

Ale to wszystko, co powiedział tego dnia.

Nie mieli żadnych okowów na nogi ani dyb. Nie przewidzieli czegoś takiego. Więzień musiał obyć się bez pęt podczas drogi. W obozie jego prześladowcy przywiązali linę do pala wbitego głęboko w ziemię, drugi jej koniec zaś do jego lewej kostki. Inną liną obwiązano go w pasie.

Hakownica tkwiła wycelowana prosto w niego — nawet kiedy zaczął padać deszcz.

Naczelnny Wódz kazał postawić namiot nad strażnikiem z hakownicą.

Więzień pozostał na świeżym powietrzu.

Kiedy już rozbito obóz, wystawiono strażę, nakarmiono ludzi, oporzędzono zwierzęta, Hecht poszedł porozmawiać z gościem. Jego gwardziści nie opuszczali go na krok, uzbrojeni w czarnoprochową broń gotową do użycia przeciwko Nocy.

Hecht przyniósł zydel podróżny. Usadowił się poza linią ognia.

— Jestem gotów rozmawiać.

Zaczęło mżyć.

Więzień odepchnął opróżnione naczynie na odległość ramion. Nikt nie będzie stawał na linii ognia, by je zabrać.

— To może chwilę potrwać. Przemiana wysała ze mnie wszystkie siły, jakie jeszcze w sobie miałem. Zapomniałem, jak to jest być człowiekiem.

Hecht był zaskoczony. Mężczyzna wysławiał się poprawnie, ale miał straszny akcent.

— Wiedziałeś, że nadciągamy.

— Tak. I dlaczego. Dla Nocy nie ma żadnych tajemnic. Ale Delegatury nie pojmują ludzkiego upływu czasu. Gdyby tak było, Boży Zabójca by się nigdy nie narodził. Jednak dopóki nie zaczął grasować, Noc nie była pewna, że to robi.

Była to teoria wysunięta uprzednio przez Muniera Delariego i Clovena Februarena.

— Skoro Noc zna przyszłość, czemu stara się nią pokierować?

— Istnieje nieskończenie duża liczba przyszłości. Niektóre elementy są nie do uniknięcia. Ale zarazem niezliczone możliwości można wyeliminować.

Hecht słuchał w milczeniu. Więzień wolał czekać. Kiepska pogoda nie robiła na nim najmniejszego wrażenia. Oparł się i otworzył usta, by nałapać padających z góry kropli.

Nie dano mu nic do picia.

— Nie mogę pozbyć się natrętnej myśli, że jesteś stanowczo zbyt elokwentny jak na Asgrimmura Grimmsona z Andoray — stwierdził Hecht.

— Svavar cierpiał za swego brata i za swych bogów. Niczym miecz wkładany raz za razem do paleniska, a potem wykuwany na twardą stal na kowadle. Większość tych Asgrimmurów pochodzi od bogów i gromadzi się ich niechcianych po śmierci. Ten Asgrimmur widział wiele rzeczy, których istnienia tamten Asgrimmur nawet nie podejrzewał.

— Skoro Noc nie ma poczucia czasu, to jak ci się udało wpaść w moje ręce we właściwym momencie?

— Nie tak znów daleko odszedłem od człowieczeństwa. — Mówienie sprawiało mu trudność. Ten człowiek nigdy nie był erudytą, a co dopiero myślicielem. Ale kropla wody draży z czasem głębokie kaniony.

— Przejdźmy do sedna. Dlaczego dałeś się schwytać?

— Kharoulke Wędrowiec Wiatru. Istnieje zbyt wiele potencjalnych wersji przyszłości i przez to Studnie Mocy wciąż wysychają. Ziemia się ochładza. Wędrowiec Wiatru rośnie w siłę. Mógłby stać się potężniejszy niż kiedyś. Nie ma Delegatur zdolnych równać się z tym, w co się może zmienić.

— Jak to możliwe? — To naprawdę było westchnienie niedowierzania. Sam Bóg może zmiażdżyć diabła.

Ale Bóg chaldaran, praman, devedian, Dainshaukinów był Bogiem podzielonym na tysiące miejsc, w których oddawano Mu hołd. Niektórzy uważali nawet, że nie jest już w stanie stać się jednym.

— Lód będzie się powiększał. Pewnego dnia żadna moc nie sprosta Kharoulke. On już odnalazł dusze gotowe wesprzeć jego knowania za lodem. Bogowie krain gorących osłabną, gdy ich wyznawcy wymrą, a ich kościoły zmiażdży postępujący lód.

— A obchodzi cię dlaczego?

— Powrót Wędrowca Wiatru to głównie moja wina. Wydarzenia, które doprowadziły do stworzenia obecnego mnie, napełniły mnie szaleńczą furią. To pchnęło mnie do pomsty na bogach, którzy uczynili bezdusznym mnie i mojego brata i wymordowali resztę naszego klanu.

Hecht pokiwał głową.

— Zakleszczyłeś ich wewnątrz wszechświata w dziedzinie bogów, którą stworzyli dla siebie. To z kolei uwolniło Wędrowca Wiatru z okowów, które od tysiącleci trzymały go w niewoli.

— Tak. Choć Kharoulke nie jest jedyny. On po prostu przebudził się pierwszy. Zmusza inne Delegatury swych czasów do uległości jego rozkazom.

— Dlaczego trafiłeś do mnie?

— Jesteś, kim jesteś. Jesteś, czym jesteś. Jesteś jedynym remedium na błąd, który popełniłem. Straszniem spragniony.

To ostatnie zdanie zabrzmiało, jakby na okamgnienie do rozmowy włączyła się inna osoba.

Hecht kazał przynieść wiadro wody.

Po chwili więzień powiedział:

— Nie ma sposobu, bym cię w tym wszystkim utwierdził. Nie możesz mi ufać, z natury. Choć daję ci słowo, że lekcja wyniesiona z zasadzki, kiedy byłem na skraju śmierci, nie została zaprzepaszczone. Ten strzał i to straszliwe srebro wypaliły we mnie szaleństwo. Od tamtej chwili robiłem tylko to, co musiałem, by przetrwać i dojść do siebie. Żaden podróżny nie zginął przeze mnie.

Hecht przyglądał mu się w zamyśleniu. Mówił jak wykształcony człowiek z dobrego rodu, a nie pirat wyrwany siłą ze swych czasów przez żałośnię intryganckich, szalonych bogów.

— Jak można ci pomóc?

— Muszę wrócić na północ. Muszę na nowo odkryć drogę do Dziedziny Bogów. Muszę ich uwolnić. W pewien sposób mnie to oczyści. Kiedy zostaną oswobodzeni, nie będą mieli wyjścia... będą musieli walczyć z Wędrowcem Wiatru. Nie da im wyboru. Uwięzili go o całe wieki wcześniej niż ja ich.

— Trzeba się nad tym mocno zastanowić. A będzie tego jeszcze więcej.

— To prawda. Zajmij się swoimi sprawami. Nie ma pośpiechu. Wędrowiec Wiatru wciąż jest słaby. I tak będzie przez lata. Choć słabość to kwestia względna. A będzie rósł w siłę wraz z postępem lodu. Pewnego dnia stanie się na tyle silny, że sięgnie poza lód. Kiedy to nastąpi, dni tego świata będą policzone.

Jako dobry pramanin i dobry chaldaranin Piper Hecht usłyszał niewiele z tego, co można było ogarnąć wiarą i uprzedzeniami wynikającymi z jego doświadczeń.

— Nie musisz mi ufać. Nie spodziewam się, że mi zaufasz. Ale będę ci towarzyszył, krzywdy nie zrobię, w drodze do Brothe. Tam mogą mnie przebadać ci, którzy są w stanie ustalić prawdę.

— Możesz podróżować z takimi ranami?

— Szybko się na mnie goi.

Ale nie na tyle szybko, by odrosła brakująca dłoń.

— O co tu w tym wszystkim chodzi? — zapytał Madouc, kiedy jego pryncypał oddalił się na bezpieczną odległość od więźnia.

— Ma wiadomość dla naszych mistrzów. Ze strony Nocy.

— Co takiego?

— Rejteruje. Odchodzi od Nocy. Z powodu grozy, która nadejdzie. Jeśli nie ostrzeżemy wszystkich i się nie przygotujemy.

— Co takiego? — Tym razem w głosie Madouca brzmiało niedowierzenie.

— Mówię ci to, co słyszałem. Namówił mnie, żeby zabrać go do Kolegium na badanie.

— Jest potworem, który nawiedzał przełęcz Remayne?

— I inne obszary na południowych stokach Jagos. Tak. Choć siedział cicho, odkąd Prosek go pokancerował.

Potwór miał rację. Naprawdę szybko dochodził do siebie. I kiedy był już w pełni sił, starał się być pomocny. Ale nikt mu nie ufał. W ogóle. Nawet Po Prostu Joe, który nie był zdolny dostrzec zła w innej istocie. Żeliwo nie chciał mieć z nim nic wspólnego. A pozostałe zwierzęta poszły w jego ślady. Asgrimmur przeszedł na piechotę każdy metr szlaku do Brothe.

Kazał na siebie wołać Asgrimmur. Nie chciał być Svavarem, choć mówiono tak na niego od dzieciństwa.

Asgrimmur Grimmsson musiał przynajmniej dokonać czegoś, co zyskało aprobatę starszych z Snaefells. Dwa wieki po tym, jak ostatni z nich przekroczył góry.

Droga na południe biegła przez liczne hrabstwa, księstwa, miasta—państwa i miniaturowe królestwa. Niektóre z nich należały do Patriarchatu. Jeszcze więcej podlegało Imperium. Najbardziej odważne określały się mianem wolnych republik. Weterani krucjat calzirskiej i connekiańskiej założyli patriarsze garnizony. Hecht zabierał ich załogi po drodze.

Trzy tysiące zbrojnych rozbiło obóz na wzgórzu na północny wschód od Brothe. Oddziały miały surowy zakaz niszczenia winnic, gajów oliwnych, gospodarstw warzywnych, nagabywania rolników oraz ich córek. Nie wolno było popełniać wykroczeń wobec przedstawicieli ludów Brothen wszystkich klas oraz nie wolno było dopuszczać do wywoływania niepokojów społecznych.

Gwardziści u bram miasta mieli rozkaz nie wpuszczać sił patriarchalnych. Nie cechowały ich jednakowoż tendencje samobójcze. Kiedy Pinkus Ghort rozciągnie ich później nad rozżarzonymi węglami, muszą być w dobrym zdrowiu, by w pełni docenić siłę jego wściekłości.

Hecht udał się wprost do Castella dollsas Pontellas. Forteca Małego Mostu była komandorią Bractwa Wojny w Brothe. Waleczni zakonnicy byli w zażyłych stosunkach z Naczelnym Wodzem. Na razie.

Hechtowi towarzyszył Asgrimmur. Kiedy pojawiły się wielkie posągi i pałace wzdłuż Teragi, Delegatura rzekła:

— Pod miastem kryje się jakiś okrutnik. Coś złego, co karmi się strachem.

— Tato, a wydawało mi się, że ksiązę Delari powiedział, że się tego pozbył — odezwał się Pella.

— Mówił tak, prawda?

— Mówił, że się pozbył.

— Może się mylił.

— Kiedy zobaczymy mamę? — Pella wcale nie udawał, że manipuluje tymi, którzy go przygarnęli.

Hecht nie miał mu tego za złe.

— Wkrótce. Najpierw muszę się zobaczyć z pułkownikiem Smolensem. Muszę umieścić naszego nowego przyjaciela tam, gdzie nie będzie mi straszył załogi.

Problem polegał na tym, że jeśli ktokolwiek powiąże tego człowieka z ludem północy, który wyrznął pół Brothe podczas przygotowań do krucjaty calzirskiej, będzie źle. Szczególnie Bractwo Wojny chowało głęboką do nich urazę.

— Presten i Worki mogą cię zabrać do mamy, jak już nie możesz wytrzymać. Ale kiedy tam dotrzesz, zostaniesz w domu. Nie mogą wciąż cię niańczyć. Oni też mają rodziny, z którymi chcą się spotkać.

— Naprawdę? Nie mogę się doczekać spotkania z Vali i Lilą.

— Idź. Ale pamiętaj, nie opuszczasz domu. Nie wolno ci!

— Rozumiem, tato, rozumiem.

4

Stranglhorm, w Gurecie, w cieniu lodu

Stranglhorm, siedziba Mistrza Zakonu Graala od dwóch stuleci, był rozległą fortecą wielkości małego miasta, która nigdy nie stanęła w obliczu poważnego zagrożenia, choć oblegano ją kilkanaście razy. Fortyfikacje powiększały się przez dziesięciolecia. Rozrost zakończył się dopiero wtedy, gdy Rycerze Graala poszerzyli granice wiary tak daleko, że trzeba było budować niezliczone twierdze pomocnicze, by strzec dróg, świątyń i zapewnić ochronę miejscowej ludności. Poganie nazywali swe utracone terytoria Ziemią Zamków.

Stranglhorm trwał przycupnięty na morenie, pochylając się nad zakolem rzeki Turuel, która wpadała od razu do Płytkiego Morza. Niegdyś nabrzeża tętniły życiem. Miasto — Guretha — rozrosło się wzdłuż brzegu rzeki, a następnie sięgnęło na drugi, spinając oba przysadzistymi kamiennymi mostami. Ale obecnie konało w szybkim tempie.

Płytkie Morze zrobiło się jeszcze bardziej płytkie. Wielkie Mokradła wyschły lub zamarły. Z powodu cofnięcia się wody ukazały się nowe połacie gruntu. Nawigacja stała się niemożliwa z wyjątkiem rzadkich okresów sprzyjających pływów. Zbudowano okręty nowego rodzaju. Szerokie, płaskie i mocne, by mogły wytrzymać utknięcie na mieliźnie. Kiedy wody nie były zamarznęte.

Północne zatoki Płytkiego Morza już nie rozmarzały. Na wschód od cieśniny Ormo zniknęły osady ludzi morza. W gruncie rzeczy ruch morski całkowicie zamierał. Jedynie kilka nielicznych kolonii, bardzo

przetrzebionych, przetrwało w Morzu Andorayańskim wokół podwodnych Studni Mocy, z których wciąż wolno sączyła się treść.

Większość Andoray znajdowała się pod lodem. Tak jak Północny Friesland. Istniało zagrożenie, że zimą brzegi nad cieśniną Ormo zostaną spięte wielkimi, łukowatymi mostami z lodu.

Prądy były jednak zbyt silne, by sama zatoka mogła zamarznąć. Ich moc mogła okiełznać tylko dalszy znaczny spadek poziomu morza.

Odporna ludność chwytła się każdego powiewu ciepła ufna, że Bóg przemieni pory roku. Że Studnie Mocy znów będą emanować czystą energią. Tak jak to opisywano w legendach.

Chaldaranie z Duarnenii oraz księstwa na wschód od Płytkiego Morza musiały wycofać się do Gurethy i innych nadbrzeżnych miast założonych przez Zakon Graala. Wielu ciągnęło w desperacji dalej. Szli brzegiem rzeki Shirstula do południowych krain, gdzie ze względu na ich skłonność do uporu bynajmniej nie witano ich z otwartymi ramionami. Sprytni królowie i księżęta wykorzystywali tych ludzi do zagospodarowywania regionów opuszczonych z powodu zarazy z końca Starego Imperium, kiedy to populacja zmniejszyła się o ponad połowę.

Z lodowego pustkowia przybyła do Gurethy dziwna, niewielka armia. Byli to szczupli ludzie, którzy wplatali sobie kości i czaszki we włosy, niosąc proporce z wyprawionej ludzkiej skóry i totemy z ludzkich głów i kości. Sami wyglądali na wpół martwych. Nie było wśród nich osób starszych. Sprowadzili swoje kobiety i dzieci na samą krawędź walki. Mieli puste, niewidzące oczy. Wrogom przypominali starożytnych *draugunów*, martwych, którzy powstali przeciwko żyjącym. Nie mówili nic. Zaatakowali. Zabierali żywność, kiedy ją znaleźli.

Guretha stawiała opór. Oczywiście. Rycerze Graala walczyli. Dokonali wielkiej rzezi. Ale za każdym razem, kiedy obrona zaczęła się umacniać, wkrótce pojawiało się coś, czemu nie można się było oprzeć. Istota miała ludzki kształt, lecz siedem palców u lewej ręki i sześć u prawej. Była to obmierzła postać o jasnozielonej skórze z brązowymi liszajami. Skóra sprawiała wrażenie wypolerowanej. Kreatura ta miała bezwzględne kocie ślepią i śmierdziała starą śmiercią świeżo wykopaną spod lodu. Posługiwała się przeklętym dwuręcznym mieczem, bardzo starym, bo wykonano go jeszcze z brązu. Choć to stosunkowo miękki metal, ostrze wchodziło jak w

masło w najprzedniejszą współczesną stal. Przebijało najgrubsze tarcze i pancerze.

Rycerze Graala byli weteranami długotrwałych wojen. Nie tracili czasu na płonne nadzieje i przegrane sprawy. Dwa starcia z maszkara utwierdziły ich w przekonaniu, że nie są w stanie zmóc Krepy Nocy, Wybranego, w walce wręcz.

Przestali walczyć. Guretheńcy szybko wycofali się do Stranglhornu. Laggardowie uciekli mostami na południowy brzeg Turuel. Miejska milicja trzymała straż przy mostach. Najeźdźcy starali się zejść ich z flanki, przechodząc na drugą stronę po zagarniętych łodziach.

Wybraniec Krepa Nocy podążył za Rycerzami Graala do ich fortecy. Łucznicy i kusznicy trzymali towarzyszących mu dzikusów na dystans. Była to ciżba, a nie regularna armia. Co ich pchało naprzód? Głodowali, z rzadka tylko pozwalając sobie, aby łupy czy spyża opóźniły ich marsz.

Rycerze Graala wycofali się przez wielki zwodzony most nad suchą fosą przed główną bramą fortecy. Machiny wojenne na murach zasypały atakujących pociskami. Wybraniec Krepa Nocy sam przyjął kilka z nich. Dzikusy wyrwały z niego sterczące drzewce. Maszkaron zaś niewzruszony ruszył naprzód.

Wewnątrz bramy rozległy się dzikie, nabrzmiałe paniką krzyki. Most zwodzony podniósł się na metr, kiedy zakleszczyły się wspierające go łańcuchy. Na dodatek zewnętrzna krata opadła o dwa metry i ani drgnęła.

Dziesięciolecia minęły, odkąd ostatni raz nakazano maszynerii wykonać jej powinność, a od tamtej pory tylko tkwiła w bramie i rdzewiała.

Napastnicy wykrzykiwali słowa pochwalne pod adresem Wędrowca Wiatru. Chcieli przetoczyć się przez most zwodzony. Nie wyszli jednak przed Wybranego, Krepę Nocy.

Wybrany, Krepa Nocy, miał poprowadzić natarcie.

Dziwadło stanęło na moście zwodzonym i przeszło na drugą stronę, szczerząc ostre zębiska w triumfalnym grymasie. Za opuszczoną do połowy kratą pojawił się jakiś Rycerz Graala w pełnym bojowym rynsztunku na bojowym ogierze. Ryknął, nakazując podniesienie kraty, by mógł kopią roznieść maszkara w pył. Ale krata też nie chciała się podnieść. Rycerz Graala zawrócił, klnąc się na części ciała Założycieli, że rozłoży poczwarę, kiedy tylko pojawi się na dziedzińcu.

Wybraniec Krepa Nocy nacierał niczym pewna zguba. Dziś nastąpi kres Stranglhormu, Gurethy i tych słabeuszy czczących miękkiego południowego boga.

Wybraniec Krepa Nocy pochylił się pod kratą i przeszedł na drugą stronę z zaczarowanym mieczem, smakując ciemność w pasażu.

W jednej chwili rozległ się ryk niczym sto piorunów srogiej burzy. Jasny, wyciskający łzy z oczu kłęb dymu wypełził z wnętrza bramy. Dzicy padali dziesiątkami rozszarpywani na krwawe ochłapy.

Rycerze Graala wraz z cizbą wypadli spod kraty, jakby cudownie ozdrowieli, potem przez most, który nagle opadł na miejsce. Zaczęła się krwawa jatka. Czy to mężczyzna, chłopiec, matka czy dziecko — nikomu nie okazywano litości. Poganie też jej nie znali. Kilku uciekło. Jedynie chłopak o imieniu Boogha przeżył, by zanieść wieści o niewyjaśnionej porażce. I zmarł okrutną śmiercią, bo zawiódł Wędrowca Wiatru.

5

Lucidia, Tel Moussa: Bolesna prawda

Nassim Alizarin spojrział na gościa nad blatem niskiego stołu. Mógł go uraczyć tylko takim poczęstunkiem. Ta smutna klęska mogła powiedzieć temu chłopcu zbyt wiele. Da mu coś, co da radę zabrać z sobą.

Góra zachowywał wystudiowany spokój. Jego wiek i dawna pozycja nie ułatwiały mu przyjęcia zwierzchnictwa szesnastoletniego chłopaka. Urodzenie niewiele znaczyło wśród sha-lugów. Niewolni wojownicy zaczęli jako równi sobie i zyskiwali pozycję na podstawie dokonanych czynów. Ale to był Azim al-Adil ed-Din, stryjeczny wnuk Indali al-Sul Halaladina, z którego łaski Góra korzystał. Nie tak znów skrytą ambicją wielkiego Indali było zjednoczenie wszystkich al-Prama w jeden kaifat, którego działania mogłyby się w pełni skoncentrować na wyzwoleniu Ziemi Świętej.

Po wstępnej wymianie uprzejmości należało przejść do sedna. Ale chłopiec zaprezentował obyczajność przewyższającą jego wiek.

— Arnhanderowie z Gherig. Jak się zachowują?

— Obecny zestaw to piraci, a nie święci wojownicy. Wymuszają bakszisz od każdej karawany przybywającej z Dreangeru czy z nad wybrzeża. I nazywają to podatkiem.

Chłopak się roześmiał.

— My robimy to samo. I pobieramy pogłówne od każdego Chaldaranina tylko dlatego, że jest Chaldaraninem.

Nassim nie zrozumiał. Miał ochotę powiedzieć „No i co z tego?”. Taka była wola boża.

— Wspomnisz moje słowa. Pewnego dnia Rogert du Tancret przesadzi. Nie ma szacunku ani dla Boga, ani dla al-Pramy.

Mówiąc to, Nassim nie powiedział niczego, czego nie szeptaliby między sobą wielmoże krzyżowców.

Rogert du Tancret był potężnym wojownikiem, lecz wiele się nie zastanawiał nad konsekwencjami swoich działań. Był panem najważniejszego bastionu przygranicznego, w stałym kontakcie z wrogami swojej religii. Pozbawiony krztyny dyplomacji, nie był odpowiednim człowiekiem, by zajmować tak delikatną placówkę. Wszyscy krzyżowcy byli co do tego zgodni.

Nie mogli jednak nic zrobić, by wyciągnąć Rogerta z tego tygła. Nie miało znaczenia, czy jest niebezpiecznym głupcem, czy też śliniącym się idiotą. Nie można było mu odmówić jego patrymonium. A do tego łączyły go więzy krwi z większością wielkich rodów państw krzyżowych oraz wielu w Arnhandzie. Nie mówiąc o tym, że cieszył się wielką sympatią Bractwa Wojny, gdyż prawa do Gherig i jego terytoriów po śmierci Rogerta miały przejść na walecznych mnichów. Na mocy prawa oczywiście, w sposób, w jaki je postrzegali. Bractwo wybrało lokalizację Gherig, zaprojektowało fortecę i dało schwytyanych rzemieślników, by ją wybudowali.

Nassim otrząsnął się z zamyślenia. Rogert w końcu dostanie co jego. Tak zostało zapisane. Musiał się zająć tym szczeniakiem z klanu pana wojny.

— Nie wygląda, żeby Niewierny wkrótce miał nam jakoś szczególnie zagrozić — powiedział chłopak. — Agenci mego stryjecznego dziadka w Rhûn i na zachodzie mówią, że Patriarchat jest zbyt niestabilny i panuje tam za duże zamieszanie, by mogli coś wywinąć. A Imperium Graala rządzi kobieta.

— W takim razie to najlepszy moment, by wypchnąć intruza z Ziemi Świętej.

— To prawda. Na zbity pysk. Ale Bóg w swej nieskończonej łaskawości może poddać nas innemu sprawdzianowi wiary.

— Hu'n-tai At. — Góra słyszał, że te stepowe ludy nie zadowolili się zniszczeniem, jakiego dokonali w Cesarstwie Ghargarliceańskim. Ostatnio wiele placówek kaifatu ucierpiało na skutek ich działań. Kilka oddziałów zwiadowczych przetoczyło się przez tereny na północnym wschodzie. Góry i pustynie w tamtym regionie były o wiele lepszą naturalną zaporą niż

miejscowe armie. Ale teraz Hu'n-tai At mogli zaatakować bezpośrednio na zachód z terytorium podbitej Ghargarlicei.

— Tsistimed Złoty. Nadciągnie, to pewne. I nikt go nie jest w stanie powstrzymać, jeśli postanowi dodać jakieś miasto do swego imperium.

Hu'n-tai At nie „dodawali” miast do swego imperium. Plądrowali je? potem niszczyli, zostawiając za sobą jedynie popiół, ruiny i powszechny głód.

— Nomadzi cierpią z powodu zmieniającego się klimatu — dodał chłopak. — Śnieg i lód każdego roku zabiera im coraz więcej pastwisk.

Wszyscy to wiedzą.

— To słyszałem przez całe swoje życie. Kilka lat temu zaskoczono duży oddział zwiadowczy Hu'n-tai At w Ziemi Świętej. Nieopodal Lasu Estery. I krzyżowcy, Lucidianie i Dreangerczycy, połączyli siły, by ich wytłuc.

Chłopak skłonił głowę.

— Pewnego dnia będzie to rekonesans w dużej sile. Tsistimed rozważa wysłanie jednego ze swych wnuków z dziesięcioma tysiącami weteranów.

Nassim był pod wrażeniem skuteczności wywiadu pana wojny. I to powiedział.

— Wśród uczestników karawan podróżujących na wschód jest wielu Wiernych. Rozmawiają z Wiernymi wśród Hu'n-tai At. A Tsistimed wcale nie ukrywa swych ambicji. Nie ma znaczenia, czy wrogowie znają jego plany. I tak ich zmiażdży.

Góra znał ten typ arogancji bardzo dobrze. Jego niegdysiejszy przyjaciel Gordimer Lew miał jej w nadmiarze.

Ciekawe byłoby zobaczyć, jak Lew i Złoty biorą się za łby. Choć teraz już obaj lata świetności mają za sobą.

Największą grozą wschodu stał się fotelowy wojownik, jak mówili. Należał do starożytnego świata.

Żaden żyjący nie pamięta czasów, w których Tsistimed Złoty i Hu'n-tai At nie byli burzą przetaczającą się na północno-wschodnim horyzoncie. Żaden żyjący nie jest w stanie przypomnieć sobie okresu, kiedy dowódcy i królowie byli bardziej zajęci lokalnymi utarczkami niż przygotowaniami do nadchodzącej rzezi.

— A co nam do tego? — zapytał Nassim.

— Tel Moussa zapomina, że armie idące szlakami zwykle maszerowały tam i z powrotem między Dreangerem i ziemiami międzyrzecza. Armie idą

tam, gdzie przecinają się szlaki północne i południowe na tej drodze na północny zachód od Gherig, na skraju Równiny Sądu przy Studni Wspomnień.

Nassim przytaknął. Jako młokos poznał weteranów Bitwy Czterech Armii, tej, którą Arnhandowie nazywali Bitwą o Studnię Wspomnień. Bolesne reminiscencje tego wydarzenia wciąż zatruwały stosunki między Lucidią i Dreangerem.

— Ważne miejsce. Krzyżowcy bronili go, gdy wpadli w pułapkę zastawioną przez twego znamienitego krewnego.

— A armia Hu'n-tai At pójdzie tradycyjnym szlakiem.

— Każda armia musi podążać szlakiem wody.

— No właśnie. I z powodu wody i trawy mój znamienity krewny, jak go nazwałeś, przekonał kaifa, by wycofał się z Mezket i Begshtaru do Shamramdi. Równiny wokół Shamramdi porasta bujna trawa. Wojny przyszłości będą wymagały użycia o wiele większej liczby koni, niż mamy dzisiaj. Wierzchowce będą stanowiły poważny problem, jeśli nie będziemy mogli ich kupić od ludów, które dostały się pod panowanie Tsistimedą.

— Rozumiem. — Nassim kilkakrotnie przebywał w obecności kaifa Kasr al-Zed. — A co kaif myśli o tych zmianach?

Kaifowie Kasr al-Zed rządili z Mezketu przez cztery stulecia. A religijni przywódcy na całym świecie byli znani z tego, że opierali się zmianom.

— Był temu niechętny. Ale zrobił, co mu kazano.

Podobnie jak Karim Kaseem al-Bakr w al-Kam, pomyślał Nassim. Za każdą fatwą kaifa al-Minfet czał się Lew. Bardziej niepokojące było podejrzenie Góry, że er-Rashał al-Dhulquarnen wciąż dyktuje Gordimerowi, co ten ma robić, bez względu na to, że poza prawem.

— I powinien w sprawach wojennych.

— Ufamy Bogu, ale pamiętaj, że Bóg pomaga najbardziej tym, którzy wszystko dobrze planują.

Nassim roześmiał się w głos i poczuł, że naprawdę zaczyna lubić tego chłopaka. Było w nim sporo z jego stryjecznego dziadka. Żałował, że Hagid nie był takim chłopakiem. Hagid jednak był silny na swój sposób. Samotnie przekroczył Morze Białe, by ostrzec Else'a Tage o podstępnej perfidii er-Rashała. Ten poryw odwagi kosztował go życie.

Ten poryw odwagi wbił też śmiertelny klin między Gordimera Lwa i jego przyjaciela z dzieciństwa, Nassima Alizarina zwanego Górą. Pokłosie tego

porywu odwagi przetoczyło się przez sha-lug niczym piekący pustynny wicher. W końcu jednak niczego to nie zmieniło. Niewielu sha-lugów zrezygnowało z tego, o czym zawsze wiedzieli, choćby nie wiem jak odrażające było dla nich to, co zrobiono Hagidowi.

Znów skoncentrował się na chłopaku.

— Hu'n-tai At wkrótce nadejdą. Może tego lata. Znajdujemy się w stanie, w którym musimy dopomóc Bogu jak umiemy najlepiej, przygotowując się do wykonania Jego woli.

Nassim pokiwał głową.

— I?

— To jest najważniejsza placówka. Można przekazać dalej sygnały z Tel Moussa albo z powrotem do Shamramdi.

To prawda. Czatownia w górach na północnym wschodzie może przekazywać sygnały do Shamramdi w jednym rzucie. A na zachód...

Chłopak uśmiechnął się.

— Na zachodzie mamy Gherig. Tylko Gherig krzyżowców. Gherig najpaskudniejszego Arnhandera z nich wszystkich, Rogerta du Tancret.

— Tak.

— A jednak Czarny Rogert stoi na szlaku każdego, kto się kieruje do Ziemi Świętej.

— Żmii nie obchodzi, czyją dłoń kęsa.

Chłopak pokiwał głową.

— Hu'n-tai At objadą Tel Mousse. Ominą Gherig. Będą chcieli zawładnąć najpierw Studniami Ihrian. Jeśli zostaną pokonani, co się jak do tej pory nie zdarzyło, będą starali się zniszczyć Studnie.

— Czy są aż tak podli?

Ziemia Święta była sercem świata. W czasie wielu tysięcy lat z tych wszystkich, którzy walczyli o Studnie Ihrian, nikt nie był na tyle szalony, by próbować je zniszczyć, tak by nie mogły służyć nikomu innemu. Ale Hu'n-tai At cieszyli się złą reputacją. Zabijali. Plądrowali. Niszczyli. Ci, którzy nie byli członkami ordy, nie potrafili tego zrozumieć. Orda miała za cel zniszczyć cywilizację osiadłą.

— Są aż tak podli, generale. Aż tak i jeszcze bardziej. Są wrogami każdego, kto nie jest Hu'n-tai At.

— Zważywszy na to, co możemy tutaj zrobić?

— Zakładając, że wytrwasz na posterunku?

— Przejeliśmy to miejsce wraz z powinnościami. Zamierzamy im sprostać.

— I po to właśnie zostałem tu wysłany, żeby to sprawdzić. Skoro tak, muszę poznać twoje zdanie, jak najskuteczniej wytłumaczyć i zmiażdżyć inwazję Hu'n-tai At.

Zdziwiło to Nassima. Powiedział o tym.

— Sha-lug myślą w inny sposób. Jesteście jednym rozległym bractwem, bardzo zdyscyplinowanym, podlegającym władzy centralnej. Mój stryjeczny dziadek musi z konieczności zebrać ludzi z setek plemion. Przewodzą im dumni wodzowie, którzy woleliby raczej toczyć stare spory niż zjednoczyć się pod wodzą obcego. Próbował stworzyć własną gwardię, na podobieństwo Nieśmiertelnych Królów Ghargarlicei, bez widocznych rezultatów. Głównym problemem jest utrzymanie takiej siły.

Góra znów skinął głową, z szacunkiem i aprobatą. Indala al-Sul Halaladin dobrze się sprawił, edukując tego młokosa. Niewielu sha-lugów miało dobre rozeznanie w historii oraz swoje w niej miejsce.

— Zrobię, co będę mógł — powiedział Nassim. — Jest napisane: Musimy pokonać wrogów Boga, zanim będziemy mogli opanować wrogość w Królestwie Pokoju. — Nazwę tę wypowiedział z cynicznym szyderstwem w głosie. Nie było pokoju w granicach objętych Bożym Pokojem. Ponieważ ludzie nie domagali się wyłącznie podporządkowania woli Boga, domagali się podporządkowania sobie. Nie byli też zgodni, czym miałyby być owa wola boża.

6

Navaya Medien: Zmęczony człowiek

Uczeń czekał, aż Doskonały zakończy medytację. Przyniósł list zaadresowany do starca. List szedł tutaj miesiącami, tropiąc Brata Świecę od jednej samotni do drugiej. W mniej uczciwej i sumiennej społeczności dawno już by zaginął. Jednak u Poszukiwaczy Światła dostarczenie przesyłki było pewne, jeśli nie było żadnej ingerencji boskiej, diabelskiej bądź też łotrowskiej.

List przetrwał setki kilometrów podróży przez Connec i góry Verses oraz tuziny dłoni, przez które przechodził, by trafić do oddalonego od reszty świata klasztoru Sant Peyre de Mileage w Navai Medien.

Starzec się podniósł. Obecność młodzika wystraszyła go.

— Jean-Pierre?

— List, Mistrzu. Do ciebie. Nie chciałem przeszkadzać.

— Dobrze. — Starzec odpowiedział bardzo wolno. Nie z powodu jakiejś ułomności, ale dlatego, że chłopak mówił dialektem medieńskim, językowym kuzynem tego, którego używano w zachodnim Connec. Zabawnie brzmiały te ich spółgłoski. Można było pomylić podobnie brzmiące słowa z innymi, które w konkretnym kontekście nie miały najmniejszego sensu. — Z całą pewnością to może poczekać jeszcze chwilę.

Brat Świeca nie wyciągnął dłoni po list. Nie życzył sobie żadnego kontaktu ze światem. Przebywał w nim tak długo, że stracił Doskonałość. Był od niej bardzo daleko. Dopiero teraz, po kilku miesiącach, znów mocno stanął na Ścieżce.

List był brudny. Nie rozpoznał dłoni, która wypisała dużymi literami jego imię na owijce — jak podejrzewał, dodanej w transporcie, ponieważ oryginalna była mocno wystrzępiona. Nie zauważył żadnego śladu pozwalającego zidentyfikować nadawcę.

— Nie otworzysz go Mistrzu? Może to coś ważnego.

Mogło być. Oczywiście. Coś niezwykle ważnego. Dla osoby, która napisała ten list. Rozważył wszelkie możliwości. Cokolwiek niósł z sobą list, nie mogło to być nic dobrego.

— Moje palce ostatnio mnie zawodzą, Jean-Pierre. — Wymówił imię na sposób connekiański. Tutaj mówiło się „Jean-Peyre”. — Przeczytaj mi to, jeśli łaska.

Chłopak był podekscytowany. Mógł się popisać przed największą sławą tego klasztoru. Mógł pokazać, jak wiele się nauczył. Wziął list, z wielką starannością zdjął owijkę i sprawdził, czy niczego nie napisano na jej odwrocie. Coś tam było, choć nie miało nic wspólnego z listem. Chyba że jakiś piekarz chciał, aby brat Świeca poznał zamawiane przez niego ilości mąki i jajek oraz niezwykłą tajemnicę wciąż rosnących cen opału.

Wewnętrzna owijka była w gorszym stanie, lecz nadawca przewidział jej losy. Dodał kolejne warstwy, by zabezpieczyć list — kartką, która zawierała obliczenia wojskowego kwatermistrza — dopiero po nich Jean-Peyre mógł dotrzeć do sedna pisma.

— No dobrze, Mistrzu. Na owijce napisano: Do Najznamienitszego Mistrza Doskonałości, Charde, a także Clairs, znanego jako brat Świeca, pozdrowienia.

— To nie brzmi obiecująco. — Niewielu ludzi znało imię, jakie zatarło się już w ludzkiej pamięci, odkąd wstąpił na Ścieżkę.

— Ta część jest podpisana: Bernardin Amberchelle. Czy powinienem znać to miano, Mistrzu?

— Nie, Jean-Pierre. Bernardin Amberchelle jest kuzynem hrabiego Raymone’a Garete z Antieux. Okrutny to piekielnik. Nigdy nie podejrzewałem go o umiejętność pisania. Jego świat stanowi wyostrzona stal.

— Może skryba napisał list za niego.

— Najpewniej. — Wielmoża tak robili. Ci, którzy byli na tyle przygłupi, by całkowicie ufać swoim skrybom. — To wiele wyjaśnia. Czytaj dalej.

To, co było dalej, składało się na chaotyczną opowieść hrabiego Raymone'a i jego małżonki, Socii Rault, odkąd brat Świeca zostawił ich, by znów odnaleźć Ścieżkę. Dużo było o rzezi cudzoziemców i o aliansie z Naczelnym Wodzem Kościoła.

Dziwne. Hrabia Raymone spędził lata na krwawych potyczkach z wolą Brothe.

W końcu Amberchelle przechodził do sedna. I tego właśnie starzec się najbardziej lękał.

Bernardin Amberchelle błagał brata Świecę, by powrócił. Socia, którą starzec ocalił z okropieństw connekiańskiej krucjaty, bardzo potrzebowała jego wsparcia oraz uspokajającego wpływu.

Bracia Socii zostali wyróżnieni na przestrzeni ostatniego roku. Żaden z nich nie zostawił syna z prawego łóża. Ale to zupełnie nie martwiło Amberchelle'a.

Socia zrobiła się krwiożercza. Jej łaknienie zemsty zaczęło wpływać na decyzje męża. Jedyną nadzieją dla hrabiego Raymone'a oraz jego hrabiny była ta odrobina szacunku, jakim darzyli Mistrza Doskonałości.

Jean-Peyre podniósł wzrok.

— To wszystko, Mistrzu. Jest jeszcze podpis i pieczęć.

Brat Świeca jęknął. Grzechy przeszłości zaczęły go doganiać. Jeśli nauczanie można uznać za grzech. Jak musi być źle, skoro ktoś tak okrutny jak Bernardin Amberchelle jest zaniepokojony?

Jean-Peyre był przerażony. Wyczuwał, że jest coś, czego list nie precyzował wyraźnie. Dostrzegł szansę, by zaimponować Mistrzowi.

— Mistrzu, czy chciałbyś podyktować odpowiedź? Mam pewną rękę.

— Może później, Jean-Pierre. Kiedy tylko przetrawię te wieści. Przyjdź do mnie jutro o tej samej porze.

Jean-Peyre nie mógł się powstrzymać, by nie skłonić głowy, choć wśród Poszukiwaczy unikano tego, gdyż miało to być bractwo bezklasowe. Podał starcowi list i wyszedł.

Brat Świeca wziął pismo do swej celi, gdzie czytając je wielokrotnie, rozrzutnie szafował światłem świec.

Starzec już zakończył medytację, kiedy Jean-Peyre przybył, by napisać jego odpowiedź. Niemal biegł do celi starca. Brata Świecy nie było w

środku. Niedługo potem w klasztorze podniósł się raban. Zaginiony bohater maysalski był bardzo stary. Mnisi obawiali się najgorszego.

Tajemnica się wyjaśniła, kiedy zaspany diakon — starszek opiekujący się cmentarzem — doniósł, że widział, jak brat Świeca kieruje się do wioski noszącej tę samą nazwę co klasztor. Miał ze sobą kostur, niewielkie zawiniątko, koc i manierkę. Ubrany był w podróżne łachmany, więc najprawdopodobniej planował długą wyprawę.

Młodszy alumn błagał opata, żeby pozwolił im ściągnąć Doskonałego z powrotem. Był zbyt kruchy, by tułać się po współczesnym bezwzględny świecie. Wszędzie na gościńcach czaili się grasanci. Noc podnosiła łeb, czego nie notowano od wczesnych dni Starego Imperium. A wrogowie znów dręczyli Skraj Connec.

Opat zagonił swoich uczniów z powrotem do ksiąg. Mistrz Doskonały wie, co robi.

Już po dziesięciu kilometrach, wspinając się z doliny heretyków po długiej stromiźnie, brat Świeca był coraz bardziej przekonany, że w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, co robi.

Znów pozwolił, by świat wkroczył w dziedzinę Doskonałości.

Miasto Matka: Czas zmian

Słysząc było pogłoski, że Pięć Rodzin jest wściekłych. Mówiono, że ich poplecznicy w Kolegium aż zgrzytają zębami. Rozwścieczył ich bezczelny upór Bonifacego, który nie zamierzał zejść im z drogi.

Atmosferę dodatkowo podgrzało błyskawiczne pojawienie się Naczelnego Wodza, którego zaangażowanie w wizję Hugo Mongoza było powszechnie znane. Zanim jego oddziały znalazły się na ulicach, miejscowe gangi napadały na księżątka z prowincji i często dochodziło do burd.

Regiment miejski niemal nic nie zrobił, by położyć kres fali przemocy. Bardzo wiele mówiło to o całej sprawie.

Ktoś mocno trzymał smycz Pinkusa Ghorta. Piper Hecht podejrzewał prowincjała Bronte'a Doneto. Doneto z rodu Benedocto chciał, aby niepokoje nadal trwały.

Przybycie oddziałów patriarszych bardzo szybko wygładziło wzburzoną miejską toń. Naczelnny Wódz odpowiadał jedynie przed Bonifacym VII. A Bonifacy od wielu miesięcy nawoływał o pokój w Brothe.

Pokój, który zapanował w mieście właśnie teraz.

Piper Hecht miał zamiar wykorzystać każdą wolną chwilę z Anną Mozillą i dziećmi. I podczas pierwszej wizyty otrzymał niezwykle prezent. Dzieci otoczyły go w jednej chwili. Pella był tu właścicielem, ponieważ spędził cały ten czas w polu z przybranym ojcem. Lila była nieśmiała. Pipera przeważnie nie było od czasu jej pojawienia się w rodzinie. Wciąż spoglądała na Annę, żeby sprawdzić, czy nie popełnia jakiejś gafy.

Vali była niesamowita. Po pierwsze bardzo urosła. Wyglądało na to, że będzie piękną kobietą. Ale największy przypływ emocji wzbudziła w nim,

przytuliwszy się do niego ze słowami: „Witaj w domu, ojczyźnie”. Zwykle słowa. Prosto z mostu. Które po raz pierwszy ktoś do niego wypowiedział.

Hecht przytulił ją i popatrzył na Annę. Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Vali przywróciła jej zaufanie. W pełni wpisywała się w ich skleconą rodzinę.

— Myśleliśmy, że już nigdy nie dojdiesz — powiedział Pella.

— Że nie dojdziemy, obaj. Za każdym razem, gdy kierowałem się w tę stronę, wynajdowali coś jeszcze, czym musiałem się od razu zająć. Bo inaczej Kościół Episkopalny padłby przed zachodem słońca.

— Ale już jesteś tutaj — stwierdziła Anna. — Zostaw świat za progiem. Madouc zawiadomił nas, że przybywasz. Dzieci przyrządziły specjalną potrawę.

— Cudownie. — Czuł zapach baraniny. — Szkoda, że nie potrafię wam powiedzieć, jaką opoką jesteście dla mnie, kiedy jestem w polu.

Co było szczerą prawdą, bez względu na rozmaite czające się na niego pokusy.

— Opowiedz nam o ślubie! — wykrzyknęła Vali. Lila pokiwała główką. Starsza dziewczynka nie będzie łamać serc. Nie będzie miała okazji, jeśli wyjdzie na jaw jej przeszłość. — Bo Pella nie chciał.

— Ponieważ nie wpuścili go do środka.

Hecht usiadł za stołem i zaczął opowiadać o cesarskim weselu. Dziewczynki śmigały po izbie, przynosząc kolejne potrawy. Mówił tylko wtedy, kiedy były obie obecne. Pella cały czas siedział, gdyż Anna stwierdziła, że jest już za duży, by przestawać z dziewczynkami.

Anna nie miała już sług. Nie dowierzała ani sobie, ani dziewczynom. Bała się, że czymś się zdradzą. A wszystkie miały swoje tajemnice.

Vali chciała wiedzieć, jak wygląda król Jaime. Czy jest tak przystojny, jak mówią? Lila chciała wiedzieć, co miały na sobie Cesarzowa i jej siostra. Kiedy się emocjonowała, była niemal atrakcyjna.

— Jaime jest śliczny. I zepsuty. Robi sobie wrogów z taką szybkością, jak mówi. Wciąż słyhać z jego ust same głupoty albo kalumnie. Cesarzowa i Księżniczka Prawowita były olśniewające. Ich suknie kosztowały więcej, niż mielibyśmy nadzieję zarobić przez całe życie. Katrin miała na sobie złoto. Hespeth srebro. Były obsypane klejnotami i perłami. Cesarzowa wolała rubiny, jej siostra szmaragdy, parny dworu były niemal tak samo

wystrojone. Szkoda, że ich nie widziałyście. Aleja wciąż uważam, że to cud, iż zostałem zaproszony.

— To dziwne — zauważyła Anna.

— Mówią, że to dlatego, że Bonifacy nie może podróżować. Po krucjacie w Connec byłem bardziej znany niż ktokolwiek inny związany z Patriarchą.

— Byłeś też zaproszony, kiedy Patriarchą był Pacyfikus Wzniosły. A on nie był chromy.

— Pewna jesteś? Odszedł przed czasem.

— Wydaje mi się to dziwne. — Anna wzruszyła ramionami.

— Nie będę się z tobą spierał w tej materii.

— Pella mówi, że miałeś prywatną audiencję u Cesarzowej.

— Miałem. Starła się mnie podkupić Kościołowi. Więc może to wyjaśnia, dlaczego mnie tam zaproszono.

— Co? Dlaczego?

— Ale tego nie zrobisz, prawda? — zapytała Lila tak cicho, że Hecht ledwo usłyszał.

— Nie. Chciała, żebym poprowadził krucjatę na Ziemię Świętą. Nie chcę tego robić. Muszę poradzić sobie z tymi wszystkimi napuszonymi idiotami... Nieważne. Mam tu sporo pracy. W tej chwili muszę dopilnować, aby spokojnie przekazano władzę. Ale nie mówmy teraz o tym. No to powiedzcie, dziewczynki, co robiłyście, kiedy mnie nie było.

Tej nocy Anna była bardziej wymagająca niż zwykle. Była zatroskana. Dopiero po chwili się przed nim otworzyła.

— Boję się — powiedziała. — Cały czas, coraz bardziej. Nie jestem przerażona. Tylko zawsze zalekniona.

Hecht przyciągnął ją do siebie.

— Z jakiegoś szczególnego powodu?

— Martwię się o dziewczynki. To zło wciąż się tam czai. Książę Delari wciąż mówi, że dopadł to coś, ale że wciąż wraca. A do tego książę Doneto wysłał ludzi, którzy starają się wszystkiego o nas dowiedzieć. Jak się dokopie dostatecznie głęboko...

— To mu szpadel paluchy przytnie. Dziewiąty Nieznany stworzył dla nas nowe życie w oparciu o to, co mówiliśmy ludziom. Specjalny szpieg Pinkusa Ghorta, Bo Biogna, przeszukiwał zapisy mojej służby aż do Grumbrag. A tam znalazł człowieka, który mówi, że jest moim bratem.

Anna zeszywniała.

— Naprawdę?

— Sam mi to powiedział. Widziałem się z nim w Alten Weinbergu. Przyszedł, żeby zobaczyć się z Joe.

Nie musiał wyjaśniać. Anna wiedziała o Bo Biognie, Po Prostu Joe, Ghorcie, Hechcie i ich wspólnych przygodach.

— Jesteś chroniona — dodał. — Nigdy w to nie wątp. Księżę Delari będzie cię strzegł. A Cloven Februaren tym bardziej. Nie byłbym zaskoczony, gdyby mieli wystawiony oddział mar Nocy strzegących twego domu.

— Dlaczego mieliby to robić?

— Ponieważ chcą czegoś ode mnie. A dostaną to, kiedy będą strzegli ciebie i dzieci.

Nie wspominając, że są to po prostu przyzwoici ludzie.

Anna chciała o coś zapytać, ale zrezygnowała. Prawdopodobnie o coś, o czym wiedziała, że nie można rozmawiać.

— Może masz rację. Heris odwiedza nas przynajmniej dwa razy w tygodniu. Zawsze kręci się po okolicy, jakby czegoś szukała.

— No i proszę.

Heris? Wnuczka Muniera Delariego. Siostra Hechta. Która, podobnie jak sam Hecht, nie miała drygu do magii. Ale nie potrzebowała takiego talentu, mając za sobą Delariego i Clovena Februarena.

Hecht nie był pewien, co knuł jego dziadek i dziadek jego dziadka. Nie był już naiwnym Else'em Tage, który zabrał zebraną bandę do Idiam, by plądrować katakumby Andesqueluz. Piper Hecht, Naczelny Wódz armii Patriarchatu, nie brał niczego za dobrą monetę, sądząc po pozorach. Ani wrogów, ani też swoich przyjaciół i sprzymierzeńców. Może tylko Po Prostu Joe.

Każdy miał jakiś ukryty cel.

Przy śniadaniu dzieci uśmiechały się psotnie i chichotały. Hecht zignorował ich figle. Był w dobrym nastroju. Zapowiadał się dobry dzień. Nie miał żadnych obowiązków. Zamierzał zostać w domu i nie robić nic.

Anna nie była już taka rozradowana. Spodziewała się jego nieuchronnego wyjazdu.

Lila przyrządziła śniadanie. Gorący chleb, miód, trochę niemiłosiernie kwaśnych winogron zerwanych o wiele za szybko. I kielbaski, które zdawały się być wypełnione w połowie ostrymi przyprawami.

— Moja mama robiła takie kielbaski — wyjaśniła. — Na sposób artecipeański.

— Bardzo dobre. Ale ostrzejsze niż te, do których przywykłem.

No i głównie z wieprzowiny. Naturalnie. Ci z zachodu najwyraźniej sprzyśleli się, by oczyścić ziemię ze świń. Pożerali biedne zwierzęta szybciej, niż były się w stanie rozmnażać.

— Vali, teraz, kiedy nauczyłaś się już mówić, może mi opowiesz wszystko o Vali Dumaine? Co to za wielka tajemnica? Co to za sekret?

Usta dziewczynki drgnęły i wykrzywiły się. Trudno wypłenić stare nawyki. Ale wiedziała, że to nastąpi.

— Zmyśliłam to. Wszystko. Słyszałam, jak jakiś amhandyjski krzyżowiec w Dziesięciu Galeonach mówił do Łowców Czarownic. Wtedy nie wiedzieliśmy, że to łowcy.

— Proszę, mów dalej.

Wyglądało na to, że myśli, iż wyjaśniła już wszystko.

— Król Arnhandów nakazał krzyżowcom pojechać do Ziemi Świętej. Ten stary. Ten, który umarł. Anne z Menandu skłoniła go, by ich wysłał. Należeli do hrabiego, na którym chciała się zemścić. Jego żona nazywała się Vali Dumaine. Spodobało mi się brzmienie tego nazwiska. Więc zmyśliłam historyjkę, którą Lila opowiedziała ci wtedy tej nocy w Sonsie.

Hecht spojrział na Lilę, która wbiła wzrok w ziemię.

— Uwierzyłaś Vali?

— Niezupełnie. Ale chciałam. Więc udawałam, że wierzę. Nie chciałam, żeby zrobiła to, co ja musiałam zrobić.

Hecht oszacował wiek Liii na czternaście lat. Wtedy jeszcze była wytrawną prostytutką, której dziewictwo matka wystawiała co noc na sprzedaż.

— Bóg cię wynagrodzi, Lila. Jestem tego pewien. No to, Vali, kim naprawdę jesteś? Córką krewnej Bity z Artecipei? Opowiedziała jedną historię, która się z tym wiąże. W kolejnej zabrzmiało to tak, jakby sprzedano cię do tego domu.

— Matka nigdy nie mówiła mi całej prawdy — odparła dziewczynka. — Nie mogła. Nawet nie potrafiła sama przed sobą się do tego przyznać.

Hecht pomyślał o kobiecie, która musiała być tak wytrawną kłamczynią nawet przed sobą, żeby przetrwać w tym trudnym fachu.

— Nie pamiętam niczego więcej, ojciec. Byłam za młoda, kiedy przyszedłam do Dziesięciu Galeonów.

Hecht nie ciągnął tego tematu. Nie było to istotne. Niech dziecko będzie tym, kim chce być. Anna sprowadzi ją na ścieżkę prawości.

Wziął kolejną kielbaskę. Vali przyglądała mu się najwyraźniej zaniepokojona. Mrugnęła do niej. Podskoczyła.

— Lila. A ty jak się masz, dziecko?

Starsza dziewczynka była zaskoczona, że pyta.

— Dobrze. Biorąc wszystko pod uwagę. To przerywnik, z którego czerpię radość, jak tylko mogę.

Tym razem Hecht był zaskoczony. Bynajmniej nie dlatego, że Lila nie była pewna przyszłości, ale z powodu tego, że tak wcześnie przyjęła fatalistyczny ogląd świata. Musiała mieć naprawdę ciężkie życie.

— Masz tu swoje miejsce. Tak długo, jak będziesz chciała. Jesteś teraz członkiem rodziny — oznajmił.

Co mogło się skończyć po jednym tylko politycznym zawirowaniu.

— Posłuchajcie — ciągnął — życie jest nieprzewidywalne. Moje bardziej niż innych. Za innymi ludźmi nie wyłażą z ziemi wielkie robale. Jeśli coś mi się stanie, kiedykolwiek, wszystkie udacie się do domu księcia Delariego, gdy tylko się o tym dowiecie.

— Dlaczego? — chciała wiedzieć Anna.

— Słucham?

— Dlaczego tam ma być bezpieczniej niż tutaj?

— Ponieważ Muniero Delari jest tym, kim jest. — I dlatego, że Cloven Februaren też się tam zdomowił. Dziewiąty Nieznany mógł być najpotężniejszym czarownikiem na zachodzie, jeśli nie na świecie. Choć doskonale to ukrywał.

— Rozumiem. Umknęło mi, czym się kieruje książę, troszcząc się o mnie i dzieci.

— Ach, tego naprawdę nie mogę ci wyjaśnić.

— Nie możesz? Czy nie chcesz?

— Pół na pół. Wiem o paru sprawach. Co do kolejnych mam swoje podejrzenia. I wiem, że jest tego więcej, niż wiem. W każdym razie parasol

ochronny księcia obejmuje tę rodzinę. Pogódź się z tym. Ciesz się tym, tak jak pogodą, którą będziemy mieli dzisiaj.

Pella wstał. Od jakiegoś czasu się nie odzywał. Nie wymieniał nawet drobnych uprzejmości przy stole.

— Nie możemy cieszyć się pogodą. Nie wolno nam. Niektórzy ludzie nie boją się księcia Delariego. — Wyszedł z kuchni.

Chwilę później Hecht usłyszał skrzypienie drzwi frontowych. Pełła z pewnością chce wyjść na dwór w tak piękny poranek, a że nie wolno mu wychodzić i ganiać po ulicach, więc tylko patrzy na zewnątrz.

— Całe życie jest jednym wielkim kompromisem i przedmiotem targu — mruknął Hecht. — Nie wolno mu biegać po ulicach, ale nie głoduje.

I nauczył się czytać. I zaczął uczyć się fachu.

— Może targu — zgodziła się Anna.

Hecht zastanawiał się, co ma na myśli.

— Tato! — zawołał Pella. — Żołnierze idą. Gwardia Patriarchy.

— I tak skończył się jedyny dzień, który mieliśmy. — Anna westchnęła.

Pella pisnął przestraszony. Hecht pognał do drzwi uzbrojony w nóż kuchenny.

Heris stała dwa metry od Pełli, który zastygł w progu. Chłopak był blady. Kobieta stała z rozłożonymi rękami na znak, że nie stanowi zagrożenia.

— Pojawiła się znikąd, tato! Patrzyłem sobie na gwardzistów. Kiedy się odwróciłem, już tu stała. A ja cały czas stałem w progu.

— Nie jestem jeszcze w tym dobra — powiedziała Heris. — Miałam zamiar pojawić się pod tamtą wiatą, po drugiej stronie ulicy. Ale włączyła się pamięć o tym pokoju.

Anna i dziewczynki zbiły się w grupkę za plecami Hechta i gapiły się na nią. Anna spoglądała na niego podejrzliwie, bo najwyraźniej zrozumiał to, co powiedziała.

— Dlaczego się tu zjawiłaś? — zapytał Hecht.

— Dziadek chce, żebyś wiedział, że to są prawdziwi gwardziści.

Hecht nie myślał inaczej. Jeszcze. Ale pomyślałby, gdyby nie rozpoznał tych zbrojnych.

— Czy coś się stało?

— Bonifacemu się pogorszyło. Będzie chciał cię widzieć.

Wieści, które Delariemu musiał przekazać Cloven Februaren.

— Rozumiem.

— Ponadto mam ci powiedzieć, żebyście wszyscy przyszli dziś wieczorem do domu w mieście. — Heris popatrzyła mu w oczy. — To ważne, Piper.

— Życzenie starego jest dla mnie rozkazem.

-I starego starego...

Gwardia Patriarchy przybyła. Ustawili się w szyku przed domem. Kapral podszedł do drzwi z sakwą na listy.

— Tato! — krzyknął Pella.

Sakwa zawierała jedynie krótką wiadomość skreśloną drżącą dłonią. Nakazywała Naczelnemu Wodzowi oddać ostatnie honory Patriarsze Bonifacemu VII.

— Tym razem to poważna sprawa, panie — powiedział kapral. — Nie ma wiele czasu. Wszyscy to mówią. Mówił, że musi się koniecznie z tobą zobaczyć, zanim skona.

— Rozumiem. — Choć tak naprawdę nie rozumiał. — Anno, może powinnaś już zabrać dzieci do domu w mieście. — Miejsce to nie było fortecą, ale będzie bezpieczniejsze niż to, jeśli po zejściu Bonifacego zaczną się kłopoty. Ściągnie tam od razu swoich ludzi.

Hecht chciał zapytać Heris, czy nie będzie problemu, jeśli jego rodzina pojawi się tam już teraz...

— Odwróciła się tak jakoś bokiem i już jej nie było. — Vali miała oczy wielkie jak spodki. — Jak ona to zrobiła?

Anna była jednak podejrzliwa.

— Co to miało być? Nieważne. Rozumiem potrzebę. Mam tylko nadzieję, że nikt nie splądruje tego domu podczas naszej nieobecności.

— Nie martw się. Dom jest pod obserwacją. A ja przyślę tu kilku moich ludzi. Kapralu, tylko się trochę ogarnę i zaraz z wami pójdę.

Hugo Mongoz wyglądał na swoje osiemdziesiąt lat, może nawet więcej.

— Wynocha! — wychrypiał do swoich sług. — Wszyscy! Wynoście mi się stąd!

Patriarcha wcześniej wszystko ustalił z gwardzistami. Zaczęli wypraszać medyków i gapiów. Wobec opornych nie byli delikatni.

— Przybyłeś na czas — powiedział Bonifacy.

— Uparty z ciebie człowiek, panie.

— Nie pozwolę, aby mój Kościół dostał się w łapy tych, którzy chcą tylko podnieść własną pozycję i się wzbogacić.

Hecht nie pytał, dlaczego Bonifacy chce, aby było inaczej.

— Wypełnisz moją ostatnią wolę?

— Dlatego właśnie przyznałem tu z Alten Weinbergu. Znam Rocklina Glasa. To dobry człowiek. Będzie dobry dla Matki Kościoła. Ale ma też wady.

— Czyli?

— Musisz, panie, sam wiedzieć. Jest kaleką. Raczej nie przeżyje cię o wiele lat. I ma za wrogów wszystkie księżątka, tylko patrzące, by włożyć płaszcz gronostajowy, by poprawić pozycję swoją i swojej rodziny.

— To prawda. Nie możemy też zapomnieć o Pięciu Rodzinach. Czy wysunęli alternatywną kandydaturę do Bellicose'a?

— Nie, Wasza Świątobliwość. Będą musieli najpierw powalczyć między sobą o wystawienie kandydata. Żaden z nich nie ma wystarczającej siły przekonywania, żeby skłonić innych, by go wybrali.

— Zmusz ich, żeby wypełnili daną mi obietnicę.

— Tak zrobię.

— Zdław Zakon. Nie pozwól tej ladacznicy w Salpeno uwieść nikogo więcej, tak jak to zrobiła ze Wspaniałym.

— To zostanie wykonane. Już się dokonuje.

— Doskonale. Doskonale. Mogę odejść ze świadomością, że dobrzy ludzie mają nad tym pieczę. Podejdz bliżej.

Głos starca słabł z każdą chwilą. Hecht przykląkł przy jego łożu boleści. Mongoz wydzieliał cierpki odór, którego nie zdołał przyćmić zapach wody różanej.

— Powiedz Clovenowi Februarenowi, że będę go straszył po śmierci, jak się tobą nie zajmie.

Zaśmiał się, widząc zaskoczenie Hechta. Śmiech przeszedł w suchotniczy spazm.

— Tak. Wiem, że tu jest. Wiem, co robi. Zawsze był z niego wścibski pracuś. O szczeniackim poczuciu humoru. Ale ma dobre serce.

— Tak się zdaje.

— I jest pożytecznym sojusznikiem dla kogoś takiego jak ty.

— Tak.

— Pomódl się ze mną.

Hecht tak uczynił.

Prowincjał Delari nie mógł się doczekać spotkania z Hechtem w swojej wyciszzonej komnacie, by zapytać go o pobyt w Krois.

— Patriarcha cię przyjął?

— Chciał ode mnie gwarancji, że jego plany zostaną zrealizowane po jego odejściu. I żebym przekazał wiadomość twemu dziadkowi.

— Tak? — Delari uniósł brwi ze zdziwienia.

— Zdaje się, że wszystko o nim wie.

— Zastanawiam się, kto jeszcze wie więcej, niż powinien. — Delari się skrzywił.

Heris dołączyła do nich. Przyprowadziła dwóch stałych członków służby domowej, małżeństwo Turkinga i Felske. Kucharka, pani Creedon, rzadko opuszczała kuchnię.

— Anna i dzieci się przebierają — oznajmiła Heris. — Jest jeszcze coś, co trzeba przynieść, zrobić?

— Na zewnątrz stoi dwóch gwardzistów. Myślę, że można im jakoś ulżyć.

Ludzie Madouca dołączyli do niego, kiedy opuszczał Krois.

Heris dała znak. Para małżonków pospiesznie wyszła do swoich zadań. Hecht zerknął na Delariego.

— Dorastająca jest bardziej pewna siebie.

— Zwał to na Dziewiątego Nieznanego. I na Konstrukt. Czy tym razem będziesz mógł spędzić z nami więcej czasu?

— Jeśli się uda. Ale wątpię. Przybyłem tutaj, by Kolegium zachowywało się przyzwoicie. Heris, co ty do diabła robisz, materializując się w salonie Anny? Już i bez tego mam niejaki problemy, żeby jej wyjaśnić pewne sprawy.

— Chybiłam. Mówiłam ci. Starzec nie jest najlepszym nauczycielem. Głównie każe mi samej główkować nad różnymi sprawami i dochodzić do rozwiązania. A poza tym przeważnie go nie ma.

Hecht spojrzał na Delariego.

— Mówiłeś, że ani Heris, ani ja nie mamy drygu do magii.

— To dar wrodzony. Są kamienie, które mają większy talent magiczny.

— W mitach i podaniach istnieje z milion magicznych kamieni.

— No właśnie. Ale w wypadku Clovena Februarena to jest tylko okiełznywanie Konstruktu. Jest w tym magia. Można się nauczyć różnych sztuczek, jak się posiedzi tam kilka miesięcy i dostroi.

— Każdy może się nauczyć?

— Jeśli ma czas i jest nieustępliwy.

— Włącznie z ludźmi, którzy tam pracują?

— W pewnych ściśle określonych granicach. W taki sposób kobiety wchodzą tam i wychodzą, nie kalając swej czci z pałacową gwardią. Ale dość już o tym.

Pojawiła się Anna wraz z dziećmi. Wyglądała olśniewająco w stroju, który znalazła w pokojach przeznaczonych dla rodziny. Vali i Lila nie wyglądały już tak wspaniale, ale również były dobrze odziane.

Hecht zdusił parsknięcie.

Pellę wystrojono na młodego panicza włącznie z jedwabnymi pantalonami oraz cizmami z dzwonekami na zadartych noskach.

— Cudownie — zawyrokował nowy głos. I pojawił się niewielki staruszek w brązach, Cloven Februaren. Dziewiąty Nieznany. — Jednak coś tu nie pasuje.

Felske weszła do komnaty z pytaniem:

— Wasza Miłość, kucharka chciałaby wiedzieć, kiedy będzie mogła podawać posiłek.

— Myślę, że kiedy będzie miała wszystko gotowe.

Niemal w tej samej chwili odezwał się Februaren:

— Te dzieci się nie kłócą. Bracia i siostry powinni żyć jak pies z kotem. Dziewczynki powinny kpić z tak ubranego chłopaka.

— Niektórzy młodzi ludzie są bardziej cywilizowani od innych — zauważył Hecht. — Widziałem się dzisiaj z Hugonem Mongozem. Mam dla ciebie wiadomość od niego.

— Po twoim wyjściu sam z nim porozmawiałem. Jedyńm człowiekiem, którym powinniśmy się przejmować, jest Bronte Doneto.

Hecht zerknął na swoją rodzinę, która pilnie nadstawiała uszu.

— Doneto? Jako zmartwienie dodatkowe do tych wszystkich, które już mamy?

Doneto kopał i rył. Doneto trzymał Pinkusa Ghorta na smyczy.

— Nasz przyjaciel Bronte ma chrapkę na ten patriarszy tron.

Jak się dobrze zastanowić, to nie było to takie znów nieprawdopodobne.

— Jest, zdaje się, bardzo młody. — Hecht znów obrzucił rodzinę spojrzeniem.

— Może byśmy im nieco przybliżyli sprawę, Piper — odpowiedział Februaren. — To prawda, że jak nic nie wiedzą, to się z niczym nie wygadają. Ale jak czegoś nie wiedzą, to mogą się wygadać, bo nie będą wiedzieli, że nie wolno im o tym mówić.

Zaniepokoiło to Hechta. Martwił się o rodzinę. Przez rodzinę człowiek robi się podatny na zranienie. To, że nie podzielił się swymi tajemnicami z Anną i dziećmi, nie powstrzyma jego wrogów przed okrucieństwem.

— Nie podoba mi się to. Ale ty jesteś tu ekspertem. Zdaję się na twój osąd.

— No cóż, Piper, dziękuję ci. — Staruszek parsknął śmiechem.

— Naucz Heris lepiej celować, kiedy robi tę swoją sztuczkę z odwracaniem się bokiem.

— Słyszałem. Potrzeba jej wprawy. I więcej koncentracji. Cóż. Oto są. Wygląda na to, że Muno wybrał udziec jagnięcy.

Księżę Muniero Delari w zaciszu swego domu gardził większością firaldiańskich zwyczajów. Zniósł na przykład zakaz spożywania posiłków przez dzieci w towarzystwie dorosłych. Choć nie był tak rozluźniony jak zwykle, tolerował ich szczebiotanie podczas posiłku.

Turking i Felske wnieśli pierwsze dania.

— Jest mi równie niezręcznie jak Piperowi, dziadku — skomentował Delari. — Z różnych powodów. Jeśli upierasz się, żeby obnażyć dusze, to proponowałbym to zrobić w wyciszonej komnacie przy kawie.

— Ustępuję. To jedna z moich wad — powiedział Februaren i posłał Annie zawadiacki, sztubacki uśmiech. — Nigdy nie miałem w pełni rozwiniętej paranoi. Cały czas przez to wpadam w tarapaty.

— Podobnie jak przez twoje dziecinne poczucie humoru — dodał Delari.

— Po prostu nie mogę się powstrzymać, żeby gdzieś nie wsadzić szpilki, tu czy tam. — Staruszek znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Hecht zmienił temat.

— O co chodzi z tą zjawą w katakumbach? Najpierw słyszałem, że ją wytropiono i zniszczono. A potem słyszę, że znów się tam pałęta.

Niesamowite. Delari naprawdę poczerwieniał.

— Nie chcę, żeby wyglądało, jakbym się bronił. Albo mazgał. Ale wciąż się odradza w wyniku zapotrzebowania społecznego.

— A dlaczego ktoś chciałby mieć kolejnego potwora, który czyniłby zło?
— zapytała Anna.

— Świadomie nikt tego nie chce. Ale uchodźcy mają niezwykle silną potrzebę odczuwania lęku przed ciemnością. Pochodzą z wiejskich obszarów, gdzie Noc nigdy nie była przyjazna. W mieście jest inaczej. Nocą jest niemal tak bezpiecznie jak za dnia. Pinkus Ghort jest tego sprawcą. Tak więc potwór zaspokaja ich potrzebę odczuwania strachu przed ciemnością. Niszczymy jednego, wiara i popyt ściągają kolejną Delegaturę Nocy i karmią ją. Wierzenia kierują moc na swój obiekt.

Hecht zapytał:

— Znaczy się...?

— Aby z tym walczyć, należałoby zacząć rozsiewać pogłoski, że wierni tracą wiarę — wszedł mu w słowo Cloven Februaren.

Nagle ziemia zatrzęsała się gwałtownie.

— Co jest, u diabła? — powiedział nagle przestraszony Turking.

— Trzęsienie ziemi — zasugerowała Anna.

Piper Hecht słyszał kiedyś taki odgłos, pod koniec oblężenia Arn Bedu. Ale ta eksplozja — tony prochu podłożonego pod donżon — nie trwała aż tak długo ani nie wstrząsnęła górą tak gwałtownie.

— Na południowy zachód stąd — powiedział Delari.

— Może magazyny Krulika i Sneigona. — Specjalna manufaktura Krulika i Sneigona produkowała proch i broń prochową dla armii patriarszych. Jej zniszczenie byłoby prawdziwą katastrofą.

— Niedobrze — stwierdził Cloven Februaren. — Musiałbyś zaczynać od zera. Chyba że ktoś miał schowanych kilka jajek w innych koszach.

Trzech mężczyzn wyszło na zewnątrz. Oświetlony słup dymu unosił się na tle zachmurzonego nieba.

— To nie w kwartale devediańskim — zawyrokował Hecht. Czyli nie tam, gdzie znajdowała się rzeczona manufaktura. — Gdzieś bliżej.

I eksplozja nie była na miarę fabryki prochu.

— Przyjrzę się z bliska. — Dziewiąty Nieznany obrócił się bokiem i zniknął.

Anna i dzieci widziały, co zrobił.

— Ciii! — sapnął Hecht. Zbliźali się jego gwardziści. Pojawił się sam Madouc. Hecht zapytał go: — Wiesz może, co się stało?

— Wiem tyle co i ty, panie. Ale podejrzewam, że w magazynie prochu ktoś zbyt blisko podszedł z otwartym ogniem.

Ciekawe. Wszyscy zakładali, że eksplozja jest dziełem przypadku. A jeśli nie?

Coś zabłysło, a Hecht zastanawiał się, kto poza wojskowym kręgiem zaopatrzenia posiadał tak dużo prochu.

Łoskot dotarł do nich dopiero po kilku sekundach. Hecht błyskawicznie odgadł, że była to jedna standardowa, dziesięciokilowa beczka z prochem.

— Masz więcej pomysłu, niż jesteś gotów przyznać, mój chłopcze — powiedział Cloven Februaren.

Hecht aż podskoczył. Staruszek wrócił. Nie alarmując Madouca. Choć Madouc zawsze zachowywał się podejrzliwie w stosunku do odzianego w brązy starca.

— Uch...

— Też mam takie odczucia. Ten wybuch. To była cytadela Bruglionich. Musieli mieć całe piwnice wypełnione prochem. Wszystko się zawaliło od dachu do katakumb.

W pokoju panował półmrok, ale Hecht był w stanie przysiąc, że staruszek jest strapiony.

— Nikt pewnie nie przeżył. Jest gorzej, niż gdyby się hipodrom zapadł — uznał Februaren.

Prowincjał Delari poruszył się niespokojnie, gdyż za tamto to on był odpowiedzialny. Użył baryłki z prochem do wykończenia potwora w katakumbach, czyli w najgorszym z możliwych miejsc.

— No i co mamy robić? — zapytał Hecht.

— Władze miejskie będą zadowolone, jak nie będzie się im wchodziło w paradę — zasugerował Madouc.

— Słusznie. — Delari był tego samego zdania. — Są wystarczająco poirytowani, musząc znosić patriarsze oddziały. Trzeba siedzieć cicho. Niech działają. Są kompetentni. Jeśli będą chcieli pomocy, to poproszą o nią.

Hecht pokiwał głową. Dość niechętnie. Przyzwyczyił się, że robi to, co należy, nie konsultując się z nikim.

Anna objęła go za lewe ramię.

— Może wejdziemy do środka? Życie może tu przybrać fascynujący obrót.

Kiedy Cloven Februaren zniknął z pola widzenia gwardzistów, znów zrobił zwrot w bok.

— Jak on to robi? — zapytała Anna.

Wszystkie dzieci zaczęły szczebiotać, Vali najgłośniej.

— Może to, co robi, byłoby jeszcze bardziej ciekawe.

— Śni Konstrukt — odparła Heris. — I tyle tylko musicie wiedzieć. I nie wolno wam tego nikomu powtarzać.

Hecht zerknął na Delariego. Nie dostrzegł niczego, co by wskazywało, że Delari mógł śnić, czy też „śnił Konstrukt”. Dlaczego nie? Jeśli to takie proste, że Heris była się w stanie nauczyć?

— Nie dokończyliśmy wieszery — powiedział Delari. — Możemy poczekać z dyskusją.

Spotkanie w wyciszonej komnacie od poprzednich różniło się tylko tym, że była obecna Anna. Wcześniej zawsze proszono ją, by poczekała na zewnątrz. Heris przybyła ostatnia, z kawą dla wszystkich. Miała w tej dziedzinie niezwykle zdolności. W parzeniu rzadkich i niezwykle drogich napojów.

Muniero Delari zamknął drzwi. Wyłożone piaskowcem były niezwykle ciężkie.

— Anno, jesteś niezwykłą osobą — powiedział. — Tak doskonałą dla naszego Pipera, jak tylko kobieta potrafi być.

— Ale?

— No tak. Jasne. Mam jedno ale. Wolałbym, żebyś nie uczestniczyła w tym spotkaniu. To, czego nie wiesz, nie zaszkodzi pozostałym. Ale mój dziadek mówi, że twoja niewiedza może być bardziej zabójcza dla ciebie i twoich dzieci. A wasza czwórka stała się dla nas bardzo ważna.

To było coś nowego. Hecht pił kawę w milczeniu małymi łykami, od czasu do czasu zerkając na Clovena Februarena. Starożytnego nie było tylko kilka minut. Siorbiąc kawę, wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Anna spojrzała na Hechta, szukając wsparcia.

— Nie wiem, dokąd on zmierza — stwierdził. — Ale nie powinnaś się lękać.

— Rzućmy się od razu na głęboką wodę — rzekł Delari. — Heris oprócz tego, że parzy genialną kawę, najlepszą w Brothe, jest starszą siostrą Pipera.

Hecht podskoczył. Po chwili uświadomił sobie, że wszystko, co Anna powinna wiedzieć, zawiera się w tym jednym zdaniu. Wiedziała o Heris o wiele więcej.

Anna długo milczała. W końcu powiedziała:

— Wszyscy jesteście spokrewnieni. Grade Drocker był ojcem Pipera. Co wiele wyjaśnia. Ale... — Popatrzyła na Hechta, szeroko otwierając oczy. — To ty wystrzeliłeś, doprowadzając do jego śmierci.

— Wtedy nie wiedziałem, kim jest. Wciąż nie jestem pewien, jaką to by zrobiło różnicę. Chciał mnie zabić. Wcześniej, też próbował. Dopadł moich dwóch przyjaciół. On też nie wiedział, kim jestem. Aż do czasu, kiedy trafiłem do regimentu miejskiego, kiedy moje życie zatoczyło krąg i zacząłem sam kształtować swoją karierę.

— A jego ojciec przejął to zadanie, kiedy go zabrakło.

Muniero Delari skłonił się lekko w stronę Anny.

— Piper, dolewkę kawy?

— Zawsze. Wiesz, że jestem uzależniony.

Cloven Februaren nachylił się bliżej Anny i scenicznym szeptem powiedział:

— Teraz nastąpi prawdziwie ponura część opowieści.

Delari się skrzywił.

— Nie możesz zachować krztyny powagi? Dwieście lat na karku. Najpotężniejszy czarownik na świecie. A każde z dzieci Anny jest poważniejsze i bardziej odpowiedzialne.

— Już jestem poważny, Muno. Nakładam surowe oblicze i zachowuję się stosownie do mego wieku.

Przelotny uśmiech złagodził rysy Delariego.

— Wie, co mówi, Anno. Pośrednio. Właśnie zostałaś dopuszczona do niezwykle niebezpiecznej wiedzy. Jedyni ludzie, którzy ją posiadają, znajdują się w tym pomieszczeniu. Inni... myślę tu między innymi o er-Rashalu al-Dhulquarnenie w Dreangerze... wiedzą jedynie, że Piper nie jest tym, za którego chce uchodzić. Żadne z nich nie zna całej prawdy. Nie zdołają jej poznać. Zapiski zostały zniszczone.

— Żeby nie owijać w bawełnę, jeśli ktoś to odkryje, to tylko wtedy, gdy ktoś z tego pokoju komuś o tym powie. A to nie byłoby specjalnie zdrowe dla niego — oznajmił Februaren.

— Ej! — wykrzyknął Hecht. — Nie waż się grozić...

— Słońce wschodzi na wschodzie. Morze wzbiera i się cofa. Ja tylko ustalam fakty. Suche fakty.

— Anno, narzekałaś, bo nie byłaś do końca związana z życiem Pipera — powiedział Delari. Anna skrzywiła się, patrząc na Heris. — A teraz, kiedy już jesteś, nie możesz odejść.

— Przybyłaś do Brothe z Sonsy, ponieważ nalegali na to sekretni pracodawcy twojego byłego męża — zauważył Dziewiąty Nieznany. — Czy wciąż meldujesz do al-Karn?

Zdenerwowanie Hechta rosło z każdą sekundą. To nie może się dobrze skończyć.

— Już od dwóch lat nie. Jestem pewna, że ci ludzie skreślili mnie, bo zbyt mocno zbliżyłam się do Pipera.

— To dobrze — odparł Februaren. — Skoro to wyjaśniliśmy, Piper, proszę, opowiedz nam o swoich przygodach.

Starzec i Delari prawie nie przerywali, choć Hecht niewiele dopowiedział do tego, co Februaren już wcześniej odkrył podczas swoich sporadycznych eskapad. Obaj wydawali się szczególnie zainteresowani Asgrimmurem Grimmssonem.

— Co z nim zrobiłeś? — zapytał Delari. — Z całą pewnością chciałbym z nim pogadać.

— Ja też — dodał Februaren. — Z człowiekiem, który stał się Delegaturą Nocy i na powrót istotą ludzką. Ciekawa sprawa.

— Jest ukryty w komnacie takiej jak ta pod Castellą. Mam nadzieję, że nie przyciąga niczyjej uwagi. Nie wiedziałem, gdzie mam go umieścić. Chce, żebyśmy mu pomogli uwolnić Starych Bogów, których uwięził po tym, jak zmienił się w potwora. Niezamierzoną konsekwencją tego czynu było uwolnienie Kharoulke Wędrowca Wiatru. I to, że świat staje się rajem dla stworów jego pokroju.

— Jeszcze kawy, Anno? — zapytała Heris.

— Nie. Mam już dość. Wszystkiego mam dość. Muszę pobyć trochę sama. — Jej świat stał się o wiele bardziej przepastny i mroczny, niż był jeszcze przed chwilą.

Kiedy Hecht szykował się do łóżnicy, podsłuchał, jak Vali pyta Annę:

— No to powiedzieli ci w końcu, co się dzieje?

— Tak. I teraz żałuję, że nie pilnowałam własnego nosa.

- Devedianie mówią: „Z czarownikami nie ma gadania”.
- Co świadczy o tym, że są mądrzejsi, niż nam się wydaje.

Naczelnny wódz przeprowadził inspekcję zniszczonej cytadeli Bruglionich. Towarzyszyło mu czterech gwardzistów oraz oddział strzelecki Kaita Rhuka.

Twierdza Bruglionich zajmowała kilkanaście mocno zabudowanych akrów. Otoczona była kurtyną murów, w których obrębie znajdowały się ogrody i zabudowania gospodarcze oraz forteca służąca rodzinie za dom i kwaterę.

Teraz była to jedynie wielka, dymiąca dziura w ziemi.

— Panie, nadchodzi pułkownik Ghort we własnej osobie — wyszeptał Madouc.

Ludzie podśmiewali się z wiejskiego akcentu Pinkusa Ghorta — który pojawiał się i znikał z przyczyn znanych wyłącznie samemu Ghortowi — oraz ze sposobu, w jaki się ubierał. Ale Hecht słyszał wyłącznie Ghorta, który szkalował inteligencję Pinkusa Ghorta.

— Pewnieś musiał szybko brać dupę w troki, żeś tu tak szybko zlądował z Alten Weinbergu, Pipe.

— Musiałem wypełnić obietnicę. Co się tutaj stało?

— Wypadek z prochem. Możesz mi wierzyć lub nie, ale kilku przeżyło. Większość sług. Gerwazy Saluda i Paludan Bruglioni, obaj. Ale są ciężko ranni. Paludan może nie przeżyć. Saluda właśnie wychodził, kiedy to się stało. Spadł krużganek i zgruchotał mu giczały. Pewnie już se nie zatańczy. Reszta rodziny jest tam, w dole. Wraz z wartym fortunę zbiorem rzadkich win. Tak mi mówiono. — Ghort wydawał się bardziej przejęty stratą wina niż zagrzebanymi Bruglionimi.

— Mieli solidną piwniczkę z tego, co pamiętam. Pewien jesteś, że to wypadek?

— Ludzka głupota w najczystszej postaci. Mamy świadka, który słyszał, jak ten idiota bratanek Bruglionich przechwalał się, że ma zamiar wykraść trochę prochu i zrobić z niego fajerwerki. I miał ze sobą kaganek zamiast zamkniętej lampy.

Hecht spojrział na rumowisko. W dziurze wciąż kłębił się kurz miotany wiatrem. Starał się wyegzorcyzmować cynika w sobie.

— A kto by na tym skorzystał, gdyby jednak to nie był wypadek?

— Ci sami, którzy skorzystają, jeśli był. Każda z Pięciu Rodzin, która nie nosi nazwiska Bruglioni. To powinno załatwić ich rodzinę na dobre.

— Proszę o pozwolenie wtrącenia się, Naczelnny Wodzu — odezwał się Kait Rhuk.

— Mów.

— Panie pułkowniku, po co było Bruglionim aż tyle prochu? Poza tym, od strony prawnej, proch powinni robić wyłącznie dla nas, ludzi Patriarchy.

— Słuszna uwaga — stwierdził Hecht.

Pinkus Ghort nie patrzył mu w oczy.

— W Kolegium mówią, że oni są częścią patriarszych sił zbrojnych, Pipe. Patrząc na to trzeźwo i realistycznie, wytwórcy prochu produkują go więcej, niż kupujecie. Twój podbój Artecipei rozwiązał problemy z dostawami saletry. Mają niezły zysk z dodatkowej produkcji.

— j być może pewne osoby odpowiedzialne za przestrzeganie zasad też dostawały swoją działkę.

Hecht spojrział złym okiem w stronę devediańskiej dzielnicy, jednak jeszcze bardziej irytował się sam na siebie niż na tamtych. Powinien był to przewidzieć.

Nic bardziej nie wspomagało redystrybucji bogactwa niż nowe środki do zabijania. Choć skuteczne posługiwanie się i obchodzenie z prochem z całą pewnością wymagało pewnych umiejętności.

Fachowiec od posługiwania się prochem, Kait Rhuk, zapytał:

— Ile czasu upłynie, zanim nasi wrogowie będą dysponowali arsenałem strzeleckim?

— Niech zgadnę — rzucił Hecht. — Tyle, ile komuś zajmie opracowanie dobrej formuły na proch?

Rhuk parsknął.

— Gdyby to była prawda, już mielibyśmy pełno zbirów z zabawkami na proch. Formuła nie jest żadną tajemnicą. Każdy aptekarz i chemik w Brothe ją zna. Nie wie natomiast, jak dobrze połączyć składniki w praktyce. Gdybym ja miał takie zadanie, to umieściłbym kogoś naprawdę zaufanego na stałe w manufakturze Krulika i Sneigona. Matkowałbym mu za dnia i w nocy. Wykorzystałbym kogoś, kto w przypływie złego nastroju lubi poderżnąć komuś gardło. Kogoś, kto nie jest oślizłym padalcem i nie czeka, żeby się wzbogacić na łapówkach.

Naczelnny Wódz nie miał zamiaru działać w ten sposób. Ale rozumiał jego punkt widzenia. Obecnie ludzie goniący za szybkim zyskiem z radością opchnęliby najbardziej mordercze narzędzia najgorszemu wrogowi własnego państwa czy narodu, zupełnie ślepi, że takie działanie może im się szybko odbić czkawką.

Rhûn miało straszliwą tajną broń. Nazywali ją nefronem. Była to gęsta, ciężka ciecz, która podpalona nie dawała się ugasić. Musiała się sama wypalić. Rhûnijscy kupcy nie chcieli sprzedać formuły, ale ochoczo handlowali samym nefronem, sprzedając go nawet sha-lugom, którzy używali go na żołnierzach Wschodniego Imperium.

Ludzki umysł, zdawało się, nie był dostatecznie obszerny, by ogarnąć obowiązek wystrzegania się zysków, jeśli zapewniały je środki do wykończenia sąsiada.

— Ej, Pipe. Zasnąłeś? — rzucił Pinkus Ghort.

— Co takiego?

— Zawędrowałeś gdzieś w tej swojej łepetynie. Myślałem, żeś komara przyciął.

— Nie tak znów daleko, Pinkus. Znając ciebie, masz już swoje źródółko najprzedniejszego wina w mieście. I znalazłeś sposób, żeby wiedzieć, co w podziemiach piszczy.

Ghort zamachał rękami, jakby się bawił wagą o chybotliwych szalkach bądź też dużymi piersiami.

— Tak więc. Azaliż. Ale, no nie, naprawdę, muszę robić ten spektakl, żeby zadowolić senat.

— Musisz zadowolić, ale Bronte’a Doneto. Jego i tych staruchów z Kościoła. A nie staruchów miejskich.

Ghort wzruszył ramionami.

— To mniej więcej ta sama ekipa.

— Chcą cię zajechać. Mam rację?

— A skąd wiesz?

— Nie powiedziałaś na nich ani jednego złego słowa.

— Człowiek przyzwyczaja się do regularnych posiłków.

Hecht udał rozbawienie.

— Az tym co zrobisz? — Wskazał na dziurę, na której do niedawna stała cytadela Bruglionich.

— No chyba chycę się za szuflę i zacznę to zasypywać. Ale tobie zdaje się nie o to chodziło.

— Nie. — Uśmiech.

Nastawienie do życia było kluczową substancją, z której stworzono Pinkusa Ghorta.

— Ściągnę tu stare pryki z Kolegium, żeby pokazali, co potrafią. Niech mają, niech się popisują. Te relikty przeszłości mają tak wielkie ego, że nie uwierzyłybyś. Kiedy dojdą do tego, że to był naprawdę wypadek, wtedy chycę za moją szuflę. Jeśli stwierdzą, że to czyjaś sprawa, to będę ścigał tego drania i zaciągnę go błagającego, bym go nie wydawał Bruglionim.

— No i tak trzymać, Pinkus. Może przyszedłbyś do miejskiego domu księcia Delariego w któryś wieczór. W Alten Weinbergu nabyłem pół tuzina butelczyn przedniego białego wina.

— Ej. Jak miło, że pomyślałeś.

— Prawda? Ostrzegam cię jednak, to jest dziwny trunek.

— Dobrze. Słyszałem, żeś miał prywatną audiencję u samej Cesarzowej .

— Miałem. Zaproponowała mi pracę.

— Kurde. To dopiero bagno. Chyba odmówiłeś?

— Odmówiłem. Nie jestem gotów wejść w nowy świat pełen pokręconych staruchów, którzy patrzą tylko, jak by mnie tu wsadzić na minę.

— Wyczuwam smrodek cynizmu, Pipe. Obiecałeś, że popracujesz nad tym.

— I pracuję. Każdego dnia, zaraz po modlitwie.

— To jakoś mnie specjalnie nie utwierdza. Czyja kiedykolwiek zastałem cię przy modłach? Jakoś nie przypominam sobie.

— Bo trzeba być podstępny i szybkim. Staram się, żeby to była sprawa wyłącznie moja z Bogiem.

Ghort parsknął śmiechem.

— Ja już się nawet nie spinam. Mój Bóg wyszedł pięć wieków temu na popijawę i nie ma czasu na błahe sprawy śmiertelników.

Hecht rozumiał nastawienie Ghorta, ale sam nie potrafił odnaleźć Najwyższego. Kimkolwiek by był.

— A co knuje twój szef? — zapytał.

— O co ci chodzi?

— Jak się zachowa, kiedy zabraknie Bonifacego? Mam nadzieję, że nie postawi ciebie i mnie w trudnym położeniu.

— Masz na myśli wyegzekwowanie Umowy Viscesmenckiej?

— Złożyłem przysięgę.

— A regiment miejski w całej swej potędze i doskonałej kondycji będzie z błogosławieństwem tłumił bunt.

— Może być tego za dużo jak na ciebie. Krois albo Castella mogą się skrzyknąć, a wtedy stanie tu sześć tysięcy patriarszych weteranów w jedną noc. Piętnaście tysięcy w tydzień. Będzie tylko jeden następny Patriarcha.

— Wstrzymaj konie, Pipe. Nie ma co się tak gorączkować.

— Ja tylko chciałem przedstawić swoje stanowisko.

— Słyszałem, przyjąłem. Ale nie licz na to, że będziesz powszechnie lubiany.

— Muszę zrobić to, co należy.

— Poddaję się. Za sto lat to i tak nie będzie miało większego znaczenia.

Nie było już o czym rozmawiać. Hecht nie widział celu takiej rozmowy. Trudno było zmusić Ghorta, by zaczął się przejmować tym, co będzie za tydzień.

— Opowiedz mi o twoich bogobójczych przygodach w Connec — poprosił Ghort. -1 w Alten Weinbergu. Jak było?

— Audiencja u Cesarzowej była bardzo ciekawa. Wesele było długie, nudne i wystawne. A do tego mocno przesadzone.

— Nie mów? Czy Katrina wciąż jest tak ładna jak wtedy, kiedy widzieliśmy ją w Plemieniu?

— Czas nie był dla niej łaskawy. Tron Graala to okrutny tyran.

— Sama jest sobie winna. Zmieniła stronę w imperialnych sporach z Kościołem.

— Z całą pewnością to też. Poza tym z Jaime'em też nie ma lekko.

— A co, nie jest już dużym bohaterskim przystojniakiem?

— Nie takim znów dużym. Z całą pewnością jest przystojny, na południową modłę. I dobrze się prezentował w Los Naves de los Fantas. Jak mówią. Ale niewiele się różni od naszego niegdysiejszego przyjaciela, biskupa Serifsa.

— No to kłapa.

— A Katrin nie chce tego dostrzec.

Ghort gapił się w głąb dziury.

— Czy widzisz, jak coś się tam rusza, Pipe?

— Gdzie?

Ghort wskazał.

Mrużąc oczy, Hecht zaczął coś dostrzegać...

— Rhuk! Do mnie!

Kait Rhuk odepchnął na bok gapiów i wycelował hakownicę w głąb dziury. Gwardziści zbliżyli się.

— Ej, wy! — warknął Hecht. — Cofnąć się! Rhuk, masz lepszy wzrok ode mnie i od pułkownika Ghorta. Coś tam się rusza w dole, tam, gdzie widać połamane meble. Wyceluj w tę stronę.

— Wygląda, jakby ktoś machał do nas — stwierdził Rhuk.

— Wyślę kogoś na dół — powiedział Ghort.

— Proszę, niech podejda z boków — powiedział Rhuk. — Nie chcą przecież się znaleźć na linii ognia.

Ludzie Ghorta już schodzili z obu stron w dół. Rumowisko zaczęło się przesuwać.

— Genialnie, powinni byli obwiązać się linami — rzucił Hecht.

Odpowiedź Ghorta utonąła w ryku hakownicy.

Kiedy dzwonienie w uszach ucichło, Hecht usłyszał, jak Rhuk krzyczy:

— No i jak, dobry jestem, co? Powaliłem go pierwszym strzałem!

Naczelny Wódz ugryzł się w język. Później będzie można obsobaczyć Rhuka. Nagle coś poczuł — słaby, choć dobrze znany odór. Ten smród pojawiał się wszędzie tam, gdzie hakownicą trafiała w Delegaturę Nocy.

Odór zatarł się po chwili. Ekipa Rhuka przy użyciu lin miejskiego regimentu zeszła do jamy uzbrojona w dzbany, których używali do zbierania pozostałości zabitych stworów.

— Twoi ludzie są naprawdę mistrzami w tym fachu, Pipe — stwierdził po chwili Pinkus Ghort.

— Tak. Rhuk czasami mnie przeraża. — Hecht podrapał się po lewym nadgarstku.

Rhuk często przerażał i samego siebie. Kiedy wykopywali kopące się gorące jajo z rumowiska, wybił dziurę w kruchej ścianie, otwierając rodową kryptę Bruglionich. Tkwiło tam uwięzionych kilku ludzi. Wspinali się teraz po jego plecach, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w świetle.

Mniej więcej wtedy Hecht po raz pierwszy dostrzegł starca w brązach wśród gapiów. Musiał porozmawiać z Dziewiątym Nieznanym. Jego amulet

nie ostrzegł go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Przy późnej kolacji Februaren zauważył:

— To nie był pełnokrwisty baron Nocy. Ale prawie. Nie powinieneś mieć już problemu z zabiciem go, Muno. Ten potwór wyłaził ze skóry, by się stać główną atrakcją parady potworów.

Hecht nie zrozumiał. Książę tak. Wystarczyło.

— Tego ranka pojawił się problem. Mój amulet nie ostrzegł mnie — powiedział Hecht.

Februaren zmarszczył brwi.

— Nic a nic?

— Miałem tylko uporczywe swędzenie. Zaczęło się, kiedy Rhuk go zastrzelił.

— Dostosowują się. Będę musiał zrobić poprawki. Może przodek by pomógł.

— A jak ci idzie z moją ulubioną Delegaturą? — zapytał Hecht.

— Z bezdusznym?

— Tylko takiego posiadam. Nawet nie wiem, gdzieś go przeniósł.

Staruszek nalegał, by bezdusznego zabrać z Castelli, z dala od wścibskich członków Bractwa. Szczególnie z dala od Referatu do Specjalnych Poruczeń oraz jego Łowców Czarownic.

— Siedzi zamurowany w wieży. Bez drzwi. Bez okien. I więcej nie musisz wiedzieć. Przekazuje mi informacje o sobie. I opracowuje plan, by... Ale tego też nie musisz wiedzieć.

— Dlaczego nie?

— Wykazałeś się ostatnio niezwykłą gadatliwością.

Wszyscy zamilkli. Cały stół wpatrywał się w Hechta.

On czekał na wyjaśnienie.

— I nawet o tym nie wiesz. Kto składał przysięgę, że nie ujawni, o czym rozmawiałeś z Cesarzową w wyciszonej komnacie? Kto od tamtej pory wychłapał o tym każdemu wdzięcznemu słuchaczowi?

— Była szczelina?

— Był tuzin szczelin. W suficie. W podłodze. To stara komnata. Osiada. A oni nie naprawiają. Dlaczegoś złamał słowo?

— Przykro mi. Nie pomyślałem o tym. Ale to przecież nic wielkiego.

— Dla ciebie. Dla ciebie może to betka. Popatrz na mnie! Cesarzowa Graala chce, żebyś został jej Naczelnym Wodzem. Ale dla niej ta propozycja jest niezwykle niezręczna. Ma wszędzie wrogów. Na szczęście dla was obojga sprawiłem, że ci, którym powiedziałeś, zapomnieli o tym. Mam taką nadzieję. Nie wiem, co mogli pospisywać.

Hecht poczuł się jak mały chłopiec przyłapany na gorącym uczynku. Naprawdę przysięgał. I powinien mieć na tyle rozumu, by dostrzec wszelkie potencjalne konsekwencje dla Katrin. W rzeczywistości widział je. Ale nie zastanawiał się nad nimi dłużej.

— Może nie jestem dostatecznie biegły, by działać w takiej nietypowej politycznej atmosferze.

— Nic ci nie będzie — zawyrokował Februaren. — Jak się skupisz na swojej pracy. I jak nie będą cię rozpraszały myśli, które powinienes odgonić.

Czas na zmianę tematu.

— Widziałeś już mojego brata?

Znów wszyscy jak jeden mąż popatrzyli na niego.

— Nie. Pracuję od świtu do zmierzchu, starając się wtłoczyć dodatkowe minuty w cały dzień, żebym miał czas zrobić coś, co muszę obok tych spraw, których wszyscy ode mnie oczekują.

— O jakim ty bracie mówisz? — zapytała Heris.

— Jakiś żołnierz w Grumbragu podaje się za brata Pipera Hechta, za Tindemana — odparł Hecht. — Odnalazł go Bo Biogna. Przekonał Bo. Myślę sobie, że nie znaleźli wspólnego języka.

— Wydawało mi się, że cała twoja rodzina nie żyje, tato — odezwał się Pella.

— Mnie też. Wciąż tak uważam.

— W takim razie kim...?

— To oszust.

— Ale...

— Nie ma sensu spekulować, dopóki z nim nie porozmawiamy. — Przychodziło mu do głowy kilka możliwości, wszystkie wiązały się z ingerencją zła.

— Odnajdę go — powiedział Dziewiąty Nieznany. — Gdy już zakończę bardziej naglące sprawy tutaj. Przejście na Bellicose'a powinno odbyć się

gładko. I chcę, żebyśmy wszyscy wyszli z tego bez szwanku. Szczególnie Piper.

— Ja mogę tam pójść — zaproponowała Heris.

Februaren i Delari skrzywili się, jakby zjedli cytrynę. Obydwaj pokręcili gwałtownie głowami.

— Mówiłeś, że jestem gotowa, by manipulować Konstruktem — mruknęła Heris.

— Nie aż tak gotowa — odparł Februaren. — Nie na tyle, żebyś mogła udać się tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłaś. Nie tak daleko.

Delari zapytał nie bez cienia uprzejmości:

— A w jakim języku mówią w Grumbragu?

Heris oklapła jeszcze bardziej.

— Prawdopodobnie w kilku. Włącznie z kościelnym brotheńskim.

— Może i tak. Jeśli będziesz miała przesłuchać biskupa albo kogoś wykształconego, to sobie poradzisz.

— Masz tutaj mnóstwo zadań, Heris — stwierdził Februaren. — Ale daleka droga przed tobą w romansie z Konstruktem, zanim zaczniesz odwiedzać miejsca, w których nigdy nie byłaś. Muno tego nie potrafi.

— Muno nie potrafi wiele, jeśli chodzi o Konstrukt — zauważył Delari. — Czegoś brakuje temu facetowi.

— Jeśli mówisz otwarcie Konstruktwi, że nie możesz się z nim połączyć, Muno, to on trzyma cię za słowo.

— Tak, dziadku.

Obaj mężczyźni spojrzeli na swoją publiczność. Ta starożytna dysputa prawdopodobnie trwała przy narodzinach wszystkich obecnych w sali.

Ale nie trzeba było jej teraz ciągnąć. A już na pewno nie na oczach dzieci. Hecht walnął w stół.

Februaren rzekł:

— Dzieci, nie powtarzajcie niczego, co usłyszycie w tym domu. Zrozumiano?

Pella, Lila i Vali z oczami wielkimi jak spodki pokiwali głowami, bo żadne z nich nie widziało starożytnego w takiej powadze.

— Życie zależy od waszego milczenia. — Zwrócił się do Hechta: — Przechwałki doprowadzają zbirów na szafot, a ludzie posiadający wielkie tajemnice odsłaniają się przed swoimi wrogami. To ta kapuścianogłowa ludzka natura. Wszyscy chcemy uchodzić za wybitnych. Wiedza na jakiś

temat jest jednym z najlepszych sposobów, aby to sprawić. — Februaren popatrzył wilkiem na dzieci. — Najprawdopodobniej będzie chodziło o wasze życie. Jeśli jakiś łotr stwierdzi, że coś wiecie, może użyć tego przeciwko Munowi albo Piperowi.

— Skoro tak jest, dlaczego by nie powziąć stosownych kroków? — Hecht pogładził się po lewym nadgarstku.

— Może jeszcze będą z ciebie ludzie, mój chłopcze. Tylko że to oznacza, iż szybko do twojego brata się nie wybiorę.

Anna była tej nocy niezwykle uległa w łóżnicy. Zrozumiała, że mocno ugrzęzła w walce z Nocą. A ci, na których jej zależało, zostali wciągnięci równie głęboko, jeśli nie głębiej.

— Piper, dzieci na to nie zasługują. Już i tak tyle wycierpiały.

— Wiem. — Nie przypominał jej, że cała trójka i tak miała więcej szczęścia niż większość sierot.

Naczelnny wódz wezwał Krulika i Sneigona na spotkanie, które zdeprymowany Kait Rhuk nazwał „Przyjdźcie do Studni Pokuty”. Nie trwało długo. Ani Krulik, ani Sneigon nie mieli okazji się odezwać. Rhuk, wspierany przez Bractwo z Castelli, skonfiskował ich księgi.

Zamęt miał skłonić devów do rozmowy między sobą. Człowiek, który odwraca się bokiem, był w stanie podsłuchać i odkryć tajemnicę umów sprzedażnych, które wymazano z ksiąg.

Hecht nie chciał konfiskować prochu czy broni sprzedawanej na boku. Nie miał takiej władzy. Ale użyteczna była wiedza na temat tego, dokąd trafiły.

Większość sekretnej sprzedaży Krulika i Sneigona poszła do Imperium Graala, do ludzi, którzy nie mieli najlepszego mniemania o swojej Cesarzowej.

Katrin miała szczęście, że jej oponenci zbyt sobą wzajem gardzili, by połączyć siły. Mordercze walki wewnętrzne były ulubionym od wieków sportem wśród imperialnych wielmoży.

Johannes Czarne Buty utrzymywał pokój. Lothar nie wytrwał na tyle długo, by popełnić większe błędy. Pokój Katrin trwał, gdyż każdy łotr wiedział, że z cieni obserwuje go Ferris Renfrow.

Czy dostawa hakownic zmieniałaby cokolwiek w tym układzie?

Niepodobna. Nawet najlepsza broń nie miała zastosowania, wyjąwszy Noc. Ich wartość na polu bitwy była raczej psychologiczna niż praktyczna. Hałasowały strasznie i pluły dymem.

Kiedy nadszedł kres Bonifacego VII, wbrew staraniom Dziewiątego i Jedenastego Nieznanego nie doszło do żadnych zamieszek. Bellicose znajdował się w swojej komnacie, modląc się za duszę Hugona Mongoza. Podobnie jak medycy i najważniejsi książęta. Historia domagała się świadków.

Były również obecne dzieci Hugona Mongoza, splodzone, zanim starzec zagustował w chłopcach i odstawił kobiety.

Kolejnych czterdzieści osób czekało przed drzwiami komnaty boleści, wśród nich Naczelnny Wódz sił patriarchalnych oraz pieszczołek Bonifacego, Armand — wyraźnie zalękniony z powodu obecności Naczelnego Wodza i bardzo zmartwiony.

Hecht czekał w towarzystwie Addama Haufa, jednego z Mistrzów Bractwa. Hauf przybył z Runch w Staklirhod. Był wysokim mężczyzną po pięćdziesiątce, składającym się wyłącznie z mięśni oraz wygarbowanej słońcem skóry. Nie pamiętał też, że dawno temu skrzyżowali miecze w Ziemi Świętej.

— Księżniczka boi się o swoje łakocie i zabaweczki — zauważył Hauf.

— Nie marnuj na niego czasu. Zawsze był pod czyimś butem. W każdej chwili może sobie znaleźć nowego opiekuna.

Hauf mruknął coś pytająco. Więc Hecht wyjaśnił. Nie ujawniając, kim Armand jest w rzeczywistości.

— Najwyraźniej się ciebie boi — stwierdził Hauf.

— Jestem bliskim znajomym księcia Delariego. Kochankiem, którego porzucił, by mógł sobie upolować Patriarchę.

— Jakież zaszłe żale?

— Nie ze strony mojego znajomego. Cieszył się, że się go pozbył. Utrzymywanie go było bardzo ryzykowne. — Oraz utrzymywanie Armanda z dala od tajemnic. Z tego, co Delari wiedział, ten cały Armand szpiegował dla Ferrisa Renfrowa.

— Znasz tego człowieka z Viscesment. — Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Byłem pod wrażeniem. Jest jak drugi Bonifacy. Od samego początku przemawiał językiem ognia i siarki. Natarł na Stowarzyszenie z niezwykłą zaciętością. Wziął się w garść, kiedy Bonifacy przemówił mu do rozumu. Ma jednak tę samą wadę — kiepskie zdrowie. Nie pożyje długo. I nie widzę żadnego sensownego sukcesora. Za chwilę będziemy mieli gryzące się kundle, jak zwykle.

Uwagę o prześladowaniu Stowarzyszenia Hauf skwitował skinięciem głowy. Stowarzyszenie na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji nie pałało miłością do Bractwa Wojny. Bractwu nie podobało się obsesyjne skupianie się Stowarzyszenia na herezji w Connec. Tamowało to napływ posiłków w walce o Ziemię Świętą. Była to walka, którą należało zakończyć, najlepiej przed wszystkimi innymi.

Ksiązę Flouroceno Cologni wyszedł z komnaty Bonifacego. Czterech prowincjałów z Pięciu Rodzin czuwało przy konającym Patriarsze. Gerwazy Saluda nie doszedł jeszcze do siebie na tyle, by zająć miejsce w imieniu Bruglionich.

— Jego Świątobliwość zszedł z tego świata — oznajmił Cologni.

Słudzy i pomniejsi kapłani wypadli na zewnątrz. Należało dopilnować różnych form żałoby. Przystąpili do niej niezwłocznie.

Wśród tych, którzy wybiegli na zewnątrz, Piper Hecht zwrócił szczególną uwagę na Fellaua Humię, dziwną kreaturę ostatnio wyniesioną do rangi arcybiskupa Salpeno przez króla Regarda. Czyli przez Anne z Menandu. Jak zwykle w wypadku ważnych osób ze stolicy Am-handu, Humiea został oskarżony o pokładziny z królewską matką.

— Kłopoty? — zapytał Hauf, zauważywszy spojrzenie Naczelnego Wodza.

— Być może. Nie wiem, co sobie wyobrażają w Salpeno.

— Nie płakałbym, gdyby jakiś głaz spadł z nieba i zmiażdżył Anne z Menandu. Jedyne wsparcie, jakie dostaliśmy ostatnio z Arnhandu, to jej syn Anselin na czele sześciu rycerzy.

— Nie widzi żadnych osobistych korzyści w wyzwaniu Ziemi państw krzyżowców. — Hauf parsknął śmiechem.

— To mogłoby się udać. Jednak pewnie odarłaby Ziemię Świętą z wszelkich skarbów i świętych przedmiotów i porzuciła ją na pastwę Niewiernego.

Hecht pokiwał głową. Może i była w tym lekka przesada. Ale jeśli chodzi o Anne z Menandu, każda pogłoska zawierała ziarno prawdy.

— Moja warta się skończyła. Powinienem wrócić do Castelli, sprawdzić, czy nie ma jakichś wieści z Connec.

— Trudno tak dowodzić kampanią na odległość setek kilometrów.

— W istocie, trudno. Miałem niemal nadprzyrodzone szczęście, że udało mi się zebrać fachową, zaufaną ekipę i korpus oficerski. Nie tęsknią przesadnie za mną.

— Ciekawe zjawisko. Nieznane poza zakonami zbrojnymi, przynajmniej od czasów Starego Imperium.

Naczelny Wódz czuł się coraz bardziej nieswojo. Mistrz Hauf mógł coś sugerować. Może nawet oskarżać.

— Panie?

— Zastanawiam się tylko nad tymi niezwykłymi oddziałami, które udało ci się stworzyć na przestrzeni ostatnich kilku lat. Armia, która nie rozchodzi się do domów na zimowe leże, nie sady ani nie zbiera plonów. Armia niestworzona pod przywództwem tych, którzy dowodzą nią za sprawą urodzenia.

— To taka moja mała herezja — przerwał mu Hecht. — Dopóki mój pan nie oponuje, wybieram sobie oficerów, którzy wyróżniają się talentem dowódczym. Ponadto żaden z wysoko urodzonych się nie kwapi, by dołączyć do Patriarchalnych.

— Ludzie szlachetnie urodzeni przychodzą do nas. Albo sami gromadzą siły, by odebrać Ziemię Świętą. Słyszałeś coś o naszym przyrodnim bractwie w tamtych rejonach, o Rycerzach Graala?

— Ostatnie wieści stamtąd mówiły o tym, że moi bracia mogą wciąż żyć. Jestem skłonny w to uwierzyć. Wyjechałem stamtąd w czas zawieruchy. Poganie znaleźli przywódcę, którego akceptuje większość plemion.

Zatrzymał się i zadrżał, jakby chciał się otrząsnąć z bolesnych wspomnień.

Mistrz Hauf pokiwał głową.

— Jakaś nowa groza tam się znów szykuje. Nadeszły wieści po szlaku bursztynowym, przez Wschodnie Imperium, o ataku na twierdzę Zakonu Graala, Stranglhormn. Rycerze Graala odparli atak. Ale zachowanie napastników i wspierająca ich magia są bardzo niepokojące.

Hecht już ruszył i wolno skierował się do Castelli. Addam Hâuf szedł w tym samym kierunku.

— Stawaliśmy już oko w oko z dziwaczością i magią w Calzirze i Artecipei. Wciąż zaprowadzamy ład w Connec — rzekł Hecht.

— Zgaduję, że chodzi mniej więcej o to samo.

— O Kharoulke Wędrowca Wiatru.

Mistrz Hauf wyglądał na przestraszonego.

— Mówi się o tym. Prowincjałów to zajmuje. Podobnie jak ludzi, których spotkałem podczas mego pobytu w Alten Weinbergu. Tak więc dzieło się dokonuje. A jaką ma wagę, czas pokaże.

— Proszę powiadomić Bractwo, Mistrzu, gdy się dowiesz czegoś ciekawego. Jeśli łaska.

— Oczywiście. Choć zdaje się, że jesteś lepiej poinformowany niż ja. Ja nie słyszałem o ataku na Gurethę. Ciężko było?

— Poganie niszczyli wszystko z jeszcze większym zapamiętaniem.

— Nigdy nie byłem w Gurecie. To podobno wspaniałe miasto, jeśli mierzyć miarką tamtej części świata.

— Myślę, że i tak niedługo lód je pochłonie.

Piper Hecht zaszył się wraz ze swoimi kompanami w jednej z wyciszonych komnat w Castelli. Siła przyzwyczajenia. Nie miał zamiaru dzielić się żadnymi tajemnicami, ale nigdy nie było pewne, czy ktoś nie chlapnie czegoś, co wywoła przyspieszony puls u jakiegoś człowieka z gumowym uchem.

— Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o Mistrzu Haufie. Żadne ptaki o nim nie ćwierkają.

— Bechter mówi, że był nowy w komandorii w Castella Anjela dolla Picolena — zaczął relacjonować Buhle Smolens. — Przybył do Runch prosto z Ziemi Świętej z opinią dobrego dowódcy w polu. Jego rodzina ma koneksje z lordami kilku państw krzyżowych, ale on sam nie jest politykiem. Szczyci się tym, że al-Sul Halaladin zalicza go do grona swoich przyjaciół.

— Jak to możliwe?

— Mieli okazję popełniać nikczemności, ale nigdy się nimi nie splamili. Bechter uważa, że awansowano Haufa, ponieważ jest zbyt uczciwy i honorowy. Znaleźli się tacy, którzy chcieli się go pozbyć z Ziemi Świętej.

Tam, gdzie brak skrupułów, moralności i honoru zaczął źle wpływać na wizerunek Bractwa. Bechter uważa, że Hauf poszukuje kilku dobrych braci, by pomóc zdławić korupcję wewnątrz Bractwa.

— Interesujące. Dość dziwne, ale ciekawe. Prześlijcie mu informacje, które mamy na temat Łowców Czarownic z Sonsy. I powiedzcie coś jeszcze o Haufie i Indali.

Pułkownik Smolens zaczął zawiązać opowieść o zdradzie i męstwie z Rogertem du Tancret w roli głównej, o pogwałceniu świętego pokoju, porwaniu siostry Indali i orędownictwie Bractwa w tej sprawie. W osobie Addama Haufa. Jego wysiłki zapobiegły wojnie, która mogła wciągnąć w konflikt praman z trzech kaifatów. W rezultacie kilka górskich hrabstw w północnym regionie Ziemi Świętej przeszło spod panowania chaldaran pod władzę praman.

Rogert du Tancret nic sobie z tego nie robił. Wciąż ich prowokował.

— Rogert nie obawia się nikogo, bo ma swoją niezdobytą fortecę Gherig — zauważył Smolens.

Kiedyś, gdy jeszcze nazywał się Else Tage, Hecht widział Gherig. I nawet z takiej odległości ta forteca rzucała złowrogi cień.

Niektóre — większość — twierdzi to tylko kupy skał, bez względu na wielkość. Gherig jednak posiadało osobowość. Siedziało przyczajone na kamiennym szczycie góry niczym siedlisko ziemskiego zła. Emanowało aurą czegoś straszliwego, co może w każdej chwili uderzyć.

Nie. Zło to nie to. Gherig bardziej przypominało Noc. Twierdzę dobrą ani złą, taką, jaką ktoś postanowi sobie stworzyć. Gherig po prostu było potężne i drapieżcze. Oraz, co było aż nadto widoczne, znajdowało się obecnie w rękach pana, który bardzo do niego pasował.

— To nie jest dla nas istotne — stwierdził Hecht. — Mamy dość własnych problemów. W Connec.

— Dziś rano nadszedł list od Sedlakovy. Mają spore problemy z Gawronem, który za każdym razem staje się silniejszy i mądrzejszy, kiedy zabijają jakiegoś innego upiora.

— A jak go dopadli za pierwszym razem? Są jakieś raporty?

— Masz na myśli Starych Brothenów?

— Tak. Dowiedz się, w jaki sposób powalili go na tak długo, że udało się go spętać.

— Starożytni zgłębiali naturę boga, którego mieli zamiar uwięzić.

— Zbadajcie to. Ja idę do domu, choć tym razem mi się do tego nie pali. Pokłócimy się z Anną o to, że Pella pojedzie z nami, gdy znów wyruszymy.

Nie było specjalnych powodów, by pozostać w Brothe. Objęcie schedy przez Bellicose'a nie było kontestowane. Podnosiły się jedynie głosy sprzeciwu, że jeszcze nie wybrał sobie bardziej pokojowego miana na swoje rządy. Hecht potrzebował jedynie zgody nowego Patriarchy przed powrotem do Connec.

— Rad będę wyjechać stąd. Co mamy zrobić z Braunsknechtem?

— Ze Strachem?

— Właśnie z nim.

— Zabierzcie go z powrotem do Viscesment i powierzcie mu dowodzenie oddziałem Imperialnych.

— A ze mną?

— Zaciągnę was z powrotem i zagonię do roboty. Miałeś już swój urlop. Smolens parsknął szyderczo.

Hecht powiedział:

— Nie musimy tu siedzieć. Dobrzy i źli robią to, co im kazano.

— Tylko dlatego, że widzieli nowego, a wygląda niczym śmierć na rożnie do kebabów. Myślą, że nie przetrzyma nawet roku.

Hecht przelotnie widział Bellicose'a i był tego samego zdania. Ale Dziewiąty Nieznany uważał, że można mu pomóc.

— Może ich jeszcze wszystkich zaskoczyć.

— Mam nadzieję, że tak będzie. Dobrze mi się z nim współpracowało w Viscesment. — Smolens diametralnie zmienił front. — Naprawdę musimy zachować tu naszą obecność. Lobby kolegiackie i inspektorat będą żerować na Manufakturze Krulik i Sneigon. Te łotry będą sprzedawać broń każdemu, kto dobrze zapłaci.

— Zostawię Rhuka. Tak jak Prosek wciąż wpada na genialne pomysły. Tutaj będzie miał okazję je wszystkie na miejscu wypróbować. Dam mu narzędzia, by poradził sobie z tymi, którzy będą niegrzeczni.

Smolens podniósł stopę.

— Myślę, że na miejscu Krulika czy Sneigona wiedziałbym, że coś się święci. Przeniósłbym manufakturę w jakieś tajne miejsce. Może w kilka.

— Warto się nad tym zastanowić. — Hecht postanowił wspomnieć o tym Clovenowi Februarenowi. Starzec z pewnością doceni okazję do splątania komuś figla.

Wielkość eskorty Hechta najlepiej świadczyła o spokoju panującym w Mieście Matce. Ledwo czterech gwardzistów towarzyszyło mu w drodze do domu Anny Mozilli. I nikt na ulicy nie zwrócił na niego uwagi.

To oczywiście wywołało wzmożoną nerwowość Madouca. Jasne.

Minęło już trochę czasu, odkąd ktoś starał się dopaść Naczelnego Wodza.

Hecht zaskoczył Annę i złamał serce Pelli, nie spierając się w kwestii powrotu chłopaka w pole, kiedy pojawił się ten temat.

— Chcę, żebyś uczył się z Szarymi Mnichami u Świętych Założycieli — oznajmił Pełli. — Abyś poznał to wszystko, co trzeba wiedzieć, tak jak Titus.

— Coś się stało Titusowi? — przestraszyła się Anna. — Noë nic nie mówiła.

— Titusowi nie stało się nic takiego, czego nie ukończy wizyta w domu. Myślę teraz o Pełli, a nie o armii — powiedział ze znaczącym spojrzeniem.

Dzieci nie znały wszystkich powiązań Muniera Delariego i Clovena Februarena. Byli dla nich tylko miłymi, lecz dość dziwnymi staruszkami, którzy zaprosili ich do siebie. I dawali im drobne, lecz drogie podarki.

— A właśnie, przypomniałam sobie. Heris była tu dzisiaj. Księżę zaprasza nas na późną kolację. Przyjedzie powóz.

— Zaproszenie wsparte wymuszeniem.

— Mówiła, że starzec chce, żebyś odwiedził go przed wyjazdem.

— Naprawdę? — Nie miał sprecyzowanych planów. Chciał tylko zobaczyć się jeszcze z Pinkusem Ghortem. Chciał posiedzieć chwilę z tym człowiekiem, który był potworem. Chciał dobrze wyczuć polityczne prądy w Kolegium i w mieście.

— Zdecydowałeś już, kiedy wyjeżdżasz? — zapytała Anna.

— Nie. Dzisiaj dostałem wieści od Sedlakovy. Mają problemy.

Mieszkańcy Grolsach zaczynają się burzyć. Najwyraźniej hrabia Raymone nie może sobie z nimi poradzić.

— Nie mówiąc już o problemach z najazdami Amhanderów — powiedział księżę Delari, kiedy hrabia Raymone Garete pojawił się na kolacji. — Jak dotąd są to tylko niewielkie bandy. Kilku błędnych rycerzy na chabetach i źle uzbrojona ciżba pod wodzą jakiegoś słusznie wzburzonego weterana Stowarzyszenia przejętego przez Anne z Me-nandu, kiedy Bonifacy VII rozwiązał zakon.

— Czy będą kłopoty z tego kierunku?

— Mój dziadek tak właśnie myśli. Może kiedy wieści o bezkrólewiu dotrą do Salpeno.

Pod względem prawnym Bellicose musiał odczekać dwadzieścia sześć dni żałoby, zanim całkowicie przejmie rządy.

— Kazałem wysłać wici, kiedy tylko Bonifacy pożegnał się z tym światem — powiedział Hecht. — Amhandowie nie zaskoczą nikogo. Gdzie jest twój dziadek?

— Przybędzie później. W końcu udał się do Grumbragu. Stamtąd wybierał się do miejsca o nazwie Guretha.

— Potrzebna nam jego rada.

— Jak trwoga, to do Boga?

Turking i Felske krzatali się, wnosząc co chwila nowe dania. Pani Creedon pojawiła się dwukrotnie w drzwiach, najwyraźniej czekając na jakiś komplement. Hecht nie zwrócił na to uwagi. Ledwo zauważał obecnych, wyjąwszy starca, który zachowywał milczenie.

Heris skończyła jeść i poszła do kuchni.

Cloven Februaren spokojnym krokiem podszedł do jej miejsca i zajął je, po czym stuknął w stół głowicą swego noża.

— Wielki to dla nas zaszczyt, dziadku, że pojawiłeś się, zanim dołączyłeś do naszej kompanii — przywitał go Delari.

Februaren był brudny. I śmierdział. Dzieci, choć lubiły jego towarzystwo, teraz odsunęły się od niego.

— Jestem zbyt głodny. Wykonywałem pracę, która wzmaga apetyt. Nie mogłem znaleźć twojego brata, Piper. Myślę, że ktoś pracuje nad tobą. O reszcie porozmawiamy w wytłumionej komnacie. Jeść!

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— No co?

Heris wróciła z dzbankiem kawy. Turking i Felske pojawili się uzbrojeni w łakocie. Pani Creedon kraśniała cała w drzwiach kuchennych. Heris najpierw nałala kawy Hechtowi.

— Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestki — powiedziała.

I wtedy wszyscy zaczęli mu gratulować, że do niej dociągnął.

Nie mógł się odezwać. Nie ośmielił się niczego powiedzieć. Nie miał pojęcia o swoich urodzinach, a nawet nie był pewny swego dokładnego

wieku. Podejrzał, że Heris musiała to jakoś zbadać. Nie był w stanie zapytać o to.

— Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nie obchodziłem urodzin ani imienin. — Co było prawdą i kamuflował się, jak potrafił.

— Chciałam też zaprosić kilku twoich przyjaciół — stwierdziła Heris. — Pułkownika Ghorta i tego od zwierząt. I kilku innych. Ale dziadek robi się nerwowy, kiedy w domu są obcy.

— Panują trudne czasy — zauważył Delari. — Jediną właściwą reakcją jest zachowywać się jak przewrażliwiony paranoik.

Piper Hecht patrzył, jak dzieci smakują pierwszy łyk kawy w swoim życiu. Dwoje z trójki się skrzywiło, Vali jednak pokiwała głową z uznaniem. Żadne z nich nie miało oporów przed zaatakowaniem słodczy.

Zanim Hecht wziął swoją filiżankę do wytłumionego pokoju, zamienił kilka słów na osobności z panią Creedon.

— Odwiedziłem miasto Guretha — zaczął Cloven Februaren. -Mnóstwo tam trupów. Przeważnie niegurethańskich. Miasto jednak zostanie opuszczone. Chyba że klimat się zmieni. Nie zdoła przetrwać samodzielnie. Musi importować zboże. Ale Morze Płytkie oddaliło się tak bardzo, że wkrótce statki ze zbożem nie będą mogły tam dotrzeć.

Hecht opowiedział, co słyszał o Gurecie od Addama Haufa.

— Mniej więcej się zgadza. Mają lepsze połączenie przez Wschodnie Imperium.

— Albo przez bacznych obserwatorów czarowników — zawyrokował Delari.

— To też. Z Gurethy udałem się do kilku innych miejsc na granicy lodów. Wszędzie jest tak samo. Zawzięte dzikusy i coś, co nie jest człowiekiem. To ten potwór z rysunku Ferrisa Renfrowa. W Gurecie Rycerze Graala zwabili go do bramy zamkowej i zabili salwą z bożego śrutu. Hakownice wyprodukowała manufaktura Krulika i Sneigona. Co znaczy, że dotarły tam bardzo szybko. Ładunki były tej samej klasy co te, które powaliły robaka na brzegu Dechearu. Hakownicy to dewowie zakontraktowani przez Rycerzy Graala.

— Zastałem ich w kilku miejscach, w których sprawdzałem. Trzeba by ich jakoś okiełznać.

— Powinniśmy byli się tego spodziewać — orzekł Hecht. — Wiedziałem, że będą się dozbrajali. To była moja tajna nagroda, za całe dobro, jakiego dokonali. Ale nie chciałem wcale, żeby zbroili cały świat. Wrócę do Krulika i Sneigona. Jeśli natrafię na coś podejrzanego... -Cóż mógł zrobić poza zapełnieniem kilku mogił? Dzin prochu wydostał się z butli. Będzie miał z tym tyle szczęścia, co Noc starająca się odegnać groźbę Bogobójcy.

— Kto mówił ci o twoim bracie? — zapytał Cloven Februaren.

— Bo Biogna. Stary przyjaciel. Poznałem go tego samego dnia co Pinkusa Ghorta i Po Prostu Joe. Teraz jest jednym ze zwiadowców Ghorta.

— Znam go.

Muniero Delari westchnął.

— W czym problem, dziadku? — zapytał Hecht.

— Jestem po prostu zmęczony. Pomaganiem Hugonowi Mongozowi, a teraz temu nowemu, żeby pozostał przy życiu, co jest bardzo wyczerpujące. Uzdrawiająca magia to niezwykle wyczerpująca sprawa.

Oraz najpowszedniejsza, choć większość ludzi mająca dar uzdrawiania posiada jedynie jego drobną cząstkę.

— A wykrywacz Nocy Pipera jest niesprawny — ciągnął Delari. -Z jego powodu dostaję teraz mniej pomocy. — Spojrzał znacząco na swego dziadka.

— Otrzymasz pomoc, Muno. Kiedy tylko Piper wróci do Connec, nie trzeba go będzie aż tak bardzo pilnować. A jeśli naprawdę chciałeś pomocy, powinieneś być pozwolić wykonać Heris łatwe zadanie w Milczącym Królestwie.

— Ale...

— Ale ty chciałeś się zająć wszystkim sam. Każdym aspektem. Żeby wszystko było jak należy.

— Ale...

— Znam cię, Muno. Kiedyś byłem taki jak ty. Wciąż nie mogę się opanować, żeby nie wściubić nosa we wszystko. Ale już nie tak jak kiedyś. Słuchaj. Heris jest dorosła. Poradzi sobie z Konstruktem. Może wołać o pomoc. Jeśli nadejdzie koniec świata, wymiga się z tego.

Brzmiało to tak, jakby staruszek próbował sam siebie przekonać.

— Nie będę potrzebował ścisłej ochrony? Jest coś, o czym nie wiem?

— Nie — odparł Februaren. — Ale znajdujesz się w Brothe. Brotheńscy mają zdecydowane opinie i są impulsywni w działaniu.

Dziewiąty Nieznany był znanym łgarzem. Hecht mu nie uwierzył.

Februaren uśmiechnął się chytrze półgębkiem.

— Kiedy wyjedziesz, będziemy mieli czas na Konstrukt, na śledztwa i knucie z tym czymś, co ściągnąłeś od Jagów.

— Zdaje się, że nadużyłem waszej gościny.

— A mówiłeś, Muno, że chłopak jest tak tępy, że nie potrafi sobie nawet sam kamaszy zawiązać.

Tej nocy z Anną wkradła się melancholia większa niż zwykle przed wyjazdami Hechta. Jakby wiedziała, że już go więcej nie zobaczy. Nie chciała o tym rozmawiać i nie chciała, żeby ją zapewniał, iż będzie inaczej.

Hecht zsunął nogi z łóżka, wstał, by skorzystać z nocnika, kiedy ziemia zaczęła drzeć. Dudnienie nadeszło z południa. Trzęsienie ziemi czy początek burzy?

Nie. Tak było wtedy, kiedy cytadela Bruglionich się zawaliła. Tylko trwało to dłużej.

— Co to jest? — zapytała Anna.

— Krulik i Sneigon — powiedział w chwili, kiedy dzieci wpadły do komnaty. — Płacą za swoją perfidię. — Był pewien. Znał też tego, kto odbierał dług.

Starzec był zimnym, wyrachowanym draniem.

Dziura w ziemi była dziesięciokrotnie większa niż ta, która pozostała po eksplozji u Bruglionich. Wciąż z niej dymiło. Jeszcze chwilę wcześniej gdzieś w dole rozległa się wtórna eksplozja.

— Będziemy potrzebowali nowego prawa — zauważył Pinkus Ghort. — Trzeba zakazać przechowywania prochu w podziemiach i katakumbach.

— To powinno pomóc. — Hecht obserwował poczynania Kaita Rhuka.

Rhuk wraz z dwoma setkami Patriarchalnych przeszukiwał rumowisko, odkrywając co jakiś czas zwłoki. Ale nie to było jego głównym zadaniem. Obserwowali ratowników devów i konfiskowali im broń prochową. I unieszkodliwiali proch, tam gdzie się pojawił. Bardzo ostrożnie.

Broni było całe mnóstwo. O wiele więcej niż tej zakontraktowanej dla sił patriarchalnych.

Hecht zauważył, że kilku starszych devów ich obserwuje. Z niepokojem. Żadnego z nich nie znał. Devedianie, których znał za młodych lat, wszyscy

zginęli, większość z własnej ręki.

Ten starzec był bezwzględnym łotrem.

Krulik i Sneigon, którzy firmowali manufakturę swoimi nazwiskami, zginęli w wyniku wybuchu. Hecht zebrał tych, którzy mieli przejąć interes, głównie członków rodzin Krulika i Sneigona.

— Zadowolony nie jestem — powiedział im. — Podobnie jak mój pryncypał. Czujemy się zdradzeni. Nasze bardzo szczodre umowy zostały wielokrotnie pogwałcone, nawet po naszych ostrzeżeniach. -Zerknął wilkiem na devów. — Jakoś daleko mi dzisiaj od współczucia. Ale dam wam ostatnią szansę. Ludzie, którzy pracowali tutaj, byli najlepsi w swym fachu. Mogą to robić dalej. Gdzieś tam, gdzie będzie mniej zniszczeń w razie kolejnej eksplozji.

Jak dotąd odnaleziono ciała stu osiemdziesięciu jeden ludzi. W większości mieszkańców otaczających manufakturę czynszówek. Wciąż było kilkudziesięciu zaginionych. To cud, że ogień nie rozprzestrzenił się po całej devediańskiej dzielnicy.

Wilgotna aura okazała się błogosławieństwem.

— Nie planowałem tego, ale nie powiem, żebym specjalnie płakał z tego powodu. Choć prochu szkoda.

Trzeba było przełożyć wyjazd do Conneć. Hecht wraz z grupą gwardzistów pojechał podmokłą drogą do Fei, wioski, gdzie trzymano stworzenia Jagów. Hecht nikomu nie zdradził powodu tej podróży. Madouc był w paskudnym nastroju. Wszystkim też dokuczała nieustanna mżawka.

Od czasu eksplozji w zakładach Krulika i Sneigona słabe deszcze padały z dużą nieregularnością. Starzy ludzie narzekali na bóle stawów i snuli teorie na temat kapryśnej pogody. Ci w kwiecie wieku byli rozbawieni, ponieważ ich starsi krewni zwykle mówili, że dawniej wszystko było generalnie większe, jaśniejsze, piękniejsze, groźniejsze i pod każdym względem lepsze. Ale już nie deszcz.

Okazało się, że cel podróży Hechta — dwudziestometrowa wieża -stoi w samym sercu wioski Fea. Budowla była przykładem prymitywnej architektury, jaka zaczęła się pojawiać w różnych republikach i nawet kilku patriarszych miastach, w których mogło dojść do politycznych napięć. Do środka można było wejść po drabinie przez portal cztery metry nad ziemią.

Nad nim było kilka okienek służących za strzelnicę dla łuczników. Żywność i woda, zgromadzone w środku, wystarczyłyby na przetrzymanie krótkiego oblężenia.

Wieże te nie były fortyfikacjami w tradycyjnym znaczeniu. Wystarczyło, by przy pogwałceniu praw miejskich chroniły swoich właścicieli tylko przez kilka godzin. Najdłużej przez kilka dni. Tłuszcza rzadko pojawiała się z machinami oblężniczymi. Czy też, jak kto woli, z bitewnym zacierzeniem.

Hecht pomyślał, że trzeba by się zastanowić nad legalnością tych wszystkich rodowych fortec w Kolegium. Oddziały patriarchalnych mogły mieć problemy z opanowaniem miejskich niepokojów.

Ta wieża różniła się od jej podobnych tym, że drabina stała na zewnątrz. Naczelnny Wódz przesunął ją na miejsce.

— Czekał tu, Madouc — polecił. — Nie zabawię długo.

Madouc nie miał zamiaru dopuścić swego pryncypała do bestii, która dziesiątkami kosiła ludzi. Zaczął się spierać. Ale Piper Hecht nie czuł strachu. Asgrimmur Grimmsson odciął się od Nocy.

— Madouc, robię praktycznie wszystko, co mi każesz. Nawet jeśli nie widzę w tym większego sensu. Ale nie tym razem. Muszę porozmawiać z tym człowiekiem sam na sam.

Madouc poczerwieniał. Czyżby był to o ten jeden raz za dużo?

Ale Madouc się opanował. Kazał swoim ludziom trzymać drabinę.

— Dziękuję, Madouc. — Hecht wspiął się na górę. Poczłł wspinaczkę w udach. Zbyt się ostatnio wylegiwał. I miał zdecydowanie za dużo lat.

Pod dotknięciem drzwi uchyliły się do wewnątrz. Hecht odsunął drabinę i wszedł do środka. Z początku nie dostrzegł żadnych śladów świadczących o tym, że wieża jest zamieszkana. Wszedł w półmrok po wąskich schodach bez barierki. Stąpając ostrożnie i ręką przytrzymując się ściany, stawał na każdym stopniu na przemian, sprawdziwszy najpierw jego wytrzymałość.

Wzrok mu przywykł do półmroku. A w miarę wspinaczki światło stawało się coraz mocniejsze, sącząc się z otworów strzelniczych na górze.

W jaki sposób Cloven Februaren wszedł w posiadanie tego miejsca?

Podejrzewał, że wieśniacy mają na ten temat swoją opowieść, z której trzydzieści procent to fikcja, a sześćdziesiąt pięć to spekulacje.

— Bogobójco. Witaj w mojej firaldzkiej posiadłości.

— Bezduzny. Rad jestem, że korzystasz z patriarchalnej gościny.

— Nie sędę, żeby twój starzec miał z tym coś wspólnego. Na tyle, na ile wypełnia wolę Ojca Wszechrzeczy.

Hecht znalazł się w okrągłym, pozbawionym zdobień i wygod pomieszczeniu. Otwory strzelnicze były rozmieszczone regularnie w okręgu i zostały tak skonstruowane, by można było ustawić kuszników. Hecht nie dał po sobie poznać, że się zasapał.

— Wolę Ojca Wszechrzeczy?

— Jeśli mój brat Shagot nie kłamał, to jedną z nagród za zabicie Bogobójcy było otrzymanie kamiennej posiadłości w ciepłej Firaldii. Dla nieokiełznanych młodych Andorayan ciepło to wielki komfort i olbrzymia pokusa. Wierzyli, że wszystko może należeć do nich, jeśli będą mieli wolę, by sobie to wziąć.

— Muszę wyznać, że jesteś całkowitym przeciwieństwem moich wyobrażeń o andorayańskim piracie.

— Już nie jestem Svavarem. On był arogancki, płytki i przynosił wstyd ludziom. A do tego nie był na tyle bystry, by to dostrzec.

— A więc w jaki sposób...?

— Kiedy człowiek jest uwięziony w ciele potwora Jagów, nie ma wiele do roboty i może rozmyślać. I smakować Noc. Oraz zbierać nieszczęsne umysły i dusze tych, co staną mu na drodze. Staje się tak bardzo świadom bestii, którą był, jak i grozy, w którą się wcielił. Myślenie całymi dniami może wpędzić go w szaleństwo. Chyba że odtworzy siebie w postaci bardziej do przyjęcia dla niego samego. Myślę, że większość spętanych oszalała. Ja sam prawdopodobnie wygaduję jakieś głupoty... ale staram się przekonać samego siebie, że pokutowałem w czyścicu i teraz już jest dobrze. Dieta składająca się z żelaza i srebra czyni prawdziwe cuda dla oczyszczenia umysłu.

Hecht podszedł do strzelnicy i wyrzął na krajobraz, który nie zmienił się wiele od dwóch tysięcy lat. Najprawdopodobniej te winnice i gaje oliwne, te pola pszenicy były tutaj jeszcze przed powstaniem Starego Imperium Brothen. Dalej widać było ruiny, które jak mówili mieszkańcy wioski, pamiętały czasy Starego Imperium. Nikt ich nie ruszał. Stanowiły część pogańskiego cmentarza chronionego przez wściekłą, furię kurhannych dziewic i zakopanych żywcem dzieci, by ich złe duchy mogły strzec po wsze czasy tego miejsca pochówku.

Nawet bogobojni chaldaranie nie mieli zamiaru występować przeciwko tym wierzeniom.

— Ani też nie powinni się na to ważyć — powiedział bezduszny, jakby czytał w myślach Hechta niczym w rozłożonym pergaminie. -Te zamordowane dzieci same są upiorami najgorszego sortu. Choć są bardzo małe. Świat ma wielkie szczęście, że nie mogą urosnąć i że nie są w stanie zerwać swych pęt z ziemią, której strzegą. Próbowałem z nimi rozmawiać. Nie potrafię. Ich furia jest niezmierna.

— Kiedyś, dawno temu, kiedy Wiara była młoda, święci wyruszyli, by wyzwolić kurhanne panny i złożyć je w ziemi, by spoczęły w pokoju.

— I tak zrobili. Dawno temu. Ale to było okrutne i bolesne zadanie. A do tego niewdzięczne. Zmiana oficjalnej religii nie jest w stanie zmienić zabobonu wieśniaków. Kiedy pierwsi święci odeszli, nie zostawili żadnych uczniów, by mogli kontynuować ich dzieło. Idealizm bardzo szybko ucieka z każdej wiary.

Hecht przeszedł do kolejnej strzelnicy. Stamtąd mógł zobaczyć samą wioskę Fea i kręcącego się nerwowo Madouca na dole. Wystawił ramię i pomachał do niego, żeby pokazać, że wciąż jest wśród żywych.

— Chciałeś się ze mną zobaczyć.

— W pewnym sensie. Starzec, który tu przychodzi, ma bardzo jednostronny umysł. Nie chce rozmawiać. Chce tylko zadawać pytania, które dawałyby jednoznaczne odpowiedzi. Ale nie wie, jak zaryzykować zadanie właściwego pytania.

— Masz nadzieję, że posiedzimy sobie i pogawędzimy, zmagając się z niedolami tego świata? Nie nadaję się do tego. Jestem żołnierzem. Rozwiązuję problemy, zabijając ludzi i paląc zabudowania, dopóki problem nie zniknie. W tym najwyraźniej jestem dobry.

— Lepszy niż większość tobie współczesnych. Twoją słabością jest niezdolność do bezwzględności.

Pamiętając krucjatę connekiańską, Hecht chciał zaprotestować. Powstrzymał się jednak. Bezduszny miał rację. Często robił to dla przykładu, by przegonić potencjalnego wroga z pola bitwy. Ale myślał krótkowzrocznie i ograniczenie, zainteresowany wyłącznie najbliższą przyszłością. Dziesięć lat później, gdyby Patriarcha wysłał go przeciwko Amhandowi, na nikim nie zrobiłoby wrażenia to, co zrobił wtedy.

Starzy Brotheńczycy mówili, że wojna nie jest ani grą, ani rozrywką. Jeśli mężczyzna nie miał w sobie żelaznej woli, by ją toczyć z całą siłą, z całą bezwzględnością, to w ogóle nie powinien brać w niej udziału. Na dłuższą metę bezwzględność ratowała ludziom życie.

— Rozumiem, co masz na myśli.

— To dobrze. W czasie, który nadchodzi, powinieneś być mniej delikatny.

— Co takiego?

— Wciąż pozostaję dziecieniem Nocy. Choć odzyskałem moją dawną postać, częśćka mnie wciąż jest zaplątana w bezbrzeżny ocean Nocy. Wiem to, co wie Noc. Jak większość Delegatur, mam problemy z ogarnięciem tego, co ma sens wewnątrz ziemskich ograniczeń. Najtrudniejszym zadaniem jest zakotwiczenie informacji w stosownym miejscu na drzewie czasu.

— Ten sam problem mieli wasi Starcy, kiedy nakazali ci mnie zabić.

— No właśnie. Niewłaściwie odczytali przyczyny i skutki, a potem źle zinterpretowali wyniki. Starając się pokonać przyszłość, sami ukręcili na siebie powróż.

— Trzeba uważać z życzeniami.

— Otóż to.

— Sam jestem uwięziony, pnąc się po drzewie czasu. Muszę się udać w różne miejsca i zrobić parę rzeczy zgodnie z zasadami działania tego świata.

— To prawda. To właśnie chciałem powiedzieć. Dlatego chciałem się z tobą zobaczyć. Jestem teraz Delegaturą. To dla mnie niemal nowość. Moje oczy otwierają się na Noc. Ale wciąż jestem tak dalece człowiekiem, że wiem, jak wróg Nocy może mnie wykorzystać.

— Chcesz szpiegować?

— Tak jakby. Przede wszystkim muszę odczynić to, do czego zmusiła mnie moja furia po mojej męce w al-Khazen.

— A więc rzekłeś. Tak. — Hecht nie zamierzał wierzyć Nocy na słowo ani też na wiarę. Cechą charakterystyczną wszystkich Delegatur Nocy była ich dwulicowość, czy to bogów, czy leśnych duchów.

— Nie musisz mi ufać. Oceniaj po wynikach.

— Jeśli chcesz pomóc w tej walce, to proszę bardzo. Okno do świata nadprzyrodzonego będzie bezcenne. Ale ja temu nie podołam. Będzie to

musiał zrobić stary. Może błyskawicznie przekazać mi każdą użyteczną informację.

— Mógłby mnie nauczyć tej podróźnej sztuczki.

— Mógłby. Nigdy nie wiadomo. Zawsze ma w zanadru kolejną niespodziankę. Ale nie liczyłbym na to.

— A więc mamy jasność?

— Nie jestem pewien. Nie wiem dokładnie, czego chcesz dla siebie.

— Najprostszej rzeczy pod słońcem, rozgrzeszenia. Asgrimmur Grinimsson jako Svavar był straszliwym człowiekiem. Nie tak złym jak jego brat Shagot, ale łajdak był z niego i zbir. To, w co się Svavar zmienił, mogło być jeszcze gorsze... choć były sprzyjające okoliczności, a nie zamiar. Dominujący przejął siłę od dwóch głównych Delegatur, a to uczyniło z niego niewolnika tych cech, które sprawiały, że Svavar był tak straszny.

— Ale teraz jesteś odmienionym człowiekiem. — Hecht nie był w stanie ukryć całego swego sceptycyzmu.

— Siły metalu zdolnej wypalić całe zło i okłamywanie samego siebie nie można wyjaśnić w taki sposób, by miało to dla ciebie jakikolwiek sens. Wiele tygodni szukałem stosownej metafory. Pewnie takowej nie ma. Wystarczy powiedzieć, że przedzieranie się srebra przeze mnie można porównać do rytuału chrztu duszy i ducha.

Duszy i ducha? Ta uwaga niosła podejrzaną smrodek. Niektórzy heretycy wierzyli, że człowiek ma dwie dusze, świadomość i ducha. Hecht nie znał szczegółów. Uciekł od tych wykolejonych myśli.

Dominujący odgadł jego myśli.

— Jest takie powiedzenie opisujące to zjawisko, które mówi, że jest więcej rzeczy na niebie i ziemi, niż nam się wydaje. To prawda wykraczająca poza wyobraźnię śmiertelnika. Na każdą znaną Delegaturę jest tuzin innych w powietrzu, w wodzie, pod ziemią. Nic o nich nie wiecie, ponieważ nigdy nie kontaktują się z ludźmi. Nigdy nie miały większego znaczenia w historii waszego świata. I zawsze tak będzie, jeśli nikt nie będzie ich nagabywał.

Hecht zaczął się niecierpliwić. Dominujący tak naprawdę potrzebował wyłączności towarzystwa.

— Za chwilę cię wypuszczę, Naczelny Wodzu.

Hecht nie był w stanie się ruszyć.

— Tacy jak Kharoulke żerują na dobrodusznym Delegaturach. To wyjaśnia, w jaki sposób Wędrowiec Wiatru rośnie w siłę, choć Studnie Mocy konają.

— To żadna tajemnica.

— Oczywiście. Ale mroczne Delegatury nigdy nie były tak skuteczne. Nawet nie z pokolenia Kharoulke, zanim zostały pokonane i uwięzione. Zmieniły się. Stały się pożeraczami.

Hecht zauważył owo „one”.

— Są jeszcze inne? Oprócz Wędrowca Wiatru?

— Tak. Wciąż są ślepe i zaczynają się budzić. Ale śmiertelni ich szukają, pragną przyspieszyć wybudzenie. Mają nadzieję, że staną się nimi.

— Er-Rashał al-Dhulquamen.

— Pierwsza próba. Idź. Naciesz się wojną. Oczyść Connec z upiorów Nocy. Ale twój sukces nie powstrzyma zagłady tego ludu.

Tym razem Hecht wstał natychmiast, chociaż miał setki pytań.

Dominującego wyraźnie to rozbawiło.

Cloven Februaren powinien uważać. To coś wcale nie było tępym piratem.

W Brothe panował spokój.

— Niemal chciałbym cię tu zatrzymać, Pipe. Jest tak spokojnie -rzekł Pinkus Ghort.

— Musisz sam tego pilnować. Masz władzę i ludzi.

— I mogą mnie zwolnić. Nie dostaję żołdu, żeby utrzymywać pokój. Jestem tu, by Brothe sunęło po torach wyznaczonych przez Bronte'a Doneto i Pięć Rodzin. W tej właśnie kolejności. Co ich obchodzi, że przedstawiciele niższych klas wymordują się wzajem? 1 barwy też mają za nic.

Te partie polityczne, niegdyś zażarci stronnicy różnych drużyn, ucichły od czasu zawalenia się hipodromu. Został on jednak wystarczająco odbudowany, żeby szczytkowy sezon gonitw zaczął się podczas nadchodzącego lata. Polityka ulicy podąży tym śladem. Już by się zaczęło, ale wszystko trwało w zawieszeniu wyłącznie dlatego, że załoga patriarszego garnizonu nie lubiła zamieszek.

— Będę podziwiał z oddali — stwierdził Hecht. — Jak będziesz miał dość, przyjeżdżaj w odwiedziny. Milicja różnych Państw Patriarchalnych

bardzo potrzebuje reorganizacji.

— Myślałem, że już tego dokonałeś.

— Próbowałem. Wbrew oporowi materiału. Kilku innych próbowało, ale zrobię z nich narzędzie gotowe do użycia, kiedy nastąpi taka konieczność.

Coś zamigotało Ghortowi przed oczami. Jakiś cień. Myśl, którą nie chciał się podzielić.

— Jestem zadowolony, że już nie stoję na ostrzu włóczni. Tutaj mam jako taką kontrolę nad swoim życiem. Mogę też uciuć sobie trochę grosza.

Hecht postanowił później zastanowić się nad tym, co usłyszał. Pinkus Ghort wyjaśniał swoje skryte myśli tak otwarcie, jak się tylko na to poważył.

Hecht pokłócił się z Pellą. Chłopak nie chciał zostawać w domu.

— Obiecałem Annie. — Hecht uciął sprawę. — Ja dotrzymuję obietnic. Jeśli nauka cię nie uspokoi, to książkę Delari znajdzie ci coś do roboty.

Madouc odwiedził Hechta w jego biurze w Castelli.

— Naczelnny Wodzu.

— Madouc. — Chłodno. Ze starannie powstrzymaną niechęcią.

— Chcę wycofać moją rezygnację. Za twoim przyzwoleniem, panie.

— Co się zmieniło, Madouc? Ja się na pewno nie zmienię.

— Rozumiem. Byłem zmęczony i zniechęcony. Podróż do Fei przy takiej podłej pogodzie załamała mnie. Miałem sporo czasu, by to przemyśleć.

Hecht nie znalazł zastępstwa za Madouca. Nie była to paląca sprawa.

— Dobra. Postaraj się wszystko ogarnąć.

— Dziękuję, Naczelnny Wodzu. Postaram się być mniej uszczypliwy.

— Addam Hauf kazał Madoucowi wrócić — ostrzegł Hechta Cloven Februaren. — Awansował o dwa poziomy w hierarchii Bractwa i został głównym obserwatorem poczynań Pipera Hechta. Zobaczysz pewne zmiany w swojej gwardii. Kilku gwardzistów, którzy nie są w Bractwie, odejdzie. Innych zastąpią ludzie mniej urzeczeni twoją osobowością.

— Ach. Więc teraz będę niczym imperatorzy z dawnych czasów. Chroniony przez wszystko oprócz moich obrońców.

— Zdaje się, że o to chodziło.

— Nie powinienem był mu pozwolić na powrót.

— Lepszy znajomy czort niż obcy.

— Bardzo możliwe.

— Trzymaj się. Nie będę już stale przy tobie. Inne zadania wymagają mojej uwagi.

— W takim razie będę tęsknił — powiedział tylko Hecht.

— W Connec nie powinno być trudno. Bądź tylko czujny. I niech Madouc robi, co do niego należy. Jest w tym dobry. Kiedy mu pozwolić.

— Zrozumiałem.

Naczelny Wódz podjął się wykonania ostatniego nieprzyjemnego obowiązku, zanim wyjechał z Brothe. W towarzystwie swoich gwardzistów pojechał do niewielkiej posiadłości Bruglionich na południowo-wschodnim krańcu Miasta Matki.

Gerwazy Saluda jakoś doszedł do siebie. Teraz jeździł na wózku. Z kocem na kolanach.

— Aby ukryć, że urwało mi lewą nogę — odpowiedział, widząc spojrzenie Hechta. — Gangrena.

— Nie słyszałem.

— Jesteś korcem niespodzianek, Naczelny Wodzu. Nie spodziewałem się, że tu się zjawisz.

— Mam teraz swoją funkcję, ale zawdzięczam ją Bruglionim. Bez was byłbym tylko kolejnym mieczem do wynajęcia.

— Wątpię. Sami bogowie czuwają nad tobą.

Nie była to szczególnie stosowna uwaga z ust księcia Kościoła. Ale Hecht nie traktował Saludy jako księcia.

— Miałem szczęście. A Bruglioni nie. Co teraz zrobisz?

— Dojdę do sił. I postaram się nie zgorzknąć.

— Dla rodziny. Rozumiesz? Dzisiaj jesteś głównym Bruglionim. Słyszałem, że Paludan nie zginął, ale też nie można powiedzieć, że żyje pełnią życia. Nie radzi sobie z niczym. Ci jego krewni, którzy przeżyli, nie zrobią niczego dobrego dla rodu. Jak sądzę, stawia cię to w sytuacji bez wyjścia.

Na twarzy Saludy odmalował się ból. Jeszcze niedostatecznie otrząsnął się z załamania, by myśleć o przyszłości.

— Jesteś księciem Kościoła z rodu Bruglionich — powiedział Hecht. — Ale czy to długo potrwa teraz, kiedy nie masz za sobą rodziny? Pozostałe rody nie pałają do ciebie miłością.

— Wiem. Myślą, że Paludan mnie wybrał, bo byłem jego kochankiem. To nieprawda. Albo że mam na niego jakiś nienaturalny wpływ. A nigdy nie pomyślą, że byłem najlepszy.

— Byłeś najlepszy. Wciąż jesteś. Ale jeśli Gerwazy Saluda nie wycofa się z Kolegium i nie przejmie kontroli nad fortunami Bruglionich, to rodzina upadnie.

— Powinienem pokulać się na tym krześle na most Rustige i rzucić się prosto w odmęty Teragi — powiedział Saluda po chwili.

— Proste rozwiązanie, ale nie takie chciałbym widzieć.

— Tak?

— Pomogę, jak będę mógł. Jeśli się przyda moja pomoc, kiedy będę daleko w Connec.

— Och. Takiemu to dobrze. — Saluda popatrzył na niego sceptycznie.

Naczelny wódz dotarł do Viscesment na czele swych oddziałów liczących kilkanaście setek więcej niż te, które wysłał, by zaprowadziły porządek w Brothe i sąsiedniej Firaldii. Nowy Patriarcha zatwierdził użycie wszelkich koniecznych środków, by oczyścić Connec z upiorów. A w sekretnej dyrektywie — również z agentów Stowarzyszenia na rzecz Słumienia Błuznierstwa i Herezji. Zbyt wielu członków tego okrutnego zakonu wolało zejść do podziemia niż poddać się woli władz po rozwiązaniu, a ich opór był nakręcany przez tajne wsparcie Anne z Menandu.

Hecht wiozł listy od Bellicose'a, upoważniające hrabiego Raymone'a Garete do działań przeciwko każdemu mnichowi i księdzu, którzy będą odmawiać podporządkowania się woli Patriarchy. Mógł jednak wyłącznie wyłapać renegatów i oddać ich w ręce sądów kościelnych. W których to najpewniej będą sądzeni przez sympatyzujący z nimi trybunał.

Clej Sedlakova, Hagan Brokke i inni zaufani ludzie zebrali się w Viscesment, w Pałacu Królów. Od czasu, kiedy upadł Antypatriarchat, pałac stał pusty. Patriarchalni przejęli go, co znacznie zmniejszyło napięcie wywołane ich pojawieniem się w mieście.

Nie było żadnych niecierpiących zwłoki decyzji. Załoga dobrze poradziła sobie pod nieobecność dowódcy.

— Trochę mnie to niepokoi — rzucił w przestrzeń Hecht. — Jesteście albo tacy dobrzy, że mnie nie potrzebujecie, albo zadanie jest tak proste, że wykonałby je każdy głupi.

Zebrani wzruszali tylko ramionami i uśmiechali się.

Pierwszego wieczoru wyprawiono ucztę. Byli obecni magnaci z Viscesment oraz szlachta z okolicznych regionów. Hrabia Raymone Garete i jego oblubienica Socia oraz znaczne osoby z jego dworu również wzięły w niej udział. Starsi duchowni także stawili się w komplecie. Byli podzieleni na aż nadto widoczne facje.

Przyjaciele Bellicose'a tworzyli większą grupę. Inni, nazywani przez swych przeciwników Arnhandami, przyjęli aktualny polityczny stan państwa do wiadomości, tylko że z wielką niechęcią. I otwarcie wyrażali nadzieję na szybkie zakończenie panowania Bellicose'a.

Grupa Arnhandów składała się w gruncie rzeczy niemal wyłącznie z obcych, którzy przybyli do Connec w czasie krucjat.

Choć oficjalnie tylko porucznik, Titus Zgoda zajął miejsce po lewicy Hechta, który podejrzewał, że reszta załogi tak lawirowała, aby to umożliwić. Titus dowodził wywiadem. Miał z pewnością mnóstwo do zameldowania. Szczególnie na temat znacznych osób uczestniczących w świętowaniu.

— Wciąż nie mogę złapać oddechu, tak tu pędziłem — wyszeptał Zgoda.
— Był w polu.

— Cóż, udało ci się dotrzeć. — Hecht zauważył, że kilku duchownych bacznie obserwuje tę wymianę zdań. — Nie bierz tego do siebie, ale wyglądasz fatalnie.

Titus jakby się postarzał o dziesięć lat w ciągu kilku miesięcy.

— To stres. Te dupki chcą, żebym był tobą, kiedy cię tu nie ma. Nie! Posłuchaj! W końcu otoczyliśmy Gawrona. Wreszcie. W dolinie Sadew.

— Czy to nie tam właśnie się po raz pierwszy pojawił?

— Tak. To musi być dla niego ważne miejsce.

Hecht posłał złowieszczy uśmiech jednemu z bardziej zajadłych agitatorów. Mężczyzna miał ochotę popatrzeć na niego prowokacyjnie, ale się nie ośmielił. Naczelny Wódz sił Patriarchatu nie musiał, w odróżnieniu od władz tymczasowych, odwoływać się do wyroków sądów kościelnych. Co wiązało się z okazjonalnymi pokazami surowej praworządności w trybie doraźnym.

— Kiedy będzie po wszystkim? — Kiedy Gawron zostanie usunięty z listy upiorów, obecność sił patriarchalnych w Connec nie będzie konieczna.

Wyjąwszy Cień. Jak dotąd, Hecht nie usłyszał niczego pozytywnego na temat Cienia. Jeszcze.

— Chwilę. To jest luźny kordon. Zaciskają go wolno. Nie chcą się spieszyć, żeby znów im nie umknął.

Hecht chciał zapytać o problemy w wojsku. Ale sprawy praktyczne musiały poczekać. Musiał teraz zabawiać, uwodzić i budzić podziw bardzo wpływowych ludzi.

8

Daleko na Wschodzie, Najstarsze Miasto: Cienka struna

Ile lat liczyło Skutgularut? Mogły to wiedzieć jedynie same Delegatury Nocy. Na tyle dużo, że stało tu w Czasie przed Czasem, jeśli wierzyć jego mieszkańcom. Na tyle dużo, by być tam, zanim ludzie nauczyli się czytać. Na przestrzeni wieków Skutgularut, opoka północnego szlaku jedwabnego, było atakowane, oblegane, nawet podbijane niezliczoną ilość razy. Nigdy całkowicie, nawet przez Tsistimedę Złotego. Skutgularut było miejscem, w którym królował honor, miejscem świętym, któremu nawet Tsistimed musiał okazać cześć. Było to miejsce, w którym zbierali się uczeni. Gdzie spotykali się czarownicy, by studiować i eksperymentować. Było to miasto, w którego sercu stała niewielka, lecz niezwykle wiarygodna Studnia Mocy. Według źródeł historycznych nigdy nie wysychała i nie cofała się. Dlatego była zwana Wierną.

Kiedy tylko Skutgularut uległo zalotom Hu'n-tai At, Tsistimed zrobił z niego zachodnią stolicę. Z wiekiem zaczął doceniać słynne ogrody miasta. Samo miasto kwitło, gdyż już nie dotykały go wojny. Bandyci nie wazyli się niepokoić wielkich karawan podróżujących jedwabnym szlakiem. Ci, którzy próbowali, byli bezwzględnie wyłapywani całymi plemionami, mężczyźni, kobiety, dzieci.

Postarzały Tsistimed rzadko opuszczał swoje ukochane ogrody. Oddał wojaczkę w ręce synów, wnuka i synów swego wnuka. Ale kiedy padło Imperium Ghargarliceańskie, poczuł zew i nie mógł się oprzeć przygodzie. Musiał objechać słynne miasta, które teraz należały do niego.

Wielki wojownik stepu nie wyglądał jak mężczyzna w wieku ponad dwustu lat. Ci, którzy się przed nim czołgali, zobaczyli mężczyznę w kwiecie wieku. Mężczyznę, który ma jeszcze wiele wiosen przed sobą.

Wiek dopadał Tsistimedę wyłącznie wewnątrz.

Był tym wszystkim po prostu bardzo zmęczony.

Dzicy pojawili się znikąd. Ostrzeżeniem były tylko nieliczne pogłoski, że coś dziwnego się gotuje na północy. Nagle mężczyźni i kobiety z kośćmi i czaszkami we włosach byli wszędzie. Zabijali i niszczyli co popadnie. Pośród nich kroczył potwór w ludzkiej postaci ze zbyt wielką liczbą palców, bez włosów, o liszajowatej skórze. Później niektórzy twierdzili, że miał włosy niczym tygrys. Inni mówili, że miał trzy metry wzrostu. Wszyscy byli zgodni co do tego, że był straszny. Niezwyciężony. Obojętny na pojedyncze kąśliwe żelazo, lecz już nie na zbiorczy efekt dziesięciu tysięcy broni.

Potwór w końcu padł. W końcu uległ. W końcu stopił się w kałużę ropy wewnątrz świątyni skrywającej Wierną.

Ci, co przeżyli, byli zgodni, że celem potwora nie było zatrucie studni. Pragnął napić się bezpośrednio z Wiernej.

Dzikich ogarnął jeszcze większy szal zniszczenia, kiedy padł ich opiekun. Z pałacu Tsistimedę zostały jedynie dymiące zgliszcza. Zniszczyli większość Skutgularut.

Jedynie garstka przeżyła, by uciec do krainy lodu na północy.

System kurierski Hu'n-tai At przekazał Tsistimedowi wieści na temat ataku jeszcze w chwili, gdy trwało niszczenie Skutgularut. Zakończył swoją podróż po Ghargarlicei i skierował się na północ.

Wschodni świat aż się skulił. Noc zadrzała.

Świat nie znał większej furii niż wściekłość Tsistimedę Złotego.

9

Dziedzina Bogów: Dziewiąty Nieznany

Cloven Februaren spędzał teraz większość czasu z bezdusznym, któremu nie podobało się odosobnienie we wsi Fea, choć rozumiał konieczność takiego postępowania. Nie przywykł jednak do przebywania w zamknięciu.

— Całkowicie się z tobą zgadzam — mówił stary. — Naprawdę. Kiedy muszę czekać, robię się wściekle znieczcierpliwiony. Bądź cierpliwy, jeszcze tylko trochę. Ruszymy, kiedy wypełnię moje inne obowiązki. No to proszę. Przyniosłem więcej map. Żebyśmy mogli zawęzić poszukiwania.

— Nie słuchasz mnie, starcze. Powiedziałem ci, wiem, gdzie to jest. Byłem tam. Dużo czasu zmitrężyłem, starając się to zamknąć. — Ale tego dominujący nie miał zamiaru rozwijać i posługiwał się wyłącznie ogólnikami. Musiał to być moment wielkiego napięcia. Albo też były tajemnice, których więzień nie chciał ujawniać.

Dziewiąty Nieznany był skłonny raczej podejrzewać to drugie.

— Wiesz, gdzie to było kilka lat temu. Świat się zmienił. Co nieboscy zrobili po twojej mściwej napaści? Odeszli? Zamknęli drogę za tobą?

Były Svavar łąpał na niego od czasu do czasu. Szczególnie kiedy wydawało mu się, że Dziewiąty Nieznany celowo piętrzy trudności, wymyślając sobie różne zadania, by nie zabrać się do tego, co należało zrobić.

Troska Februarena była autentyczna. Chciał jak najmniej czasu poświęcić mitycznemu uwolnieniu bóstw z niewoli.

— Nic więcej się z tego nie dowiem — oznajmił bezdusznemu Februaren.

Nie wspomniał mu, że był na północy sam i nie udało mu się wy. tropić tam żadnej boskiej siedziby, choć odnalazł miejsce, w którym kiedyś było do niej wejście. Pozostał niezwykle silny rezonans.

Boska dziedzina wciąż tam była, po drugiej stronie.

— Czy w końcu czas na nas?

— Czas.

— No to w drogę.

Asgrimmur Grimmsson zaczął się zmieniać.

— Poczekaj! Za mało tu miejsca — warknął Februaren.

Bezдушny spuchł już i zdarł z siebie ludzkie odzienie. Zaczęły się pojawiać zaczątki licznych kończyn.

Odwrócił przemianę.

— Dobrze kombinujesz.

Zbiegł po schodach, przez drzwi i po drabinie na dół. Kiedy staruszek go dopędził, ten był już w mocno zaawansowanym stadium przemiany w potwora. I wyglądał na okaz zdrowia, choć ręka mu nie odrosła.

To dziwne, że półbóg nie jest w stanie zregenerować utraconej kończyny.

Februaren dyszał miarowo. Czy dominujący zachowa inteligencję i będzie przyjazny po przemianie? Nie było jak się dowiedzieć. Asgrimmur Grimmsson był unikatem we współczesnych czasach.

Mieszkańcy Fei nie czekali na dokończenie przemiany.

Wkrótce jedynym objawem człowieczeństwa była głowa potwora, która przesunęła się na brzuch. Upiorna twarz ledwo słyszalnym głosem nakazała Februarenowi:

— Wejdź mi na grzbiet.

Februaren zebrał swoje rzeczy. Wspinaczka była trudna. I potwornie przerażająca. Jednak dzięki posłuszeństwu potwora Cloven nie był bezradny. Zawsze miał do dyspozycji Konstrukta.

Bezдушny nie znał jeszcze możliwości swego sprzymierzeńca, który pragnął zachować wszystkie swoje sekrety. Dzisiejszy wróg mojego wroga mógł równie dobrze jutro wspiąć się na szczyt listy moich wrogów.

Ramiona potwora były szersze niż koń w kłębie, ale jakby chłodniejsze. Nie było też czego się złapać. Najwyżej szczeciny, ostrej jak kolce jeżozwierza.

Potwór podniósł się i poruszył, szybko nabierając prędkości. Krajobraz zaczął śmigać na boki. Februaren zachłysnął się, zatrzęsł ze strachu — i

czepał radość z każdej sekundy na grzbiecie maskary. Nie należał do tych starców, którzy odrzucają nowinki.

Dopasował się do rytmu.

Potwór trzymał się ostępów. Podróżowanie po nierównym terenie zajmowało więcej czasu, Februaren jednak był zdziwiony, kiedy zobaczył oświetlone zachodzącym słońcem szczyty Jago zaledwie po kilku godzinach jazdy.

Kiedy zapadła ciemność, potwór wszedł na gościniec, by nadgonić trochę. Mrok bynajmniej mu tego nie utrudniał.

Februaren przejmował się tym, co mógł skrywać, ale niepotrzebnie. Dominujący stworzył sobie bańkę nietykalności czy też niewidzialności wokół siebie.

Świt zastał ich daleko na terytorium Imperium, przez które śmigali, mijając zaskoczonych chłopów. Ostatnio Delegatury Nocy rzadko się materializowały. Choć opowieści podróżnych z północy były zapowiedzią nadchodzących atrakcji.

Zmieniał się charakter świata. Każde przymierze wybiegające w przyszłość wydawało się nacechowane realnością, jakby iskrzyło rosnącym ładunkiem elektryczności. Czy tak było u zarania dziejów, kiedy magia była wszechobecna? Staruszek się martwił. Dlaczego nie czuł tego, kiedy przybył za sprawą Konstruktu na północ? Czy było to coś, co odczuwało się stopniowo, bo musiało narosnąć w człowieku i wejść w niego? Czy nadzieja na taki stan napędzała intrygę er-Ra-shala al-Dhulquamena?

Nie. Nie mogli o tym wiedzieć, nie doświadczywszy tego. Pragnęli nieśmiertelności. Pragnęli stać się Delegaturami Nocy na własnych prawach.

W świecie tak naładowanym tym wszystkim każdy mógł się stać półbogiem. Rzeczywistość ugryzła sobie solidny kęs fantazji.

Studnie Mocy wysychały. To mogła być wyspa magii na pustyni mocy, nic więcej. Taka, która nie istniała od dawna. Nie została jeszcze spustoszona przez wygłodniałe monstra Nocy.

Dziewiąty Nieznany poczuł, jak się poruszają wszędzie wokół, kierując się w tę samą stronę. Jakiś zbiornik mocy musiał pęknąć i opróżnić się w ciągu kilku godzin zamiast wielu wieków. Zdarzyło się to już wcześniej, taki wulkaniczny wybuch. Ostatni na zachodzie miał miejsce niemal dwa tysiące lat temu, we wschodnich regionach Morza Ojczystego.

Czy potwór rozumiał ludzką mowę?

— Musimy się pospieszyć! — krzyknął Februaren. — Ściągniemy zewsząd Delegatury. — Włącznie z Kharoulke Wędrowcem Wiatru, który przejmie większość tej mocy. Chyba że źródło znajduje się daleko poza granicą lodów.

Dominujący zassał moc podczas biegu. Februaren poczuł, jak potężnieje pod nim.

Przemierzali pola Frieslandii, gdzie śnieg topił się tylko z powodu obecnej mocy, której epicentrum znajdowało się gdzieś na zachodzie. Czyli gdzieś na Morzu Andorayańskim. W niezamarzniętej wodzie. Starożytny Wędrowiec Wiatru nie potrafił przekroczyć otwartego akwenu, chyba żeby go przeskoczył z wyspy na wyspę lub przeszedł po moście. Czy to wciąż prawda?

Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Kharoulke mógł podejść na skraj andorayańskiego lodu i stamtąd zassać moc. Ale bez możliwości przebicia się przezeń.

Potwór dotarł do brzegu. Zatrzymał się i nachylił, by starzec mógł z niego zsiąść. Następnie skurczył się, zapadł w sobie, spłynął. Zmienił się w wielkiego mężczyznę z szopą rudych włosów.

— Nie mogę ruszyć dalej w tej postaci. — Wskazał na zachód. — To już blaknie. Za tydzień nic z tego nie pozostanie. — Otrzeptał się niczym wielki pies. — Ale mi dobrze!

Februaren pomyślał, że każda Delegatura Nocy powiedziałyby to samo.

— Mam nadzieję, że Kharoulke jest na tyle daleko, że z tego nie skorzysta. Co dalej?

— Trzeba sobie jakoś radzić. Zmienię się w coś, co pływa.

— Bałem się, że to powiesz. — Wiedział bowiem, że stwór Nocy robił to już wcześniej.

— Odrobina wody nikomu jeszcze nie zaszkodziła, starcze.

— Słuszna uwaga. Niestety, to nie kałuża. Woda ciągnie się przez tysiąc kilometrów.

— Nie. Południowy kraniec Orflandii znajduje się niedaleko stąd. Jest nizinny i podmokły. Będziemy musieli go opłynąć, żeby wydostać się na pełne morze.

Mężczyzna, który był do niedawna Asgrimmurem Grimmssonem, wszedł do wody.

— O, tamtędy. Będziesz musiał zaryzykować.

Zaczął się roztapiać. I powiększać. Zmienił się w wieloryba skromnych rozmiarów — siedem metrów od pyska do ogona. Februaren wszedł do wody po pas. Zmoczyły go niewielkie, przetaczające się fale.

Oślizła skóra. Nie był w stanie się na nią wspiąć. Delegaturze Nocy zrobiło się go żal i wykształcił ze swego ciała uchwyt. Kiedy Februaren znalazł się na jego barkach, coś na kształt siodła utworzyło się pod nim.

— Doskonale. Tylko nie rycz.

Wieloryb pływał w koło w miejscu, w którym powinno być wyjście. Wyczuwał Dziedzinę Bogów. Gdzieś w okolicy.

Dziewiąty Nieznany też ją czuł. Ale droga była zamknięta.

Wieloryb stworzył karykaturę twarzy ślepcy ze skóry przy nozdrzu. Usta mówiły coś bezgłośnie.

— To jest to miejsce. Ale Aelen Kofer zablokował drogę.

Któż mógłby winić te karły? Nic dobrego nie pojawiło się nigdy z zewnątrz. A przypadłość tyrańskich bogów została wewnątrz.

— Jak precyzyjny był twój opis? Czy przesadzałeś, mówiąc, że Dziedzina Bogów jest bardziej wspaniała, bardziej niebezpieczna lub ekscytująca?

Wieloryb nie odpowiadał tak długo, że Februaren zaczął się obawiać, iż nie ma na to ochoty.

Ale w końcu...

— Most. Tęczowy most. Załamał się. O tym nie wspominałem. — Po wymianie zdań, przedłużonej z powodu rozwlekłych odpowiedzi wieloryba, Cloven Februaren doszedł do wniosku, że Asgrimmur Grimmsson ma spore problemy, żeby precyzyjnie opisać prywatny świat swych bogów z dzieciństwa. I zaczynał podejrzewać, że przemiany zmieniły jego mózg w taki sposób, że nie były wyraźnie widoczne. Mogła być to charakterystyczna cecha wszystkich Delegatur.

Zmagania z dominującym przypominały Februarenowi trudności z wychowaniem lekko autystycznego dziecka. Czego doświadczył dawno temu. Syn Auchion, wujek Muna. Miłość, ćwiczenia i magia pozwoliły Auchionowi żyć w miarę normalnie w wieku dojrzałym.

— Czy to przypadkiem nie będzie to samo? — zapytał słonego wiatru staruszek. — Czyżby bogowie cierpieli na autyzm?

Wyjaśniałoby to bardzo wiele zagadek.

— Czekał tutaj — rzucił do wieloryba.

— Jak długo?

Nie pytał, dokąd stary się udaje ani jak się tam dostanie ze środka toni, ale zadał najbardziej podstawowe, dosłowne pytanie.

— Tyle, ile będzie trzeba, żeby otworzyć drogę. Zjedz coś, jeśliś głodny.

— Februaren zobaczył foki baraszkujące w oddali w wodzie. Gdzieś tutaj musi być jakiś skrawek lądu.

Czy ten gatunek wieloryba żywi się fokami?

— Ale nie oddalaj się zbyt daleko.

Opisy Asgrimmura Grimmssona były na tyle szczegółowe, że Dziewiąty Nieznany mógł stworzyć wyraźny, choć pozbawiony kolorów obraz w swojej głowie. Ręka w rękę z grozą złapał za ukryte nici Konstrukt i wszedł w coś, co mogło się okazać wiecznością. Nie mógł wiedzieć, czy zdoła wśliznąć się w ten świat, dopóki nie spróbuje. Nie mógł wiedzieć — zakładając, że mu się uda — czy będzie w stanie wrócić, jeśli nie znajdzie środków pozwalających mu otworzyć portal od wewnątrz.

Cloven Februaren miał dwieście lat. Mniej więcej. Wcześniej już nieraz ryzykował. Ale nigdy tak na oślep nie stawiał wszystkiego na jedną kartę.

Zrobił pierwszy krok. Zastanawiał się, jakaż to tajemnica pchnęła go do rzucenia się w to bezrozumne szaleństwo. Miał wrażenie, że stąpa przez bezgwiezdną, mroźną noc, co towarzyszyło każdemu wejściu w Konstrukt. Nagle oblało go srebrzyste światło.

Aelen Kofer musieli odrzeć to miejsce ze wszystkich barw, zanim sobie poszli.

Cloven Februaren leżał jak długi na kamiennym nabrzeżu przed jakąś górą. Port miał za sobą. Jeden samotny statek sunął wzdłuż kei. Mógł być to statek z legendy. Ale nawet legendarny wyglądał na porzucony.

Cały ten świat wyglądał, jakby go ktoś opuścił.

Gdzie byli Aelen Kofer? Spodziewał się zobaczyć karły — choć ta kielkująca myśl mogła równie dobrze odpłynąć na złotej barce bogów. W takim razie co to za statek butwiał przy nabrzeżu?

— Powinienem bardziej przykładać się do zajęć z mitologii — mruknął Februaren.

Krasnoludów nie było widać w świecie ludzi. Ergo, musieli wkraść się do innej rzeczywistości, z którą połączony był ten świat.

Czyżby było tu kilka zachodzących na siebie dziedzin wokół północnego kręgu? Kraina gigantów, świata podziemi, zamarznięta kraina zmarłych, gdzieś, gdzie elfy mnożyły się na potęgę?

A czy to miało jakieś znaczenie? Był tutaj. Sam. I musiał dokąds stąd pójść.

Musiał otworzyć drogę. Nie wyglądało, żeby była tu jakaś żywność. Zawartość jego chlebaka nie wystarczy na długo.

Słodka ironia. Zagłodzić się w niebie na śmierć.

Staruszek spojrzał na górę. Forteca Siniego Nieba na jej szczycie była niczym duch — całkowicie skryta w chmurach. Nieco poniżej widać było fragment tęczowego mostu z pozostałością jedynych kolorów, jakie można było tu zobaczyć.

Most był pęknięty.

Wystarczyło rozwiązać ten problem. Natomiast najpilniejszą sprawą było teraz otwarcie drogi powrotu do zagłady tego świata, Asgrimmura Grimmssona. Ta myśl zrodziła posępny uśmiech.

Przebudzenia, upiory najczęściej wiązały się z powrotem starego zła całkowicie zaprzątniętego dążeniem do zła jeszcze większego. A nie naprawą dobrych uczynków, które się skiepsciły.

Alten Weinberg: Siostry

Tak często, jak ośmielała się na to bez wzbudzania imperialnego gniewu, księżniczka Helspeth błagała, by pozwolono jej wrócić do Plemeny.

— Chcę uciec od polityki — mówiła uczciwie do Katrin. — Starła się, żeby brzmiało to obojętnie. Unikała wchodzenia w szczegóły, bo właśnie one szczególnie ją przerażały.

Katrin po ślubie była dużo gorsza niż Katrin dziewczica. Sekutnica nienawidziła całego świata, bo, jak się zdawało, bardzo źle wybrała sobie męża. I nie potrafiła się przyznać do błędu.

Jaime stracił zainteresowanie żoną, kiedy tylko stało się jasne, że nigdy nie zostanie Imperatorem. Choć przez jakiś czas wykonywał swoje obowiązki, by spłodzić następcę tronu. Częściej jednak pokładał się z dworkami. Albo też ze śniadą kochaneczką, którą utrzymywał w mieszkaniu nieopodal pałacu.

Alten Weinberg w końcu straciło swój urok. Jaime powrócił do Castaurigi.

Jego wymówka brzmiała bardzo sensownie. Był tam królem. Na jego królestwo napierali sąsiedzi. Gdyby Piotra z Navai nie zajmowały ważniejsze sprawy, już dawno połknąłby Castaurigę.

Zaczęły się też niepokoje w Amhandzie przeciwko Connec. To mogło wciągnąć chaldarańskich episkopalnych książąt z Direcji. Żaden z nich nie chciał wzmocnienia pozycji Anne z Menandu.

Polityka, przed którą chciała uciec księżniczka Helspeth, obracała się wokół stronnictw religijnych. Większość szlachty nie akceptowała układu Katrin z Patriarchią. Chcieli umieścić Księżniczkę Prawowitą na swych sztandarach w walce o przywrócenie dawnego stanu.

Helspeth nie chciała brać udziału w rokoshu. I mówiła o tym otwarcie każdemu, kto zjawiał się u niej ze swym planem.

Katrin stanowczo odmawiała siostrze pozwolenia na opuszczenie stolicy. Nie miała zamiaru dopuścić, by Księżniczka Prawowita zamieszkała gdzieś, gdzie nie można by jej było bacznie obserwować.

Między siostrami zapanowało napięcie. Helspeth była przerażona, że znów mogą ją uwięzić. Albo co gorszego. I miała powody, by się lękać. Doradcy Katrin z podziwu godną regularnością zalecali podjęcie środków ekstremalnych.

Wzbierająca burza wybuchła, kiedy Katrin oznajmiła, że spodziewa się dziecka. Znów.

Zaszła w ciążę niemal zaraz po ślubie. Po sześciu tygodniach jednak poroniła. Kolejne dni były niezwykle trudne. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać. Katrin wpadała w szal bez wyraźnego powodu. Napady te mijały równie szybko, jak się pojawiały. Wtedy była głęboko skruszona, cofała drakońskie rozkazy wydane w złości. Dwór dostosował się do tego. Udawali, że wypełniają jej okrutne rozkazy, mając nadzieję, że zmieni zdanie. Ale czasami jej słudzy, przerażeni przyszłością bez Katrin, nie ignorowali jej nawet najbardziej szalonych rozkazów.

Zachowanie Cesarzowej coraz bardziej zaganiało nerwowych arystokratów do obozu tych, którzy uważali, że życie będzie przyjemniejsze z drugą siostrą na tronie Graala. I takie właśnie myślenie przerażało Księżniczkę Prawowitą.

Oświadczenie Katrin, ledwo w miesiąc po wyjeździe Jaime'a, przyniosło pokój. Zniknęła gdzieś jej irracjonalność. Cesarzowa zatopiła się w pracach związanych z Imperium oraz w przygotowaniach na przyjęcie dziecka. Zapewniała wszystkich, że będzie to syn, postawny dziedzic godny Johannes a Czarne Buty. Odziedziczy imię po dziadku. Zagadywała damy dworu, rozprawiając o ciąży. Spała o wiele krócej niż wcześniej. Faza szaleńcza ciąży zdawała się nie mieć końca.

To przerażało niektórych dworzan o wiele bardziej niż jej wcześniejsze psychozy.

Skrętnie unikano tematu Jaime'a z Castaurigi.

O Jaime Katrin mogła rozprawiać jeszcze dłużej niż o swojej ciąży. Jaime stał się półbogiem, który zupełnie nie przypominał człowieka z krwi i

kości. Człowieka, który nawet zdaniem najzagorzalszych stronników Katrin powinien zniknąć na dobre.

Helspeth została wezwana, by zjeść obiad z siostrą. Ubrała się skromnie, pamiętając, by nie przyćmić Katrin, która wyglądała alarmująco źle. Zastała Cesarzową w wylewnym nastroju, skorą do siostrzanych zwierzeń. Helspeth tańczyła, jak jej grali. Obawiała się, że topór może spaść wtedy, gdy najmniej będzie się tego spodziewała.

— Jestem taka samotna, Ellie — powiedziała Katrin. — Jaime wyjechał. Nie mam tu nikogo. Ci ludzie... To nie są moi przyjaciele. Chcą mnie tylko wykorzystać.

— Kat, zawsze masz mnie. Niech to do ciebie dotrze. Chcę być tylko twoją kochającą siostrą. Tylko tego mi trzeba. — Gdzieś w zakamarkach umysłu pojawiła się nadzieja, że Kat mogłaby zintensyfikować wysiłki, by znaleźć jej męża. Takiego, który zabrałby ją z dala od Imperium.

Tego rodzaju poszukiwania zawsze odżywały, kiedy Katrin była w dobrym nastroju. Teraz, kiedy oczekiwała potomka, nie było wyraźnej potrzeby, by zachowywać Księżniczkę Prawowitą na nieprzewidziane okoliczności.

Dzieckiem byłoby łatwiej manipulować, gdyby Katrin nagle odeszła. Helspeth, czego wielu się obawiało, była zbyt podobna do ojca. Byłaby trudna do okiełznania, mimo że jest kobietą.

Minęła godzina zwierzeń Katrin. Helspeth podejrzewała, że siostra część z tego zmyśliła, czerpiąc radość z wszelkich pocieszeń.

— Słyszałam, że kapitan Braunsnechtów, Algres Strach, wrócił do miasta — powiedziała nagle Katrin.

— Nie wiedziałam. Dlaczego?

— Wyprowadzają Imperialnych z Viscesment. Po tym jak Naczelny Wódz bezpiecznie osadził swoją marionetkę w Brothe.

— Naprawdę? Nie podejrzewałam, że taki jest. Wydawał mi się lojalnym żołnierzem.

— Musiał odrzucić moją propozycję, bo wiedział, że może zostać kolejnym Patriarchą.

— O tym nie pomyślałam. Nie rozumiem jednak, po co poluje na upiorne Delegatury na Skraju Connec, skoro mógłby stanąć za Patriarchą w Brothe.

— Będzie miał powód. Ten człowiek jest za sprytny.

— Tylko dlatego, że odrzucił twoją propozycję?

— Bo tylko to ma jakiś sens w tym wszystkim.

— Jasne, że ma. Dał słowo. Inaczej od razu skorzystałby z okazji, gdyby wcześniej nie obiecał swoich usług komuś innemu.

Katrin spojrzała na nią jakoś dziwnie. Czyżby mówiła zbyt żarliwie? Raczej nie. Ale i tak powinna się wycofać. Nie po raz pierwszy ujawniła niestosowne emocje, gdy Naczelny Wódz stał się tematem dyskusji. Ludzie zaczną się zastanawiać.

Sama była w kropce. Przecież jest dorosłą, racjonalną kobietą. Skąd ta obsesja? Pisane po kryjomu listy? Będąc świadkiem obsesji Katrin na punkcie Jaime'a z Castaurigi, obawiała się, że może popaść w podobne szaleństwo.

— Lord Maeterlinck błaga o posłuchanie, Wasza Cesarska Mość -wtrąciła się dama dworu. — Ferris Renfrow przybył z ważnymi wieściami. Graf uważa, że powinnaś je jak najszybciej poznać.

To wtargnięcie zezłościło Cesarzową. Ludzie nie powinni się tak wtrącać ze sprawami, które mogły poczekać. Od kilku tygodni nie mogła sobie z niektórymi poradzić. Starzy ludzie zawsze wietrzą jakiś kryzys. Czy mieli zamiar sprawdzić, gdzie przebiega granica jej wytrzymałości?

— To nie jest wina Claudellette — szepnęła Hespeth. — Bądź wyrozumiała. Robi, co należy do jej obowiązków.

Katrin mruknęła coś gniewnie.

— Wyżyjesz się na fon Maeterlincku. To jest dopiero łotr.

Łatwo powiedzieć, kiedy nie jest się tą dziewczyną, która musi warczeć na jednego ze starych rumaków bojowych. Prościej jest wyżyć się na kobiecie, która może tylko zwiesić głowę i przyjmować to z pokorą.

— No dobra, siostrzyczko. Pozwolę ci pokazać sobie, jak ty byś to załatwiła.

Auć! Ale Katrin niczego takiego nie zrobiła.

— Claudellette, poinformuj grafa fon Maeterlincka, że nakazuję mu zwołać Komisję Doradczą oraz inne właściwe osoby w ciągu godziny. Żadnych wymówek. — Cesarzowa uśmiechnęła się złowróźnie. — W taki sposób, siostrzyczko, ja radzę sobie z Maeterlinckami. Teraz będzie musiał zebrać piętnastu zrzedów, którzy nie będą zachwyceni z tego powodu. Większość z nich nie dotrze na czas. A więc źle wypadną przed Cesarzową. Kilku będzie za to obwiniać Maeterlincka.

— Masz zamiar się przebrać?

— Nie. Pojawię się zdyszana i nieodpowiednio ubrana. Tak bardzo poświęcam się dla Imperium. Co powinno jeszcze bardziej rozżłościć członków rady, którzy będą wściekli na Maeterlincka, jeśli rewelacje kolejnego rutynowego raportu zostaną rozdmuchane do rozmiarów spisku stulecia przeciwko Imperium.

Pojawiły się zupełnie nic nieznaczące protesty. Hespeth podejrzewała, że jest w nich o wiele mniej zajadłości, niż Katrin chciała widzieć. Ludzie tacy jak graf fon Maeterlinck po prostu chcieli zapewnienia, że są ważni dla Imperium.

Oddawszy honory imperialnej godności Cesarzowej oraz Księżniczce Prawowitej — dość zdawkowo — obdarty i brudny Ferris Renfro w oznajmił:

— Nie było potrzeby zwoływania nadzwyczajnego posiedzenia rady. Wieści, które przynoszę, są może dość dramatyczne, lecz nie wymagają natychmiastowej reakcji. Może być, że w ogóle nie będą wymagały odzewu.

Złe spojrzenie Katrin niemal stopiło na wosk grafa fon Maeterlincka.

Maeterlinck poruszył gniazdem szerszeni, nie dowiedziawszy się uprzednio, co sprowadziło tu Ferrisa. A Renfrow pozwolił mu sądzić, iż wieści wstrząsną posadami Imperium, tak że warto było wsadzić ręce do maszynki do mięsa.

— Renfrow? Jesteśmy tutaj. Gadaj, co wiesz.

— Krzyżowe siły Amhandu zebrane przez Anne z Menandu i renegatów z zakazanego Stowarzyszenia na rzecz Stłumienia Błuznierstwa i Herezji najechały na Connec. Największe siły pod wodzą króla Regarda kierują się w stronę Khaurene, na zachodzie. Druga armia przedziera się przez góry w kierunku Castreresone. Dowodzą nią arcybiskup Salpeno i Pemoud. Trzecia armia najedzie od wschodu, idąc za Dehear. Ma zniszczyć Antieux, a następnie pójść za przykładem Naczelnego Wodza podczas conneciańskiej krucjaty Wzniosłego. Ta armia składa się z tych, którzy rozgniewali Anne z Menandu. Nakazano im wziąć udział w tej krucjacie, inaczej popadliby w wielką niełaskę. Spodziewam się, że Anne ma nadzieję, iż hrabia Raymone Garete zje większość z nich na śniadanie.

Oddech Hespeth znacznie przyspieszył. Zagryzła górną wargę.

— To prawda. To nic istotnego — powiedziała Katrin. — Ale skoro już tu jesteśmy... — W jej słowach słychać było wzgardę. — Przynajmniej ci, którym chciało się odpowiedzieć na wezwanie. — Popatrzyła wilkiem na zebranych. — No to przedyskutujmy to. Jak myślicie, jak zareagują w Brothe? Spodziewam się masowej ekskomuniki. Żeby tylko. Żaden Patriarcha nie będzie tolerował nieposłuszeństwa tymczasowych władz. A co zrobi Naczelnny Wódz?

Przekazawszy wiadomości, Ferris Renfrow usunął się w cień. Hespeth miała wrażenie, że szczególnie interesuje go jej reakcja. Ale ona żyła w cieniu swej siostry, która potrafiła w jednej chwili dać upust złości. Niczego nie dała po sobie poznać.

Praktycznie wieści te niewiele ją obchodziły.

Nie można było tego jednak powiedzieć o starcach z rady. Już rozlegały się szept o tym, by jedno czy drugie miasto na pograniczu przyłączyć do Imperium. Choć od dziesięcioleci odgryzało kawałeczki terytorium Arnhandu za każdym razem, gdy byli zajęci gdzie indziej.

— Co zrobi król Brill? — zapytała Hespeth.

Santerin zawsze wojował z Arnhandem. Królowie Santerinu rzadko przepuszczali okazję, by najechać i zająć tamtejsze miasta, gdy generalnie słaba centralna władza Arnhandu odwracała się w drugą stronę.

Katrin skorzystała z tej uwagi.

— Renfrow?

— Nie wiem na pewno. Nie słyszałem nic od moich informatorów. Ale król Brill powinien zrobić to, co zawsze robili królowie Santerinu. Choć Anne z Menandu, mądrzejsza od ostatniego tuzina królów Am-handu razem wziętych, mogła zawczasu doprowadzić do jakiegoś porozumienia. — Renfrow posłał Cesarzowej ostre spojrzenie. Jakby sugerował, że krucjat nie należy podejmować pod wpływem obłudnych fanaberii.

— Jak mogłaby tego dokonać?

— Król Brill jest łasy na kolejne tytuły i ziemie. Mogła złagodzić roszczenia Arnhandu do jakichś podzielonych hrabstw na pograniczu do momentu, w którym poczuje się pewniej i będzie w stanie je odzyskać.

Katrin zstąpiła ze swego wysokiego tronu. Zaczęła chodzić wśród członków rady, okrążać ich. Teraz jak nigdy widać było w niej ducha ojca. Starcy poczuli się niepewnie.

— Mamy jakieś wieści z Salpeno? Oficjalne wieści? A może ktoś zapomniał poinformować Cesarzową?

— Wasza Miłość, jeśli mogę — odezwał się Renfrow.

— Mów.

— Choć Anne ma trudny charakter, trudno o niej powiedzieć, że jest mocną kobietą. Jeszcze nieźle stłucze sobie nosek, zanim stwierdzi że musi zacząć się przejmować Imperium.

— Naprawdę? Lordzie Admirale. Wielki Książę. Wy dwaj zawsze szukacie okazji do bitki. Zorganizujcie pokaz siły wzdłuż granic.

— Czy nie powinniśmy zapobiec harcom Anne w Connece? — zapytała Helspeth. — Będzie stanowić większe zagrożenie, jak nabierze siły i zdobędzie tamtejsze bogactwo.

— Renfrow? Masz jakiś pomysł? — zapytała Katrin.

— Nie. Poza tym, że nic dobrego nie wyniknie dla Imperium z powodzenia Anne w tym rejonie. Ponadto musimy rozważyć fakt, że tkwi w tym kolejna smutna prawda. Świat fizyczny się zmienia.

— Czyli?

— Zimy robią się dłuższe. Poziom morza opada. Daleką północ pokrywa lód, bardzo szybko. Wieczne śniegi na Jago i innych wysokich graniach są kilkakrotnie większe niż jeszcze kilka lat temu. Studnie Mocy na całym świecie stają się coraz słabsze. Tymczasem stare zło, Delegatury Nocy z Czasów przed Czasem, zaczęło wyciekać z powrotem na świat.

— To żadna specjalna nowina, Renfrow. Po co o tym mówisz?

— Ponieważ będzie dużo gorzej. My się będziemy zajmować wojenkami i polityką, jak zwykle. Wasza miłość będzie próbować wysłać kolejną krucjatę do Ziemi Świętej... — Mistrz wywiadu zamilkł, żeby nie palnąć czegoś, czego mógłby pożałować.

Johannes Czarne Buty dawał Renfrowowi wolność nadwornego błazna. Uważał jego szczere i bezpośrednie uwagi za użyteczne.

Katrin Ege miała podejście bardziej tradycyjne. Wolała, gdy mówiono jej to, co chciała usłyszeć. Nie utraciła jednak całego zamiłowania do prawdy. Mogło się jej nie podobać, co słyszała, ale potrafiła sobie z tym poradzić. Jak dotąd.

Helspeth spodziewała się, że nie potrwa to długo.

Łączność Katrin z gorzką rzeczywistością była z każdą godziną coraz bardziej nikła.

Ferris Renfrow skłonił się i zaczął wycofywać sprzed jej oblicza, krok za krokiem.

Helspeth obserwowała to. Ferris nie okazywał lęku. Po prostu chciał już sobie pójść. Dostarczył informacje. Starał się, żeby zabrzmiały dobitnie. Nikogo to nie zaalarmowało. Teraz trzeba było działać gdzie indziej.

Helspeth zrozumiała. I niewiele ją to obeszło. Mogła się teraz skupić jedynie na tym, że wkrótce Naczelny Wódz znajdzie się w politycznym klinchu.

Tel Moussa: Nowy bóg odpowiada ojcu

W wieży w Tel Moussa znajdowała się jedna brązowa hakownica; wiedział o tym jedynie Nassim Alizarin i dwaj jego kompani. Góra zamówił ją — tylko lufę — u znanego dainshauskiego odlewnika w Haeti, mieście znajdującym się na terytorium rhunijskim. Była mniejsza niż inne rodzaje tej broni. Dainshau odlali tę broń w przekonaniu, że będzie służyła devediańskiej świątyni.

Góra zamontował broń na wozie ciągniętym przez kozła. Wszystko, co Nassim wiedział na temat jej obsługi, to tyle, ile nauczył się podczas kampanii przeciwko Rudenesowi Schneidelowi, obserwując swoich niewiernych sprzymierzeńców. Proch — ta odrobina, którą posiadał — został skradziony z magazynów sha-lugów w al-Kam przez ich sprzymierzeńców i przeschmuglowany na północ w ilościach jednej do dwóch uncji naraz.

Alizarin miał prochu i pocisków wystarczająco na tuzin wystrzałów. Nie starał się zebrać więcej. Był pewien, że jego broń nie wytrzyma zbyt wielu cykli wystrzału. Brąz nie był najlepszym metalem do odlewu hakownic. Lepszy był mosiądz, a najlepsze — żelazo. Ale jedynie Devedianie na zachodzie opanowali sztukę odlewu żelaznych rur, które wychładzały się bez skaz. Z al-Karn dobiegały plotki, jakoby niezwykle opór żelaza stanowił większe źródło irytacji er-Rashala al-Dhulquarnena niż wszystkie jego porażki na zachodzie.

Tymi opowieściami karmił zapobiegawczo Gordimera Lwa, aby osłabić zdolność zachodu do zajmowania poszczególnych regionów w Ziemi

Świętej. Lub też, czego Marszałek tak się obawiał, przeciwko samemu Dreangerowi.

Bastard powrócił do al-Karn niedawno zrehabilitowany. Lew potrzebował czarownika, choć brzydził się tym człowiekiem. Z każdym rokiem Gordimer coraz bardziej obawiał się przyszłości. Przepowiednia jego zagłady z każdym dniem była bliższa spełnienia.

Mogłoby to być błogosławieństwo dla sha-lugów, Dreangeru oraz kaifato al-Minfet, dla wszystkich, gdyby ktoś dał Marszałkowi posmakować trucizny.

Nassim Alizarin miał rozmaitych omenów i przepowiedni na pęczki. Od śmierci syna bynajmniej nie był też skłonny pozostać najwierniejszym sługą bożym.

Góra popatrzył na niedojedzony posiłek. Czy był jakiś powód, by ciągnąć to wszystko? Z perspektywy czasu zdawało się, iż jego dusza skłania się ku Hagidowi.

Jego rozmyślania przerwał al-Azer er-Selim.

— Jeźdźcy na szlaku Shamramdi. Jadą w naszą stronę.

— To oznacza, że za chwilę nasi panowie pobłogosławią nas swymi żądaniami.

Az skłonił się nieznacznie i nie odezwał się więcej. Obowiązki w garnizonie Tel Moussa nie należały do trudnych. Wymagały jednak ogromnej cierpliwości. Ale Góra traktował każde wiadomości ze stolicy Lucidian jako narzucanie mu ich woli. Choć nigdy nie zawiódł ich oczekiwań ani też nie wykonywał rozkazów byle jak.

— Panicz Az! — wykrzyknął Alizarin uradowany na widok Azima al-Adila. — Stary Az nie powiedział mi, że to ty.

— Stary Az ma już wzrok nie ten co kiedyś — stwierdził Pan Duchów.

— Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam cię. — Chłopak uciekł się do kwiecistych pochlebstw, co było widocznym znakiem, iż odebrał gruntowną edukację na dworze swojego stryjecznego dziadka.

— Starzeję się, chłopcze — rzekł Góra. — Mogę tego nie przetrzymać. Czy zajęto się twoimi kompanami?

— Nie potrzeba im wiele. Wyruszymy z powrotem, kiedy tylko porozmawiamy.

— Mój panie. Nie wolno ci się wystawiać na...

— Muszę. Wszyscy musimy. U Hu'n-tai At zapanował jakiś ferment. Jakieś nieznane siły zaatakowały Skutgularut. Zostawili po sobie rumowisko. Tsistimed zwołuje wszystkich swoich synów i wnuków wraz z ich armiami. Szykuje się coś dużego.

— Może starzec zamierza zatłuc ich na dobre. Co to ma z nami wspólnego?

— Z tobą bardzo niewiele. Dla Indali al-Sul Halaladina oznacza to, że plemiona na obrzeżu kaifatu mogą poczuć się na tyle pewnie, by zerwać z władzą centralną. Niewielu z ich wodzów potrafi na tyle dobrze przewidywać przyszłość, by zrozumieć, że kiedy znów nadejdzie lato, będą potrzebowali ochrony.

— Rozumiem. — Niełatwo rządzić, kiedy komunikacja jest uzależniona od prędkości galopującego konia. — No więc, jaka jest w tym moja rola?

— Mój znamienity krewny prosi o twoją pomoc w całym innej sprawie. Bestia du Tancret znów obraził al-Pragę. Celowo.

— Trędowaci?

— Słyszałeś?

— Przyszedł do mnie przewodnik karawany. Błagał mnie, żebym ukarał Rogerta. Ukazałem mu naszą słabość, radząc, żeby złożył swoją skargę w sądzie. Jak widzę, zrobił to.

— Zrobił. Gniew Indali był niezmierny. Wśród kobiet w karawanie były dwie wnuczki jego brata Ibida, Needa i Nia, które wracały z wycieczki po starożytnościach Dreangeru. Nie. Nie zostały zhańbione. Nawet Rogert du Tancret nie odważyłby się tknąć kogoś więcej poza niewolnicami i kobietami do rozrywki. Ale dziewczyny znalazły się wśród „gości”, których zmusił do zjedzenia posiłku w Gherig, a potem kazał trędowatym im usługiwać.

— Wyczuwam szczególne zainteresowanie tą sprawą, paniczu Az.

— Jedna z dziewcząt, Needa, może być mi narzeczoną. — W odpowiedzi na uniesione brwi Alizarina dodał: — To dalekie pokrewieństwo. Indala i Ibiid mieli różne matki.

Starzec pokiwał głową. Dzieci były wystarczająco odległymi krewnymi, by mogły wstąpić w związek małżeński.

— Czego żądasz ode mnie?

— Bestia ośmielił się obrazić mojego znamienitego krewnego wyłącznie dlatego, iż był zajęty Tsistimedem. Ale teraz Hu'n-tai At odwrócili swój

wzrok gdzie indziej. Indala chciałby skorzystać z okazji i ukarać du Tancreta. Skutecznie.

— Jeszcze raz pytam, czego żądasz ode mnie?

— Żebyś umieścił w Gherig swego szpiega. Niektórzy z twych ludzi byli na zachodzie. Powinni dostatecznie dobrze wcielić się w rolę Frakierów Gisela, by Amhandowie dali się nabrać.

— Płonne nadzieje — odparł Góra. — Już próbowałem. Dwukrotnie. Obaj mężczyźni zostali schwytani. I zrzuceni z blanków. Był to objaw pogardy. Jakby byli śmieciami niewartymi męki ani okupu. Jeden z nich, abd Ador, przeżył. Możesz z nim pomówić. Ma mnóstwo czasu by rozmyślać nad tym, co poszło nie tak.

— To ten sparalizowany w fotelu na kółkach na dole?

— Ten sam.

— Dlaczego go trzymasz?

— Nie prosił o śmierć. Nie jest jeszcze gotów na raj.

Młodzik zmrużył oczy. Przedkładanie bólu i niepełnosprawności nad raj świadczyło o słabości wiary.

Chłopak był bardzo inteligentny i wykształcony, ale potrzebował otrzaskania się w świecie za pałacowymi murami.

— To jego wybór, paniczu. Jesteśmy sha-lugami, a nie jakąś bandą wypuszczoną z kazamatów, która tylko czeka, by ranni skonali i można było ich zakopać.

Chłopak skłonił lekko głowę, przyznając mu rację.

— Może jest jakiś sposób na dostanie się do Gherig, na który jeszcze nie wpadliśmy — stwierdził Alizarin. — Zastanowię się nad tym. Poza tym twój znamienity krewny mógłby spróbować wywabić Rogerta za mury i zniszczyć go.

— Takie plany też są rozważane, wodzu. Ale Arnhandowie nie są głupi. Gherig leży na granicy Ziemi Świętej, otaczają je księstwa, szczepy, miasta, z których każde aż się pali, by zdradzić sąsiadów albo nas za garść miedziaków. I nawet powieka im nie drgnie ani sumienie nie szarpnie.

— Alternatywą byłaby izolacja fortecy.

— Wiernym będzie ciężiej niż Niewiernym. Gherig może przetrwać długie oblężenie.

— Rozumiem. Nie miałem na myśli oblężenia. Wystarczy tylko wysłać jeźdźców. Odciąć Gherig. Atakować każdego, kto stamtąd wyjeżdża albo

tam się udaje. Zastosować od czasu do czasu jakiś urok, by pogorszyć niedolę sług, żołnierzy i kupców, którzy zamknięci w środku, będą musieli obserwować, jak świat na zewnątrz idzie do przodu.

— Rozumiem. Ochronić świat przed Rogertem du Tancretem, zamykając go w klatce. Z ludźmi, którzy uświadomią sobie, że jedynym sposobem na zmianę losu jest przejście po jego trupie.

— No właśnie.

— Nie jest to jakoś szczególnie zadowolające. Ale może trafić do poczucia humoru mojego stryja.

Przerwał im żołnierz Hawfik.

— Proszę wybaczyć, wodzu. Zbliżają się jeźdźcy. Z Dreangeru. Pan Duchów mówi, że trzeba być czujnym.

— Az? Ale...

Starego Aza nie było już jednak w komnacie i czał się tylko na progu świadomości.

— Mogą być kłopoty, paniczu Az. Teraz, kiedy Bastard wrócił do łask, zaczęliśmy się obawiać, że będzie próbował nas uciszyć.

Alizarin oczekiwał kontruderzenia od upadku Rudenesa Schneidela. Trwało to trochę, bo Bastard musiał ponownie wkraść się w łaski Lwa.

Chłopak czekał w milczeniu.

— Może zostać tutaj — zaproponował Alizarin. — Ujawnisz się, jeśli nie uda nam się obrona. Er-Rashal nie będzie chciał urazić Indali.

— Er-Rashal obraża mojego stryja samym swoim istnieniem. Nie będę się krył przed jego sługusami.

Bystrzak, pomyślał stary. Chłopak w lot zrozumiał, że Bastard nie będzie marnował czasu na parweniuszowskiego buntownika.

— W jaki sposób twój Mistrz Duchów potrafi dostrzec nadciągające kłopoty z tak daleka? — zapytał Al-Adil.

— Az jest tylko poślednim czarodziejem. Ale jest dobry w tym, na czym się zna. — Wystarczyło powiedzieć tylko tyle. Indala był znany ze swej pogardy dla czarowników, którą podzielali też jego poplecznicy. — On wie.

Alizarin wyszedł na niewielki balkon nad bramą wieży. Sama wieża była ledwo kilka metrów szersza niż brama z tej strony. Tworzyła poszerzający się klin, wspinając się w górę Tel Moussy. Przed bramą którą można było podnieść i wciągnąć do środka, biegła dwumetrowa sucha fosa. Alizarin nie

widział jeszcze, jak to się robi. Za bramą droga wznosiła się stromo. Każdy atakujący, który by się przez nią przedarł, musiałby nacierać pod górę.

Wódz przekonał się, że Az nie marnował czasu, czekając na rozkazy. Obstawiono wszystko ludźmi. Obsadzili stanowiska z dala od bramy — która stała otworem.

Przyjrzał się czwórce zbliżających się jeźdźców. Dwóch sha-lugów. I dwóch chcących uchodzić za sha-lugów. Z tych aż emanujących arogancją, która w oczach Alizarina była cechą ludzi er-Rashała al-Dhulquarnena.

Dowódca sha-lugów zadarł głowę. Góra nie rozpoznał go. Mężczyzna powiedział coś do czarownika.

— Czas na odwrót. Tak na wszelki wypadek — zwrócił się do chłopaka Alizarin.

Wkrótce potem błysk i skowyt aż nadto dobitnie wskazywały, że coś się stało. Nic nie było w stanie minąć strażników strzegących wejścia przed wytworami zła.

Chłopiec był przestraszony.

— Nie sądziłem... Nie mogę uwierzyć...

— Kiedy wrócisz do Shamramdi, możesz powiedzieć, że widziałeś to na własne oczy.

— Jeśli wrócę. Co można zrobić przeciwko czemuś takiemu. Twój Mistrz Duchów...

To, co mógł powiedzieć al-Adil, powątpiewając w umiejętności Aza, zostało zagłuszone potężnym rykiem. Wieża zadrzała. Kamienie jęknęły. Opadł pył.

Konie zaczęły rzeć. Ludzie też krzyczeli. Czy też raczej jeden człowiek.

Alizarin wrócił na balkon.

Wszyscy czterej jeźdźcy leżeli na ziemi. Dwóch bez ruchu. To krzychał czarownik. Drugi ranny starał się za wszelką cenę przymocować urwaną dłoń do nadgarstka.

Dwa konie uciekały, jeden na trzech nogach. Żaden nie był ranny. Ten okaleczony musiał doznać kontuzji, starając się wyrwać. Dwa padłe wierzchowce musiały leżeć bliżej, zasłaniając uciekającą parę, lecz nie ich jeźdźców.

— Doskonale — stwierdził Alizarin. Choć poczuł ukłucie żalu za zabitymi sha-lugami. Ich zbrodnią było to, że znaleźli się w złym miejscu ze złym człowiekiem.

— Zobaczmy, czy uda nam się uratować czarownika. Może być bardzo interesującym świadkiem. Jeśli stryj panicza byłby zainteresowany tym, co ma do powiedzenia.

— Nie ma wątpliwości co do tego.

— Masz jakieś obiekcje, paniczu?

— To jednak czarownik. Nie mam środków, by sobie z nim poradzić.

— Coś na to zaradzimy.

Po zejściu na dół Nassim zobaczył, że jego drogocenna hakownica jest zepsuta.

— Az?

— Przeładowaliśmy, panie. Chcieliśmy, żeby wystrzeliła dostatecznie silnym ładunkiem.

— Zajmijcie się końmi. I rannymi. Jeśli czarownik rokuje jakieś nadzieje, opatrzcie go.

Az napotkał wzrok Góry. Skinął głową i wrócił do pracy. Dołączyli do niego towarzysze z jego starej kompanii. Kościej wykrzyknął:

— Możemy uratować tego bez szkity, jak mu się opaskę założy.

— Załóżcie! — odkrzyknął Alizarin. — Zabijemy go później, jak będzie trzeba.

— Nie zobaczyli pod słońce, jak nadchodzimy, generale — odezwał się Mohkam, jeden z grupy Kościeja.

— Szczególnie zadziwia mnie arogancja tego czarownika — zauważył Azim al-Adil.

— Zapytamy go ojej powody. — Alizarin przesunął się, żeby móc lepiej obserwować Aza.

Mistrz Duchów zignorował błagania czarownika o pomoc. Przy pomocy dwóch kompanów odciął palec wskazujący i mały palec u obu dłoni mężczyzny. To powinno zakończyć jego przygodę z magią gestów. Następnie przebił mu dziurę w języku. Przez nią przewlekli srebrny pasek. Zagięli końce paska i spleli je razem. Po magii werbalnej też już nie było śladu.

Dopiero w takim stanie zabrali swego jeńca do wieży.

— Mam nadzieję, że może panicz poczekać, aż będzie gotowy do drogi, paniczu Az — powiedział Nassim.

— Mogę. Ale muszę wysłać wiadomość.

— Zaprzęgnę sygnalistów do roboty. To będzie długa wiadomość. Muszą wyłapać te konie. No i trzeba pochować ciała.

Nassim Alizarin al-Jabal był zadowolony. To był dobry dzień. Solidnie pociągnięto za brodę Bastarda, a potem ją jeszcze skrecono. Wśród sha-lugów zaczną krążyć opowieści. Niektórzy mogą się zastanowić, czy warto zachowywać posłuszeństwo wobec Marszałka, który pozwala, by się takie spiski rodziły wokół niego.

— Kościej! Jutro wracasz do Haetii. Powiedz naszemu dainshauskiemu przyjacielowi, że jego brązowy kielich cieszy się takim powodzeniem, że nasza kongregacja pragnie zamówić jeszcze trzy takie same.

Kościej westchnął. Był za stary na takie zadania. Ale się nie spierał. Nassim też by go nawet nie podejrzewał o coś takiego.

Kościej był sha-lugiem.

Connec: Konfrontacje

Koło się zamknęło. W końcu. Gawron okazał się bardziej przebiegły niż beczka śliskich węży, zdaniem jednego z weteranów niekończącej się kampanii mającej na celu eliminację ostatniego z Dawnych Bogów wskrzeszonych przez Rudenesa Schneidela. Hecht zwrócił się do Cleja Sedlakovy i Titusa Zgody:

— Jestem wykończony. A nie wykonałem tu nawet połowy pracy. - Zerknął w kierunku wschodnim. Pierwsze światło dnia zarysowało kontury conneciańskich wzgórz. — Nie ma sposobu, żeby znów się wyśliznął?

Sedlakova machnął ręką zniecierpliwiony.

— Diabła-ć tam! Nie. Tylko że wcześniej udała mu się ta sztuczka dwa razy, kiedy się tak zarzekałem. Tak więc nie. Nie ręczę za nic. Może zamienić się w stado wron i spokojnie odlecieć. Jedno z jego mian to Księżę Kruków.

— Spokojnie, pułkowniku. Nie masz się czego wstydzić. Żaden z was.

Jednak ta sprawa z wronami... Niektóre ze Starych Delegatur Nocy tak postępowaly. Kolejnym określeniem Gawrona był Pan Much. Jeśli zmieni się w miliony much, jaką w ogóle mają szansę wyeliminować go?

Z drugiej strony, byłby to akt ostatecznej desperacji upiora. Jaką nadzieję mógłby mieć nawet bóg na powtórne scalenie miliona much na tyle daleko, żeby było bezpiecznie? Ile z nich przeżyje? Ile pójdzie za głosem natury — zwabione smrodem padliny, śmieci, materii fekalnej lub po prostu chcąc się tego, ee, bzykać?

Gawron nigdy nie będzie aż tak zdesperowany.

Świat pojaśniał. Świt oświetlił szczyty wzgórz. Gawron i pomniejsze sprzęgnięte z nim Delegatury Nocy będą się teraz kurczyć, zagłębiając się

w głębokie doliny, szukając miejsca, do którego słońce nigdy nie dochodzi. Duchy i straszidła w ogóle nie interesowały Naczelnego Wodza. Musiał natomiast dopaść tego ostatniego, upartego upiora. Wtedy on i wszyscy uczestnicy tej kampanii będą mogli wrócić do domu, do swych rodzin.

Hecht odwrócił się, mając nadzieję, że kątem oka ujrzy jakiś nietypowy cień albo ruch, by się upewnić, że wszystko, co się dzieje, jest bacznie obserwowane przez Pana Milczącego Królestwa, Clovena Februarena. Dziewiątego Nieznanego. Dziadka jego rzekomego dziadka. Tego, który krył się w cieniu, pilnując, by przez całą conneckiańską krucjatę i kampanię w Arceipei wszystko szło składnie.

Ale staruszek się nie ujawniał. Hecht miał nadzieję na najlepsze i obawiał się najgorszego. Nie chciał utracić pomocy i przyjaźni nazbyt często sztubackiego staruszka.

Muniero Delari uczył się całe życie, by wejść w rolę Clovena Februarena. Ale Hecht nie pokładał pełnej ufności w możliwościach prowincjała. Jedenasty Nieznany nie posiadał takiej władzy nad magią jak Dziewiąty — choć cieszył się reputacją potężnego czarownika Kolegium.

— Jeszcze godzina. Zalezie tam, gdzie nam będzie pasować — oznajmił Titus Zgoda. — A kiedy spuścimy mu łomot, ja wracam do Brothe. I tam to Noë zmuszę do krzyku.

Hecht przekrzywił głowę i spojrzał na swego szefa wywiadu. Niepodobna, żeby Titus był taki chamowaty.

Jedynie Sedlakova mógł to słyszeć.

— Minęło cholernie dużo czasu, Piper — dodał Zgoda. — Ty musisz odwiedzić Annę... jak znam życie, Noë zaciąży w dwie minuty po moim wejściu do domu.

Hecht parsknął śmiechem pomimo tak wielkiej poufałości, choć przecież był ojcem chrzestnym jednego z dzieci Zgody oraz jego opiekunem przy przejściu na wiarę chaldarańską.

— Jak wielki tryk — obrócił ostatnie zdanie w prostacki żart Sedlakova.

— I tak wygląda prawda — uznał Zgoda. Wykonał ruchy ramionami nad głową i po bokach, wywołując poruszenie w dole, gdzie cienie spełzały wschodzącemu słońcu z oczu.

Hecht zobaczył na odległej grani innych swoich weteranów, którzy szykowali się do natarcia.

— Czas zacisnąć pętlę — stwierdził Sedlakova. — Dał znak ręką.

Zgoda wciąż sygnalizował, używając obu ramion. Coś się poruszyło, choć drzewa i krzewy przesłaniały widok.

Niewielki wodospad spadał cienkim strumieniem do zimnego, głębokiego stawu o błękitnej wodzie. Brzegi porastała bujna roślinność. W powietrzu czuć było chłód. Żołnierze Patriarchy otoczyli cały obszar od góry i od dołu, stając niemal ramię przy ramieniu. Wszystkie hakownice znalazły się na wyposażeniu tego wojska, wewnątrz okręgu. Niektórzy ze zbrojnych mieli niewielkie przenośne hakownice z lufami o jednocalowym przekroju, z podwójnym ładunkiem i żelaznymi pociskami. Ci mieli podpalić swoje wiechcie wyłącznie wtedy, gdyby Delegatura Nocy przeżyła salwę z dużych falkonetów.

Sedlakova znajdował się teraz po przeciwnej stronie strumienia, razem z Hechtem. Stał dziesięć metrów powyżej miejsca, w którym strumień wypływał z jeziora. Człowiek Bractwa zamachał i wskazał na gęste chaszczę we wgłębieniu wznoszącej się wysoko skały. Tam będzie ciemno przez cały dzień.

Hechtowi towarzyszył Kait Rhuk. Drago Prosek, starszy hakownicowy stojący wraz z pułkownikiem Smolensem u szczytu wodospadu, miał tak ustawić hakownice, aby salwa niosła tylko śmierć.

Rhuk mruknął coś do swoich kapitanów. Wiecznie niezadowolony. Rzucił jednak od niechcienia do Titusa Zgody:

— Poruczniku, kiedy dym opadnie, dam nura do tej cholernej kałuży. Wspaniale wygląda.

Hechtowi też to przyszło na myśl. W gruncie rzeczy na co jeszcze czeka? Potwór nigdzie stąd nie wylezie. Niech ludzie dadzą nura, żeby zmniejszyć napięcie.

Zorientował się, że pociera lewy nadgarstek. Zaniepokojony spojrzał w dół i rozejrzał się wokół. Kilku ludzi już zrzuciło łachy.

— Rhuk! Zgoda! Za mną! — Podszedł do najbliższej z hakownic i wyrwał tłący się wiecheć z rąk głównego Strzelca. — Podnieś tył. Chcę, żeby broń była wycelowana wprost w wodę.

Zgoda i Rhuk zrobili, jak im kazano. Czego obaj mieli żałować.

Dotykając żarem lontu, Hecht dostrzegł czyjaś twarz na powierzchni wody. Nie trwało to długo. Huknęła hakownica. Zgoda i Rhuk zawyli,

kiedy odrzut cisnął nimi do tyłu. Srebrne i żelazne strzałki ze świstem smagnęły toń stawu.

Rozległ się połączony grzmot salwy, gdyż każda załoga pomyślała, że pierwszy wystrzał był sygnałem do otwarcia ognia.

Boży śrut poszatkował cienie w naturalnym załomie skalnym.

Wszyscy ogłuchli. Hecht wycofał Zgodę i Rhuka, sprawdziwszy ich nadgarstki, a załoga hakownicy szorowała i przeładowywała broń.

— Strzelać w wodę! — krzyknął Hecht wprost do ucha kapitanowi. — Tam jest!

Środek toni zaczął się unosić. Słup ciemnej wody przybierał ludzki kształt... Naga kobieta... Niezwykle zmysłowa... Ponadnaturalnej wielkości.

Patriarchalni podejmowanie decyzji mieli w małym palcu. Większość nie straciła głowy. Dał się słyszeć szcęk broni. Salwa rozerwała wodną kobietę na strzępy.

Już się nie podniosła.

Strzały ucichły. Przeładowywano broń. Oddziały czekały na rozkazy dowódcy.

Naczelny Wódz żałował, że nie ma z nim Dziewiątego Nieznanego. Nie wiedział, w jaki sposób sprawdzić, czy atak był skuteczny.

Jego oficerowie wydawali się równie niepewni.

— Titus, już mnie słyszysz?

— Tak, panie. Najgorzej jest, jak się stanie przed hakownicami.

— Przetrzymałeś to z innymi. Skąd wiedziałeś, że już po nich?

— Takie rzeczy się czuje. Wie się. Sama ziemia jest jakby przytłoczona smutkiem.

— Znaczy się nie dopadliśmy drania.

— Nie zabiliśmy go. To, co wylazło z wody, to nie był Gawron. To jakaś miejscowa Delegatura. Za duża na driadę. Może kłacz wodna...

Odezwała się hakownicą, bo komuś się wydawało, że widzi jakiś ruch. W sekundę strzelały wszystkie, głównie w skalny załom, który był pierwotnym celem. Gdy zmiotli całe zarośla, ukazała się naga skała, od której pociski rykoszetowały, z wściekłym wizgiem śmigając na wszystkie strony. Jeden z ludzi zginął, a kilkunastu zostało rannych, zanim salwa ucichła.

— Myślisz, że się z nas śmieje? — zapytał Hecht. — Że tacyśmy w gorącej wodzie kąpani?

— Nie — odparł Titus. — Myślę, że dostał tyle razy, że jest bardziej przerażony niż my wszyscy. Był w dole, tam, gdzie podejrzewaliśmy. Ponieważ nigdzie indziej być nie mógł.

— I nie bronił się. Delegatura Nocy, upiorne bóstwo, i się nie bronił.

Cień wdał się w ząartą walkę. Wielu ludzi zginęło. A upiór opuścił łupinę ciała, które Patriarchalni zmielili w móżdżerzu i rozsypywali po szczypcie w różnych miejscach.

— Nigdy nie był tak silny. A osaczamy go od pół roku i wciąż nam umyka. Za każdym razem, kiedy się zbliżamy, odnosi rany. To koniec. Skręcenie tej wodnicy, czy co to tam było, to jego ostatnia szansa. Gdybyśmy pomyśleli, że to jego zabiliśmy...

Zgoda terkotał bez końca. Strumień świadomości wylewał się z jego ust. Hecht widział to już wcześniej u ludzi w stresie. Sam tak robił za młodu.

Jakiś żołnierz krzyknął. I kolejny. A trzeci zawołał:

— Panie generale, tu jest jakiś facet!

Hecht zmrużył oczy i wkrótce dostrzegł kościstą, bladą postać w łachmanach, która wyglądała jak jeden z tych grolsacherskich uchodźców, których hrabia Raymone i jego żądna krwi małżonka wypędzali z tego kwartału Connec. Mężczyzna wyciągał ręce ku górze. Wciąż się kłaniał.

— Co myślisz? — zapytał Hecht.

— Myślę, że Gawron wciąż jest z nami — odparł Zgoda.

— Ściągnij go tym parowem. Rhuk, niech cała bateria ustawi się tak, żeby mogła go rozerwać na strzępy. Każ mu zatrzymać się przy tamtym białym kamieniu...

Rhuk marszczył brwi i kręcił głową. Hecht wiedział, o co chodzi. Jeśli hakownice wystrzelą, gdy się tam znajdzie, rykoszet poleci w stronę oddziałów na drugim zboczu.

— No dobrze. Niech się zatrzyma o metr przed tym kamieniem. Wtedy rykoszet trafi w niego.

Mężczyzna najwyraźniej czekał na kogoś, kto miałby go przejąć.

— Nic z tego, kolego — zawołał ze szczytu wodospadu Buhle Smolens. Rozkazał dwóm hakownicowym wypalić w kierunku mężczyzny.

— I brawo, Smolens — stwierdził Hecht.

Jakiś cień w górze zatrzepotał skrzydłami.

— Kruk! — rzucił Kait Rhuk. — Wylądował na tym wielkim dębie za Sedlakową. Trochę na lewo.

Nikt nie wiedział, ile mocy posiadał tego dnia upiór nad krukami. Legendarny Książę Kruków miał moc olbrzymią. Ale zbrojni byli gotowi.

Wytrawny kusznik strącił ptaka, kiedy tylko ten przestał się ruszać.

Był to jedyny kruk, jakiego widzieli, choć latają w dobranych parach.

Wysoko w górze zaczęły krążyć sępy.

Zachęcony energiczną gestykulacją zbrojnych mężczyzna na dole brodził przez strumień i zaczął się wspinać w stronę Hechta. Był wynędzniały. Zagłodzony. Słaby.

Wśród zgromadzonych nie znalazł nawet krztyny współczucia. Grolsacher albo też Delegatura w przebraniu uchodźcy nie mogli wykrzesać cieplejszych uczuć u mężczyzn, którzy byli w polu od ponad pół roku. Większość z nich zastanawiała się, dlaczego stary nie zabił go na miejscu, żeby było po sprawie.

— Zatrzymaj go. Wyceluj ze dwie hakownice dla podkreślenia wagi rozkazu.

Rhuk wykonał polecenie.

Po drugiej stronie Clej Sedlakova przestawił hakownice, by mieć lepszy kąt ostrzału skoncentrowany wokół niewielkiego cienia po lewej stronie w dole. Buhle Smolens kazał rzucić swoim ludziom bomby zapalające włącznie z drogocennym zapasem nefronu.

Rhuk wrócił od przestawionej broni.

— Szefie, on cuchnie.

— Prawdopodobnie trzyma się jakiegoś religijnego zwyczaju zakazującego kąpieli.

— Kąpiel nie zatrze tego smrodu. Ma go, od kiedy Bóg stworzył świat.

Delegatura Nocy nie zdołała zamaskować odoru zgnilizny.

— Zanim to zrobisz — zawołał upiór w przebraniu mocnym, niskim głosem, kiedy Hecht miał już wydać rozkaz otwarcia ognia — chcę ci coś powiedzieć!

— Tylko szybko.

— Nadchodzi kryzys. Potrzebujesz wszystkich swoich sojuszników. Szczególnie po drugiej stronie granicy Nocy.

Hecht powtórzył w myślach wszystko, co wiedział o Dawnych Bogach i nadchodzącej burzy. Wykonał gest dłonią, tak by upiór go nie zobaczył.

W Gawronie wciąż tliły się resztki mocy. Dlatego wiehciowi nie podpalili lontu. Wszyscy oprócz jednego.

Jeden wystarczył. Koncentracja Gawrona została przełamana.

Hakownice zaczęły szczekać. Nieregularnie.

Poniewczasie.

Gawron padł na ziemię w wijącym się kopczyku czerwii.

Kaitowi Rhukowi nie trzeba było nic mówić. Z poranionymi nadgarstkami pomógł przechylić hakownicę tak, żeby mogła oddać salwę z bożego śrutu do tego cuchnącego kłębowiska, zanim czerwie zdążą się rozpełznąć.

Hecht poczuł to, o czym Titus Zgoda mówił wcześniej. Niekończący się, dotkliwy smutek, że skończyła się pewna epoka.

Zaczęły się zbierać kruki.

— Weźcie żelazne narzędzia i rozgniećcie te czerwie — rozkazał Hecht. — Obrzućcie je rozgrzanymi węglami. Róbcie wszystko, żeby je zniszczyć.

Delegatura tak stara jak Gawron musiała znać wiele sposobów, by uniknąć całkowitego unicestwienia. W starych bajaniach tak zawsze postępowało zło.

Piper Hecht nie zamierzał mu w tym pomagać.

— Nie zastanowiłeś się nawet nad jego propozycją — powiedział Titus Zgoda.

— Nie byłby w stanie dotrzymać umowy. Nic z tego. Nie leżało to w jego naturze. Zwróciliby się przeciwko nam.

Wszyscy pracownicy niszczyli czerwie i oczyszczali teren. Hecht usiadł na głazie i spoglądał w toń stawu, który zmienił barwę. Może za sprawą zmieniającego się kąta padania światła. A może z innego powodu.

Woda była teraz zimna i nieprzyjazna.

Coś nie chciałoby mu przeszkadzać.

Niech i tak będzie. Teraz nikomu nie zaszkodzi.

Hecht wyczuł, że chciał odruchowo dodać pod nosem: „Bo jak nie, to...”, przy całej swojej wyrozumiałości.

Wszyscy rozmawiali teraz o tym, co będą robić. Wszyscy myśleli, że teraz skończy się przygoda. Może raczej większość. Wkrótce znajdą się bez zajęcia.

Nikt nie odważył się na kąpiel.

Armia Patriarchalnych wyszła z głuszy i skierowała się do garnizonu w Viscesment. Stamtąd Hecht miał zamiar wrócić do Firdalii, gdzie — jak się spodziewał — przerzedzą się szeregi jego sił. Patriarcha rozwiąże wojsko. Już ich nie potrzebował.

Starym imperialnym szlakiem wiodącym obok Dechearu nadjechali jeźdźcy na wycieńczonych koniach. Złapali armię o dwie wiorsty na wschód od Viscesment. Zbrojni ze szpicy zawiedli ich przed oblicze Naczelnego Wodza.

Ten wyłuskał z grupy jednego z nich i warknął:

— Pella! Kazałem ci zostać w...

— Tato, Patriarcha mnie wysłał! Sam Bellicose! Stwierdził, że odnajdę cię szybciej niż ktokolwiek inny.

Hecht zachował swoje myśli dla siebie, włącznie z tą, że chłopak jest taki młody i podróżuje za granicą w tak trudnych czasach jedynie z oddziałem gwardzistów.

— O co chodzi?

Pella napuszył się z dumy, podając mu sakwę kurierską noszącą patriarchalną pieczęć. Hecht też odczuwał dumę. Tyle zaufania w tak młode ręce. Pella bardzo się zmienił od czasu pobytu na ulicach Sonsy.

— Amhandowie najechali Connec — powiedział chłopak. — Wbrew Krois i Kolegium.

Hecht wydał rozkazy, by zbrojni zwarli szyki, a następnie nakazał trębaczowi zwołać sygnałem oficerów. I żeby się żwawo ruszali. Żołnierze zwiększyli czujność. Coś się szykowało. Obawiali się, że raczej nic dobrego.

Wiadomość od hrabiego Raymone'a nadeszła podczas odprawy oficerów. Potwierdzała pogłoski o armii amhandzkiej kierującej się na Viscesment, by zająć mosty przed inwazją na Connec. Hrabia miał przyjaciół i agentów w Salpeno. A Anne z Menandu miała wrogów gotowych zdradzić Arnhand, byleby tylko mogli spalić tę ladacznicę.

— Panowie, wszystko jasne. Anne z Menandu zbuntowała się przeciwko Patriarsze. Wysłała oddziały do Connec, by je oczyścić z herezji maysalskiej. Jej prawdziwym motywem jest najprawdopodobniej przejęcie bogactw i władzy, jak zwykle. Najwyraźniej mamy do czynienia z trzema armiami. Jedna z nich idzie w tę stronę. Liczy około dwóch tysięcy ośmiuset zbrojnych pod dowództwem tych, których Anne najbardziej

chciałyby się pozbyć. Po drodze zajmie Grolsacher. Patriarcha chce, żebyśmy zatrzymali tych ludzi. Mamy przewagę liczebną i wojskową. A oni nie będą się palić, by ginąć za Anne z Menandu. Musimy więc odłożyć nasz urlop. W tym czasie musimy obstać Viscement i jego mosty.

Spodziewał się szemrania.

Było go sporo. Oficerowie napominali swoich ludzi, że pod przywództwem Naczelnego Wodza nigdy nie było opóźnienia w wypłacie żołdu. Ilu zbrojnych ma tak komfortową sytuację?

W wielu armiach dowódcy korzystali z okazji, by ukraść pieniądze przeznaczone dla swych ludzi, co stanowiło dla nich dodatkową korzyść związaną ze sprawowaną funkcją.

— Może być żelazo w robocie — powiedział Titus Zgoda, być może najbardziej zde gustowany z nich wszystkich.

— Tak? — zdziwił się Hecht.

— Wszyscy dobrze wiedzą, że odkąd Regard zasiadł na tronie, Anne i jej poplecznicy z Kościoła zaczęli dusić ich podatkami. Z pewnością posłała ich wraz ze swoimi krzyżowcami.

Zgoda rozwlekłe i szczegółowo uzasadnił swoją hipotezę. Hecht słuchał jednym uchem, już bowiem zastanawiał się, jak najlepiej wykonać rozkazy, minimalizując niedolę swych oddziałów.

— Co to było?

— Mówiłem, że jeśli przywiozą potężną skrzynię, by sfinansować długą kampanię, to możemy z niej uszczknąć na tyle, by zatrzymać nasze oddziały.

— Co dalej? — Ta myśl pojawiła się w tysiącach umysłów.

— Może i tak, Titus. Może i tak. Nie wszystko naraz.

Patriarchalna armia dotarła do Viscement ze sporym zapasem.

Amhandzcy krzyżowcy nie chcieli być w polu. Poruszali się na tyle szybko, by zagłuszyć jazgotanie mnichów Stowarzyszenia. Armia została zebrana zgodnie z zasadami feudalnego zaciągu. Czterdzieści dni mijało bardzo szybko. Jeśli wystarczająco długo wszystko przetrzymają, może nawet nie będą musieli walczyć.

Zgoda miał rację co do wojennego skarbcza. Biskupi, którzy objęli nad tym kontrolę, zamierzali utrzymać armię w kupie, płacąc zbrojnym. Nie wyobrażali sobie, żeby szlachta i rycerstwo po spełnieniu swych wasalnych

powinności nie chcieli walczyć dalej, ba! rwać się do walki. W końcu wypełniali zbożne dzieło.

Titus Zgoda wysłał do nich swoich agentów. Ci ocenili liczbę nadciągających oddziałów, zapisali nazwiska i oszacowali osobiste zasoby. Niezadowolenie zniknęło jak sen w obliczu pewności i spodziewanych okupów.

Zrządzenie łamało charaktery. Teraz ludzie marudzili, że nie będą mieli okazji zetrzeć się z większą kolumną Arnhandów na zachodzie, gdzie można byłoby zdobyć bogatsze łupy. Nawet król Regard wyszedł teraz w pole, bo był to jedyny sposób ucieczki przed jego straszną matką.

Naczelnny Wódz był nastawiony mniej optymistycznie. O czym zapomniał? Dlaczego Anne wysłała tu tak małe siły — nawet wliczając w to posiłki z generalnie nieprzydatnych Grolsacherów — przeciwko jego potężnej armii złożonej z weteranów?

Hrabia Raymone Garete i Socia znaleźli odpowiedź na jego pytania piątego wieczoru, na dwa dni przed pojawieniem się krzyżowców na horyzoncie. Hecht przyjął ich na prywatnej skromnej kolacji.

— Naczelnny Wodzu, ignorujesz całkowicie wiarę. Nie dostrzegasz, że Anne jest tak pewna, iż walczy w słusznej sprawie, że nawet sobie nie wyobraża, by Kościół chciał ją powstrzymać. Choć jej życie to pasmo intryg i zbrodni, naprawdę wierzy, że spełnia misję od Boga. Ona wie, bez cienia wątpliwości, że odstąpisz po jakimś jej kurtuazyjnym geście mającym zachować pozory honoru. Mam przyjaciół w radach Arnhandu. Ludzie całkowicie pochłonięci tą krucjatą święcie wierzą, że twoi żołnierze pierwszej zdezerterują, niżby mieli zaryzykować zbawienie swej duszy, występując przeciwko woli bożej. Są też przekonani, że nie oprzesz się okazji, by dokończyć to, co zacząłeś przed rokiem.

— Titus, czy którykolwiek z twoich ludzi myśli w ten sposób? — zapytał Hecht.

— Może kilku. Być może. Ja na nich nie natrafiłem. Znam takich, którzy pozwolili szpiegom Stowarzyszenia wierzyć, że myślą w ten sposób. Mając nadzieję, że sami się wystawią pod nóż.

Komplikacje były zawsze. Problemy z odczytaniem rzeczywistej lojalności różnych ludzi. Hecht wierzył, że może liczyć na większość swych zbrojnych. Ale gdy na szali znalazła się na dodatek religia, mogło to nieprzewidywalnie zmienić równowagę.

Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy wydaje im się, że na szali znajduje się ich nieśmiertelna dusza.

— Nie odzierajmy ich ze złudzeń. Kiedy hrabia Raymone wyjedzie i będzie miał dużo czasu w zapasie, rozpuścimy plotki, że chcę go aresztować. Hrabio, opracowałem misterny plan, który pozwoli nam odnieść zwycięstwo przy niewielkich kosztach własnych — zwrócił się do Raymone'a.

— Zamieniam się w słuch.

— Podobnie jak te ściany. Antypatriarchowie mają kilka doskonałych wyciszonych komnat. Proponuję, żebyśmy udali się do jednej z nich po kolacji.

Zwiadowcy Arnhandów poinformowali swoich przełożonych, że oddziały Naczelnego Wodza kierują się z powrotem do Firaldii. Kilku zbrojnych pozostało w Viscesment, gotując się do pościgu za hrabią Raymone'em Garete, kiedy tylko zostanie uzgodnione porozumienie z krzyżowcami. Jeśli nawet nie będą chcieli schwytać złego hrabiego, to będą przynajmniej mogli odciąć mu drogę do Antieux.

— Sprawdzimy, w jakim stopniu ci ludzie są niewolnikami własnego myślenia życzeniowego — powiedział Hecht. — Titus, wszystko idzie gładko?

Zgoda był jednym z niewielu oficerów, który nie został wysłany, by sprawdzić, co się dzieje.

— Jak po maśle.

— Kiedy wszystko idzie dobrze, zaczynam się martwić.

— I przejmujesz się, kiedy nie idzie. Po prostu zamartwianie się jest twoją drugą naturą.

— Och, tak. Chyba tak. A teraz martwię się jeszcze tym, że już nie widzę wokół siebie devów. Straciliśmy ich?

— Tak. Już nie mam wielu informacji z devediafiskiej społeczności. A jak mam, to nie wiem, czy są coś warte.

— Dlaczego?

— Czują się podle wykorzystani w sprawie Krulika i Sneigona.

— Oni czują się podle wykorzystani? Naprawdę?

— Nie musisz się na mnie wydzierać. Uważają, że mają pełne prawo robić ze swoimi produktami, co im się żywnie podoba, pod warunkiem że

najpierw zabezpieczają twoje potrzeby. Uważają, że szykany i ograniczenia, jakich doświadczyli po wybuchach, są niedorzeczne. Nawet wprost wrogie.

Choć Hecht miał wielką ochotę powiedzieć, że jest gotów pokazać im prawdziwe szykany, zmilczał.

— Gdzie stawiają te swoje tajne odlewnie?

— Piper...?

— Nie jestem głupi, Titus. A ty nie jesteś na tyle naiwny, żeby myśleć, iż zaakceptowali narzucone im przez nas zasady. Widzą okazję do wzbogacenia się, uzbrajając obie strony, żebyśmy się mogli wzajem pozabijać. Zniosę dużo więcej od nich niż takie wymówki, byle dotarła do nich moja wiadomość.

Zgoda zmrużył oczy. Twarz mu poczerwieniała.

— Czy manufaktura Krulika i Sneigona została zniszczona celowo?

— Nie. Ale byłbym gotów to zrobić, gdybym wiedział, co zastaniemy w ich księgach. I nawet powieka by mi nie drgnęła. Przy tym, w jaki sposób prowadzili działalność, mogli równie dobrze sprzedać proch zbirom Rudenesa Scheidela, by zaatakować dom Anne. Nie obchodzi ich, jak jest wykorzystywany ich produkt, bo zgarniają tylko kasę.

— Rozumiem, naprawdę... Co jest, Berdak?

— Jakiś dżentelmen chce się widzieć z Naczelnym Wodzem. Mówi, że to sprawa życia lub śmierci. Ma dokumenty plenipotenty cesarskiego dworu.

Ferris Renfrow. A jeśli nie Renfrow, to Algres Strach. Co wiązałoby się z niezwykle dramatycznymi innymi konsekwencjami.

— Wprowadź go. Titus, zostań. Chyba że będzie chciał rozmawiać w cztery oczy.

Chwilę później.

— Aa, Renfrow. A jednak wcale nie dżentelmen. Ile zajęło ci ominięcie tych wszystkich, którzy nie chcą, żebym się dowiedział, co się na świecie dzieje?

— Nie tak długo. Mam złoty język. Ludzie słuchają mnie, gdy mówię, że to coś ważnego.

— W takim razie powiedz i mnie.

Renfrow zerknął na Zgodę.

— On i tak za chwilę się dowie.

— Może przynajmniej przejdźmy do wyciszonego pokoju? Żeby za chwilę nie dowiedzieli się o tym wszyscy? Niektórych ludzi należy trzymać

w nieświadomości.

— Titus? Mamy tam taki niewielki pokój — stwierdził Hecht, po czym zwrócił się do Renfrowa: — Są w całym pałacu. Paranoja Anty-patriarchów była w pełni uzasadniona.

Titus Zgoda nie znał Ferrisa Renfrowa osobiście, wyłącznie ze słyszenia. Najwyraźniej zastanawiał się, w jaki sposób Hecht poznał tego człowieka.

Hecht zamknął drzwi ciasnego pomieszczenia, które służyło kiedyś do ukrywania żeńskich gości, a nie do chronienia tajemnic.

— Ciasno — zauważył Renfrow.

— Im szybciej mi powiesz, tym szybciej wyjdziemy tam, gdzie można odetchnąć.

— Bellicose nie żyje. Twój stary przyjaciel Bronte Doneto zapewnił sobie sukcesję po nim. Zdecyduje drugie głosowanie. Wkrótce się ukaże bulla wysmażona w imieniu Kolegium. Nakaze ci zaniechać wypełniania rozkazów Bellicose'a. Masz oddać swoje siły do dyspozycji amhandzkich krzyżowców. Teraz to nie jest jeszcze pełnoprawny rozkaz. Stanie się obowiązujący, kiedy skończy się okres bezkrólewia i Doneto przejmie pełnię władzy. Tomlin Sporyszowy przejmie po tobie dowodzenie z dniem zakończenia bezkrólewia.

— A kto to jest ten Tomlin Sporyszowy? Jakiś podrzutek do Bractwa? Wydawało mi się, że znam wszystkich stacjonujących w Firaldii.

— Tomlin Sporyszowy to fałszywe nazwisko mające chronić Pin-kusa Ghorta. Niektórzy obawiają się, że odmówisz współpracy, jeśli dowiesz się, że Ghort ma cię zastąpić.

— Niektórzy, czyli Bronte Doneto?

— No właśnie. Ten człowiek ma jakąś zadrę w stosunku do ciebie.

— Poczekaj — przerwał mu Titus Zgoda. — Bezkrólewie. Trwa dwadzieścia sześć dni. Kiedy zmarł Bellicose?

— Jakies cztery godziny temu. — Wyraz twarzy Renfrowa zdawał się rzucać Zgodzie wyzwanie.

Titus wiedział, kiedy nie należało marnować czasu i sił. Renfrow nie był skory do wyjaśnień. Pokiwał głową i pozwolił swemu dowódcy zadać pytanie.

Hecht pozostał obojętny. Dużym wysiłkiem woli.

Gdzież ten Cloven Februaren, kiedy jest tak potrzebny?

Od dawna nie było po nim śladu.

— Tomlin Sporyszowy. Dziwaczne miano.

— Brzmi jak nazwa choroby — stwierdził Renfrow.

— Ciekawe, skąd im to przyszło do głowy? — Ale ciekawość była bezsensowna. — Ile trzeba, żeby dotarły do nas rozkazy?

— Przyszło ci coś do głowy?

— Tylko taki gest. Żeby Bellicose zaznaczył się jakoś na tym świecie. — Ostatni Patriarcha nie mógł przyjąć bardziej kontrowersyjnego imienia. Chciał, żeby świat wiedział, iż jest zawiadackim draniem z prawdziwą misją dla Kościoła.

— Rzuć pomysł. Może będę mógł coś dodać od siebie — powiedział Renfrow.

— Mogę zmiażdżyć Arnhandów podążających w tę stronę. Wyłapać większość z nich. Zażądać okupu. Żeby moi ludzie mogli przejść w stan spoczynku z jako takimi perspektywami na przyszłość.

— Kurierom trudno się będzie przebić. Ale twoi ludzie nie muszą przechodzić w stan spoczynku. Weź ich z sobą.

— Z sobą? A dokąd?

— Nie bądź taki skromny, Naczelny Wodzu. Cesarzowa chce, byś poprowadził krucjatę i wyzwolił Ziemię Świętą. To najbardziej ironiczny obrót spraw. Weź tę posadę. Baronowie będą krzyczeć, ale w Katrin jest naprawdę sporo z Małego Hansa. Dopnie swego. Kiedy weźmiesz tę pozycję, możesz ściągnąć sobie swoich ludzi do pomocy.

Piper Hecht nie miał ochoty prowadzić kolejnej krucjaty.

— Powiem, że specjalnego wyboru nie masz. W Państwach Patriarchalnych zajęcia nie znajdziesz. Bronte Doneto musi żywić wielką urazę.

— Wie, że nie może na mnie liczyć. Nie stanę się jego narzędziem, tak jak jestem narzędziem Kościoła.

— Jasne. 7'o nieźle brzmi.

Titus warknął coś pod nosem. Nie pałał do Imperialnego sympatią.

— Mówisz w imieniu Cesarzowej? — zapytał Hecht.

— Ona jeszcze nie słyszała wieści.

— Zobaczymy, na czym będziemy stać, jak je usłyszy. — Hecht gestem nakazał Zgodzie, by zmilczał.

Renfrow skłonił się nieznacznie, z odrobiną kpiny.

— W takim razie dobrze. A tak w ogóle to pewnie poradzisz sobie z Anne z Menandu. Jeśli jej dowódcy wykażą się jak zwykle porażającą niekompetencją.

Znów się lekko skłoniwszy, Renfrow opuścił pomieszczenie.

— Co to miało być, Piper? — zapytał Zgoda.

— Hmm?

— Ten człowiek powiedział bardzo dużo, nie mówiąc prawie nic. Jeśli wiesz, o czym mówię.

— To prawda. Mój problem polega na tym, że jestem zbyt dosłowny, by pojąć większość z tego.

Zgoda nie był przekonany. Nie chciał jednak ciągnąć tego tematu. Znał swoje miejsce u boku szefa.

— Czyżbyśmy mieli przystać do Imperialnych? — zapytał.

— Możliwe. Mamy armię, za którą jesteśmy odpowiedzialni.

— Armia nie jest w wielkim niebezpieczeństwie. Jedynie ci z nas, o których Bronte Doneto wie, że nie może sobie ich przypiąć do butonierki.

Zgoda miał rację. Kilku ważnych dowódców należało do Bractwa Wojny. Jeśli Bronte Doneto ma jakiś układ z Bractwem — co wydawało się prawdopodobne — Pinkus przejmie urobioną już ekipę.

— Powinniśmy wziąć pod uwagę ten wątek — mówił dalej Zgoda.

— Znaczy?

— Doneto był już gotowy do działania, kiedy Bellicose zmarł.

— Tak się zdaje. Ale nie może przejąć władzy w pełni do chwili zakończenia oficjalnej żałoby.

— Jasne. Ale tak sobie myślę, że jeśli miał ustawione wybory, może ustawił też już inne sprawy. Może nawet układ z Anne z Menandu? Tak jak każdy Patriarcha, potrzebuje pieniędzy. Zachłanni zawsze chcą plądrować Connec.

— A Doneto chowa urazę za różne stare zatargi. Wyślę ostrzeżenie do hrabiego Raymone.

— Dobrze. A na razie przygotujmy się na przyjęcie tych krzyżowców. Może tak się ociągali, bo czekali na te wieści.

Hecht wątpił w to. Amhandowie poruszali się wolno, bo w ogóle nie mieli ochoty na tę kampanię. Postanowili spróbować, czy uda się im przetrwać czterdzieści dni bez konieczności ponoszenia ofiar za Ladacznicę z Menandu.

— Już bardziej nie możemy się przygotować — zwrócił się do Naczelnego Wodza pułkownik Smolens. — Nie wiem, czy to się uda. Niektórzy miejscowi sympatyzują z Arnhandami.

— Jeśli Titus wykona swoje zadanie — czyż kiedykolwiek nie wykonał? — usłyszą tyle sprzecznych wiadomości z tak wielu źródeł, że w nic już nie uwierzą. Szczególnie w to, że będziemy walczyć z garstką ludzi, których tu mamy do dyspozycji.

Ci, którzy mieli zanęcić pułapkę, wyjechali, by spotkać się z dowódcami sił krzyżowców.

— Titus, jeśli nie masz nic pilniejszego do roboty, chciałbym porozmawiać o manufakturze hakownic.

Kilku zbrojnych spojrzało na niego ze zdziwieniem, ale wrócili do swoich zadań. To było typowe dla Naczelnego Wodza. Potrafił poruszać zupełnie nieistotne tematy w najtrudniejszych momentach.

— Chcesz dostać urlop? — zapytał Titusa Hecht.

Titus wyglądał na wyczerpanego. Na jego skroniach pojawiły się srebrne nitki. Zaczął tracić włosy na czubku głowy.

— Tak. Oczywiście. Ale do rzeczy. Mam to, co chciałeś wiedzieć na temat produkcji żelaza.

— Musimy działać szybko. Za godzinę będziemy w wirze bitwy. -Nie przypominał sobie, żeby pytał Titusa o to.

— Obecnie produkuje się hakownice z żelaza. Lepiej wytrzymałe mocniejsze ładunki. Ale to ciężka praca. Jedynie Krulik i Sneigon rozgryźli zagadnienie odlewu i chłodzenia, tak by broń była niezawodna.

— Znaczący, że może się o tym dowiedzieć każdy, kto będzie chciał się podzielić z nimi swoim bogactwem.

Titus zmarszczył brwi. Choć był konwertytą, wciąż wzdragał się na stereotypowe uwagi na temat devedian.

— Być może. Ale posłuchaj. Żeby wytworzyć żelazne hakownice, potrzebna jest pełna produkcja ze wszystkimi siłami i środkami.

— Mów dalej. — Hecht usiadł i oczyścił umysł.

— Przede wszystkim, bez względu na to gdzie znajduje się to miejsce, musi być porośnięte lasem. Starym lasem z drzewami o twardych pniach. Nie uwierzysz, ile potrzeba dębiny, by otrzymać węgiel drzewny do wytopu odpowiedniej jakości. A potem potrzeba ponad stu pięćdziesięciu metrów

sześciennych węgla drzewnego, by wytopić dziesięć kilogramów tego, co nazywają kowalnym żelazem. Lekkie żelazne hakownice ważą niemal czterdzieści pięć kilo. Przy całym procesie zużywa się olbrzymie ilości węgla drzewnego. Co wymaga wyteżonej pracy. Nie mogłem poznać precyzyjnych danych, ale zapiski Krulika i Sneigona mówią o setkach, może nawet o tysiącach roboczogodzin potrzebnych do wytworzenia jednej sztuki broni żelaznej.

— Przykładowo na wytworzenie prostego żelaznego miecza zwykłego przeznaczenia i twardości przy pomocy wytworzonego już kowalnego metalu potrzeba dziewięciuset kilogramów węgla drzewnego i do dwustu godzin pracy.

Hechtowi nigdy nie przyszło do głowy, by interesować się tym, ile czasu i wysiłku potrzeba, by wytworzyć narzędzia jego profesji.

— Krulik i Sneigon też robią miecze, prawda?

— Mają w asortymencie pełną gamę produktów. Większość z nas ma coś od nich. Obawiam się, że eksplozja w Brothe była dla nich niczym błogosławieństwo z nieba. Ich wydajność zawsze była ograniczona lokalizacją. Musieli ściągać żelazo i węgiel drzewny do manufaktury. W pobliżu Ojczystego Miasta nie ma nigdzie przyzwoitej kniei.

— Rozumiem. Teraz będą mogli zaproponować lepsze ceny. -Parsknęli razem z Titusem. — Albo też zwiększyć marżę zysku.

— Tak. — I jakby myśląc na głos, Zgoda dodał: — Węgiel drzewny jest również składnikiem czarnego prochu.

— Naprawdę?

— Właśnie przyszło mi to do głowy. Myślałem o regionach, w których jest dużo twardego drewna blisko złóż rudy żelaza. Takich jest mnóstwo. Ale jeśli szukać ich blisko źródeł składników prochu, to bardzo się ten obszar zmniejsza.

— Artecipea. To główne źródło naturalnej saletry. Są tam złoża rudy żelaza, rudy miedzi, jakieś pomniejsze sztolnie siarki. Widzieliśmy też lasy. Całe połacie drzew iglastych. Ale są też zasoby dębiny w niższych partiach, we wschodniej części wyspy. I nie jest wcale tak daleko do południowego wybrzeża Morza Ojczystego. I właśnie tam, w imperialnej prowincji o nazwie Fharegonia, znajdują się kopalnie od dwóch tysięcy lat produkujące najlepszej jakości siarkę.

— A więc myślisz, że przenieśli się na Artecipeę?

— Jestem skłonny tak myśleć. Dlatego że Artecipecta ma jeszcze jedną zaletę, być może najważniejszą ze wszystkich.

— Czyli?

— Znajduje się poza Państwami Patriarchalnymi. Na terytorium obecnie rządzonym przez króla Piotra z Navai. Żaden Patriarcha czy Naczelny Wódz Patriarchalnych nie może im dyktować, jak mają prowadzić swój interes.

— Rozumiem. Zobaczymy. Pilnuj tego. W niezmiernych pokładach swego wolnego czasu.

— Jasne. Każę kwatermistrzom przyszykować sobie zestaw mioteł, żebym mógł pozamiatać, jak nie będę miał nic więcej do roboty.

— Możesz mi wierzyć lub nie, Titusie, wiem, jak się czujesz. Myślę, że z otwartymi ramionami przyjąłbyś swoje bezrobocie.

— Może przez kilka pierwszych minut.

— Tak.

Konsulowie z Viscesment oznajmili zbliżającym się krzyżowcom, że miasto nie będzie sprzeciwiało się ich przejściu. Mogą przejechać, przekroczyć mosty, skierować się do Connec, nie napotykając objawów wrogości po drodze. Krzyżowcy przystali na to, choć wiedzieli, że nie są w stanie zapanować nad ciągnącymi za nimi Grolsacherami. Ani nawet nad bardziej fanatycznymi członkami Stowarzyszenia na rzecz Tłumienia Błuznierstwa i Herezji, którzy potępiali Viscesment za tolerowanie herezji inaysalskiej.

Konsulowie nalegali, by zwykli żołnierze, Grolsacherowie i ciżba obozowa złożyli broń do zbrojowni u kwatermistrzów podczas przejazdu przez miasto. Ustępliwi arnhandzcy wielmoże zgodzili się na to. Duchowni Stowarzyszenia posłali konsulom wiele mówiące srogie spojrzenia.

Naczelny Wódz stracił cierpliwość. Wysłał wiadomość, nakazując konsulom zakończenie rozmów.

W końcu pozwolono krzyżowcom przejechać jedną szeroką, wybrukowaną ulicą wiodącą do mostu Purelickiego. Ulicą Grobową. Most Purelicki był najszerszym i najdłuższym mostem Viscesment.

Krzyżowcy dostrzegli, że wszystkie drogi krzyżujące się ze szlakiem ich przemarszu są zastawione wozami i furami, meblami i barykadami obsadzonymi przez miejscową straż. Brak zaufania miejscowych miał

swoje źródło w odwiecznym nastawieniu południowców do swego kuzyna z północy.

Most Purelicki, nazwany tak na cześć Cesarza, który nakazał jego budowę, wyginał się łukowato nad Dechearem, by można było przepłynąć pod nim bez konieczności składania masztu. Teraz niewiele rzecznych łodzi czy statków miało napęd żaglowy.

Most był prosty. Zachodniego krańca nie można było zobaczyć ze wschodniego z powodu garba pośrodku. Zachodni koniec mostu został zabarykadowany. Osiemnaście hakownic i bombard naładowanych otoczakami stanowiło wsparcie mostu. Dowodzili tam Bhule Smolens i Kait Rhuk. Mieli do dyspozycji kilka kompanii łuczników i pikinierów wsparcia.

Reszta prochowego arsenału Patriarchalnych była rozrzucona na trasie przemarszu Arnhandów, ukryta, ustawiona przez Dragona Proseka. Chodziło o to, by zmusić krzyżowców do poddania się. Jeśli nie uda się ich przekonać bezwzględna logiką całej sytuacji.

Gdyby trzeba było strzelać z hakownic, byłby taki huk i tak dużo dymu, że umożliwiłoby to reszcie sił patriarchalnych odcięcie im odwrotu na wschód.

Z dzwonnicy kościoła Świętego Wakina — antypatriarszego — Naczelnny Wódz mógł obserwować oba krańce mostu Purelickiego oraz większość ulicy Grobowej. Już nikt nie pamiętał, dlaczego tak ją nazwano. Niektórzy przesądni miejscowi nie używali tej nazwy. Ulica wypełniła się ludźmi. Najpierw wyłonili się zaciekli członkowie Stowarzyszenia, którzy znosili wyzwiska i kilka rzucanych w ich stronę kamieni, kiedy łajali miejscowych za ich grzeszną naturę. Następnie pojawiła się szlachta ze strojnymi rzędami, dowodząca armią, a za nimi kopijnicy, piesza cizba i tabory.

— Ale zbieranina — stwierdził Hecht. — Chyba aż tak źle nie wyglądamy w marszu, co, Titus?

— Nie tak bardzo. Ale gdybyś pozwolił zbrojnym ściągnąć ich rodziny...

Dotknął czułego miejsca. Pod tym względem Piper Hecht różnił się od innych dowódców. Nie pozwalał, by cywile ciągnęli się za wojskiem, narażając na szwank mobilność oddziałów. Jednak wbrew usilnym staraniom jego siły nieuchronnie ściągały wszelką hałastę, kiedy tylko zagrzali gdzieś miejsce na kilka dni.

Prowadzący kolumnę duchowni dotarli do szczytu mostu. I stanęli twarzą w twarz z okrutną rzeczywistością.

— Żałuję, że mnie tam nie ma — powiedział Hecht. — Powinienem tam być.

— Lepiej, że tu jesteś i możesz kontrolować wszystko z wyjątkiem Smolensa i Rhuka.

— Wygląda na to, że kapłani wołają do swoich biskupów i arcybiskupów. — Jego oddech przyspieszył. Ufał pułkownikowi Smolensowi. A jednak... Biskupi byli sprytni. Któryś z nich mógł przekonać Smolensa, żeby...

— Smolens się nie ugnie — powiedział Zgoda, jakby czytając w jego niespokojnych myślach. — Kait Rhuk tym bardziej.

— Martwię się też z powodu Kaita. Za bardzo lubi swoją robotę.

— Nie można cię zadowolić, prawda?

— Nie bardzo. Nie w chwili takiej jak ta. O cholera!

Hakownice wypaliły salwą w duchownych i braci ze Stowarzyszenia. Uniósł się dym i zaczął dryfować na wschód, skrywając zachodni kraniec mostu przed wzrokiem Hechta. Kiedy dotarł do niego łoskot, wiedział już, że część jego planu spaliła na panewce. W dymnej zasłonie rozbłyskiwały ognie wystrzałów. Hakownicy Kaita Rhuka kontynuowali ostrzał.

Poniżej, przez ulicę Grobową, przetaczała się fala konsternacji, która przeszła następnie w strach, ten zaś z szybkością rozprzestrzeniającej się plotki przeistoczył się w panikę.

— Wstrzymaj się, Prosek — mruknął Hecht. — Wstrzymaj się. Nie zabijajmy nikogo, jeśli nie musimy.

Zgoda popatrzył na niego dziwnie, po czym szepnął coś do posłańca, który wystrzelił jak z procy, by przekazać rozkaz Dragonowi Prosekowi.

Grzechotanie w oddali osłabło, a potem zamilkło. Dym wciąż skrywał odległy kraniec mostu. Hecht widział jedynie ogólne zamieszanie, kiedy konni i rycerze starali się przedostać na tyły, do wschodniego krańca, gdzie ulica była zapchana po brzegi. Pod dzwonnica natomiast spokojniejsi krzyżowcy kontynuowali marsz na zachód.

Panika została zażegnana, gdy zamilkły hakownice. Zaprzestano też prób przedarcia się przez barykady. Miejska milicja wykazała się dużą dozą opanowania.

Hecht zaczął oddychać spokojniej.

— No dobrze. Zabiliśmy kilku klechów ze Stowarzyszenia. Nie jest tak źle. I tak przeżycie nie było im pisane.

Jak by powiedział hrabia Raymone.

Ostrzał na moście wznowiono. Jedna salwa.

— Czternaście hakownic — stwierdził Hecht. — To znaczy, że kilka jest zniszczonych. Chyba że...

— Musisz sobie zrobić przerwę — stwierdził Titus Zgoda.

— Gdzie jest Pella? — Hecht wciąż się martwił. Uświadomił sobie właśnie, że nie widział chłopaka od dwóch dni. Poczł nagły przypływ poczucia winy, że nie poświęcał Pelli zbyt wiele czasu.

Nie wiedział, jak to się robi. Sam nie miał ojca.

— Kręci się przy Kaicie Rhuku. Pociąga go fetor i huk.

— A Rhukowi nie przeszkadza, że ma go na karku? Z gwardzistami?

— Znając Rhuka, dał Pelli zadanie. Jego gwardzistom również.

— O Przeciwniku mowa.

Madouc wprosił się do dzwonnicy. Ostatnio nie pojawiał się zbyt często.

— Poślaniec od konsulów, panie. Chcą wiedzieć, czy mogą już zacząć przyjmować kapitulację?

— Przypomnij im, że Arnhandowie są nasi. Poza tym tak. Ruszajmy z tym. Chcę wrócić do domu jak wy wszyscy.

Gdy Madouc wyszedł, schylając się w przejściu, Hecht zapytał:

— Nie wydaje ci się, że się jakoś zmienił?

— Oczywiście.

— Jak? I dlaczego?

— Teraz już nie pracuje dla ciebie. Wykonuje tę pracę, bo tego chce od niego Bractwo.

Hecht mruknął coś. Kait Rhuk wzniecał prawdziwe piekło na zachodnim brzegu. Dlaczego? Przecież nikt go nie atakował. Po co marnować cenny proch, kiedy garstkę fanatycznych duchownych można było wykosić strzałami łuczników i bełtami kuszników?

— Pokpiłem sprawę z Madoukiem, prawda?

— Tak. Ale wiadomo było, co się święci, biorąc pod uwagę wasze charaktery. I nie jest to strata nieodwracalna. Wciąż darzy cię szacunkiem. Pamiętaj, żeby mu też go okazywać.

— Co ten Rhuk wyrabia?

— To demonstracja, jestem tego pewien. Teraz śpiewa tylko jedna hakownica. Wolno i z namaszczaniem.

— Ach. Jasne. Rozumiem. Prawdopodobnie pozwolił Pełli się pobawić. Do ruchomego celu braci ze Stowarzyszenia. — Zobaczył pył unoszący się ze środka mostu. To powinien być hrabia Raymone.

Główna sala Pałacu Królów była wypełniona po brzegi. Magnaci Viscesment, najwaleczniejsi ludzie Naczelnego Wodza, Bernardin Amberchelle i dama hrabiego Raymone, Socia, oraz najznamienitsi z ich orszaków, tudzież dowódcy pokonanych krzyżowców, wszyscy byli tu zgromadzeni. Niektórzy pogrążeni w rozpacz, większość w doskonałych nastrojach. Nie było żadnego duchownego z sił najeźdźcy. Tych kilku, co przeżyło, przejął Bernardin Amberchelle. Naczelnny Wódz oddał ich wszystkich, biskupów i innych. Connekianie wezmą za nich okup. Albo i nie.

Titus Zgoda zaprosił Madouca do głównego stołu. Usadził go po lewicy Naczelnego Wodza.

— Ma już gotowy raport.

— A, to dobrze — rzekł Hecht i dodał cicho: — Madouc?

— Siedemnastu zabitych kapłanów, panie. I ponad setka rannych. Włącznie z dwoma biskupami, z których jeden nie przetrzyma. Kamień bebechy mu rozorał.

— Mogło być gorzej przy tych salwach Rhuka.

— Popisywał się — stwierdził z dezaprobatą Madouc. — Raniono tylko dwóch arnhandzkich rycerzy. W kolumnie kilka osób z pieszej cizby odniosło pomniejsze rany podczas ucieczki. Jeden padł. Bo się przewrócił i wylądował na łbie.

— To dobrze. Konsulowie będą mieli sporo pracy z tymi więźniami. No i co dalej. Skarby? I co z Grolsacherami?

— Skarby są zabezpieczone. Nie jest ich aż tyle, na ile miałeś nadzieję, panie. Biskupi oczekiwali, że plądrowanie pokryje ich wydatki, poczynając od około pięćdziesiątego dnia przyjętego okresu płatnego. I nie są to dobre wieści dla mieszkańców Grolsach. Po raz kolejny.

— Czy tam ktoś w ogóle został?

— Będzie mniejsza konkurencja w walce o środki.

Smutne, ale prawdziwe. Hrabia Raymone ze swymi ludźmi pojechał na północ; chciał przekroczyć Decheur i znaleźć się w dogodnej pozycji, by zapolować na uciekających Grolsacherów. Raymone chciał ich powstrzymać, nim się pojawią w Connec — nawet za cenę wyeliminowania całej nacji.

Jego stosunek do Amhandu był nie mniej zażarty.

— Madouc, masz jakieś plany?

— Panie? — Gwardzista był szczerze zdziwiony.

— Nasz wypad dobiega końca. Bellicose nie domaga...

— Bellicose nie żyje, panie. Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie jest to też żadna tajemnica.

Hecht zastanowił się przez chwilę. Przebiegł wzrokiem po tłumie. Typowe — rycerze obu stron nadrabiali towarzyskie zaległości z krewnymi. Było widać wyraźną ulgę wśród Arnhandów, że nie muszą już zaspokajać chorych ambicji Anne z Menandu.

— No dobrze. Moja propozycja jest aktualna. I staje się bardziej sensowna.

— Jestem bratem świętego zakonu. Zrobię to, czego będą ode mnie wymagali moi zwierzchnicy.

— Podobnie jak my wszyscy, to jasne. Mam nadzieję, że sowiec cię wynagrodzą. Choć ciągle czułem się jak w klatce, sprawiłeś się gracko.

— Dziękuję, panie. — Nie było w tym przesadnego wzruszenia.

Z całą pewnością utracił Madouca. Zmarnowało się tylko honorowe miejsce obok niego.

— Mam widoki na dowodzenie w Ziemi Świętej. — Madouc odpuścił nieco. — Addam Hauf mówił o tym bardzo przekonująco, kiedy byliśmy w Brothe.

— Być może znów się spotkamy za morzem.

— Panie?

— No, może jednak nie. Skończyłem z krucjatami. Myślę o zakupie wiejskiej siedziby i przejściu w stan spoczynku. Chcę spędzić moje ostatnie dni przy boku Anny, robiąc wino dla pułkownika Ghorta.

Madouc nie zareagował na wzmiankę o Pinkusie Ghorcie. Ta sprawa niewiele go obchodziła. Albo też nic na ten temat nie wiedział.

— Kiedy skończymy tutaj, chciałbym zamienić słowo na osobności z wicehrabią Dumaine'em — stwierdził Hecht.

— Tak jest, panie.

Przez resztę wieczoru Hecht pozostał wyłącznie biernym obserwatorem. Miał oko zwłaszcza na Pellę.

Anna musiała mu wpoić jeszcze kilka zasad kindersztuby.

Madouc pozostał w wyciszonym pokoju podczas spotkania Naczelnego Wodza z wicehrabią. W największej wyciszonej komnacie w Pałacu Królów, choć nie tak dużej, by szef ochrony musiał natężyć słuch w celu poznania treści tej rozmowy. Ostatnio Madouc przestał unikać Naczelnego Wodza.

— W czym mogę być ci pomocny, panie? — zapytał wicehrabia. Grzecznie, ze świadomością, iż jest więźniem, lecz nieskory całkowicie zdusić dumy swej klasy.

— Siadaj. Napij się ze mną kawy. I opowiedz mi o Vali Dumaine.

Wicehrabia usiadł i napił się kawy, nie ukrywając rozkoszy z degustacji tak drogiego napitku. Ale zanim wykonał trzecie polecenie, zastanowił się dłużej.

— Vali Dumaine to moja siostra. Jest hrabianką Bleus. Dlaczego pytasz?

— Żeby wiedzieć. To, co powiedziałaś, jest kolejną wersją tego, co już słyszałem. Myślałem, że to twoja żona. Nie rozumiem, dlaczego twoja żona jest hrabiną Bleus, kiedy ty jesteś wicehrabią... czego to?

— Kłose. Możesz przerzucić je kamieniem. Kiedy wezmą za mnie okup, przejdzie w obce ręce. Będę musiał zamieszkać z siostrą. Albo wstąpić do Bractwa. Nie powiedziałaś, dlaczego pytasz.

— Nie powiedziałem. — Naczelnny Wódz zostawił to bez dodatkowego komentarza. — Masz jakieś powiązania z Sonsą?

— Ja? Żadnych. Mój ojciec podróżował na sonsańskim statku, kiedy wyruszał na krucjatę. On i jego trzech braci. Tylko on wrócił do domu. Odziedziczył wszystko, choć był trzeci w kolejce.

— Ziemia Święta to okrutna pani. Pożera wszystkich, którzy się tam pojawiają. Masz powiązania ze Specjalnym Oficjum? Szczególnie z Łowcami Czarownic?

— Nie. Nie widzimy ich zbyt wiele. Zajmowali stanicę Bractwa na przedmieściach Salpeno. Niewielu pojawiało się w samym mieście. Ale wycofali się, zanim Charlye Wąty zmarł. Cherault, jeden ze sprytnych łotrów Anne, opracował plan konfiskaty ich dóbr. Dowiedzieli się o tym.

Wyjechali z całym majątkiem. Cherault złapał wyniszczającą chorobę. Sprawia mu wiele bólu. Już dawno powinien umrzeć.

— Macie jakieś powiązania?

Madouc słuchał bacznie. Zatopiony w myślach.

— Niestety świat funkcjonuje wbrew logice. Żli ludzie nie dostają za swoje. A dobrzy giną za młodu.

— I możemy jedynie mieć ufność, że taki jest boski plan? Masz dzieci? Po drugiej stronie alkowy?

Wicehrabia spojrział na niego wilkiem.

— Nalegam, proszę mi powiedzieć, o co tu chodzi.

— Siadaj, wicehrabio. Możesz sobie nalegać, ile chcesz. Jestem najemnym ostrzem z gminu, który nie ma ani błękitnej krwi, ani honoru, nawet jeśli dowodzę patriarszymi armiami i raz za razem sprowadzam klęskę na wrogów. Jak możesz liczyć na to, że człowiek taki jak ja nie rzuci cię z mostu albo nie każe zadusić i spalić, by uniemożliwić wszelką nadzieję na zmartwychwstanie? Czy też nie robi czegoś równie podłego?

— Wtedy utraciłbyś szansę na okup.

— To nie stanowi większego problemu. Hrabia Antieux wykupi wszystkich arnhandzkich więźniów, których będę gotów sprzedać hurtem. Chce wysłać wasze zapeklowane łby słodkiej królowce Anne. Albo też sprzedać wszystkich w niewolę za Morzem Ojczystym. Mówi o tym za każdym razem, kiedy czuje przyływ mściwości.

Wicehrabia Dumaine zbladł jak ściana. Ale nie zhańbił się uległością.

— To wściekły pies, ten hrabia Raymone. Jeśli Arnhandowie będą się upierać, by splądrować Connec, Raymone każe wam zapłacić za to baryłkami krwi. Ale ja nie chcę o tym rozmawiać. Interesuje mnie dziewczynka, Vali Dumaine. Lat mniej więcej trzynaście. Może mniej. Odnaleziona w niewoli w sonsańskim burdelu. Twierdzi, że była zakładniczką, gdy jej porywacze chcieli zmusić jej ojca, by coś dla nich zrobił. Każdy, kto zna prawdę lub fałsz tego twierdzenia, nie żyje. Sprawdzam to, kiedy nadarza się okazja. To jest taka okazja. Ty i twoja siostra należycie do ostatnich znanych mi Dumaine'ów.

— Nie potrafię rozwiązać pańskiej zagadki. Przykro mi.

Hecht żałował, że Dziewiąty Nieznany nie ma ochoty mu się teraz ponaprzykrzać. Mógł mu w tym pomóc. Wicehrabia generalnie mówił prawdę, ale coś tu było jednak nie tak.

Może warto byłoby go odrzeć z odzienia, by sprawdzić, czy on też ma taki sam ukryty tatuaż.

— Nie pojechałeś na krucjatę? Sam nigdy nie byłeś w Ziemi Świętej? — zapytał Hecht.

Dumaine patrzył na niego przez chwilę.

— Pojechałem z moim ojcem. — Trudno byłoby ukryć taki fakt w papierach. — Kiedy byłem mały. Miałem osiem lat, kiedy wyruszyliśmy. Dwanaście, kiedy wróciliśmy do domu. Modłę się do Boga, by nigdy już nie wymagał mojej obecności na wschodzie. Piekło nie może być gorsze od Ziemi Świętej latem. Albo zimą. Każda pora roku jest tam straszna.

Hecht pokiwał głową. Niektórzy weterani też byli tego zdania. Inni polubili Ziemię Świętą na tyle, żeby tam zostać. Teraz były to już całe pokolenia krzyżowców, urodzonych na wschodzie, którzy obrażali swoich zachodnich kuzynów, przyjmując miejscowy sposób ubierania się i obyczaju.

— Myślałem tak samo o Firdii, kiedy pierwszy raz tam przyjechałem. Lata były zbyt gorące i zdawały się ciągnąć bez końca. A śnieg był wielką rzadkością, gratką w zakłóconym porządku świata.

— Słyszałem, że ten stan się zmienia.

— Zmienia się. Z całą pewnością. Ludzie w pałacu Chiaro śledzą te zmiany. Są dramatyczne. Ale najgorsze dopiero nadejdzie.

Kiedy Dumaine poszedł, Hecht sprowadził Titusa Zgodę.

— Z nim jest coś nie tak. Miej na niego oko. Niech wróci do domu na końcu. Widziałeś Bechtera?

Ostatnio nie było widać sierżanta Bechtera.

— Wciąż jest chory. Mówią, że codziennie próbuje wstać i stanąć na nogi. Przeważnie rankami jego ciało odmawia posłuszeństwa. Stary jest.

— Brakuje mi go pod komendą.

— Jakby mógł, toby się stawiał.

— Ma dobrą opiekę?

— Powinien zostać odstawiony z powrotem do Castelli. Nie dożyje ostatnich dni wśród swoich braci.

— Prosił o to. Nie odesłałeś go?

— Ja go prosiłem. On chce tu zostać. Mówi, że tu jest u siebie.

— Stary głupiec jest zbyt uparty.

— Wiele takich przypadków notujemy w sercu twojej armii.

Hecht nie chwycił przynęty.

— Sprawdziłeś, co u Pełli?

— Bawi się setnie. Stwierdził, że będzie robił karierę w artylerii. Rhuk mówi, że ma ciekawe pomysły.

— To ci dopiero. Chcę tylko wiedzieć, czy ma się dobrze. Nie chcę mu się mieszać do życia jak matka.

— Wszystko z nim w porządku, Piper. Ale naprawdę potrzeba mu męskiej rady w życiu. Jest zbyt nieopierzony jak na niezależność, którą mu dajesz.

Anna byłaby tego samego zdania.

— No dobrze. Stwórz program szkoleniowy dla hakownicowych. Wpisz go na listę. Trzymaj go przy sobie i nie daj zgnuśnić. — To powinno jakoś naprostować chłopaka. I wystarczy do czasu, kiedy Bronte Doneto zasiądzie w pełni władzy na patriarszym tronie. -A jaką przyszłość widzisz dla swoich chłopaków, Titusie?

— W dzisiejszych czasach... może sutanna.

— Bezpieczeństwo.

— Jasne. Tylko że obawiam się, że nie będą mieli danej takiej szansy, kiedy wystarczająco podrosną. Klasztory są teraz pełne darmozjadów.

Może Titus po prostu go nabierał. Trudno było ocenić.

— Zawsze można robić karierę w wojsku.

— Ale ilu jest takich, którym się to udało? Jeśli w ogóle pozwolę swoim synom rzucić się w to szaleństwo.

Hecht zmarszczył brwi.

— Wciąż nie rozumiesz, coś zrobił, prawda? — rzucił Titus.

Hechta zbyt często opanowywało przeświadczenie, że nie ma bladego pojęcia. Spojrzał wyczekująco.

— Od czasów Starego Imperium nie było takiej formacji jak Patriarchalni. We Wschodnim Imperium mają zawodowych żołnierzy i oficerów. Tutaj od jesieni nie ma takiej potrzeby. Walczymy głównie z sąsiadami na małą skalę. A strach przed regularnymi oddziałami oraz pogarda dla zaciężnych to normalka. Życie szczególnie nie rozpieszcza tych, którzy walczą za pieniądze. Chyba że przechodzą na żołd po standardowych czterdziestu dniach. Ale utrzymują, że to zupełnie inna sprawa.

Dlaczego Titus przypominał mu o tych oczywistościach? Chyba naprawdę zmieniał zdanie na temat zawodowej wojaczki.

— I większość z nich zostanie zaraz zwolniona do domów — mówił dalej Titus.

— Naprawdę?

— Pinkus Gorth to nie Piper Hecht.

— Piper Hecht nie pozostanie bez zajęcia.

— A więc dasz się skusić Imperatorowej Graala.

— Nie widzę innego wyjścia. — Za każdym razem, kiedy myślał o przejściu w stan spoczynku, jak się nieustannie odgrażał, do jego myśli wkradała się zawiedziona Hespeth Ege i niczym natrętna melodia nie chciała zniknąć. — Na jakiś czas. Ale nie licz, że naprawdę zaatakuję Ziemię Świętą.

— A jak Noë i chłopcom będzie w Alten Weinbergu?

— Nie wiem. To kosmopolityczne miasto. Mieszkają w nim ludy z całego Imperium. Nie spotkałem się tam z żadnymi uprzedzeniami. Choć z całą pewnością są. Według niektórych Titus zawsze będzie dehem, bez względu na wyznawaną religię. — Tyle słyszałem o Ziemi Świętej od pielgrzymów i krzyżowców powracających do domów, że wiem, iż nie chcę tam jechać.

Titus posłał mu zdziwione spojrzenie, ale zachował swoje myśli dla siebie. Brał pełny udział w wymyślonej przeszłości Pipera Hechta. Jeśli Piper Hecht padnie, Titus Zgoda pójdzie w jego ślady.

W drzwiach pojawiła się głowa Madouca.

— Mogę przerwać, Naczelny Wodzu?

— Oczywiście. O co chodzi?

— O Bechtera, panie. Bracia medycy mówią, że mu się pogarsza. Nie wiedzą dlaczego. Powinien wracać do zdrowia. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, panie.

— Tak. Czy...? Mówią, że może dojść do najgorszego?

— Bardzo prawdopodobne. I może długo nie pociągnąć.

— Titusie, muszę iść. — Poczował przyływ żalu. Zachód skalał jego duszę pod tym względem. Stał się niewolnikiem swoich emocji.

— Mogę pójść z tobą? — zapytał Zgoda. — Bechter też jest bardzo ważny w moim życiu. Od mojej konwersji był mi jak ojciec.

Hecht był zaskoczony. Nie zauważył tego. Ale mogło tak być. Nie zwracał dostatecznie pilnej uwagi na ludzi wokół siebie.

Madouc czekał na zewnątrz.

— Teraz właśnie zbiry mogą pomyśleć, że zapanowało rozluźnienie w naszych szeregach — wyjaśnił.

Hecht zrozumiał ten argument.

— Oczywiście. Prowadź.

Patriarchalni mieli pełną kontrolę nad Pałacem Królów. Założono tu lazaret. Służył on głównie zbrojnym, ale pomagał też miejscowym biedakom, w imię Bellicose'a. To przynosiło wymierne korzyści. Titus Zgoda miał kontakty z zakonnicami i braćmi medykami, którzy nie mieli oporów w przekazywaniu użytecznych informacji.

Redfearn Bechter był jedynym pacjentem w sali z pryczami dla czterech osób. Ksiądz medyk siedział przy starym wiarusie, już nie próbując walczyć z jego chorobą.

W sali cuchnęło.

Naczelny Wódz napotkał wzrok księdza. Ten tylko pokręcił głową ze smutkiem.

Bechter usłyszał, jak wchodzi. Otworzył jedną powiekę i rozpoznał gości. Spróbował się podnieść.

Ksiądz medyk nie pozwolił na to.

Hecht przykląkł przy staruszku. Ujął jego gorącą, suchą i kruchą dłoń. Nie wiedział, co powiedzieć. Pamiętał jedynie sutrę z Zapisanego o odnajdywaniu miłości do wroga. Redfearn Bechter był jednym z najokrutniejszych wrogów, żołnierzem Bractwa Wojny. I sha-lug Else Tage, zmieniwszy się w patriarszego obrońcę wiary, Pipera Hechta, pokochał szczerze tego człowieka.

Bechter też się nie odzywał.

Hecht miał już coś rzucić żartobliwie na temat bumelanctwa, o konieczności szybkiego powrotu do pracy, ale Bechter wiedział. Koniec był bliski. Dlatego też Naczelny Wódz przemówił tak:

— Mam dla ciebie ostatnie zadanie, sierżancie. Chcę, żebyś przekazał wiadomość, kiedy staniesz przed Bogiem. Poproś Go, żeby pokazał mi Swój Plan. Poproś go, żeby ukoił zamęt w moim sercu, dając mi jasną wizję Swej Woli.

Bechter się nie odezwał. Nie mógł. Ale udało mu się nieznacznie skinąć głową. Usłyszał i wypełnił zadanie.

Hecht zignorował swoje powinności do czasu, kiedy nadszedł koniec. A nie trwało to długo. Książd medyk donosił:

— Traci wolę. Zdecydował, że nie odejdzie, dopóki nie pożegna się z tymi, których kochał.

Ta myśl przstraszyła Hechta. Redfearn Bechter był wytrawnym wojownikiem Bractwa. Powinien kochać wyłącznie swoje credo.

Wieści o zejściu Bechtera i towarzyszących temu okolicznościach szybko rozeszły się wśród szeregów armii.

Jeden spontaniczny odruch Naczelnego Wodza przysporzył mu jeszcze więcej zagorzałych zwolenników. Żaden z żołnierzy nie słyszał nigdy o tym, by wysoki oficer zawierał prostemu wiarusowi misję zanieśienia wieści przed oblicze samego Boga.

Hecht prawie nic nie powiedział, kiedy usłyszał wieści, może tylko zwierzył się Titusowi Zgodzie z zamętu, jaki to wydarzenie wywołało w jego sercu.

U Naczelnego Wodza pojawił się ostatni ordynans Bechtera, Vladech Gerzina, niegdyś gwardzista, prosząc o chwilę uwagi. Hecht nie miał powodu odmówić.

Gerzina przyniósł skrzynię z drewna tekowego długą na ponad pół metra, szeroką na trzydzieści pięć centymetrów i głęboką na dwadzieścia dwa, z wysklepionym wiekiem na zawiasach. Stare drewno było niemal czarne. Krawędzie i rogi skrzynki zostały wzmocnione mosiężnymi okuciami.

— Sierżant Bechter prosił mnie, żebym przekazał panu jego rzeczy osobiste, sir.

Hecht nie miał nic stosownego do powiedzenia na podorędziu.

— Rzeczy osobiste?

Członkowie Bractwa nie mogli takowych gromadzić.

— Może jakieś pamiątki? Bechter miał już siódmy krzyżyk na karku. Tak nam się wydaje. — Gerzina był członkiem Bractwa. Ani trochę nie był zde gustowany przywiązaniem Bechtera do dóbr doczesnych. -Wszyscy zbieramy osobiste pamiątki, które mają nam przypominać o ważnych momentach w życiu. Prawda, panie?

— Tak, chyba tak. — Hecht wciąż nosił biały kamyk, wielkości dwóch ziaren grochu, który kiedyś został załadowany do lufy hakownicy w Lesie

Esther. Stanowił nić łączącą go z najbardziej przełomowym momentem jego życia. Nikt nie wiedział, co dla niego oznacza ten kamyk.

Gerzina postawił skrzynkę na ławie, na której siadywali gwardziści, pilnując podejrzanych gości przebywających u Wodza.

— Muszę wracać do pracy, panie. Zaniedbałem ją, bo byłem wstrząśnięty.

— Co jest w skrzyni?

— Nie wiem, panie.

— Nie wygląda, żeby była zamknięta na klucz.

— Nie mnie było zaglądać do środka.

Hecht po raz pierwszy przyjrzał się uważniej temu człowiekowi.

Vladech Gerzina był niepozorny. Średniego wzrostu, ani przystojny, ani brzydki, bez znaków szczególnych. Miał kilka zbędnych kilogramów, co było dość niezwykle u żołnierza.

Chodząca iluzja. Człowiek otoczony aurą anonimowości.

Może i tak.

Pod bacznym wzrokiem Hechta język ciała Gerziny gwałtownie się zmienił.

Nie lubił, gdy go zauważano.

— Możesz przejąć obowiązki Bechtera?

— Panie...?

— Chyba powiedziałem dość wyraźnie.

— Tak, panie. Wykonywałem je. Wszystkie. Nie wiem, jak on sobie z tym radził w tym wieku.

— Miał ordynansa. Teraz ty znalazłeś się na jego miejscu. Oficjalnie. Przynajmniej do czasu, kiedy zjawi się tu nowy dowódca.

— Nie, panie. Błagam o litość. Muszę odmówić. Nie z powodu nawału pracy. To intratna synekura. — Poklepał się po brzuchu. — Wystarczy, by napęlić kałdun w ciepłe zimą. I bez pogańskich praman na karku. Ale nadchodzi czas zmian, panie. Ci, którzy przysięgali Bractwu, muszą cię opuścić. Czy też tego, który przyjdzie na twoje miejsce.

— Naprawdę?

— Nadeszły wieści od Addama Haufa. Mistrz Komandorii wysłał posiłki do Ziemi Świętej. Ludzi, zapasy i pieniądze, które z powodzeniem gromadził, odkąd Patriarcha nie musiał wykorzystywać całych swoich zasobów, by odganiać drapieżnych Imperatorów.

— Rozumiem. — I choć Hecht nie myślał o tym wcześniej, teraz to zrobił.

Pokój Katrin niezwykle ułatwiał życie Patriarchom. Bronte Doneto wcale nie będzie musiał się liczyć z imperialnymi ambicjami.

— Lepiej zwołam wszystkich i zobaczę, kogo trzeba będzie wymienić. Pomóż mi przy tym, zanim odjedziesz.

— Tak, panie. To nie będzie tak szybko.

Gdy Hecht został sam, usiadł ze skrzynią Bechtera.

Spodziewał się ujrzeć coś niemal dramatycznego. Rzeczywistość przyniosła jednak zawód. Naprawdę były tu pamiątki. Kawałki sznura. Kilka kamieni. Niewielki sztylet, ale z ułamanym czubkiem. Kilka żelaznych grotów strzał lucidiańskiej produkcji. Przy założeniu, że Bechter zachowywał obyczaje Bractwa, najpewniej zostały wyciągnięte z jego własnego ciała. Kilka skrawków papieru, jeden zmięty, drugi zapisany zupełnie nieczytelnym pismem, kolejny będący przepustką podróżującego członka Bractwa. Medalion z kępką kruchych włosów w środku — niezwykle znalezisko u zbrojnego mnicha. Kilka drewnianych skrzynek kunsztownej roboty. Oprócz jednej wszystkie były otwarte. W jednej znalazł idealnie zachowaną ćmę o dziesięciocentymetrowej rozpiętości skrzydeł. Hecht nigdy nie widział takiego okazu. Stwierdził, że musiała być piękna, kiedy jeszcze żyła, a potem została uwieczniona przez człowieka, którego mógł darzyć wyłącznie szacunkiem.

Dwa pudełka były puste, trzecie zaś zawierało rozsypujący się woreczek z płótna z kilkunastoma miedziakami z niemal wszystkich znanych mu państw, które tworzyły metalowy zapis podróży Redfearna Bechtera.

To było jego życie. Siódmy krzyżyk.

Dlaczego chciał, żeby on to dostał?

Przesłanie? Ostrzeżenie?

— Marność nad marnościami — mruknął pod nosem. — i wszystko...

Było jeszcze jedno zamknięte pudełko. Kluczyk znajdował się wśród miedziaków, mosiężny i pokryty zielonkawym nalotem jak one. Ukryty na widoku, być może celowo.

Pudełko skrywało cienką książkę, której skórzana okładka była poplamiona, wytarta i nieco zmurszała. Hecht otworzył ją ostrożnie.

Pierwsza strona została zapisana kunsztownymi literami w języku, którego zrazu nie rozpoznał. Aż doznał olśnienia. Patrzył na melhaicki

zapisany za pomocą alfabetu brotheńskiego. Melhaicki był starożytnym językiem Ziemi Świętej. Z oporami potrafił go jakoś odczytać. W melchaickim zapisywano zdania w przeciwną stronę, odwrotnie niż w większości języków tego regionu.

Odkrył po chwili, że książka jest zapisem historii Grade'a Drockera.

Kiedy do komnaty wpadł Pella, Hecht aż podskoczył.

— Tato? Pinkus Ghort jest na dole.

— Pella, co ty tu robisz?

— Pomyślałem, że jesteś smutny. Z powodu sierżanta Bechtera. Więc pomyślałem, że mogę cię jakoś wesprzeć. Wpadłem na pułkownika Ghorta na ulicy.

Jak, do diabła, Ghort znalazł się tu tak szybko? Co kombinował Bronte Doneto? Wieści o śmierci Bellicose'a nie rozeszły się jeszcze szeroko. Czekają ich jeszcze kilka tygodni bezkrólewia.

— Masz rację. Jestem w podłym nastroju. Ale możesz mnie rozweselić. Bierz dupę w troki i wracaj do domu, do szkoły. Zrób coś z sobą. Żebyś nie skończył jak sierżant Bechter. Tak jak ja mogę skończyć pewnego dnia.

— Och! Naprawdę żal wbił w ciebie pazury.

— To prawda. Sprowadź Ghorta. Powiedz Cederigowi, żeby przyniósł ten antałek czerwonego wina, który trzymam w zapasie. Równie dobrze możemy go napocząć z Pinkusem. Nie będę musiał go targać tam i z powrotem do Brothe.

A poza tym kilka szklanic mogło rozwiązać Ghortowi język.

— Niech to szlag trafi, stary! — wypalił Ghort, kiedy się tylko pojawił. Wyglądasz jak łajno na kiju. Snu, snu ci potrzeba.

— Postaw wino na stole, Cederigu. I poczekaj. Pinkus, wkrótce będę wypoczywał za wszystkie czasy.

— Wiesz, co się święci.

— Oczywiście, że tak.

— Zgoda wciąż śledzi ruchy w Brothe.

— To też. Ale co ważniejsze, kilku prowincjałów nie jest zadowolonych z zagarnięcia władzy przez Doneta. Niektórzy mają nadzieję, że unieważnię wybory.

— Zechcesz powiedzieć kto?

— Raczej nie.

— A co ty myślisz?

— Nie jestem dowódcą legionów z dawnych lat, który chce przejąć władzę i zostać kolejnym Imperatorem.

— Jasne. Szef przewidział, że tak będziesz do tego podchodził. Znaczy, jakie masz zdanie? Na temat Doneta?

— Jest najlepszym kandydatem z dostępnych. Ale wolałbym, żeby nie dostawał takiego wścieku na punkcie Conneca.

— Jasne. Nie wiem tego na pewno, ale dotarły mnie słuchy, że twój hrabia Raymone nie będzie z tego rad.

— Raymone będzie miał gotowy plan. Doneto powinien puścić w niepamięć stare zatargi. Ma być podobno Patriarchą wszystkich obywateli.

— Sam mu to mówiłem. Myślę, że puścił to mimo uszu. Ej, Pipe. Bez urazy? — Ghort był już dobrze podchmielony. Zaczął bełkotać.

— Nie mam powodów. Ty mnie nie zdymisjonowałeś. Właściwie to sam bym odszedł, gdyby mnie nie wywalił z roboty. Mam już tego wszystkiego powyżej dziurek w nosie. Nie byłbym w stanie pracować dla takiego intryganta jak on. Chciałbym mieć zwierzchnika, który mówiłby mi, czego chce, a potem usuwałby się i pozwalał mi wykonywać powierzone zadania.

— To właśnie przeraża wszelkich intrygantów. Sprawia, że boją się, iż coś ich przerośnie.

Hecht zrozumiał. Musiał znosić to przez większość swego życia. Był to powód, dla którego został wysłany na zachód. Gordimer bał się, że zostanie stratowany.

— Problem polega na tym, że ci ludzie widzą świat przez własne, lustrzane odbicie.

— Tak?

— Są przerażeni, ponieważ wiedzą, co by zrobili na moim miejscu. Co oznacza, że mają zupełnie odmienne pojęcie o honorze.

— Trafiony, zatopiony. Ale, ej, Pipe, nie możesz mówić, że nie jesteś zdolny wykręcić jakiegoś numeru, jak zostaniesz na własnym rozrachunku. Cholerka, ale smaczny ten sok z winogron.

— Ja? Numeru?

— Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. Wiedziałaś, że nadchodzą zmiany. I tak skorzystałeś, żeby wskoczyć w te kruczaty.

— Tak, to prawda. — Hecht wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Donetowi się to nie spodoba.

— A co mi zrobi? Wywali z roboty jeszcze raz?

— A to dobre. Boja wiem. To strasznie mściwy kutafon. Tak samo knuje coś przeciwko hrabiemu Raymone'owi i Antieux.

— Czyli?

— Nie wiem, Pipe. Jeszcze nie wiem. Ale nie zamierzam nawet zbliżyć się do tej góry lodowej, kiedy się zacnie. Nie chcę, żeby zapamiętano mnie jako tego, który jest przerażony tym, co się dzieje.

— W takim razie żałuję, że tak skutecznie wytlukłem te upiory.

— Dzięki, kolego. Tylko tego mi potrzeba. Tych cholernych, paskudnych maskaronów zachodzących mnie od tyłu i całujących w tyłek za każdym razem, kiedy go wypnę.

— Nauczyłbyś się pokory.

— Już to tutaj powstrzymuje mnie przed wpadaniem w dumę. -Ghort wziął solidny łyk wina i przez długą chwilę wpatrywał się w swoje stopy. — i wciąż się zastanawiam, ile to potrwa, zanim wywali z tej roboty także mnie.

— Popatrz na to w ten sposób: Któż jest w stanie zastąpić Pinkusa Ghorta?

— Dobre pytanie, Pipe. Doskonałe pytanie. Ale musisz pamiętać, że Doneto ma wiele kart w zanadrzu. To może być jedna z nich.

— Kiedy zamierzasz objąć dowodzenie?

— Oficjalnie? Kiedy skończy się bezkrólowie. Jeśli chcesz to tak rozegrać. A jak nie, to kiedy tylko zjawi się tu tron mojego korpusu.

— Moich też wylejesz?

— Muszę. Większość. Tak mi kazano. Ale myślę, że i tak nie chcieliby zostać. Ci z Bractwa zameldują się z powrotem w Castelli. Ten Addam Hauf to niezłe ziółko. Reszta jest lojalna wobec ciebie. Tak przynajmniej mówi Doneto. Moim pierwszym zadaniem będzie zlustrowanie wszystkich oficerów, żeby sprawdzić, którzy muszą odejść, a którzy są lojalni wobec Kościoła i swojego żołdu.

— To niedobrze. To była skuteczna armia. Już tak nie będzie.

Ghort wzruszył ramionami.

— Tak już się dzieje na tym świecie, Pipe. Tak się już smutno dzieje. Muszę zalegnąć na chwilę. Ten zajzajer jest cholernie dobry. — Odstawił butelkę. Pustą.

Naczelnny Wódz robił, co mógł, by sparaliżować nową krucjatę przeciwko Connec. Zniknęły hakownice. I proch.

Okazało się nagle, że archiwa Titusa Zgody oraz księgi kwatermistrzowskie są prowadzone nader niedbale, niekompletne i pogmatwane. Hecht odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia, z którymi radził sobie, powtarzając w myślach, że Pinkus Ghort i tak dostanie swoją zapłatę. Będzie musiał tylko zwiększyć wysiłki, by zniszczyć Connec.

Większość żołnierzy nie miała ochoty pozostać. Niewielu było zadowolonych z takiego obrotu spraw, ale w końcu żołd to żołd. Znalazło się kilkunastu uchodźców gotowych zastąpić weteranów zdjętych nadmiernymi skrupułami. Oficerowie jednak wiedzieli swoje. Hecht miał problem z zatrzymaniem ich na miejscu do czasu przejęcia dowodzenia.

Podśluchał, jak jeden z nich mówi Ghortowi, że jego odejście to nic osobistego. Kolejny twierdził, że nie ma nic przeciwko nowemu Naczelnemu Wodzowi, jedynie nienawidzi łajdaka, który pociąga za sznurki. Hecht rozpuścił wici, żeby może jednak nie mówili wszystkiego, co im ślina na język przyniesie.

Bronte Doneto był mniej lubiany wśród żołnierzy, niż się Hecht spodziewał. Pamiętali zachowanie prowincjała podczas conneciańskiej krucjaty.

Ostatnim oficjalnym rozkazem Hechta było uwolnienie wicehrabiego Dumaine i innych więźniów Arnhandu. Ci, za których nie wpłynął jeszcze okup, sami mieli wysłać pieniądze. Ich honor był rękojmią tego, że to zrobią.

Zmiana dowództwa przebiegła bez dramatycznych wydarzeń. Hecht uścisnął dłoń Ghorta i odjechał, zostawiając nowego dowódcę w pełnej konsternacji i osłupieniu.

— Co teraz, tato? — chciał wiedzieć Pella. Zaczął się trzymać blisko niego. Nie był mile widziany wśród artylerzystów Pinkusa Ghorta.

— Jedziemy do domu. Zadomowimy się u mamy. Będziemy się wałkonić.

Zbierali się wszyscy, którzy mogli wyjechać do Brothe. Kompania wydawała się dziwnie mała. Hecht musiał się chwilę zastanowić dlaczego.

Nie było już Madouca. Ani żadnego ze stałych towarzyszy Pełli. W ogóle nie było gwardzistów.

Przy całej swojej niechęci do Madouca, gdy ten był pod jego komendą, Hecht poczuł się teraz całkiem nagi. I stale niespokojny.

Na zamarznietym stepie z gadającymi trupami

Zebrałi się Wybrańcy ze środkowego i północnego stepu. Zmiażdżą nieprzyjaciela swojego boga. Krnąbrny Tsistimed zaszedł na tyle daleko w zimną krainę, że teraz sam Wędrowiec Wiatru mógł wyjść na jego spotkanie.

Wybrańcy byli nieustannie smagani przez tuzin srogich sobowtórów Elekta Krey Nocy — atakowali i wycofywali się, atakowali i wycofywali się, wciągając Tsistimeda i jego synów coraz głębiej w strefę lodu. Nie wiedzieli, co się dzieje w szeregach ich wrogów, ale też niewiele ich to obchodziło. Robili, co im kazano.

Wojownicy Hu'n-tai At poznali się na strategii wroga. Sami taką stosowali. Jakby staruchy jeździły konno. Nie obchodziło ich to. Wybrańcy nie mogli się wiecznie wycofywać. Kiedy się odwrócą, zostaną unicestwieni.

Żadna armia nie była w stanie sprostać Hu'n-tai At.

Teren wybrany przez Wędrowca Wiatru był dziki i kamienisty, rozległa połać najeżona ostrymi zwałami powalonego bazaltu. Surowe góry wyrastały w odległości kilometra po obu stronach równiny. Lód pokrywał większość skał. Nie było to miejsce, w którym jazda miałaby przewagę. Wybrańcy Krey Nocy powinni tu zatriumfować.

Tsistimed nakazał wojownikom zsiąść z koni i wysłał ich na łowy. Do niedogodności terenu podchodził elastycznie. Ten wróg nie wiedział, z kim zadarł. Hu'n-tai At byli nie tylko najbardziej srogimi wojownikami na

świecie, chełpili się też obecnością w swych szeregach najsprawniejszych i najbardziej bezwzględnych zbrojnych czarowników.

Pan wojny Hu'n-tai At z kolei nie pojmował, że jedna z najstarszych i najbardziej okrutnych Delegatur Nocy we własnej osobie zstąpi na pole bitwy. W obecnych czasach bogowie nie wtrącali się w spory osobiście.

Tsistimed przekonał się o tym za późno.

Połączona siła czarowników Hu'n-tai At zagroziła Wędrowcowi Wiatru jedynie w takim stopniu, jak krążący nietoperz irytuje podróżnika spieszącego do domu o zmierzchu.

Rzeź przybrała ogromne rozmiary. Dla Hu'n-tai At nie było w tym nic nowego. Stawali przed wrogiem bardziej upartym i nieulekłym niż oni sami, choć miał ograniczone umiejętności i ograniczoną wytrzymałość. Większość była na krawędzi śmierci głodowej.

Tsistimed zebrał swych synów i wodzów. Wędrowiec Wiatru objawił się w postaci błędzącego słupa ciemności tryskającego błyskawicami.

— Nie jesteśmy w stanie zniszczyć tego potwora — przyznał pan wojny.

— Możemy zniszczyć tych, którzy mu służą — zauważył główny czarownik. — Nawet te potwory o tygryziej skórze padają. Ośmiu już powaliliśmy.

Pan wojny pokiwał głową, ale był odmiennego zdania. W zawierusze wojennej ci na końcu włóczni zawsze wyolbrzymiali sukcesy. I rzeczywiście wkrótce doniesienia o zmiennych kolejach bitwy były już mniej radosne. Potwory polowały na tych, którzy używali mocy wśród Hu'n-tai At. A Delegatura Nocy zasmakowała w niszczeniu samego życia.

— A może powinniśmy zebrać nową armię — zaproponował jeden z synów Tsistimeda. — Kiedy to się zakończy, wrogów będzie niepomierne mało.

Tsistimed zastanawiał się nad niezidentyfikowaną ciemnością, która, jak się zdawało, jest przyczyną pierwszej klęski w jego życiu. Nawet za młodu, siłując się z innymi chłopakami, zawsze odnosił niekwestionowane zwycięstwa. Jego dusza krzyczała: Naprzód! Nagnij tego potwora do swej woli! Ale nie został Imperatorem Wszystkich Ludzi, pozwalając, by jego ego dokonywało za niego złych wyborów.

— Jeśli postanowimy zebrać kolejną armię, powinniśmy to zrobić szybko. Bóg nas zauważył — stwierdził jeden z generałów.

Wieża ciemności znajdowała się o kilka kilometrów dalej, ale zatrzymała się. Panowie wojny wyczuwali atmosferę wokół niej, jakby starała się ich zlokalizować. Skrywały ich najpotężniejsze czary, lecz ten potwór...

Coś się stało.

Coś się zmieniło.

Delegatura scalała się. Stwardniała. Przybrała kształt, jednak był dość niezdecydowany. Raz przypominał człowieka o wysokości sześćdziesięciu metrów, ale zbyt przysadzistego i szerokiego, a już po chwili widzieli ropuchę stojącą na tylnych nogach. Nagle zmieniła się w coś bardzo szerokiego, z olbrzymimi skrzydłami z cienia. Nie można było rozróżnić kolorów.

Wielki ozór wystrzelił w dół i wciągnął z powrotem do paszczy wrywającego się mężczyznę, którego przynależności nie można było określić z takiej odległości. Ślepią Delegatury Nocy wbiły się w kurhan, na którym zebrali się wielmoże Hu'n-tai At. Ale może tego nie zauważyli. Bóg bowiem zdawał się być zajęty zupełnie czym innym. Znów mlasnęła ozorem w bliżej niesprecyzowanym kierunku, jakby Delegatura żerowała trochę od niechcenia.

Potwór wyrósł z ropuszego przysiadu do swojej najwyższej, ludzkiej postaci, odwrócił się i skierował na zachód. Tsistimed od razu wyczuł zmianę w nurcie bitwy. Wybranim już nie pomagał ich posepny dobrodziej.

Delegatura Nocy nachyliła się jeszcze bardziej i zrobiła ostrożny krok. Potwór węszył w powietrzu. Nagle wydał ogłuszający, jękliwy łoskot, otrząsnął się cały i ruszył na zachód, zapominając o bitwie.

Krzyki rozpaczki uniosły się nad dżunglą potrzaskanych skał, bo Wybrani lamentowali, że ich porzucił.

Walczyli. Walczyło wiele mnogopalcych potworów. Zawodzenie mogłoby się nieść przez cały kontynent. Nigdy tak wielu Hu'n-tai At nie padło w boju. Nigdy tak wielu nie zginęło w jednym pokoleniu.

Kharoulke Wędrowiec Wiatru kroczył miarowo na zachód.

Lucidiańska granica: Potyczki

Jeźdźcy Nassima Alizarina nigdy nie zbliżyli się do Gherig bliżej niż na odległość pięciu kilometrów. Walczyli z krzyżowcami tylko wtedy, kiedy nie było wyboru. Przechwytywali kurierów. Zmuszali karawany do obierania trudniejszych szlaków. I kpili z Czarnego Rogerta. Ich strategia była przejrzysta. Krzepiła serce Indali al-Sul Halaladina w dalekim Shamramdi.

Młody Az sprowadził kilka setek zbrojnych, by wesprzeć Górę w wykonaniu zadania. Chłopak miał wyraźne instrukcje w kwestii karnego przyjmowania mądrości weterana. Indala pamiętał Nassima Alizarina jako wroga. Uznawał Górę za równego sobie. Sha-lugowie Nassima rozgromili większe siły Lucidian, dawno temu, podczas jednego z okresowych starć między Lucidią i Dreangerem. Tylko jeden człowiek mógł szczycić się tym, że przewyższył Indalę na polu bitwy — Gordimer Lew.

Chłopak wykazał się charakterem. Przyjął wytyczne swego krewnego, powiedział jednak do Nassima:

— Zgrzyta to. Gdybym był podobny do moich braci czy kuzynów, zignorowałbym Indalę. Oni tak postępują, zbyt często jak na mój gust, pomimo że on nie wzdraga się dyscyplinować swoich krewnych.

Nassim pomyślał o swoim zamordowanym synu. Hagid byłby mniej więcej w wieku Aza. Jednak bez takich perspektyw.

— Zbyt mi przypominasz mojego syna — stwierdził. — Pewnie będę dla ciebie za miękki, ucząc cię wszystkiego, co powinieneś wiedzieć.

Stary wódz i młodzieniec jechali konno w cieniu skalnej iglicy na ciemnobrązowym pustkowiu i obserwowali Gherig. Unosiły się stamtąd

sygnały dymne. Nie wiedzieli, co oznaczają, ale z całą pewnością należało być czujnym.

Rogert du Tancret mógł być wystarczająco rozsierzony, by ruszyć na Tel Mousse.

— A byłeś za miękki dla swego syna? — zapytał Az.

— Być może wręcz przeciwnie. Bardzo starał się dowieść swojej wartości. I to go właśnie zabiło. — Nassim nie wchodził w szczegóły. Ograniczył się tylko do rzucenia ponownych oskarżeń pod adresem Gordimera i czarownika er-Rashala. Nie chciał wyjaśniać chłopcu, dlaczego jego syn wyjechał do Brothe.

Kapitan Tage nie mógł przecież w nieskończoność ciągnąć tej farsy. Ale Góra nie miał zamiaru go zdradzać. Nassim Alizarin miał wobec niego dług honorowy. Nie mógł go lepiej spłacić.

— To skomplikowany świat — mruknął.

— Z całą pewnością taki, w którym niewielu ludzi dostrzega to, co jest po zachodzie słońca.

— Słucham?

— Nikt nie wykracza myślą poza ten moment. Szczególnie ci, którzy służą Bogu. Po prostu nie dociera do nich myśl o konsekwencjach.

Nassim mruknął coś. Była to prawda, choć sprawdzała się bardziej w wypadku Luci dian niż Dreangerów. Kaifat Kasr al-Zed zamieszkiwało wiele plemion. Kaifat al-Minfet był bardziej zjednoczony, a sha-lugowie wprowadzali tam wolę Szeryfa i Kaifa.

Podejrzewał, że zachodni kaifat był bardziej lucidiański niż dreangerański. Pochłonięty nieustannym płasem zmieniających się sojuszy plemiennych, grą, która rozpoczęła się na wiele mileniów przed pramańskim podbojem.

— Czy wschodnie plemiona wciąż przysparzają wam kłopotów? -zapytał Nassim.

— Jak najbardziej. Można by pomyśleć, iż są przekonani, że Tsistimed zniknął na dobre.

— Jeśli Indala nie będzie w stanie utrzymać kaifatu w jedności, to nikt tego nie dokona. Z jego śmiercią nastanie długi, mroczny wiek chaosu.

Chłopak wyglądał na urażonego.

— Wśród młodych powinien znaleźć się ktoś z charakterem i wolą Indali — dodał Góra. — Ale nie ma takiego wśród ludzi jego wieku. Jego brat i

wuj, i kuzyni są utalentowani, ale daleko im do niego. Raczej tylko wzmacniają wielkość Indali. Wykonują jego wolę, ale sami nie są Wolą.

Młodzieniec pokiwał głową w zamyśleniu.

— Jestem tu, by się uczyć.

Nassim kazał chłopakowi pracować razem ze starym Azem, Kościejem i ekipą. Tym samym będzie w środku wydarzeń. Dowie się, jak to jest, trzymać dłonie na drzewcu włóczni.

— Jakaś duża grupa wyjeżdża z Gherig — zauważył chłopak.

Jasne. Najpierw lekka jazda z piechotą w odwodzie. A później ciężka. Rycerze krzyżowi. Nassim zastanawiał się, co zaplanowali.

— Może tak bardzo dopiekleś Rogertowi, że teraz musi zademonstrować siłę dla poprawy nastroju — zaproponował swoją wersję młody Az.

Pasowałyby to do reputacji tego człowieka.

— Szkoda, że nie możemy wyprowadzić go dalej, na pozbawione wody ugory, tak jak to zrobił Indala.

— Czy Rogert byłby na tyle głupi, by drugi raz dać się wywieść w pole?

— Ależ tak. Ale ludzie wokół niego powstrzymałyby go. — Nassim parsknął śmiechem. — Za co należy dziękować Bogu. Nie wyobrażam sobie, jak byłby kiepski bez nich.

Z bram Gherig wyłoniły się wozy i wielbłądy. Kolumna skręciła na wschód. Frakierzy Giseli jechali na przedzie, rozglądając się bacznie po okolicy.

— Jadą oblegać Tel Mousse — zgadywał młody Az.

— Spodziewam się. Nawet Rogert du Tancret nie ośmiela się jechać dalej. Powinniśmy wracać. — Nassim był pewien, że młodszy obserwatorzy wyjechali już, by przekazać innym wieści.

— Szkoda, że nie mamy armii, żeby ich odciąć, jak się rozłożą obozem. — Nassim westchnął.

Rogert du Tancret będzie próbował zmusić Tel Mousse do uległości głodem. Nawet największy głupiec nie szturmowałby wieży bez wsparcia jakiejś srogiej Delegatury Nocy. Obrońcy mieli wszystkie topograficzne atuty w ręku. Jedynie brak naturalnego źródła wody działał na korzyść oblegających.

— Niepokoi mnie ten dym — stwierdził Alizarin. — Musieli go wypuścić, żeby powiadomić kogoś, że się zaczęło.

— Innych Frakierów Gizeli. Plemiennych sojuszników. Nikt inny...

— Czyżby nie odczuwali nabożnego lęku w stosunku do Indali, że tak knują z Rogertem?

— Niektórzy nie posługują się tak skomplikowaną optyką. Na przykład al-Yamehni mogą sądzić, że sojusz z potężnym krzyżowcem jest dla nich o wiele atrakcyjniejszy niż rola obrońców szaićów przed odwiecznymi wrogami, al-Cedrah i al-Hasseinni.

Krzyżowcy manipulowali nienawiścią plemienną, odkąd pojawili się w Ziemi Świętej. Nigdy nie byli bardzo liczni, więc swoją siłę musieli uczynić z polityki. Łatwo było sterować podzielonymi plemionami uwikłanymi w odwieczne spory.

Ani stary lis, ani też młody lew nie mogli dojść, które z plemion postanowiło pomóc Czarnemu Rogertowi. Ale byli sprawni i skuteczni. Ruszyli w kierunku Tel Moussy, szybko otaczając ją luźnym kordonem. Nassim i chłopak nie zdążyli przed nimi.

Inni wpadli w te same tarapaty.

Ruch Czarnego Rogerta był oczywisty. Podobnie jak jego skutki. Wszystko układało się według planu.

Na północ od shamramskiego szlaku na wzgórzach biło źródło. Ci, którzy nie dotarli na czas do wieży, zbiorą się w tym miejscu. Albo w okolicy, na wypadek gdyby wróg wiedział o źródle i wolał tego nie ujawniać.

Późnym popołudniem Nassim i młody Az napoili konie. Góra odebrał meldunki od tych, którzy już tu byli, i tych, którzy zjawili się później.

— Jest tam ze setka Frakierów Gizeli — stwierdził. Być może były to przesadzone dane. — Jak oni się zebrali, że tego nie zauważyliśmy?

— Otoczyliśmy ich nieszczelnym kordonem — uznał młodzieniec. - Jeden człowiek na koniu, na nieznaną ścieżkę w świetle księżyca? Bułka z masłem. My robimy tak samo. Tak czy inaczej nie można wtedy zabrać żywności i zapasów. A więcej gąb do wykarmienia tylko pogorszyło ich pozycję.

Wszystko prawda. Chłopak przykładał się do nauki. Ale Nassim Alizarin nie lubił przyznawać się do tego, że wódz sha-lugów został wystrychnięty na dudka przez Rogerta du Tancret.

— No to co teraz zrobią?

— To proste. Zablokują Tel Mousse... no, ech.

— Dobrze. Widzę, że myślisz. Ktoś inny chciałby zgadnąć, dlaczego robią to właśnie teraz. Nie w zeszłym miesiącu? Nie przyszłej zimy? Żadna ze stron nie szykuje kampanii. Rogert nie jest na tyle silny, by poważić się samemu na taki krok.

Nassim nie był jednak tego pewien. Rogert du Tancret mógł być na tyle arogancki, by wydawało mu się, iż zdoła samodzielnie pokonać Lucidię.

Z całą pewnością był wystarczająco arogancki, żeby zacząć większą wojnę z powodu nękania Gherig.

A mimo to... Czas zedrze z niego maskę.

Czas wstrzymywał osąd. Nassim zaczął podejrzewać, że Czarny Rogert zareagował impulsywnie, gdyż znalazł się w sprzyjającej sytuacji chwilowej przewagi. Miał Frakierów Gizeli tylko na kilka tygodni. I najął czarownika, o którym szpiedzy Nassima nie mogli się niczego dowiedzieć. Ani jego imienia, ani skąd przybył, jak udawało mu się pracować u boku sojuszników Rogerta z Bractwa, którzy byli znani z pogardy dla magii.

Trzy razy czarownik rzucał zaklęcie na Tel Mousse. Trzykrotnie jego wysiłki spełzły na niczym. Trzy razy Kościej i stary Az kryli się w podziemiach wieży, zachowując spokój, i przeżyli.

Sam Czarny Rogert przebywał w polu jedynie przez kilka dni, po czym wrócił do wszetecznych uciech w Gherig. Obleganie zostawił innym.

Krzyżowcy nie rozsyłali patroli daleko poza granicę swych dóbr. Nassim zebrał wojowników w gotowości na wzgórzach. Z Shamramdi nadciągnęły posiłki. Indala był zaniepokojony.

Nassim zasadził się na Frakierów Gizeli, kiedy powracali na swe plemienne ziemie przy granicy z Rhûn. Walczyli dzielnie i ślali po pomoc do Gherig. Nie nadeszła. Czarny Rogert już z nimi skończył. Zostali wyrzuceni na śmietnik. Nie miało dla niego znaczenia, że być może jutro znów będzie musiał wynająć Frakierów Gizeli.

Nassim nie miał tyle sił, by całkowicie eksterminować zdradzieckich praman. Wbił jednak mocno hufnal w sam szaleńczy pomysł, by sprzymierzyć się z Rogertem du Tancretem.

Tydzień później prawda sama wyszła na jaw.

Krzyżowcy zaatakowali dużą, bogatą karawanę jadącą z Dreangeru do Lucidii oraz dalej, na jedwabny szlak. Podróżni nie chcieli jechać

trudniejszą, lecz bezpieczniejszą drogą przez wschodnią pustynię. Wierzyli, że łąpówka przekazana Rogertowi zagwarantuje im bezpieczny przejazd.

Rogert przejął wszystkie towary i wziął w niewolę tych nielicznych, których nie zarznął na miejscu. Za wszystkich mógł wziąć okup. Wśród zabitych, jak i pojmanych znajdowali się ważni chaldaranie ze Wschodniego Imperium. Wśród zabitych byli dreangerscy dyplomaci udający się do Shamramdi i lucidiańscy posłowie wracający do domów.

— Przynajmniej tym razem nie było tam kobiet z rodziny mojego stryjecznego dziadka — zauważył młody Az.

Ale była setka pramańskich pielgrzymów udających się do świątyń na wschodzie bądź wracających ze świątyń na zachodzie. Zostali obrabowani i zaszlachtowani bez względu na swą religię czy pozycję. Dla Rogerta wszyscy byli niewiernym ścierwem. Nie mogli zostać wystawieni na sprzedaż. Morderstwo w naturalny sposób zamknęło ich wygłodniałe pyski.

— Przez to doprowadzi do wojny — przewidywał młody Az. — Obowiązkiem księcia jest strzec pielgrzymów. Nawet Niewiernych.

— Albo jak mu się to nie uda, musi ich pomścić, żeby nic złego nie przytrafiło się następnej grupie.

Nassim ubolewał nad tą katastrofą. Ale zdarzyła się daleko i w dodatku bez ostrzeżenia. Zanim dotarły do niego wieści, było już po wszystkim. I tak nic nie mógł na to poradzić. Jego siły były rozproszone. W końcu jednak doszedł do wniosku, że mógł się spodziewać czegoś w tym stylu, obserwując niedawne zachowanie Tancreta.

Przed atakiem krzyżowcy wykrwawili się mocno na pozycjach wokół Tel Moussy. Nassim skorzystał z tego, by przeprowadzać regularne kontrnatarcia, okazało się jednak, że to wszystko było li tylko wyrachowanym sposobem odwrócenia uwagi.

Z Haeti przybył nowy transport hakownic i bombard, który cudem uniknął przechwycenia po drodze.

Złe miejsce, zły czas

Mistrz Doskonały zbliżył się do Khaurene pod koniec dnia. Zachodzące słońce hojnie oblewało wszystko złotym światłem, z którego sływał Connec. Chciał obejść miasto i zrobiłby to, ale okoliczności wpłynęły na zmianę jego decyzji.

Rok temu brat Świeca znalazł się za murami Khaurene, uchodząc przed patriarchalnymi najeźdźcami oraz upiorną zjawą Nocy. Obecnie wielkie niebezpieczeństwo stanowili bandyci i ochotniczy łowcy heretyków ze Stowarzyszenia na rzecz Tłumienia Błuznierstwa i Herezji. Edykt kilku ostatnich Patriarchów, zakazujący działalności Stowarzyszenia, nie miał mocy prawnej w Arnhandzie, gdzie ci ponurzy mnisi mnożyli się jak myszy, z błogosławieństwem Anne z Menandu. Obecnie rządził nowy Patriarcha, Łagodny. Robactwo ze Stowarzyszenia zaczęło wypełzać, włączając we wszystko i wszędzie, unikając zaś tych hrabstw we wschodnim Connec, w których mieszkańcy wcale nie odmawiali im wjazdu, by mogli aktywnie uczestniczyć w ćwiczeniach strzeleckich jako żywy obiekt na tarczach łuczniczych.

Bandyci nie stanowili zagrożenia dla wędrującego maysalańskiego Doskonałego. Byli domorosłym tworem. Ci desperaci wiedzieli, że święci mężowie nie mają przy sobie niczego wartego zachodu. Nawet ich poszarpane łachmany nie miały wartości na rynku wtórnym. Braciszkwowie ze Stowarzyszenia jednak z dziką rozkoszą zabraliby Doskonałym życie. I choć tych łajdaków nie było jeszcze wielu w Connec, byli tak żarliwie przekonani o swej prawości, że większość ludzi nie miała odwagi się im przeciwstawić. Fanatycznie tworzyli swoje listy. Włącznie z listami materialnej wartości danego człowieka.

A wraz z nimi pojawiło się zagrożenie ze strony arnhandzkich krzyżowców.

Sam król Regard kierował się w stronę Khaurene ze swoją armią, plewiąc po drodze heretycką zarazę.

Mieszkańcy Khaurene otrząsnęli się po ostatnich mękach. Spichlerze były pełne ziarna. Winnice dawały plony. To, co zostało uszkodzone lub zniszczone, naprawiono lub zastąpiono czymś nowym. Ale ludzie napotkani przez starca nie mieli uśmiechu na twarzach. Byli wycieńczeni, zmęczeni życiem, choć nie porzucili jeszcze nadziei. Nawet w obliczu najnowszej inwazji.

Connec miał największego żołnierza tych czasów.

Królowa, żona Piotra z Navai, była siostrą księcia Tormonda. Piotr miał więc gwarancję bezpieczeństwa i niezależności Khaurene. Piotr z Navai, bohater spod Los Naves de los Fantas, był najukochańszym, najbardziej czczonym i szanowanym monarchą chaldarańskiego zachodu. Nawet Łagodny nie odważył się przywoływać go do porządku. Gdyby spróbował uderzyć w ton zwykłej u niego świętoszkowatej retoryki i wymusić coś siłą, pewnego dnia obudziłby się jako pan wyłącznie tego, co mógł dostrzec z Krois. Mógł nawet utracić sojuszników, których jego poprzednicy z takim trudem zebrali.

Wśród zaprzysięgłych zwolenników Piotra z pola bitwy znajdował się Jaime z Castaurigi. Direccionscy monarchowie nie pałali do siebie miłością, ale Jaime był niezachwianie związany z navayańską gwiazdą. No i wielbiła go Imperatorową Graalą, Katrin, która miała nieograniczone środki pozwalające uczynić życie Patriarchy koszmarem w większym nawet stopniu niż Piotr.

Tego wszystkiego dowiedział się brat Świeca po drodze z Sant Peyre de Mileage. Wzbudzało to kolejne emocje, jeszcze bardziej odciągając go od Doskonałości.

Tego popołudnia mógł ominąć Khaurene, gdyby nie musiał kryć się przed arnhandzkimi zwiadowcami. Panoszyli się wszędzie. Sam Regard był zajęty prześladowaniem łagodnych mieszkańców Altai tolerancyjnych wobec Maysalan, ale wysyłał zbrojne patrole przeczesujące teren wokół największego miasta Connec. Przynajmniej dla widowiska.

Widowisko było jak dotąd największym sukcesem Anne z Menandu, która zmusiła zbrojnych do ruszenia na connekiańskich heretyków.

Entuzjazm utrzymywał się wyłącznie w szeregach członków Stowarzyszenia. Ale ich dowódcy byli powszechnie znani z braku militarnych kompetencji.

Brat Świeca przekroczył bramy Khaurene tuż przed ich zamknięciem. Za czasów jego młodości nigdy nie zamykano bram. Często zostawały nawet bez straży, bo starszycy obciążeni tym zadaniem nie stawiali się na służbie. Teraz każdy, kto wkraczał do Khaurene, musiał się liczyć z pogawędką z młodym, sprawnym i podejrzliwym żołnierzem, przeważnie Direcjaninem. Żołnierze byli wyćwiczeni, wyszkoleni i znali miejscowy dialekt. Zadawali pospieszne pytania pod czujnym okiem współtowarzyszy. Szpiegów Stowarzyszenia zwykle zdradzały ich kłamstwa.

— Uważaj na ulicach, Mistrzu — mruknął jeden z żołnierzy. — Wciąż nie panujemy nad wszystkimi gangami.

Religijna przemoc stała się częścią życia w mieście.

— Byłem tu już wcześniej. Wiem, których ulic unikać, ale dzięki, żeś mi przypomniał.

— W takim razie dobrej pogody i powodzenia. — Nie chciał pożegnać Poszukiwacza zwrotem „z Bogiem”.

— I tobie też, młody człowieku. I tobie również.

Król Piotr dobrze dobierał żołnierzy. Czy też może raczej królowa Isabeth.

Czasami Doskonałemu wydawało się, że Isabeth kochała Khaurene bardziej niż jej brat. Księżę Tormond zdawał się traktować je jako zbędne brzemię.

I tak brat Świeca wkroczył do stolicy Skraju Connec, która stała w tym miejscu, zanim ludzie zaczęli prowadzić zapiski. Nie miał konkretnego planu, ale wiedział, że będzie musiał się ujawnić w miejscowej społeczności Poszukiwaczy. Inaczej nie miał szans na przetrwanie w mieście. Nie miał pieniędzy. Ani żadnych krewnych. Wszystko to zostawił, by stać się Doskonałym.

Nie widząc innego wyjścia, skierował się do dzielnicy tkaczy, farbiarzy, garbarzy i kaletników. Ludzie tych fachów uznali maysalańską filozofię za swoją. Regularnie zatrzymywał się w dzielnicach tych profesji. Jeśli ci ludzie stanęli na nogi po oblężeniu i porażce, jaka dotknęła Khaurene, powinien znaleźć tam gościnę.

Zjawił się tam tuż przed zapadnięciem nocy.

Złe wieści. Brat Świeca został rozpoznany. Wieści o jego odwiedzinach rozeszły się lotem błyskawicy. Garbarz Raulet Archimbault przejął go, kiedy tylko skręcił w ulicę, na której wszyscy garbarze, prządki i tkacze byli Poszukiwaczami Światła. Pulchna pani Archimbault pognała za swoim mężem. Oboje nosili na sobie smród garbami. Cała okolica tak cuchnęła. W czas niepogody fetor był jeszcze gorszy.

Po Archimbaulcie z całą pewnością było widać, że żyje w stresie, choć nadrobił już kilka kilogramów utraconych w czasie posępnej zimy, podczas której ukrywał się w Altai. Jego żona też dobrze się odżywiała i wydawała się młodszą, niż Doskonały ją zapamiętał.

Archimbault zakleszczył brata Świecę w mocnym uścisku.

— Obawialiśmy się, że zaginałeś, Mistrzu. Nikt nie wiedział, co się z tobą stało.

— Zaszyłem się w samotni. Żeby na powrót odnaleźć drogę do Doskonałości. Ale świat mi na to nie pozwolił.

— Chodź ze mną, chodź, proszę. Zatrzymasz się oczywiście u nas.

— I akurat czas na wieczerzę — dodała żona.

Kiedy dotarli do domu Archimbaultów, cała okolica wiedziała już, że brat Świeca powrócił. Dziesiątki ludzi wychodziły na ulicę, by popatrzeć. Trudno będzie się znów wymknąć niezauważenie.

— Dom wydaje się jakiś większy i spokojniejszy — stwierdził.

Pani Archimbault krzątała się, przynosząc chleb, ser, wino, oliwki i z tuzin różnych gatunków kiszonek.

— Strasznie tu spokojnie, jak nie ma dzieci — potwierdził Archimbault. — i pusto.

Brat Świeca ugryzł się w język w obawie, że być może otworzył starą ranę. Każda z rodzin w Khaurene straciła kogoś w ciągu ostatnich kilku lat albo podczas krucjat, albo za sprawą chorób i głodu, gdy walki już ustały.

— Mąż nie lubi o tym rozmawiać. Nie lubi przyznawać się do błędów — wyjaśniła pani Archimbault.

Jej mąż mruknął coś, ale się nie spierał. Równość płci była jedną z największych herezji Poszukiwaczy Światła.

— Pojawił się Soames. Gdy zaczęliśmy szukać nowego męża dla Kedle. — Chodziło o ich córkę. — Historyjka, którą nas uraczył, to jedna wielka sterta łajna. Nie mówił, gdzie był ani co robił. Ludzie z jego kompanii widzieli, jak uciekał, zanim walka się rozpoczęła. Niektórzy uważają, że

poddał się bez walki i mógł zostać szpiegiem Stowarzyszenia. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie dołączył do nas w górach. Wiedział, że Kedle była bliska rozwiązania. — Pani Archimbault była wściekła na zięcia, co jednak usilnie kontrolowała. — Znów z nim zdążyła zaciążyć.

Archimbault wydał z siebie syk niczym czajnik na palenisku. Jego gniew przewyższał irytację żony. Nic nie mówił, ponieważ nie chciał źle wypaść przed Doskonałym. Były to sprawy, które Poszukiwacz powinien umieć odłożyć na bok.

— Sama jestem temu winna — wyznała pani Archimbault. — To wszystko moja wina. Wepchnęłam tego chłopaka Kedle. Ona wcale nie była nim zajęta. Zmusiłam Archimbaulta, żeby udał się do jego rodziny.

Brat Świeca już na początku był zdziwiony takim mariażem. Była to jednak dobra partia dla Archimbaultów, ponieważ Soames pochodził z szacownej rodziny.

— Do Soamesa należy teraz cały majątek jego rodziny — ciągnęła pani Archimbault. — Z pewnością jest to prawdziwy powód jego powrotu. Kiedy wrócił, żył jeszcze tylko jego dziadek. Soames został jedynym spadkobiercą.

— Ta rodzina w tak krótkim czasie wycierpiała wiele niedoli — burknął Archimbault. — Ludzie mówili, że to z powodu niegodnego zachowania Soamesa. I Soames na tym wszystkim skorzystał.

— Nalegał, żeby Kedle i mały Raulet zamieszkali z nim — mówiła ze złością jego żona. — Po chwili jednak przyznała: — Kedle nie miała nic przeciwko.

— Przez to ma cały czas wapory, Mistrzu. Dziecko zeszło ze Ścieżki. Może już nie odnaleźć drogi. Potrzebujemy twojej pomocy. Bardzo.

— Czasy są próbą naszej wiary, nawet najlepszych z nas. — Doskonały starał się przypomnieć sobie wiek Kedle. Wciąż jeszcze nie ma osiemnastu lat, pomyślał. Jest w wieku podatnym na wpływ wszelkich filozoficznych wichrów.

Zaczęli się schodzić goście. Skończyły się rozmowy o sprawach rodzinnych. Brat Świeca był ulubieńcem miejscowych Poszukiwaczy.

Khaureńcy ani myśleli iść spać, choć rzadko siedzieli dłużej po ostatnim posiłku o dziesiątej czy jedenastej. Wstawali z brzaskiem, ale ucinali sobie dłuższą drzemkę w największym popołudniowym upale.

Uduchowione rozmowy ciągnęły się jeszcze dobrze po tym, kiedy Doskonały padł wyczerpany.

Na drugi dzień rano pojawił się inny gość, co świadczyło tylko o tym, jak szybko wieści rozchodzą się po mieście.

Zaspany brat Świeca stanął twarzą w twarz z Bicotem Hodierem, głównym heroldem księcia Tormonda. Staruszek był zbyt zaspany, żeby wykazać się nienagannymi manierami.

— Hodier? To ty? Myślałem, że zginąłeś w walce z Naczelnym Wodzem. Byłeś z Eardale'em Dônnem.

— Nie wątpię, że byli tacy, którzy mieli nadzieję, że to prawda. Jak zwykle sprawiam zawód wszystkim. Księżę chce, żebyś poszedł do Metrelieux. Proszę, postaraj się go nie zdenerwować.

— Nie. — Tormond był kolejnym powodem, dla którego chciał ominąć miasto. — Nie mogę.

— To będzie jawna demonstracja braku szacunku, bo odwiedzasz swoich przyjaciół, a nie chcesz przyjąć jego zaproszenia.

— Wiem, wiem. — I Tormond też jest przyjacielem. Czy też raczej był, kiedy obaj byli chłopcami. Do pewnego stopnia. Teraz byli już tylko zmęczonymi życiem starcami.

Brat Świeca już od dłuższego czasu nie gościł w twierdzy Metrelieux.

— Widzę, że dokonano tu pewnych ulepszeń.

— Direccionie Isabeth są bardzo nachalni. Choć to tylko brama. — Hodier wzruszył ramionami. — Reszta to ledwo kosmetyka. Pod względem militarnym są bardziej zainteresowani poprawą stanu bram miejskich i murów.

Brat Świeca zauważył zmiany, kiedy wchodził do miasta. Widział patrole na ulicach — złożone z Direccion i miejscowych, pół na pół.

— Myślisz, że oblężenie jest pewne?

— Decyzję podejmie król Regard. To oznacza, że zrobi to jego matka. Król Piotr dopilnuje, by miasto stawiało opór.

— Jego żołnierze są wszędzie. Ilu ich jest?

— Mniej, niżby niektórzy chcieli, i więcej, żeby uszczęśliwić przyjaciół Patriarchy.

— Znaczący, nie wiesz dokładnie.

— Sprytnie, Mistrzu. Ale na to pytanie nie ma odpowiedzi. A na pewno ja jej nie znam. Może prowincjał de Herve albo hrabia Alplicova. Garnizon ciągle się zmienia. Nie chcą też, żeby szpiedzy ustalili konkretne dane. Żołnierze są tu, by nauczyć naszych obywateli, jak się bronić. Większość z nich chce się uczyć.

Członek Kolegium przebywał w Khaurene, reprezentując interesy sprzeczne z interesami Ojca Kościoła?

— A więc porażka po spotkaniu z Naczelnym Wodzem przekonała tych, co przeżyli, że mają jednak pewne braki.

— W rzeczy samej, bracie. W rzeczy samej. Poczekaj tutaj. Dowiem się, kiedy księżę będzie mógł cię przyjąć.

Brat Świeca usiadł w jednej z wyciszonych komnat Metrelieux. Już kiedyś czekał w niej, przy innej okazji. Zwykle pojawiał się ktoś, chcąc zamienić słowo na osobności przed audiencją u Tormonda, co zdawało się być przyczyną spóźnienia.

Tym razem było inaczej. Hodier zniknął na pół godziny, ale nikt mówiący szeptem się nie zmaterializował, gdy brat Świeca czekał.

— Jest gotów, bracie. Zrozumiesz, gdy go ujrzysz. Przygotuj się na zmiany. Na gorsze.

— Na gorsze? I Tormond wciąż żyje?

— Wybacz, bracie. Chciałem uniknąć dramatycznych tonów. Ale jak mówiłem, zrozumiesz, jak zobaczysz.

Zrozumiał. Prawie. Co więcej, Doskonały czuł, że ogarnia go rozpacz.

Wielki Chwiejny, Tormond IV, ostatni z rodu, bo nie miał żyjącego krewnego, zmienił się w śliniącą się ruinę człowieka. Był przykuty do krzesła na kółkach. Cuchnął. Nie mógł oderwać brody od piersi, taki był słaby. Był chudą figurką ledwo trzymającą się życia.

— Tym razem to żadna magia czy trucizna. Tym razem to jedynie metryka i choroba — stwierdził Hodier.

Jak podejrzewał brat Świeca, był to ostatni raz, kiedy widział swego przyjaciela wśród żywych. Jego niechęć — po tym, jak go tu zaciągnięto — stopniała.

— Czy zdeklarował się religijnie? Przyjmie kościelne namaszczenie albo konsolamentum? — Mówił o ostatnim sakramencie udzielanym konającym Poszukiwaczom Światła.

— Jest Wielkim Chwiejnym. Do samego końca. Biskup Clayto, biskup LeCroes oraz brat Doskonały Czystoń tylko czekali. Jego lordowska mość nie może się zdecydować na obrządek któregoś z nich.

Brat Świeca pomyślał, że być może jest to wina Czystonia. Jednym z najbardziej dokuczliwych niepowodzeń brata Świecy była niezdolność do zaszczylenia brata Czystonia choćby jedną ciepłą myślą. Byli jak nafta i ogień. Ale wzdrygnął się też na wspomnienie biskupa LeCroesa. Jego niegdysiejszy przyjaciel został przyłapany na podawaniu Tormondowi na rozkaz Wzniosłego V wolno działającej trucizny. Nagrodą miała być wyższa pozycja w Kościele, gdy zdobędzie on władzę w Khaurene.

Oficjalnie Bries LeCroes był jednym z miejscowych popleczników antypatriarchów wyższego szczebla, a nie człowiekiem Brothe.

Bicot Kodier zauważył jego reakcję.

— Jedno, co księżę teraz robi, to wybacza. Wzniosły nie żyje. Zagrożenie ze strony sił patriarchalnych znikło. Ułaskawia więc wszystkich. Włącznie z wielmożami, którzy współpracowali z Naczelnym Wodzem w czasie krucjaty. I już ponosimy tego koszty. Teraz spiskują z Arnhandem.

Z kolanami skrzypiącymi w bolesnym proteście brat Świeca opadł na ziemię przed Tormondem. Popatrzył na brata medyka stojącego za fotelem księcia, ale nie zobaczył niczego, co wskazywałoby na to, iż jest on kimś więcej, niż udaje.

Doskonały pomyślał, że zdołałby dostrzec węża w ciemności czającego się we wzroku kapłana, gdyby był on narzędziem Stowarzyszenia.

Oczy Tormonda załśniły. Był świadomy i czujny, jak tylko mógł, uwięziony w rozpadającym się ciele. Ale nie było łatwo się z nim porozumieć.

Spotkanie odbywało się w sali, w której brat Świeca już konferował wcześniej z Tormondem i jego doradcami. Księżę wypytywał wtedy o jego zdanie na każdy temat, ale nie brał go sobie do serca. Tego ranka sala była wilgotna, chłodna, posępna, surowa i niemal pusta. Hodier uczestniczył w spotkaniu, tak jak brat medyk. I oczywiście księżę oraz Doskonały. Zwykle zbierało się tu dwadzieścia, trzydzieści hałaśliwych osób, a ogień trzaskał głośno w kominkach.

— Obaj mamy jakieś dwieście lat doświadczenia. A ten tu ksiądz to pacholę jeno — zauważył brat Świeca.

— Mogę dać mu napar, który na krótko przywróci mu kontrolę nad ciałem — powiedział brat medyk. — Rzadko go używamy. Wysysa z niego resztki sił. Czy teraz jest właściwy moment?

Kapłan nachylił się wprost do ucha Tormonda, by zadać to pytanie.

Brat Świeca dostrzegł figlarny błysk w starczym oku księcia, kiedy ten lekko skinął głową.

Ksiądz pognał przygotować specyfik.

— Ten wywar działa cuda — stwierdził Hodier. — Ale olbrzymim kosztem. Godziny stanu takiego jak ten albo jeszcze gorszego, po ledwo kwadransie balansowania na krawędzi normalności. Nie zmarnuj czasu, jaki ci dano.

Brat Świeca nie był w stanie wykrzesać z siebie stosownej odpowiedzi. Przysunął się do fotela księcia, tak że patrzyli na siebie, i usiadł na ławie, żeby już nie szorować kolanami po twardej dębiny parkietu.

— Wiele czasu już minęło, odkąd się widzieliśmy ostatni raz.

Tormond mruknął coś chrapliwie.

Znów pojawił się brat medyk.

— Nie wygląda to dobrze. Ale tak trzeba. — Złapał za strąki włosów księcia i ściągnął jego głowę w tył. Tormond otworzył usta. Kapłan najpierw oczyścił mu krtań, po czym wlał zawartość niewielkiej glinianej czarki do ust. Przypominało to ciemną herbatę. Brat Świeca nie poczuł niczego. Ale też niewiele to znaczyło. Jego zmysły nie były już tak wyostrzone jak kiedyś.

Kapłan ścisnął księcia za nos, wymuszając połknięcie specyliku.

Tormond łyknął lek, nie krztusząc się ani nie zachłystując.

Reakcja nastąpiła dość szybko. I była bardzo wyraźna.

— Niemal magiczna — rzucił Hodier, trochę na wyrost.

Tormondowi wróciły kolory. Lekkie drżenie ustąpiło. Przestał się ślinić. Wolno, z trudem uniósł brodę z piersi.

— Charde ande Clairs. Mój najwierniejszy przyjacielu.

Pojawiło się żalosne oskarżenie dotyczące stosunków Tormonda IV ze światem. Że wszystko to była wina księcia. Nigdy nie przejął w pełni władzy. Pozwalał sobą kierować i manipulować, i upierał się przy błędach w najmniej stosownych okolicznościach. Wszyscy starali się to wykorzystać, z wyjątkiem sir Eardale'a Dunna, który zginął w obronie Khaurene. Oraz brata Świecy, w wiośnie życia znanego jako Charde ande

Clairs, kiedy to w dzieciństwie zaprzyjaźnił się z przyszłym księciem, całkowicie łamiąc zasady i konwenanse.

— Jestem tu.

— Ale, jak znam życie, musieli cię tu niemal przywlec siłą. — Tormond nie potrafił zapanować nad seplenieniem i ślinieniem się i nie trajkotał już tak jak dawniej. Można go było jednak zrozumieć. 1 było jasne, że pragnie mówić bezpośrednio do brata Świecy.

— Bicot, znajdź Isabeth. Sprowadź ją. Żadnych wymówek. Fomier, idź po kawę. Powinna już tu stać.

— Jak sobie życzysz, wasza lordowska mość. — Ksiądz skłonił głowę.

— Przyjął to z godnością — stwierdził brat Świeca, rozglądając się po komnacie w poszukiwaniu niepasujących do niej cieni.

— To dobry człowiek, Charde. W odróżnieniu od większości jego współplemieńców. Mamy niewiele czasu. Musisz mnie wysłuchać. — Tormond przywołał Doskonałego bliżej. — Pośród moich licznych przypadłości ostatnio znoszę klątwę oglądania urywków obrazów, które widzą Delegatury Nocy, spoglądając w oblicze jutra. Zwykle kiedy działanie leku słabnie.

— Hmm? — Neutralnie i ostrożnie.

— Charde, przeszłość nie jest usłana różami.

Też objawienie.

Tormond zamknął dłonie brata Świecy w swoich. Wysunął coś z zanadru, przekładając do rękawa gościa. Doskonały ukrył zaskoczenie.

— To wszystko nie wygląda najlepiej. Nadchodzi wielki smutek. Ogień wypali cały Connec. Nie da się tego uniknąć. Powiedz hrabiemu Raymone'owi, że żałuję wszystkiego. Nie wiem jednak, w jaki sposób mogłem sprawić, żeby wszystko poszło lepiej. Daj mu moje błogosławieństwo. Powiedz mu, żeby zabrał, co się da.

W oczach księcia pojawiła się smuga mroku. Efekt działania naparu osiągał apogeum.

Fornier wrócił z kawą tak szybko, iż brat Świeca chcąc nie chcąc musiał uwierzyć, że była przygotowywana już od jakiegoś czasu.

Królowa Isabeth i kilku Direcjan wpadło do komnaty chwilę później, wszyscy z posepnymi minami. Z powodu choroby Tormonda jego włości stały się teraz bardziej niż kiedykolwiek przedłużeniem Navai. Ludzie króla

Piotra z niechęcią patrzyli na to, że pojawia się jakiś stary znajomy, przybłąda, i wywołuje zamieszanie.

Brat Świeca nie rozpoznał żadnego z ludzi królowej. Wsunął zawartość rękawa i schował ją do wewnętrznej kieszeni.

Znał Isabeth od dnia jej narodzin, choć nie była to znajomość zażyła. Z powodów, których nigdy nie rozumiał, zawsze traktowała go cieplej niż on ją.

— Co się tutaj dzieje? — zapytała zdjeta niepokojem.

Doskonały wskazał ręką na gospodarza.

— Twój brat po ciebie posłał. Nie ja.

— Siadaj, Isabeth — poprosił Tormond. — Słuchaj, może to ostatnia okazja, że mogę coś powiedzieć.

Księżę zaczął szybko mówić, jakby miał więcej do powiedzenia niż czasu. Miewał apokaliptyczne wizje. Nie można było uniknąć katastrofy, ale jej ponure szczegóły były wciąż nieustalone.

Isabeth chciała mu dwukrotnie przerwać i dwa razy brat Świeca powstrzymał ją gestem dłoni. To będzie posępny wyścig z czasem.

Tormond nie zagłębiał się w oczekiwane przez wszystkich szczegóły. To powszechny problem z wróżami, choć brat Świeca musiał przyznać, że wszelkie możliwe przyszłości były płynne, nim zaczęły się krystalizować. Noc widziała różne ewentualności, ale nie mogła niczego przypisać do miejsca lub tymczasowego punktu w przestrzeni, dopóki nie zaczynało się dziać.

Mimo to niektóre sprawy balansowały na krawędzi pewności. Żadna z postrzeganych przez Tormonda przyszłości nie wróżyła dobrze miastu Khaurene.

Flirt Tormonda z jasną świadomością zdegenerował się do bełkotliwych dźwięków. Księżę jednak dalej próbował przekazywać swoje myśli.

Isabeth spojrzała na Doskonałego. Odwzajemnił spojrzenie.

— Zacznie się, zanim będziemy gotowi — rzuciła.

— Przyszłość zawsze przychodzi, zanim człowiek się na nią przygotowuje. Cokolwiek byś zrobiła, pułapka się zamyka, kiedy najmniej się tego spodziewasz. Ale przekazał ci mnóstwo informacji, które możesz wykorzystać.

W pewien sposób. Postacie zatopione w tańcu, gdy nadchodzi burza, zbyt wiele myślą o sobie, by rozważyć to, co może być najlepsze na dłuższą

metę.

— Muszę powiedzieć o tym Piotrowi — orzekła Isabeth. — Musi podjąć jakąś decyzję. I ty. Nie marnuj czasu. Idź, przekaz to swoim ludziom.

Miał również inne obowiązki. A może się tak zdarzyć, że żadnego nie wypełni.

Najczarniejsze wizje konającego starca jawiły się jako najbardziej prawdopodobna przyszłość.

Tormond naprawdę umierał. Nie było co do tego wątpliwości. Podał im trzy możliwe terminy, wszystkie niedogodne. Dwa można było wyeliminować, podejmując stosowne działania, będące całkowicie w gestii ojca Forniera.

— Cokolwiek zrobicie, pamiętaj, działaj z rozwagą i nie owijaj w bawełnę — zaproponował brat Świeca. — Twój mąż będzie miał trudną decyzję do podjęcia. Musi wiedzieć wszystko.

Isabeth patrzyła na niego przez kilka długich sekund. Nie była dzieckiem. I nie była też swoim bratem. W razie potrzeby potrafiła niezwykle szybko podjąć decyzję.

— Potwierdzasz to, co nam powiedział, Mistrzu?

Brat Świeca nie poprawił jej. Zrobiła to celowo, na użytek obecnych. Większość szlachty direcjańskiej należała do Brotheńskiego Kościoła Episkopalnego, choć otwarcie buntowali się przeciwko Patriarsze. Byli gotowi wyrznąć inkwizytorów Stowarzyszenia — głównie dlatego, że ci fanatycy stanowili zagrożenie dla tymczasowej władzy nobilitas.

Isabeth z kolei wyrosła w gnieździe herezji, co budziło podejrzenia. Musiała postępować niezwykle ostrożnie.

— Akceptuję jego wizje — stwierdził brat Świeca. — Moja wiara mówi mi, że muszę przyjmować to, co jest. Jest Noc. Są Delegatury Nocy. Żaden z nas nie może zaprzeczać faktom tylko dlatego, że są dla nas niewygodne.

Nic, co powiedział, nie było sprzeczne z doktryną chaldarańską. Dopóki nikt nie przypisywał Delegaturom innego statusu niż diabłów i demonów.

Taka prawda bynajmniej nie była łatwa do przełknięcia przez dusze znajdujące ukojenie wyłącznie w Stowarzyszeniu Tłumienia Błuznierstwa i Herezji. Dusze gotowe przymusić samego Boga, by się dostosował.

— Odegrałem rolę, którą przygotował dla mnie twój brat — oznajmił brat Świeca. — Czyli dopilnowałem, by powiedział, co chciał powiedzieć, i żebyście go wysłuchali.

Isabeth była nastawiona sceptycznie. Zmęczona, siwiejąca już kobieta poświęciła lata dorosłego życia na uczestniczenie w polityce brata i męża. Niewiele zaznała wystawnego dworskiego życia, jakie było udziałem wysoko urodzonych kobiet. Odkąd Connec popadł w odradzający się kryzys, niewiele miała okazji, by nacieszyć się towarzystwem męża czy syna, który teraz już pewnie chodził i mówił, zmieniając życie swych piastunek w nieustającą przygodę. I którego imienia brat Świeca, z czego zdał sobie właśnie sprawę, nie znał.

Zakłopotany zapytał o to.

Isabeth wyrzuciła z siebie strumień imion jedno po drugim. Direccionie lubili dopuszczać do nowego potomka wszystkich swych ulubionych przodków i świętych.

— Ale po prostu Piotr albo raczej Piotruś na co dzień. — Tęsknie.

Brat Świeca wkrótce potem poszedł. Bicot Hodier towarzyszył mu do bram cytadeli.

— Nie mogę cię odprowadzić aż na dół, bracie. Teraz trzeba będzie stale czuwać przy Tormondzie. Czasami cierpi po zażyciu wywaru Forniera.

— Rozumiem. Znam drogę. Jeszcze nie mam sklerozy. Po prostu pójdę wolniej.

Doskonały nie szedł samotnie. Wkrótce uświadomił sobie, że ma ogon, grupkę łotrów, którzy najwyraźniej nie wyglądali na takich, co sobie chodzą bez celu. Ale wkrótce naszyły ich wątpliwości. Pół tuzina direcjańskich zbrojnych zbiegało truchtem z Metrelieux i przez zupełny przypadek udawali się w tym samym kierunku co on.

— Nie wiem, o co tu chodziło — zwrócił się brat Świeca do Archimbaultów, kiedy wrócili do domu z garbarni.

— To z pewnością zbiry ze Stowarzyszenia — zaryzykował Archimbault. — Porwanie znanego heretyka, brata Świecy, byłoby całkiem niezłym wyczynem.

Doskonały się nie spierał. Archimbault mógł mieć rację. Sposobu rozumowania niektórych ludzi nie można było rozgryźć.

— Może i tak. Muszę znów znaleźć się na szlaku. Zanim zacznę odciągać uwagę wszystkich od najważniejszych spraw.

A był w stanie zrobić to koncertowo.

Po dotarciu do domu i upewnieniu się, że nikt go nie śledzi ani nie podgląda, wyciągnął paczkę, którą podrzucił mu książę Tormond.

Jej zawartość mogła zatrzęść całym Connec.

W środku znajdowała się książęca pieczęć, pierścień jego urzędu oraz relikwia Domina, która była w rodzinie księcia od czasów Imperium. Każdy z tych przedmiotów mógł się znajdować w posiadaniu wyłącznie księcia Khaurene. Były insygniami jego urzędu. W środku były również dokumenty sporządzone drobnym pismem, kopie prawnych aktów potwierdzających, że rodzina Tormonda należy do arystokracji Skraju Connec. Oryginały zostały sporządzone jeszcze w czasach Imperium. Każda kopia była podpisana i opatrzona bezspornymi świadectwami, że pod każdym względem jest to dokładny i prawdziwy odpis dokumentu. Na każdej stronie widniały liczne podpisy religijnych przywódców Khaurene.

Najważniejszy dokument, skarb, który mógł wstrząsnąć światem, zawierał deklarację Tormonda IV, że zgodnie z prawem adoptuje hrabiego Raymone'a Garete z Antieux i czyni go swoim spadkobiercą.

To zirytuje wszystkich. Ludzie od lat kruszyli kopie o tę pozycję. Piotr z Navai przewodził sforze pretendentów. Isabeth była spadkobierczynią Tormonda jedynie przez dziesięć lat.

Adopcja nie była często stosowana od czasów Imperium, kiedy bardziej rozsądni cesarze używali jej, by zapewnić państwu kompetentnego sukcesora. Pozostała jednak ważnym kruczkiem prawnym. Pod warunkiem że można ją było ustanowić bez czyjegoś protestu.

Brat Świeca przyglądał się liście świadków. Każdy z podpisanych cieszył się szacunkiem, może z wyjątkiem biskupa LeCroesa. Ale LeCroes doczekał się rehabilitacji.

Było ich za dużo. Wszyscy prawi, to prawda, powodowani wiernością oraz najlepszymi intencjami, nie było co do tego wątpliwości. Jednak ktoś mógł się zdradzić. Taka już jest natura ludzka. Wieści mogły przeniknąć dalej, jeśli już się to nie stało. Ktoś o wybujałej ambicji i odrobinie łotra w sobie mógł zacząć rozplątywać nici misternego spisku Tormonda.

Dlatego brat Świeca stwierdził, że czas ruszać w drogę, zanim ktoś zacznie podejrzewać, że nieistotny, cieszący się już stanem spoczynku maysalański Doskonały wynosi insygnia władzy z Metrelieux na prośbę Tormonda IV.

Brat Świeca rozważał dopuszczenie Archimbaulta do tajemnicy. Archimbault był duszą dobrą z kośćcami. I miał o Tormondzie o wiele lepsze zdanie niż większość jego poddanych. Ale Archimbault miał własne życie, żonę, rodzinę, pracę i ważną rolę w społeczności. Nie zasługiwał na tak okrutny los.

Archimbault wraz z żoną starał się odwieść Doskonałego od jego planu. Społeczność maysalańska nie chciała się nim dzielić z innymi. Nie lubili brata Czystonia, jedyne go dostępnego Doskonałego.

Identyczne argumenty padały później, podczas wieczornego spotkania. Poszukiwacze bawili się dobrze. Debata stała się uduchowiona. I, jak jeden mąż, utrzymywali, że ich spotkania nigdy nie były takie radosne, kiedy nie uczestniczył w nich nauczający wszystkich Doskonały. Co w domyśle oznaczało również sprawowanie sądów.

Brat Świeca włożył w to wieczorne spotkanie więcej energii niż zwykle. Należało ostrzec Poszukiwaczy przed powrotem mrocznych czasów.

— Nadchodzi dzień próby, który będzie znacznie trudniejszy niż zetknięcie z Naczelnym Wodzem. On był o wiele łagodniejszy, bardziej honorowy niż dowódcy, których przyjdzie wam tu ujrzeć. I ten czas niepokojów, choć straszliwy, trwał tylko kilka miesięcy. Kolejny czas próby może potrwać wiele pokoleń. Aż spłonie ostatni z Poszukiwaczy.

Stowarzyszenie zagustowało w paleniu heretyków.

Tormond nie wspominał o przedłużających się prześladowaniach. Skupił się na najbliższej przyszłości. Ale z każdego jego słowa biła miazdząca wszystko ciemność głębokiej przyszłości.

Brat Świeca zakończył ten wieczór, mówiąc:

— Proszę, obudźcie mnie wcześniej. Chcę znaleźć się na szlaku do Altai, tak by mieć cały dzień na wędrówkę.

Źle się czuł z tym, że ich zwiódł. Co, bez wątpienia, było i tak nieskuteczne. Każdy ścigający, który wiedziałby, co niesie, bez trudu odgadłby, że kieruje się do hrabiego Raymone'a. Wtedy rzeczywiście powinien skierować się do Altai, a potem przez dzikie ostępy na wschód.

Brat Świeca dotarł do najbardziej wysuniętej na północ bramy Khaurene, ale była zamknięta. Kręciło się tu pełno wojska. Na wewnętrznym dziedzińcu rozegrała się krwawa potyczka.

Żołnierze i milicja nie szukali starca przemycającego insygnia władzy. Brat Świeca zbliżył się do Direcjanina, który nie był specjalnie przybity, kiedy zapytał go, co się stało i kiedy otworzą bramę.

— Na zewnątrz są ludzie króla Regarda, Ojczy. Starali się nocą przejąć bramę. Ktoś im pomagał od wewnątrz. Nie udało im się. Ci, co przeżyli, liżą rany, ale nie uszli daleko. Jeśli chcesz wyjść, musisz skorzystać z innej bramy. Nie mogą obserwować ich wszystkich. Tutaj mają wystarczająco dużo zajęcia.

Brat Świeca podziękował żołnierzowi i wycofał się. Wyglądało na to, że oddziały szykują się do wypadu za mury.

Rozbawiło go, że żołnierz nazwał go Ojcem. Choć dla Direcjanina była to oznaka szacunku dla siwych włosów, niekoniecznie tytuł duchownego.

Brat Świeca skierował się ku wschodniej dzielnicy. W stronę jednej z bram, która powinna wypuścić go na szlaki wiodące do Castreresone.

16

Jnne Światy

W Dziedzinie Bogów nie było nocy. Dziewiąty Nieznany stwierdził, że kiedyś być musiała. Aelen Kofer musieli zabraćienne i roczne cykle ze sobą, zostawiając jedynie niezmienną srebrzysto-szarą jednakość.

Ile czasu tu zmitrężył? Nie było tu kamieni milowych. Ani nawet dźwiękowego rytmu zmienionego świata. Skończyła mu się żywność. Poczłł głód. Już wcześniej jelita nie pracowały regularnie. Jego system trawienny nie tolerował żelaznych racji żywnościowych podróżnika.

Przez jakiś czas koncentrował się na tym, by dotrzeć do Fortecy Szarego Nieba bez konieczności przechodzenia przez uszkodzony tęczowy most. Młody wojownik o żelaznej kondycji, zatwardziały w bojach, mógłby się wspiąć po szarym kamieniu. Jeśli nie było pułapek i niebezpieczeństw o wiele mniej oczywistych niż te widoczne dla Februarena z miejsc, do których mogło dotrzeć jego zmęczone ciało.

Musiał przyznać, że lata świetności ma już za sobą.

Może dominujący mógł się tam wspiąć, nie korzystając z mostu. Mógł się zmienić w coś, co z łatwością pokonałoby tę drogę. Ale nie było go tu.

Februaren nie miał nawet cienia pomysłu na otwarcie drogi między światami. Ani drogi ucieczki. Na nic by się też zdało odwołanie się do Konstruktu. Wewnątrz Dziedziny Bogów nie było nawet śladu, że taka powiększająca się struktura istnieje.

Zamknął się w domu bez drzwi.

Nie był całkiem bezsilny. Ale jego umiejętności czarownika mogły mu tylko pomóc oszukać żołądek, który uwierzył, że na razie nie ma nic do roboty.

Nie pokonała go też rozpacz. To był ten „północny rys” w jego charakterze. Nie poddawać się. Walczyć dalej, dopóki się nie pojawią Poszukiwaczki Zaszlachtowanych. Czy też pan śmierci kroczący za pięknymi córkami Szarego.

Wałęsał się po karlim mieście, aż poznał je tak dobrze, jakby się tu urodził. Nie znalazł niczego wartościowego czy interesującego. Aelen Kofer z pewnością zabraliby drewno, zaprawę i kamień, gdyby nie przytłoczyła ich noc i pory roku. Tak ich przedstawiano w mitach i legendach.

W tych starych bajaniach musiało być sporo prawdy. Februaren musiał tylko odkryć jakąś sprzeczność w swojej fragmentarycznej wiedzy o Dawnych Bogach.

Ale w Nocy wszystko było prawdziwe.

Po jakimś czasie zakłęcia nie były w stanie zdławić jego głodu. Wkrótce przestałyby myśleć logicznie i spójnie. Trzeba było wykonać jakiś dramatyczny ruch.

W desperacji skonstruował prymitywną wędkę. Coś pływało w tych oleistych, szarych wodach w porcie. Toń często burzyła się od ruchu pod spodem. Nie miał nic na przynętę. Pożarłby ją już dawno, nie mając nic do jedzenia. Zrobił migoczącą błyskłę, plamiąc ją swoją krwią, po czym ruszył nabrzeżem. Wszedł na przycumowany wrak i zarzucił wędkę z dziobu. Miał nadzieję, że jest lepszym rybakiem niż myśliwym.

Nie miał szczęścia w polowaniu na szczury, wiewiórki i inne okropieństwa oraz ptaki wciąż zamieszkujące Dziedzinę Bogów. Równie wygłodniałe jak on, zażarcie walczyły o przetrwanie, zbyt szybkie dla starego człowieka, który nie przywykł do ciężkiej pracy. Pomyślał, że to być może one polują na niego. Nie pomogła mu nawet magia. Może były uodpornione choćby dlatego, że żyły w nadprzyrodzonym otoczeniu.

Nie spodziewał się, że będzie miał więcej szczęścia z mieszkańcami portu. Ale po kilku minutach poczuł szarpnięcie wędki tak mocne, że było jasne, iż coś tam w dole również poluje. Februaren ciągnął. Podwodny łowca też pociągnął. Starzec zauważył coś na kształt maleńkiego krakena. Kałamarnicę. Jadł je przez całe życie, było to popularne danie w całej Firaldii. Szkoda, że nie ma oliwy z oliwek czy czosnku. Kałamarnica była miniaturowa wyłącznie w porównaniu z krakenami z legend morskich. Ta tutaj ważyła więcej niż Dziewiąty Nieznany. I mogła go też schwytać, jej

macki miały co najmniej cztery metry długości. Nie udało się jej schwytać Februarena tylko dlatego, że miał lepszy punkt podparcia.

Potwór nie chciał dać za wygraną.

Dziewiąty Nieznany był równie uparty.

Macki ślizgały się po krawędzi pomostu. Kałamarnica zaczęła się wynurzać z wody. Odwróciła się, próbując sięgnąć przez barierkę kadłuba. Jej oczy...

Przestraszony Februaren spoglądał na niemal ludzką twarz zmarszczoną w desperackim wysiłku. Były to inteligentne, lecz oszalałe z głodu ślepia.

Kałamarnica puściła się nabrzeża, chcąc przewrócić Februarena samym swoim ciężarem. Potknął się co prawda, ale nie przeleciał przez barierkę. Zobaczył jednak sięgające ku niemu macki. Woda się nagle wzburzyła i wychynęły z niej trzy niemal ludzkie głowy, za nimi ramiona i tułowia wraz z bronią. Krótkie harpuny w przypominających ludzkie dłoniach zagłębiły się w nieosłonięty kark potwora.

Februaren puścił swój sprzęt wędkarski. Najwyższy czas, by również zejść z wraku. Po drodze obserwował walkę. Ludzie morza byli wycieńczeni z głodu, słabi, ale była ich trójka, a potwór jeden. Dziewiąty Nieznany wiedział, jaki będzie wynik tego starcia: kraken będzie miał ucztę.

Kiedy dopadł nabrzeża, resztką sił uderzył w potwora zakłębieniem mającym go sparaliżować. Ludzkie ciało potrafiło unieruchomić na wiele godzin. Ten kraken jednak miał niewiele wspólnego z człowieczeństwem. Ale zaczął się ruszać jak mucha w smole.

Februaren się przewrócił. Runął na ziemię, mając jeszcze na tyle przytomności, by upaść jak najdalej od morskiej toni.

Ktoś śpiewał. Daleko, dość niesamowitym głosem. Słowa były Clovenowi obce, choć melodia znana. To pieśń miłosna, śpiewana po raz pierwszy w dialekcie zachodniego Connec sto lat temu. Februaren przypomniał sobie, jak w takt refrenu obłapiał jakąś mieszkankę Khaurene.

Poczuł mocny rybi zapach.

Leżał tak, jak padł, z prawym policzkiem mocno przyciśniętym do zimnego, mokrego kamienia i dłońmi piekącymi od otarć. Otworzył powiekę najbliższej podłóża. To, co zobaczył, tak go przestraszyło, że niewiele brakowało, aby znów zemdlął.

O półtora metra od niego, patrząc mu prosto w twarz, siedziała po turecku młoda kobieta, uśmiechając się przy pracy. Nie miała na sobie niczego więcej niż w chwili narodzin.

Gdyby miał trochę siły, odwróciłby się. Może dziewczyna była wyzuta z poczucia przyzwoitości, ale on swoją posiadał, nawet po tylu przeżytych latach. Był jednak zbyt słaby, padł więc tylko na płask i wydawał dźwięki, których sam nie rozumiał.

Pieśń przeszła w bulgoczący śmiech.

Syrena klęknęła, ściągając kolana. Wyciągnęła dłoń i podała mu coś. Rybi smród nasilił się jeszcze.

— Jedz!

Wygramoliwszy się do pozycji siedzącej, Februaren zobaczył, że wycina mięso z macki. Był zbyt głodny, by przejmować się tym, czym wcześniej był ten kawałek ciała. Ani też jak paskudnie śmierdział.

Wkrótce żołądek mu się zbuntuje. Postąpił jednak stosownie do okoliczności. Rzucił się najedzenie.

— Zostałam... wysłana... by pilnować — usłyszał. — Mamy dług. Twoje zaklęcie ocaliło... wiele istnień. — Najwyraźniej dziewczyna odzwyczaiła się od ludzkiej mowy. Ale szybko się rozgrzewała.

Tę część wiedzy, jaką Cloven Februaren posiadał na temat ludzi morza, zdobył z książek. Mogli zmieniać kształt i chodzić wśród ludzi, ale tylko przez chwilę. Jedynie w nadzwyczajnych okolicznościach potrafili się zdobyć na zniesienie bólu niezbędnego do wykształcenia nóg. Przemiana w tym wypadku była odwzorowaniem idealnym. I syrena celowo to ukazywała.

— Nie jedz za dużo — ostrzegła go. — Małe kęsy. Żuj, długo. Bo zachorujesz. Jak będziesz silniejszy, rozpal ogień. Gotuj.

Mówiła dialektem północnego Imperium Graala. Tym, który tak dobrze znał w młodości, ale od wieku go nie słyszał. Gestem poprosił ją, by mówiła wolniej. On również skorzystał z jej rady i zwolnił tempo jedzenia.

Zacinała się, robiąc przemy między słowami i zdaniem, rozdzielając je, ale nie odezwała się w zwyczajnym tempie.

— Nie jesteś jedynym czarownikiem. Ale jesteś tym, który miał właściwe zaklęcie.

Surowy kraken stracił pierwotny czar. Februaren podejrzewał, że to jego własne ciało nakazało mu przestać jeść. Próbował się więc skupić na

dziewczynie, unikając spuszczenia wzroku.

Siedziała tam, cudownie wyposażona przez naturę, z brodą opartą na dłoni.

Podejrzewał, że wybrano ją, by przemówiła w imieniu syren, właśnie ze względu na cudowną zdolność odwracania uwagi.

— Myślisz, że nakarmiliśmy cię z wdzięczności za twoją pomoc. W lepszych czasach byłaby to prawda. Jesteśmy pokojowym, gościnnym ludem. Ale syrenom uwięzionym tutaj odebrano ten luksus. Dlatego karmimy cię, inwestując w nasze przetrwanie. Masz nogi. Możesz pójść tam, gdzie nawet największy syreni bohater nie zdoła przeżyć. — Widząc, jak marszczy czoło, dodała: — Nie mogę odejść daleko od wody. Muszę do niej co chwila wracać, by się zmoczyć. Proszę, opowiedz swoją historię.

Delikatne pluski za plecami podpowiedziały Febmarenowi, że ma audytorium większe niż tylko ta zmiennokształtna dziewczyna.

Lwia część jego opowieści była prawdziwa. I nie kłamał bez potrzeby.

— Chcemy tego samego — odezwała się dziewczyna. — Otwarcia drogi. Inaczej wszyscy umrzemy. A ludzie pójda naszym śladem. Chyba że...

— Tak...?

— Jesteśmy na łasce i niełasce Aelen Kofer. Jedynie krasnoludy mogą otworzyć przejście. Tylko oni potrafią przebudować tęczyowy most. Jedynie Aelen Kofer mogą ocalić Tba Mer. I...

Dziewczyna wyraźnie chciała, by się dopytywał.

— Tak?

— Jedynie ty możesz pójść tam, dokąd poszli Aelen Kofer. Jedynie ty masz nogi, by przeżyć podróż poza wodą. Jedynie ludzkie usta są w stanie wypowiedzieć magiczne słowo, które zmusi Aelen Kofer do wysłuchania żądania.

— Magiczne słowo? Jakie magiczne słowo? — Pospieszne poszukiwania wśród północnych mitów nie przyniosły rezultatu. — Rumpelszyk?

— Nie! Wywołaj imię jednego z tych, których imienia nie ważymy się wymówić. Tego, którego nazwaliście w waszej opowieści.

— No dobra. — Musiał się nad tym zastanowić. Pewnie chodziło o Ordnana, którego imię nie było wymawiane, choć każdy je znał. Ale Szary Piechur zniknął. Nazwany czy nienazwany nie miał już mocy. Jak taki bóg miałby zmusić Aelen Kofer do czegokolwiek?

— Ale ja nie mogę nigdzie pójść, jestem tu zamknięty.

— Jedynie środkowy świat, twój i mój, odrzuca nas. Aelen Kofer poszli w dół, do swego królestwa.

— W dół? Wydawało mi się, że odpłynęli na pokładzie złotej barki bogów.

— Nie. Barka stoi za tobą. Byłeś na niej. Łączy się z tym światem, ale krasnoludy zeszyły z powrotem do świata, w którym Dawni Bogowie wezwali ich o wielkim świcie swej mocy. W czasach, kiedy byli Nowymi Złotymi Bogami.

Dziewczyna zamilkła. Staruszek był zadowolony. Miał czas się zastanowić nad tym, co starała się powiedzieć.

Była cierpliwa. Podobnie jak syreni lud w wodzie za plecami Februarena.

— Nie znam opowieści tego świata zbyt dobrze. Jak można przejść stąd do świata krasnoludów?

Odpowiedź była z gruntu absurdalna. I wyjaśniała, dlaczego ktoś mógłby pomyśleć, że krasnoludy odpłynęły na barce.

Znajomość różnych opowieści podpowiadała mu, że większość z nich opiera się na absurdach łatwo dostrzeganych z zewnątrz. A mimo to każda z nich była prawdziwa za sprawą Nocy. Gdzieś tam. W jakimś czasie. Przynajmniej jego części.

Tuzin Delegatur o dziwacznej prastarej naturze pojawiło się ostatnio we wskrzeszonej postaci na ziemi. Przyszedł tu, by szukać pomocy w starciu z najgorszym z całego miotu.

Niemal poczuł lodowaty oddech Wędrowca Wiatru na plecach.

Absurd. Ale prawdziwy. Februaren wszedł ponownie na pokład butwiejącego statku. Ostrożnie, z obawą, że drabiny złożą się pod jego niewielkim ciężarem. Ale czas nie pospieszył na spotkanie jego lęków.

Statek nie był duży, wystawał jedynie metr nad nabrzeżem. Februaren wątpił, żeby wyładowany po brzegi mógł się szybko poruszać. Główny pokład znajdował się o dwa metry od poziomu wody. Kadłub był krótki, szeroki i obojętny, jak jedna z jego pierwszych żon. Nie był dostatecznie oburzony jego obecnością, by zareagować. Bez względu na to czy był magiczny, czy nie.

Statek miał inne wymiary wewnątrz niż na zewnątrz, co nie było żadnym zaskoczeniem dla Dziewiątego Nieznanego. Przestrzeń musiała zadowolić jedynie Wolę Nocy.

Jedyny pokład poniżej głównego był zarazem dnem luku bagażowego, luźnego ozebrowania na krzyżowych wręgach skrywających luki balastowe, zęzy i kil. Połowa statku przypominała wielką, pustą skrzynię, która cuchnęła, dawno nieszorowana.

Ładownię można było sprawdzić z góry, po prostu odkrywając właz. Wyglądała na dostępną jedynie przez włazy na dziobie i rufie. Februaren musiał wypełnić instrukcje. Syrena poleciała, żeby wszedł przez rufę, omijając kabinę kapitana.

Główne kwatery znajdowały się na poziomie pokładu, za prowizoryczną kuchnią. Februaren przetrząsnął je, ale znalazł tylko kilka zardzewiałych noży i hebanowo czarny szpikulec marlina — pewnie jakaś pamiątka — zbyt ciężki, by można go było użyć jako narzędzia.

Cloven zszedł po stromych schodach, zwanych przez marynarzy drabiną. Były tam kajuty oficerskie dla dwóch, trzech osób, tak niskie, że nawet karzeł musiał się schylać. Ile tu jeszcze utrudnień dla marynarzy? Czy w ogóle był tu kawałek ściany, by mogli rozwiesić hamaki?

Czy w ogóle była tu jakaś prawdziwa załoga? Czy bogowie potrzebowali załogi?

Z góry, przez cienkie szczeliny w kadłubie, sączyło się światło. Nie ukazywało niczego ciekawego — pokłady kurzu i pajęczyny, z których pająki zostały dawno zjedzone przez szczury i myszy, a te dawno już opuściły statek.

Miał iść cały czas w dół. Zszedł na kolejny zagracony pokład, gdzie najpewniej trzymano zapasy żywności i słodkiej wody. Potem znów w dół i jeszcze raz. Liczył stopnie i wiedział, że znajduje się pięć metrów poniżej dna statku, kiedy skończyły mu się drabiny. Było tu nie mniej światła niż wyżej — rozlewało się wokół i przeciekało przez nieoheblowane deski surowego włazu, który teoretycznie powinien się otwierać na luk bagażowy, ale przecież nie mógł, bo musiałby znajdować się pod dnem portu.

Zbutwiały rzemień skobla pękł, kiedy za niego pociągnął. Dlaczego go tu zostawiono? Czyżby ktoś się spóźnił? A może nie miało to w ogóle żadnego znaczenia?

Wsunął najcieńsze ostrze noża przez szczelinę i uniósł skobel, tak kruchy, że pękłby, gdyby Februaren pchnął mocno drzwi.

— Właz — napomniał się, przechodząc ostrożnie na drugą stronę.

Marynarze nazywali drzwi włazami.

Za przejściem nie było ładowni statku. Zobaczył olbrzymią łąkę latem, na którą jednak promienie słońca bezpośrednio nie padały. Po obu stronach łąki wznosiły się niezbyt gęsto zadrzewione wzgórza. Góry były bardziej strome niż Jago i wyłaniały się za nimi, wszędzie dookoła. Miały odcień ciemnego indygo przemieszanego z szarością, szczyty zaś pokrywały białe czapy śniegu.

Cloven Februaren zatrzymał się we włączu, rozejrzał się i wycofał. Otworzył kiwające się drzwi na oścież i jednym z zagarniętych noży zakleszczył je tak, by nie mogły się same zamknąć. Wziął luźną deskę pokrywającą zęzy i wsunął ją na ćwierć długości do światła krasnoludów. Dopiero wtedy zrobił krok do środka.

Zdjął z ramienia torbę, wyjął zapasową koszulę i przymocował ją do końca deski, wbijając w nią kolejny zabrany nóż. Pognieciona, brudna żółta szmata przymocowana do deski wystawała z plamy czerni, której oko nie było w stanie umiejscowić i której nie można było odnaleźć bez znajomości odpowiedniego zakłęcia-teraz dopiero pozwolił, żeby włącz się zamknął.

Nie znalazł nic lepszego niż kilka kamieni i przerzucił je na drugą stronę, by wzmocnić powiązanie między światami. Potem ruszył wolno pod górę, w stronę stojącego na straży o sto metrów dalej kamienia.

Z każdym krokiem znikwały ślady szarości. Świat wokół nabierał bladych barw. Był to świat pastelii, już wyraźnie widoczny, kiedy starzec zatrzymał się przed postawionym na sztorc kamieniem.

Menhir pokrywały runy krasnoludów. Bogowie wypożyczyli je im, a potem podarowali je dzieciom ludzi, by mogli zapisywać swoje modlitwy. Cloven Februaren wpatrywał się w trzy runy wypisane na jego lewej dłoni, po czym odnalazł ten sam wzór na kamiennej powierzchni. Wodził po wszystkich trzech palcem wskazującym prawej dłoni, wymawiając ich nazwy. Bardzo uważał, żeby się nie pomylić.

Powietrze zadrżało, drgnęło i napało na Dziewiątego Nieznanego. Skręciło się. Nagle przestrzeń między nim i kamieniem wypełnił stary, owłosiony i zaskoczony Aelen Kofer, który pocierał i mrużył oczy, pocierał i mrużył, kilkakrotnie. Nie chciał uwierzyć w to, co widział.

— Potrzebni są Aelen Kofer — rzekł Februaren. — Mówił w języku, którym rozmawiał z syreną. Zapewniano go, że krasnoludy go rozumieją.

Jeśli dobrze pamiętał z mitologii, Aelen Kofer rozumieliby każdy język, w którym by się do nich zwrócił.

Krasnolud łapał powietrze, filtrując je przez brodę. Bez wątplenia miał ją od czasów, kiedy pierwsi ludzie użyli kijów jako narzędzi.

— Syn człowieczy! — wykrztusił i wydał dźwięk, który z całą pewnością był najgorszym przekleństwem pod słońcem.

— Kharoulke Wędrowiec Wiatru się przebudził i jest na wolności. Świat śródziemia pokryje się lodem. Potrzeba nam Aelen Kofer.

Przedwieczny wyglądał, jakby ktoś okładał go niewidzialną szuflą.

— Oprócz Wędrowca Wiatru przebudzili się też inni. Nie można ich ponownie spętać.

— Zamilknij!

Jedno słowo wypowiedziane z tak ciężkim akcentem, że Februaren ledwo zrozumiał.

— Nie... odzywaj się... więcej.

Dziewiąty Nieznany czekał, czując wyraźnie świat wokół siebie.

Dziedzina krasnoludów była nasiąknięta magią, taką jak śródziemie w czasach starożytnych. Jego Studnie Mocy muszą się aż gotować, tryskać magicznymi strumieniami. Jednak moc świata krasnoludów była nieco odmienna. Februaren chwycił się jej, lecz ona wyciekła z uścisku czarownika niczym żywe srebro pomiędzy zimnymi, zeszywniałymi palcami.

— Synu człowieczy. Stoisz przed Korbanem Żelaznookim.

Februaren usłyszał „Żelaznooki”. Dopiero po chwili skojarzył to miano z Khor-Ben Jarneym Gjoressonem, synem króla krasnoludów z gminnej sagi ludów północy. Miał on wykonać kilka pierścieni, mieczy i młotów dla różnych bogów i herosów.

Februaren pohamował chęć powiedzenia Żelaznookiemu, że choć jest starszy, niż się spodziewał, to nie wygląda na swoje lata. Ostatnio jego słynne poczucie humoru szwankowało.

— Cloven Februaren, Dziewiąty Nieznany z Kolegium w Brothe. Potrzebujemy Aelen Kofer.

Krasnolud mruknął coś. Musiał się chwilę zastanowić.

Februaren poczuł rosnące przerażenie. Nie potrwa to krótko. Krasnoludy nie były nieśmiertelne, ale ich życie ciągnęło się aż do początków pamięci. Nie wiedzieli, co to pośpiech. Zerknął do tyłu. Drzwi były wciąż widoczne. Świat dalej nabierał barw, a może też jego wzrok zaczynał się przyzwyczajać.

Korban Żelaznooki odwrócił się do kamienia. Zaczął coś mówić do niego niespiesznie, oparł dłonie na kolejnych runach, po kolei wypowiadając ich nazwy.

Rzeczywistość zadrżała. Bezgłośny grzmot. Chwila, w której zetknęły się wszystkie błyskawice ciemności. I chwila potem, kiedy starcy Aelen Kofer dołączyli do swego Księcia Korony. Włącznie z przedwiecznym Gjore'em. Nikt się nie odzywał. Wszyscy patrzyli na intruza.

I to miała być duma i chwała Aelen Kofer?

Dawni Bogowie musieli podjąć pewne kroki, żeby upewnić się, że nie padną w osamotnieniu.

Krasnoludy rozmawiały między sobą. Februaren usłyszał, jak kilkakrotnie wymieniano imię Wędrowca Wiatru.

Żelaznooki spojrział na niego.

— Synu człowieczy. Mówisz, że potrzeba wam Aelen Kofer. Odkryj pełnię prawdy, jeśli chcesz, by twa arogancja poszła w zapomnienie. Czego chcesz? Co zamierzasz zrobić? Jak znalazłeś drogę do naszego świata?

Februaren wszystko powiedział. Bez łągarstw. Bez owijania w bawełnę. Nie przyznając się, jak potężny był w śródziemiu. Aelen Kofer z mitów posiadali mistyczny róg, który odzywał się za każdym razem, kiedy słyszał kłamstwo. Nie było widać żadnego rogu w pobliżu. Ale z całą pewnością gdzieś tu był.

Aelen Kofer rozpoczęli debatę.

Język nie zamaskował dyskusji. Wyłoniły się dwa punkty widzenia. Sprawa stała na ostrzu noża.

Jedna strona nie zamierzała robić niczego. Dziedzina Bogów nic nie znaczyła dla Aelen Kofer. Niech sobie Wędrowiec Wiatru poczyna, jak chce, w śródziemiu. Niech oba te światy szczeną, skoro taki im los pisany. Los ludzi — i uwięzionych syren — nic nie obchodził Aelen Kofer.

Przeciwnicy tego stanowiska utrzymywali, że świat krasnoludów zaczyna blaknąć. Na swój sposób konał. I sprawca kresu światów obocznych, Kharoulke Wędrowiec Wiatru, był najohydniejszą, najpaskudniejszą i do tego pradawną kreaturą, wrogiem Aelen Kofer. Którzy byli na tyle przebiegli, że uwięzili go, dawno temu. I nadejdzie czas, że ruszy na Aelen Kofer. I nadejdzie czas, że sam Pan Dziewięciu Światów to uczyni. Chyba że ktoś go powstrzyma.

Februaren nadstawił ucha. Dziewięć Światów? Rzeczywistość wykraczała daleko poza mit. No i jak, do diabła, udaje mu się przysłuchiwać tej debacie? Jeszcze kilka minut temu w ogóle nie znał ani jednego słowa w krasnoludzkim.

Magia.

Ktoś mógł powiedzieć: „Magia”, wzruszyć ramionami i odejść. Jeden tylko Dziewiąty Nieznany od razu zaczął kombinować, chcąc się dowiedzieć, jak to się stało i dlaczego.

Debata wybuchła z nową siłą. Krasnoludzka starszyzna utrzymywała ją w dziwacznej równowadze na granicy przemocy fizycznej. Cloven Februaren zastanawiał się, co mogło pójść nie tak. Przywoływał z pamięci wszystkie informacje na temat sag Aelen Kofer.

— Oho!

Tkwiał w środku typowej opowieści. I historia tego rodzaju — nie tylko ta utrzymana w tradycji północy — nakazywała głównemu bohaterowi wypełniać rozmaite zadania. Jeśli motyw ten obowiązywał i tu, krasnoludy zgodzą się pomóc, ale tylko jeśli uda się do krainy olbrzymów i ukradnie coś, co tylko syn człowieczy będzie w stanie unieść. Ale zanim to zrobi, będzie musiał podwędzić coś z krainy elfów, żeby sobie otworzyć drogę. I cokolwiek to będzie, może być okiełznane jedynie przez kogoś, kogo wrzucono do lodowatych wód piekła... A kiedy wróci do domu, dadzą mu za żonę królową, a stary monarcha abdykuje na jego rzecz.

Nie ma co, było na co czekać. Jeśli oczywiście dożyje tego wszystkiego.

Zwolennicy niepodejmowania działań mieli dobry argument. Z ratowaniem świata była kupa roboty.

— Postanowiono — oznajmił Żelaznooki. — Osiągnięto kompromis. Ci, którzy uważają, że Aelen Kofer powinni zareagować na prośbę, mogą to uczynić. Wici rozesłano. Ci, którzy nie są zainteresowani, zostaną i zapomną, żeś kiedykolwiek wpełzł do tego świata. Pozostali dołączą do ciebie w Dziedzinie Bogów.

Żelaznooki nie wspomniał o potrzebie posiadania talizmanu z Krainy poza Świtem. Februaren postanowił również nie podnosić tej kwestii. Żelaznooki stwierdził:

— Organizacja ekspedycji się rozpoczęła.

— Wyśmienicie. Tymczasem, czy mógłbym dostać coś na ząb?

Minęło trochę czasu. Kraken mu się już nie odbijał. A opowiadanie wszystkiego ze szczegółami zaostriżyło mu apetyt.

— Oczywiście.

Żelaznooki dotknął kamienia, poklepując go i pogwizdując. Zniknął z głośnym *puk!*, a kępa brody poszybowała w stronę wydeptanej trawy. Cloven Februaren przysunął się bliżej menhiru. Musiał mieć coś wspólnego z Konstruktem.

Krasnoludy zaczęły wracać — odziane i wyposażone jak na wojnę. Nie po wojowników przybył tu Februaren. Potrzeba mu było inżynierów magii. Mistrzów w swym fachu. Nie łamaczy kości i kamienia.

Cóż, może przybyli wyposażeni w jakieś mistyczne narzędzia. Trudno powiedzieć. Każdy z nich obładowany był bagażem większym od niego.

Czy powinien rozpaczać? Te krasnoludy były najstarsze ze starych. Najbardziej siwe i włochate z nader siwych i włochatych.

Żelaznooki wrócił z dwiema torbami. Tę mizerną podarował Februarenowi.

— Dla ciebie.

— Czy słyszałeś, kiedy mówiłem, że mam ponad dwieście lat? — Waga przygięła staruszka do ziemi.

— Mleko masz pod nosem.

— To bardzo poważny wiek jak na człowieka. A skoro już mówimy o wieku, to dlaczego zgłaszają się tylko same dziadki?

— To Aelen Kofer, którzy uważają, że mamy problem. Pamiętają Wędrowca Wiatru i jego braci. Najmłodszym wydaje się, że starsi przesadzają. Tak jak ze wszystkim. Czasy zawsze były trudniejsze. Tak czy inaczej, niektórzy myślą, że z Wędrowcem Wiatru postąpiono okrutnie. Nie próbowaliśmy dostatecznie dokładnie przedyskutować wszystkiego, zanim uciekliśmy się do przemocy.

Cloven Februaren dotknął brody, by się upewnić, że szczeka mu nie opada. Aelen Kofer byli niemal nieśmiertelni. Jak może osoba racjonalna, która przeżyła więcej niż dwie dekady, myśleć w ten sposób? Pomysł na konferencję pokojową z udziałem Kharoulke wiązałyby się z pożarciem delegatów wysłanych przez drugą stronę. Propozycja negocjacji równała się oświadczeniu, że druga strona właściwie pogodziła się z porażką. Że chce wymigać się od surowych jej konsekwencji.

Przy Delegaturach takich jak Wędrowiec Wiatru nie było dyskusji. Proponował zwycięstwo lub całkowite wytrzebiecie. Noc nie uznawała półśrodków.

— Nie bądź taki zaskoczony, synu człowieczy. Wasz szczerp nie ma wyłączności na produkcję głupców. Ta przygoda będzie ciężka — Żelaznooki zmienił temat. — Musimy pokonać odległość między światami na piechotę. Żadnych tam ośmionogich rumaków. Żadnej przemiany w jastrzębie czy orły. Nie ma wystarczającej mocy na to. Po prawdzie, synu człowieczy, jestem zaskoczony, że Dziedzina Bogów przetrwała tak długo, jak mówisz. Powinna znajdować się dalej na ścieżce ku unicestwieniu.

Na koniec krasnolud pogrążył się w nagłym przypiływie mrocznych podejrzeń.

— Marnujemy czas — stwierdził Februaren. Zaczął schodzić w stronę zacienionej niepewności drzwi.

Tak w ogóle wyjście ze statku nie trwało długo. Pod względem fizycznym było to spore wyzwanie dla Clovena Februarena, który był słaby i nienawykły do ciężkiej pracy. Czuł każdy krzyżyk na swym karku, kiedy padł jak nieżywy na głównym pokładzie statku.

Niektórzy Aelen Kofer byli równie wyczerpani z powodu konieczności targania tak ciężkich bagaży. Ci bardziej dziarscy podeszli do relingu i zaczęli wzywać syreni lud. W większości taszczyli na górę jedzenie.

Żelaznooki powiedział syrenom, że muszą odnaleźć spiny otaczające bramę do śródziemia. Aelen Kofer tego nie potrafili.

Lud morza wykazał ograniczone zainteresowanie całą sprawą. Po posiłku zaczęli się nieco zwawiej poruszać. Zrozumiałe.

Februaren przypomniał im, że na Aelen Kofer nie spoczywa obowiązek ponownego ich nakarmienia. I zwerbowanie do pomocy krasnoludów to był ich pomysł. Muszą sami pomóc się uratować.

Wtedy syreny oznajmiły, że nie mają ochoty odejść z terenów, które uważały za bezpieczne. Zabity kraken nie był ostatnim przedstawicielem swego gatunku. Polował tam też biały rekin. Nie tak dawno pojawiły się młode w jego stadle. Te najprawdopodobniej pożarło coś innego.

Mniejsze formy życia, prymitywne istoty zdolne zakopywać się głęboko w dennym mule, dawno już zostały wyłapanie. Pozostały tylko drapieźniki z górnych warstw morza, łypiące na siebie wzajem i wyczekujące okazji.

Było sześciu ludzi morza. Czterech mężczyzn, którzy zostali uwięzieni w kwiecie wieku, kobieta, która zmieniała kształt, oraz niezwykle mocno chroniona dziewczynka. Gdyby należała do rodzaju ludzkiego, Februaren stwierdziłby, że ma cztery lata.

— Zostało bardzo niewiele magii — powiedział Korban Jarneyn. — Musimy używać jej bardzo ostrożnie. Otwarcie bramy pozbawi jej nas całkowicie.

— A jaka ma być duża ta dziura? Mój współpracownik na zewnątrz może się przedrzeć na drugą stronę, jeśli będzie musiał.

— Im większa dziura, tym więcej magii będziemy mogli wciągnąć.

Aelen Kofer mieli nadzieję schwytać końcówkę wybuchu mocy w Morzu Andorayańskim. Żaden, co zauważył Februaren, nie zaproponował dotarcia do bardziej dostępnej magii z ich świata.

— Czy mała dziura pozwoli wam ściągnąć moc, by ją powiększyć?

— Jeśli znajdziemy spoiny, będziemy mogli wybić dziurę dowolnych rozmiarów.

Żelaznooki rzucił gniewne spojrzenie na bojaźliwe syreny. Popatrzył na spowity chmurami szczyt góry. Większość Aelen Kofer poszła oglądać tęczowy most.

— Zabezpieczcie syreny — rzekł Februaren. — Nawet jeśli po tym pozostanie wam jedynie moc wystarczająca na przewiercenie dziury wielkości palca.

Żelaznooki się skrzywił. Mruknął coś. Skinął głową tylko raz, bardzo energicznie.

— Alternatywą jest porażka bez walki.

I tego, oczywiście, nie można było znieść. Chodziło przede wszystkim o walkę. Bitwę bez nadziei, lecz jednak bitwę, i to dobrą. Tam wyłaniała się nieśmiertelność.

Korban zebrał pół tuzina krasnoludów. Utworzyli okrąg, stojąc twarzami do siebie — wszyscy z wyjątkiem samego Gjoressona. On patrzył w stronę portu.

Syreny zaczęły wydawać odgłosy przerażenia. Wciskały się w ciasną przestrzeń między statkiem a nabrzeżem. Zawodziły, czekając tylko, aż coś je stamtąd wyłuska.

W odległości stu metrów zaczęła ciąć fale rekinia płetwa. Kierowała się wprost na krasnoludów.

Coś zakotłowało muł, który wzbił się aż do powierzchni wody przy nabrzeżu. Po chwili pojawiły się macki. Cloven Februaren ściągnął myślą Aelen Kofer. To spowodowało, że cała uwaga krakena skupiła się na nim.

Aelen Kofer grali na straszliwym głodzie potworów z portu.

Kraken nie miał okazji skosztować Dziewiątego Nieznanego.

Pojawił się rekin. Nabrzeże zadrżało od jego uderzenia. Potem zmaterializował się kolejny kraken i rzucił w śmiertelną walkę.

Zadowoleni Aelen Kofer przerwali krąg.

— To lepsze niż walki kogutów — zauważył Gjoresson. — Synu człowieczy, zapytaj syreny, czy są tu jeszcze jakieś inne potwory w okolicy.

Odpowiedź brzmiała, że nie ma więcej zagrożeń.

Rekin rozszarpał pierwszego krakena na strzępy. Ale drugi chwycił się go i przyczepił, z dala od siejących śmierć szczęk. Miał na tyle ostry dziób, by przeciąć rekinia skórę. Krew rekina i ichor krakena wypełniły wodę.

— Jeśli jest tam coś jeszcze, to z pewnością to go tu ściągnie — zauważył Februaren.

— Te krakeny są równie inteligentne jak my — zaczął biadać Żelaznooki. — Ale ich umysły są bardziej obce, niż jesteś sobie w stanie to wyobrazić. Zostały stworzone przez Oszusta. Przypadkowo. To koszmarnie długa opowieść o olbrzymach, chowie wsobnym i nieudanej zemście. Krakeny nienawidzą Starożytnych tym bardziej zazarcie, że nic nie mogły na to poradzić.

— Uch...

— Synów człowieczych nienawidzą równie mocno. Ich pramatka była śmiertelniczką zaadoptowaną przez Oszusta. To ostatnie z nich. Chyba że któreś uciekły do śródziemia, kiedy szlak był wciąż otwarty.

Krakeny na świecie były o wiele większe niż te. Te nie mogły wciągnąć pod wodę niczego większego niż łódka z wikliny.

— Zamknięcie szlaku powinno też wywindować Aelen Kofer na ich czarnej liście.

— O tak, na sam szczyt.

— Noc czyni wszelkie zło możliwym i co więcej, bardzo prawdopodobnym — mruknął Februaren.

Rekin obracał się w wodzie, rzucał się i zaczął wydawać jakieś dźwięki. Trwało to kilkanaście minut. Nagle ryba morderca rzuciła się tak

gwałtownie, że na chwilę wyskoczyła cała z wody. Skręciła się i wpadła do wody z krakenem pod spodem. Oszołomiony potwór zwolnił uchwyt.

— No to już po zabawie — stwierdził Żelaznooki. — Rekin wykończy krakena, po czym wykrwawi się na śmierć.

Dał znak swoim towarzyszom.

Krasnoludy weszły na pokład statku i zaczęły ściągać zbutwiałe liny cumownicze. Syreny gwałtownie zaprotestowały. Walka wciąż toczyła się w porcie. Kraken musiał zaatakować i trzymać się, jeśli chciał przeżyć. Nie mógł po prostu uciec.

Krasnoludy wyciągnęły skądś wiosła.

— Aelen Kofer zbudowali tę łajbę — wyjaśnił Gjoresson. — Przy użyciu całego naszego kunsztu. Jest zupełnie inna, niż się wydaje. Choć powinieneś ją widzieć, kiedy była nowa i magia była wszędzie. Wystarczyło jej powiedzieć, w jaki statek ma się zmienić i dokąd płynąć. Nie trzeba było machać wiosłami.

W ostatnich podrygach rekin wpadł na burtę statku, łamiąc wiosła i wybijając dziurę na poziomie wody. Wiosła można było wymienić. Februaren i Korban zeszli na dół, by załatać dziurę.

Rekin przestał się miotać. Dwóch ludzi morza odważyło się poszukać portalu do śródziemia, co zajęło im ledwo kilka minut. Teraz pojawił się problem znalezienia dogodnego miejsca do przebicia się na drugą stronę.

Wtedy Februarena i Żelaznookiego zastąpili ci, których już nie potrzebowano przy wiosłach. Gjoresson cały czas konsultował wszystko z syrenami. W końcu, na stronie, powiedział do Dziewiątego Nieznanego:

— Widzę już zarysy. Ale nie ma tu żadnych słabych odcinków. Za dawnych czasów wykonaliśmy kawał dobrej roboty.

Za dawnych czasów? Przecież to było ledwo kilka lat temu.

— Otworzymy przejście, jak dalece się da, i mam nadzieję, że nam wystarczy magii. — Żelaznooki wyszczerzył zęby w uśmiechu pod gęstą brodą. — A jak się nam nie uda, to możesz się osiedlić w naszym świecie. Moja stryjeczna wnuczka byłaby zafascynowana ludzkim czarownikiem.

— Jeśli będzie taka konieczność. — Nie zamierzał jednak się zagłębiać w niepewną przyszłość. Zaczął natomiast rozważać inną metodę ataku.

W sagach świat krasnoludów miał własne powiązania ze światem środka. Może dałoby się ściągnąć dominującego do Dziedziny Bogów okrężną drogą.

Jak Korban Jarneyn ustosunkuje się do takich propozycji? Może jego wnuczka zechce się pobawić z nowo stworzoną Delegaturą.

Februaren się rozejrzył. Krasnoludy spod góry wróciły do portu niespecjalnie rozradowane.

Gjoresson był skupiony na wrotach. Zebrał swych towarzyszy, mrucał coś do nich, a potem cała paczka wykrzesła z siebie coś bezkształtnego. Wskazali temu czemuś portal w miejscu, gdzie stykał się z wodami śmierci.

Rubinowy punkcik ognia ożył.

Februaren przyglądał się temu. Jego oczy nie rozróżniały granic świata. Port i niebo zdawały się na siebie nachodzić. Jednak fale wywołane przez statek zaczęły chlupotać o coś po prawej stronie, tam gdzie świecił czerwony punkcik. W oddali krążyły morskie ptaki na łowach, ale się nie zbliżały. Najwyraźniej nie widziały ani barki, ani portu.

Krasnoludy rozeszły się. Większość wróciła do wiosła. Statek, kołysząc się na boki, wracał do nabrzeża.

— Potrzebuję pomocy — powiedział Żelaznooki. — Szczególnie od tych, którzy wtedy, dawno temu, zamknęli przejście.

Ciekawe. Gjoresson wciąż mówił o tamtych wydarzeniach, jakby miały miejsce w zamierzchłej przeszłości.

Łajba wystarczająco długo przytuliła się do nabrzeża, by pozostali Aelen Kofer mogli wejść na pokład. Krasnoludy to srogi szczep, ale ta banda była wyjątkowo małowówna i posepna. Kilku mruknięto coś do Żelaznookiego, kiedy krypa sunęła przez port. W końcu Korban zwrócił się do Februarena:

— Most można naprawić. Nie zapomnieliśmy tajemnic budowy z tęczy. Ale zajmie to dużo czasu i będzie wymagało mnóstwa magii. Będziemy musieli ściągnąć ją ze śródziemia. Lecz nawet jeśli uda się naprawić most, być może nie da rady uwolnić Dawnych Bogów.

— Jak to?

— Ponieważ splątane, wiążące ich zaklęcia zostały tak sporządzone, że tylko jeden z Dawnych Bogów albo ktoś z jego krwi będzie mógł przeprowadzić pasaż przez magiczne zamknięcie. Twój bezduszny musi być geniuszem. Skąd to wiedział? Czy w ogóle wiedział? Skuteczniej ich uwięził niż oni złych bogów, których strącili z piedestału. Nikt nie musi tu trwać, by wzmacniać zaklęcia. Jestem pełen podziwu.

A do tego trochę nieszczerzy, pomyślał Februaren.

— Jeśli bezduszny nie da nam odpowiedniego narzędzia, może nie być nadziei — powiedział Żelaznooki. — Ci, którzy mogą otworzyć zamknięcie, znajdują się w środku. Nawet Oszust, co mnie zdumiewa. Zawsze był zbyt sprytny, by dać się złapać.

Februaren się zastanawiał. Dominujący miał cechy Ojca Wszechrzeczy oraz Wybrańczyni Zaszlachtowanych, Arlensul. Przyciągnął je, by uwięzić resztę boskiej paczki. Czy ich wiedza potrafiła również burzyć mury?

Nie ma innego wyjścia.

Dominujący będzie wiedział. Aelen Kofer byli wybitnymi architektami i inżynierami. Potrzebowali jedynie jego wskazówek. Gardłowali teraz, miarowo gestykulując i okazując niezwykle ożywienie. Februaren nie rozumiał, o czym mówią.

Niewielka, unosząca się na wodzie rubinowa kropka powiększała się. Paliła się mocniejszym światłem. Rubinowe kropelki ściekały na niewidoczną powierzchnię martwej, bezbarwnej wody.

Rozległ się głośny trzask eksplozji. Woda ochlapała statek. Za nią wdarł się ze świstem wiatr ciężki od obcych zapachów.

— Sukces! Tak jakby — oznajmił Gjoresson.

Pionowa szczelina światła długa na metr, wpadając do wody, zawisła w powietrzu. Miała pięć centymetrów w najszerszym miejscu na poziomie wody. Światło słońca wpadło do środka wraz z wiatrem i zapachami. Było takie jasne!

— Nie myślałem, że tu jest tak ciemno — powiedział Februaren.

Gdy wzrok mu się przyzwyczaił, dostrzegł błękitną toń lśniąca po drugiej stronie szczeliny.

W miejscu, w którym wyrwa natrafiła na port, powierzchnia mętnej wody zaczęła ujawniać pasma i plamy barw. Februaren poczuł nadciągający wraz z wiatrem i zapachami powiew mocy.

Aelen Kofer zaczęli śpiewać.

— Magia powróci — stwierdził Żelaznooki.

Ze świata, w którym Studnie Mocy słabną. Februaren zastanawiał się, czy moc kona we wszystkich światach.

Napominał się w myślach, że te światy istniały jedynie dla nielicznych Delegatur i wyznawców. Z całą pewnością konały.

Biały rekin poruszył się nieznacznie w połowie drogi do pomostu. Żył, ledwo, ale żył. Przez jedną złowrogą chwilę wbił ślepią w statek.

Barwy wciąż wylewały się ze szczeliny. Tu i tam na zbutwiałym drewnie łajby błyskały złote iskry.

Z morza buchnęła moc, wciąż musiała być silna.

W wyrwie pojawiło się oko wielkiego wieloryba.

Dziewiąty Nieznany uniósł dłoń w geście powitalnym.

jakiś robak zaczął się przewiercać na drugą stronę.

Barwy rozprzestrzeniły się i wspięły po burcie statku. Cloven Februaren otworzył się na to, czym była moc.

Dziewiąty Nieznany dokładnie wiedział, kiedy Wędrowiec Wiatru wyczuł, że otwarto Dziedzinę Bogów.

Żelaznooki wrzasnął.

Kharoulke nie wiedział wcześniej, że na zachodzie nastąpił wybuch mocy. Teraz już tak. Jego uwagę zwróciło nagłe pojawienie się straszliwego zagrożenia.

Brothe: Krótka idylla

Powrót Pipera Hechta do Ojczystego Miasta był niewygodny dla wszystkich. Towarzyszyło mu tysiąc zbrojnych, ludzi, którzy nie chcieli służyć pod Pinkusem Ghortem. Niektórzy Brotheńscy chcieli uczcić ich powrót. Większość nie chciała ściągać uwagi nowego Patriarchy. Poplecznicy Łagodnego zamierzali nawet zamknąć przed nimi bramy, ale nie spotkało się to z aprobatą większości mieszkańców. Hecht w Kolegium miał wielu potężnych zwolenników. Łagodny, ku swemu niezmiennemu zadziwieniu, takowych nie posiadał.

W chwili zakończenia bezkrólewia Łagodny zaczął naciskać na Kościół, kierując go w stronę obraną przez Wzniosłego V. Nie było to dla Hechta zaskoczeniem, ale zaszokowało większość Brotheńczyków, włącznie z kilkoma prowincjami, którzy przyjęli łapówki, by głosować na korzyść Łagodnego.

Bronte Doneto dobrze się spisał, udając religijną obojętność, kiedy nie miał władzy, by siłą wprowadzić swoje przekonania w życie. Teraz posiadał taką władzę. Teraz był w stanie podsycać furję, która jątrzyła się w nim od czasu, kiedy Connec upokorzył go, w wyniku czego niemal zginął.

— Nie podoba mi się to — powiedział Titus Zgoda. Schodził z mostu Blendińskiego, obserwując, jak członkowie Bractwa skręcają w górę rzeki i kierują się do Castella dollas Pontellas. Zostawili byłego Naczelnego Wodza bez ochrony.

— Jak się to mówi, trzeba uważać z życzeniami.

— Tak?

— Każda minuta, podczas której Madouc pozostawał pod naszą komendą, była mi obmierzała. Teraz już go nie ma.

Pozostała z nimi ponad setka ludzi. Kierowali się w tę samą stronę.

— Na razie nic nam nie grozi. Później może być różnie.

— Aha. Pella, trzymaj się blisko nas.

Mniej więcej po dwóch kilometrach, kiedy zbliżali się do swojej okolicy z garstką przyjaciół jedynie, Titus zapytał:

— Więc się już zdecydowałeś?

— Co takiego? — Hecht pomyślał o Annie. I dziewczynkach. Wtedy, speszony, zdał sobie sprawę z tego, że jego prawdziwy dom i rodzina znajdują się gdzie indziej, w slumsach al-Kam. Być może. Jaką grozę sprowadziły na nich czas, bieda, choroby, Gordimer czy er-Rasha?

— Pytam o to, co dalej. Chcesz kupić sobie winnicę? A może wolisz stać się tygrysem bojowym Imperatorowej Katrin.

— Och, przestań. Nie będę teraz o niczym decydował. Nadszedł czas leniuchowania.

Titus uśmiechnął się tylko. On wiedział. Decyzja została podjęta, choć motywy postępowania Hechta nie były wcale czytelne. Nawet dla niego samego.

Były Wódz Naczelny miał zamiar udać się na północ, jak najdalej od Państw Patriarchalnych, może nawet na zawsze.

Wieści o ich przybyciu rozniosły się już wcześniej. Anna i dziewczynki wyszły przed dom i witały ich wraz z Noë Zgodą i jej dziatwą. I z Heris. Rodzina Zgodów od razu się zmyła. Hecht wszedł do domu Anny. Na pierwsze z wielu pytań odpowiedź dał od razu.

— Jestem zmęczony. Wykończony. Później.

Pella wcielił się w rolę kronikarza. Miał mnóstwo do powiedzenia. 1 był zawiedziony, kiedy Anna i dziewczynki nie przejawiały entuzjazmu wobec walki za pomocą hakownic.

Znów dało się słyszeć:

— Jestem taki zmęczony. Chcę tylko leżeć bykiem. Nie mam ochoty chodzić donikąd. Nie chcę niczego robić. — To było do Heris, która już oznajmiła, że pryncypał Delari chce go widzieć. — Brothe i wszyscy doskonale sobie beze mnie poradzili. I mogą sobie radzić dalej. Anno. Przestań się krzątać. Chodź tutaj. Usiądź koło mnie. Pozwól mi cię chłonać.

Anna posłuchała, rumieniąc się.

Hecht oparł się o nią i spoglądał sennie na Lilę i Vali.

— Co się stało z dziewczynkami? Poza tym, że Vali się zaokrągliła i obydwie noszą lepsze odzienie?

— Szkoła. Żeńska szkoła zakonna prowadzona przez zakonnice z odłamu Szarych Braci.

— Hmm?

Anna właściwie zinterpretowała to zaciekawione mruknięcie. W jaki sposób udało się jej umieścić dwie dziewczynki o wątpliwym pochodzeniu w tak ekskluzywnej akademii?

— Sprawilo to twoje nazwisko i wstawiennictwo prowincjała Delariego. Do tego zaskakujący zapis od Hugona Mongoza.

— Od Hugona Mongoza. Ale...

— Nie chodzi o pieniądze. O wpływy. Bellicose odnalazł list wśród jego papierów. Polecenia dla jakiegoś nieślubnego wnuka, których nie wysłał przed śmiercią. Píše w nich, że ma wobec ciebie wielki dług. Nie pisze dlaczego. Chciał, żeby wnuk ci się odwdzieczył. Jest mnichem w Szarych Braciach. No i tak to się stało.

— Och, myślę, że to dobrze. Heris. Heris?

Vali spojrziała w ślad za Pellą i powiedziała:

— Tato, ona znów zrobiła tę sztuczkę z odwracaniem się na bok.

— Bardzo chciałabym się tego nauczyć — dodała Lila. — I wzbogacić się.

— Jesteś przecież bogata — zwróciła się do niej Anna. — Twój ojciec zebrał więcej pieniędzy, niż możemy wydać przez trzy żywoty.

— Śmiem wątpić. — Hecht wybuchnął śmiechem.

— Na co je wydasz? I proszę, tylko bez żadnych mrzonek o winnicach i latyfundiach. To, co możesz wiedzieć o zarządzaniu gospodarstwem, można zmieścić w napařtku i jeszcze zostanie miejsce.

— Tak myślisz? Zaskoczyłbym cię, serce mego serca. Długo siedziałem w więzieniu w Plemenzie. Jedyńą rozrywką było pochłanianie starych książek na temat rolnictwa.

Annę zbiło z tropu tylko na chwilę.

— Czyli praktycznie nic nie wiesz. Nigdy nie będziesz rolnikiem.

— Może masz rację. Musimy o tym pogadać. Ale nie teraz. Chcę przez chwilę pławić się w luksusie tego, że nikt ode mnie niczego nie chce.

— Och, zaraz zaczną się żądania. Ale najpierw będziesz się długo pławić w balii gorącej, mydlanej wody.

Dziewczynki już podgrzewały wodę w dużym miedzianym cebrzyku. Anna nie korzystała z publicznych łaźni. Nie pozwoliła też na to dzieciom. Tak dla bezpieczeństwa, jak mówiła. Ale Hecht podejrzewał, że jest w tym coś więcej. Nie chciała o tym rozmawiać. Nie było się o co spierać.

Kiedy siedział już w wannie, dziewczynki wlewały gorącą wodę, a Pella zastanawiał się, jak tu czmychnąć, bo był następny w kolejce, Hecht zauważył:

— Jedyne, czego mi brakowało w polu, to łaźnie pałacu Chiaro.

— Naprawdę? — zdziwiła się Anna.

— I proszę bardzo, znów puszczasz wodze fantazji. Plotki kłamią. Nic tam się złego nie dzieje.

— Naprawdę? — powtórzyła.

Hecht wzruszył ramionami.

— Nie będę ci zaprzętał głowy szczegółami.

Heris pojawiała się co dzień. Miała niewiele do powiedzenia i nie naciskała.

— Dasz mi znać, kiedy będziesz gotowy. Ja przychodzę tylko, żeby sprawdzić, czy jesteś. To nic ważnego. Jeszcze nie.

Ale Heris i prowincjał Delari nie byli jedynymi, którzy chcieli uszczknąć trochę czasu byłemu Naczelnemu Wodzowi. Przedstawiciele Kolegium z większości Pięciu Rodzin, z Castelli i z ambasady Imperium w Penital — wszyscy pojawili się w ciągu pierwszych czterech dni pobytu Hechta w domu.

Jedynie Titus Zgoda i jego szczep byli wpuszczani do środka. No i Heris, której nie dało się odpędzić od drzwi.

— Zaczynasz się robić niespokojny — zauważyła Anna wystudiowanie obojętnym tonem. Wtedy, kiedy wydawało się jej, że dzieci są czymś zajęte.

— Titus mówi, że nigdy nie nauczyłem się odpoczywać.

— Titus jest beczelnie mądry jak na swoje lata. No i co, możemy już porozmawiać?

— Chyba tak. — Od jakiegoś czasu głowił się, by poskładać wszystko przed rozmową z nią. — Imperatorową chce, żebym dla niej pracował.

— Żebyś pomógł jej wypełnić świętą powinność, prowadząc imperialną krucjatę do Ziemi Świętej. Wiem. To chyba najślabiej strzeżona tajemnica stulecia. Rozniosła się po Brothe w kilka godzin po ogłoszeniu, że Bronte Doneto będzie kolejnym Patriarchą. Penital dementował. Doneto był zły. Pinkus wysłał kilku zaufanych ludzi, by nas odszukali. Nie dlatego, żeby mógł się przechwalać, jak to dba o przyjaciela. Obawiał się, że Doneto może zrobić jakieś głupstwo.

Hecht mruknął. Ghort ani się o tym nie zająknął. Ale to był cały Pinkus Ghort. Nigdy nic nie mówił, kiedy zrobił coś, co ktoś mógłby uznać za dobre i przemyślane. Nie chciał kłaść swojej czarnej reputacji.

— Wiedziałyby, gdyby zagrożenie było realne. — Hecht obrzucił Annę zaciekawionym spojrzeniem. Dlaczego trzymała to w tajemnicy aż do teraz? Miała nadzieję, że kwestia przejścia na służbę Imperatorowej rozmyje się w cudowny sposób?

Pewnie tak.

— Okazało się, że to burza w szklance wody. Pinkus wycofał swoich, gdy prowincjał Delari zaczął słać stanowcze sygnały właściwym ludziom.

Brzmiało to tak, jakby powiedziała to Heris. Jakby wcześniej przećwiczyła to dokładnie, zanim się w ogóle odezwała.

— Muniero Delari i Bronte Doneto nie pałają wzajemną miłością. Ale nie wolno mi wchodzić w szczegóły. Podejrzewam, że Doneto będzie unikał podgrzewania dawnych waśni teraz, kiedy ma wymarzoną posadkę. Delari jest starszy od węgla. Doneta stać na to, by odczekać i pozwolić, by czas rozstrzygnął ich spór.

— Piper, nie pojedę za tobą, jeśli przeniesiesz się do Alten Weinbergu.

No i już. Nie było to niespodziewane, lecz mimo to niezrozumiałe. Choć miał mnóstwo czasu na rozmyślanie.

— Wiesz, że spędziliśmy ze sobą ledwo kilka tygodni przez te wszystkie lata, kiedy jesteśmy parą.

Czy to miało być pytanie czy stwierdzenie? Mimo wszystko chyba przesadzała. Trochę. Nie skomentował tego. Bo w głębi tkwiła szczerą prawdą.

— Zawsze wyruszasz w pole. Nawet jak się przeprowadzę, to i tak nie będę cię widywać. I nie będę znała tam nikogo oprócz dziewczynek. Nawet nie mówię ich językiem. Więc będę tam tylko siedziała i nie będę cię oglądać, bo wyruszysz w pole.

— Ja tak naprawdę nie będę prowadził krucjaty do Ziemi Świętej. Nakłonię Imperatorową, by zmieniła zdanie.

— Nie wątpię. Ty potrafisz wszystko. Masz smykałkę do nakłaniania ludzi, by tańczyli, jak im zagrasz. Ale kiedy wszystko jest już powiedziane i wykonane, wyruszasz w pole. Taki właśnie jesteś. Więc, jak mówiłam, ja tu zostanę, gdzie jest mi dobrze i wygodnie, i będę cię widywała raz na jakiś czas. Nie zamierzam burzyć sobie własnego życia.

Hecht pohamował emocje. Stłumił pokusę, by okazać się męskim i władczym. Nie posiadał tego w tym związku, w tym kraju. Co było jeszcze bardziej irytujące, musiał stłumić natrętne myśli o Helspeth.

— Rozumiem. — Wyczuł, że dzieci czają się w pobliżu, z dala od jego wzroku, ale tak, by wszystko słyszeć.

— Bez bicia przyznaję, że mam więcej niż większość żon i wiele kochanek. Przez to jestem już mocno rozpieszczona, poza tym zbyt wiele mam lat na karku, by podjąć życie markietanki.

— Nie będę się spierał. Nie potrafię. Doskonale to ujęłaś. Jestem, kim jestem, a ty, bardziej niż ktokolwiek inny, znasz całą prawdę. Ale wydawało mi się, że Alten Weinberg może być bardziej przytulne.

Anna z całą pewnością miała na to gotową odpowiedź, nie było jednak okazji do wyartykułowania jej. Nie wiadomo skąd, po drugiej stronie pokoju pojawiła się Heris.

— Tym razem musisz iść ze mną, Piper. Coś się zdarzyło. Kolacja, Anno. Dziadek będzie bardzo rad, że zobaczy się z dziećmi. — Odwróciła się i już jej nie było.

Anna odetchnęła.

— Było to grzeczne zaproszenie na pokaz siły.

— Tak?

— Można by powiedzieć, że zaprzyjaźniłyśmy się z Heris. To, jak się pojawiła... Nasza rozmowa mogła się zakończyć sporem.

Hecht znów odpowiedział jedynie wyrażającą pytanie monosylabą.

— Musimy się zobaczyć z prowincjałem Delarim, zanim zacniemy cokolwiek planować.

Hecht poczuł ostrzegawczy dreszcz na karku. Jego pragnienia mogły zmienić się w pył na wietrze, jeśli Noc zacznie kreślić własne nieprzekraczalne granice.

W domu miejskim Delariego panował całkowity rozgardiasz związany z remontem kapitałnym. Liczba domowników powiększyła się o tuzin osób. Wszyscy byli łotrami o twardym spojrzeniu, równie czujni jak ekipa Madouca. Każdy wywodził się z klanu prowincjała. Czyli byli krewnymi wnuków Muniera Delariego.

Kolacja została podana przy tym samym stole przez tych samych służących, Turkinga i Felske. Kiedy pojawiło się pierwsze danie, De-lari zaczął wyjaśniać.

— Wszystko się zmieniło, kiedy spełniły się ambicje Bronte’a Doneto. Spodziewam się wskrzeszenia konfliktu, który dawno temu doprowadził do tego, że wzięliśmy się za łby.

Powiedział to przy Annie i dzieciach. Wszyscy spojrzeli na Hechta, oczekując wyjaśnień.

— Dwóch z nas wyciągnęło cię z tego. Co się stało z tym drugim? — zmienił temat.

— Z Armandem? Nie wiem. Ten mały szczur zniknął, gdy odmeldował się Hugo Mongoz. Myślę, że nie można liczyć na to, że partyzanci Doneta skończyli z nim.

— O co chodzi z tymi remontami? — zapytał Hecht. — Co się dzieje?

— Okopuję się.

— To rozumiem. Ale w jakim celu się tu znaleźliśmy? Tu nie chodzi o to, że wraz z rodziną wpadłem do ciebie na przyjacielskie pogawędki przy kolacji. Masz winę niemal wypisaną na twarzy. Co świadczy tylko o tym, że coś się święci. Heris coś napomknęła i widać to było po jej zachowaniu. A w ogóle to gdzie ona się podziała?

— Będzie tu za chwilę.

Turking i Felske wnosili kolejne potrawy z widocznym brakiem entuzjazmu. Jakby coś kradli.

Heris pojawiła się w niedbałym stroju. Turking i Felske pospiesznie przynosili jej dania, które ją ominęły. Nawet pani Creedon znalazła chwilę, by uraczyć ją ostrym serem i grzybami z nadzieniem cebulowym. Heris mruknęła coś zadowolona i zaczęła zajadać. Najwyraźniej podzieli się swoją opowieścią, tylko jeśli będzie to niezbędne.

Udział Delariego w rozmowie przy stole ograniczał się do zdawkowych pytań zadawanych dziewczynkom na temat ich postępów w szkole. Na co, ku zaskoczeniu wszystkich, Lila zareagowała z wielkim zapałem. W

odróżnieniu od Vali uznała, że intelektualne wyzwania są niezwykle zajmujące. Hecht był zaskoczony.

Ludzie nie przestają nas zaskakiwać tym, że są tak odmienni od naszych oczekiwań.

Turking i Felske się ożywili. Z chwilą pojawienia się Clovena Februarena wnieśli kolejną zastawę.

— Za moim przyjacielem Pinkusem powiem, że wyglądasz jak śmierć na kiju — zauważył Hecht.

— Bez wątpienia. — Cloven Februaren wyglądał na wygłodzonego.

— Teraz jest okazem zdrowia — wtrącił Delari. — Powinniście zobaczyć go rankiem. Myślałem, że jego opowieść dobiega końca.

Dziewiąty Nieznany usadowił się przy stole. Żarłocznie rzucił się najedzenie. Aż Vali i Lila poczuły się niezręcznie. Anna musiała wypuścić dziewczynki w świat. Potrzebowały powtórki lekcji z rzeczywistości. Zapadły na całkowitą amnezję w kwestii własnych wczesnych romansów z brutalnym życiem.

— Spędziłem noc na Elfim Wzgórzu. To było gorsze niż cokolwiek innego — oznajmił Februaren.

— Nie rozumiem — rzekł Hecht.

— A powinieneś — Delari na to. — To dziedzictwo północy. Tam ludzie wierzą, że żyją na świecie z wieloma innymi rasami. Ukrytym Ludem, mówiąc ogólnie. Chochlikami, skrzatami. Z Jasnym Ludem. Z jasnymi i ciemnymi elfami. Z goblinami, krasnoludami, z Ludem Morza. I jeszcze kilkoma innymi.

— Nie wspominając o żywych trupach — mruknął Februaren.

Delari zignorował go.

— Ukryty Lud cały czas knuje i wycina różne numery. Oczywiście częściej złe niż dobre, zgodnie z ich naturą. Ulubionym figlem jest wabienie śmiertelników do ich królestwa, gdzie czas płynie inaczej.

— Zwykle dużo wolniej niż tutaj — stwierdził Februaren. — W Dziedzinie Bogów jest na odwrót. Zjadłem wszystkie zapasy i zacząłem głodować. To też prawda, co mówią o jedzeniu. Pomagało mi zapomnieć, że jestem głodny, ale nie syciło wystarczająco.

— Chodzi o to, że wydawało mu się, iż jest tam wiele miesięcy, a ledwo minęło parę dni — wyjaśnił Delari.

— A więc dokonałeś tego, po co wyruszyłeś. Uwolniłeś...

— Nie, nie uwolniłem. Nawet nie zacząłem. Dawni Bogowie są zamknięci niczym oliwki w słoiku, który tkwi w zaszpuntowanej beczulce. Udało mi się natomiast otworzyć przejście między środkowym światem i Dziedziną Bogów. Czyli to, co ludzie obeznani z tym północnym szaleństwem nazywają śródziemniem, z powodu jego położenia wobec innych światów w tamtejszej koncepcji wszechświata. Aha, i mam też drugie osiągnięcie. Rozmawiałem z Aelen Kofer i nakłoniłem ich, by pomogli mi wyzwolić Dawnych Bogów.

Hecht gryzł się w język, by nie wtrącić zastrzeżenia, ponownie napominając siebie w myślach, że w środku Nocy wszystkie wierzenia są prawdziwe.

Dzieci zaczęły się nudzić. Dziewiąty Nieznany nie opisywał swoich przygód z epicką swadą. Co nie było do niego podobne.

— Po tych dobrych wiadomościach z pewnością zdajecie sobie sprawę, że tkwi w tym wszystkim zagwozdzka — stwierdził Februaren.

— Dziadku, proszę. — Prowincjał Delari też zdawał się słyszeć to wszystko po raz pierwszy.

Uśmiech Februarena był cieniem dawnego.

— No dobrze. Liczy się czas. Droga jest otwarta. Magia wpływa do środka. Aelen Kofer mogą odbudować tęczyowy most do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Możemy zajść aż tam.

— Ale...? — rzucił Delari, krzywiąc się.

— Ale Wędrowiec Wiatru już idzie. A my nie możemy wejść do środka. Jedynie ktoś z krwi Dawnych Bogów jest w stanie przełamać ostatnią barierę.

— A wszyscy z ich krwi są w środku — dokończył Delari.

— W ogóle tak. Myślę, że dominujący poradziłby sobie z tym. Ma okruchy wiedzy Ordna i Arlensul. No i on ich tam zamknął. Wydaje się logiczne, że powinien odkręcić to, co zrobił.

— Ale nie do końca — zgadywał Delari.

— Nie. Cholernie dobrze wykonał zadanie. No i działa tu jakiś mitologiczny imperatyw. Ktoś, nawet taki wolnomyśliciel jak ja, bo przecież spędziłem całe życie zatopiony w brotheńskiej kulturze Episkopalnego Chaldaranu, nie może dojść sensu tego wszystkiego. Sprowadza się to do tego, że aby wypuścić Dawnych Bogów, by ci z kolei

mogli powstrzymać Wędrowca Wiatru, potrzeba nam kogoś z ich krwi, kto wykopałby te drzwi.

Wszyscy aż podskoczyli na słowa Anny, która wtrąciła się do rozmowy.

— Z tego, co słyszałam, Dawni Bogowie psuli wszystkie córki rolników i drwali, na jakie się natknęli, kiedy odwiedzali nasz świat.

— Trudno będzie odnaleźć ich potomków — stwierdził Delari. — Nie robili tego od czterystu lat. Ich krew jest już mocno rozrzedzona.

— Jest jeszcze inna możliwość — dodał Februaren. — Według dominującego.

— Gedanke — zgadywał Hecht, zastanawiając się, dlaczego przywołał to imię. Czyżby miał nienaprawialną skazę, posiadłszy tego rodzaju pokrętną wiedzę?

— Kierunek słuszny. — Februaren aż podskoczył. — Skąd wiedziałeś?

— Zgaduję. Że to, co się wydarzyło pod murami al-Khazen, wiązało się ściśle z zatargiem o Gedankego między Wygnaną i jej ojcem.

— Większość wydarzeń miała ścisły związek z żądzą krwi Dawnych Bogów złańionych śmierci Bogobójcy. Arlensul skorzystała z okazji, by się zemścić. W dodatku to Gedanke był jej kochankiem. Dominujący mówi, że sam Gedanke był przy ostatecznej rozprawie. Jako jeden z nieumarłych bohaterów. Co tylko jeszcze bardziej zachęciło Arlensul do bitki.

Nikt się nie odezwał. Hecht zastanawiał się, dlaczego Februaren wybrał taki temat do rozmowy przy kolacji. W normalnym trybie czekałby na wycofanie się uczestników wieczerzy do wyciszonej komnaty. Zaczął zerkać w cień i baczniej przyglądać się Turkingowi i Felske.

Dziewiąty Nieznany rozpoznał chwilę, w której zrozumieli. Uśmiechnął się szeroko, skinął głową i dodał:

— Część Arlensul, którą przejął dominujący, zapewnia niezwykle przydatne informacje na temat jej półśmiertelnego bękarta. Robiła, co mogła, by go strzec. Wciąż żył w chwili jej zejścia.

— To powinno zawęzić poszukiwania. Z pewnością nie ma zbyt wielu mężczyzn, którzy żyją dłużej od ciebie i od czasu do czasu charakteryzują się wybuchami boskiej mocy. Powinien mieć jej trochę, prawda?

— Brawo, Piper. Oczywiście, że powinien. Ale istnieje taka możliwość, że nie wie, czym jest. Matka nigdy mu nie powiedziała. Nigdy jej nie widział. Może myśleć, że jest po prostu bardzo dziwnym sierotą.

— Musiał coś podejrzewać — wtrącił się prowincjał Delari. — Jeśli liznął co nieco z mitologii. Czy gdybyś dorastał w takiej części świata, w której sierota ma niezwykle zdolności i wydaje się nieśmiertelny, no powiedz, nie podejrzewałbyś?

— Oczywiście, Muno. O ile mi wiadomo... częśćka Arlensul, w dominującym zupełnie nie jest wyraźna... bękart powinien być długowiecznym chłopem albo drwalem gdzieś w północno-wschodniej części Imperium Graala. Dziecko było pozostawione w zakrystii leśnego kościoła w Górach Harlzu w Marhorvie, dwieście kilometrów od Grumbrag.

— Czy to on może udawać brata Pipera? — zapytała Anna.

Cloven Februaren parsknął na znak, że nie należy ciągnąć tego tematu.

— A wiesz, z jakiego powodu to wszystko? — zainteresował się Hecht.

— Z takiego, że dominujący posiada większość wiedzy swej matki. Choć nie udałooby się jej go dzisiaj zlokalizować. Czy też nie chciałaby tego.

— A niby dlaczego?

— Nawet w tak mocno okrojonym stanie jestestwo Wygnanej żyje i jest niezależne. Niewielka to jego częśćka, ale stanowiąca esencję tego, kim i czym była.

— Teraz to już z górki, dziadku — orzekł Delari. — Po prostu zjaw się w tym wiejskim kościółku i wejdź w spiralę poszukiwań, pytaj każdego, kogo napotkasz, czy ma czterysta lat życia za sobą. Kiedy ktoś potwierdzi, będziesz wiedział, że masz do czynienia z bogiem półkrwi.

— Genialna strategia, Muno. Piper, ten chłopak zawsze miał smykałkę do machania ostrzem we mgle wokół sedna tematu. Choć ja mam w zanadrzu dużo prostsza i szybsza metodę.

— Człowiek, który żyje tak długo, robi wszystko, by ukryć swój wiek — zauważyła Anna. — Gdyby tego nie robił, miałyby na karku wszystkich starzejących się szlachetków pragnących poznać sekret jego długowieczności.

— Albo skorych przebić mu serce kołkiem osikowym — zawyrokowała Heris.

— Czyżby to było źródło wszystkich legend o wampirach? — zapytał Hecht.

— Wampiry są źródłem legend o wampirach. To potwory Nocy rozsmakowane we krwi. — Februaren wskazał na Annę. — Ta młoda

kobieta jest równie mądra jak piękna. Nie. Tak bym się nie ośmielił powiedzieć. To czyniłoby z niej boginię. Określmy po prostu, że jest rozumna. Ukrywanie wieku jest dla niego poważnym problemem.

— Proszę pana, pochlebstwami pan daleko nie zajędzie.

— Żałuję. Piper? Wyglądasz, jakbyś połknął cytrynę. Jeśli uraziła cię moja gra słów, powiedz mi, żebym poszedł do diabła, odgryzę się.

— A więc idź do diabła, staruszk. — Hecht parsknął śmiechem. — Nie. To, co powiedziałeś, to fakty. Ona właśnie taka jest. Ale coś mi przyszło do głowy. Wiem, skąd możemy zacząć poszukiwania. Nie będziesz musiał nawet wracać do tego kościółka, który najprawdopodobniej już nie istnieje. — Położył palec na ustach. Nie miał zamiaru kontynuować tej dyskusji tutaj. Starcy może przesadzają z obawą przed podsłuchującymi, czy to pod postacią ludzką, czy cienia. Każde domostwo miało sługę bądź krewnego, który nie wzbierał się przed zarobieniem dodatkowego dukata i dzielił się informacjami na czarnym rynku.

— W takim razie podejmiemy temat przy kawie — uznał prowincjał Delari. — A teraz, dzieci, coście tak zamilkły jak trusie. Może opowiedziałybyście, dziewczynki, coś o Szarych Braciach? A Pella o swoich przygodach z Piperem. Mówią, że zakochałeś się w artylerii, chłopcze.

Zachęczone dzieci zaczęły zdradzać szczegóły ze swego życia. Fragmenty na tyle niewinne, że mogły się nimi podzielić z dorosłymi.

— Pójdę pomóc kucharce przygotować zastawę do kawy — oznajmiła Heris, ochoczo i pospiesznie pochłonawszy kolację.

Młodzież wkrótce skończyła opowiadać. Hecht zwrócił się do Februarena.

— Uraź ich opowieścią o swych przygodach w dziedzinie bogów.

Przynajmniej Pella powinien być zaintrygowany krainą, która była w większości prawdziwa.

Mam nadzieję, że próbowałeś po prostu przedstawić swoje udręki w jaśniejszych barwach — powiedział Hecht, biorąc kubek z kawą od Heris.

— Oszczędziłem im nieco ponurych faktów, żeby nie były zbyt zaniepokojone, ale tak właśnie było. Rekina też zeżarli — odparł Februaren.

— Dlaczego powątpiewam w twoją opowieść, dziadku? — zastanawiał się na głos Delari.

— Ponieważ straszny z ciebie sztywniak, Muno. Zawsze taki byłeś. Nie masz ani krztyny fantazji.

— Raczej nie. Zawsze byłem zbyt zajęty tuszowaniem twoich wybryków.

— Ej, staruszkowie, może dalibyście już sobie na wstrzymanie? — warknęła Heris. — Piper miał powód, kiedy dał do zrozumienia, że powinniśmy porozmawiać tutaj. Skoro byliście oburzeni tą burleską na dole. No to już, zanim te rozmowy w ukryciu zaczną zastanawiać szpiegów.

— Ma rację. — Februaren westchnął. — Aja się dopiero rozgrzewałem. Widać tu charakterek Grade'a Drockera. I wygląda, że to samo miał w tym wieku.

— Przestań — warknął Hecht. — Cloven, mówiłeś, że masz plan, jak szybko odszukać tego bękarta. No to powiedz nam, a potem wyjaśnij, dlaczego chciałeś, żebyśmy się tu wszyscy ukryli.

— 1 znów kamyczek do ogródka Drockera. Brak cierpliwości. No dobra, Piper. Plan jest kwintesencją prostoty. Nowy Patriarcha, nasz ukochany Bronte Doneto, który zupełnie przypadkiem jest najpotężniejszym czarownikiem od dwóch stuleci noszącym płaszcz gronostajowy, ma swoje służki Delegatur Nocy, a one łążą za tobą i za Delarim. Pozwoliłem im wysłuchać różnych niestworzonych opowieści tam, na dole. W rezultacie nerwowy Łagodny powinien spuścić całą dostępną mu siłę Kościoła ze smyczy, by rozwiązać problem arlensulskiego bękarta.

— Dlaczego? Nie powinno go to obchodzić.

— Mylisz się. Cóż, może gdyby znał całą historię... To, co pozwoliliśmy mu poznać, powinno zmusić go do tego, by zaczęło go to obchodzić.

— Proszę cię bardzo, zmuś się i wyjaśnij nam to.

— Podstawowa sprawa. Odkrył właśnie, że wciąż żyję. To nim mocno wstrząśnie. Dowie się przy okazji, że jest żelazny, niepodważalny dowód, iż jego religijna wizja nie została w pełni zrealizowana. A Dawni Bogowie, choć ich nie widać, wciąż żyją. Przeżyli w wyobraźni setek tysięcy ludzi z gminu, którzy we wszystkie święta i wyznaczone dni uczęszczają do kościoła, a potem zapalają diabłu ogarek i odprawiają starożytne rytuały w stosownych momentach. Co więcej, Dawnych Bogów należy obudzić i wzmocnić, jeśli nie chcemy, żeby świat został stratowany kopytami jeszcze starszych i mroczniejszych Delegatur Nocy.

— Tu mnie masz — powiedział Hecht. — Zrozumiałem każde zdanie. Pojedynczo. Ale w jaki sposób to wszystko razem pomoże nam odnaleźć zaginionego półboga?

— Cholernie proste, Piper. To jest cholernie proste. Słuchaj, co mówię. Najpierw Łagodny posra się ze strachu na wieść o tym, że żyję. Przerazi go mój zapal w szukaniu szczeniaka Arlensul. Już się pietra, że Muno utrudni mu życie. Więc panikuje. I uruchamia wszystkie siły Kościoła, by odnaleźć dla mnie tego człowieka.

— Sprytnie. Ale możliwe, że przeholowałeś. Słuchaj, chciałem pogadać tutaj, bo zależy mi, byś się przyjrzał Ferrisowi Renfrow. Próbowaliśmy go przeświecić podczas pobytu w Alten Weinbergu. Niewiele się dowiedzieliśmy, ale zaczęły wypływać różne dziwne fakty.

— Na przykład?

— Nie był za bardzo znany przed Johannesem, ale ktoś o takim samym nazwisku i imieniu stał u boku większości Imperatorów, odkąd zostało ustanowione Imperium Graala. Obecny Ferris Renfrow twierdzi, że wszyscy ci poprzedni z rodu Renfrowów to jego przodkowie. Ale myśmy nie mogli odnaleźć ani jednej osoby, która słyszałaby, że któryś z Renfrowów był żonaty. Ani w ogóle że miał coś wspólnego z jakąkolwiek ludzką istotą, z obu płci.

— To rzeczywiście niezwykle.

— Poza tym robi różne dziwne rzeczy. — Hecht powtórzył to, co słyszał o Ferrisie na podstawie opowieści naocznego świadka bitwy Los Naves de los Fantas, który przekazał to wszystko Imperatorowej Katrin w przeddzień bitwy.

Historia ta wzbudziła powszechne zainteresowanie. Najpierw pod postacią niedowierzania, głównie ze strony prowincjała.

— Musiał wykorzystać stworzenia Nocy, by obserwować wydarzenia i meldować o nich. Nikt nie chodzi po Konstrukcie oprócz dziadka, a teraz Heris. Nikogo tego nie uczymy. Nie *mówimy* o tym nikomu. Nawet mnisi i zakonnice nie wiedzą, do czego to służy.

Cloven Februaren już nie był taki pewien.

— Ktoś inny mógł stworzyć własny Konstrukt. — Staruszek zamilkł zaszepiony, najwyraźniej starając się coś sobie przypomnieć.

— Jeśli jest półbogiem, i do tego niemal nieśmiertelnym, to może nie potrzebuje Konstruktu — zauważyła Heris. — Kiedy urodził się bękart? Jak

dawno temu?

Nikt nie wiedział. Pacholę było istotą mityczną.

— Przynajmniej czterysta lat temu. Prawdopodobnie jeszcze dawniej — mruknął Februaren.

— Masz naocznego świadka — stwierdził Hecht. — Współuczestnika. Wewnątrz dominującego.

— Który nie może odpowiedzieć na to pytanie. Arlensul nie wykształciła umiejętności uchwycenia konkretnego miejsca w czasie w śródziemiu. To typowa przypadłość Nocy. I to trzyma nas przy życiu. Jak dotąd.

— Bez względu na wszystko powinniśmy zacząć od Renfrowa — uznał Hecht. — Nawet jeśli to nie jego szukamy, może wiedzieć, gdzie należy szukać.

— Mam! — wypalił Dziewiąty Nieznany. — Kiedy byłem chłopcem! Młodszym niż Pella. Rządził Szósty Nieznany. Konstruktor był bardzo prymitywny. Ale dostawaliśmy więcej wsparcia z Kolegium... Nie rozpoznałbyś go....

— Dziadku! Możesz tak bardziej do rzeczy?

— No jasne. Był pewien brat, który pracował nad tym zadaniem. Coś było z nim nie tak oprócz tego, że na jego widok skóra cierpła ze strachu. Mnóstwo braci, szczególnie ascetów i mnichów, od dziecka wywołuje cierpienie skóry. Ma to coś wspólnego z rodzajem osobowości, która ciągnie do życia...

— Dziadku.

— Tak. To odrażające. Mówiłem ojcu i dziadkowi, i jego ojcu. Żaden z nich nie chciał tego słuchać. Pracował ciężko i publicznie nie robił niczego obrzydliwego. I z całą pewnością miał wielki dryg do tej roboty.

— 1 nazywał się brat Ferris — dopowiedział Hecht.

— Nie. To był brat Lester. Lester... Temagat! Tak właśnie! Tema-gat. Był bardziej zainteresowany Konstruktem niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Włącznie z Muno. No, może z wyjątkiem Heris. Heris jest niczym ryba próbująca, jak się pływa w wodzie.

— Przodku mój, mam swoje plany.

— Temagat zniknął moim zdaniem w bardzo tajemniczych okolicznościach. Ale nikogo to nie obeszło. Ludzie przychodzili i odchodzili. Starsi tylko marudzili, bo nie mogli znaleźć równie zaangażowanego zastępcy.

— Temagat? Lester Temagat? — indagował Hecht. — Pewien jesteś?

— Oczywiście, że jestem pewien, szczawiku jeden. Jestem stary, ale nie zgrzybiały. Główna pracuje tak samo dobrze jak kiedyś. Dlaczego pytasz?

— Znam to nazwisko.

— Ach! W takim razie, młody Piperku, nawijaj.

— Kiedy przebywaliśmy w niewoli w Plemenzie, przesłuchiwany przez Ferrisa Renfrowa Pinkus Ghort opowiedział historię z jego młodych lat, gdy był najemnikiem. Pracował dla księcia Clearenzy. Miasto było oblegane przez Imperatora. Imperialny agent o nazwisku Lester Temagat miał ponoć zabić ojca Ghorta i otworzyć portal nocą.

Wszystko to wyszło na jaw, bo Ghort upierał się, że człowiek, który nas przesłuchiwał, wtedy nosił nazwisko Lester Temagat.

— Bardzo ciekawe.

— Problem polega na tym, że Pinkus Ghort jest znany z ubarwiania szczegółów na temat swojej przeszłości. Jednego dnia jest w stanie podać dwie sprzeczne wersje tego samego zdarzenia. Jakoś nie drążyłem prawdy na ten temat. Ale clearenzańscy nie pamiętają tych wydarzeń w taki sposób, jak streścił je Ghort. Aż do dzisiaj założyłbym się, że opowieść była przeważnie prawdziwa, lecz z Pinkusem Ghortem w roli Temagata.

— To dość niewesołe oskarżenie wobec przyjaciela.

— Jest moim przyjacielem, ale w oczach innych nie czyni go to ani krztynę lepszym. Nie gwarantuje to również, że pewnego dnia nie postąpiłby wobec mnie jak łajdak. Zwłaszcza gdyby wypił za dużo wina. Nie potrafi się oprzeć dobremu rocznikowi.

— Postaraj się zapomnieć o dobrych rocznikach — ucięła całą wrzawę Anna. — Dowiedz się więcej na temat Pinkusa. Choćby tylko dlatego, że tylko on wymienił to nazwisko.

— Anno? — Wszyscy trzej mężczyźni wymówili jej imię jednocześnie.

— Pinkus Ghort z całą pewnością jest bastarden. Jak dotąd, był naszym bastarden. Jakie są szanse, że jest bękartem, półbogiem, którego chcecie odnaleźć?

Bezskutecznie starając się być zabawny, Hecht zasugerował:

— Musiałby być starszy o kilkaset lat, jeśli dokonał wszystkiego, do czego się przyznaje.

Nikt się nawet półgębkiem nie uśmiechnął.

— Wy musicie sobie z tym poradzić — skwitował Cloven Februaren. — Ja skupię się na Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

— Czy to nie będzie się jakoś z tym łączyć? — zapytał Hecht.

— Z tropieniem przeszłości Pinkusa Ghorta? Wątpliwe. Choć mój umysł nie analizuje tego ze zwykłą, chłodną precyzją. Ostatnio jestem coś rozkojarzony.

Zaostryło to ciekawość prowincjała Delariego.

— Możesz rozwinąć?

— Wędrowiec Wiatru nadchodzi. Ech, nie, nie tutaj. Kieruje się do wejścia do Dziedziny Bogów przez Andoray. Wie, że wrota są otwarte. Na Morzu Andorayańskim doszło do pewnego incydentu. Pojawił się niezwykle silny strumień mocy. Teraz słabnie, ale wciąż wycieka. Każde stworzenie Nocy zdolne się tam dostać ciągnie jak do wodopoju.

— Myślisz, że może przytłoczyć innych.

— Przeraza mnie, że wzmocni się na tyle, iż będzie mógł zamrozić wodę między Andoray i wrotami. Jeśli mu się to uda, jesteśmy zgubieni.

Hecht przywołał w myślach mapę północy.

— Czy to podejście nie jest drogą naokoło? Nie byłoby krócej pójść wzdłuż południowego brzegu Morza Płytkiego? Wyszędłby we Frieslandii, gdzie miałyby bliżej do wejścia.

— Nie może zostawić zamrożonej krainy. Na południe od Morza Płytkiego lód jeszcze nie jest zmarzliną. Jeszcze nie.

— Niezbyt dobrze pamiętam moje zajęcia z mitologii, dziadku — odezwał się Delari. — Czy to nie Kharoulke jest dotknięty klątwą nie pozwalającą mu przekraczać otwartej wody?

— I tak, i nie. Może bez problemu przekraczać stawy i strumienie, chyba że zetknie się z wodą. Może brodzić w wodzie przez jakiś czas, jeśli będzie się koncentrował na tłumieniu bólu. Jeśli nie będzie się spieszył, może zamrozić wodę na sto metrów wokół siebie. Jedyny sposób, by sobie z nim poradzić, to doprowadzić do tego, by był zajęty otaczającymi go sporymi zaporami wodnymi.

— Zimowy bóg, który nie potrafi okiełznać wody? — zdziwił się Hecht.

— Przecież zima to głównie lód i śnieg.

— Nie przeszkadza mu lód ani śnieg. Robią się po prostu twardsze, kiedy jest w pobliżu.

— Woda jest naturalnym składnikiem powietrza — zauważyła Anna. — Paruje. Czy to nie tłumaczy, że ten diabeł cały czas ma podły nastrój?

— Może i tak. Albo, jak niektórzy, jest po prostu bydlakiem z urodzenia.

— Cóż, panowie, doceniam, że przyjęliście mnie dziś wieczorem do waszego klubu. — Anna dopiła ostatni łyk kawy i odsunęła krzesło od stołu. — Ale lepiej wrócę sprawdzić, co z dziećmi.

— Kiedy dojdiesz do drzwi, zatrzymaj się i policz wolno do dziesięciu, zanim odsuniesz skobel — poradził jej Dziewiąty Nieznany.

To zaskoczyło wszystkich. Na osiem z wymaganych dziesięciu sekund.

Hecht irytował się coraz bardziej, ponieważ starzec gapił się na tyłek Anny.

Februaren wskazał palcem i wypowiedział jakieś słowo, które zawisło w powietrzu, emanując światłem niczym rozgrzany, topiący się metal.

Hecht głośno beknął, pierwszy w gastrycznym chórze zakłopotanych zgromadzonych.

Z zakamarków sukni Anny dobiegały wysokie wrzaski. Wypadły z niej cienie, wijąc się jak opętane. Wyglądały niczym ćwierćmetrowe postacie ludzkie ze skorpionimi ogonami i dodatkową parą ramion. Trzymały się kurczowo. Przez chwilę każdy z nich zapłonął tą samą mroczną poświatą co unoszące się w powietrzu słowo Februarena. Nagle opadły, tworząc małe kupki czarnego piasku, który błyskawicznie rozpadł się w czarny pył.

— Jeszcze chwilę, jeśli możesz, Anno — poprosił Dziewiąty Nieznany. — Heris, rozgarnij pył. Delikatnie. Powinnaś znaleźć dwa bursztynowe paciorki. Cierpliwości, Anno.

Heris wykonała polecenie.

— Nie widzę żadnych paciorków. Tylko dwa płatki złota. — Położyła je przed Februarenem.

— No proszę, proszę.

— Mogę już iść? — zapytała Anna.

— Oczywiście. Złap to słowo i pociągnij za sobą. To powstrzyma innych przed wśliźnięciem się tutaj, kiedy drzwi będą uchylone. Kiedy je zamkniesz, popchnij słowo i wpraw je w ruch. Podryfuje w powietrzu i wypłoszy wszystkie czające się tam istoty. Czające się! Uwielbiam to słowo. Powinno przetrwać z dwadzieścia minut. Mówię oczywiście o dryfującym słowie.

Anna wypełniła polecenie, ale nie miała zamiaru ani podziwiać, ani dać się zastraszyć temu, co nieoczekiwane.

Drzwi zamknęły się ze zgrzytem.

— No i co my tu mamy? — zapytał Hecht.

Wszyscy wpatrywali się w złote płatki. Hecht wypił dolewkę kawy. W końcu Delari stwierdził:

— Bronte Doneto próbuje na nas swoich sztuczek.

— Dlaczego myślisz, że to on? — zdziwiła się Heris.

— Z powodu tych płatków. Każdy prawdziwy twór Nocy zostawiłby jajko. O, takiej wielkości, koralik. Te zostały specjalnie stworzone z istot Nocy, a potem wytresowane przez czarownika, który miał cierpliwość i poświęcił mnóstwo czasu na kształtowanie ich.

— I wszystko wyczytałeś z dwóch płatków?

— Wszystko. Myślę, że zabrało mu to lata pracy.

— A skąd wiesz? — dociekała Heris.

Februaren postukał się palcem po nosie.

— Ma się ten talent, serdeńko. Talent. Uwierz mi na słowo. Ponieważ sama go nie masz, nigdy tego nie zrozumiesz.

— Rozumiem natomiast, kiedy ktoś plecie bzdury. — Heris była zirytowana, ale tylko trochę. Februaren nie powiedział tego protekcjonalnym tonem.

— Czy ich zniknięcie nie zaalarmuje go?

— Ma tylko pół mózgu. I tak pewnie to przewidywał.

— Kiedy nie zorientował się, że żyjesz?

— Będzie wkrótce wiedział, kiedy dostanie wieści z tego przedstawienia na dole.

— Nie pałam sympatią do Bronte'a Doneto — rzekł prowincjał Delari. — Ale darzę go niemal bezbrzeżnym szacunkiem. Wspaniale udało mu się wznieść na wyżyny, niemal w zupełnej tajemnicy. Wciąż nie mam pojęcia, co kombinował w tych katakumbach, wtedy z Łowcami Czarownic. Musisz na niego uważać, Piper. Musiał dojść do tego, w jaki sposób wraz z Armandem pomogliście mi uciec.

— Miej też oko na tych zbuntowanych Łowców Czarownic — dodał Februaren.

- *Zbuntowanych Łowców Czarownic?*

— Większość czasu od przybycia w Firaldii spędziłeś z Bractwem Wojny. Czy dowiedziałeś się, co kombinowali Łowcy w katakumbach? Albo w Sonsie, w Dziesięciu Galonach?

— Nie. — Ale próbował się dowiedzieć. Bardzo ostrożnie.

— Istnieje taka możliwość, że nikt już tego nie wie. Z wyjątkiem może Bronte'a Doneto, jedynej osoby, która przeżyła. Z wyjątkiem Liii i Vali, które mogą wiedzieć coś, o czym nie mówiły.

— Niczego takiego nie wiedzą.

— Możesz zawsze zapytać samego Patriarchę — powiedziała Heris.

Pozostali usłużnie zarechotali.

— Jak szybko jesteś w stanie się ocknąć ze swojej mrzonki, Piper? — zapytał Dziewiąty Nieznany.

— Słucham?

— Jestem pewien, że nie oprzesz się urokom Alten Weinbergu. Mam nadzieję, że jeszcze chwilę wytrzymasz. Żeby Muno połączył cię z Konstruktem.

Hecht w odpowiedzi spojrzał z niechęcią.

Februaren odsłonił zęby. Powinny przyciągnąć jego uwagę.

— Nie jesteś już w Dziedzinie Pokoju, Piper. I to, co mówię, jest ważne.

— Dziedzina Pokoju odwróciła się do ciebie plecami — zauważył Delari.

— Nie musisz tego robić. Rozumiem. Ale mnie się to nie podoba. Nie odpowiada mi też rola wygnańca. Poświęcę Konstruktowi tyle czasu, ile będę mógł.

Heris zauważyła:

— Pamiętajcie, że nie wypierał się niczego na temat Alten Weinbergu ani na temat Imperium oraz tych kokoszek, które tam rządzą całym kurnikiem.

— Och, pamiętamy, pamiętamy — stwierdził Februaren.

Hecht poczuł gorąco na policzkach.

Śniadanie w domu Anny Mozilli. Rodzina Zgodów w odwiedzinach. Noë znalazła się z Anną w kuchni. Małe Zgódki zaludniły to miejsce w taki sposób, jakby było ich dwa razy więcej niż w rzeczywistości. Grali z Pellą i dziewczynkami w jakąś grę, w której się wrzeszczy i ucieka.

Hecht zasiadł w wygodnym fotelu i pił drobnymi łydkami miętową herbatę, delektując się domowym chaosem. Titus zajął miejsce na wprost niego. Od zakończenia posiłku nie odezwał się ani razu. Popijał sok

winogronowy z bogato zdobionego, szklanego clearenzańskiego kielicha. On również smakował tę chwilę. W końcu, z dużymi oporami, zapytał o Alten Weinberg:

— To jak, jedziemy?

Hecht pokiwał głową.

— Nie wiem tylko kiedy. Odwiedziłem Penital. Powiedziałem im, że wezmę tę robotę, skoro Imperatorową jeszcze nas potrzebuje.

— Nas?

— Bierze wszystkich. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Albo nikogo. Prosek się zdecydował?

— Waha się. Uwielbia smród prochu i garłacze, a nie pobawi się nimi, jeśli wyruszy do Ziemi Świętej wraz z Bractwem.

— Nie chcę go stracić. Ani Kaita Rhuka. A właśnie. Mamy nowego ambasadora. Nazywa się Bayard va Milcz-Trajkot. Graf fon Wystarcz został odwołany do domu. Jego żona zrobiła coś wbrew Imperatorowej.

— Bayard. Nie za dobrze. Nie spodobało mu się, jak zajęliśmy jego pałac.

— Wszystko poszło w niepamięć. Gdyby nie musiał tego wycierpieć, Katrina nie dałaby mu tego smakowitego stanowiska.

— Co cię tu jeszcze trzyma?

Hecht zatoczył dłonią wokół.

— Oraz prowincjał Delari. Ten stary to istny poganiacz niewolników.

— A co ci każe robić?

— Nazywa to edukacją. Nie wolno mi o tym mówić.

Poza tym nie chciał. Spotkania z Konstruktem sprawiły, że poczuł się nie na miejscu, ba, poczuł się mocno opóźniony w rozwoju. Heris mówiła, że na początku czuła się tak samo. Mógł to zrozumieć, ale nigdy wcześniej nie miał takich trudności z opanowaniem jakiejś umiejętności.

— No dobra. Pojedziemy, kiedy przyjdzie na nas czas. Nie będę musiał od razu szukać pracy. Ale martwię się, że Noë ma dość tego, jak dostaję się pod komendę.

— Mogę jej tylko współczuć. — Hecht poczuł się niezręcznie. Titus, zdaje się, już nie wyobrażał sobie życia bez tego, że jest częścią załogi Hechta.

— A właśnie, odnalazłem lokalizację manufaktury Krulika i Sneigona. Ale jest w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewaliśmy — rzekł Zgoda.

Wyjął złożoną kartkę z rękawa i podał ją Hechtowi. Ten otworzył ją i rozprostował. Widniała na niej pieczołowicie narysowana mapa górnego obszaru Morza Vieranskiego. Czerwony okrąg obejmował dzikie ostępy górskie we Wschodnim Imperium.

— Coś tam jest. Odkryłem to, bo Krulik i Sneigon rekrutują weteranów do obrony tego czegoś. Zwrócono się do kilku moich agentów. Kazałem im się zapisać.

— Podejrzewam, że wiesz coś więcej.

— Oczywiście. Miejsce jest ukryte na trudnym, niemal opuszczonym terenie. Zaraza zmiotła tamtejszą ludność kilkaset lat temu.

To były straszne i dziwne czasy. Zaraza najmocniej dotknęła Wschodnie Imperium, gdy pramański podbój osiągnął apogeum okrucieństwa. Niektórzy wierzyli, że wielkie wędrówki ludzi spowodowały rozprzestrzenienie się zarazy w tym czasie. Populacje miast we Wschodnim Imperium były tak przetrzebione, że napłynęła do nich ludność ze wsi, w nadziei na poprawę swego losu. Wielu z nich też zginęło. Ogromne połacie ziemi wróciły do natury. I pozostały dziczą nawet teraz, wiele wieków później.

— Dlaczego właśnie tam?

— Wspaniała izolacja, a jednak rzeka na tyle szeroka, o łagodnym płycie, że można utrzymywać ruch małych barek na niej. Przepastna stara knieja, którą można zmieniać na węgiel drzewny. I pobliskie złoża minerałów. Nie najlepsze, ale wystarczające. Szczególnie jak się ma przymusową siłę roboczą. Nie ma tam żadnej władzy, która mogłaby im się do czegoś wtrącać. Przywódców szczepów można przekupić albo zastraszyć. Właśnie z powodu obecności tych dzikich plemion wynajmują zbrojnych. Właściciele planują wielką, krwawą demonstrację siły, kiedy tylko będą mieli pierwszą wymówkę. Już zaczęto szukać prowokacji. Chcą mieć przedsięwzięcie na wielką skalę, dzięki któremu będą mogli sprzedawać towar każdemu i staną się obrzydliwie bogaci.

— Rzeczywiście można tam zbić niezły majątek przy wytwarzaniu narzędzi do skutecznie zorganizowanego morderstwa. A co z siarką do wyrobu prochu? Przecież nie ma tam złóż siarki, mam rację?

— Będą musieli ją importować. Chyba że robią proch gdzie indziej.

— To miałyby większy sens.

— Zajmę się tym. Tak. Ale musisz pamiętać, że nie mamy już żadnej władzy.

— Rozumiem. No to będziemy udawać, że mamy. Sami będziemy stanowić nasze prawo.

— Ponadto otworzyły się nowe potencjalne źródła dla wywiadu. Z tego właśnie powodu.

— Naprawdę? — Hecht od razu okazał zainteresowanie.

— Wielu brotheńskim devedianom nie podoba się to, co wyczyniają Krulik i Sneigon. Tym, którzy widzieli, co się dzieje, gdy obwiniają devów. Takich jak uchodźców z Sonsy. Są pewni, że Krulik i Sneigon ściągną pomstę chaldarańskiego świata na społeczności devów.

— Nigdy nie wiadomo. — Po najprzedsniejszym śniadaniu, jakie przyrządziła Anna, Hecht pragnął tylko wrócić do łóżka.

— Wiem. Młot spadnie, bo chaldaranie będą przerażeni, że devowie mogą się uzbroić w jakąś budzącą grozę broń.

— I mogą mieć rację.

— Pewnie tak. Ale przypominam ci, devowie nigdy pierwsi nie wszczynali zamieszek.

— Titusie, oczywiście, że wszczynali. Choćby odmawiając uznania kilku oczywistych prawd religijnych.

— Jestem już bogobojnym neofitą, szefie, ale pieprzysz!

Hecht się roześmiał.

— Nie znalazłem niczego użytecznego na temat Ferrisa Renfrowa ani Pinkusa Ghorta. Nie chcę naciskać, szczególnie w wypadku Renfrowa. Nie chcę go zaalarmować. Jego sieć jest większa, bardziej wymyślna i o wiele bardziej zabójcza.

— I tu cię rozumiem, Titus. On mnie też niepokoi.

— Dziękuję ci. Z Ghortem problem polega na tym, że brakuje zasobów. Nie mogę wysłać kogoś do Grolsach. Jeśli Ghort naprawdę stamtąd pochodzi. Śledczy nie przeżyłby tego doświadczenia.

— Oczywiście. A co z utrzymaniem?

— Tu też niewiele się dowiedziałem. Zniknął w dniu śmierci Bonifacego. Może uciekł do Imperium, w przebraniu. Może żyje na ulicy. Ktoś mógł go też zadźgać. Wszystkie trzy hipotezy można udowodnić. Dlaczego tak cię to obchodzi?

— Mieszkał z prowincjałem Delarim. Słyszał różne rzeczy. Prowincjał jest zaniepokojony, że mógł je rozpowiadać.

Hecht się zastanawiał, czy Cloven Februaren poradziłby sobie z Osą Stile. Mógł zapytać.

— Rozumiem — powiedział. Ton głosu sugerował, że Titus wie, iż nie słyszy całej prawdy.

Heris zmaterializowała się w obrocie za oparciem krzesła Titusa. Rozdziawiła usta. To była jej wielka wpadka. Znow się pospiesznie zakręciła.

Zgoda poczuł raz i drugi ruch powietrza za plecami, ale Heris zniknęła, zanim zdążył się odwrócić.

— Co to było, do diabła? — zapytał z niepokojem.

— Duch? Coś. Zjawilo się tam tylko na ułamek sekundy.

— Ale...

— Gdyby to był mój dom, zmusiłbym Annę do przeprowadzki — powiedział Hecht. — Zbyt wiele dziwnych rzeczy dzieje się w tej okolicy.

Nie mówiąc o znacznie poważniejszych zagrożeniach, takich jak ludzie wysadzający wozy wyładowane baryłkami z prochem strzelniczym. Co znowu?

Ktoś zaczął walić w drzwi.

Hecht ruszył się w tę stronę.

Pella przemknął obok niego. Bardzo był zawiedziony, kiedy odkrył, że przed drzwiami stoi Heris.

— Moja dusza też cierpi, że muszę być tu z tobą, Pella. Muszę zobaczyć się z twoim ojcem — powiedziała do niego.

Ale teraz już wszyscy się zeszli, by sprawdzić, co się dzieje.

— Myślałem, że to Kait Rhuk — Pella zwrócił się do Heris. — Powiedział, że może wpadnie... Ach.

Liczne pary oczu zaczęły świdrować go spojrzeniem. Hecht zadał właściwe pytanie.

— Kiedy widziałeś się z Kaitem Rhukiem? — Nie padła żadna odpowiedź. — Wyraźnie pamiętam, jak ci mówiłem, żebyś nie wychodził z domu.

— Mogę przeprowadzić przekonującą demonstrację, Piper. — Heris przypomniała im o swojej obecności. — Między innymi dlatego dziadek mnie wysłał.

Wyjęła lśniący brązowy czop z mahoniu o przekroju dwóch i pół centymetra i długi na osiemnaście. Odnalazła środek pokoju, uniosła kawałek drewna nad głowę, zamknęła oczy i zaczęła się obracać. Śpiewała, fałszując, w języku, który przypominał kościelny brotheński. Mahoniowy trzpień kręcił się, drgał i kiwał na boki, po czym zniknął w oślepiającym szkarłatnym rozbłysku. Po dwóch kolejnych rozbłyskach niebo rozdarła błyskawica.

Hecht musiał przyzwyczaić wzrok. Trzy ściany zdobiły teraz trzy czarne kształty, każdy blisko rogu pokoju. Sięgały wysokości kolan, były też niemal tak samo szerokie, w ogólnych zarysach przypominały postaci ludzkie, lecz pozbawione szyi i demoniczne.

O krok za Hechtem leżało coś bardziej namacalnego. Dziesięć kilogramów już gnijącego, zielonkawego truchła, z którego wyciekały strumyczki zgniłozielonej cieczy. Kilkanaście kończyn, lśniących, żółtych niczym jaszczurczy brzuch, leżało rozrzuconych wokół woniejącej masy.

— Pella, my właśnie z tym mamy do czynienia — odezwała się Heris. — Są najmniej niebezpieczne z nich wszystkich. Kiedy wychodzisz bez osłony, takie maszkarony jak ten leżą wraz z tobą. Niektóre mogłyby cię zmienić w taką samą zieloną masę, gdyby ich pan im kazał. O, tak. — Strzeliła palcami. — Piper, właśnie byłeś świadkiem triumfu rzemiosła nad brakiem talentu. Starzy potrafią nawet małpkę zmienić w zabójczą broń.

Hecht posłał Pełli twarde, wiele zapowiadające spojrzenie, po czym zwrócił się do Heris:

— Dlaczego się tu zjawiłaś? I jak te koszmarki dostały się do domu? Wydawało mi się, że prowincjał zaklął wejścia przeciwko Nocy.

— Są sposoby, by wjechać na kimś przez zapory. Jeśli ktoś się spieszy i nie podejmuje środków zapobiegawczych, Pella.

— Pella, tam mogło czekać coś o wiele paskudniejszego — dodał Hecht. — Coś, co mogłoby cię zabić, zanimbyś się zorientował, że tam jest.

— Titus, czas na nas — oznajmiła Noë Zgoda. — Musimy porozmawiać, kiedy wrócimy do domu.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco.

— Nie powiedziałaś mi, Heris, czemu się tu zjawiłaś — drążył Hecht.

— Po części z tego powodu. Żeby wytłuc to robactwo.

— Proszę cię...

— Jak zwykle, kiedy jestem w mieście, wysyła mnie dziadek. Tym razem, oprócz wypędzenia tych robali z domu Anny, kazał mi ostrzec cię przed tym, co za chwilę usłyszysz od Łagodnego. Chce, żebyś uważał. A poza tym tamten starzec znów zniknął. Choć namieszał zdrowo, zanim odszedł.

Heris odwracała się wolno, kierując kij w każdy róg i w każdy cień oraz na Titusa, jego żonę i dzieci. Nie dbała o to, że ktoś się może obrazić.

Szła ścieżką wypaloną przez swoich męskich przodków.

— Nic nie uciekło, kiedy weszłam. Anno, rozejrzyjmy się szybko wokół. Może być tego więcej. Pella, nie podchodź.

Oszołomiona Anna opuściła pokój wraz z Heris. Rodzina Zgodów miała na tyle rozumu, by zostać na miejscu.

— O co tu w tym wszystkim chodzi? — zapytał Titus.

— Widziałeś, co robię.

Bojaźliwa Noë załamała ręce, zebrała swoją gromadkę i czekała na sygnał od mężczyzn.

— Pella, czy mam cię przywiązać do czegoś, żebyś wreszcie przestał? — zniecierpliwiał się Hecht.

— Chciałem tylko zobaczyć.

— A co by było do oglądania, gdybyś zrobił, jak ci kazano? Kiedy wróciłeś, wpuściłeś tu te paskudztwa. Chłopcze, konsekwencje mogły być poważne...

Znów oślepiające czerwone światło. *Trzask!* Zakołysało całym domem. Ryk wściekłości i bólu. W kuchni Anna pisnęła z przerażenia.

Hecht i Zgoda ruszyli w tamtą stronę. Jakby mogli zrobić coś, z czym Heris nie dała rady.

— To będą już wszystkie. Ten był duży — oznajmiła po powrocie Heris, obrzucając Pellę złym spojrzeniem. Było jasne, że chciała coś dodać, ale nie mogła przy Zgodach. — Dziadek wysła kogoś, żeby tu posprzątał. Najpewniej sam się pojawi, by zrobić tak, żeby to się więcej nie zdarzyło. — Pella już się cały kulił. — Sama bym posprzątała, ale... On wyczyta z tego więcej niż ja. No bo jestem w końcu tylko dziewczyną na posyłki.

— Ale miałaś jakiś konkretny pomysł, by się tu zjawić?

— Mówiłam ci. Podejrzywał problemy, które ja wyprostowałam. 1 chciał, żebyś wiedział, że w Krois coś się święci. Że będziesz się widział z Łagodnym i że powinienes być bardzo czujny, kiedy to się wydarzy.

Hecht był pewien, że jest coś więcej, ale Heris nie chciała o tym mówić przy Titusie.

— Idź, pociesz Annę — rzekła tylko. — Nie lej Pełli. Każ mu usiąść w kuchni, żeby miał to truchło na oku. Może coś do niego dotrze.

Wyszła frontowymi drzwiami wprost w pogodny poranek. Bardzo ostrożnie.

Anna była roztrzęsiona. Stała w rogu kuchni, przyciskając dłonie do piersi, i gapiła się na zezwłok taki sam jak w pokoju, ale pięciokrotnie większy. Dymił cały. Cuchnął. Hecht zastanawiał się, czy można teraz otworzyć okno.

Lepiej nie. Dopiero kiedy ekspert zawyrokuje, że jest bezpiecznie.

— Jakże to coś mogło być niewidzialne? — pytała głosem przestraszonej dziewczynki Anna. — I nie było go słychać ani czuć? — Już mniej rozkojarzona i bardziej stanowcza, dodała: — Nie mogę tak żyć, Piper. — Po chwili: — To wszystko dzieje się przez ciebie. I wtedy, kiedy tu jesteś.

Prawdopodobnie nie było to do końca prawdą, ale się nie spierał.

— Nie zabawię długo. Mogę przenieść się do Castelli. Jeśli będzie ci z tym lepiej.

Obserwował, jak Anna walczy z sobą, by zachować się jak dorosła osoba. Chciała na niego nakrzyczeć, że tak ochoczo gotuje się do opuszczenia jej. Nawet po tym, jak mu powiedziała, że nie może znieść jego obecności. Dopiero po chwili, kiedy powiedziała mu, że nie opuści tego domu, żeby się przenieść gdzie indziej. Nawet jeśli po przeprowadzce znalazłaby się poza zasięgiem osoby gotowej wypuścić przeciwko niej Delegatury Nocy.

Anna brała jeden głęboki wdech za drugim. Wróciły jej kolory. Gniew stopniał. Wiedział, że chce, żeby wypowiedział jakieś magiczne słowa, które zamknęłyby bez problemu całą sprawę. Nie odezwał się. Wykraczało to poza jego umiejętności. Miał typowe dla sha-lugów poczucie, że jest trybikiem w większej maszynie. Brał, co mu dawano, i nie patrzył poza to. W przeciwnym razie w oczach Boga popełniłby grzech pychy.

— Wszyscy jesteśmy pionkami w grze — zauważyła Anna. — Nie mamy wyboru, bez względu na to, jak byśmy biadolili na niesprawiedliwość. Nigdy nie żałowałam, że przybyłam tu za tobą. Ale czasami tęsknię za spokojnym, starym życiem.

Hecht wziął ją w ramiona. Dobrze mu było, kiedy miał ją przy sobie. Dobrze było ze świadomością, iż wyrwał swoją zastępczą rodzinę z ludzkiego wiru i od wyrzutków jak on sam. Choć wcześniej założył własną rodzinę.

— Wciąż mamy gości, Piper.

Nie na długo. Noë Zgodzie wystarczyło wrażeń, jakie jedna płochliwa kobieta może wytrzymać przez jeden poranek. Titus bardzo przepraszał, wychodząc z żoną.

— Rozumiem, Titus — pocieszył go Hecht. — Gdybym to jak był na miejscu Noë i miał pod opieką tę gromadkę, też nie chciałbym się znać. No, popatrz na to.

Powóz prowincjała Delariego zbliżał się w otoczeniu jeźdźców uzbrojonych w broń palną. Nosili tłące się wiechcie na kapeluszach.

— Jak, do diabła, on tu tak szybko dotarł? — mruknął Zgoda.

— Musiał wyjechać wcześniej.

Titus łypnął na niego podejrzliwie. Nie kupił tego w całości, choć musiało być w tym trochę prawdy. Coś się szykowało. Nie cieszył się wystarczającym zaufaniem, by dopuszczono go do wewnętrznego kręgu.

— Titus, jest zasada: im mniej wiesz, tym krócej będziesz przesłuchiwany.

— Rozumiem. — Ale zadowolony nie był. Spoglądał na powóz i jeźdźców. — Mówią, że to czarownik. I że wie, kiedy podsłuchujące istoty są w domu.

— On naprawdę jest czarownikiem. I to o wiele bardziej przerażającym, niż ludzie zdają sobie z tego sprawę. Będę cię informował na bieżąco o moich planach.

— Bądź ostrożny. Naprawdę nie uśmiecha mi się szukanie innej roboty.

— Głos otuchy. Doskonale.

Hecht rozejrzał się po ulicy w poszukiwaniu gapiów interesujących się domem Anny Mozilli. To, co zobaczył, przstraszyło go. Dwóch z jego dawnych gwardzistów kręciło się w pobliżu, starając się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Jednak nie za bardzo im wychodziło.

Czy wciąż był pod ochroną Bractwa? Jeśli tak, to dlaczego? Kasztelanowie, mistrzowie komandorii oraz starsi bracia w Runch, wszyscy oni lubili energicznych Patriarchów. Teraz mieli takiego człowieka. Tylko że obsesja Łagodnego nie skupiała się na Ziemi Świętej.

— Piper? Zagubiłeś się w drugim świecie?

Zamrugał kilka razy. Twarz Heris znalazła się na wprost niego. I patrzył na to Titus, najwyraźniej zastanawiając się, w jaki sposób blondynka przyjechała z prowincjałem Delarim.

— Nie, zagubiłem się w tym tutaj.

Jedenasty Nieznany zsiadł z wozu przy pomocy stangreta i przygarbiony ruszył w stronę domu drobnymi krokami.

— A jemu co się stało? — zapytał Hecht.

— Nic. To kamuflaż ochronny. Świat nie musi wiedzieć, jaki jest rześki. Szczególnie ci, co mieszkają w Krois.

— Rozumiem. Będą bardziej cierpliwi, jeśli pomyślą, że jest na krawędzi życia.

Delari wyprostował się, kiedy tylko zamknięto drzwi. Popatrzył na domowników. Najwyraźniej nie był w szampańskim nastroju. Pod jego spojrzeniem Pella aż się skurczył. Kiedy spoglądał na Vali i Lilę, nie było w tym spojrzeniu łagodnej pobłażliwości.

— Dziewczynki, wracajcie do swoich zajęć, jakby mnie tu w ogóle nie było. Pella, posprzątasz po tym, coś nawyczyniał. — Wskazał na zielone truchło. — Ale już! — dodał ostrzejszym tonem, kiedy Pella już otwierał usta w proteście.

Chłopak nie wiedział, co powinien robić ani od czego ma zacząć. Heris chwyciła go za ucho i powiodła do kuchni.

Delari przyglądał się Annie tak długo, że w końcu nie wytrzymała:

— No co? — rzuciła niezbyt uprzejmie.

— Jesteś gotowa przeprowadzić się w bezpieczne miejsce, czyli do mojego miejskiego domu?

— Co takiego? Nie! To jest mój dom.

— Nie mogę cię tu chronić. Jesteś za daleko.

— Nie potrzebuję ochrony, kiedy nie będzie tu Pipera. A on zaraz i tak pogna do Alten Weinbergu.

— Jeśli tak postrzegasz fakty, to chylę głowę przed twą kobiecą mądrością. Tak czy inaczej to Piper mnie niepokoi. Zaproponowałem przyjaźń i ochronę, ponieważ jesteś dla niego ważną osobą. Nie przychodzi mi to z łatwością. Nie będę się jednak spierał. Chcesz zostać sama, proszę bardzo.

Anna patrzyła na Delariego dużymi, ciemnymi oczami, które zrobiły się jeszcze większe niż zwykle.

Pella wszedł, potykając się, i skierował się do drzwi wyjściowych. Targał nocnik wypełniony cuchnącym demonim cielskiem. Heris otworzyła mu drzwi.

— Z tobą też nie zamierzam się kłócić, Piper — zwrócił się do niego Delari. — Zostaniesz w miejskim domu do końca swojego pobytu w mieście. To nie była prośba. Tak właśnie będzie. Nie strzęp sobie nawet języka.

Piper Hecht postanowił unikać sprzeczki. Na razie. Nie mógł jej wygrać, nie tracąc prowincjała. I miało to sens. Zakładając, że wciąż miał wrogów. Powiedzmy, kogoś na tyle potężnego, że wysyłał potworki Nocy, by szpiegowały w domu Anny.

Hecht pochwycił spojrzenie Anny i zerknął na gnijącą stertę mięcha niedaleko miejsca, w którym stał. Ten potwór wszedł tu z Pella, a nie z Piperem Hechtem.

Zmieni zdanie. Miał taką nadzieję.

Choć wciąż rozdrażniona Anna zrozumiała, że jest to walka, której nie może wygrać. Wyszła z pokoju sprawdzić, co robią dziewczynki.

Pella, powłócząc nogami, wrócił z pustym nocnikiem. Zaczął zbierać resztki we frontowym pokoju.

Wysłuchawszy relacji Hechta, prowincjał Delari zauważył:

— Szala przechyliła się na twoją korzyść. Na razie.

— Nie rozumiem.

— To nie ma znaczenia. — Delari wzruszył ramionami. — Bylebyś tylko zachował ostrożność. No dobrze. Zostaniesz wezwany przed oblicze Łagodnego. Spodziewaj się, że będzie dla ciebie nieprzyjemny i obraźliwy, jednak nie na tyle, by spalić za sobą mosty. Chcę wykorzystać tę wizytę, by sprawdzić, jakie u niego zastosowano środki ostrożności.

— Wiesz, że nie pozwoli mi wejść z czymś, co mogłoby stanowić zagrożenie.

— To nie będzie nic takiego. Tylko coś w stylu tych stworów, które wylewiła tu Heris. Pella! Piper, ten chłopak się ociąga. Najwyraźniej potrzebuje bezpośredniej zachęty.

— To chłopak. Chłopcy w jego wieku tak właśnie robią.

— Niech ci będzie — mruknął Delari. — Ja nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był tak młody.

Heris i Pełła wrócili z kolejnej wyprawy do rynsztoka. Pella taszczył ze sobą wielki nocnik. Heris niosła zakryty kamionkowy garniec. Trzymała go ostrożnie, jakby był gorący.

— Jesteś gotowy, dziadku?

— Tak. Postaw to.

Wykonała polecenie. Delari zdjął pokrywkę. Ze środka buchnęła wonna para.

— Cholera, ależ to ładnie pachnie! — Hecht nachylił się nad garnkiem.

Wyglądało to na jagnięcinę z ryżem, czerwoną fasolą, kawałkami warzyw, doprawioną mocno czosnkiem, koprem włoskim i jeszcze czymś niesprecyzowanym.

— To szczytowe dzieło pani Creedon — oznajmił Delari. — Wyjął jakąś paczuszkę z kieszeni i dodał czegoś, co wyglądało na wysuszone kapelusze grzybów, po czym wymieszał wszystko drewnianą łyżką podaną mu przez Heris.

— Zostawmy to na chwilę, niech się przegryzie. — Heris nakryła naczynie pokrywką. — Jestem pewien, że Anna dobrze was karmi — ciągnął prowincjał. — Już sobie dzisiaj pojedliście. Ale kiedy dam znak, musicie to wszystko wmłócić. Szczególnie ważne są grzyby.

— Dlaczego?

— Wyjaśnię, kiedy wrócisz. Ponadto musimy zdjąć amulet dziadka, zanim tam pójdziesz. Tego właśnie będą szukać. Bronte Doneto już i tak jest podejrzliwy, bo tyle przeżyłeś. Założymy go z powrotem, kiedy wrócisz. Bądź bardzo ostrożny, kiedy nie będziesz go miał przy sobie.

Hecht miał całą masę pytań, ale nie miał okazji ich zadać.

— Czas na posiłek. — Delari podniósł kamionkową pokrywkę.

Heris wyciągnęła cynową łyżkę. Pella osunął się na krzesło, sarkając, że musiał wykonać całą pracę sam.

Na zewnątrz rozległ się jakiś stukot i powóz prowincjała odjechał w pośpiechu. Heris odwróciła się gwałtownie i znikła. Wróciła, boksując bokami, po kilku sekundach. Anna i dzieci gapily się na to, jakby widziały coś takiego pierwszy raz w życiu.

— Patriarszy posłaniec jest o kilka ulic stąd, dziadku — rzekła Heris. — Ruszajmy do roboty. Obserwatorzy na ulicy muszą zapomnieć o wszystkim,

co widzieli, po wyjściu porucznika Zgody.

— Jasne. Rób, co możesz, a ja tu wszystkiego dopilnuję. Piper, mów otwarcie z Patriarchą. Nie zdradzaj niczego sam. Niech się trochę napoci, żeby się czegoś dowiedzieć. Jedz, do cholery! Grzyby jedz. I wystaw lewą rękę, żebym mógł ściągnąć amulet. Anno, przyjdź tu na chwilę z dziewczynkami.

Walenie w drzwi domu Anny znamionowało arogancję. Anna otworzyła wzburzona. Była zdezorientowana, jak ktoś, kto wpada do pokoju, bo wie, że ma coś pilnego zrobić, ale nagle nie może sobie przypomnieć, co to było. Dzieci były równie zagubione.

Piper Hecht zajął miejsce na ulubionym krześle. On również czuł się nieswojo. Coś się wcześniej wydarzyło, ale nie był pewien co takiego. Potarł lewy nadgarstek. Był jakiś dziwny. I wilgotny. Swędziało go tam.

Zaniepokoił go niewielki skurcz w żołądku. Beknął.

Człowiek w drzwiach zachowywał się wobec Anny bardzo nieprzyjemnie. Hecht podszedł do drzwi, odsunął dzieci i Annę na bok i walnął faceta prosto w nos.

— Pella, przynieś mój miecz. I szmatę na krew.

Na dworze nosił przypasany krótki miecz. Choć broń była już wcześniej w użyciu, stanowiła raczej symbol niż treść.

— Tylko nie daj się sprowokować, Piper — prosiła Anna.

— Nie dam się, moje ty słodkości. Za bardzo. Musiałem tylko trzepnąć tego gnojka. Najwyraźniej zapomniał dobrych manier, których go mamusia nauczyła.

Celowe użycie słowa „gnojka” najprawdopodobniej miało na celu zwrócenie uwagi tego człowieka bardziej niż obrażenie go. Wszyscy w Brothe wiedzieli, że Naczelnny Wódz — obecnie w stanie spoczynku — używa nieparlamentarnego języka wyłącznie mocno sprowokowany. — A może doczekamy się, aż te maniery się poprawią, co, panie Siło?

Hecht przelotnie znał tego człowieka. To Skok Na Główkę Siło. Powiązany z nowym Patriarchą. Ambitny zbir bez krztyny umiejętności niezbędnych do zajęcia w jego mniemaniu należy mu pozycji. Bractwo go nie przyjęło i w czasie trzytygodniowej kariery w siłach patriarszych był podkomendnym Naczelnego Wodza Pipera Hechta, a potem zwolniono go z

oddziału policji w Miejskim Regimentzie, gdy mu się nie udało tam błysnąć. Miał wyłącznie powiązania rodzinne.

Oczywiście żaden z jego problemów nie powstał z jego winy.

Hecht zastanawiał się, co Siło robił, pracując dla Łagodnego, bez względu na koneksje. Bronte Doneto rzadko pozwalał sobie ignorować niekompetencję.

Siło, bez wątplenia, miał być spisany na straty w jakimś spisku.

— Czy dotarło do pana, panie Siło? A może mam panu jeszcze coś innego złamać?

W oczach Skoku Na Główkę Siła pojawił się czysty jad. Były Naczelnny jeszcze odpłaci mu za to upokorzenie. Ale teraz chciał tylko, żeby go bardziej nie bolało.

— Tak panie. Nie, panie, ja właśnie...

Hecht cofnął się, gotów pofolgować sobie jeszcze raz.

— Panie, Patriarcha wysłał mnie, żebym przywiódł pana do niego. Chce się pana poradzić. Osobiście.

Ciekawie powiedziane. Wezwanie, lecz nieco złagodzone.

— Naprawdę? W takim razie muszę iść. — Hecht przypiął podany przez Pellę miecz. Sprawdził, czy łatwo się wyciąga. Jakby zachęcał pana Siło. — Dziękuję, synu.

Ciekawa podróż, ta do Krois. Ludzie Patriarchy nie przybywali w powozach czy konno. Szli, chłonąc poranne słońce. Patriarcha chciał przekazać wiadomość tej zbieraninie. Hecht miał wątpliwości, czy dobrze zrozumieli przesłanie Łagodnego. Wyczuwał gniew na to, co wyglądało jak aresztowanie bohatera.

No i tak. Może Bronte Doneto czuł się zagrożony ze strony Pipera Hechta, tak jak Gordimer Lew — ze strony Else'a Tage'a.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzął po drodze, widział kryjącą się w cieniu wysoką blondynkę o twardym spojrzeniu. Siło i jego pomagierzy jej nie zauważyli.

Heris musiała w końcu poznać każdą piędź ziemi w Brothe.

Bez amuletu Hecht czuł niezliczone ogniska napastliwości, skupiska Nocy o niskiej mocy, których normalnie by nie dostrzegał. Jego towarzysze jednak nie czuli niczego albo po prostu to ignorowali.

Musi to mieć jakiś związek z amuletem Clovena Februarena.

Co teraz knuje ten stary?

Hecht został przeszukany i dokładnie sprawdzony, a następnie uwolniony od broni wszelkiego rodzaju oraz wszelkich przedmiotów mogących być amuletami. Podczas tego przeszukiwania dwa razy głośno beknął. Problem narastał w miarę zbliżania się do Krois. Kiedy wchodził do komnaty Patriarchy, znów potężnie beknął.

— Mój żołądek odmawia przystosowania się do brotheńskiej kuchni — zdobył się na przeprosiny.

— Czy to bolesne?

— Tak, Wasza Świątobliwość, boli. — Kolejne cichsze beknięcie wyrwało się na wolność.

Łagodny zdawał się być zadowolony.

— Będę z tobą szczery, Hecht. — Przeszedł do sedna sprawy. — Nie podobasz mi się.

Nie mówiąc ani słowa, ale też nie okazując, co o tym myśli, Hecht jawnie to zlekceważył. Mógł się sprzeczać, ale nie chciał. Bez sensu. Wszechświat Bronte'a Doneto obracał się wokół Bronte'a Doneto. Reszta świata istniała, by spełnić ambicje Bronte'a Doneto.

— Nie masz nic do powiedzenia?

— Nie, Wasza Świątobliwość.

— Penital rozpowiada, że przenosisz swoje posłuszeństwo na Imperium.

— Znalazłem się bez zajęcia. Imperatorową zaproponowała mi stanowisko.

— Rozumiem, że zaproponowała ci to już wcześniej. Odrzuciłeś jej propozycję.

— Musiałem wypełnić zobowiązania.

— A jeśli na przykład ci tego zakazę?

— Nie pracuję dla ciebie, panie. — Hecht wzruszył ramionami.

— Jestem Patriarchą.

— Imperatorową może to uznać za niestosowne mieszanie się Kościoła do spraw Imperium. W czasie, kiedy dźwiga niezwykle ciężkie brzemie powrotu do polityki ojca.

— Ty chcesz się ze mną kłócić?

Hecht potężnie beknął, co zostało jeszcze wzmocnione przez dźwięk wydobywających się drugą stroną gazów.

— Wasza Świątobliwość? Nie! Staram się uświadomić ci, panie, jak inni mogą postrzegać twoje postępowanie. I jak niektórzy mogą zareagować. Nie chciałbym przywoływać bolesnych wspomnień...

— Ale?

Hecht machnął ręką, by przyspieszyć rozejście się wypuszczonych gazów.

— Proszę przypomnieć sobie, co stało się w Connec, z innymi ludźmi, którzy nie darzyli cię, panie, takim uwielbieniem, jakim sam siebie darzysz.

Ojć! Nie najlepiej to wyszło.

Gniew przemknął przez oblicze Łagodnego i zniknął. Patriarcha podejrzewał, że wystawiono dla niego przynętę, prawdopodobnie niecelowo.

— Jest jeszcze inna sprawa. Cóż, właściwie dwie. Jedna to zniknięcie broni i sprzętu należącego do naszych sił.

— Wasza Świątobliwość, wszystko zostało spisane, kiedy zdawałem dowodzenie. Moja ekipa robiła precyzyjne zapiski. Korupcja, z jaką ma się do czynienia w innych armiach, została wypleniona pod moim dowództwem.

— Tak też słyszałem. — Łagodny nie był zachwycony, gdy musiał to przyznać. — Słyszałem skargi podczas bezkrólewia.

— Ludzie naprawdę składali skargi, bo nie pozwoliłem im rozkradać dobra Kościoła?

— A tak. Choć brzmiało to zupełnie inaczej.

Hecht wypuścił wzbierające gazy, już mniej subtelnie.

— Wasza Świątobliwość, jeśli masz, panie, problemy z zaginionym sprzętem, to może powinieneś się zwrócić do tych, których wysłałeś, by przejęli moich zbrojnych. — Hecht wypuścił długi, cichy strumień gazów, odsuwając się, by uniknąć pierwszego impetu.

— Miałem nadzieję, że to wszystko będzie o wiele prostsze.

— Pinkus ma wszystkie inwentury. — Hecht miał nadzieję, że Ghort niczego nie podwędził. — Na wszystkim widniały numery inwentarzowe. Co który miał, będzie na liście.

— W takim razie jeszcze raz to sprawdzę.

— A druga sprawa?

— Twoja znajomość z Munierem Delarim. Ciekawi mnie bardzo. Ale jeszcze bardziej mnie interesuje, co się dzieje w jego miejskim domu.

— Spodziewa się Wasza Świątobliwość, że będę wszystko opowiadał? Bardzo wiele zawdzięczam Prowincjałowi Delariemu.

— No ja myślę. Przejął nad tobą opiekę po śmierci Grade'a Drockera. Choć zainteresowanie Drockera twoją osobą nigdy nie miało większego sensu. A teraz słyszę, że kolejny łotr czai się w tym miejskim domu. Niejaki Cloven Februaren, który samozwańczo nazywa się Dziewiątym Nieznanym. Ale Cloven Februaren podobnież umarł, zanim ja się narodziłem.

— Prawdopodobnie, panie, mówisz o staruszku, który mieszka sobie w pokoju w części domu, która nie była używana od lat. Utrzymuje, że jest dziadkiem prowincjała. Niewiele o nim wiem. Często go nie ma. Kiedy jest, przeważnie robi wszystkim kawały. Prowincjał nie przepada za nim. Mówi, że chciałby, żeby ten starzec już sobie poszedł. Myślę, że trochę się go obawia. — Hecht przypomniał sobie, jak Delari mówi, żeby nie wyskakiwał z niczym sam z siebie. Czy coś było nie tak? Wypuszczono coś w sali, by rozwiązać mu język? — O Boże!

— Co jest?

— Mój brzuch. Słodki Aaronie! — Chwycił się za brzuch. Tym razem moc pierdnięcia przewyższyła wszystko, co już poszło w atmosferę. Nozdrza Hechta jeszcze czegoś takiego nie doświadczyły. W kilka sekund dotarło to do Łagodnego. Rozkojarzyło to Patriarchę na tyle, że zdławił w sobie gniew. Kiedy Hecht powtórzył salwę, niemal natychmiast, Doneto zapytał stanowczo:

— Długo to tak trwa?

— Nie aż tak, Wasza Świątobliwość. — Poczuł skurcz. Jeśli coś rozpylono w powietrzu, gazy powinny to zneutralizować.

Patriarcha zaczął wywarkiwać rozkazy do swych dworzan:

— Otwórzcie okna, zróbcie przeciąg w komnacie. Przynieście świece i pochodnie. *No, zróbcie coś!*

Nic nie pomagało. Robiło się coraz gorzej. Łagodny chciał prze-czołgać i zmusić do uległości swojego byłego Naczelnego Wodza, ale zamieszanie było zbyt wielkie. Hechtowi już też było tego za dużo i poprosił w końcu:

— Wybacz Wasza Przewielebność. Proszę, coś jest nie tak. Muszę iść do brata medyka.

Nie udało mu się wyciszyć najbardziej z zajadłych jak do tej pory salwy. Udało mu się przybrać minę wielkiej podejrziwości.

— Dlaczegoście mi to zrobili?

Wielki wystrzał poprzedzał jedynie serię pomniejszych. Świece i pochodnie nie pomagały. Patriarcha ze złością nakazał wyrzucić Pipera Hechta z Krois, mamrocząc coś o przełożeniu audiencji. Zaprzeczał, że ma cokolwiek wspólnego z przypadłością Hechta w obliczu wzmożonego bólu i emocji samego zainteresowanego.

Patriarchalna Gwardia zdawała się nie dowierzać zapewnieniom swego mocodawcy.

Kiedy Hecht doszedł do południowego brzegu Teragi, jego procesy trawienne unormowały się już niemal całkowicie. Roztrzęsiony usiadł na jednej z kamiennych ław na skraju Memorium, spoglądając na tysiące pomników upamiętniających zwycięstwa oraz postacie z zamierzchłych czasów. Starał się być czujny, ale cierpienie całkowicie pochłonęło jego uwagę.

Nie był świadomy obecności Heris, dopóki nie usiadła obok niego.

— Poszło o wiele gwałtowniej, niż chciał dziadek, Piper.

— He?

— Obserwowałam. Zbliżyłam się na tyle, na ile mogłam, nie wplątując się w sieć zaklęć. Miałeś tylko przecierpieć całą serię cichcieli komnatowych.

— Byłaś tam?

— A pewnie, że byłam.

— Dowiedzą się. Doneto jest najpotężniejszym czarownikiem w Kolegium.

— Miał się dowiedzieć, że ktoś tam był. Że to coś weszło tam wraz z tobą i wyszło, kiedy ty wyszedłeś. Że masz strzegącą cię Delegaturę.

Nie będą szukać poza agencją. My tylko potwierdziliśmy, co już od dawna podejrzewają.

Gazy znów uszły z Hechta. Pomachał ręką, rozwiewając je na wietrze.

— A więc czego dokonałem?

— Zabrałeś bandę szpiegów cienia do Krois. W sobie. Żeby nikt nie wiedział, co szmuglujesz. Bardzo sprytnie, dziadku.

— Jasne, pewnie. Czy powinniśmy tu rozmawiać o tym?

— Kiedy słońce tak wysoko na niebie i mocno świeci? Cóż... może i nie powinniśmy. Ktoś mógłby się zacząć zastanawiać, widząc nas razem.

— Naprawdę?

Heris nie była powszechnie znana w mieście. Mimo to jednak mogłaby wzbudzić ciekawość w zestawieniu z Piperem Hechtem.

— Łagodny naprawdę chciał mnie przesłuchać na temat prowincjała, naszych stosunków i nawet w sprawie Clovena Februarena. Gazy mnie ocaliły, bo musiałbym się gęsto tłumaczyć.

— Na razie. — Roześmiała się. Zaskoczyło to Hechta. Przecież nie miała ani krztyny poczucia humoru. — Może kazać cię obserwować, żeby trafić na twój bezgazowy nastrój. — Kolejna uszczypliwość. — Kiedy wszyscy wychodziliście, ja stałam za tapiserią, o kilkanaście metrów od tej komnaty. Myślałam, że się zakrztuszę. Powiem dziadkowi, że został twórcą nowej, straszliwej broni.

— Jeśli chce tak dalej robić, to niech lepiej testuje te grzyby na tych, na których mu nie zależy. — Znow niewielki grzmot. — Ból nie był tego wart. I zdaje się, że powraca z nową siłą.

— Och! No to ruszajmy. I tak musisz się dostać do miejskiego domu. Trzeba ci włożyć amulet z powrotem. Nie chciałbyś być wystawiony na nieprzewidziane okoliczności dłużej niż to konieczne.

Tym razem łagodne puszczenie wiatrów. Hecht rozejrzał się po Memorium; na brzegu rzeki dostrzegł kilku obserwatorów. Nie było się tu gdzie schować, by móc swobodnie przepatrywać teren.

— Jeśli dzwony alarmowe miały się odezwać na nasz widok, to już jest za późno.

Jeszcze jedno zerknięcie na Memorium.

— Lepiej pójde naokoło. Może się tu stać coś niedobrego.

Po drodze opowiedział Heris, jak niegdyś zasadził się tu na niego łucznik, oraz o walce z calzirskimi piratami wśród tych pomników.

— Jeśli Dziewiąty Nieznany jest choć w połowie szczery, co jest mocno wątpliwe, wszędzie powinieneś się czuć niemal tak samo. Wtedy zaczął cię chronić na pełny etat.

— Powinno być inaczej teraz, kiedy nie mam zajęcia.

Po wysłuchaniu relacji Hechta z audiencji u Patriarchy, która trwała dwukrotnie dłużej niż sama wizyta, prowincjał Delari zauważył:

— Może byś wyjechał z miasta, zanim Łagodny znow cię wezwie? — Starzec był strasznie zadowolony z siebie, z powodu umieszczenia agentów cienia w Krois. — Jeśli nie będzie mógł cię przepytać, nie będzie wiedział.

— Pewnie masz rację. Choć będę tęsknił za zajęciami w Konstrukcie.

— Nie myśl, że nie wyczułem sarkazmu.

— Wybacz. — Hecht westchnął. — Naprawdę zaczynam posługiwać się nim do komunikacji.

— Czeka mnie obchód. Jest jeszcze kawa w tym dzbanku, Heris?

— Jest, dziadku. Ale musimy odnaleźć przemytnika. Ziarna już się prawie kończą.

— Powiedz Turkingowi. On zna człowieka, który zna człowieka, który wie, jak zdobyć ziarna. A zrobimy tak.

Ludzie Hechta zaczęli się zgłaszać w ciągu kilku godzin po tym, jak rozesłano wieści o jego zamierzeniach, w nadziei, że przejadą przez pasmo Jago przed zmianą pogody. Ambasador Imperium zapewnił kwatery w Penitalu. Kadra miała się tam przeprowadzić bez rodzin i pracować po osiemnaście godzin na dobę, wdzięczna za wikt i opierunek.

Titus Zgoda zapukał we framugę drzwi niewielkiego pokoju, który Hecht zaanektował na swój użytek, i usłyszawszy zaproszenie, wszedł do środka.

— Myślę, że mamy odpowiedź od wszystkich, którzy mieli usłyszeć wieści. Więcej ich, niż się spodziewałem. Kait Rhuk nie może się doczekać, żebyśmy już ruszali. Pozwoliłem jemu, Vircondeletowi i kilkunastu innym zaczynać już od rana. Jest z nimi Hagan Brokke. Pozostali to szpiedzy i kwatermistrzowie. Och, Drago Prosek mówi, że też chce dołączyć. Twierdzi, że Bractwo jakoś sobie bez niego poradzi.

— Jak zwykle skuteczny do bólu.

— To jest jak klątwa. Pojawiło się dzisiaj kilka spraw. Zaskakujących poniekąd. Najpierw list od Smolensa. Píše, że popełnił błąd, kiedy postanowił zostać i służyć pod Ghortem. Chce wiedzieć, czy będziesz miał dla niego zajęcie, jak rzuci robotę w Patriarchalnych.

— A ty co myślisz?

— Lubię Smolensa. Sprawił się. Ale zawsze się zastanawiałem, czy przystałby do nas tylko po to, by szpiegować dla Ghorta albo dla Łagodnego.

— A byliśmy go wcześniej pewni? Wciśnięto nam go za pierwszym razem. I, jak to mówisz, sprawił się. Bardzo żałowałem, że go tracimy. Zostawiłbym to tobie. Jeśli wpadniesz na pomysł, jak go wykorzystać, ale tak, żeby mu się nic nie stało, to ściągnij go z powrotem.

— Znajdę sposób. Tymczasem druga niespodzianka. Właśnie skończyłem rozmawiać z Clejem Sedlakową. Mówi, że przekonał Addama Haufa, iż Bractwo musi mieć kogoś blisko ciebie. Kogoś oprócz Proseka, którego obchodzą wyłącznie jego hakownice.

— Nie jestem zaskoczony. — Hecht się roześmiał. — Znam Cleja. Tak naprawdę chce się wymigać od zasilenia załogi Bractwa w Ziemi Świętej. Już tam był. Tam stracił ramię. I ja go rozumiem. Ale naprawdę cieszę się z powodu Proseka. On jest prawdziwym mistrzem artylerii. Obu rodzajów.

— Tylko nie mów tego przy Kaicie Rhuku. Uważa, że ten tytuł należy do niego.

— Jeden jest równie cenny jak drugi. Rhuk jest lepszy w teorii. Ale Prosek był z nami, kiedy zaczynaliśmy. Jak szybko zbierzesz się do drogi?

— W pół godziny? Nie, lepiej w godzinę. Muszę jeszcze puknąć Noë, zanim zabiorę swoje graty. Nie patrz na mnie z takim obrzydzeniem. Powiedz mi, że ty nie pożegnasz się czule z Anną.

Hecht wzdrygnął się zażenowany takim obrotem rozmowy.

— Nie mogę precyzyjnie określić, kiedy wyruszymy. Najpierw muszę mieć solidny pomysł, od czego mam zacząć i czego będę potrzebować, by się udało. Z całą pewnością podoficerów. I chcę, żeby wszyscy podróżowali w małych grupach. Kraj nie wytrzyma przemarszu całej tej hałastry jednocześnie.

Przy najlepszej woli w żadnej armii nie da się uniknąć zakłóceń i zniszczeń.

— A więc twój plan polega na unikaniu rozwścieczania Państw Patriarchalnych, do momentu, w którym Katrin każe ci na nie skoczyć.

Hecht przytaknął. Miał nadzieję odwieść Imperatorową od wznowienia — wzorem ojca — dawnych waśni z Patriarchatem.

— Żałuję, że nie wiem, co ona sobie naprawdę myśli — stwierdził Zgoda. — Moglibyśmy zbudować ciekawą przyszłość, gdybyśmy wiedzieli, jak ją okiełznać.

Hecht wybuchnął głośnym śmiechem.

— Titus, musisz wiedzieć, że każdy wielmoża w Imperium Graala myśli dokładnie o tym samym. I jak dotąd Katrin pozostaje córką swego ojca i manipuluje nimi wszystkimi.

— I teraz mi dopiero mówisz. Ale pomysł wart jest grzechu.

— Bierzmy się do roboty.

Na ostatnie godziny Pipera Hechta w Brothe składała się namiętna i być może ostatnia noc spędzona z Anną Mozillą. Oraz ożywione rozmowy z prowincjałem Delarim w wyciszonej komnacie jego miejskiego domu. Udało się Hechtowi uniknąć kolejnego spotkania z Łagodnym, bo udawał, że jest gdzie indziej za każdym razem, kiedy patriarszy posłaniec przychodził go szukać. Upiekło mu się, bo Heris najwyraźniej czytała Łagodnemu w myślach.

— Mówią, że Krois jest nawiedzone, i mają rację — powiedziała. — Ja je nawiedzam. Wraz z twoimi małymi wypierdkami.

— Miarkuj słowa, niewiasto — mruknął Delari. — Robisz się tak samo wulgarna jak mój dziadek.

Heris się nie sprzeczała.

— Żałuję, że nie mieliśmy więcej czasu w Konstrukcie, Piper — rzekł Delari. — Ale ten spędzony tam czas opłaci się stukrotnie. Heris, dawaj medalion.

Heris wyciągnęła wisiołek ze złota i bursztynu inkrustowany nefrytem i lapis-lazuli i podała go Hechtowi.

— Ciężki — zauważył.

Metalowa rama przybrała formę bardzo złożonego ihrańskiego węzła. Miała kształt turbanu, a w jego środku widniały cztery splecione ramiona równej długości. Ihrański węzeł był jednym z najwcześniejszych symboli chaldarańskiej wiary.

— Pokaż mu — nakazał Delari.

— Teraz jesteś połączony z Konstruktem. Bez względu na to, gdzie się znajdujesz. Użyj tego, by z niego skorzystać. Należy stuknąć w inkrustacje we właściwym porządku i można wysyłać jedną głoskę naraz. Tutaj masz zapis kodów. Staralam się je zapisać w taki sposób, . żeby nie było oczywiste, że wiąże się to z wisiołem. Ktoś, kto wszedłby w posiadanie tych kartek, będzie szukał liter zapisanych w tym samym zamiennym kodzie.

Hecht przejrzał strony z kodami, przyjrzał się inkrustacjom na medalionie.

— Rozumiem. Mogę je zapamiętać — stwierdził.

— Dobrze.

— A może by tak wysyłać wiadomości w kościelnym brotheńskim?

Ignorując tę uwagę Delari powiedział:

— Bądź czujny, Piper. Nigdy nie byłeś tak bezbronny, jak będziesz przez tych kilka tygodni.

Głównie dlatego, że z konieczności będą podróżować niewielkimi grupami.

— Heris wyłapała zaczątki potencjalnie nieprzyjemnych scenariuszy.

— Ludzie, których nigdy nie poznałeś, będą chcieli cię dopaść, ponieważ ty to ty, Piper — wyjaśniła Heris.

— Będę samą czujnością. Przebierzemy się i pojedziemy traktem z dala od terytoriów Imperium. Kiedy wjedziemy na przełęcz Remyne, nic już nam nie zgrozi.

— Uważaj na fałszywych przyjaciół. Łagodny umizguje się do chorągiewek na dachu niczym Germa fon Dreasser.

— Wiem, do kogo nie stawać plecami, dziadku. I pojedę uzbrojony we wszystkie legalne pozwolenia, jakich może mi dostarczyć Penital.

— A więc Milcz-Trajkot zapalał do ciebie nowym afektem?

— Ma nadzieję, że Piper pomoże mu spełnić własne ambicje — dodała szyderczo Heris.

— Jest to całkiem zrozumiała podstawa do zawarcia przymierza.

Było jeszcze przed capstrzykiem.

— Titus czeka na zewnątrz — rzekł Hecht. — Będzie się niecierpliwił. Lepiej już pójdę, zanim Łagodny mnie odnajdzie i każe mnie zaciągnąć do siebie. A tak w ogóle, w czym problem?

— Naprawdę martwi się o hakownice i proch — wyjaśniła Heris. — Ghort mówi, że może znaleźć ledwo kilka hakownic. Większość z nich jest uszkodzona. Łagodny liczył na to, że będzie miał ich dziesiątki, by ich użyć przeciwko Antieux.

— Nie odpuści, prawda?

— Dopóki dycha.

— Nie mogłem mu pomóc w sprawie hakownic. Powiedziałem mu, żeby przyjrzał się baczniej swoim ludziom. Wśród domorosłych Patriarchów zawsze krąży garstka łajdaków. Prawie każdy z nich sprzedaje zapasy wojskowe i sprzęt, by napchać sobie kabzę.

— Zacznę rozpuszczać pogłoski w tej sprawie, poczekam kilka dni, a potem postawię pytanie na forum Kolegium — stwierdził Delari. — Mamy prawo pytać, na co idą pieniądze Kościoła. To sprowadzi go do defensywy.

— Połóż nacisk na to, by powiedziano ci, skąd to pochodzi.

— Od Anne z Menandu?

— Zawsze gdzieś pojawia się na obrzeżach różnych spraw, prawda?

Czternastu jeźdźców opuściło Brothe wraz z Hechtem i Zgodą, więcej, niż Hecht chciał. Jego ludzie nie pozwolili mu jechać w małej grupie.

Heris bardzo szybko zagustowała w pojawianiu się, kiedy nikt nie patrzył-podobnie jak jej daleki krewny przed nią. Informowała Hechta o niegodziwości wykluwającej się w Krois. Podobnie jak Wzniosły V, Łagodny niemal nie miał pojęcia, co wyrabiają ludzie z jego otoczenia w jego imieniu. Być może nie chciał wiedzieć. Nie chciał słyszeć tego, co ma do powiedzenia Kolegium. Niemal całkowicie sfiksował na punkcie spędzenia kolejnej wiosny w Connec.

— A jaki mamy na dzisiaj plan? — zapytał piątego dnia rano Titus Zgoda. Z każdym dniem stawał się coraz pewniejszy i bardziej podejrzliwy. Hecht w zbyt oczywisty sposób odgradzał go od tajemnic.

— Titus, dzisiaj ty rządzisz. Każda droga doprowadzi nas za dwa dni do przełęczy Remayne. — Przejeżdżali przez żyzne tereny rolnicze delty rzeki Aco, daleko na wschód od prostej drogi wiodącej z Brothe do przełęczy. Mając w pamięci ostrzeżenia Heris, Hecht kierował swoim oddziałem tak, aby nic się nie wydarzyło. Nie wyjaśniał im niczego. Żadnych szczegółów. — Teraz zbóje na pewno postanowili dopaść nas przy wjeździe na przełęcz.

— Nie pytam, skąd to wiesz. Nie odpowiedziałbyś mi wprost. Ale ciekawi mnie, dlaczego tak bardzo chcesz uniknąć spotkania z tymi draniami. Jest nas szesnastu chłopów. Ani jednego prawiczka.

— No dobrze. Mam przyjaciela, który jest czarownikiem. Obserwuje ich i informuje mnie o ich ruchach. Wystarczy, że tyle wiesz. Unikam starcia, bo nie chcę, żeby odbiło się to na Imperatorowej.

Było to prawdą, choć głównie na pokaz. Nie miał obiekcji wobec odnowienia konfliktu Patriarchy z Imperium.

— Wszystko się zmienia. I część tych zmian zupełnie mi nie pasuje.

— Wszystko wróci do normalności, kiedy dostaniemy się do Alten Weinbergu. — Hecht miał taką nadzieję.

Zgoda dąsał się przez kilka godzin zdenerwowany, że Hecht mu nie ufa. Pewnego dnia może to doprowadzić do kłopotów. Choć jak się Titus dobrze zastanowił, wiedział, że nie chodzi tu o brak zaufania. Czego człowiek nie wie, nie może ujawnić, i tyle.

Przyszedł później do Hechta i zagaił:

— Wiem, jak możemy sobie poradzić z tymi, którzy tak cię niepokoją.

— Zamieniam się w słuch.

— Mamy tysiąc zbrojnych w ruchu, może więcej. Głównie za nami. Może po prostu usiadzimy, poczekamy, aż nas dogonią? Przecież ci twoi zbóje nie rzucą się na całą armię, no nie?

Zgodzie trudno było uwierzyć, że Łagodny za sprawą swych popleczników zaryzykuje i rozzłości Imperatorową Katrin, atakując Pipera Hechta. Ale były Naczelnny Wódz niewzruszenie bronił przeciwnego poglądu.

W Krois była uparcie antyimperialna fakcja, podobnie jak w Alten Weinbergu — fakcja zawzięcie antypatriarchalna. Nie miała zbyt wielkich możliwości działania podczas rządów trzech ostatnich Patriarchów. Ale nowy nie zwracał na nich uwagi. Jego obsesje koncentrowały się na innych sprawach.

— Masz rację, Titus. Pokażmy im tyle włóczni, że wezmą nogi za pas.

Hecht wjechał na przełęcz Remyne w towarzystwie swojej podstawowej załogi, trzystu weteranów, zbrojny w najświeższe informacje przekazane przez Heris.

Przed nimi pojawili się jacyś ludzie. Nie wyglądali na przyjaźnie usposobionych.

Drago Prosek wytrzasnął skądś dwanaście hakownic. Hecht nawet nie sprawdzał numerów inwentarzowych. Prosek wystawił je na szpicę. Kilka salw, na chybił trafił z kamyków ze strumienia posłanych w górę zarośniętego krzakami zbocza, wypłoszyło napastników z zasadzki. I tak niczego by nie wszczynali przy takich siłach przeciwnika. Były ich ledwo dwa tuziny.

Prosek wziął jeńców.

— Czy mam ich przesłuchać, Wodzu? — Ponieważ Hecht nie miał żadnej oficjalnej rangi, ci którzy zwracali się do niego, tytułowali go, jak im się żywnie podobało.

— W jakim celu?

— Odkrycie, kto był ich mocodawcą, może być pouczające.

— Ja już i tak wiem. A ty będziesz pogodniejszy, nie wiedząc.

— Myślisz? — Titus Zgoda pokręcił wolno głową. — No i po co ta dyskusja.

— Więźniowie — powiedział głośno Hecht. — Dwóch z was było z nami podczas krucjaty connekiańskiej. Wiecie więc, co będzie. Przekażcie kolegom. I pamiętajcie o tym, kiedy pan Zgoda będzie z wami mówił.

Zgoda nie marnował czasu. Zaczął zadawać pytania. Więźniowie odpowiadali. Nie mieli nic odkrywczego do powiedzenia. Zostali wynajęci przez Race'a Buchelsa. Buchels zawsze dobrze płacił, połowa z góry.

Nigdzie nie było śladu po nim. Zaginął, kiedy tylko dym z hakownic Dragona Proseka opadł.

Większości więźniów wydawało się, że Buchels pracował na zlecenie kogoś z Kolegium. Kilku wskazywało na Anne z Menandu. A jeden na tych wielmoży w Imperium Graala, którym się nie podobało, że Imperatorową rośnie w siłę.

— Buchels pracuje dla jednego ze stronników Wzniosłego — przekazał wszystkim swoim najbliższym ludziom Hecht. — Idioty, który postanowił wyświadczyć przysługę swemu pryncypałowi i wyeliminować kamyk w bucie, na który od dawna narzekał. Idioty, który nie potrafi myśleć dalekowzrocznie i nie wie, że gdyby się udało, mogłoby to wywołać wojnę z Imperium.

Heris wyjawiała, iż ów idiota nazywał się Fearoe Durgandini. Uznała to za zabawne, bo w jednym z języków, którymi się posługiwała, Durgandini oznaczało „kobieta o nieprzyjemnych zapachach”. Ów Durgandini, nieślubny syn kuzyna Doneto, był zdecydowany odcisnąć swój znak, wykonując nieprzyjemne zadania dla Łagodnego. Heris podejrzewała, że działa pod wpływem sprzecznych rozkazów.

— Koniec końców to nie ma znaczenia — zauważył Titus Zgoda. — Pójdziemy tam, dokąd mieliśmy pójść. Ktokolwiek stanie nam na drodze, zostanie stratowany.

Żaden człowiek im więcej nie przeszkadzał. Trakt był bardzo uczęszczany teraz, kiedy żaden potwór nie czaił się w wysokich górach Jago. A robiło się już późno. Podróżni starali się pokonać szlak, póki pogoda dopisuje. Noc zareagowała zwyczaj ową dawką złych zamiarów. Po kilku drobnych incydentach udawała obojętność.

— Bayard va Milcz-Trajkot zaproponował, bym się zatrzymał w jego domu, wyposażył mnie w stosowne pisma, a ja nie zamierzam się wzdragać przed skorzystaniem z okazji — oświadczył Hecht, zbliżając się do Alten Weinbergu. Do sług Milcza-Trajkota wysłał też swoją wiadomość ojciec pośła, nie chcąc dopuścić, aby jakiś najemny sługa wykorzystał wielkoduszność syna. — Nie pozwolę, by moi ludzie ukradli to, co przeoczyli ostatnim razem.

Udawał, że jest w lekkim, wręcz żartobliwym nastroju. Nie było mu wcale pilno zagłębiać się w ustawiczne gry polityczne, prowadzone w każdym ośrodku władzy. Był wycieńczony. Choć zagrożenie było minimalne, w górach poczuł, że pragnie jedynie zniknąć i zregenerować siły.

Na przełęcz było zimniej niż kiedykolwiek o tej porze roku. I choć sama Noc nie wykazywała zbyt wielkiego zainteresowania wyprawą, ktoś posyłał liczne naprzykrzające się Delegatury, by utrudnić mu życie i skłonić do odwrotu.

Heris nie była w stanie mu pomóc.

W domu Bayarda Milcz-Trajkota nie zdążył nawet ściągnąć butów, kiedy nadciągnęła fala zaproszeń i próśb.

— Jesteś tu od tygodnia — zwrócił się do Rivademara Vircondeleta. — Odpocząłeś i oszacowałeś sytuację na miejscu. Teraz będziesz miał całe to gówno na głowie. Jak ktoś będzie chciał się ze mną zobaczyć, mów, że trzeba to załatwiać przez Imperatorową. Pracuję dla niej. A jeśli to będzie sama Katrin, mów, że jestem zbyt chory. — Hecht wcale nie kłamał.

— Nie będzie wieści od Imperatorowej, szefie. Przebywa teraz w jakiejś zapadłej dziurze, walcząc, jak to mówią, o postęp. Brzmi to, jakby się popisywała, żeby ludzie poczuli, że naprawdę żyje. Oczywiście na ich koszt. Słyszałem, że Johannes to zapoczątkował, żeby móc zaoszczędzić na kosztach utrzymania dworu. Tak czy inaczej mamy kilka tygodni luzu.

— To dobrze. Naprawdę dobrze. Będę miał czas dojść do siebie.

Nie lubił być chory. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz mu się to przydarzyło.

Titus powiedział mu to samo, kiedy się podniósł po trzech dniach już zdrów, ale osłabiony. Zgoda przeglądał jego osobiste zapiski. Ale nie miało to większego znaczenia, może tylko unaoczniało fakt, że ludzie starają się wymazać z pamięci okresy niemocy.

— Co mamy na rozkładzie? — zapytał Hecht.

— Nazbierało się tego, kiedy się byczyłeś, szefie. Każdy chce coś uszczknąć, od kiedy tu się znalazłeś. Obaj.

— Co takiego?

— Niemal każdy, kto coś znaczy, wyjechał krzewić postęp z Imperatorową. Starszego Milcz-Trajkota nie ma tu, by nas nękać, gdyż podagra tak go męczy, że nie może wstać z łóżnicy.

— To świetnie. Chcę, żebyście dowiedzieli się wszystkiego na mieście, kiedy jest okazja. Natychmiast. No to ja się jeszcze położę.

Przylądek Tondur: Andoray

Nadnaturalny wicher wiał w kierunku północno-zachodnim wzdłuż wybrzeża Andoray. Odrobina mocy spod powierzchni morza znosiła go w kierunku brzegu, gdzie na krawędzi wiecznego lodu włączyły się dziesiątki wygłodniałych Delegatur Nocy, pragnących zakosztować choćby minimum mocy, unikających się wzajemnie i żerujących na sobie. Dla każdej z nich — prócz tych największych — chwila nieuwagi znaczyła pewny koniec.

Najstraszliwszym narzędziem zagłady była olbrzymia biała ropucha przycupnięta na lodowym wzniesieniu wbijającym się na wiele mil w morze. Łód z każdym dniem powiększała się o kilka metrów. I unosił się. Czasem wyżej, jeśli Kharoulke przechwycił większy powiew mocy. Czy też, jeśli desperacko wygłodniała pomniejsza Delegatura Nocy nieopatrznie zawędrowała w pobliże strzelającego niczym błyskawica języka Wędrowca Wiatru.

Początkowo towarzyszyli mu ludzie, jego wyznawcy. Większość zabrały zimno i głód. Ich zamrożone szczątki leżały porozrzucane u stóp wielkiej ropuchy. W większości przypominali ludy Seatt z najdalej za dawnych czasów na północ wysuniętych obszarów.

Nie wszystkim Wybrańcom Wędrowca Wiatru przyszło skonać u stóp ich boga. Jedna rodzina skorzystała z tego, że skupił się na czymś innym, i uciekła na pokład łodzi Ormo Straita, zakleszczonej w nowo powstałej pokrywie lodowej. Ci uchodźcy stali się pierwszymi Wybranymi, którzy wyrwali się spod kurateli szalonego bóstwa. Jego siła była ograniczona.

Kharoulke w swej boskiej świadomości nie miał miejsca na nic poza głodem: mocy płynącej z dala oraz zemsty na tych ohydnych, nowo

stworzonych istotach boskich, które wpędziły jego pokolenie w okrutną niewolę.

Czas śródziemia płynął szybko. Ci, którzy poznali Wędrowca Wiatru, nie opłakiwali jego odejścia.

Kharoulke siedział na krańcu lodu, sto pięćdziesiąt metrów nad zastygłą błękitną tonią Morza Andorayańskiego. Jedyne kilka kilometrów dzieliło go teraz od bramy do Dziedziny Bogów. Widział przez nią wyraźnie. Wody wokół niej były nieco inne. Zobaczył, ale nie mógł sięgnąć. Był potężnym i mrocznym bogiem, ale nie zostało mu prawie nic z mocy. Nie był w stanie zebrać jej więcej. Mógł nie zdążyć dotrzeć tam na czas, by przeszkodzić w odrodzeniu najbardziej znienawidzonych wrogów.

Czy bóg wie, co to rozpacz? Szczególnie taki, który poznał gorycz uwięzienia na całe tysiąclecia?

Może i nie. Ale z całą pewnością zna coś na kształt rozpacz, co wywodziło się ze świadomości, iż Delegatury Nocy nie miały poczucia czasu, tak istotnego dla tych efemerycznych śmiertelników, którzy ukształtowali bogów.

Tyłów Kharoulke nie strzegł już nikt oprócz strachu przed nim. Wśród porzucanych, zamarzniętych Wybrańców, już o wiele mil za nim, było też kilkunastu Wybrańców Krep Nocy. Oni również nie mieli siły przeżyć lodowatych marzeń tego, w którego wyobraźni powstali.

Za wielką białą ropuchą w jednej chwili coś rozbłysło i zniknęło. To samo natarczywe, połyskliwe zakłócenie pojawiało się i znikało kilkanaście razy, zanim wyziębiony i głodny bóg zdał sobie sprawę, że coś nienależącego do Nocy bardzo uaktywniło się tam, gdzie nie patrzył.

Kharoulke zaczął się odwracać. Zaczął zmieniać swoją postać.

Odezwał się grom, ostry, rasowy.

Tysiąc zacierających się w pędzie żelaznych i srebrnych kolców przeszło boga, zatapiając się głęboko w jego jestestwo. Nie zaznał jeszcze tak wielkiego bólu. Odarł go całkowicie z logicznego myślenia.

Kharoulke wciąż się zmieniał. Rósł i przybierał ludzki kształt. Ból stał się nie do zniesienia. Szpikulce wbite w ciało były najeżone kolcami. Pod wpływem pędu przedzierały się dalej i głębiej w boskie ciało, aż zostały wyrzucone bądź rozpuszczone, choć w dalszym ciągu sprawiały ból i wysysały resztki mocy bóstwa.

Nierównomierna salwa tuzina baryłek z prochem wytracała chemiczną energię nie na Wędrowcu Wiatru, lecz na łodzie, po którym zaczęło się przemieszczać jego ciało.

Delegatura Nocy wykonała o jeden ruch za daleko. Po jednej z eksplozji szczelina pomknęła zygzakiem po powierzchni ze wschodu na zachód, przecinając wzniesienie. Łód jęknął, zadudnił, zatrzeszczał.

Kharoulke huknął z wściekłości tak głośno, że jego furię można było usłyszeć o tysiąc kilometrów dalej. Zobaczył. Wiedział. Zaczął przechodzić w inny kształt, anielski, rozwijając olbrzymie białe skrzydła. Ale był stworzeniem najbardziej siarczystego zimna. Nie potrafił się zmieniać szybko. Nie zdążył.

Końcówka lodu zapadła się w morze. Wędrowiec Wiatru runął wraz z nią, zagłębiając się w bolesny, trujący błękit wody. Do wewnętrznego bólu mrocznego bóstwa dołączył ból spowijający całą jego postać.

Jego miotanie się powodowało jedynie to, że tysiące szpikulców czyniło większe spustoszenie. Sztormowe fale, jakie wytworzył, były na tyle potężne, że wywracały małe łodzie, dotarłszy na brzeg Santerinu.

Lucidia: Wojna przygraniczna

Rogert du Tancret był winny wszystkich występków, o które go oskarżano, w dwójnasób mrocznych i podłych. Ale był też przebiegły i miał iście delficki zmysł przewidywania zagrożenia. Nie można było go zwabić w żadną śmiertelną pułapkę, bez względu na to, jak smakowita była przynęta. Kiedy nie mógł się oprzeć, wysyłał kogoś innego, by uwolnił zęby pułapki.

— Czy tak samo byłoby, gdybyśmy go zaatakowali? — zapytał Azir.

Góra wzruszył ramionami. To było kilka trudnych miesięcy. Był wyczerpany.

— Zbyt długo żyję na tym świecie. Taka wojna dobra jest dla młodych.

— Nie musisz przecież tu tkwić. Możesz być w Shamramdi choćby zaraz.

Nassim mruknął coś. Był odmiennego zdania. Wszystko stało na ostrzu noża. Właśnie tutaj musiał się znaleźć Nassim Alizarin. Góra nie umrze w łóżku.

Góra miał jednak nadzieję, że zanim zginie, zdąży się zemścić na Gordimerze er-Rashalu. Niestety szanse na to były coraz mniejsze. Jego obecna misja polegała na otwarciu drogi do Tel Moussy.

— Nie pasowałbym tam. Nie byłbym tam mile widziany. Emirowie już wiedzą wszystko, co muszą wiedzieć.

— Szukasz wymówki, by uniknąć szansy, że powierzą ci większą odpowiedzialność.

Było to tak bliskie prawdy, że Nassim nie znalazł odpowiedzi. Ten chłopak był niesłychanie bystry. Będzie godnym następcą Indali.

Azir się roześmiał. W twarzy Nassima można było czytać jak w książce.

— Czasami jesteś niezwykle przewidywalny, wodzu. Wiem, że serce każe ci iść w przeciwną stronę. Masz moje słowo, jeśli tylko moje ci wystarczy, że dostaniesz tyle wsparcia, ile ci potrzeba.

Nassim się skrzywił. Obietnica książęca... Ale ten książę, jeśli można by go tak nazwać, był wybrańcem Indali al-Sul Halaladina, którego słowo było tak wiarygodne jak słowo Boga. A Jego słowo, które wypełniało się teraz powoli, wieszczyło rychły koniec Rogerta du Tancreta.

— Panie Góra, jesteś wielkim wojownikiem i wspianiałym dowódcą — ciągnął Azir. — Przyznają to nawet twoi najbardziej zaciekli wrogowie. Ale twoje umiejętności w postępowaniu z ludźmi są mocno wątpliwe. Podejrzewam, że jedynym celem wychowania młodego sha-luga jest doprowadzenie do tego, że w wieku piętnastu lat taki młodzian jest już okrzepłym wojownikiem.

— Ach. Teraz powtarzasz coś, co słyszałeś, a nie to, do czego sam doszedłeś.

Azir obiema rękami wykonał gest, jakby ważył coś na szalkach obu dłoni. Co oznaczało: trochę tego, trochę tamtego. Albo: sześć z jednego i pół tuzina z drugiego.

Nassim znów się skrzywił. Ten szczeniak był zbyt bystry, cholera jasna.

Cała scena rozgrywała się wiosną na górze, na obrzeżach Idiam. Zbrojni uciekali przez ten nawiedzony kraj, pierzchając przed wrogiem. Wojownicy z Bractwa byli nieustępliwi. Tego wieczoru mocna bryza rozwiewała ogniska, ciskając iskry w górę niczym gwiazdy o krótkim żywocie. Było niezwykle zimno jak na tę porę roku. Księżyc wisiał w połowie nieba, niemal w pełni. Nassim pomyślał, iż wygląda jak wielki lodowy okrąg, któremu ktoś utracił jeden brzeg.

— Mój stryj wyśle więcej wojska — powiedział młodzieniec. — Milicję z setek miast i miasteczek, którą powołał w nadziei na wyzwolenie Ziemi Świętej.

Miast i miasteczek podbitych przez Indalę, zdaniem Góry raczej ostrym językiem. Woleli się zjednoczyć z wizją Indali wobec perspektywy ognia i żelaza.

Indala al-Sul Halaladin z wiekiem stał się jeszcze mniej tolerancyjny wobec ograniczonej polityki plemiennej Wiernych.

Nassim nie przypomniał chłopcu, że ludzie z zachodu też wierzyli, iż wyzwalają Ziemię Świętą. I że devedianie byli tam wcześniej niż pramanie

czy chaldaranie. I że devedianie byli dziećmi Dainshaukina, który przybył do Ziemi Świętej przed dwoma tysiącami lat, zapewniwszy sobie przychylność brutalnego, psychopatycznego bóstwa, które od czasu do czasu domagało się od swych wyznawców, by mordowali swoje dzieci na jego chwałę.

— Wodzu?

— Co?

— Zamyśliłeś się. Na chwilę.

— To klątwa wychowania w rygorze sha-lugów.

— To znaczy?

— Zamyśliłem się nad niekończącymi się mękami zadawanymi w Ziemi Świętej. I zacząłem się zastanawiać, czy może studnie nie zamykają się celowo, żeby ziemia mogła strząsnąć z siebie ludzkie robactwo.

— Ciekawa myśl. Tak heretycka, że gdybyś wyjawiał ją gdziekolwiek indziej, zostałbyś wy chłostany albo ukamienowany.

Nassim wzruszył ramionami. Nic takiego się nie zdarzy. Był zbyt cenny. Na razie. I miał swój układ z Bogiem. Bogu najwyraźniej nie przeszkadzały okazjonalne nieortodoksyjne spekulacje Alizarina.

— Skąd ta szczodrość w szafowaniu zasobami ludzkimi?

— Pragnie poszerzyć grono weteranów. I wyłuskać najlepszych wojowników. Chce stworzyć armię złożoną z najlepszych, kiedy ruszy w końcu, by oczyścić Ziemię Świętą z zachodnich Niewiernych.

Było coś jeszcze. Dużo więcej. Nassim był tego pewien. Był jednym małym trybikiem w strukturze strategii Indali.

Góra pozostał elastyczny. Zaufa Indali. Wykona, co mu powierzą. Wytrzyma wszystko, przygotowując się na ten moment, kiedy wszystko zleje się w jedno i będzie mógł grzać się w cieple powrotu do równowagi zakłóconej morderstwem na Hagidzie.

— Bez względu na to, co się wydarzy, nasza misja będzie polegać na uprzykrzeniu życia Czarnemu Rogertowi — rzekł Az. — Dzień w dzień. Mamy działać jeszcze bardziej agresywnie. Mój stryjeczny dziadek nie chciałby, żeby du Tancret znalazł się w pozycji pozwalającej mu wpływać na innych Arnhandów. Żaden z nich nie jest tak srogi.

Nassim pokiwał głową, choć w tym stadium życia zabrakło mu morderczych skłonności. Wyrósł już z rygoru sha-lugowego wychowania.

— Pierwszą sprawą jest ustawienie formacji wokół Tel Moussy — orzekł chłopak.

Z większą liczbą ludzi i bez specjalnej potrzeby matkowania im Góra stale kasał Rogerta du Tancreta. Wysyłał rannych wojowników z powrotem do Indali, a ciała Czarnemu Rogertowi. Miał niewiele wsparcia ze strony współwyznawców. Jego ohydne zachowanie wywoływało w nich odrazę.

Siła du Tancreta zmalała. Z każdym dniem jeden, dwóch ludzi się wymykało, by przejść na służbę do jakiegoś bardziej honorowego dowódcy. Takiego, który nie wystawiałby podkomendnych na niebezpieczeństwo, że zostaną wyrżnięci w pień.

W szybkich uderzeniach Nassima często dużą rolę odgrywały hakownice, wtedy, kiedy wróg był tuż za nimi. Konie krzyżowców nie chciały szarżować w dymie i huku.

Nassim wyłuskał jednego fanatycznego młodego Wiernego z jednego z kontyngentów milicji. Chłopaka, który chciał zostać bohaterem. Gotowego zrobić wszystko, by zyskać sławę. Rogert du Tancret oferował wielkie pieniądze za hakownicę lub zapas prochu. Nassim dał młodzikowi szansę przejścia do wieczności. Młodzik podjął wyzwanie. Choć nie wierzył w to, że zostanie męczennikiem.

Był tak pewien, że Bóg kroczy u jego boku, iż nalegał, żeby Nassim obiecał zabrać go do najlepszych tawern i burdeli w Shamramdi, kiedy powróci ze swej misji.

Nassim przyrzekł.

Nassim Alizarin postępował zgodnie z nakazami religii, gdyż było to poprawne politycznie. Miał sekretne, lecz szczere przekonanie, że większość jego pobratymców również kieruje się hipokryzją. Ale w noc poprzedzającą wielki dzień męczennika leżał długo, nie mogąc zasnąć, i prosił Boga, by go prowadził.

Nassim Alizarin z Tel Moussy nie był Nassimem Alizarinem, który dowodził tysiącem sha-lugów. Tamten Nassim zginął, gdy jego ukochany, jedyny syn został zamordowany, by nasycić ambicje er-Rashala. Jednak nowy Nassim miał świadomość, że każdy męczennik jest czyimś synem.

Podobnie jak wcześniej, Bóg nie przejął się cierpieniem pojedynczego suplikanta.

Ból zakorzenił się głęboko, ponieważ jedynie dwie żyjące istoty wiedziały, iż ten męczennik żyje w prawdzie Boga i swego ludu. Nawet Azir żył w nieświadomości.

Nassim nie mógł myśleć o męczenniku, wymieniając jego imię. Poczucie winy tak mu nie doskwierało, kiedy mówił o nim „chłopak” albo „męczennik”.

Wszystko szło zgodnie z planem. Chłopak zebrał wielbłądy, wyładował je baryłkami z prochem i wymknął się niezauważony. Udało mu się to z łatwością, ponieważ znał wartowników po tej stronie obozu.

Trwało to dłużej, niż się Nassim spodziewał, zanim ktoś zauważył zniknięcie chłopca. A jeszcze dłużej, zanim ktoś odkrył, że wraz z jego zniknięciem zaginęł gdzieś ładunek prochu na sześć wielbłądów.

Ego Góry było mocno pokancerowane po tej operacji. Wydawało mu się, że ci ludzie są o wiele lepiej wyszkoleni i bardziej czujni. Sam ich szkolił.

Pojawił się jakiś żołnierz.

— Panie! Złe wieści! Najwyraźniej Ambel zdezerterował. Brakuje też sześciu wielbłądów i większości zapasów prochu. Pewnie ma zamiar zgarnąć nagrodę Czarnego Rogerta.

Nassim pieklił się i miotał tak, jakby to robił, gdyby wszystko to było prawdą. A jeszcze bardziej był wściekły z frustracji, widząc chaotyczną reakcję w obozie. Najwyraźniej nikt nie miał zamiaru niczego robić w tej sprawie. Wszyscy chcieli radzić. Ci, którzy znali chłopaka od dawna, byli niewzruszeni. Nigdy by nie zrobił czegoś takiego, co — zdawało się — zrobił.

Przeklinana przez dowódcę większość kompanii w końcu ruszyła za zdrajcą. Nassim miał nadzieję, że tak zrobią.

Pościg musiał być głośny i wyglądać prawdziwie. W przeciwnym razie szósty zmysł Czarnego Rogerta znów go ocali.

Nassim przyłączył się do pościgu, choć utrzymywał stateczne tempo, stosowne dla człowieka w jego wieku.

Szybkości męczennika nie dało się oczywiście dorównać, choć kilku byczków z jego własnego miasteczka niemal go dopadło, tak że zagonili konie na śmierć.

Nassim Alizarin znalazł się w pobliżu Gherig — oraz Tel Moussy i przerzedzonych szeregów oblężenia wokół niej — kiedy wszystko się rozegrało.

Męczennikowi udało się jakoś dostać do Gherig i w ostatnim momencie ująć ścigającym go ludziom. Jeden z nich wrzasnął trafiony strzałą z murów barbakanu.

Góra nie wiedział, kiedy plan spalił na panewce. Wiedział tylko, że ładunek prochu na sześciu wielbłądach, niemal pół tony, wybuchł, zanim męczennik wjechał w głąb fortecy.

Masywny barbakan, większy niż wieża w Tel Moussie, zwałił się majestatycznie w dół, a całą katastrofę przykryły kłęby kurzu, jakich jeszcze tu nie widziano.

— Cholera — zaklął pod nosem Alizarin. — Za szybko. Cholera, za szybko. Niemożliwe, żeby Czarny Rogert znalazł się dostatecznie blisko.

Mówił bez zastanowienia, całkowicie skupiony na Gherig.

— Słucham? — zapytał Azir. W jego pytaniu tkwił nakaz wyjaśnienia tego wszystkiego.

Nassim usłuchał. Nie było sensu dalej utrzymywać tajemnicy.

Jeźdźcy wpadali w tuman kurzu, pędzili wprost na niego. Ich spontaniczny atak na ruiny i wciąż opuszczony most nad żałośnie suchą fosą rozłupał kamienie między barbakanem i samym miastem.

Góra nie miał zamiaru szturmować czegoś, czego nie dało się zdobyć, nawet gdyby męczennik idealnie wykonał swoje zadanie. Gherig bez Czarnego Rogerta i tak było niewzruszone wobec nawałnicy. Ale Nassim nie spodziewał się takich rozmiarów zniszczenia, pomimo iż widział skutki, jakie przyniosło użycie prochu przeciwko Am Bedu. Jego celem było zamordowanie jednego człowieka. Reszta wykraczała poza możliwości jego wyobraźni. I stracił kontrolę nad swoimi bojownikami.

Nastrojowi uniesienia i nawoływaniom uległa zwłaszcza niedoświadczona milicja.

Przez cały ten czas Gherig stało z dala od szturmów czy oblężenia. To się nie zmieniło. Ale później mówiono, że forteca przetrwała tylko dlatego, że oddziały oblegające Tel Moussę ruszyły jej na pomoc. Ich kontratak zmusił Lucidian do odejścia. Końcowy wynik był jednak na korzyść Lucidii. Oblężenie Tel Moussy zostało przerwane. Nikt go nie wznowił. Gherig zostało zepchnięte do defensywy. Kilku rycerzy Bractwa zginęło w eksplozji. Większość poległa w walkach, jakie rozgorzały później.

Rogert du Tancret pędził właśnie, by świętować swój śmiały wyczyn, kiedy proch wybuchł. Zły rycerz utracił słuch, poczucie równowagi i

zdolność wydawania sensownych rozkazów.

Potem jednak doszedł do siebie. Choć miał tyle samo wrogów wśród krzyżowców, ile wśród Wiernych. Bractwo rozkazało mu opuścić Gherig pod pretekstem odniesionych ran. Rogert starał się opierać. Był jednak zbyt połamany, by dać czynny opór ludziom, którzy go zabrali.

Góra powrócił do Tel Moussy. Oblegani powitali go wiwatami i przesadnie dramatycznymi gestami wdzięczności. Pławiąc się w tym uwielbieniu, zwrócił się do młodego Aza:

— Rogert teraz naprawdę się wścieknie. Znajdzie jakiś sposób, żeby nam zaszkodzić. Potrzebujemy więcej.

— Zło czynią ludzie. Ten więcej niż inni. Ale teraz możesz sycić się zwycięstwem. Takiego sukcesu nie przewidział mój stryjeczny dziadek w najśmielszych snach.

— Zwycięstwem? Jakoś go nie widzę, chłopcze.

— Zły ruk został wygnany ze swego gniazda, wodzu. Czarnego Rogerta nie ma już w Gherig, gdzie żadna siła na tej ziemi nie zdołała wystarczająco blisko przysunąć ostrza, by w niego uderzyć. Jego ludzie zmusili go do opuszczenia tej skorupy. Teraz można go dopaść. Połowa Arnhandów pewnie ma nadzieję, że tak się stanie.

— Co chciałeś powiedzieć, mówiąc, że potrzebujemy więcej? — zapytał Az.

— Więcej zbrojnych. Więcej broni. Więcej zwierząt. I, bardziej niż wszystkiego innego, więcej pieniędzy. Choć niektórzy twierdzą, że jestem wręcz skąpy, wyczerpałem zasoby skarbcza wojennego.

Nassim Alizarin miał reputację człowieka oszczędnego. Ale nie wzdragał się przed finansowaniem hakownic i prochu. Szczególnie prochu. A teraz już go nie było. Lepiej niż ktokolwiek inny przyswoił sobie lekcję z Arn Bedu. Żałował, że nikt spośród Wiernych nie zna tajemnicy tego prochu. Wiernych, którzy nie byli er-Rashalem al-Dhul-quarnenem. Miał jedno jedyne źródło prochu strzelniczego i znajdowało się ono daleko poza Dziedziną Wojny. Każda baryłka była na wagę złota.

Był to jednak proch dobrej jakości.

— Widząc, co to cholerstwo może zrobić, będę cię wspierał — świadczył Azir.

— Dziękuję.

— Jeszcze mi nie dziękuj. Powiedziałem, że będę cię wspierał. Będę musiał udać się do Shamramdi, by przedłożyć twoją sprawę.

Nassim nie chciał tego robić. Po tylu latach spędzonych w dziczy, a niektórych w koszmarze Idiam, miał w sobie niewiele zapału. Nienawiść wywołana morderstwem na Hagidzie nie opuściła go, ale stała się mniej nieodparta. Znalazł jeszcze miejsce dla innych rzeczy w swym sercu. Odnalazł przyjemność w odpoczywaniu, choć nie umiał się nim rozkoszować.

— Jestem kaleką — stwierdził Nassim. — Dręczy mnie zbyt długotrwała obsesja. Nie mógłbym się znaleźć na zwykłym dworze.

— Może i tak — przyznał Azir. — Przekonamy się zimą. — I dodał konfidencyjnym szeptem: — Mój stryjeczny dziadek rozpocznie wyzwalanie Ziemi Świętej, kiedy wiosną trawa się zazieleni.

Nassim westchnął. Był wycieńczony. Nie miał zbyt wiele sił. A mimo to jego sojusznicy nalegali, by wykorzystał to, co zostało, przeciwko wszystkim oprócz tych, którzy uczynili sobie z niego zawziętego wroga.

Dziedzina Bogów: Czas i jego bieg

Dziewiąty Nieznany poczuł brzemień każdego przeżytego roku, choć zapomniał wszystko z wyjątkiem tego, co było najciekawsze. Nie był też całkiem pewien, czy owe wspomnienia są wiarygodne. Czy można być aż tak starym? Ponadto był w nieco lepszej kondycji niż wtedy, kiedy uciekał z Dziedziny Bogów.

Tym razem zmęczył się, starając się odnaleźć syna Arlensul.

Dominujący w ludzkiej postaci dołączył do Clovena Februarena w miejscu, w którym magia Aelen Kofer została przemieniona w tawernę. W ideę, sen czy też marzenie duszy w postaci tawerny. Nigdy w życiu Februarena nie wszedł on do bardziej tawerniastej tawerny. Byli tu ludzie i krasnoludy oraz, przez kilka krótkich minut, także jeden z bardziej śmiałych syren. Głośne rozmowy, sprośności. Sugestywne, wszechobecne wrażenie, że musi być to miejsce z dala od innych, w którym nie powinna stanąć noga uczciwego człowieka. Miejsce, w którym inne światy zostawiało się w sieni.

Czyż mógł być to kolejny kieszonkowy świat?

Nie. Podobnie jak wszystko, co tworzyli Aelen Kofer, tawerna była niemal całkowicie wytworem iluzji.

— Nieistotne — stwierdził dominujący. — Jak ci poszło?

— Zaznaczyłem swój ślad w śródziemiu. Porażką. Udało mi się odnaleźć dziesięć tysięcy miejscowości, w której nie ma naszego człowieka. A tak między nami, to prawda? Arlensul urodziła syna? — Żenujące byłoby, gdyby przy takim założeniu przegapił gdzieś córkę.

— Tak. Syna. Jak mówi legenda. — Dominujący nauczył się nie marnować czasu na odpowiedzi ani nawet potwierdzać tego, co uważał za

provokacje Dziewiątego Nieznanego.

— Dlaczego chciałeś się tu spotkać? Żebym mógł sprawdzić jakość trunków? Tego nie mogę uczynić, bracie. Te krasnoludy lubią ciężkie i gorzkie.

Kłamał. Piwo było zaskakująco dobrej jakości, szczególnie jak na taką dziurę w ostępach, która na dodatek znajdowała się w innym świecie. Ale bez wątplenia piwo serwowali tu na każdy gust.

Dominujący wzruszył obojętnie ramionami.

— Aelen Kofer są biegli w swym fachu. Piwo jest doskonałe. Jeśli już, to skazy należy szukać u pijącego. Chciałem, żebyś poznał kilku ludzi.

Cloven Februaren pospiesznie osuszył kufel.

— Smaczne. — Zastanawiał się, czy zamówić drugi. Pewnie byłoby to niezbyt mądre. Już czuł lekki szmerek. — No dobra. Prowadź.

Dominujący w postaci Svavara poprowadził. Z tawerny w kierunku wielkiej łajby.

— Widzę tu spore zmiany — zauważył Februaren.

Cała Dziedzina Bogów stała się mniej mroczna. Miasteczko nad brzegiem morza powróciło do życia. Barwy przebudziły się wszędzie niczym na wiosnę, która odświeżyła każdy aspekt tego świata. Statek bogów zniknął, zmieniając się z groźnego wraku w pełną przepychu sztukę.

Łódź została przywiązana przed nią, a jedynym dowodem jej obecności był maszt. Z miejsca, w którym stał Februaren, nie zwrócił na to uwagi.

— Będzie jeszcze więcej zmian. Jeśli moc dalej będzie tu przeciekać. Temu światu wciąż jeszcze bardzo daleko do tego, jaki był kiedyś. Ale... — Zatrzymał staruszka, odwracając go i coś pokazując.

Februaren podniósł wzrok. Chmury nie zasłaniały całkowicie Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Pojawiały się na prawo, śmigają nad domem bogów jakby gnane potężnym wiatrem, a potem dematerializowały się po lewej stronie. Wzbierały i rozwiewały się szybko.

— Most! — wykrztusił Februaren. — Aelen Kofer odbudowali tęczowy most!

Tęczowy most, jasny i piękny, wspinał się łukiem aż do bramy fortecy.

— Całkiem niezłe. Można teraz po nim przejść. Jeśli masz ochotę spróbować.

— Chcę. Bardzo chcę. — Sama forteca również wykazywała oznaki odrodzenia. — Jeśli to stare ciało przeżyje wspinaczkę. — Jego sztuczka z

odwracaniem się bokiem nie działała w Dziedzinie Bogów, nawet przy otwartych wrotach do tego świata. Mógł tu wskoczyć z zewnątrz. Kiedy był już w środku, musiał się poruszać na piechotę. Nawet do wrót, by wyjść. Choć dzięki temu, że podpłynął łodzią, jego ubranie o wiele mniej nasiąkło wodą.

— Aelen Kofer mają wóz zaprzężony w kozły i mogę cię w nim zabrać, jeśli się zdecydujesz.

— Ale przecież teraz udawaliśmy się w inne miejsce. Prawda?

— Prawda. Do szkuty.

Celem podróży okazała się siedziba rodziny składającej się z pięciu członków, a wszyscy w niej byli bladzi, kościści i mieli blond włosy, jeśli jakieś jeszcze im pozostały. Dziadek. Jego córka. Jej mąż. Ich dzieci, chłopak i dziewczynka, jedenaście i osiem lat. Pilnował ich jeden Aelen Kofer. Februaren nie rozpoznał krasnoluda. Dominujący dokonał prezentacji.

— Ci ludzie uciekli przez cieśninę Ormo. To są byli wyznawcy Wędrowca Wiatru. Znaleźli łódź, uciekli i zjawili się tutaj. — Wymienił spojrzenie z Februarem, żeby starszek wiedział, że traktuje ich z dużą rezerwą.

— Rozumiem. To dość niezwykłe.

— Tak. Ale Wędrowiec Wiatru nie wykazał się umiejętnością wzbudzania fanatyzmu w wyznawcach. Jego czciciele wypełniali jego wolę, ponieważ to, co jest przed tobą, jest o wiele mniej przerażające niż to, co czai się za plecami. Kharoulke jest mściwym bogiem.

— Ja tam znam niewielu innych — odparł Februaren. — Możemy porozmawiać z nimi?

— Perkatonosa mówi dialektem. Mówiono nim w Andoray, zanim Dawni Bogowie przybyli ciągnąć nas z sobą.

— Seatt?

— Jeden z tej grupy języków.

— Wydawało mi się, że Seatt to przysadzisty, śniady lud.

— Niektórzy tacy byli. Tym terminem określa się wszystkie dawne szczepy najdalszej północy. Ci ludzie... nieważne. Ich przodkowie byli niemal całkowicie podporządkowani Woli Nocy. Ich magia służyła

Wędrowcowi Wiatru i jego pobratymcom. Utracili swe ziemie i bogów, kiedy nadeszli Andorayanie. Ci tutaj niewiele znaczą. Nie posiadają magii.

— Zobaczmy, co mogą nam powiedzieć.

Perkatonosa wstała z siedzenia na włązie luku bagażowego, podeszła do Februarena i dominującego. Februaren zastanawiał się, skąd wie, że Aelen Kofer jest kobietą. Co go w tym utwierdziło? Przecież nie mógł tego odkryć sam.

— Ci ludzie bardzo chcą pomóc — rzekła. — Rozumieją swoją sytuację. Dajemy im jeść. Wiedzą, że wcale nie musimy tego robić. Ponadto przez Wędrowca Wiatru utracili wielu krewnych i przyjaciół.

— Wiesz, kim jestem, Perkatonosa? — zapytał Februaren.

— Tak. — Z nutą pogardy nawet dla najbardziej zabójczego z ludzi śródziemia.

Dziewiąty Nieznany mrugnął.

— W takim razie powiedz im, kim jestem, skarbie. — Kiedy to robiła, szepnęła do dominującego: — Nie wyglądają mi na takich, którzy doszli już do siebie.

— Bo byli w stanie skrajnego wyczerpania. Nie sądziłem, że im się uda. Aelen Kofer podziałali tak silną magią, ale po brakujących kawałkach ciała od odmrożenia widać, że nawet krasnoludzkie czary były bez szans.

Dominujący zrelacjonował, co do tej pory powiedzieli Seattowie. Czyli głównie to, że Kharoulke jest wściekły i głodny.

— To w zasadzie jego normalny stan, ale teraz jest nieco bardziej pobudzony, bo wie, co knujemy.

— Mówiłam im, czarownik — stwierdziła Perkatonosa. — Twoje imię jakoś nie wzbudziło większego przerażenia.

— Szkoda, wielka szkoda.

Wykorzystując tłumaczenie Perkatonosej, zaczął przesłuchiwać Seattów.

Ze statku Februaren widział lodowe klify w kierunku Andoray. Dostrzegął kształty i cienie na ich szczycie. Dominujący, idąc za jego spojrzeniem, w lot podchwycił jego myśli.

— Zbliża się. Musimy wypróbować coś nowego. I to szybko.

— Coś trzeba zrobić. Żeby kupić sobie trochę czasu.

— Chcą wiedzieć, jak długo mamy zamiar ich zatrzymać — wyjaśniła Perkatonosa. — Nie chcą tu być, kiedy Kharoulke nadejdzie.

— Nie będzie ich tu. Tak czy inaczej.

— Co jest? — Perkatonosa odwróciła się w stronę czegoś, na widok czego wszystkim opadły szczęki.

Po drugiej stronie wrót pojawiła się łódka rybacka. Wpłynęła do środka.

— Sprowadź Żelaznookiego — nakazał dominujący. — Powiedz mu, żeby ściągnął, kogo się da. Trzeba będzie użyć poważnych zaklęć, żeby sobie z tym poradzić.

Februaren nie dostrzegł niczego, co usprawiedliwiłoby takie poruszenie. Poza tym, że kurs łódki wydawał się celowy i zdecydowany.

W mitach typowe było, że goście Dziedziny Bogów nie przybywali tam z własnej woli. Chyba że ostatnio. Ale ostatnio na tej trasie zrobiło się niezwykle tłoczno.

Korban Jarneyn wraz z tuzinem krasnopachołków pojawił się niewytłumaczalnie szybko.

— Wyczuliśmy, jak przekraczają wrota — wyjaśnił Żelaznooki.

Dziewiąty Nieznany nie mógł rozpoznać, kim są owi „oni”.

— Słyszałem o tych maszkarach. Choć nigdy nie było ich więcej niż jeden w jednym miejscu.

W łodzi byli sami Wybrańcy Krepy Nocy. Februaren za każdym razem doliczał się innej liczby, gdy starał się to ogarnąć. Średnio było ich tuzin. Tak wielu, że łódź była zanurzona niemal po burtę. Februaren nie mógł sobie wyobrazić, jak przepłynęła przez wrota, nie podtopiwszy się.

Aelen Kofer wciąż się pojawiali, każdy uzbrojony po zęby — w taką ilość sprzętu, ile mógł unieść pojedynczy krasnolud. Przytargali ze sobą również wszelkie zasoby magii, nad którymi potrafili zapanować.

Pojawiło się zaskakująco dużo krasnoludów. O wiele więcej niż wtedy, gdy wspinali się z Februarenem i Żelaznookim.

Szykowali się na coś.

Podobnie dominujący. Wycofał się, by mieć więcej miejsca na eksperymenty z różnymi straszliwymi postaciami.

Łódź poprzedzał nieprzyjemny zwierzęcy odór. Februarenowi przywodził na myśl gawrę jakiegoś olbrzymiego, paskudnego potwora. Może niedźwiedzia.

— Tylko bez wygłupów — najwyraźniej ostrzegł samego siebie Żelaznooki. Wykrzykiwał szczekliwe rozkazy w języku, którego Februaren nie rozumiał.

Łódź wynurzyła się z wody. Wciąż parła w stronę lądu w tym samym miarowym tempie, ale wzbijała się coraz wyżej.

Żelaznooki rzucił rozkaz, który musiał znaczyć: „Teraz!”.

Łódź spadła. Z wysokości dwóch metrów zaryła dziobem w nabrzeże. Miejsce kolizji zostało niemal pokryte Aelen Kofer, gdy fragmenty łodzi i rzeczy wciąż jeszcze spadały na ziemię w pobliżu.

— Postarajcie się oszczędzić kilku, żeby można było ich przesłuchać — powiedział Februaren.

— Śmiertelniku, idź lepiej i ucz swoją babkę, jak się kurom jajka podbiera.

Rzeź nie trwała długo. Dziewięć bezwłosych stworzeń w tygrysie pręgi zostało rozszarpanych na strzępy i po chwili wrzuconych do ogniska rozpalonego specjalnie dla nich. Trzech jeńców było sparaliżowanych. Nie mogli ani uciec, ani walczyć. Nie chcieli też mówić. Nie było jasne, czy byłiby w stanie, gdyby chcieli.

— Nie znam rozwiązania tej zagadki — stwierdził Żelaznooki. — Te potwory są sztuczne. Nie różnią się od wielu mitycznych stworzeń, które tworzyli bogowie dla własnej zabawy. Tylko że to są narzędzia śmierci. Nie posiadają uczuć, nie znają lęku, nie mają żadnego wnętrza, nic poza obsesyjną determinacją, by wykonać wolę Wędrowca Wiatru. Zagrzewają się wzajem do walki jego własnym tchnieniem, by zyskać siłę i zrobić to, co muszą wykonać.

Februaren podszedł do dominującego, który najwyraźniej miał zamiar się przeistoczyć w wielkiego, skaczącego kraba. Nie brał udziału w redukowaniu szeregu pasiastych napastników.

— Czy możesz mieć wgląd w ich wnętrze?

Dominujący wydawał się zaskoczony tym pytaniem, a potem zirytowany.

— Dlaczego mnie o to prosisz?

— Ponieważ jesteś tym, kim jesteś. Z boskimi kawałkami w środku. Twoje boskie „ja” mogłoby skraść im to, co najlepsze.

— Natrafię tylko na chłód. I całkowitą pewność, że rozdarłyby mnie na strzępy, gdyby tylko mogły.

— Mogę mieć inne narzędzie — zauważył Februaren. — Ale będę musiał zabrać jednego z nich gdzie indziej.

— Czasu trzeba — mruknął zniechęcony Żelaznooki.

— Czasu trzeba, panie Gjoresson. Dostaniecie go. Mam coś w zanadru. Dzięki temu dam nam mnóstwo czasu.

Ale Februaren był niespokojny. W gruncie rzeczy był cholernie zasepiony, a stan ten pogłębiał się z godziny na godzinę.

To już powinno się było wydarzyć.

Cloven Februaren stanął oko w oko z nadciągającą paniką, największą, jaką odczuwał od stuleci. Jego plany zaczęły się walić w gruzy. Heris powinna wykonać swoją część roboty trzy dni temu. Musiał się wydostać z Dziedziny Bogów. Musiał się dowiedzieć, co poszło nie tak. Co się stało z Fleris.

Nie powinien był jej słuchać, kiedy zgłosiła się na ochotnika.

Musiał sprawdzić, co z Piperem. Piper powinien być już w Alten Weinbergu.

Może dlatego Heris się spóźniała. Piper mógł się wplątać w jakieś tarapaty, a ona go z nich wyciągała.

Starzec stał na przystani, wpatrując się gdzieś ponad łodzią Seattów, daleko w kierunku wrót, w śródziemie za nimi. Dołączył do niego Korban Jameyn.

— Nie za wiele tam widać.

No właśnie. Tylko mgiełka i połać ciemnego morza, na którym fale zaczęły się wznosić, zwiastując nadciągający sztorm. Wraz ze zbliżającą się zimą coraz trudniej było dotrzeć wzrokiem do krainy wiecznych mrozów, wraz z jej potwornymi mieszkańcami.

Kiedy starzec nie odpowiedział, Żelaznooki zapytał:

— Czemuś ostatnio taki markotny i nieobecny, przyjacielu?

— Myślę, że Noc mogła mnie wybrać, by poinstruować w kwestii pychy.

— Ciekawe. Przyszedłem tutaj, by donieść, że Aelen Kofer natrafili na ścianę. Nic więcej nie możemy zrobić.

— Co takiego?

— Wykonaliśmy nasze zadanie do punktu, w którym nie możemy zrobić nic więcej dopóty, dopóki ty nie wykonasz swej części.

— Myślałem, że jestem lepszym nauczycielem — mruknął Cloven Februaren. Co oczywiście nie pasowało do poprzedniej wypowiedzi.

— Znajdź szczeniaka Arlensul, czarownika. Albo się zacznie. Ten potwór tam, ta straszliwa ropucha we mgle, do wiosny doprowadzi lód aż tutaj.

Jeśli w ogóle będzie jakaś wiosna. Chyba że ty...

Czerwonozłote światło rozbłysło gdzieś we mgle, daleko. Drugi rozbłysk pojawił się zaraz za pierwszym. Krótszy, jaśniejszy i jakby bardziej żółty. A potem zamigotało kilkanaście innych, o różnych odcieniach. Następowały jeden po drugim, skradając się to z prawej, to z lewej strony.

— Co to może być? — zastanawiał się Gjoresson.

Dziewiątego Nieznanego nagle otrzeźwiła pewna myśl.

— Możesz zamknąć wrota? Szybko?

— Po tylu staraniach, żeby przebić się o krok po kawałku?

— Jeśli przynajmniej nie zmniejszysz tej dziury, to zaraz zmoczy nas na amen.

Krasnolud wyczuł niecierpliwość w jego głosie.

— No dobra. Ufam, że troszczysz się też o własną skórę.

Februaren wyjaśnił wszystko, a Żelaznooki w tym czasie pracował nad tym, co udało się Aelen Kofer zmagistrować magią. Nie było to nic radykalnego. Bo nigdy nie było, aż do momentu, kiedy stanęło tam coś takiego jak tęczowy most. Żelaznooki nie zrozumiał wyjaśnień Dziewiątego Nieznanego.

Średnica wrót zmniejszyła się o dwa i pół metra, zanim pojawił się pierwszy głuchy, przeciągły, ledwo słyszalny trzask zapowiadający serię stuknięć, zgrzytów i trzasków, które szeptały jedynie o potężnych dźwiękach rodzących się gdzieś w oddali, po drugiej stronie okrutnie zimnej toni.

Wkrótce dotarł do nich ryk wściekłego boga. Było w nim tyle furii, że mógł być słyszany na wiele tysięcy kilometrów.

Nastrój Dziewiątego Nieznanego znacznie się poprawił.

— Udało się jej! Ale numer, udało się! Miałem rację. Nie ma nikogo, kto pilnowałby mu tyłów. — Ale strach powrócił, kiedy przypomniał sobie pewne konsekwencje tego sukcesu. — Musimy zamknąć wrota.

— Ale kto co zrobił, czarowniku? — stanowczo chciał wiedzieć Żelaznooki.

— Skurczcie wrota do takich rozmiarów, żeby nie zamknąć nas tu znów na stałe.

Dominujący przybiegł truchtem, po raz pierwszy poruszając się tak szybko od miesięcy.

— Lepiej zrób, co mówi, Gjoresson.

Krasnolud miał ochotę na sprzeczkę, ale wyczuł, że strata czasu może wkrótce okazać się brzemienne w skutkach. Nie była to chwila na mędrkowanie, deliberowanie oraz parlamentarne dyskusje.

Februaren nie był nierozsądny. Starał się wyjaśnić Żelaznookiemu wszystko podczas pracy. Krasnolud po prostu nie rozumiał.

Rozległ się kolejny wrzask, chór salwy okrzyków, które przypominały Februarenowi ryk setki słoni pieczonych na wolnym ogniu.

— Co to było? — zapytał dominujący.

— Kharoulke nieopatrznie skąpał się od stóp do głów w Morzu Andorayańskim. Zamykaj wrota, Żelaznooki. Fala nadchodzi. Słowo. W ogóle to reszta mogłaby zacząć szukać jakiegoś pagórka. Cicho mi tu! — rzucił do tłumu krasnoludów. — Słuchajcie! Szukajcie jakiegoś wzniesienia. Biegiem! Pokłócić się możemy, jak wyjdę na kompletnego idiotę!

Żelaznooki zmniejszył wrota do dwóch i pół metra szerokości i metra wysokości, zanim nadeszła fala. Była wyższa i szersza niż otwór. Woda wystrzeliła przez szczelinę. Roztrzaskała łódź seattańskich uciekinierów, walnęła w statek i zatopiła krypę należącą do pasiastych zabójców. Ale nie miała na tyle impetu, by wedrzeć się dalej na ląd.

— Poświętujmy nasze mokre nóżki — oznajmił Februaren. — A potem weźmy się do roboty.

Woda opadła. Wrota znów zaczęły się powiększać. Port przypominał połąć zielonkawego szkła. Morze na zewnątrz było spokojne, mieniło się wyblakłymi barwami zimy.

Krzyki Wędrowca Wiatru nie ustawały. Februaren wyobraził sobie boga chwytającego się szponami krawędzi lodowych klifów, szukającego jakiegoś punktu podparcia, żeby mógł się wydostać z wodnych męczarni.

— Wygląda na to, że wpadł po uszy.

— Morze pożera go jak rozcieńczony kwas — powiedział Gjoresson. — Pożre go ze szczętem, jeśli się nie wydostanie. Choć to może trwać całe lata. Dużo jego. A woda zamarza. Gdyby była ciepła, pochłonęłaby go dużo szybciej. Mimo to tak bardzo go to boli, że nie może się skoncentrować na użyciu swej boskiej mocy. I tak, na razie, jest wyłącznie wielgachnym, głupim osiłkiem w kleszczach agonii.

Dziewiąty Nieznany oraz dominujący byli zadowoleni. Im dłużej Kharoulke tkwił zanurzony w wodzie, tym słabszy będzie, jak z niej wylezie.

— No i macie swój czas — odezwał się Februaren. — A teraz dajcie mi tę Kharoulkową bestię i wyprowadźcie mnie za bramę.

Minęło wiele godzin. Łódź wymagała naprawy. W końcu Aelen Kofer wyprowadzili ją na Morze Andorayańskie. Wypłynęli tylko sto metrów za wrota. Zaludnili pokłady, chłonąc gęstą magię ze śródziemia.

Februaren miał dwa artefakty Wędrowca Wiatru. Nie musiał wracać po kolejny, gdyby jeden z nich zdechł. Martwił się tylko, czy nie robi niczego złego.

Dominujący oraz tuzin Aelen Kofer obserwowali wszystko. Wszyscy wręcz chłonęli wzrokiem to, co robił.

Nie było na to rady.

Przyciągnął swoich więźniów bliżej, pomyślał o konkretnym miejscu i zrobił zwrot w bok.

Wkroczył do zagajnika we Frieslandzie. Czekąca tam na niego Fleris. Rozpaliła już ogień. Nie trzeba było się obawiać, że ktoś to zobaczy. Ludzie sobie poszli. Delegatury, wielkie i małe, uciekły w stronę słabnącej mocy Morza Andorayańskiego.

— Chodźmy do domu — rzekła. — Muszę się trochę rozgrzać. A potem muszę sprawdzić, co u Pipera.

Cloven Februaren sprawdził więzy na swoim ładunku.

— Dlaczego tak długo to trwało z tymi wybuchami?

— Musiałam się upewnić, czy Piper dojedzie bezpiecznie na czas. Co to za szkarady, do diabła? Jak byłyby jeszcze trochę brzydsze, trzeba by było je dobić, żeby się dłużej nie męczyły. Dlaczego są tak powiązane? Musisz odpocząć — dodała po chwili. — Wyglądasz strasznie.

Februaren nie widział najmniejszego powodu, dla którego mogło się wydawać, iż dziwnie wygląda.

— Gadaj! — warknął.

— Twój plan zakładał, że podłożę ładunek prochu w tuzinie różnych miejsc. Podłożyłam w czternastu. Ale nie pomogłeś mi wcale z prochem. Musiałam sobie z tym poradzić, mając jeszcze na głowie niańczenie Pipera.

— Nie powinnaś była mu zabierać prochu.

— On swego bacznie pilnuje. Musiałam najechać na osiem różnych zbrojowni, z których pięć znalazłam sama. Więc proszę bez uszczypliwości. Bo wiem, gdzie mogę podwędzić go jeszcze trochę, żeby podłożyć ze dwa pod twój zręczliwy tyłek. — Spojrzała wilkiem, najwyraźniej prowokując go, by coś powiedział.

— No dobrze, dobrze już. Robota wykonana. Wielki paskudny bóg wpadł jak śliwka w kompot. I teraz zbyt go wszędzie boli, by mógł robić to, co każdy wielki paskudny bóg lubi robić najbardziej. Mamy dzięki temu więcej czasu.

— Dziękuję ci, Heris.

— Dziękuję ci, Heris — powtórzył grzecznie za nią.

— No dobra. Słuchaj. Co to są za paskudy, do jasnej cholery, powiązane w pęczki linami i kocami, co?

Februaren wyjaśnił, po czym dodał:

— Chcę żebyś wzięła jednego, i ja wezmę jednego, a potem wrócimy do domu w kilku skokach.

— Ale cuchną, no nie?

— Cuchną. Konają. Kharoulke jest zbyt zajęty ratowaniem własnego mokrego tyłka, żeby pomóc im stanąć na nogi.

— Więc nie powinniśmy marnować czasu na pogaduszki.

Februaren pozwolił sobie na blady uśmiech, chwytając artefakt i odwracając się bokiem. Ta kobieta bardzo się rozwinęła w ciągu ostatnich dwóch lat. Może... przecież jest to możliwe, że pójdzie za głosem powołania, czego Piper nie mógł już zrobić.

Muno nie był już szczeniakiem.

Dziewiąty Nieznany zabrał jednego ze swych więźniów do serca Konstruktu i przetestował go na zniszczenie. Kiedy wziął tego zdrowszego, nie zapomniał przeświecić wspólnych wspomnień Wybrańców Krepy Nocy, którzy w swojej masie byli jedną i tą samą bestią.

Jarneyn Gjoresson aż podskoczył.

— Wybacz — przeprosił Februaren. — Nigdy nie widziałem tak dramatycznej reakcji na moje pojawienie się.

Krasnolud fuknął coś gniewniej niż zwykle.

— Masz coś do przekazania? — warknął.

— Odnalazłem miejsce, gdzie należy szukać Bastarda. Znajdowało się w zbiorowej pamięci potwora. Jeden z pierwszych towarzyszył grupie Wybranych, którzy przemierzali ostępy Imperium. Mieli zabić pewnego człowieka, który mieszkał w pewnym forcie w kniei. Kharoulke nie podał powodu. Ale wyczuwalne było, że przewidział skrajne zagrożenie. Misja się nie udała. Bóg od tamtego czasu był zbyt zajęty, by wysłać kolejną ekspedycję do celu, który teraz był już świadomy, że Noc jest nim zainteresowana.

— A co to jest Imperium? — Żelaznooki wprowadził Februarena w zakłopotanie.

Tak więc Dziewiąty Nieznany poświęcił kilka godzin, uaktualniając wiadomości krasnoluda na temat śródziemia.

— Tam to wszystko pędzi — stwierdził krasnolud. — Ostatnim razem tam byłem podczas poszukiwań Grinlinga.

— Tak? — Februaren słyszał, jak Piper wspominał coś o tym magicznym pierścieniu. — No i?

— Wymknął się nam. Nawet mnie, a ja wykonałem najwięcej pracy przy jego wyrobie. Pomniejsza Delegatura Nocy z północy wyrzuciła go za burtę w najgłębszym miejscu tego, co nazywacie Morzem Ojczystym.

Februaren chrząknął. Nie jest dobrze. Nie powinno się takich magicznych artefaktów tak porzucać. Zawsze znajdują sposób, by powrócić.

— Potrzebuję ciebie oraz innych Aelen Kofer, byście na chwilę przeszli do mojego świata — powiedział.

Krasnolud prychnął.

— Żeby przejąć twierdzę Bastarda, potrzebna będzie siła i spryt. Trzydziestu Wybrańców Krep Nocy nie miało szczęścia.

— Też mi zachęta.

— Byli niewolnikami boga, nie Aelen Kofer.

— To jasne jak słońce, śmiertelniku. Ale wciąż wymaga działania. Powiedz mi, dokąd mamy się udać i co zrobić.

— Odnalazłem to miejsce — rzekł Cloven Februaren. — Obszedłem je, zanim się tu zjawiłem.

Opisał, co widział, i powiedział Żelaznookiemu, co jego zdaniem należy zrobić. Po chwili zastanowienia książę Korony Aelen Kofer zgodnie przyznał, że strategia Februarena jest słuszna. Na razie. Przy uwzględnieniu dostępnych danych.

Zacęły się przygotowania. Pospieszne.

Miała to być długa misja. Nie dało się inaczej dotrzeć do celu niż na piechotę. Zimą. Przez krainę, która już nie otaczała Aelen Kofer nabożną czcią. W świecie, w którym w większości zapomniano już o Aelen Kofer.

Miasto Imperium: Nowe Życie

W Alten Weinbergu było nadzwyczaj spokojnie. Imperatorową i księżniczka wyjechały szerzyć postęp, choć Katrin była już ponoć w zaawansowanej ciąży. Większość kręcących się przy dworze ludzi była tam wraz z nią — najeżdżali to na zamek, to na miasteczko, niczym rój szarańczy. Ważne osoby pozostały w mieście stołecznym, skrzętnie unikając jakiegokolwiek kontaktu z nowym wodzem Katrin. Byli pewni, że wszyscy pozostający w mieście szpiegują dla Cesarzowej, jej siostry albo Ferrisa Renfrowa. Nikt nie chciał się znaleźć na liście podejrzanych.

Hecht był zadowolony. Poniekąd. Zarówno z tego powodu, że dano mu święty spokój, jak i widząc, jak skutecznie siostry wyrwały się spod wpływu Komisji Doradczej.

Córki Johanna Czarne Buty wprowadzały nerwową atmosferę. Jeśli dalej będą tak rosły w siłę, za kilka lat zdołają konkurować ze swym ojcem.

Wielu szpiegów Zgody zbierało informacje i składało mu raporty. Niektórzy pracowali już tu od czasu wizyty Naczelnego Wodza na królewskim ślubie. Niewielu tylko nie miało ciekawych informacji. Nieobecność cesarskiego dworu pozostawiła Alten Weinberg w stanie bliskim hibernacji.

— Wszędzie są inni szpiegowie, szefie — powiedział Rivademar Vircondelet. — Każdy, kto nie jest praktykantem czy pracownikiem, obserwuje wszystkich innych dla kogoś, kto nie może tu być we własnej osobie.

— Przestań! — rzucił Hecht. — Rozumiem. Wszyscy obserwują wszystkich. To już wiedziałem. A może wiesz coś o czymś mniej oczywistym lub ciekawszym?

— Mam coś. Coś jest nie tak z ciążą Imperatorowej.

— Uściślij.

— Utrzymuje, że jest w ciąży. Że nosi syna Jaime'a z Castaurigi, który zjednoczy direcjańskie i imperialne linie w jedną wielką dynastię.

— Ale?

— Ludzie zaczynają się zastanawiać, czy sobie tego wszystkiego nie ubrdała.

Hecht kazał swoim ludziom liczyć — biorąc pod uwagę każdą ewentualność, z Jaime'em i bez niego. Kazał im śledzić każdą pogłoskę, w poszukiwaniu czegoś, co mogło być prawdą. Jeśli Katrin udawała, to byłoby coś. Jej stosunki z Jaime'em stały się tak napięte, że nie wykluczano, iż nigdy więcej go nie zobaczy. Możliwe, że napięcie nie wynikało jedynie ze zdegustowania Jaime'a kościstymi wdziękami żony. Musiało się coś stać, co błyskawicznie zatuszowano, co miało jakiś związek z księżniczką Hespeth. Jaime mógł poczynić jakieś niestosowne awanse, które ku jego zaskoczeniu i złości, zostały wyraźnie odrzucone. Ciągła natarczywość poskutkowała tym, że Hespeth zaaranżowała wszystko tak, by Katrin była świadkiem tego, w co nie chciała uwierzyć na słowo.

Ferris Renfrow mógł rzucić królowi Jaime'owi jakieś ostrzeżenie na osobności. Jaime był zbyt arogancki, by posłuchać, ale ludzie z jego otoczenia byli w bliższych stosunkach z rzeczywistością.

— Tak więc nasz nowy książę Korony powinien pojawić się za jakiś tydzień do dziesięciu dni... jeśli Katrin nie potrzebuje całego roku, by rodzić — orzekł Hecht.

— Wciąż robi postępy, szefie — stwierdził Sedlakova. — Może nie jest w ciąży, jak myśli. Szlachcianki zwykle zaczynają rodzić, kiedy ciąża jest widoczna.

— Gdybym to ja był na miejscu króla Jaime'a, zacząłbym mieć niejaki wątpliwości, czy rzeczywiście jestem tatusiem — zaryzykował Kait Rhuk.

— W rzeczy samej.

Pogarda niższych klas wobec postępowania majątnych kobiet była głęboko zakorzeniona w kulturze całego chaldarańskiego świata.

— Może nie postępuje rutynowo, bo się boi ustąpić — zasugerował Titus.
— Otaczają ją same szakale.

— Teraz nas to wszystkich bawi, ale w końcu to się jakoś rozwiąże — skwitował Hecht. — Muszę wiedzieć więcej na temat ludzi wokół

Cesarzowej. O tych, którzy uważają, że mają niejaki wpływ, albo chcą je mieć. O tych, którzy są przekonani, że przyszłość Imperium musi być widoczna w ich specjalnych zwierciadłach. — Wzdrygnął się. Tym razem będzie musiał się zabawić w politykę. — Titus. Odszukaj Algresa Stracha.

— Stracha?

— Kapitana Braunsknechtów.

— Pamiętam. Zaskoczyłeś mnie tylko.

Stan Katrin wymusił wolniejsze przemieszczanie się niż zwykle. Data jej powrotu wracała jak bumerang. Niezwykła pogoda jak na tę porę roku też nie sprzyjała podróżom. Komunikacja przez góry Jago urwała się sześć dni wcześniej niż zwykle. Kwatermistrzowie Hechta zawczasu zadbali o zapasy opału, nim ceny poszły w górę. Pozycja Hechta jako ulubieńca Cesarzowej sprawiła, że mu ufano.

— To może być ciężka zima — zauważył Zgoda. — Kiedy się skończy, może nikt nie będzie zainteresowany drałowaniem do Ziemi Świętej.

— Najpewniej wszyscy będą tam chcieli wyjeżdżać, bo tam jest zdecydowanie cieplej.

— Tak sobie tylko myślę na głos. — Titus wzruszył ramionami.

— Nie można się powstrzymać, prawda?

Nie wiedząc, czy ma się pokłócić, czy nie, Titus poszedł zrobić coś pożytecznego. Hecht mamrotał coś pod nosem, coś na temat tego, że Zgoda zmienia się w starą plotkarską przekupkę. Miał ściągnąć Noë i dzieci na północ na wiosnę. Z rodziną przy boku Titus był bardziej pojednawczy.

Kiedy Hecht wybrał już sobie kwaterę, wydał rozkaz, by nikogo nie wpuszczać do środka bez wyraźnego zaproszenia. Chciał stworzyć przestrzeń, w której Heris czy też Cloven Februaren mogli pojawiać się niezauważeni. Nie chciał być oskarżany o tajne układy z Nocą.

Heris pojawiła się wkrótce po wyjściu Titusa.

— Nie wyglądasz za dobrze — stwierdził Hecht.

— Dziadek dziadka testuje nas wszystkich na wyniszczenie. 1 trudno się kłócić z kimś, kto ma dwieście lat więcej od ciebie i robi więcej, niż wymaga od ciebie. Stary drań nie uznaje snu, Piper.

— Popisuje się tylko.

— Powiedziałałabym, że sam stara się sobie coś udowodnić.

— No tak. Jakie wieści?

— Anna ma się dobrze. Zasyła całusy. Dziewczynki się chowają. Nic specjalnego w szkole. Pella ma galopujący kaszel. Reszta pewnie będzie miała go wkrótce. Dziadek, moim zdaniem, za śmiało poczyną sobie w Kolegium. Celowo prowokuje Łagodnego.

— Oczywiście. Jak zwykle. I liczy na to, że Patriarcha będzie się zamartwiał na śmierć ciągłym istnieniem Clovena Februarena. Dziewiąty Nieznany miał swego czasu paskudną reputację. Kilku Patriarchów w dawnych czasach pożałowało, że wywołało jego gniew.

— Piper, Łagodny nic na ten temat nie wie. On prawie nic nie wie na temat Nieznanych. I w ogóle o niczym przed czasami jego dziadka. Dawne czasy nic go nie obchodzą. I nigdy nie został zaproszony do projektu Konstruktu. Prawie nikt o tym już nie wie poza tym, kto wydał rozkaz i kto to sfinansował. Co oznacza, że wie o tym ledwo kilku członków Kolegium. Kumpli dziadka, którzy są święcie przekonani, że upadek starego świata czai się tuż za rogiem. Ostatnim Patriarchą, który wykazał się zainteresowaniem Konstruktem, był Pacificus Wzniosły. Kiedy wciąż był Fiducjaninem. Chciał wiedzieć, na co idą pieniądze, ale nigdy nie przyjrzał się samemu projektowi. Coś nałożyło mu klapki na oczy.

— Coś na kształt Dziewiątego Nieznanego?

— Prawdopodobnie. Dziadek mówi, że Hugo Mongoz wiedział co nieco, ale tylko dlatego, że był przy tym tak długo, że nie dało się inaczej. Bellicose nie wiedział nic. Z całą pewnością Łagodny się nie dowie. Ani ten, co przyjdzie po nim. Tak chcą starzy. Myślą nawet o zaplombowaniu dojścia z pałacu Chiaro.

Hecht się zastanawiał, w jaki sposób wpłynie to na tych mnichów i zakonnice, którzy pracowali przy projekcie. Niektórzy nie robili niczego innego od pięćdziesięciu lat. Były też inne drogi dotarcia do Konstruktu. Dla ofiarnych pracowników. Oczywiście. Skoro zakonnicom w ogóle nie wolno było przebywać w pałacu Chiaro.

— Masz coś ciekawego do przekazania? — zapytał.

— Jasne. Wykąpaliśmy Wędrowca Wiatru. I ten naprawdę stary myśli, że odnalazł miejsce, w którym przebywa Bastard. Dotarcie tam i zrobienie czegoś z tą wiedzą może być jednak problematyczne.

No tak. Ktoś przypiął poszukiwanemu łątkę.

— Proszę, rozwiń temat.

Nie miał pojęcia, co knują Heris, Dziewiąty Nieznany i Muniero Delari. Jedynie Heris była szczerą jak zawsze. I rzadko miała wiele do powiedzenia.

Teraz jednak jej opowieść była bardzo długa.

— Widzę, że nie próżnowałaś.

— A będzie jeszcze goręcej. Nie będę mogła wpadać kilka razy dziennie i karmić cię informacjami. Musisz używać naszyjnika. Po to jest. — Mówiła jak matka zniecierpliwiona uporem dziecka.

— Miałem nadzieję, że będziesz nawiedzać Alten Weinberg, tak jak nawiedzałaś Krois i pałac Chi aro.

— Bardzo bym chciała, Piper. Naprawdę. Myślisz, że zrobią mi tę grzeczność, przemawiając w firaldiańskim albo kościelnym brotheńskim? A może po melhaicku?

— No dobrze. Sarkazm przyjęty. Ja sam teraz będę nawiedzał.

— Mówiłam o wisiorze, Piper. Jestem naprawdę zajęta.

— Rozumiem. Dla mnie to też będzie dobre. Nie będzie pytań, z kim to ja tam tak często rozmawiam.

Ale pytania się pojawiły. Pełne niepokoju. Półprawdy jak dotąd wystarczały. Miał szpiega, którego tożsamość znał tylko on. Szpieg chciał, żeby tak pozostało. Służbę martwiło, jak się pojawia i znika.

Zaczęła tworzyć się jego nieformalna straż.

Cesarzowa Katrin wracała z objazdu. Wreszcie. Gońcy pojawiali się na wiele dni naprzód. Kiedy nadeszły wieści, że Katrin dotarła do Wschodniej Bramy, Hecht polecił przerwać pracę i kazał swoim ludziom ustawić się na jej trasie, by pokłonić się Imperatorowej. Prezentowali się niezwykle dziarsko, co sprawiło przyjemność zarówno Imperatorowej, jak i jej siostrze.

Imperialni przeszli wzdłuż szpaleru.

— Obnoszą ją w tej lektyce, żeby ludzie mogli ją zobaczyć. Ale nie wygląda na kobietę tuż przed połogiem — wyszeptał Titus.

Hecht przyznał mu rację, choć dekoncentrowała go obecność księżniczki. Nie był w stanie powstrzymać obrazów wyobraźni, niosących zarówno głód, jak i obietnicę. Odwrócił się, by coś powiedzieć do Zgody.

Raptem coś walnęło go mocno od tyłu. Poczował, jak przez wyścielane podbicie zbroi płytowej przebija się metal. Jak wchodzi mu w plecy, skręca

na łopatkę i dzięki temu omija serce. Bólu nie było.

Był już wcześniej ranny. Wiedział, że minie chwila, zanim jego ciało zacznie protestować.

Zrobił kilka chwiejnych kroków, świadomy krzyków wokół. Jego pierwszą reakcją było niedowierzanie. Amulet go nie ostrzegł. Ale też nie powinno być żadnego ostrzeżenia, jeśli atak był natury doczesnej. W duchu przeprosił Madouca, gdziekolwiek się teraz znajdował.

Łotry go w końcu dostały.

Zaczął myśleć z troską o swoich ludziach, o Annie i dzieciach, nawet o tej kobiecie w al-Karn i jej córkach. Nie był w stanie ich utrzymywać.

Jego prawa dłoń wsunęła się pod kaftan niemal bezwiednie.

Jakieś dłonie go podtrzymały. Otoczyły go czyjeś ciała. Tarcze utworzyły żółwia nad jego głową.

Wciąż słycać było krzyki. Nie on jeden ucierpiał. I jego ludzie odpowiedzieli, jak mieli w zwyczaju.

Zamieszanie. Jego umysł nie mógł normalnie funkcjonować. Serce też nie wykonywało swego zadania. Mimo to uczeplił się swego wisiora, aż uszła z niego świadomość.

Piper Hecht ocknął się i zobaczył wykrzywione wściekłością twarze mężczyzn, niektórych z lekkimi ranami. Zastygli niczym kamienne posągi. Czas jednak nie wstrzymał biegu. Kilku padło trafionych w pół kroku.

— Udało się. Oprzytomniał — powiedziała Heris.

Hecht jej nie widział. Dziewiąty i Jedenasty Nieznani jednak pojawili się na obrzeżach jego wizji.

— Strzała była zatruta — orzekł starszy. — Na szczęście nie żadną szybko działającą trucizną. Organy wewnętrzne nie są uszkodzone.

Februaren był załamany. Nie można było przewidzieć, co będą pamiętać zastygli wojownicy, kiedy się przebudzą.

— Zaczynają mu wracać kolorki — zauważyła Heris.

— Trucizna pomogła, kiedy zatrzymało mu się serce.

— Teraz bije jak oszalałe.

— Twoje też by tak biło. Mieliśmy szczęście. Dotarliśmy szybko na miejsce. Będzie żył.

— Zastanawiam się, jak dalece go to odmieni — odezwał się Delari.

— Może w końcu wbije sobie do tej swojej łepetyny, że są tacy, którzy naprawdę chcą go zabić — zrzędził Februaren.

— Miałem na myśli przemiany, bo znalazł się we władaniu Nocy.

Hecht chciał powiedzieć prowincjałowi, że się myli. Nie spotkał się z Nocą. Był nieprzytomny.

— Wyczyść ich umysły, Muno. Szybko. Żebyśmy mogli stąd zaraz czmychnąć. Już i tak za długo tu jesteśmy. To cud, że nikt nas nie nakrył.

— Żaden cud. Zakląłem drzwi. Każdy, kto się zbliży, zapomina, po co tu przyszedł. Będzie się snuł wkoło, starając się sobie przypomnieć. No już. To powinno wystarczyć, zanim sprowadzą uzdrowiciela. Jestem gotowy.

Heris dotknęła policzka Hechta.

— Bądź ostrożniejszy, Piper.

Wraz z Februarenem ustawili się po bokach Muniera Delariego, splatając z nim ramiona. W przedziwny sposób, pomimo dość niezgrabnej pozycji, udało im się jednocześnie obrócić bokiem.

Rozległo się ciche *pufff!*, kiedy znikali.

Zamieszanie i głośy. Tuzin mężczyzn pytało jeden drugiego, co się właściwie stało, i pomagali sobie nawzajem wstać.

— A niech mnie kule biją! No popatrzcie tylko! Szef dycha. Do diabła, przebudził się!

Tłoczyli się wokół niego, niektórzy pomagając innym zachować pion. Hecht zauważył kilka zabandażowanych ran, żadna z nich jednak nie była tak groźna jak jego.

— No niech ja w domu nie nocuję! — wykrzyknął Kait Rhuk. — Nigdy w życiu czegoś takiego nie widział, jako żywo! Szef był już zimny trup. Byłem pewien, że po nim!

— Rychło w czas się wielebny znalazł! — warknął ktoś z boku Brat uzdrowiciel wszedł w pole widzenia Hechta. Był stary, z całą pewnością po sześćdziesiątce. Miał okrągłą, czerwoną twarz z białą szczotką brody. Naturalna tonsura zdobiła szczyt jego czaszki. Wyglądał jak człowiek, który zawsze ma uśmiech na podorędziu. Choć był sam, zdołał stanąć nad chorym, zakrywając swoim ciałem całego Pipera Hechta. Położył na nim uzdrowicielskie dłonie, wysłuchując przy tym relacji o przebiegu zdarzeń. Nagle się zaniepokoił. Odskoczył od pacjenta jak oparzony, kiedy dowiedział się, że zmarł i powrócił do życia.

Kilku ludzi mówiło, iż wydawało im się, że pamiętają jakieś duchy poruszające się obok nich, kiedy byli... Cóż, nie potrafili wyjaśnić, w jakim stanie się znajdowali, oprócz tego, że nic nie mogli zrobić. Większość w ogóle nic nie pamiętała.

— Moje umiejętności przydadzą się gdzie indziej — stwierdził uzdrowiciel. — Gdzieś daleko stąd. Trup, który się budzi, może należeć wyłącznie do stworzeń Nocy. Do tej strony Nocy, w której hulają demony, nieumarli i sam Przeciwnik.

Clej Sedlakova zajął stanowisko przy drzwiach. Miał tylko jedno ramię, co w niczym nie umniejszało jego talentu do robienia ostrzem.

— Nie tędy, braciszku. Zawracaj. Wylecz potrzebującego.

Zachęty ze strony pozostałych aż nadto dobitnie uświadomiły mu, że nie ma wyjścia.

Kiedy skończył z Hechtem, wspaniałomyślnie pozwolili mu zająć się pomniejszych ranami, jakie sami odnieśli.

Hecht zdążył już zapaść w sen. Obudził się znów, kiedy poczuł uzdrowicielski dotyk kapłana. Jego dłonie miały niemal zmysłową moc. Nagle miał dobre samopoczucie, poczuł przypływ energii i w ogóle odniósł wrażenie zdrowego ducha w zdrowym ciele. Po kilku minutach mógł usiąść. I przemówić.

— Panowie, mówcie, co się stało — zachrypiał. — Co się wydarzyło? Co wy zrobiliście?

Napotkał przestraszone spojrzenia i milczenie.

Poczuł się na tyle silny, że mógł myśleć.

— Do cholery! Wy zabobonne bęcwały! Popatrzcie na mnie! Przecież ja żyję. To jasne. Nie zginąłem. Co z wami jest, do ciężkiej zarazy!?! Ściągniecie tu tych, co będą myśleli, że wstałem z martwych. Przez was wrzucą nas do dołów z płonąca oliwą! Pomyślcie chwilę! Skończcie z tymi przesadami, kretyni! Ty! W sutannie! Co się dzieje po śmierci?

Brat uzdrowiciel zaczął mamrotać coś, mieszając brotheńskie i chaldarańskie dogmaty.

— Nic takiego nie zaszło. Żadnego jasnego światła. Żadnej ciemności. Żadnych aniołów, demonów czy głosów. Nie było żadnego przewoźnika z wyciągniętą łapą po zapłatę. Nic z tych rzeczy, tylko wielki ból łepetyny. Byłem nieprzytomny. Teraz jestem w szoku. — Wysysając energię z kapłana, wpadał w zapamiętanie.

Dostrzegł pierwsze iskierki woli wiary.

Hecht wolał obecną sytuację niż tę wcześniejszą. Ale wskrzeszenie z całą pewnością skomplikowało mu życie.

— Złapaliśmy zamachowców — odezwał się drżącym głosem Titus Zgoda.

— Co? Było ich więcej?

— Parka. Kochankowie, jak mi się zdaje. Jeszcze nic im nie zrobiliśmy. Zamknęliśmy ich tylko.

— Mam nadzieję, że osobno. Będę chciał ich widzieć, jak dojdę do siebie. Bracie, odczyniaj swoje czary nad tą raną. Kto wyjął strzałę?

— To byłem ja, szefie — odezwał się Hagan Brokke. Był jednym z lżej rannych.

— Dziękuję ci. Masz jeszcze tę strzałę?

— Jest w kawałkach. Ale mam ją.

— Dobrze. Chcę dostać grot. Na pamiątkę. Na miłość boską, księżulku! Przecież nie jestem ze szkła. Przeżyłem tylko ranę od strzały, która weszła... Och! Boli. Czy więźniowie mieli coś do powiedzenia?

— Jeszcze nie — odparł Titus. — Ale zaczną śpiewać.

— Żadnych tortur. Trzymajcie ich tylko w ciemnicy w odosobnieniu. Niech wykańcza ich własna wyobraźnia. Aach! Daj spokój, Clej. On tylko wykonuje swoją pracę.

Któryś z podkomendnych podszedł do drzwi. Sedlakova wpuścił go do środka. Złożył meldunek. I zobaczył, jak leczą jego dowódcę.

— No i dobrze, Clej. — Chłopak już poszedł. — To powinno ukrócić najbardziej niesamowite plotki. Co powiedział?

— Tam, na dole, chcą wiedzieć, co mają powiedzieć ludziom, którzy wciąż przychodzą i chcą się czegoś dowiedzieć. Mówi, że szczególnie dociekliwe były Cesarzowa i Księżniczka Prawowita.

— Zapisuj, kto pytał, jeśli jeszcze tego nie robicie. Wiedza, kto się tym interesuje, może się przydać. Ile jeszcze, bracie?

— Tylko kilka minut. Potem będę musiał zabandażować ranę i unieruchomić lewe ramię, panie.

— Masz coś przeciwbólowego? Zaczyna mi doskwierać.

— Zalecałbym odpoczynek. Jeśli będziesz siedział bez ruchu i się oszczędzał, panie, ból powinien być znośny. W przeciwnym razie będzie się dawał we znaki.

Hecht zaczerpnął głęboko powietrza, by rzucić jakąś gniewną odpowiedź. Ból przeszył go w miejscu, gdzie trafiła strzała.

— Niech natura zrobi swoje — gderał braciszek. — Poradzi sobie bez twojej pomocy, panie. Jeśli nie przyjmiesz mojej rady, będziesz cierpiał. A jak będziesz tak wymachiwał, to nigdy dobrze się nie zrośnie. I skończy się na tym, że trzeba będzie amputować rękę.

— Ale się zaleczy?

— Jeśli dasz mu, panie, szansę. Moim zdaniem tak. — Brat uzdrowiciel wolno bandażował Hechta, tak żeby wszyscy widzieli, co i jak trzeba robić. Należało co jakiś czas zmieniać opatrunek.

Kiedy jednak zaczynał unieruchamiać ramię, Hecht oznajmił:

— Najpierw muszę się ubrać.

— Słucham?

— Muszę wyjść i się pokazać. Aby niektórych podnieść na duchu i sprawić zawód innym.

— Znaczy, że zamierzasz, panie, całkowicie zignorować moje rady.

— Tylko ten jeden raz. To bardzo ważne.

— Doskonale. I będzie niezwykle ważne za każdym razem, prawda? Na szczęście to nie brat Rolf Porywczy za to słono zapłaci. Choć jestem pewien, że będzie musiał wysłuchiwać jojczenia, bo rączka nie pracuje.

Brat uzdrowiciel odmówił pomocy w ubieraniu Hechta.

— Bracie, dopilnujemy, żeby to był ten jedyne raz — wtrącił się Titus.

Hecht nie mógł powstrzymać jęku, kiedy Zgoda przesunął jego rękę, by mu nałożyć świeżą koszulę.

— Możesz ją pociąć, kiedy będę się z niej wydostawać.

Hagan Brokke pokazał mu skrwawiony kaftan z łuskami, który miał na sobie Hecht w chwili zamachu.

— Jak masz to włożyć, to trzeba wyczyścić — rzekł.

— Obejdzie się. Nie dałbym rady się uporać z jego wagą. Naprawdę robię się coraz bardziej senny, panowie. — Popatrzył na kaftan. — Nie zatrzymał strzały, prawda?

— Przebiła się na wylot. Grot jest wykonany z metalu, który przebije każdą kolczugę. Do użytku na krótki dystans. Nie widziałem, żeby łucznicy takich używali.

Kilka minut później Hecht był ubrany, a brat uzdrowiciel unieruchomił mu rękę wzdłuż tułowia.

— Co teraz? — zapytał Titus. — Zebrać oddziały? To ważne. Mówiłeś bratu uzdrowicielowi.

— Titus... — Sam poczuł pogardę wobec Pipera Hechta. — Nie. Najpierw się zdrzemnę. Muszę stawić temu czoło. Nie zdołam ustać na nogach. Niech ktoś zaufany posiedzi przy mnie. A wy wszyscy wracajcie do zajęć. Mamy tylko pół roku...

Spał czternaście godzin. Niespokojnie, jeśli wierzyć Titusowi.

— Czy mówiłem coś przez sen?

— Nie. Jesteś dobry w trzymaniu gęby na kłódkę przez sen. — Titus powiedział to takim tonem, że Hecht nie mógł się nie zastanowić, czy nie próbował go brać na spytki w tym czasie.

— Na czym stoimy? Świat chyba się nie skończył, kiedy sobie chrapałem, prawda?

— Jakoś sobie bez ciebie radził.

— To dobrze, prawda?

— I wszystko wróciło do normy, kiedy rozeszły się wieści, że przeżyłeś.

Titus wciąż był niespokojny z tego powodu.

— Cesarzowa i księżniczka Hespeth chcą mieć żywy dowód na to. Boją się, że ukrywamy twoją śmierć, by nie stracić roboty. Imperialny skarbiec, tak à propos, wypłacił nam pierwsze pieniądze.

— Zobaczę się z Katrin, jak tylko będę mógł. To będzie krótka wizyta. Chyba że chce przyjść do mnie w odwiedziny. Ale tu też nie podołam długim rozmowom. Ile czasu nie śpię? A powiem ci, że jestem gotów znów zapaść w drzemkę.

Czyżby jego ludzie dosypywali mu coś do stawy dla jego własnego dobra?

— Przyszedł list od Buhle'a Smolensa — odparł Titus. — Jedzie tu. Pogoda opóźni jego przyjazd. Jeden z moich agentów mówi, że ciężko było i doszło do scysji z Naczelnym Wodzem Ghortem, kiedy składał rezygnację.

— To niedobrze. — Czyżby wszystko to było zaaranżowane?

— Ghort wziął to do siebie. Nie chciał nawet słuchać wymówek o tym, że Smolens nie chce służyć Łagodnemu.

— Źle.

— Nie, jeśli pomyśleć, ilu weteranów odchodzi od niego. Ci ludzie byli już wcześniej w Connec. Nie chcą tam wracać. Connec nie zasługuje na to,

co szykuje mu Łagodny.

Hecht skinął głową i mruknął coś pod nosem.

— Twój przyjaciel może być w matni.

— I to nie będzie dobre ani dla niego, ani dla Łagodnego, Kościoła czy Connec. — Hecht wyobraził sobie sfrustrowanego Ghorta i Patriarchę, jak celowo rozpoczynają masakrę podobną do niedającej się powstrzymać krwawej łaźni w Antieux, podczas pierwszej interwencji Patriarchalnych w Connec.

— Nic dobrego z tego nie wyjdzie dla Connec, Piper. Król Regard zostawił siły pomocnicze pod Khaurene. Nie mają tylu żołnierzy, by oblegać miasto, ale przedzierają się przez kraj, uprzykrzając życie Khaureńczykom. I to wkurzyło direcjańskich królów i książąt. Król Piotr powiedział Regardowi oraz Patriarsze, że mają się wycofać, inaczej czekają ich groźne konsekwencje. Już wynegocjował pakt z ostatnimi pramańskimi książętami. Ci są szczęśliwi, bo mają czas na dojście do siebie po katastrofie w Los Naves de los Fantas. Direcjańscy prowincjałowie również się burzą w Kolegium. Gdzie Łagodny traci wsparcie. Prowincjałowie stwierdzili, że popełnili wielki błąd, wybierając Bronte'a Doneto.

— Ciekawe czasy. No dobrze... ja wracam do łóżka. Choć ciężko mi to przyznać, wciąż potrzebuję kogoś, kto się mną będzie zajmował, dopóki nie dojdę do siebie.

— Objazd wrócił już na tyle dawno, że prostytutki mogły go dogonić.

— Titus!

— Wybacz. W takim przebywam towarzystwie.

— Powiedziałeś, że Pinkus Ghort wciąż jest w Viscesment. To taki jego dowcip.

— Powinieneś był pozwolić Pełli pojechać z nami. Byłaby to idealna praca dla niego.

Hecht warknął coś pod nosem. Nie chciał teraz zaprzętać sobie głowy rodziną.

— Zlokalizowałeś Algresa Stracha?

— Tak. Jest gotów do rozmów, kiedy tylko ci się poprawi.

— Pamiętasz, dlaczego chciałem się z nim widzieć?

— Nie mówiłeś. Coś jest nie tak?

— Nie wszystko pamiętam. Coś tam zapomniałem. Drobne szczegóły z ostatnich kilku dni przed zamachem.

— A pamiętasz, kim jest Strach?

Pamiętał.

— To wciąż tu tkwi.

— W takim razie odpowiedź na twoje pytanie powinna wiązać się z tym, kim jest.

— Może chodzi o politykę. Zna wszystkich graczy i jej tajemne zasady. Mógłby być nieoficjalnym doradcą.

— Jeśli będzie chciał.

— No właśnie. — Ale nie chodziło o to, Hecht był pewien.

Cesarzowa nalegała na spotkanie ze swoim najemnym generałem, zanim zlegnie w połogu. Hecht został zanieiony na audiencję w lektyce, a potem zawieszony przed jej oblicze w fotelu na kołach pchanym przez Terensa Ernesta, jednego z pracowników Titusa Zgody. Ernest już wcześniej został opiekunem Pipera Hechta i nie było co do tego wątpliwości, pilnował szefa i notował każde jego tchnienie.

Wielu dworzan nie czuło się komfortowo, widząc, że Hecht wraca do życia.

Piper wykorzystał swój wisiołek, by ostrzec Heris, że już nie spędza samotnie wieczorów. Kiedy nie było Ernesta, pojawiał się jakiś inny sługa Zgody.

Izolowany, znudzony, spędzał mnóstwo czasu na zabawie medalionem. Zbyt wiele czasu. Odpowiedzi Heris stały się oschłe, pełne irytacji.

Miał lewe ramię i bark zabandażowane wraz z łubkami. Wyglądało to gorzej, niż się czuł. Choć i tak dobrze nie było. Miał dość bólu.

Przedstawienie, jakie dał, nie odniosło zbyt wielkiego skutku. Brat Rolf Porywczy stał się ostatnio rozchwytywanym uzdrowicielem w Alten Weinbergu. Wszyscy chcieli go wypytywać o stan zdrowia nowego generała.

Poczyniono pewne kroki, aby umożliwić Ernestowi pomoc Hechtowi przy jego ceremonialnych obowiązkach. Cesarzowa była w ugodowym nastroju. Postanowiła się z nim spotkać w tej samej sali, Winterhall, w której po raz pierwszy poprosiła go, by walczył za Imperium. Było bardzo niewiele świadków tego spotkania, choć więcej niż poprzednio.

Księżniczka Prawowita siedziała trochę niżej, po prawicy swej siostry, przygarbiona, lecz nader czujna. Pokój zawarty z Katrin trwał nadal. Dziedzic był w drodze. Katrin nie czuła się zagrożona.

Helspeth śmiało odszukała spojrzenie Hechta.

Pierwszą rzeczą, o którą po wszelkich formalnościach zapytała Cesarzowa, było:

— Czy odnaleźliście ludzi, którzy na was napadli? — Uśmiechała się półgębkiem. Oczywiście odpowiedź już знаła.

— Schwytaliśmy ich. Sam z nimi mówiłem, nie dalej jak dziś po południu. Dziwna to parka. Moje szambonurki mówią mi, że to miejscowi przestępcy cieszący się reputacją śmiałych skrytobójców. Mieli swojego agenta, niejakiego Willema Schimela, który wynajdywał im zlecenia. Mistrza Schimela widziano po raz ostatni tuż przed tym, kiedy przeszła mnie strzała. Żywy czy martwy, nie można go teraz odnaleźć. Wiemy tylko tyle.

Nieprawda. Piper Hecht zajmował szóste miejsce na liście skrytobójców i nagroda za jego zgładzenie była stosunkowo niewielka. Zabójcy spóźnili się i ustawili na pozycjach, gdy bardziej lukratywne cele — imperialne siostry i członkowie Komisji Doradczej — minęły miejsce zasadzki.

Zabójcy nie mieli pojęcia, dlaczego ktoś chciał zabić tych ludzi. Nic ich to nie obchodziło. Staliby się bogaci, gdyby udało im się wykreślić wszystkie nazwiska z listy. Schimel był pewien solidności swego kontrahenta. Zabójcy byli pewni swych umiejętności znikania w chaosie, jaki rozpętałyby się po tak dramatycznym morderstwie. Ale nie byli wystarczająco szybcy.

Hecht zatrzymał to wszystko dla siebie.

Cesarzowa nie wyglądała na kobietę, której poród by się opóźniał. Wszędzie jednak widać było dodatkowe służące, akuszerki czatowały w pobliskiej komnacie, a uzdrowiciele w kolejnej — gotowi na każde skinienie. Katrin właśnie zamierzała coś powiedzieć, ale wyrwało jej się głośno:

— Och! Kopie! Naprawdę to poczułam. Teraz to już będzie z górki.

Hecht przyglądał się twarzom osób z jej otoczenia. Każda okazywała wystudiowany brak emocji. Te kobiety za wszelką cenę unikały zrobienia czegokolwiek, co mogło wywołać niezadowolenie Imperatorowej .

Maski były przywdziane tak starannie i tak były dopasowane, iż Hecht wiedział, że rosnące podejrzenia w stolicy są w istocie prawdziwe.

Cesarzowa nie była w ciąży.

Wydawało się jej, że jest. Wierzyła w to, że jest brzemienna. Tak bardzo tego chciała, że miała większość objawów ciężarnej kobiety. Była przekonana, że powije syna. Po czym, bez wątpienia, spodziewała się, że Jaime powróci i będzie jej jedyną prawdziwą miłością.

— Pan wybaczy, Naczelnny Wodzu.

— Oczywiście, Wasza Łaskawość. — Podobało jej się to. Sugerowało w dodatku do imperialnej wysoką pozycję religijną.

— Tobie i mnie, na swój sposób, ciało odmawia pełnego posłuszeństwa. Masz jakieś pokrzepiające prognozy co do stanu zdrowia?— Była niezwykle czujna. Szukała dowodów zbrukania Nocą.

Przywykł do tego. Wszyscy okazywali dyskretną rezerwę. *Dosłownie wszyscy*. Możliwe, że nigdy się od tego nie uwolni, nigdy nie będzie mu z tym dobrze.

Jedyną jego bronią była szczerłość. Wiedziała o tym, o czym wiedział brat Rolf.

— Umiarkowanie optymistyczne. Mówiono mi, że pewnego dnia będę jak nowy. Jeśli nie będę się zbyt wysilał przed czasem. Posłucham tych rad. Moi ludzie są mistrzami w utyskiwaniu.

— Będziesz gotów na wiosenną kampanię?

Wdali się w dłuższą dyskusję na temat tego, co należy zrobić, zanim Cesarzowa będzie mogła wyprawić ekspedycję, by oczyścić Ziemię Świętą z pramańskiego robactwa. Katrin odrzuciła formalności podczas rozmowy o sprawach wojskowych. Obie siostry zrobiły wielkie wrażenie na Hechcie swoją wiedzą — Hespeth nawet bardziej niż Katrin.

Księżniczka Prawowita błysnęła zębami w uśmiechu:

— Bo miałyśmy być tymi synami, których Srogi Mały Hans tak zawsze pragnął.

Katrin zgodziła się z nią.

— Dorastałyśmy, zaglądając mu przez ramię. Żyłyśmy tym wszystkim. Byłyśmy maskotkami w sztabie. Wielcy wojownicy lubili mieć wokół siebie takie pięcio-, sześćioletnie przylepki.

— I wtedy zaczęłyśmy się zaokrąglać.

Katrin pokiwała głową na boki.

— Nadszedł czas zapłaty. — Machnęła dłonią. — Ale dość już o tym. Generale, jestem pod wrażeniem tego, czego dokonałeś, mając tak niewiele czasu i współpracy. Nie wspominając o twojej ranie.

— Wasza Miłość, wykonałem najtrudniejszą pracę, zbierając moich wojowników. To są niezwykle utalentowani mężczyźni. Choć czasem trochę szorstcy w radzeniu sobie z tym, co nazywają tarciami.

— Czyli?

— Brakiem współpracy. Chyba chodzi o politykę. Ludzie starają się na nich wymusić to lub owo. Ale oni przywykli do tego, że samodzielnie wprawiają w ruch wszystkie trybiki maszyny.

Nie było to do końca prawdą. Ale tutaj, w Imperium, „tarcie” mogło stać się większym problemem, niż gdy byli Patriarchalnymi.

— Nie możemy tego całkowicie powstrzymać — rzekła Katrin. — Wysysa to naszą dodatkową energię. Kiedy stanie się poważnym zagrożeniem, powiedz mi o tym. Jako Cesarzowa mam sposoby, by temu zapobiec. Mogę zawsze zapytać, jak sądzą, co mój ojciec by z nimi zrobił. Jeśli tego nie rozumieją, to mogę ich skierować do Ferrisa Renfrowa.

Hecht chciał zapytać o Renfrowa, którego nie widziano od jakiegoś już czasu. Ale Cesarzowa podskoczyła, jęknęła i pogładziła się po brzuchu.

— Muszę szybko wymyślić jakiś wyszukany tytuł dla ciebie. Naczelnny Wódz był dobry, ale całkowicie powiązany z Patriarchą. To twoja wina. — Nie prosiła o sugestie. — Wracając do tego tarcia. Rozważam złagodzenie tego zjawiska poprzez nadanie ci jednego z moich księstw. Gdybyś był księciem, nie musiałbyś tak wiele znosić. Ale to, czego dowiedzieliśmy się o twojej rodzinie, nie jest dla ciebie korzystne. Nawet moi sojusznicy wśród elektorów nie tolerowaliby tak gwałtownego wyniesienia.

Hecht był przestraszony. Nawet zszokowany. Z zadowolenia z siebie w spojrzeniu Hespeth wnosił, że to Księżniczka Prawowita wyszła z propozycją uszlachcenia.

— Jestem tak zaszczycony, że trudno mi to wyrazić, Wasza Miłość... że w ogóle przyszło Waszej Łaskawości do głowy obdarzenie mnie tytułem. Żałuję, że mój biedny ojciec nie mógł Waszej Miłości słyszeć.

Grade Drocker czy też wymyślony Rother Hecht.

— Mogę pasować cię na rycerza. To poprawi sytuację. Ale postanowiłam, że wyślę swoją krucjatę bez udziału Kościoła czy też szlachty. Jeśli nam się

to uda. Znam kilku kapłanów, którzy mogą przedstawić sprawę w duchu Aarona.

Ta kobieta była mądrzejsza, niż mu się wydawało. O wiele mądrzejsza.

Musiał zapomnieć ojej płci. O płci Hespeth również. Obawiał się, że młodsza siostra jest jeszcze bardziej inteligentna. I sprytniejsza.

Z całą pewnością były to córki Srogiego Małego Hansa.

— Jak każesz, tak się stanie.

Cesarzowa zaczęła coś mówić, ale przerwała najwyraźniej zadowolona z niezwyklej formuły.

— Jeśli masz rację... a ja nie dostrzegam w tym żadnej wady... mamy półtora roku, by oswoić elektorów i szlachtę.

— Jest wielu inteligentnych, uzdolnionych wielmożów, którzy mogliby zostać niezwyklej wojownikami. Są do tego chowani. Dorastają, szkoląc się w wojennym rzemiośle.

To na pewno spodoba się mężom służek Cesarzowej.

— Gdyby mieli zdolność postrzegania siebie takich, jacy powinni być. — Katrin nie sprecyzowała jacy. Jej nastawienie było oczywiste: żywiła głęboką, niesłabnącą pogardę dla zdeklasowanych buntowników i obstrukcjonistów. — Ta ich płaczliwa arogancja...

— Wasza Miłość. Jeszcze słabuję. Moja rana wciąż sprawia wielki ból i...

— Tak. Oczywiście. Tak samo mówiłeś Wielkiemu Admirałowi i Wielkiemu Księciu, kiedy uznałeś, że nie masz im nic więcej do powiedzenia.

Hecht poczuł się naprawdę nieswojo. Katrin z całą pewnością potrafiła zmienić się w twardego, nieodrodne dziecko Johanna. Kiedy nie opanowywało jej szaleństwo.

Cesarzowa warknęła coś do swoich służek. Ich apatia zniknęła jak nożem uciął. Popędziły wykonać polecenia. Piper Hecht został zagoniony do wyciszonego pomieszczenia, w którym już wcześniej przebywał z siostrami.

— Nie mam tak naprawdę wiele więcej do dodania w tym miejscu — powiedziała Cesarzowa. — Ale chciałam, żeby te kobiety tak sobie pomyślały. Za chwilę przyniosą kawę.

Mruknęła coś, osiadła na największym krześle i oparła dłonie na brzuchu. Hespeth stanęła za nią i zaczęła ugniatać jej szyję i barki, śmiało

spoglądając przy tym byłemu Naczelnemu Wodzowi w oczy.

— Generale, jestem śmiertelnie przerażona — stwierdziła Katrin.- Po pierwsze, ta ciąża nie skończy się lepiej niż moja ostatnia i jeśli nawet dziecko urodzi się zdrowe, to ja tego nie przeżyję.

Hecht nie miał nic do powiedzenia. Miny Hespeth ostrzegły go, by nie podejmował tematu. Był to bardzo grząski grunt.

Jedna ze służek Katrin wniosła serwis do kawy i szybko wyszła. Zamknięto drzwi. Cesarzowa dała znak. Hespeth wzięła z marmurowej ławy coś, co wyglądało jak urna. Zdjęła pokrywę i odwróciła puszkę do góry dnem. Krople ciemności spadły niczym deszcz ciężkiego miodu. Żadna z siostr niczego nie wyjaśniła. Księżniczka Prawowita umieściła urnę po swojej stronie na podłodze. Katrin nalała kawę.

Krople mroku zrobiły, czego od nich oczekiwano, po czym wpełzły do urny niczym tłuste, czarne ślimaki.

— Tym razem niczego tu nie przeszmurowały — orzekła Cesarzowa. — Smacznego, Generale.

Hespeth udało się otrzeć o Hechta, kiedy podawała mu kawę. Wyglądała niczym kobieta czekająca na szafot, której wielki dzień nadchodzi wielkimi krokami.

Mijały minuty w kompletnej ciszy. Cesarzowa obracała coś w myślach.

— Do czasu połogu zamykam się w odosobnieniu — rzekła w końcu. — Przynajmniej na miesiąc. Może na kilka.

Hecht stęzał. Cesarzowa miała jednak swoje powody, by skorzystać z wyciszonej komnaty. I obawiał się, że nie spodoba mu się to, co miał usłyszeć.

— Zamiast nadawać ci jakiś napuszony tytuł, może byśmy tak zadowolili się czymś pośledniejszym, lecz bardziej precyzyjnym?- stwierdziła Katrin. — Czymś prostym, takim jak Hetman. Albo, żeby było bardziej dobitnie, Hetman Cesarzowej?

— A może Wielki Hetman Polny Wszystkich Hetmanów? — zaproponowała Księżniczka Prawowita.

— Ellie, tylko nie przesadzaj, proszę.

— Wybacz. Może w takim razie Komtur Krucjaty. Albo Wódz Prawowiernych.

— Nie wyglądasz mi na skruszoną. Za karę oddaję ci dowództwo do czasu, kiedy skończy się moje odosobnienie. Cicho! Musisz zakosztować,

jakie to straszne wejść w taką rolę. Wódz Prawowiernych. Przed Hespeth ogromne zadanie. Wspieraj ją, kiedy będzie chciała coś przeforsować. Trzymaj swoich ludzi w mieście, zamiast wysyłać ich do Hochwasser. Wypiszę oficjalne rozkazy. Szlachta będzie skamleć. To nie jest w zwyczaju. Zignoruj ich. Rozumiesz?

— Naturalnie, Wasza Miłość.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, pomijając kwestię zdrowia psychicznego, stwierdził, że Cesarzowa jest niezwykle przebiegła. Dążyła do tego od chwili, gdy zaproponowała mu przejście na jej żołąd. Miała teraz silną przeciwwagę dla elektorów, dla Komisji Doradczej i wszystkich innych, którzy chcieli wykorzystać małą dziewczynkę.

— Ja nie chcę... — zaprotestowała Hespeth.

— Powtarzasz to do znudzenia od śmierci Mushina, Ellie. Raz za razem. Nigdy ci nie wierzyłam. Nie jestem pewna, czy teraz ci wierzę. Ale nalegam. Wodzu Prawowiernych, zostań cieniem Księżniczki Prawowitej. Dopilnuj, żeby jej nie poniosło.

Hecht zrobił, co mógł, by się skłonić. Nie był to dobry pomysł u człowieka na wózku inwalidzkim. Niemniej jednak wytrzymał. Pochylał twarz, żeby nie zdradziła jego najskrytszych, dzikich myśli. — Jak sobie zycysz, Wasza Miłość, tak będzie.

— Wyśmienicie. Właśnie takie słowa chcę słyszeć od swoich oficerów. Ellie! Przestań się trząść. Zło, którego się lękasz, spada teraz na ciebie. Już wdrożyłam postępowanie prawne. W tej właśnie chwili Orchard Vale powinien powtarzać z Wielkim Księciem wszystkie przypadłości życiowe.

Orchard Vale był jednym z mniej znanych sekretarzy Katrin, kapłanem ze święty miejscowego biskupa. Ów biskup, Brion z Ureng, nowy na tym stanowisku, był zwolennikiem brotheńskiego Patriarchatu. Spędził sporo czasu na wygnaniu, kiedy Johannes był Imperatorem.

— Kiedy opuścisz tę komnatę, Ellie, to ty będziesz najważniejsza — powiedziała z naciskiem Katrin.

Hecht obserwował, jak Hespeth bije się z myślami. Widział wyraźnie, iż uważa, że została okrutnie wykorzystana. Wyniesiona do godności, którą sprawując, nic, co uczyni, nie będzie takie, jak być powinno. I widział, że Katrin czerpie złośliwą przyjemność z powierzenia jej tego zadania.

Druga córka Srogiego Małego Hansa, ta, którą tak często oskarżano, że zbyt go przypomina, nie widziała drogi ucieczki.

— Jak sobie życzysz, siostrze, tak się stanie, dopóki nie będziesz mogła na nowo podjąć swych obowiązków.

Umysł Hechta pracował na najwyższych obrotach, przeczesując listę wymaganych posunięć. Szans, których człowiek rozumny unikałby za wszelką cenę. Węszył wokół niewypowiedzianego założenia Katrin, że Wódz Prawowiernych nie powinien dopuścić do spisku przeciwko niej, kiedy będzie daleko.

Katrin z coraz większą rozkoszą pławiła się w samozadowoleniu.

— Wszystko się zmieniło — powiedział Hecht swoim ludziom, którzy zebrani czekali na niego. Wyjaśnił im wszystko.

— Militarny aspekt nie powinien być aż tak trudny — zauważył Titus. — Mamy tu dość swoich ludzi. W dodatku Imperium Graala bardziej niż cokolwiek innym rządzi się prawem bezwładności. To, że Cesarzowa na chwilę zejdzie ze świecznika, nie powinno dać nikomu okazji do wywinienia jakiegoś numeru.

— Naszym zadaniem jest dopilnować tego. W tym celu chcę się widzieć z Algresem Strachem. I Ferrisem Renfrowem, jeśli ktoś zdoła go odnaleźć.

— Nie było go tu od wielu miesięcy, szefie. Co nie jest znów takie niezwykle, jak rozumiem. Mają tu takie powiedzenie: „Nadejdzie dzień, znajdzie się człowiek”. Co znaczy, że ktoś zawsze pojawi się w stosownych okolicznościach, jakiegokolwiek by były. To jakby druga natura Ferrisa Renfrowa. Jak jest potrzeba, to się zjawia.

Hecht chrząknął. Nie to chciał usłyszeć. Wolał zobaczyć się z Ferrisem Renfrowem wtedy, kiedy chciał się z nim spotkać.

— Wódz Prawowiernych? Naprawdę? — zdziwił się Titus.

— Ja sobie tego nie wybierałem.

Regencja Księżniczki Prawowitej nie była aż takim strasznym sprawdzianem, jak się spodziewała, nie była również aż tak absorbującym zadaniem, jak przewidywał Hecht. Starszyzna Imperium wykazała się nietypową dla siebie powściągliwością. Titus Zgoda donosił o ciągłym lęku, niesprecyzowanym strachu w całym Imperium. Nie można było określić konkretnej przyczyny. Zdawało się, że wszyscy są gotowi czekać w jedność, czy nieznane wyda na świat jakiś posepny pewnik.

Zima zneutralizowała zewnętrzne zagrożenia, może z wyjątkiem tego z północy. Północ skupiała wszystkie złe przecucia.

Jedyną oczywistą zmianą, nawet dla najsłabszego umysłu i pokrytego bielmem ślepoty oka, była narastająca liczba incydentów z udziałem zajadłych, pomniejszych Delegatur Nocy.

— Jesteśmy niczym dwa mastiffy mierzące się wzajem wzrokiem — Titus zwrócił się do Hechta. Rozmawiali o szlachcie wokół Alten Weinbergu. On i Wódz Prawowiernych, Hagan Brokke, Drago Prosek i Clej Sedlakova raczyli się wieczerzą wydaną na cześć Buhle'a Smolensa, który przybył tego popołudnia z trzydziestoma dwoma pozbawionymi złudzeń kamratami, dawniej Patriarchalnymi. Hecht wciąż był słaby, ale mógł trochę spacerować.

— Mają powykrzywiane nosy, ale nasza legenda jest tak wielka, że zamierzają postępować bardzo ostrożnie, naprawiając wszystko wokół — mówił dalej Zgoda.

— Prawda to? — Smolens opierał dłonie na pełnym brzuchu. Dawny Hechtowy numer dwa był z natury lakoniczny, rzadko strzepił sobie język. Tego wieczoru jednak chciał wszystko nadrobić. Zmusić się do rozmowy i pytań.

Hecht dostrzegł to i zaczął się zastanawiać.

Zastanawiał się także nad sobą. Ostatnio wyhodował sobie całkiem nowy zestaw paranoi.

Smolens zmienił się w masę sprzeczności. Przybrał na wadze, choć wciąż jeszcze mógł uchodzić za chudego. Zaokrągliła mu się twarz. Stracił włosy. Przestał nosić krótko przystrzyżoną brodę, którą pielęgnował od lat. I miał drzączkę.

Niezbyt wyraźną. I nie cały czas. Nie miała też wyraźnego związku z tym, co się wokół niego działo. Ale dygotanie pojawiało się i znikало, rzadko trwając dłużej niż kilka sekund.

Wszyscy to zauważyli. Nikt się nawet słowem o tym nie odezwał. Ale Smolens podejrzewał, że nie jest to żadną tajemnicą.

— No dobrze — powiedział. Odetchnął głęboko, starał się odprężyć. — Wszyscy łypiecie na mnie podejrzliwie, bo rzuciłem Patriarchalnych, będąc na żołdzie z Krois, od kiedym był jeszcze pacholęciem. Większość z was pewnie myśli, że przyjechałem tu na przeszpiegi.

— Taka myśl przyszła mi do głowy — przyznał Zgoda.

— Pinkus Ghort jest trochę nieokrzesany, ale nie jest złym dowódcą — dodał Hecht.

— Nie chodzi o Naczelnego Wodza — odparł Smolens. — Jesteśmy tu bezpieczni? A może macie gdzieś to, że ktoś nas podsłuchuje?

— Powstrzymam cię, jeśli poruszysz jakiś temat, którym nie chciałbym dzielić się z całym światem.

— No dobra. Masz rację. Naczelnny Wódz nie jest świnią. Właściwie przeważnie źlej jest u niego niż u ciebie. Nie ma dużych oczekiwań. Nie on stanowi problem. Problemem są ludzie z jego otoczenia, którzy przebywają tam wbrew jego woli. To Łowcy Czarownic oraz naprawdę przerażające łajdaki ze Stowarzyszenia. Zejście do podziemia bynajmniej ich nie uszlachetniło. I ostatnio pojawiło się kilku w typie czarowników. Nie są to ludzie ze Specjalnego Oficjum. Nawet nie udają, że są agentami Boga. Chodzą wszędzie, witając każdego słowami: „Poddaj się Woli Nocy”. A jednak przybyli z patentami od samego Łagodnego. Poskromi Connec, nawet jeśli będzie się musiał sprzymierzyć z samym Przeciwnikiem. Nie mogłem wytrzymać tego napięcia.

— A Pinkus?

— Naczelnny Wódz woli zagłuszyć sumienie wzmocnionymi trunkami. Przez to te łotry są niepokieszone, ale nic nie mogą na to poradzić. Oddziały pozostają wierne Ghortowi, bo bracia ze Stowarzyszenia są nader odpychający.

Hecht żałował, że Dziewiąty Nieznany nie podsłuchuje ich rozmowy. Albo jeszcze lepiej, prowincjał Delari. Muniero Delari stanowił naturalny kontrast dla Bronte’a Doneto.

Może korzenie ich spotkania w katakumbach wreszcie zaczęły wychodzić na wierzch.

Zgoda mruknął coś w stylu:

— Wystarczy dać człowiekowi władzę, a zawsze wyjdzie jego prawdziwa natura.

— Postanowiłem odejść po tym, jak usłyszałem, że niektórzy bracia ze Stowarzyszenia robią plany na wiosnę — wyjaśniał dalej Smolens. — Próbowałem powiedzieć o tym Naczelnemu Wodzowi. Nie chciał słuchać. Po tym nie mogłem już zostać.

— Omówimy szczegóły na osobności — powiedział Hecht. — Witaj wśród swoich.

— A więc masz dla mnie zajęcie?

— Mówiłem ci, że mam. Tylko nie takie jak dawniej. To zostało podzielone między Hagana, Cleja i Titusa. Hagan ma najtrudniejszą część. Ty będziesz moim miejskim prowostem. Mamy zbyt wielu żołnierzy, ale nie aż tylu, by trzymać ich z dala od kłopotów. Jak do tej pory nie było żadnych poważniejszych kłopotów. Tak nie może zostać. Chcę ukreślić łeb wszelkim problemom, zanim się jeszcze zaczną. Wybierz sobie do pomocy pięciu osiłków z tych z poboru. Oczekuję stanowczości, uczciwości, finezji i żadnych specjalnych względów wobec naszych w konfliktach z miejscowymi. Ani też na odwrót. Nie cackaj się. Odpowiadasz wyłącznie przede mną. Ja odpowiadam wyłącznie przed Cesarzową. — Na użytek gumowych uszu dodał: — Jak natrafisz na kogoś, kto zacznie się stawiać, bo ma za duże portki, daj mi znać. Cesarzowa wręcz czeka na okazję, by wziąć niektórych na smycz.

Wódz Prawowiernych czuł się skrępowany, choć Księżniczka Prawowita starała się, żeby było inaczej. Otaczały ją służące. Niestosowne zachowanie było wykluczone. Siedzieli na wprost siebie, twarzą w twarz, przy stole wykonanym z jakiegoś rzadkiego, ciemnego, wypolerowanego na gładko drewna. Czuł się lepiej dzięki tej naturalnej zaporze między nimi.

Przyszedł przygotowany na długą, poważną rozmowę na tematy związane z krucjatą Katrin. Z szacunkowym kosztorysem. Propozycją wysłania kwatermistrzowskich zwiadowców z nadejściem lata, by zbadać potencjalne szlaki. Z sugestią, by misje dyplomatyczne zajęły się negocjowaniem pozwoleń na przejście przez obce terytorium. Reakcja Wschodniego Imperium była tu najważniejsza. Armia Katrin musiała się przemieszczać drogą lądową. Byłaby za duża w stosunku do dostępnych środków transportu morskiego. Choć należało go też zapewnić, aby można było dostarczać aprowizację, a nie targać wszystko ze sobą czy kupować po drodze. Zakup towarów mających wypełnić luki bagażowe musiałyby się wkrótce rozpocząć, ponieważ zebranie ich wszystkich i przetransportowanie do najbliższych portów i tak zajmie sporo czasu.

I tak dalej.

Tego rodzaju wojna to nie był zwykły zbrojny zryw.

— Musimy siłą zmusić ludzi do posłuchu — powiedział Hecht. — Nie możemy pozwolić, aby książęta i baronowie wraz ze swymi kontyngentami płądrowali wszystko po drodze. Monestacheus Deleanu nie jest takim słabeuszem, jakim był Anastarchios.

Monestacheus był obecnym Cesarzem Wschodniego Imperium. Anastarchios rządził nim osiemdziesiąt lat wcześniej, kiedy ostatnia armia krzyżowców dostała się do Ziemi Świętej drogą lądową.

Krucjata stała się studium chaosu. Zbyt wielu dumnych władców. Zbyt wielu gotowych na wszystko biedaków. Żadnego mocno osadzonego dowództwa, żadnych szczegółowych przygotowań, żadnego ogólnego planu.

Zrodzona ze świetlanego idealizmu krucjata wkroczyła w paskudny wiek dojrzewania, zanim jeszcze jej końcówka wyruszyła z Imperium Graala. Bogaci lordowie wykupili zawczasu wszystkie miejscowe zapasy, kiedy wyruszali. Biedacy idący za nimi musieli furazować. To doprowadziło do płądrowania. Wolne tempo, kilka kilometrów dziennie, zostawiało wyoraną brudę zniszczenia szeroką na pięćdziesiąt kilometrów. Kiedy znaleźli się we Wschodnim Imperium, pozostawili za sobą całe miasta ogołoczone i zniszczone. Miasta dobrych chaldaran, którzy również chcieli wyrwać Ziemię Świętą z rąk okrutnych niewiernych.

— Spodziewamy się, że teraz wszystko pójdzie o wiele sprawniej. — Księżniczka Prawowita mówiła głosem pełnym napięcia. Jej dłonie były w ciągłym ruchu, aż uświadomiła sobie, co robi, i zmusiła je do posłuszeństwa. Nie na długo. — Słyszałam, że odnaleźliście Algresa Stracha.

Strach wcale się nie ukrywał.

— Tak. Przywiodłem go z sobą. Chcę, żebyś, pani, przywróciła go do funkcji swego gwardzisty. Byłbym dużo spokojniejszy, gdyby Strach ochraniał cię i strzegł.

Do tego, mając Braunsknechta przy Hespeth, zyskałby wdzięcznego popiecznika blisko ośrodka władzy. Strach wiele zawdzięczał Hechtowi.

— Nie wiem, czy mógłby zostać szefem gwardii. Ale mam wobec kapitana Stracha dług wdzięczności. Zrujnowałam mu karierę.

— Tak było, prawda?

Przebłysk gniewu, który szybko się rozplynął.

— Już nie jestem tamtą dawną dziewczyną. Choć wciąż jestem uparta. Ale teraz nie zamierzam ciągnąć innych za sobą.

— Miło mi to słyszeć. Dobro milionów zależy od...

— Tak. — Ostre spojrzenie. Ocena. Kalkulacja. Nachyla się do przodu. Głosem nieprzeznaczonym dla innych mówi: — Sprawy z moją siostrą mają się nie najlepiej.

Hecht wyczuł strach. Sprowokowany jego uwagą o milionach.

— Jak to?

— Nie jestem pewna. Wszystko jest wyciszane. Większości jej sług nie wolno wychodzić z Wieży Pierza. Ci, którym wolno, milczą jak grób. I mają coraz to posępniejsze miny. Jedno jest pewne. Dziecko się nie narodziło. Nie będzie można tego utrzymać w tajemnicy.

— Rozumiem.

— Moja siostra robi się paskudna, kiedy jest zdenerwowana. To wyjaśnia nastroje jej ludzi. Oni pierwsi poczują ostry brzeszczot jej gniewu. — Helspeth opowiedziała historię o wygnaniu zimą. — Gdyby nie Ferris Renfrow, zmarłabym z głodu i wycieńczenia. Nie z powodu złych zamiarów Katrin, nie całkowicie. Jej złość mnie tam wyгнаła. Ale kiedy już jej przeszło, po prostu o mnie zapomniała. — Dodała jeszcze ciszej: — Moja siostra nie jest zdrowa na umyśle, Wodzu. I pogarsza się jej za każdym razem, kiedy spotyka ją zawód.

Hecht zbyt szybko się odwrócił, by się rozejrzeć wokół, i przeszył go kolejny spazm bólu.

— Nic ci nie jest? — W jej głosie słychać było troskę.

— Za bardzo się ruszam i za szybko. Mówią mi, że ból jest dobrym nauczycielem. Nie jestem taki pewien. Jak mnie nie boli, to nie zwracam na nic uwagi. Czy ufasz, pani, tym kobietom?

— Zignorowałyby niedyskrecję — powiedziała to z bojaźliwym wyzwaniem w głosie. — Ale wyłącznie w sprawach niezwiązanych z polityką. Wszystkie mają i mężów, i kochanków.

Hecht rozluźnił bolesne napięcie mięśni. Zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Jej służki nie sprzedająby zwykłych plotek, ale wyłącznie o sprawach politycznych. I to ma być uczciwa gra? Dziwni ci ludzie.

— Nie mogę znaleźć Ferrisa Renfrowa — powiedziała Helspeth.

— Ja też nie. Ciekawe, prawda?

— Ciekawe? Nie za bardzo. Gdybyś dorastał tutaj, przyzwyczaiłbyś się do nieprzewidywanych pojawień Ferrisa Renfrowa. Strasznie irytowało to mojego ojca. Ale Renfrow zawsze się stawiał, jeśli naprawdę było to konieczne.

W ostatnich dniach Hecht widywał Heris rzadko, a Dziewiątego Nieznanego wcale. Często jednak komunikował się przez swój naszyjnik. Oni też nic nie wiedzieli na temat Ferrisa Renfrowa. Mówili, że nad tym pracują.

Poczuł głód informacji. Miał doskonały i sprawny wywiad, być może tylko Renfrow miał lepszy, ale tkwił w bolesnej świadomości, że jest wiele spraw, o których nic nie wie.

Zdobywanie informacji było niczym palenie opium. Im więcej się tego zakosztowało, tym większe było łaknienie. Nie można było go w pełni zaspokoić.

Spotkanie ani razu nie wymknęło się z okowów przyzwoitości, ale ciągnęło się długo. Hespeth zawsze miała w zanadrzu kolejne pytanie. Hecht zaczął zdradzać swoje przemyślenia, którymi nie podzielił się nawet z Titusem, również by przedłużyć to spotkanie. Zanim się rozstali, Hespeth zaproponowała, żeby wieczorne odprawy wpisać na stałe do kalendarza. Żeby, kiedy Katrin wróci, miała swoją krucjatę dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach.

Ludzie Hechta pracowali całymi dniami. Ćwiczyli z bronią. Robili sprawdziany wytrzymałościowe. Pomagali usuwać śnieg z ulic. Zaangażowali się w naprawę miejskich fortyfikacji i przegląd arsenałów oraz magazynów z żelaznymi racjami żywności. Te ostatnie, podobnie jak we wszystkich innych miastach, którym dawno nie zagrażało niebezpieczeństwo najazdu, istniały jedynie pro forma. Braki już zdążyły wywołać kilka skandali w mieście. Oczywiście nie wyszły na jaw żadne znaczne nazwiska, kary więc były drakońskie.

Wódz przede wszystkim chciał, żeby wszędzie było widać jego ludzi. Żeby wszyscy stale byli świadomi ich obecności. Pragnął, aby potencjalni przestępcy wiedzieli, że muszą uwzględnić nowy czynnik, który działa z polecenia sióstr Ege.

Polityka Imperium Graala wcisnęła go w rolę imperialnej tarczy i psa gończego. Pogodził się z tym, ponieważ chciał poprowadzić następną

krucjatę, która — jeśli Cesarzowa postawiłaby na swoim — miała być największa ze wszystkich.

Katrin zamierzała wkupić się w łaski Niebios.

Lojalność Hechta leżała na nim jak stary płaszcz o kilku warstwach. Było w nim kilku ludzi, z których ci stworzeni byli najbardziej realni. Zapomniał całkowicie o Elsie Tage'u od jakiegoś czasu, a Else Tage zapomniał wcześniej o Gisorsie. Duamenia oraz dzieciństwo z Rotherem i Tindemanem Hechtem zwykle wydawały się bardziej realne. Powtarzał sobie tę przeszłość co dnia. Za każdym razem, kiedy mówił o swoim dzieciństwie, narastały kolejne szczegóły.

Alten Weinberg pławił się w zimowym spokoju. Pogoda w górach Jago była straszliwa. W stolicy nie tak bardzo. Ludzie ze spokojem przyjmowali, co im przynosiła natura. Prominenci mówili Hechtowi, że Alten Weinberg nie zaznało takiego spokoju od najlepszego okresu rządów Johannaesa. Wszystkim bardzo to odpowiadało. Oczywiście mogło się to zmienić, kiedy Katrin opuści miejsce odosobnienia.

Damy dworu Hespeth nie były znów takie dyskretne, jak myślała. Rosnące napięcie między Księżniczką Prawowitą i Wodzem Prawowiernych było przedmiotem wielu radosnych spekulacji. Nic się jeszcze nie wydarzyło, ale, och, co będzie jutro?

W skrytości ducha kilku elektorów zanosilo prośby do swego Boga, by to się wydarzyło — na tyle otwarcie, by mogły to zauważyć czynniki oficjalne.

Regulacje prawne ustanawiające dynastie Ege jako prawowitą sukcesję władzy mogły zostać unieważnione, gdyby Księżniczka Prawowita dała się przyłapać na czymś nieprzystojnym z urodzonym na obczyźnie, pochodzącym z gminu najemnym żołdakiem.

O wiele okrutniejsze realia, bez pardonu posługujące się szponem i pazurem, błąkały się w cieniach niedalekiej przyszłości. Miały się pojawić na długo przed pierwszą odwilżą.

Wybrani: Ranny Bóg

Rozpoczęła się wielka migracja z najdalszego Orientu do wschodnich brzegów Morza Płytkiego, kiedy rodziny, klany i zdziesiątkowane plemiona rzuciły wyzwanie najsroźszej ziemi. Wędrowiec Wiatru był ranny i zdeorientowany, gdzieś daleko stąd. Może kolejna szansa na ucieczkę nigdy się nie zdarzy.

Nie witano ich z otwartymi ramionami. Zapasy wszędzie się kurczyły. Często dochodziło do starć bardziej zażartych niż wtedy, kiedy Wybrani byli jeszcze w niewoli u zimowego bóstwa.

Imperium Tsistimedę Złotego było pod tym względem wyjątkiem. Uchodźców witano serdecznie, kiedy składali deklarację, że chcą zostać wiernymi poddanymi władcy, tak wielkie były straty w Imperium po walce z Wędrowcem Wiatru.

Tsistimed wciąż się gotował ze złości. Jego najbliżsi obawiali się, że wpadnie w ostatni napad wściekłości i w końcu trafi go apopleksja. Ghargarliceanie zaczęli napierać i kontratakować. Odzyskali kilka zdobytych wcześniej miast, gdzie nomadzi zburzyli mury obronne. Kaifat Kasr al-Zed ciągle stawiał opór, lekceważąc emisariuszy i posyłając na śmierć kupców i handlarzy przyłapanych na szpiegowaniu.

Tsistimed nigdy nie napotkał tylu trudności. Psioczył na swoich dowódców niczym rozpuszczony dzieciak, aż ci rozsądniejsi zaczęli się zastanawiać, czy nie nadeszła pora, by zdecydować, który z jego synów powinien zająć jego miejsce.

Zima jednak była okresem odpoczynku i nabierania sił. Sam Tsistimed musiał przeczekać tę porę roku. Pogodził się z rzeczywistością.

Już wcześniej, na początku tak właśnie było, choć na mniejszą skalę. Remedium na to stanowiły czas i cierpliwość. Mógł oczekiwać pojawienia się nowego pokolenia wojowników. Tymczasem byli wrogowie mogli wypełniać luki w swych szeregach. Większość jego wojowników miała przodków, którzy kiedyś byli jego wrogami.

Uchodźcy byli spolegliwi. Zbyt wygłodniali, by mieć jakiegokolwiek skrupuły.

Od południowego brzegu wschodniego Andoray odłupała się góra lodu, przewrócona dzikimi prądami, które z rykiem pędziły tam i z powrotem przez cieśninę Ormo. Ześlizgując się w toń, góra odkryła całe obszary kamienistej plaży. Potworna ropucha wspięła się na nią, teraz znajdując się w fazie transformacji między kijanką i dorosłym osobnikiem. Sponiewierany bóg leżał bez ruchu, gdyż większość sił wyciekła z niego. Leżał tak ponad miesiąc.

Kharoulke uszedł morzu. Dalsza egzystencja była wciąż problematyczna. Wyczerpał wszelką moc z eteru z taką prędkością, by pozwoliła mu przeżyć.

Szpikulce pokrytego srebrem żelaza wciąż tkwiły w ciele Wędrowca Wiatru, sącząc weń swoją truczkę.

Wielkim atutem Kharoulke było jego ciało. Wieku trzeba było, by skonał, nawet w tak beznadziejnym położeniu jak obecne.

Pomniejsze Delegatury Nocy — te szybkie i dostatecznie sprytnie — pomykały w jego kierunku i odkrawały kawałki ohydneho cielska boga. Mały zjada wielkiego, a nie na odwrót. Była to zasada znana w śródziemiu, lecz całkowita nowość w Nocy.

Żywotnie zajęty opieraniem się, by nie wpaść w objęcia absolutu, Wędrowiec Wiatru stał się jeszcze bardziej świadomy czasu, w którym zwał się z wrogiem w tej straszliwej walce. W rezultacie związany i zajęty czym innym, stworzył fragment swej świadomości na zdarzenia w tym jednym, szczególnym świecie.

Wyczuł ruchy swoich wrogów. Mógł je śledzić. Ale nie miał siły, by zacząć działać. Jego emocje przypominały odczucia pogrzebanego żywcem.

Nie odzyskiwał sił. A ponieważ czas brał udział w tym nieuchronnym postępie, przyszło lato.

Ciepło, nawet na poziomie odwilży, nie było sprzymierzeńcem boga zimy.

Lucidia: Shamramdi

Góra uczcił męczennika Ambela, odwiedzając dla niego podejrzone spelunki Shamramdi. Pił w tawernach należących do antastyjskich chaldaran, dla których spożywanie wina nie było grzechem i których klientami byli przeważnie Wierni grzesznicy w przebraniu. Kurwił się w drogich i tanich burdelach, co było przewinieniem, któremu wcześniej nie folgował, nawet za młodu. Miał kiedyś żonę...

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, co się stało z tą kobietą. Nie widział jej od czasu ostatniej usankcjonowanej wizyty w al-Karn przed laty. Jego agenci w al-Minfet nie doszukali się niczego. Podejrzewał, że niespecjalnie się starali. Nic ich to nie obchodziło. Kobiety się nie liczyły. W dodatku zbyt zbliżenie się mogło ściągnąć na nich uwagę er-Rashala al-Dhulquamena.

Tego wieczoru, piątego w Shamramdi, Nassim pił w miejscu, które posiadało nazwę całkowicie nie do wymówienia. Na tablicy widać było wyblakłe litery, kości do gry i dziwną rybę. Zarządzająca knajpą rodzina mówiła w wielu językach, w tym w kilku dobrze. Nassim porozumiewał się z nimi na tyle sprawnie, że wciąż donoszono mu wino. Brzęcząca moneta była tu głównym rozmówcą.

Nie smakował mu trunek. Zostawiał gorzki posmak w ustach.

Najważniejszym pytaniem teraz było to, dlaczego pije dalej, choć nienawidzi wina i siebie za to, że pije.

Wytrzymał to jednak. W samotności. By uczcić pamięć Ambela. Choć w cieniu po drugiej stronie sali siedział młody człowiek najwyraźniej skory do flirtu.

Było to zachowanie przyjęte przez wielu Wiernych. Nassim Alizarin nie należał do nich. Sama myśl o tym była mu obmierzła. Nie był też zdolny do sofistycznych rozmyślań mających na celu usprawiedliwienie takiego postępowania.

Pismo nazywało homoseksualistów wynaturzeniem w oczach Boga. Mieli być zabijani w wypadku ujawnienia, najlepiej przez kamienowanie. Jednak w Krainie Pokoju było dopuszczalne, że starszy mężczyzna zaspokajał swoje potrzeby z pomocą ciała chłopca. W Shamramdi były też męskie burdele. Chadzali do nich nawet święci mężowie. Nikt kamieniami tam nie rzucał.

Nassim wypił wino i był rad, że jego towarzysze z Tel Moussy tego nie widzą. Choć właśnie oni, bardziej niż inni, zrozumieliby, dlaczego tak postąpił.

Ambel tak naprawdę nic dla niego nie znaczył. Był to chłopak, znany mu ledwo z imienia, który wyruszył, by dokonać zamachu na Czarnego Rogerta. Chłopak, który w normalnych okolicznościach i tak zginąłby w polu, zanim skończyłaby się jego służba. Którego strata, w takim wypadku, dotknęłaby Górę nie bardziej niż śmierć każdego innego wojownika.

Podrywacz nie dał się spławić. Góra z początku pomyślał, że chłopak nie ma pojęcia, kogo chce poderwać, a potem stwierdził, że jest wręcz przeciwnie. Kroiło się jakieś łajdactwo. To było już bardziej interesujące i najprawdopodobniej było można sobie obrać więcej bardziej obiecujących obiektów niż on.

Wino jednak zachęciło Nassima, by zatańczyć, jak mu zagrają, by się dowiedzieć, o co chodzi. I mogło to odpowiadać temu łajdakowi, bo Nassim nie rozważał szerokiego spektrum wielu możliwości.

Kiedy tylko Nassim zaczął udawać, że złapał przynętę, zobaczył, że jakiś pijak sadowi się na niskiej ławie i krzyżuje nogi. Przyszedł uzbrojony w butelkę wina i kubki, roztaczając natrętą woń ciała. Wybełkotał zupełnie niezrozumiale swoje imię w ramach prezentacji i wyciągnął dłoń, przywołując kogoś, kogo Góra nie mógł wcześniej widzieć. Nassim nie był w odpowiednim nastroju, by kłócić się o miejsce przy stole. W ogólnie dostępnej, zatłoczonej knajpie wspólne przesiadywanie było czymś naturalnym.

Obserwował, jak nowy towarzysz nalewa wino, starannie odmierzając równe porcje. Jego podróżna szata była cała brudna. Widniał na niej świeży

kurz przykrywający stary brud. Jego nakrycie głowy świadczyło o tym, że całe pokolenia owadów gniazdowały tam i rozmnażały się bez przeszkód. Mężczyzna stracił prawe oko i najwyraźniej nie stać go było na opaskę zakrywającą szramę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu do Nassima.

Los nie oszczędził też jego uzębienia.

Dosiadła się grupka łotrów równie wyrazistych jak pierwszy. Jednooki podał Nassimowi czarę, mrużąc coś niezrozumiale w miejscowym dialekcie.

Podrywacz, który już szedł w stronę Nassima, postanowił gdzie indziej poszukać szczęścia. Zmienił kurs.

Jednooki łajdak wyrzucił rękę w górę, jakby pozdrawiał kolejnego znajomego. I niezwykle kulturalnym szeptem, pozbawionym jakiegokolwiek wpływu wina, powiedział:

— Powinieneś być ostrożniejszy, Nassimie Alizarinie. Nie możemy cię wiecznie pilnować.

Podrywacz skierował się do wyjścia. Jednooki wyszeptał:

— W al-Kam popłyną łzy. — Nalał jeszcze wina. Po chwili dodał: — Pan Indala zobaczy się z tobą dziś wieczór.

Góra był zaskoczony. Słynny Indala al-Sul Halaladin był tak niski, jak niosła wieść gminna.

Wyglądał w każdym calu jak wielki pan i wojownik, za jakiego go uważano.

Był też podobno niezwykle czuły na punkcie swej godności, choć całkowicie rezygnował z oficjalnej sztywności, kiedy tylko był przekonany, że rozmówca go szanuje. W wypadku Góry bardzo szybko spadła z niego oficjalna maska.

— Siadaj, generale. Pozwól mi zrozumieć okoliczności, w których Rashid i jego bracia cię zastali.

W tym przypadku należało w pełni i całkowicie uszanować godność Indali. Musiała być to szczerza prawda w całej rozciągłości. Tak więc Nassim powiedział, co miał do powiedzenia, bez ozdobników, bez analizy swego postępowania, nie oszczędzając się zupełnie.

— Także po fakcie postrzegasz siebie jako tego samego człowieka, na którego rozkaz zamordowano twojego syna.

Nassim zwiesił głowę.

— Pomimo wszystkich oczywistych różnic w obu tych sytuacjach — ciągnął Indala.

— Przyznanie się, że takie różnice są, graniczyłoby z usprawiedliwianiem się.

— Rozumiem. — Indala spoglądał na swoje splecione dłonie. — Często wybory, które dotyczą mniejszej liczby osób, najbardziej nas gnębią.

— No właśnie. To czyni pogodzenie się z tym po stokroć trudniejszym. Ilu już padło, odkąd objąłem dowództwo w Tel Moussie właśnie w imię tego? Pewnie więcej niż trzy tuziny.

— Pięćdziesięciu trzech martwych lub zaginionych — uściślił Indala. Ujawnił tym samym kolejną cechę, która czyniła z niego najbardziej szanowanego wodza Kasr al-Zed. Znał większość ich nazw, szczepów, miast i również rodzaj śmierci, jaki ich dotknął. Jeśli opowieści nie były zbyt przesadzone. — To był jego pomysł — dodał. — Zgłosił się na ochotnika.

— Tak. Ale to ja wiedziałem, co składa na ołtarzu. I mimo to pozwoliłem mu na to.

Indala znów spojrzął na swoje dłonie. Kiedy podniósł wzrok, przeszył Nassima ostrym spojrzeniem.

— Powiedz mi, czy odniosłeś trwałe rany? Możesz dalej walczyć? Czy jesteś w stanie dalej wysyłać synów z dala od matek, prosto w ogień między Niebem i Piekłem? Czy zawahasz się w decydującym momencie, kiedy wahanie będzie się równało śmierci?

Nassim zrozumiał. Cała jego przyszłość zależała od tej odpowiedzi. I Indala nieomylnie odgadnie jej szczerotę lub brak szczeroty.

— Jestem sha-lugiem. — I choć podejrzewał, że Indala rozumie doskonale, doprecyzował: — Przejdę przez to. Nie będę zaprzętał swego umysłu ani moja dłoń się nie zawaha, kiedy strzały pofruną w górę.

— Dobrze powiedziane. — A potem: — Chwileczkę.

Pojawił się jakiś mężczyzna. Wyglądał jak młody Az, tyle że starszy o trzydzieści lat. Indala gestem dał mu znak, że może się zbliżyć. Podszedł i wyszeptał coś wprost do ucha szejka. Indala pokiwał głową. Nassim pomyślał, że pod pewnością siebie skrywa niezadowolenie.

— Wyślę instrukcje przed udaniem się na spoczynek — oznajmił Indala.

Posłaniec wycofał się, kłaniając się nisko. Nassimowi wydawało się, że robi to bez większego zaangażowania.

— To było ciekawe — rzekł Indala. — Gherig ma nowego kasztelana, Anselina z Menandu, młodszego brata Regarda, króla Arnhandu.

Przybył na czele wielkiego oddziału zbrojnych z zachodu, głównie członków Bractwa Wojny.

Nassim nie miał nic do powiedzenia, chrząknął tylko niezadowolony.

— Zdawałoby się, że się o nich niepokoisz, generale.

— Wątpię, żeby się mną przejmowali.

— Może i tak. Opowiedz mi o chłopaku, o Azirze — zmienił temat Indala.

Nassim zaskoczony wypełnił polecenie.

— W takim razie tkwi w nim potencjał?

— Olbrzymi. Oczywiście jeśli ktoś właściwie pokieruje jego życiem. Jest bardzo inteligentny. I bystry. Ludzie go lubią przeważnie.

Indala pokiwał głową.

— Dobrze. Na to liczyłem. Taki był brat jego ojca, który właśnie odszedł. Syn mojego drugiego najmłodszego brata. To też dobrzy żołnierze. Ale ich ludzie nie przepadają za nimi.

— Czyżby wynosili się ponad innych?

Czoło Indali przecięła głęboka zmarszczka. Po chwili odpowiedział:

— No właśnie. Za dużo im się wydaje. Bo są spokrewnieni z Indalą, Nirhemem i Sufikiem.

Nirhem i Sufik, nieżyjący stryjowie Indali, niegdyś byli równie wielkimi wojownikami jak on.

— Powiązania rodzinne. Ponieważ stoisz z boku, powiem ci, że są one brzemieniem, które powstrzymuje kaifat przed pójściem naprzód.

— Większość ludzi nie ufa nikomu spoza rodziny.

— Więc bierze za żony kuzynki i nie wyobraża sobie żadnego innego związku poza wąłymi więzami z plemieniem. I dlatego garstka Arnhandów zdołała wyrąbać sobie królestwo oraz odłączyć kilka pomniejszych księstewek z Ziemi Świętej. A poza tym większości prostego ludu nie obchodzi, kto trzyma władzę, jeśli tylko niesie pokój. Który, jak uczy historia Ziemi Świętej, wcale nie jest taką powszechną sprawą.

— Jest to jeszcze jeden z powodów, dla których państwa krzyżowców wciąż trwają. Zapewnili całe dziesięciolecia pokoju tam, gdzie sprawują władzę. Rozkwitły właśnie dzięki temu oraz wymianie pielgrzymów. W Tel Moussie walczyliśmy z Frakierami Giseli.

— Oczywiście. My, Wierni z Kasr al-Zed, wolelibyśmy raczej potyczki między sobą. — Indala parsknął śmiechem. — Choć staram się to zmienić. Zastanawiam się w takim razie, dlaczego al-Minfet i monolityczni sha-lugowie nie odbili jeszcze Ziemi Świętej. Gordimera Lwa nie można pokonać w bitwie. I ma hordę wojowników tresowanych od kołyski, prawdopodobnie najlepszych na świecie.

Nassim już miał zamiar odpowiedzieć, ale Indala uniósł dłoń.

— Pytanie było z gatunku retorycznych. Odpowiedź brzmi: er-Ra-shal al-Dhulquarnen i Gordimer Lew. Żaden z nich nie może pozbyć się przekonania, że jakakolwiek armia działająca tak daleko od ich włości przedstawia realne zagrożenie. A sami wolą nie ruszać w pole.

— Książęca paranoja.

— Zawsze usprawiedliwiona. Im wyżej się wzniesiesz, tym więcej ludzi chcesz ujarzmić. A ci dwaj przysparzają sobie wrogów, nie wybrzydając, ot tak sobie, z ochotą, niemal celowo. Jakby wyzywając Los, by zrobił coś paskudnego.

— I do tego głupio. Nie mają potrzeby, bym zwrócił się przeciwko nim. Podobnie jak nie mają potrzeby, by kusić mściwość Nocy.

— Przyjrzyjmy się tym dwóm. Szczególnie Gordimerowi. Jak bardzo znajduje się pod butem czarownika?

— Ryzykując, że zacznę mówić jak jakiś fakir, powiem, że Gordimer jest pod większą kontrolą er-Rashala, niż mu się mogło kiedykolwiek wydawać. A zarazem o wiele mniejszą, niż er-Rashal myśli. Związek ten nie przeszedł jeszcze żadnej próby. Minęły całe lata, odkąd stanęli w obliczu czegoś, co mogłoby sprawić, by ich ambicje przestały być zbieżne. Obecnie Gordimer pragnie tylko zaszyć się w bezpiecznym Pałacu Królów, gdzie może oddawać się wszystkim swoim złym nawykom, które tak go drażniły u jego poprzednika. Er-Rashal pilnuje, by mógł sobie pofolgować. Ma więc wolną rękę.

— Czy Abad nie miał takiego samego porozumienia z er-Rashalem?

— Wiesz, że tak. Abad był o wiele bardziej zanurzony w tym wszystkim, niż Gordimer kiedykolwiek będzie. Gdyby honor sha-lugów został narażony na zbyt duży uszczerbek, Lew będzie wiedział, jak zaryczeć. Wyjdzie i zacznie walczyć. Może się zrobić ciekawie, kiedy czarownik będzie miał inne plany i będzie oczekiwał innego wyniku tego starcia.

— Warto się nad tym zastanowić. Szczególnie nad tym, jak podjudzić Gordimera.

— Armią nadciągającą z północy — stwierdził Nassim.

— Tak?

— Kiedy Gordimer usuwał Abada, pojawiła się przepowiednia. Była niejasna. Przepowiednie zawsze są niejasne. Gordimer przetłumaczył ją sobie tak, że do al-Karn przyjdzie armia, by go strącić. To, że może składać się z jego ludzi, dręczy go w koszmarach co noc.

— Innymi słowy... ty.

— Może tak być. Chciałbym. Ale proszę pomyśleć. Przecież ma wrogów nie pośród sha-lugów. Wszyscy ich mamy. Nowe Brotheńskie Imperium chce wysłać nową krucjatę.

— Chaldaranie wciąż o tym mówią, generale. Ale kiedy armie się zejdą, walczą ze sobą. — Indala uniósł dłoń, by powstrzymać odpowiedź.

Nie wiedział o przepowiedni wiszącej nad Gordimerem. Czyżby była to prawdziwa wizja przekazana przez Noc? Czy Gordimer mógł ulec Kasr al-Zed? Zjednoczeni Kasr al-Zed i al-Minfet mieliby na tyle siły, by wyprzeć Niewiernego z Ziemi Świętej.

— To jest cudownie interesujące, generale. Strawa na ucztę myśli. Ale czuję już swoje lata. Potrzeba mi odpoczynku. Jednak zanim się rozejdziemy, muszę ci powiedzieć, że twój niedoszły kochanek twierdzi, iż przyszedł z Idiam. Mówi, że jest mieszkańcem martwego miasta.

— To nie może być prawdą.

— Nigdy nie odwiedzałem nawiedzonej pustyni. Nie mam pojęcia, co jest prawdą, a co nie. Ale mogę się z tym zgodzić. Młody człowiek jest jednym z agentów er-Rashala. Może być sha-lugiem. Może nie. Ludziom er-Rashala doskonale wychodzi niezwracanie na siebie uwagi. Pamiętaj, że są wszędzie. Trzymaj się z dala od takich miejsc, w jakim cię dzisiaj znaleziono. Weź się w garść. Azir wyraża się o tobie w samych superlatywach. Uważa, że jesteś nieoceniony. Chciałbym, żebyś tego dowiódł w pełni na jutrzejszej radzie wojennej.

Kiedy Nassim tylko skłonił głowę na znak zgody, Indala dodał:

— Sam miałem skłonności do różnych rzeczy, kiedy byłem w wieku Azira. Jeśli zostaniesz tutaj wystarczająco długo, usłyszysz o moich wybrykach od moich krewnych. Ale człowiek o pewnej pozycji ma swoje

obowiązki. Ty masz swoje obowiązki. Chcę, żebyś przyszedł tutaj jutro po południu, żywy, trzeźwy i bez kaca.

— Będzie, jak każesz.

Nassimowi przydzielono niewielką kwaterę nieopodal. Dzielił ją z Kościejem, starym Azem i kilkoma młodymi byczkami z Tel Moussy.

Gwardziści Indali dopilnowali, by Góra nie zapodział się gdzieś, idąc tam. Wiadomość była jasna i czytelna.

Nassimowi niespieszno było doświadczyć niezadowolenia Kościeja i Aza, kiedy usłyszą wszystko od ludzi Indali. W tych starych wiarusach pozostało bardzo niewiele zrozumienia.

Lata całe minęły, od kiedy młody Nassim musiał się zmierzyć z rozczarowaniem zawodowego sierżanta. Tamten Nassim wiele się od swoich instruktorów nauczył. Modlił się, by jego nauki również mogły coś wnieść.

Księżyc był niemal w pełni. Srebrzyste światło sprawiało mu radość. Dobrze komponowało się z chłodem zimowej nocy.

Później się zachmurzy. O świcie spadnie śnieg. Będzie się utrzymywał przez wiele dni, coś niebywałego w Shamramdi.

Dzieciom będzie się bardzo podobało. Dzieci będą zachwycone.

Brat Świeca: Pełny krąg

Mistrz Doskonały ponad miesiąc ukrywał się wśród khaureńskich Poszukiwaczy, którzy w końcu go przesznułowali podczas zamieszania, jakie wybuchło na wieść o tym, że król Regard odstąpił od oblężenia. Większość żołnierzy Regarda wróciła do Amhandu. Nie przyjdą już tu. Ale reszta, nie mając innych widoków, została. Zajęli kilka pomniejszych zamków, pomordowali heretyków — każdego wskazanego przez Stowarzyszenie — i zaledwie kilka kilometrów od Khaurene rozbili wędrowny obóz z niewspółmiernie silną fortyfikacją.

Przezorni Arnhandowie obawiali się nadchodzącego lata. Nie mogąc się pochwalić zajęciem Khaurene i co więcej, również Direcji, mieli gwarantowane gorące przyjęcie w domu.

Najbardziej uparci Connekianie, wojowniczy ziemianie, postępując tak jak słynny hrabia Raymone Garete, stale nękali Arnhandów, zdecydowani ich wymęczyć, zanim Anne z Menandu zbierze nowe hordy bandytów. Bardzo nieprzystojnie zareagowali, kiedy Łagodny zagroził im ekskomuniką.

Hrabia Raymone i Antieux wciąż zagrzewali serca tych, którzy nie godzili się na obcą dominację i religijny przymus. Choć teraz, kiedy nie było już viscesmeńskich Patriarchów, prawne obostrzenia za buntowanie się przeciwko Brothe były surowsze.

O wiele trudniejsze było oskarżenie brotheńskiego Patriarchy o to, że jest narzędziem w rękach Przeciwnika. W końcu Bóg miał swoje zdanie na temat unieważniania wszelkich wyborów na Patriarchę.

Setki Khaureńczyków uciekło wraz z bratem Świecą, z tylu powodów, ilu było uciekających. Oblężenie, choć nigdy nie było w pełni szczelne,

zniechęciło wielu potencjalnych podróżnych. Brat Świeca wyszedł w przebraniu jako członek rodziny zmierzający do krewnych w Castreresone. Gwardziści przy bramie nie szukali dwunastoosobowej grupy ani też jednego starca. Szukali przedmiotów, które książę Tormond dał bratu Świecy, a które wciąż znajdowały się w posiadaniu starca.

Opuściły one Khaurene inną bramą. Młodzieniec niosący je nie miał o tym pojęcia. Spotkał się z bratem Świecą nieopodal Camden ande Gledes, które wywoływało ponure wspomnienia. Doskonały zabrał swoje skarby i skierował się wraz z przybraną rodziną na wschód. Jej członkowie podejrzewali, kim jest ich towarzysz, lecz nie mieli pojęcia, dlaczego władze chcą go pojmać. Uznali, że z powodu jakichś przestępstw religijnych.

Castreresone było kontrolowane przez Navayan, którym przypadło Białe Miasto, kiedy Isabeth przejęła schedę. Jego mieszkańcy, wraz z miejscowymi Poszukiwaczami, byli zadowoleni. Utyskiwali jedynie ci blisko Kościoła Brotheńskiego. Nie burzyli się za głośno. Hrabia Raymone miał przyjaciół w Castreresone. Przewyższali oni liczebnie zwolenników Łagodnego.

Brat Świeca poświęcił kilka tygodni na poszukiwania przyjaciół, którzy mogli być jego znajomymi, zaufanymi ludźmi, ale bezskutecznie. Później w pośpiechu opuszczał Białe Miasto, bo członkowie maysalskiej społeczności chępli się, że wśród nich znajduje się słynny Doskonały. I wieści o tym dotarły do hrabiego Diagresa Alplicovy, prokonsula królowej Isabeth.

Kiedy białe mury miasta zniknęły już w oddali, brat Świeca przebrał się w strój podróżnego Poszukiwacza. To prawda, że wystawiało go to na widok wrogów, ale również czyniło widocznym dla przyjaciół na connekińskiej prowincji. No i, jak można się było spodziewać, tego samego popołudnia natrafił na zbójów. Bandytów, którzy rozpoznawszy Doskonałego, nawet nie zapytali, co ma w bagażu.

Tych czternastu ludzi zagrało jedynie epizod w sztuce Doskonałego. Nakarmili go i strzegli na drodze do Sheavenalle. Poznał ledwo kilka imion — Gaitora, Geisa i Gartnera, którzy byli braćmi. Banda stanowiła przekrój społeczny miejscowej historii ostatnich pięciu lat. Ludzie ci pochodzili z kilku krajów, dezercerowali z kilku armii, z domu wygnały ich walki bądź też byli zbiegłymi z miast przestępcami. Kilka obszarpanych rodzin wlokło się za nimi, głównie kobiet w sytuacji dużo gorszej niż ich mężczyźni.

Wdzięczny za ich pomoc, z rozpaczą obserwując cierpienia kobiet i dzieci, brat Świeca znalazł sposób, by napisać krótką wiadomość. Wręczył ją Geisowi.

— Zabierz to do Antieux — polecił. — Oddaj to mężczyźnie o nazwisku Bemardin Amberchelle. Wasz los powinien się znacznie poprawić.

Geis podziękował mu, choć był podejrzliwy. Nikt nigdy nie wyświadczył im żadnej przysługi. Geis nie potrafił czytać, podobnie jak żaden z jego towarzyszy, nie można więc było sprawdzić, czy ta karteczka nie jest podstępem, by oddać ich w ręce władz. Ale z drugiej strony jej autorem był prawdziwy Mistrz Doskonały. Ci ludzie nie bawili się w okrutne gierki.

Geis obiecał, że to zrobi.

Maysalska społeczność w Sheavenalle opuściła już miasto podczas connekińskiej krucjaty, na krótko przed tym, nim wpadło w ręce Naczelnego Wodza. Reszta religijnych mniejszości miasta dawno się rozproszyła. Jedynie kilku wróciło, kiedy Pacificus Wzniosły cofnął krucjatę i wysłał Naczelnego Wodza, by walczył z poganami w Artecipei. Brat Świeca miał problemy ze znalezieniem nowej społeczności, a potem czuł się wśród nich nieswojo. Choć nazywali się Poszukiwaczami Światła, ich doktryna różniła się od praktykowanej na dalekim zachodzie. Brat Świeca stwierdził, że są zbyt przyziemni, a zarazem dziwnie oderwani od tego świata.

Nie uznawali sakramentu małżeństwa, choć nie w formie fizycznej, żyli więc wszyscy we wspólnocie. Podobnie było z własnością, jaka im została. I wierzyli w inną formę reinkarnacji.

Odstępstwa, pomyślał brat Świeca, pojawiły się u nich, bo ci Poszukiwacze nie mieli żadnego Doskonałego, który by nimi pokierował. Później dowiedział się, że ich niesłuszne myślenie wzięło się z Firaldii. Na doktrynę Poszukiwaczy w tym regionie mieli wpływ myśliciele z odległych zakątków Wschodniego Imperium. Brat Świeca spotkał tam kilku firaldyjskich Poszukiwaczy i był zdegustowany. Byli równie wojowniczy jak bracia ze Stowarzyszenia Tłumienia Świętokradztwa i Herezji.

Opuścił Sheavenalle, kiedy tylko znalazł miejsce na pokładzie stateczku handlowego, który miał właśnie podnieść żagle i popłynąć w górę Job. Agenci Stowarzyszenia z Navai, pomijając innych zainteresowanych tym, co przewozi brat Świeca, mogli obserwować tych, którzy próbowali się

dostać do hrabiego Raymone'a, choć wątpił, by ktokolwiek podejrzewał, iż ktoś taki przypłynie statkiem.

Statek był mały. Luk bagażowy najwyraźniej wypełniała solona ryba. Jego załogę stanowili ludzie spokrewnieni ze sobą, co doskonale pasowało do wyobrażenia brata Świecy o piratach słodkich wód. Z całą pewnością zajęliby się tym fachem, gdyby mieli pewność, że ujdzie im to na sucho. Byli też zdolni do obrabowania pasażera, gdyby tylko mieli pewność, że uda im się skutecznie pozbyć ciała. Ale w wypadku brata Świecy nawet przez myśl im to nie przeszło. Nie mógł przecież mieć niczego wartościowego, a żerowanie na Doskonałym mogło ściągnąć klątwę na całą rodzinę.

Brata Świecę zawsze zadziwiała, że teoretycznie święci mężowie, dobrzy czy źli, są otaczani takim szacunkiem. Szczególnie w ostatnich kilku latach, kiedy tak wielu ludzi zmieniło się w jawnych drapieżców.

Nie omieszkał z tego skorzystać. Za jego namową żeglarze poczekali do zmierzchu, by przybić do przystani w Antieux. Czas przybycia nie miał znaczenia, ponieważ przypływy i odpływy były minimalne na Morzu Ojczystym.

Miejska przystań leżała poza właściwym Antieux, nieco poniżej, i składała się wyłącznie z posklepanych prowizorycznie obiektów. Kilkakrotne oblężenia miasta w ciągu kilku lat nie zachęcały ludzi do inwestowania w budynki, których nie dało się obronić. Było więcej niż pewne, że nowy Patriarcha będzie chciał się zemścić na mieście, które go upokorzyło.

Doskonały odszukał najpierw całkiem sporo swoich maysalskich braci. Hrabia Raymone uczynił Antieux rajem dla Poszukiwaczy Światła — wiedział, że kiedy nadejdą Patriarchalni, będą walczyć. Ale Doskonały nie mógł odnaleźć żadnego z tych, których znał czy to osobiście, czy to ze słyszenia. Niosąc to, co niósł, obawiał się odkrycia swej tożsamości przed nieznanymi.

Nie był to dobry moment na znalezienie kwatery. Zima już zaczynała pokazywać zęby. Ciepło wybrzeża znikło po ledwo kilku kilometrach rzeczno-rejsu. Przez resztę drogi towarzyszyły im kry. Brat Świeca próbował żyć na ulicy, ale poddał się po pierwszej nocy — najlepsze lata miał już za sobą.

Poszedł do maysalskiego kościoła, który pomagał Poszukiwaczom w potrzebie. Kościoła! To już samo w sobie było kuriozalne, bo Poszukiwacze nie mieli kościołów. Ale ten został odebrany Brotheńskiemu Kościołowi Episkopalnemu z powodu niegodnego zachowania jego kapłanów. Aby wyraźnie zaznaczyć swoje stanowisko, hrabia Raymone podarował go miejscowym Poszukiwaczom, którzy zrobili z niego przytułek dla ubogich i szpital dla uchodźców.

Doskonały dostał cienki materac wypełniony strąkami pszenicy. Wolno mu było napełnić żebraczą miskę zupą z ogólnego kotła. Człowiek wydający strawę, sądząc po otaczającym go zapachu — garbarz, przeproszał go.

— Zwykle nie jest taka cienka i nie ma ograniczeń, ile sobie weźmiesz, bracie. Ale sprawy nie najlepiej się mają przy takiej pogodzie. Większość tych ludzi to wcale nie Poszukiwacze. Ale jeśli znają właściwe słowa, nie możemy im odmówić.

— I tak być powinno. Dobroczynność stanowi opokę naszej wiary. — Ale przyziemna strona jego natury podpowiadała, że jest również przyczyną zagrożenia.

Wśród obszarpanych i zapomnianych uchodźców uciekających przed zimą Nocy z całą pewnością byli agenci Stowarzyszenia, którzy sporządzali listy.

Trzy dni czatów upewniły brata Świecę, że w tym rejonie Connec nikt nie szukał ani nie wypatrywał niejakiego Charde ande Clairs alias brata Świecy. Ci, którzy nie chcieli go dopuścić do hrabiego Raymone'a, z całą pewnością dobrze się kamuflowali, czekając tylko, żeby na nich wyszedł.

Każdego ranka brat Świeca postępował według ustalonego wzorca: ściskając w ręku żebraczą misę, podpierał się na kiju i mocno utykał, zakładał opaskę na oko i nosił długie włosy i brodę. Nie mógł ukryć swego wieku ani ubóstwa, więc wyolbrzymiał jedno i drugie. Choć go kusiło, nie próbował udawać szaleństwa. Przybrał imię brat Czystoń. Nic, cokolwiek by zrobił, nie zdołałoby pogorszyć reputacji tego człowieka.

Pewnego ranka usadowił się na schodach spalonej katedry. Chciał trochę odpocząć. Sen schwytał go w pułapkę.

Obudziło go szturchanie. Zaspany podniósł wzrok. Stało nad nim trzech mężczyzn. Sądząc po stroju, jeden z nich musiał być nowym biskupem Brotheńskiego Kościoła Episkopalnego. Jeden z towarzyszy biskupa trącał

go pałką. Wciąż w półśnie zastanawiał się, dlaczego ktoś miałby przyjąć biskupstwo w Antieux. Żli biskupi nie dożywali sędziwego wieku w dobrach Raymone'a. I jedynie coraz gorsze indywidua zdawały się podejmować ryzyko, szczególnie od czasu, kiedy Bellicose zaprzestał prób przekształcenia Antieux w arcybiskupstwo. Podejrzywał, że wszyscy mają nadzieję się wzbogacić, kiedy Kościół zatriumfuje.

— Faj! — Ten z pałką się skrzywił. — Jakaś ropa wypływa mu spod opaski.

— W takim razie nie będziemy z nim gadać. Zlej go tylko i niech stąd znika.

— Doskonały pomysł — odezwał się jeździec, który zmaterializował się za tą trójką. — Ale zlejcie pałą tę czarną wronę od pałki.

Brat Świeca napotkał wesoły wzrok Bernardina Amberchelle'a. Nie chciał tego, ale nie odważył się odezwać.

Ludzie biskupa znali Amberchelle'a. Mimo to nie byli skłonni do współpracy. Dopóki nie pojawiło się więcej jeźdźców.

— A przyłóżcie się tylko do tego — zachęcał Amberchelle. — Chcę, żeby sobie zapamiętał to miejsce. Kiedy skończycie, dźgnę go mieczem. Jak będzie się dał, to was też każę złoić.

Ten biskup jednak był nowy. Wydawało mu się, że może odpyskować najbardziej zadziornemu pogromcy w tej części Connec.

Amberchelle kopnął go w twarz.

— Skoro tak podchodzisz do sprawy, to zabiję cię od razu, żebym się nie musiał oglądać za siebie. — Wyciągnął miecz.

Brat Świeca ugryzł się w język.

Amberchelle się powstrzymał.

— Ogarnęło mnie jakieś takie miłosierdzie. Ścierwojadzie. Biskupie. Jeśli jeszcze raz mnie obrazisz, zetnę ci łeb. Bez ostrzeżenia. Jednym szybkim cięciem. I trzymaj się z dala od katedry. To jest pomnik wszystkiego złego, co zostało tutaj uczynione w imię Brothe.

Przedstawiciele Brotheńskiego Kościoła Episkopalnego wycofali się, potykając, a biskup, choć nie został pobity, krwawił. Amberchelle zerknął na starca.

— Tak myślałem. No to chodź. Podwieźć cię?

— Wolałbym raczej pójść jako więzień.

— A chciałbyś, żeby chłopcy przyłożyli ci raz na jakiś czas?

— Nie musisz aż tak bardzo dbać o autentyczność całej sytuacji.

Amberchelle się roześmiała.

— Szkoda. — A po chwili: — Wyczuwam jakiś sprzeciw, choć nawet nie zlałem tego sępa. Ale przecież wiesz, że nic, co zrobimy, nie jest w stanie uspokoić Kościoła. Mogę więc równie dobrze powbijać sobie kilka noży, kiedy jest okazja.

Starzec nie odpowiedział. Powinien, wiedział o tym. Powstrzymywało go coś, jakby skomasowanie niepasujących do siebie elementów. Ale to, co mówił Amberchelle, było prawdą. Nic oprócz woli Samego Chaldarańskiego Boga nie było w stanie powstrzymać Jego Kościoła przed knuciem i obmyślaniem największego zła w historii ludzkości. Im więcej mówiło się o conneciańskiej krucjacie, tym więcej tych ścierwojadów zaczynało kołować nad okolicą.

Brat Świeca wyciągnął z siebie to zdanie niemal siłą, ale powiedział:

— Możesz mieć rację, Bernardinie. Może powinniśmy dopilnować, by gwałt na Connec utrwalił się jako coś tak złego, że nie można o tym zapomnieć.

— Chodźmy już, Mistrzu. Ludzie zaczynają się zastanawiać, czy jesteś naszym więźniem czy kumplem.

— A więc to prawda — powiedział Amberchelle — naprawdę uciekłeś z błyskotkami księcia Tormonda.

Brat Świeca zajadał się pierwszym przyzwoitym posiłkiem od wielu tygodni, ale odpowiedział:

— Z niczym nie uciekłem. Tormond mi je wcisnął. Nie mogłem odmówić.

— To taki łajdak, że chyba ci uwierzę. Nie znałem osobiście Starego Niezdecydowanego. Myślę, że właśnie na coś takiego byłoby go stać, gdyby się w końcu zdecydował. Szkoda, że nie mogę przeczytać jego listów.

— Też żałuję. Dałbym ci je wszystkie i zrzuciłbym na ciebie zadanie dostarczenia ich hrabiemu Raymone'a.

Amberchelle wybuchnął śmiechem, który sam nazywał złowieszcym.

— Nic z tego, staruszk. Jest nieopodal Viscesment i pracuje nad tym, jak by tu rozkwasić kinol nowego Naczelnego Wodza, kiedy Łagodny go sobie odpuści.

Doskonały pokręcił głową. Niczego nie można było osiągnąć, waląc łbem w tę konkretną ścianę. Apelował o pokój setki razy. Równie często go odrzucano.

— Myślisz, że wiedzą, co masz? Ludzie tam, w Khaurene? — zapytał Amberchelle.

— Oczywiście, że wiedzą. Inaczej dlaczegóż mieliby na mnie polować?

— Choćby z powodu twojej ujmującej osobowości. Oraz twojego przesłania.

Brat Świeca chciał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Bernardin Amberchelle, zdecydowanie brutalny zbir, odezwał się nader rozsądnie i delikatnie.

— Posłańcy jadą już do Raymone'a. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Trzech, żeby upewnić się, że wiadomość dotrze do adresata. Dziwne rzeczy się dzieją czasami. Szczególnie nocą.

Brat Świeca nie doświadczył tego podczas swoich wędrówek, ale słyszał przerażające opowieści od wieśniaków. Choć ostatni Naczelny Wódz oczyścił Connec z głównych upiorów, nie zrobił wiele, by stłumić napastliwość pomniejszych Delegatur. Te, które nadciągały z północy, podjudzały te, które już kryły się w cieniach bezdroży. Wszystkie te Delegatury miały skłonność do wyżywiania się za wszystko na najbliższym, niczego nieświadomym śmiertelniku. Nie powinno tak być.

— Pozwól mi zdać teraz insygnia władzy. Ich brzemień jest przytłaczające — powiedział brat Świeca.

— O, nie. Nie trać ducha, bracie. Jam jest podlec i kanalia. Nie chcesz chyba mnie w ten sposób kusić. — Amberchelle spojrzał na niego z rozrzewnieniem.

— Rozumiem. — Bernardin mógł zapewnić hrabiemu Raymone'owi tytuł, cofnięcie ekskomuniki i wybaczenie grzechów oraz zbrodni w zamian za skarby będące w posiadaniu brata Świecy. — Człowiek powinien znać swoje ograniczenia.

— Wyślę cię w drogę do Raymone'a — rzekł Amberchelle.

— Nie, nie i jeszcze raz nie. Jestem niemal tak stary jak skała, na której leży Connec. Mam wrażenie, że całe życie jestem w podróży. Stary pies musi się zwinąć przy palenisku i zapaść w drzemkę. Na wiele miesięcy.

— Jak sobie życzysz.

— Gdzie jest Socia?

— Większość czasu przebywa z Raymone'em. Działa samodzielnie, gdy się jej wydaje, że Raymone nie jest wystarczająco srogim.

— Przeróżające.

— Bardziej, niż myślisz, Mistrzu. Bardziej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

— Wyjaśnij, proszę.

— Zaczęła słyszeć głosy. Powiedział jej, jak bronić Connec. Mówiły, jak sobie radzić z naszymi wrogami. Raymone starał się ją powstrzymać. Nie udało mu się. Zaczęła sama rekrutować własnych Towarzyszy. Za każdym razem po jej masakrze na jakichś najeźdźcach kolejni młodzi ludzie spieszą, by do niej dołączyć. A do tego jest przecież bardzo urodziwą niewiastą.

— Raymone nie może nad nią zapanować. — Brat Świeca nie był zaskoczony. Miał styczność z Socją Rault przed ich ślubem. Dziewczynka była uparta i dzika. Była Poszukiwaczką Światła, dla której jedynym ważnym aspektem doktryny była równość płci.

— Nigdy nie potrafił. Przede wszystkim zawsze go pociągało wyzwanie, jakie się za tym kryło.

Brat Świeca zgadzał się z tym. Hrabia Raymone widział w swojej żonie własne lustrzane odbicie... Zgroza i rozpacz!

— Chyba nie myślisz, że rozpoczęli zawody? Żeby pokazać drugiemu, że jest się bardziej krwiożerczym?

Twarz Amberchelle'a spochmurniała.

— Bracie, to już się dzieje. W zeszłym tygodniu doszły nas wieści o tym, jak zajęła zamek przy brodzie Suralert. Wśród więźniów znalazł się daleki kuzyn Anne z Menandu, kilku księży i kilkunastu członków Stowarzyszenia. Ścięła głowy rycerzom i szlachcie, bez wyjątku. Spaliła duchownych. Sama podkładała pochodnie. Ale zwykłych żołnierzy rozbroiła i ułaskawiła.

Brat Świeca zamknął oczy i potrząsnął głową.

— Socia, Socia. Bernardinie, wiedziałem, że ma skazę, ale nie podejrzewałem, że tak wielką.

— Bracie, obiecała im bezpieczne wyjście z zamku, jeśli się poddadzą. A potem zrobiła swoje. Powiedziała, że Bóg nie oczekuje od nas dotrzymywania słowa danego agentom Przeciwnika.

Co racja, to racja. Ludzie Kościoła zawsze to podkreślali.

— Czyż członkowie Stowarzyszenia nie stracili „heretyków”, kiedy zdobywali ten sam zamek?

— To prawda. Dwóch uczniów Poszukiwaczy Światła. Dwóch, którzy nie wiedzieli, co mają robić na wypadek schwytania. Garnizon poddał się bez walki.

Brat Świeca dowiedział się, że Socia — co było wręcz niepojęte — wzięła twierdzę Suralert z trzydziestoma sześcioma zbrojnymi. Jedyne trzech zostało rannych. Obrońców było osiemdziesięciu czterech. Mieli wystarczająco dużo zapasów, by przetrwać dwa miesiące. Socia straciła dwudziestu dwóch więźniów. Dwudziesty trzeci, biskup Morcant Farfog, postanowił zmienić stronę...

— Farfog? Ten, który był z Haidenem Backe, kiedy zaatakował Caron ande Lette? Który objął dowodzenie nad najemnikami, kiedy Backe został zabity? Ten Morcant Farfog który piastował kilka bezecnych stanowisk pod rządami kilku nikczemnych Patriarchów oraz Korony arnhandzkiej?

— No... tak. Ciekawy obrót spraw, co? Zmienił barwy i zaczął wygłaszać mowy obnażające podłość Stowarzyszenia. Stawką była jego głowa.

— Ach, tak. Święty Morcant Męczennik. Znam ja go dobrze. I niech mu będzie. Ale jest tylko jeden problem, Bernardinie. Morcant Farfog był arcybiskupem. I został zamordowany w Castreresone jeszcze w czasach, kiedy Naczelnny Wódz zajmował miasto.

— Aha, no tak. Może coś pokręciłem. Albo Socia. Ej! Może to był inny arnhandzki dupek, Austen Rinpoche.

— Ten garbus? A nie zabili go gdzieś dawniej?

— Nie. To był on, jestem prawie pewien. Pomyliłem się. Nie potrafię się połapać w tych arnhandzkich klekach. To musiał być Rinpoche, wyjątkowy idiota. Ulubiony idiota Anne. Powierzała mu coraz to nowe misje. A on je partolił jedną po drugiej. Słyszałem, że zaczęła naciskać na Łagodnego, żeby powołał nowe miejsca w Kolegium, by mogła nagradzać swoje wierne pieski w kieckach.

— Patriarcha nie może powiększyć Kolegium. Mogą to zrobić jedynie prowincjałowie. A to się nie stanie. Firlandia ma zbyt nikłą większość, która się nie utrzyma, jeśli Łagodny będzie miał spór z Imperium.

— W takim razie miejmy nadzieję, że nasz nowy pasterz dusz obrazi Cesarzową.

— Miejmy nadzieję. — Chłód wstrząsnął bratem Świecą. Nie był znawcą historii Kościoła, ale przypomniał sobie, że niejeden Patriarcha próbował zmienić ogólne stanowisko Kolegium, eliminując prowincjałów o nie dość ugodowym nastawieniu, by zastąpić ich ludźmi o bardziej zgodnych poglądach.

Ponieważ Bernardin Amberchelle chciał, aby myślano, że Doskonały jest więźniem, brat Świeca pozostał praktycznie w areszcie domowym. Mógł się swobodnie poruszać w obrębie cytadeli Antieux, ale nie wolno mu było wychodzić.

Trzykrotnie Bernardin donosił o schwyтaniu ludzi, którzy przyznali się, że wysłano ich, by odzyskali skarby, które Doskonały wyniósł z Khaurene. Teraz polowanie przybrało na sile.

Socia Rault pojawiła się pewnego ranka, kiedy brat Świeca przerwał swój post. Dziewięć dni minęło, od kiedy Bernardin go odnalazł. Oporządziła się, lecz było widać, że dopiero co wróciła z gościńca. Przystawiła palec do ust, stuknęła nim w ucho i ręką zakreśliła krąg, by pokazać, jak wiele jest w komnacie cieni.

Brat Świeca nie był wrażliwy na Noc, ale odczuwał dreszcze i ciarki podobno powiązane z obecnością czających się wokół Delegatur Nocy. Czy obchodziło go to, co mogą podsłuchać? Te, które były nim zainteresowane, już i tak wiedziały o nim wszystko, co powinny.

Socia wyciągnęła głęboki woreczek z irchy. Wsadziła rękę do środka, skrzywiła się, po czym rozrzuciła coś wokół. Zagrzechotało jak żwir o ściany celi. Zlizwała krwawe ślady z palców.

To, co wysypała z mieszka, potoczyło się w stronę brata Świecy. Przypominało trochę czarny żwirek. Nagle otworzyło się niczym rozprostowujące odnóża stonogi, przez chwilę rozglądało się wokół, najpierw przyjrzawszy się jemu i Socii. Następnie szybko ruszyło w stronę cieni.

— To nie są stonogi — stwierdził. — Stonogi tak szybko nie biegają.

— Nie. Nie jestem pewna, co to za gatunek. Kupiłam je od jakiejś pogańskiej wiedźmy na wzgórzach. Nie mów o nich Raymone'owi. Działają lepiej niż jakikolwiek czar. — Mówiąc, odliczała na palcach, po czym zarzuciła irchowy woreczek na setkę stworzeń i zaczęły wpełzać do środka. — Teraz możemy mówić. Zjadły wszystko, co cię szpiegowało.

Brat Świeca nie zrozumiał. Nie wystarczyło mu wyobraźni.

— Będziesz mi musiała to kiedyś wyjaśnić. Choć wcale nie jestem pewien, czy chcę to wiedzieć.

— To nie tylko Dawni Bogowie chcą wrócić. Małe maskary też się burzą. One nie interesowały Naczelnego Wodza. Szukał wielgachnych upiorów. — Po chwili milczenia zapytała: — Czy to prawda? Czy księżę Tormond adoptował Raymone’a? Wysłał Raymone’owi wszystko, czego potrzeba, by został następnym księciem?

— To prawda. Wszystko opatrzone tak legalnymi dokumentami, że zanegowanie tego wiązałoby się z dobrowolnym, publicznym potępieniem na wieki.

— To oznacza, że wielu się rozsierdzi nie na żarty.

— Dziecko, wiele osób już dawno temu ogarnął gniew. Zapytaj Bernardina. Już zaczął wyłapywać oddziały agentów wysłanych, by mnie dopaść, zanim oddam błyskotki. Teraz, kiedy wiadomo, gdzie jestem, spodziewaj się napływu emigrantów.

— Bernardin i ja z radością wyruszymy na polowanie.

Starzec się wzdrygnął. Socia była dla niego niemal jak córka. Kochał ją jak własne dziecko. Ale im więcej słyszał o jej ostatnich poczynaniach, tym bardziej się martwił.

Opanowała ją mroczna i okrutna dusza. Wrogowie jej męża mieli powody, by czuć strach.

Zima w Connec była sroga. Nawet najstarsi mieszkańcy musieli przyznać, że takiej zimy jeszcze nie widzieli. W Dechear pływała kra. W Viscesment załogi złożone z mieszkańców tygodniami zabezpieczały drogocenne mosty miejskie przed naporem lodu.

Mróz wymusił przerwanie wszelkich kampanii. Nawet najzagorzalsze rębajły hrabiego Raymone’a Garete zeszyły z pola, kiedy zaczęły tracić palce u rąk i nóg.

Arnhandowie nękający Khaureńczyków ucierpieli najbardziej, choć na zachodzie zima była łagodniejsza. Przy plądrowaniu prowincji nie okazali naturze dostatecznego szacunku. Ogołacanie wroga wiązało się z ogołacaniem samych siebie. Żywność, opał i paszę dla zwierząt, wszystko to trzeba było ściągać z daleka. Jeśli nie liczyć kilku przeludnionych zamków, trudno było o schronienie. Gnieźdzenie się w innych miejscach kończyło się fatalnie. Dobrze odżywieni i dobrze odziani Navayanie lub

Khaureńcyzy niemal zawsze atakowali, gdy dym zdradził położenie przeciwnika. Próbowali odbijać zamki, kiedy wyglądało na to, że poradzą sobie tanim kosztem.

Wbrew wszystkiemu król Regard trzymał swoje siły w polu. Sam pozostał w Skraju Connec. Co budziło żarty po obu stronach.

Armia najeźdźców miała być na podorędziu wraz z nadejściem wiosny. Arnhandowie uważali, że kampania ruszy z nowym impetem po zmianie pogody. Wtedy Khaurene zapłaci rzeźnicki rachunek.

Hrabia Raymone w końcu ściągnął do domu, przymuszony przez mróz panujący na dworze i ciepło w środku. Wraz z Socją bezwstydnie okazywali sobie uczucia.

Brat Świeca był jednym z kilkunastu gości na skromnej uczcie. Świętowano jakieś prywatne wydarzenie. Nikt nie powiedział jakie. Brat Świeca podejrzewał, że Socja jest brzemienna. Nie wiedział też, dlaczego właśnie on został zaproszony. Inni goście byli zaufanymi hrabiego Raymone'a.

Wesoły nastrój był zdaniem starca nie na miejscu. Nie był to świat, na który można sprowadzić dziecko.

Powiedział coś, aż Socja szturchnęła go pod żebro i zawyrokowała:

— Jesteś niepoprawnym pesymistą. Piekło, jakie spada na ten świat, to burza w nocniku. Powinieneś gigę zatańczyć. Każdego posepnego dnia dostajemy więcej dowodów na to, że Poszukiwacze Światła mają rację. Świat jest polem zabaw Przeciwnika. Przed każdym zachodem słońca mamy nowe potwierdzenie.

— Może i tak, moje dziecko. Aleja nie raduję się z mąk mych bliźnich.

Bernardin Amberchelle roześmiał się tak, jakby ktoś opowiedział dowcip stulecia.

— Czasy są apokaliptyczne — stwierdził hrabia Raymone. — I najbardziej uczony Doskonały jest po to, by o tym zaświadczyć i przeprowadzić nas przez nie.

Sarkazm? Trudno powiedzieć. Brat Świeca nie mógł się opanować, żeby nie powiedzieć:

— Nie podoba mi się to.

— To dlatego, że jesteś skwaszonym starym borsukiem, który spodziewa się najgorszego — odparowała Socja.

— A najgorsze spadnie na nas niczym tona mewich kup, czy nie tak?

— Tym razem twój pesymizm może być usprawiedliwiony — stwierdził hrabia Raymone.

— Oczywiście, tylko ten jeden raz, ma się rozumieć. Czy tak?

— Oczywiście. — Całe zgromadzenie było mocno rozbawione, choć Doskonały wyraźnie widział, że tylko Bernardin, Socia i hrabia znają tajemnicę.

— Może powinienes przekazać mi prawdziwie złe wieści.

— Wyglądasz dużo lepiej niż wtedy, kiedy cię uratowałem przed biskupem. — Amberchelle przysunął się bliżej.

— Wcale mi się nie wydaje.

Hrabia Raymone przecesał palcami przerzedzone włosy.

— Plan jest następujący, bracie. Chcę, żebyś dał się aresztować ludziom, którzy chcą cię zabrać z powrotem do Khaurene.

Starcowi odjęło mowę. Co takiego?

— Mniej w tym ryzyka, niż myślisz. Ci ludzie wiedzą, że dla księcia jesteś ważną osobą. I że jesteś pod moją ochroną, co znaczy o wiele więcej. Wiedzą, że lekko nie będzie, jeśli nie zachowają się jak przystało na osoby prawe.

Brat Świeca zmarszczył brwi. To z pewnością tylko połowa prawdy. Wrogość Raymone'a Garete nie była aż tak straszliwa, jak by hrabia sobie tego życzył. Jego wrogowie niewiele sobie z tego robili, dzień w dzień doprowadzając go do wściekłości.

— Czymże zasłużyłem sobie na te kolejne próby? W moim wieku? Devediańskie i chaldarańskie ofiary bożych ordaliów znanych z Pisma nie były przymuszane do tego rodzaju cierpień.

— Wiem. To straszne z mojej strony obarczać tym człowieka w twym wieku. Ale żaden inny posłaniec, żaden świadek nie zdoła skutecznie przekazać tego, co należy przekazać. Żaden też nie potrafi rozpląnąć się w morzu ludzkim tak jak ty. Kiedy dostaniesz się do Khaurene, znikniesz. Chcę, żebyś skłonił ich do mówienia.

Brat Świeca czuł się dużo lepiej niż wtedy, kiedy odnalazł go Bernardin. Przybrał na wadze. Już nie powłóczył nogami. Od czasu do czasu dawał świadectwo miejscowym i uczestniczył w ich wieczornych spotkaniach.

Tutejszy odłam Herezji przypominał ten przeważający w Sheavenalle. Silniejsza była tendencja do dostosowania się i mniejsza aprobata dla

debaty. Przypominała w swojej wojowniczości hrabiego Antieux. Mimo to, w odróżnieniu od Kościoła, Poszukiwacze z Antieux nie dążyli do całkowitego stłumienia odmiennego zdania innych.

Plan hrabiego Raymone'a opierał się na odparciu argumentów pewnego Firaldianina. Doskonałego znanego z nietolerancji i braku umiejętności zapomnienia o swoim ego. Bernardin Amberchelle podejrzewał, że ów brat Ermelio będzie chciał wyeliminować konkurencję na polu intelektualnym i cichcem zwierzy się z czego trzeba tym, którzy chcieli porwać brata Świecę.

— Jest tutaj wiele ale — przyznał hrabia Raymone. — Tyle że brat Ermelio jest idiotą. Już wcześniej go wykorzystywaliśmy.

— Najlepiej będzie sprowokować go, kwestionując jego pozycję Doskonałego — dodał Bernardin. — Jego zachowanie każe mi podejrzewać, iż jego doskonałość była samozwańcza.

— Myślę, że jest agentem Stowarzyszenia. Ale jest tak użyteczny, że nie mam serca podrzynać mu gardła — stwierdził hrabia Raymone.

Bernardin wymyślił, w jaki sposób mogłyby się przeciąć ścieżki brata Świecy i brata Ermelio. Na jednym z wieczornych spotkań, choć brat Świeca trzymał gębę na kłódkę, pozwolono Doskonałemu wyrzekać na brak mądrości i inteligencji Poszukiwaczy z Antieux. Społeczność ta była duża, wojownicza i głupia jak wiązka kijów od miotły. Następnie zaczął się uzalać nad Poszukiwaczami z Firaldii.

Musiał przyznać, że jest ich mniej niż w Connec i siłą rzeczy są mniej otwarci. Stali w obliczu bardziej zdecydowanych prześladowań.

Po spotkaniu, kiedy wraz z idącymi jego śladem aniołami stróżami Bernardina kierował się z powrotem do cytadeli, doszedł do wniosku, że brat Ermelio może być najzwyklejszym oszustem. Przypominał bardziej naganiacza z jarmarku niż religijnego człowieka dającego świadectwo. Potem zrozumiał, że hrabia Raymone też po mistrzowsku manipuluje ludzkim zaufaniem.

I nagle, tak nagle, że aż podskoczył przestraszony, poczuł, że jest głupszy niż wszyscy miejscowi Poszukiwacze razem wzięci.

Socia była jedyną osobą, którą zdołał odnaleźć. Czekala na niego.

— Co się stało? — zapytała.

— Brat Ermelio nie jest bratem Ermelio. Nie jest też agentem Stowarzyszenia. Pracuje dla Naczelnego Wodza. Prawdopodobnie tego

nowego. Widzieliśmy go, kiedy byliśmy w niewoli w Castreresone. Jest w przebraniu, ale nie zdołał zmienić swego głosu. Dopiero kiedy byłem już prawie w cytadeli, przypomniałem sobie, gdzie go słyszałem. Ma na imię jakoś Bogna albo Bologna. Jestem pewien, że od razu mnie poznał.

— Pewien jesteś?

— Całkowicie.

— Jeśli dotarł tak głęboko do Poszukiwaczy, to znaczy, że naprawdę nie mamy już żadnych tajemnic.

— Chyba nie. Założę się, że wykorzystywał Raymone'a i Bernardina, pozwalając im myśleć, że manipulują tą małoszkową istotą, za jaką chciał uchodzić.

— Musimy coś zrobić. Nie chcę nawet myśleć o szkodach, jakie do tej pory wyrządził. Czy zorientował się, że go rozpoznałeś?

— Nie rozpoznałem go, kiedy byliśmy razem. Rozprawialiśmy na temat reinkarnacji i Koła. Krótko. Najpierw się nadał, a potem zezłościł.

— Lepiej porozmawiajmy z Raymone'em. To może być ważne.

— Być może. Dziecko, muszę cię o coś spytać. — Był pewien, że Socia nie uważa go za zbędny balast. — Czy moja wyprawa jest naprawdę konieczna?

Odpowiedź Socii nie zadowoliłaby jej męża.

— Los Connec nie będzie spoczywał w twoich rękach. To wyrachowany, propagandowy ruch, by dodać otuchy księciu i jego stronnikom.

Brat Ermelio miał niezwykłego nosa w wyczuwaniu zagrożenia. Ludzie hrabiego Raymone'a nie mogli go znaleźć. Nie wydostali niczego sensownego od pary starych Poszukiwaczy, którzy dawali mu miejsce do spania. Po prostu zniknął.

Bernardin Amberchelle nie mógł uwierzyć, że brat Ermelio wydostał się z Antieux. Szukał cały czas.

Agenci z Direcji odnaleźli brata Świecę pewnej nocy, kiedy nie był dość czujny, wracając z kolejnego spotkania Poszukiwaczy.

Podróż, która uprzednio trwała całe miesiące, wciąż na wschód, w drugą stronę zajęła ledwie szesnaście leniwych dni. Z mocną eskortą i siedzeniem na wozie brat Świeca był bezpieczny i mógł gimnastykować się pieszo, ile tylko zapragnął. Od podróży wozem jednak na wyboistych drogach można

się było nabawić siniaków. Szedł więc przez większość trasy. I zrzędził jak stara baba za każdym razem, kiedy jego eskorta szła na skróty.

Pojawiły się już pierwsze oznaki wiosny, kiedy podróżni zbliżyli się do perły w koronie Connec. Brat Świeca tego nie zauważył. Był roztrzęsiony po potyczce z wychudzonymi, obszarpanymi żołnierzami Arnhandu.

Obozy i maszyny oblężnicze, które kosztowały Regarda fortunę, zostały zniszczone lub przechwycone przez wroga. Niektóre z nich służyły teraz do obrony Khaurene. Patrole chroniły mieszkańców, którzy na zewnątrz murów naprawiali to, co zniszczyli najeźdźcy. Wśród robotników byli też nieliczni Arnhandowie, którzy woleli się poddać niż być zdanym na furję zimy.

Wieści o przybyciu starca wyprzedzały grupę podróżnych. Celowo.

Wraz z towarzyszami brat Świeca wkroczył do Khaurene przez Bramę Castreresońską. Na straży stała miejska milicja. Zadawali niewiele pytań. Byli nerwowi z uwagi na sytuację, która rozwijała się za nimi, na wzgórzu.

Chwilę później tumult ogarnął Doskonałego i jego grupę.

Najwyraźniej Khaureńczycy oddani księciu Tormondowi, connekiańskiej niezależności, nieobecnemu viscesmeńskiemu Patriarsze albo po prostu ci nienawidzący Brotheńskiego Kościoła połączyli siły, by zapolować na współobywateli podejrzewanych o znowę z królem Regardem, Stowarzyszeniem bądź też z Łagodnym. Rozrywka stara jak świat znalazła nową formę, jakby z tego zamieszania można było wyczytać jakiś głębszy sens.

W apogeum zamieszek brat Świeca został oddzielony od swej eskorty.

Alten Weinberg: Smętna wiosna

Helspeth wydawała się posępniejsza niż zwykle.

— O co chodzi? — dopytywał się Wódz Prawowiernych.

Został wezwany na konsultacje rankiem, a nie jak zwykle wieczorem.

— O moją siostrę.

Helspeth była tak blada, że Hecht od razu wyczuł pismo nosem.

— Co się stało?

Ostatnio było sporo zamieszania w Winterhall. Imperialni elektorzy przybyli tam z wizytą. Podobnie jak członkowie Rady. Nie było jedynie śladu po Ferrisie Renfrowie. I nikt nie konsultował tego z Wodzem Prawowiernych.

Hecht bez rozgłosu postawił swoich ludzi w stan gotowości. Załadowano hakownice, obstawiono cele i wzięto je na muszkę. Kluczowe punkty obserwacyjne. Żeby nie było śmiertelnego zaskoczenia.

— Nic się nie stało — powtórzyła Helspeth. — Ale w tym tygodniu wszyscy ważni ludzie...

— Tak?

— Wszyscy są zgodni. Już czas. Trzeba coś zrobić.

Hecht zaczynał rozumieć.

Wyłożyła to jasno.

— Imperium jest zdjęte paralizem. Nie mogę podejmować żadnych wiążących decyzji, choć to, co dzieje się w Arnhandzie, może dotyczyć i nas.

Król Regard pod silną presją matki planował potężną inwazję na Connec. Maysalska Herezja miała być pretekstem, prawdziwym celem zaś aneksja Connec i przejęcie tytułów w nagrodę dla arnhandzkiej szlachty.

Naczelnny Wódz sił patriarchalnych miał najechać na Connec w tym samym czasie, przy wsparciu zaciągów z Państw Patriarchalnych. A szakale ze Stowarzyszenia mieli im towarzyszyć.

Wszystko było do przewidzenia bez wykorzystania szpiegów i wyrywkowych doniesień od Heris za pomocą wisiora.

Hecht był już tym zmęczony. Wolał, żeby spotkania były bardziej sporadyczne. Ale coś pochłaniało cały jej czas.

— Masz zamiar przejąć władzę?

— Nie! — Była przerażona podobną sugestią. — To Katrin jest Cesarzową do dnia, w którym Bóg wezwie ją do swego domu. Anielski Eisie! Nawet Wielki Admirał nie odważyłby się zasugerować czegoś podobnego. Nie mów tak nawet żartem.

— To było pytanie, księżniczko, a nie sugestia. — Nie sprawdził publiczności, przed którą grała Hespeth. — Musiałem się upewnić, czy nie będę musiał wzywać swych ludzi, by bronić praw pracodawcy.

— Nikt nie myśli nawet w taki sposób, Wodzu. Nikt!

— Dobrze. Słucham.

— Nikt! Nawet zaprzysięgłych wrogów Brothe bardziej interesuje pokój niż forsowanie własnych planów. Prawdopodobnie za twoją sprawą. Ale wszyscy są zgodni, że sprawy nie idą naprzód.

— Sam stanąłem pod ścianą — przyznał.

— Tak więc należy przycisnąć Katrin.

Hecht zdziwiony uniósł brwi.

— Zmusimy ją, by urodziła to dziecko — oświadczyła drżącym głosem.
— Albo nie.

Obecnie wyłącznie Cesarzowa wierzyła, że jest w ciąży.

— Rozumiem.

— Zebraliśmy najbieglejsze akuszerki...

— Oszczędź mi szczegółów. Wydaj mi polecenie.

— Nie mam żadnych poleceń. Poza tym, byś czuwał, aby panował spokój.

Hecht pokiwał głową, bynajmniej nie zachwycony.

Każdego dnia jego siły coraz bardziej zmieniały się w gwardię imperialną — tak uważali wszyscy oprócz niego samego. Większości ludzi najwyraźniej odpowiadała taka myśl. Była alternatywą dla chaosu.

Dwa dni później Hecht siedział ze swoimi oficerami, kiedy nadeszły wieści. Cesarzowa powiła męskiego potomka. To całkowicie zaskoczyło Hechta, jego oficerów oraz, był tego pewien, cały Alten Weinberg.

— Jak im się to udało? — dziwił się Titus z wrodzoną nutką cynizmu. — Sierotę jakąś skrzyżowały czy co?

— Nic z tego. Nawet cień podejrzenia mógłby zepsuć sukcesję. Znalazłby się zaraz pluton niepodważalnych świadków — rzucił Clej Sedlakova.

Rozpoczęła się zażarta dyskusja podsycana jeszcze troską o dalsze zatrudnienie. Trwała tylko kilka chwil. Nadeszła druga wiadomość.

Syn Katrin urodził się martwy. Cały czas nosiła w łonie martwe dziecko. Rozwijał się tylko do szóstego miesiąca.

— Czy to w ogóle możliwe? — zapytał Hecht. — Czy kobieta może nosić w sobie martwy płód tyle czasu?

Nie miał pojęcia, jak to wszystko działa. Podobnie jak wszyscy z jego oficerów, choć Bhule Smolens zawyrokował:

— Mogła, jeśli magia się w to wmieszała.

Czary albo podejrzenie o nie wkrótce zaczęły napędzać plotki. Jakieś wrogie moce uśmierciły przyszłego Cesarza w łonie matki. Gdyby żył, mógłby być większy niż jego dziadek. Ale odczyniono kolejne czary, bo Cesarzowa nie była w stanie odkryć tej śmierci przez wiele miesięcy. Zaczęło się szukanie winnych.

Potencjalny łotr miał setkę twarzy. Hecht też znalazł się na liście, ale na bardzo odległym miejscu. A na jej czele, pomimo związków Imperium z Brothe, uplasował się sam Patriarcha. Logika obwiniająca o to Łagodnego była mocno powikłana.

Jeśli to nie Patriarcha, to z całą pewnością Kolegium.

Hecht zastanawiał się, czy Katrin rzeczywiście nie została dotknięta przez Noc. Zdawało się jednak, że jest odosobniony w tej ciekawości.

Księżniczce Prawowitej udało się odbyć jeszcze jedno spotkanie z Hechtem w obecności jednego tylko świadka. Nie przedstawiła jej oficjalnie, lecz Hecht wiedział, że to niesławna Pani Delta va Kelgerberg. Taka rozpustnica nie rozsiewałaby przecież plotek o swojej przyjaciółce.

Zrodziło to w nim tak wielkie poruszenie, że rozkojarzyło go na dobre.

Helspeth była tego również świadoma, lecz brnęła dalej.

— Jak twoje zdrowie? Czy rana wciąż ci dokucza?

— Już mi lepiej. Tak jakby. Jeszcze nie jeżdżę konno. Nie mogę cieszyć się pracą, która wymaga wysiłku fizycznego.

Helspeth rzuciła złe spojrzenie. Va Kelgerberg posłała jej porozumiewawczy uśmiezek.

— Dlaczego pytasz, pani? — Piłka po stronie księżniczki.

— Chcę mieć wartę honorową. Pod twoim dowództwem. Na pogrzebie.

— Pogrzebie?

— Dziecka Katrin.

— A jest jakieś dziecko? — wykrztusił zaskoczony.

— Oczywiście. Nie słuchałeś, o czym była mowa?

— Wydawało mi się...

Helspeth nachyliła się do szeptu.

— Jest niemowlę. Katrin trzymała je i płakała przez dwa dni. Wkrótce je zabiorą. Nawet przy tej pogodzie zacznie się rozkładać. Dziś wieczorem będzie leżeć na marach. Jutro pochowamy je, z moim ojcem i bratem. Będzie złe oświetlenie. Katrin nie będzie wyglądać tak okropnie w półcieniu. Mam nadzieję, że opanuje spazmy. Z nadejściem świtu zamkniemy trumnę. Ty wraz ze swoimi ludźmi staniecie na straży trumny i Katrin przez noc, a potem zanieśie się trumnę do krypty. Ulubieni duchowni Katrin odprawią obrzędy i odmówią modlitwy. A potem Katrin może dalej rządzić Imperium.

— Rozumiem. Oczywiście. Odegram swoją rolę — powiedział, nie będąc pewien, co jest prawdą, a co udawaniem.

Uroczystość pogrzebowa z pełnym ceremoniałem należnym głowie państwa — dla dziecka, które urodziło się martwe. Ale bez niego Cesarzowa mogłaby naprawdę oszaleć.

Hecht miał sto pytań. Nie odważył się zadać ani jednego. Ta va Kelgerberg mogła nie wiedzieć o spisku. Jeśli był jakiś spisek.

Helspeth dostrzegła jego zmieszanie.

— Później. W alkowie. — Była to śmiałość, którą niemal się zadławiła.

Wódz Prawowiernych ustawił się przy wezglowiu małej złotej trumienki. Zastanawiał się, skąd się wzięła tak szybko. Titus, wspaniale układny, stał po przeciwnej stronie i delikatnie zachęcał ludzi do przechodzenia dalej.

Nie należało się zbyt przyglądać małemu ciałku. Tak przynajmniej podejrzewał Hecht. Pomyślał, że w ogóle nie przypomina Cesarzowej. Było

tak smagłe jak król Jaime. Pomyślał też, że wygląda raczej na dziewięciomiesięcznego noworodka, a nie półroczny płód. Choć w mdłym świetle trudno było powiedzieć, a do tego on nie był specjalistą.

Katrin zajmowała miejsce na lekkim tronie z tyłu, z widokiem na trumnę. Nie podano powodu. Nie było to w zwyczaju. Ale w końcu była Cesarzową. Mogła robić, co chciała. I dużo płakała. Potem zapadła w sen.

Spała snem głębokim, z wyjątkiem krótkiego ataku szlochów oraz chwili, gdy poszła na stronę. Nie wróciła na swoje miejsce wśród żywych aż do końca czuwania. Wybrani ludzie Hechta mieli zamknąć trumnę.

— Poczekaj, Wodzu. Jeszcze spojrzę po raz ostatni.

Hecht dał znak ludziom, by się cofnęli. Katrin z trudem podniosła się z miejsca.

— Potrzebujesz pomocy, Wasza Miłość? — zapytał.

— Nie. Ale postanowiłam jednak nie patrzeć. Spałam po raz pierwszy od dawna. Nie powinnam się już więcej zadreć. Zamykajcie. Zabierzcie go. Księża! Czyńcie waszą powinność.

Hecht wykonał sztywny, płytki ukłon, jaki przystoi starszemu oficerowi.

— Jak rozkażesz, Wasza Miłość.

Zastanawiał się, jak Katrin by zareagowała, widząc swoje niemowlę w świetle dnia.

Pogrzeb był smutny stosownie do okoliczności. Hecht nie dostrzegł niczego, co mogłoby sugerować, że ktoś uważa to za jedną wielką lipę na użytek Cesarzowej. Ci ludzie naprawdę wierzyli w to wszystko.

— Być może stałem się zbyt cyniczny — wyszeptał do Titusa Zgody. — Byłem pewien, że to wszystko jest ustawione, by Cesarzowa mogła zachować twarz. Jednak z tego, co mogę stwierdzić, wszyscy w to wierzą oprócz mnie.

— Czasami nieprawdopodobne może być też prawdziwe. A i łotry nie zawsze mają czarne serca.

— A jednak mówisz to jakoś bez przekonania.

— To, co myślę, nie ma znaczenia.

— Dla mnie ma. — Hecht się zasepił. Z czasem stwierdził, że liczy się przekonanie Katrin, choć nie była w nim odosobniona.

Jeśli Hespeth wraz z innymi opracowała jakiś plan, to jego rezultaty były dobre dla Cesarzowej i dla Imperium.

Cesarzowa, która utraciła syna, była nową Cesarzową: twardszą, bardziej skoncentrowaną, mniej tolerancyjną niż władczyni, która wyjechała do miejsca odosobnienia. Ta Cesarzowa miała szczerzy zamiar poderżnąć gardło swym cierpieniem, pracując do upadłego. I miała też zamiar zaprząć do tej pracy całe Alten Weinberg.

Niewierny niech się lepiej ma na baczności. Zbierało się na gwałtowną burzę.

Czujni oficerowie Hechta pewnego wieczoru dopadli go wreszcie.

— Wybrano mnie, żebym przemawiał w imieniu wszystkich — powiedział Clej Sedlakova.

— Możesz się pospieszyć? Mam spotkanie z Cesarzową.

— Ta kobieta pożera cię żywcem.

Ktoś parsknął śmiechem. Tacy już są żołnierze.

— Pożera nas wszystkich — ciągnął Sedlakova. — Potrzebny nam przywódca. Potrzebujemy kogoś, kto podejmie decyzję. Jak masz zamiar cały czas tańczyć wokół niej, zostawiając nam robotę, tak że mamy zgadywać, co mamy robić... Cóż, musisz oddelegować kogoś, kto będzie dowodził, kiedy ty nie będziesz sobą.

Zaskoczony Hecht musiał przyznać, że jednoręki mężczyzna ma rację. Dziewiętnaście dni na jawie spędził z Cesarzową. I to nie tylko przygotowując krucjatę. Nalegała. Stał się jej emocjonalną proteżą. Tolerował ten stan, ponieważ dawało mu to szansę widzenia się z księżniczką Hespeth, często w okolicznościach bez przyzwoitki, kiedy mógł rozmawiać z nią co wieczór.

Bywały takie chwile, kiedy rozmawiali oraz — mniej lub bardziej — flirtowali.

Dwa dni temu Katrin zapytała dość niezręcznie:

— Nie udało wam się choć na chwilę osłabić tego żaru, kiedy mnie nie było?

Hespeth poczerwieniała i coś wykrztusiła. Hecht nie zareagował. Znał swoje miejsce i nie ośmielił się zaprzeczać Cesarzowej ani też spierać się z nią w innych kwestiach niż plany militarne.

— Ach. Więc nie. Ellie jest wciąż smakowitym kąskiem na rynku małżeńskim. Ale jej kwiatuszek już dawno rozkwitł. Jakie to komiczne. Jak mi smutno z waszego powodu. — W jej śmiechu pojawiła się nuta okrucieństwa.

Katrin przechodziła przemiany. Hecht obawiał się, że zmieni się w jednego z tych tyranów, którzy ćwiczą swoje okrucieństwo na najbliższych.

— Nie musicie ukrywać się ze swoimi myślami. Patrzycie na siebie jak fretki w rui. Ale nieważne. Jak tam sobie chcecie. Jeśli nie będzie to sabotowało polityki Imperium.

Była w tym kolejna drobna uszczypliwość. Po tym, jak zasugerowała, że Hespeth może w każdej chwili stanąć na ślubnym kobiercu.

Hecht nie odezwał się w tej ciszy. Jak i Hespeth.

Katrin znudziło się czekanie.

— Jestem zadowolona z tego, czego dokonałeś, Wodzu. Szczególnie w czasie mej nieobecności. Jestem również zadowolona z twoich starań, Ellie.

Hecht wyczuwał, że będzie jakieś „ale”.

— Dziękuję, Wasza Miłość. To wymagało wielu nakładów pracy. Jestem pewien, że teraz pójdzie łatwiej, kiedy wróciłaś, by nami pokierować.

— Masz jakieś prośby albo zastrzeżenia?

— Nic nowego, Wasza Miłość. Wszystko jest w raportach. Z wyjątkiem ostatnich trudności mających związek ze mną, gdyż przepracowuję swoich ludzi. Jeśli chcesz, przekażę swoje propozycje oddzielnie, rozłącznie z innymi raportami, tak że będziesz mogła je oceniać, nie zaprzatając sobie głowy spisem fur, koców, namiotów i tym podobnych. Posłaniec przyniesie ci je rankiem.

— Tak. Przyślij mi je. — Powiedziała to w taki sposób, jakby miała zupełnie co innego na myśli.

Cesarzowa wpadała czasami w zadumę. Jakby była gdzie indziej. Nigdy nie wyjaśniała, nigdy się nie przyznawała, że coś się wydarzyło. Siłą rzeczy wszyscy w jej obecności zachowywali się podobnie.

— Jak rozkażesz, tak będzie.

— Naprawdę wszystko, co rozkażę?

Niepewny Hecht wybrał zabarwioną ostrożnością szczerość.

— Niemal wszystko. Istnieje oczywiście wyższa powinność wobec Boga. Nie sprzedam też swojej duszy. Nie poddam się Woli Nocy, choć kocham Waszą Miłość tak, jak każdy człowiek musi kochać swego pana na ziemi.

— Odpowiedź, której macierzysty Kościół wraz ze swoją zgrają małych księżulków tylko by przyklasnął. No i dobrze. A gdybym tak rozkazała ci zanieść moją siostrzyczkę do jednej z prywatnych komnat i spędzić resztę nocy na spełnianiu jej fantazji?

W głosie Katrin znów pojawiło się ostrze okrucieństwa, wyraźniejsze niż wcześniej. Trzeba było uważać.

— Choć jako mężczyzna marzyłbym o takiej nocy, myślę, że sytuacja, jaką ją przedstawiłaś, pani, zbliża się niebezpiecznie do zaprzędania mej duszy.

Diabeł opuścił swoje miejsce w oczach Katrin. Chęć wykazania się okrucieństwem zniknęła.

— Doskonale, jak nic nie mogę poradzić, to trudno. Będziecie musieli w takim razie poradzić sobie, mamrocząc i przekradając się. Idź już, Wodzu Prawowiernych. — Czyżby ślad kpiny? — Chcę dostać ten raport jak najszybciej.

Cesarzowa zdawała się tracić zainteresowanie. Spotkania Hechta z nią stawały się coraz rzadsze, w miarę jak zima skłaniała się ku wiosnie. Nie tylko z nim spędzała mniej czasu. Wycofywała się. Okresy rozkojarzenia bywały coraz dłuższe i częstsze. Pojawiły się plotki o powikłaniach psychicznych po porodzie.

Mówiło się też o kapryśnym zachowaniu, choć Hecht nigdy go nie doświadczył podczas swoich audiencji. Był świadkiem surowych konsekwencji, jakie ponosili ci, którym udało się rozdrażnić Cesarzową.

Księżniczka Prawowita była coraz bardziej przerażona.

— Jest gorsza niż wtedy, kiedy mnie wygnała, bym zginęła — powiedziała Hechtowi. — To tylko kwestia czasu, kiedy zwróci się przeciw mnie. W końcu przeciwko nam. Nie jesteśmy w stanie tego zmienić.

Hecht żałował, że nie potrafi jej pocieszyć. Ale Cesarzowa, którą widział na spotkaniach, nie była tą, z którą mieli do czynienia inni, gdy go nie było w pobliżu. Musiało się mocno nadymić, zanim można było zobaczyć ogień.

— Piper, moja siostra bardzo umiejętnie to skrywa, ale ona postradała zmysły.

— Może i tak. Ale nie dramatyzuj tak. Ściany mają uszy.

Katrin wciąż lubiła aranżować sytuacje, w których mieli myśleć, że są sami. Ale ktoś zawsze obserwował. Najpewniej ona sama.

Pojawiły się niecne pogłoski o tym, że Cesarzowa nakazuje osobom na dworze kopulować, na co sama patrzy.

To, jak podejrzewał Hecht, rozpowiadali wrogowie. Ktoś chciał odmalować Katrin w odrażającej gamie barw. Ale ostrożności nigdy za

wiele.

— Potrzebujemy egzorcysty — wyszeptała Helspeth. — Tamtej nocy coś mrocznego wstąpiło w Katrin. Przejmuje nad nią władzę.

— Której nocy?

— Kiedy powiła dziecko. Nie bądź idiotą.

— Tej nocy, której... Ale... Wydawało mi się...

— Co ci się wydawało?

— Że znaleźliście martwe dziecko i sami nagraliście całą sprawę. Żeby powstrzymać ją przed nakręcaniem swoich zwidów.

— Naprawdę tak myślałeś?

— Oczywiście, że tak. Tak myśli cała masa ludzi. Podziwiając przy tym, jak wszyscy uczestniczący w tym spisku dzielnie trzymali język za zębami.

— Zrozum, proszę, Wodzu Prawowiernych. Po raz ostatni powtarzam. Wszystko odbyło się naprawdę. Cięża Katrin, poród Katrin, dziecko Katrin. Wszystko naprawdę. Byłam tam. Widziałam, jak to coś z niej wychodzi. To było straszne. Akuszerki sprawiły, że wyglądało o wiele lepiej, kiedy spoczęło w trumnie. Były przerażone. Bełkotały wciąż o czarach i Nocy.

— Poczekaj. — Nawet w takich okolicznościach Hechtowi z trudem przychodziło uwierzenie w ciężę Katrin. — Czy istnieje taka możliwość, że ktokolwiek poza Jaime'em jest ojcem?

— Piper! Nikt! Jak śmiesz...

— Trochę to trwa, zanim człowiek da się uwieść prawdzie. Daruj więc sobie te wybuchy. A więc tak. Wcześniej twoja siostra była obcesowa, samolubna, beztroska i stawiała zawsze na swoim. Wszystko to cechy, które uwielbiamy u monarchów, kiedy już bezpiecznie spoczną w krypcie. Ale teraz ma ich jeszcze więcej, a do tego wtrąciło się szaleństwo religijne.

— Tak. Żyje zgodnie ze swoją wiarą. Jaką uważa za słuszną. Ale jej przekonania powodują dalsze zmiany i wpływają na to, że ma coraz paskudniejszy charakter.

— Jeśli jest pobożna, to nie mogła zawrzeć paktu z Nocą. W takim razie to, że powiła potwora, to nie jej sprawka.

— Mylisz się! Oczywiście, że to jej wina. Pozwoliła temu bydlakowi Jaime'owi, żeby wlał w nią nasienie. Chciała, żeby to zrobił. Błagała go o to.

— Nie był to związek uświęcony w Niebiosach. — Hecht powiódł wokół twardym spojrzeniem. Gdzie mógłby się czaić podsłuchujący? Wraz z nie

wiadomo czym jeszcze?

Próbował ostrzec Hespeth, dając jej znak ręką.

Ale ona parła dalej.

— Dla Katrin tak było. Wciąż jest. Jest zaślepiona, jeśli chodzi o Jaime'a. Powiedz coś przeciwko niemu, a z pewnością poznasz jej paskudną naturę. Nienawidzę siebie za to, ale karmię te jej fantazje.

Hecht miał problemy z nadążaniem za tą rozmową. Już sama siedząca w jego obecności przerażona Hespeth rozkojarzała go.

— To zupełnie inna sprawa, gdyby coś naprawdę się zdarzyło. Konsekwencje tego wciąż krążą w mojej głowie.

— To już nie chodzi o nieuprzejme listy wysyłane do kogoś o setki kilometrów stąd.

— Konsekwencje...

— Mogą być paskudne. Naprawdę, zabójcze.

— Katrin wspomina o tym za każdym razem, kiedy ją widzę.

Hecht zachmurzył się. I tylko patrzył. Nie wiedział, co ma na to powiedzieć.

— To jej nowy sposób dręczenia mnie. Nie mogła czerpać radości z mej niedoli, kiedy posłała mnie do Runjan. Teraz może. Zadaje żenujące pytania przy wszystkich.

Hecht westchnął. Przedłużające się fantazje najwyraźniej zmierzały do upokarzającego końca.

— I znów zaczęła mi szukać męża.

— Mogłaś się tego spodziewać. Teraz, kiedy już nie ma w łonie kolejnego następcy, nie czuje się bezpieczna.

— Spodziewałam się tego. Dłużej to trwało, niż myślałam. Dobrze dbałam o nią i jej interesy. Potrzebowała czasu, by jakimś pokrętnym sposobem rozumowania dojść do wniosku, że to wszystko był spisek.

Wciąż zaniepokojony możliwością podsłuchu Hecht nic nie powiedział.

Hespeth zrozumiała.

— Żałuję tylko, że nie ma sposobu, by Katrin się przekonała, iż nie jestem jej wrogiem.

Jej dobre intencje mogły być zupełnie bez znaczenia. Księżniczka Prawowita nie była zwykłą osobą, była symbolem. Przedstawiała gotową alternatywę dla rządów niepopularnej monarchini.

Hespeth zmieniła temat.

— A jak twoja rana? Możesz wyruszyć w pole?

— Wiesz coś, o czym ja nie wiem? — Wiosna była tuż-tuż. Hecht wyszkoli! ludzi do pomocy przy powodzi. Jeśli nadejdzie. Nadchodziła z regularnością trzech lat na pięć. — Wciąż odczuwam ból, kiedy nie uważam.

— Katrin może pomyśleć o tym, by użyć cię przeciwko swoim krytykom.

— To nie jest dobry pomysł?

— Tak?

— Stworzyłoby to więcej problemów, niżby rozwiązało — oznajmił dla potencjalnej publiczności.

Użycie obcych najemników przeciwko własnej arystokracji rozwścieczyłoby całą tę warstwę, której już nie w smak była władza centralna.

— A jeśli ci to nakáže?

— Wykonam rozkazy. Przedtem jednak zrobię, co w mojej mocy, by wyjaśnić, że musi być lepszy sposób.

Helspeth mrugnęła.

— Nie posunęliśmy się za daleko. Lepiej już sobie idź. Nie mogę się dłużej powstrzymać. Nie chcę jeszcze obniżyć mojej panińskiej wartości.

— Ja też nie. — Jako że byłoby to uchybienie zaufaniu pokładanemu w obydwójgu graniczące z jawną zdradą.

Nawet Titus Zgoda zdawał się mieć nadzieję na jakieś pikantne szczegóły.

— Panowie, to było tylko kolejne zwykłe spotkanie. Nie dotyczyło was zupełnie. Jednak na podstawie tego, czego się dowiedziałem, stwierdzam, że nasza pracodawczyni traci zdrowy rozsądek. Idźcie spać. Ty nie, Titusie.

Kiedy został sam na sam ze Zgodą, powiedział:

— Katrin rozważa, czy nie dać nam jakichś wariackich rozkazów, kiedy nastąpi zmiana pogody.

— To niedobrze, zważywszy na sytuację na arenie międzynarodowej.

— Słyszałeś wieści? — Bez regularnego kontaktu z Heris czy Clovenem Februarenem Hecht czuł się głuchy i ślepy.

— Dostałem dzisiaj dwa raporty. Tylko przez przypadek dwa. Jeden z Arnhandu, a drugi ze Wschodniego Imperium.

— Złe wieści?

— Może być, że złe. W Arnhandzie przygotowują potężną inwazję na Connec. Anne z Menandu doprowadziła do sojuszu z Santerinem, dając królowi Brillowi większość tego, co uważał za swoje.

— To gwarantuje jeszcze większe problemy w tym rejonie za jakiś czas. A teraz nie wróży nic dobrego naszym przyjaciom na południu.

— Jestem pewien, że Anne trzyma kciuki. Obróci się przeciw Santerinowi, kiedy tylko Arnhand będzie trzymał łapę na bogactwach Connec.

— Pewnie tak. A król Brill zasługuje na to, jeśli pozwala jej tak postępować.

— Anne nie zdołała jednak przekupić Cesarzowej.

— Hhkmm. — Hecht pomyślał, że mógł zasugerować, by Katrin przymknęła oko, gdyby któryś z jej baronów z kresów wykorzystał to, że Anne jest zajęta w Connec.

— Ale drugi raport przynosi naprawdę złe wieści. Manufaktura Krulik i Sneigon zaczęła rozprowadzać broń i proch. Cesarz Imperium Wschodniego oraz Indala al-Sul Halaladin wykazali duże zainteresowanie.

— To niedobrze dla nas.

— Nie. Takie sygnały nadeszły również od Łagodnego i Państw Patriarchalnych.

— To pewnie wina Pinkusa. Założę się. Chciał się dozbroić. Uwielbia hakownice niemal tak samo jak Prosek czy Rhuk. Ale przy takim popycie, jak Krulik i Sneigon wyprodukują tyle broni?

— Mogą nie wyrobić. Jak dotąd wysłali tylko kilka zwykłych dostaw. Przyjmują zamówienia na nowe dostawy, za gotówkę.

— To mądre posunięcie, biorąc pod uwagę rodzaj klienta. Pinkus może nie zobaczyć ani jednej hakownicy. Chyba że Bronte Doneto lepiej zarządza finansami niż jego poprzednicy.

— Tak. Ale jest problem. Opracowali sposób masowej produkcji prochu strzelniczego. Eksperymentują cały czas, starają się go ulepszyć. W jednym przepisie używa się nefronu z Dreangeru. Nie wiem, co to znaczy, ale ktoś pomyślał, że powinniśmy o tym wiedzieć.

— Nefronu używają balsamiści. Tyle wiem. Przy pierwszej okazji będę musiał powiedzieć o tym Cesarzowej.

— A co to da?

— Kto to wie? Może nic. Ale ma takie chwile, kiedy jest równie ostra i genialna jak jej ojciec. — Hecht wiedział, co zrobiłby Johannes, niech szlag trafi Monestacheusa Deleanu. — Czy twoi agenci znają plany Krulika i Sneigona?

— Nie. Ale są oczywiste. Chcą stać się obrzydliwie bogaci, produkując narzędzia zbrodni.

— Najlepsze narzędzia. Których, zgodzisz się, mogą wyprodukować ograniczoną ilość.

— Oczywiście. Może zaczną sprzedawać broń na licytacji?

Było to podstawowe narzędzie gospodarcze i do tego marzenie każdego kupca — oraz doskonały sposób, by zostać zarżniętym przez jakiegoś rozdrażnionego księcia.

— Albo...?

— Albo co?

— Albo będą mogli wybierać i decydować, co kto dostanie. Przywłaszczą sobie władzę decydowania o tym, kto będzie zwycięzcą, a kto pokonanym.

Titus mruknął niezadowolony.

— Czy to mruknięcie niesie jakąś treść?

— Krulik i Sneigon wynieśli się do tej głuszy po części dlatego, że są tak zachłanni, że ich ludzie zwróciliby się przeciwko nim, gdyby pozostali w Brothe.

— Do tego doszedłeś już rok temu.

— Pamiętaj o tym.

— Rozważę to. Muszę odpocząć. Ta rana rwie mnie dzisiaj.

— Potrzeba ci czegoś?

— Nie. Nie chcę się uzależnić.

Tej nocy Hecht poświęcił godzinę na stukanie w wisior. Otrzymał jedynie związane potwierdzenie od Heris.

Nie widział jej od wielu miesięcy, a Clovena Februarena dwa razy dłużej. Jego emocjonalne oparcie w Panu Milczącego Królestwa nie osłabło. Ochrona Dziewiątego Nieznanego była równie pewna jak nadchodzący świt.

Ból w lewym ramieniu aż nadto dobitnie przypominał o zmianie.

Co oni wyprawiali we dwójkę? Skąd to zaangażowanie? Czyżby było aż tak źle?

Ciepły wiatr dotarł do krańca gór Jago, przywracając uśmiech na twarzach wszystkich. Choć pesymiści tacy jak Titus Zgoda wciąż przez wyszczerzone zęby wieszczili zagładę i śmierć.

Śnieg mógł się zacząć szybko topić. Bleune wraz z dopływami mogła popłynąć szerokim nurtem. Tak zawsze było, trzy lata na pięć.

Wódz Prawowiernych nie miał współczucia dla tych, co ucierpią.

— Wody podnoszą się trzy lata na pięć. Każdy, kto wciąż mieszka tam, gdzie zalewa, zasługuje na swój los.

Ale i tak pomagał powodzianom.

Piper Hecht robił przegląd swych oddziałów. Zbrojni wraz ze zwierzętami i sprzętem zgromadzili się na placu Franza-Bennerousta przed główną cytadelą. Franz-Benneroust był jednym z pierwszych, nieudolnym Cesarzem Graala, o którym pamiętano wyłącznie z uwagi na przeprowadzone za jego panowania roboty publiczne, choć rządził dłużej niż jakikolwiek inny władca Imperium od tamtego czasu. Wydawał większość swych wpływów na rozbudowę Alten Weinbergu i Hochwasser oraz budowę mostów. Jego spadkobiercy nie wspominali go tak ciepło, by nadawać jego imię budynkom i mostom.

Hecht wiedział o tym, ponieważ gromadził taką wiedzę. Był to przymus oraz mechanizm obronny. Im więcej wiedział, tym się czuł bezpieczniejszy. Mógł się lepiej dopasować.

Po raz pierwszy od dawna zastanawiał się, co by z nim było, gdyby er-Rashał nie zasiał strachu przed nim w sercu Gordimera.

Po raz pierwszy od dawna zastanawiał się, dlaczego Bastard chciał jego śmierci albo też zniknięcia na zawsze z al-Minfet. Jak zwykle, odpowiedzi nie znalazł.

Po raz pierwszy od dawna zastanawiał się, co byłoby, gdyby Gordimer i er-Rashał wiedzieli, że wciąż żyje. Albo czyby ich to obeszło, teraz, kiedy zszedł im z drogi.

Jego dowodzenie imperialną krucjatą powinno im o tym przypomnieć. Mógł ruszyć na południe z Ziemi Świętej. Katrin nie dałaby się długo przekonywać, że Dreanger też łaknie wyzwolenia. Dreanger był bardzo ważnym miejscem dla wczesnej historii chaldarańskiej wiary. Z całą pewnością ważniejszym niż Firdalia aż do pramańskiego podboju, którego doświadczył ten kraniec świata.

Upomniał się w myślach, że przecież Katrin Ege jest córką Cesarza Johannesesa III, o wiele inteligentniejszą niż osoba, za którą chciała uchodzić. Nie dałaby się poprowadzić na pasku.

Parada odbyła się z niewielkimi trudnościami. Jego żołnierze mieli pełne kabzy, byli wykarmieni, nieprzemęczeni pracą i otrzymali kilka zmian nowego umundurowania, morale więc nie mogło być w lepszej kondycji. Było ich teraz tysiąc czterysta zbrojnych. Niemal co do jednego żyli marzeniem, które ściągnęło ich do tej służby. Do szczęścia brakowało im jedynie zdobywania wrogich miast i wzbogacenia się na plądrowaniu.

Byli pewni, że to wkrótce nastąpi.

Drago Prosek i Kait Rhuk zakończyli apel głośnym koncertem odegranym na hakownicach. Chmury dymu siarkowego i prochu sunęły nad miastem w żółtych tumanach i stanowiły aż nadto wyraźny sygnał, gdzie koncentruje się prawdziwa władza.

Wybrani: Przemiany

Niewola Wędrowca Wiatru ustąpiła w połowie zamrożonego świata. Ludzie chwyтали za broń tam, gdzie mogli i gdzie byli wystarczająco bystrzy.

Krawędź lodu stała się krainą furii wojennej i chaosu. Niewielu książąt i niewiele ludów było tak otwartych jak Tsistimed Złoty wraz z Hu'n-tai At. Ale Tsistimed rządził stepami i górami rozciągającymi się na dziesięć tysięcy kilometrów.

Zachodnia geografia oraz historia postrzegały tę sytuację nieco odmiennie. Problem z uchodźcami nie był aż tak dotkliwy. Krainy rozciągające się za górami Jago początkowo, były słabo zaludnione a wielu tubylców z księstw północy już i tak wyemigrowało na południe. Jedynie wokół miast skutki było wyraźnie widać. W dziczy tysiące osób mogło żyć z płodów ziemi. I tylko tysiącom udało się ująć spod rządów Wędrowca Wiatru.

Bóg zmarnował resztę.

Kilku uciekło z krain na północ od Morza Płytkiego; większość z nich przeszła przez cieśninę Ormo po moście z lodu, który powstał tam zimą.

Garstka, której się to nie udało, nie doczeka powrotu lata.

Kilkanaście postaci sunęło po kamienistej plaży, na której leżał powalony bóg; wszyscy odczuwali słabe *łup-hip* życia wciąż kołającego się w Wędrowcu Wiatru. Było to siedmiu mężczyzn. I jedna kobieta z rozczochranymi włosami. Cała ósemka należała do szalonych, zatwardziałych kapłanów, ostatnich miejscowych wyznawców Kharoulke. Chronili go przed pomniejszych Delegaturami Nocy. Modlili się i odprawiali rytuały, by go przebudzić. Słabli z dnia na dzień. Mogli żywić

się jedynie padliną znaną na lodzie albo tym, co zostało wyrzucone na brzeg w tych krótkich chwilach spokoju, kiedy wody nie przewalały się z rykiem tam i z powrotem.

Głównie zbierali wychudłe trupy martwych Wybranych.

Z kolejnej czwórki dwóch było Krepami Nocy, Wybranymi. Stanowili bladą imitację oryginału. Ten większy miał zaledwie półtora metra wzrostu. Drugi ledwo sięgał metra. Obaj wyglądali na pospieszną partanię wycieńczonego rzemieślnika.

Podobnie jak szaleni kapłani, oni również starali się chronić swego stwórcę.

Jeszcze dwóch wariatów pojawiło się na plaży. Nie byli przyjaciółmi Wędrowca Wiatru. Chcieli zamordować boga. Nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić, ale mieli głęboką wiarę, że da się to zrobić. Byli bardziej przebiegli niż obrońcy boga, których wyłapywali i zjadali niemal od chwili, w której Kharoulke wydostał się z wody.

Pewnego razu pojawiła się kobieta, która próbowała pokazać im, jak zrealizować ich cel. Zaatakowali ją. Nie mówiła w ich języku, więc naturalnie nie można było jej ufać.

Zrobiła im krzywdę i zniknęła.

Widywali ją raz na jakiś czas, ale nigdy z bliska. Musiała być jakąś potężną Delegaturą. Pojawiała się tak niespodziewanie i znikła w podobny sposób. Jej wizyty zawsze wiązały się z pogorszeniem stanu Wędrowcy Wiatru. Niemal za każdym razem pojawiały się wybuchy oraz chmury trującego siarkowego oparu.

A mimo to Kharoulke dochodził do siebie.

Boskie uzdrowienie dokonywało się powoli, wraz z zamilknięciem Studni Mocy. Rekonwalescencja Kharoulke była przeplatana częstymi spadkami sił. Ale tendencja była niezmienna.

A Kharoulke był ponadczasowy. Natrętni śmiertelnicy mogli sobie próbować ile dusza zapagnie. Zgasną. Umrą. Pewnego dnia, pewnego stulecia Kharoulke podniesie się z kamienistej plaży, tak jak wyszedł z więzienia, w którym zamknęli go nowo przybyli. Odbierze swoje lodowe królestwo.

Ból był niezwykle dojmujący i bezlitosny. Kharoulke radził sobie z nim, wyobrażając sobie swoją przyszłość w śródziemiu, obmyślając zemstę. Marzenie było niemal jak na jawie. Czasami zatracał się w czasie i

wydawało mu się, że już ten dzień nadszedł. Ale jego stan połączył go z tą chwilą ściślej niżli zwykle Delegaturę Nocy jego wielkości.

Wyczuwał jak przez mgłę, jak powierzchnia lodu zaczyna topnieć i spływać.

Teraz na dodatek ciepła pora roku zwiększy jego udrękę.

Ziemia Święta: Sroga Nowa Krew

Góra i Azim al-Adil mieli pierwsze poważne zetknięcie z nowym kasztelanem Gherig, za radą Indali, kiedy wiosna zaczęła zagrażać Ziemi Świętej. Indala chciał wypróbować arnhandzkiego księcia, który był niewiele starszy od Azima.

Doniesienia o następcy Czarnego Rogerta były bardzo rzeczowe. Był bardziej lubiany niż du Tancret, ale cieszył się opinią zimnego i wyniosłego. To, jaki był w boju, pozostawało tajemnicą. Wyjechał do Los Naves de los Fantas wraz z bratem, ale nie pozwolono mu wziąć udziału w bitwie ze względu na jego młody wiek.

Podczas tej bitwy Anselin z Menandu okazał się nadzwyczaj walecznym wojownikiem. Azim al-Adil i Nassim Alizarin uniknęli śmierci, ponieważ mieli chyże konie, i doznali tylko upokorzenia porażki.

Pramańska piechota ucierpiała najbardziej. Ci, którzy przeżyli, salwowali się ucieczką na tereny, na które nie odważyły się zapuścić dużo mniejsze już oddziały wroga.

Dowiedziawszy się wszystkiego, co chciał wiedzieć, Indala wysłał posiłki, by niestrudzenie nękać Gherig. Z Lucidii nie miał prawa odbywać się żaden ruch na zachód, dopóki sam nie poprowadzi swoich armii z Kasr al-Zed.

Azim przyznał, że był jakiś plan, ale nie mógł podzielić się szczegółami. Nic nie wiedział. Nie zyskał zaufania Indali.

Rogert du Tancret zebrał swoich kamratów w Vantradzie. Knuli niecne plany. Czarny Rogert nie ukrywał nawet swoich ambicji i chęci zagarnięcia Świętego Diademu, domniemanej Korony Aarona, która przypadła w

udziale królom Vantradu. Diadem symbolicznie wynosił ich nad książąt i hrabiów wszystkich państw krzyżowych.

Król Berismod miał lat czternaście. Trawiły go chroniczne choroby oraz małżeństwo zawarte z powodów politycznych. Zawsze nosił rękawiczki i kwef. Klotylda, jego królowa, była od niego dwukrotnie starsza. Jej rodzina była powiązana z du Tancretami jeszcze od czasów życia w krainach ojczystych. Klotylda nie miała nic przeciwko temu, by zamienić swego przeważnie zbytecznego bezwłosego trzeciego męża na czwartego, który udowodnił, że jest prawdziwym mężczyzną.

Panowie i rycerze państw krzyżowych mieli wyrobione zdanie na temat Rogerta du Tancreta oraz honoru. Indywidualne wykładnie pozwoliły ludziom wybrać, stanąć za Czarnym Rogertem lub przeciwko niemu. Kroiła się prawie pewna dysputa z użyciem broni. Obie grupy zaczęły się umizgiwać do Frakierów Giseli i do du Tancreta, ale z marnym skutkiem. Niektórzy pamiętali tylko to, co było wczoraj.

W Shamramdi Indala al-Sul Halaladin całymi godzinami przepytywał prowokatorów, którzy mieli wzniecić śmiertelną waśń.

Nassim Alizarin tylko raz nie docenił Anselina z Menandu. Później uczynił z życia księcia piekło na ziemi. Indala dał mu potrzebne do tego narzędzie. Nassim wciąż je ostrzył i często używał.

Dziewiąty Nieznany: Zamek w głuszy

Czysta rozpacz. Rozpacz się pojawiła, zageściła, skryzalizowała, a następnie wcisnęła się w tych, których chciała dotknąć. Tak właśnie myślał Cloven Februaren o swoim obecnym życiu. Dość ckliwie.

Nieszczęścia te zapoczątkowała decyzja, by do fortecy Bastarda ściągnąć Aelen Kofer. Rozpacz się nie rozwiązała. Jeszcze nie dotarto do fortecy.

Aelen Kofer nie mogli mieć styczności z Konstruktem. Nie mogli w żaden sposób wejść w kontakt z jego mocą. Ani Heris, ani Dziewiąty Nieznany nie mieli siły, by za pomocą Konstruktu przemieścić najmniejszego nawet krasnoluda. Trzeba ich było wysłać statkiem z Dziedziny Bogów na ląd. Później musieli się poruszać piechotą. Transport statkiem wymagał wielu kursów na przestrzeni dwóch tygodni. Taka była paskudna pogoda.

Żelaznooki nalegał, by wszyscy jego ludzie odbyli podróż zimą. Obawiał się nowego śródziemia.

Cloven Februaren miał zapewnić zapasy. Nie miał problemów z ogarnięciem całej koncepcji. Była zima. Niewiele można było tam zdobyć, czy to kradnąc, polując, żerując, czy dokonując zakupów. Większość z tych zabiegów zwróciłaby uwagę mieszkańców śródziemia na Aelen Kofer. Żelaznooki nie chciał być widziany.

Cloven Februaren miał problemy z wykonaniem zadania. Zakres prac był przytłaczający. Zapasy w takich ilościach można by było pozyskać, nie zwracając niczyjej uwagi, jedynie w Brothe. Musiałyby być wysłane do

miejsca, w którym oddział krasnoludów uwijał się na lodowej połaci. Czyli w morderczym tempie.

Cloven Februaren i Heris pracowali po osiemnaście godzin dziennie, by Aelen Kofer nie pomarli z głodu. Była to długa wyprawa, a krasnoludy uwielbiały jeść. Poza tym pogoda zawsze była na przekór.

Z drugiej strony, Noc nie nastroczała kłopotów. Pomniejsze Delegatury zdawały się całkowicie stronić od Aelen Kofer.

Krasnoludy nie byli gnuśni, ale za to marudni i skłonni do kłótni. W niektóre dni grupa w ogóle się nie przemieszczała. Przez to Dziewiąty Nieznany był równie wściekły jak wycieńczony.

Dalsze komplikacje pojawiły się, kiedy tylko dotarli do obszarów wciąż zamieszkałych przed śródziemców.

Żelaznooki wolał pozostać postacią mitologiczną. Jeśli to możliwe, na zawsze.

Choć krasnoludy tworzyły sporą grupę, z początku pozostawanie w ukryciu nie stanowiło problemu. Ale wymagało to coraz ostrożniejszego zwiadu, co oczywiście spowalniało cały pochód.

Februaren powstrzymywał zmęczenie na tyle długo, by nie zwrócić posiłku.

— Łatwiej by było, gdyby wciąż rządzili Dawni Bogowie — odezwał się Żelaznooki ni z tego, ni z owego. — Moglibyśmy łązić tam, gdzie byśmy chcieli, i lud byłby gotów do pomocy.

— W takim razie szkoda, że są zamknięci. Z łatwością byśmy ich wydostali, gdyby tylko nie byli zamknięci.

— Ostatnio jesteś jakiś taki skwaszony, wiesz o tym?

— Myślę, że to na skutek towarzystwa, w jakim się obracam.

Z pewnością. Aelen Kofer doprowadzali go do szału. Bał się o swoje zdrowie. W jego wieku nie powinien żyć w ciągłym stresie i ciężko pracować fizycznie. Choć miał po swojej stronie wsparcie Konstruktu — był praktycznie jego częścią — istniały też granice jego możliwości.

Większość obecnego Imperium Graala stanowiły pustkowia. Nie zawsze tak było. Ale upadek Starego Imperium i kilka ataków zarazy zmniejszyły populację o dwie trzecie. Aelen Kofer przechodzili więc niezauważeni, trzymając się ostępów.

Były pewne incydenty. Nawet bezludne obszary odwiedzali myśliwi, drwale i po prostu dzicy ludzie, którzy najzwyczajniej nie wytrzymywali

naporu cywilizacji. Z tej grupy ci bardziej pewni siebie mówili, że widzieli krasnoludy.

Wieści te nie wywoływały najmniejszego poruszenia. Tubyłcy wiedzieli, że w lesie mieszkają różne dziwne stworzenia. Żaden z miejscowych książąt czy hrabiów nie zwoływał wojska.

Forteca nie miała nazwy. Najbliższa wioska znajdowała się o dwanaście kilometrów stąd. Nikt tutaj nie mówił o zamku. Wieśniacy zdawali się być nieświadomi jego istnienia. Niewielu z nich zapuściło się kiedykolwiek w las głębiej niż na kilometr. A jednak do fortecy wiódł widmowy szlak, wspomnienie traktu, który mógł mieć jakieś znaczenie w obecnie zapomnianych czasach.

Cloven Februaren z pomocą Konstruktu przeniósł się w pobliże bramy, choć wyglądała jak niewinna granica posesji wytyczona ogrodzeniem, w którym widniała dziura. Po stronie owego zamarzniętego wspomnienia po drodze szalał ostry wicher, a rozdmuchiwany śnieg zasypywał podróżnika deszczem zamarzniętych igieł. Za ogrodzeniem zima atakowała nieco mniej zajadle. Było tu mnóstwo lodowych łąch i zasp śnieżnych. Na łysych gałęziach drzew migotała lodowa pokrywa. Gdzieś tam widniały sopte lodu niczym rzędy szczyrzących się kłów.

Na gałęziach siedziały wrony.

Dziewiąty Nieznany przypatrywał się temu, ledwo zauważając i słysząc hałas, jaki robiła zbliżająca się kompania Aelen Kofer. Starał się zgadnąć, ile jest tu wron. Ile setek wron. A może kruków. Nie żeby zbytnio ciekawiła go ta zoologiczna kwestia. Już raczej — dlaczego są cicho i siedzą w bezruchu.

Wrony nigdy nie siedzą cicho, a i bardzo rzadko w jednej pozycji przez dłuższą chwilę.

Czary.

— Oczywiście, że to czary, ośle jeden — mruknął sam do siebie. — Pytanie tylko, jakiego rodzaju czary. I po co?

— Po Dwakroć Wielki?

Februaren podskoczył. Heris pojawiła się u jego boku zupełnie niespodziewanie.

— Tylko tak sobie myślę na głos, moje dziecko. Masz ochotę zgadnąć? Dlaczego te cholerne wrony tak siedzą? I dlaczego trzymają dzioby na

kłódkę? To nie wróble, ale i tak nawet przez sen powinny pokrakiwać.

— Ktoś z czarował je, żebyś wychodził z siebie i zastanawiał się, czemu są takie ciche. — Po chwili dodała swoim najbardziej upiornym głosem: — A może to nie są wrony? Może to demony, które ktoś z czarował, żeby wyglądały jak one?

— Muno wciąż się śmieje, że zrzucił mi ciebie na kark, prawda?

— Zostałam odkomenderowana. Ale założę się, że siedzi teraz przy swoim przytulnym kominku, może ze ślicznym chłopcem na kolanach, pije kawę i się śmieje. A to tam, to co takiego? — Heris skierowała się do wejścia.

— Cofnij się! Nie możemy tak po prostu tam sobie wejść! Nie mówiąc już o tym, co to może spowodować.

— Nie wchodzę, Po Dwakroć Wielki, patrzę, co to takiego.

Wskazała na kawałek wypłowiałej deski oplątanej pozostałościami letnich kłaczy.

— Wygląda jak nie z tej bajki — przyznał Februaren. Niechętnie, bo powinien sam ją zauważyć. Dawno temu. Może nawet za pierwszym razem, kiedy się tu pojawił.

Heris wyzwoliła tablicę ze splotów, tak że pękła w poprzek. Starzec wziął ją do ręki, znów nie zauważając najistotniejszego. Odwrócił tablicę wilgotną stroną do góry.

— Coś tu jest napisane. To musiał być jakiś znak. Trudno odczytać. Ach, po firlandzku, mniej więcej „Uwaga na wilki” i coś jeszcze, czego nie mogę odcyfrować.

— Nieważne! Patrz! — Heris wskazała na coś. Bardzo energicznie.

W miejscu, w którym leżała tablica, widać było czaszkę i długie kości zatopione w zamrożonym błocie, pod zwiędłymi pędami roślin.

— Cóż. Jest się nad czym zastanawiać — stwierdził starzec.

Znów zerknął na wrony. Wydawało mu się, że są rozbawione. Natrafił na ich starego znajomego.

— Myślisz, że mają nadzieję, że dołączymy do niego? — Heris wzdrygnęła się. Chłód nie miał z tym nic wspólnego.

Zza pleców dobiegły ich odgłosy ciężkich kroków. Starzec rozpoznał ten chód. Khorben Jarneyn. Zmęczony i głodny.

— Czy to tutaj?

— Tutaj — potwierdził Februaren. — Jestem więcej niż pewien. Ale nigdy nie ośmieliłem się pójść sprawdzić.

Żelaznooki wcisnął się między kobietę i mężczyznę. Pozostałe krasnoludy z chrzęstem i grzechotem zatrzymały się za nimi.

— Jak to?

— To może być niebezpieczne. Po co ryzykować zawczasu?

— Żeby się zabawić na przykład? Może być niebezpiecznie? — Żelaznooki podszedł do dziury w drucianym ogrodzeniu. Wśród wron zapanowało poruszenie, które ucichło, kiedy zatrzymał się o krok przed wejściem. Przez dwie minuty w całkowitej ciszy patrzył na wprost na coś, co wyglądało jak budowla skryta w gęstwinie bezlistnych drzew. Wtedy wrócił. — Mnóstwo tam magii. Rozbijemy obóz. Wypoczniemy. Zjemy coś i odzyskamy siły. Zobaczymy, czy możesz nam przynieść kilka kóz. Kiedy wróci nam wrodzona zawziętość i zacierzewienie, pójdziemy złapać tego Bastarda. Powyrywam mu wszystko, co będzie miał do wyrwania, aż się zgodzi nam pomóc!

Februaren zastanawiał się, czy nie wspomnieć o marnowaniu czasu. W każdej chwili Wędrowiec Wiatru mógł...

Żelaznooki przypomniał mu, że Kharoulke leżał plackiem na kamienistym wybrzeżu andorayańskim, kurczowo trzymając się życia. Gdyby Kharoulke odzyskał siły, by czegoś próbować, wysłałby swoich Wybranych na długo przed tym, zanimby nabrał mocy, by samemu coś zrobić. Aelen Kofer bardzo by to odpowiadało. Wręcz palili się do walki.

Gdyby Dziewiąty Nieznany zaczął kwestionować ich taktykę, spięcie byłoby im bardzo na rękę.

— No to czujcie się jak u siebie w domu. Odpocznijcie sobie. Heris i ja nie mamy na to czasu. Chodź, Heris — powiedział Februaren.

Dotknął jej, żeby zostali razem, kiedy Konstruktor będzie ich przemieszczać.

Zmaterializowali się wewnątrz nieco obskurnego pomieszczenia w bocznym skrzydle domu miejskiego prowincjała Delariego w Brothe.

— Jeśli mamy tracić czas na odpoczynek, równie dobrze możemy go marnować w komfortowych warunkach — powiedział Februaren.

Heris mruknęła coś i pokiwała głową, po czym powiedziała:

— Pasuje mi to. Choć nie spodziewam się, że będę się długo wałkonić. Trzeba nakarmić te krasnoludy. Ale najpierw wezmę gorącą kąpiel i

wchłonę kilka przyzwoitych posiłków. Jeść. Wspaniałe jedzonko. Gdyby jeszcze tylko Piper nie nagabywał mnie przez kilka dni, byłabym w niebie.

I tak, z naturalnych względów, cenny czas na nieróbstwo marnował się na rozmowach o tym, co się dzieje w Alten Weinbergu.

Khor-Ben Jarneyn potrzebował trzech dni na uzbrojenie się do kolejnego etapu. W tym czasie temperatura wzrosła na tyle, że lód i śnieg zaczęły się topić.

— W powietrzu czuć już wiosnę — oznajmił Februaren.

Nikt nie złapał dowcipu. Spochmurniał, pomrukując coś o wrodzonej odporności Aelen Kofer na żarty.

Trzeciego poranka Żelaznooki oznajmił:

— Określiliśmy granice tego miejsca oraz trzy ogólne klasy chroniących je czarów. Ponieważ nie można żadnego z was dwojga zaliczyć do grupy bohaterów, którzy najpierw nacierają, a potem sprawdzają, co się dzieje, będziemy eksperymentować, zanim wykonamy słynny z kart historii Koferów atak pełzający.

— Atak pełzający? — Februarenowi wydawało się, że się przesłyszał.

Żelaznooki zignorował go. Zaczął wykrzykiwać rozkazy w krasnoludzkim. Nagle pojawiły się dwa tuziny kuszy, typowo krasnoludzkich, których bełty przebijają granit. Tak przynajmniej utrzymywali Aelen Kofer. Broń jęknęła w żalonym chórze tnących powietrze cięciw, stukotu wypuszczania bełtów oraz warczących pocisków pędzących do celu.

Wrony zaczęły krakać z oburzeniem. Dwudziestka eksplodowała w chmurach krwi i pierza. Klnąc w żywy kamień, poderwały się, a ich wrzask i walenie skrzydłami zagłuszały arię kuszy Aelen Kofer. Krasnoludy zadziwiły Dziewiątego Nieznanego umiejętnością zestrzeliwania ptaków w locie. W eksperymencie Jarneyna padło w sumie jakieś pięćdziesiąt ptaków.

— Nie wywabiliśmy tym nikogo na zewnątrz — stwierdził krasnolud. — Może Bastard nie przejmuje się losem swych obserwatorów.

— Może pogodzić się ze stratą kilku więcej niż Ordnan, skoro zaczynał z tysiącem.

Wszechojciec Dawnych Bogów, Szarostopy, miał jedynie dwa kruki, które go o wszystkim informowały: Myśl i Pamięć.

— Możesz mieć rację, czarowniku. — Żelaznooki parsknął śmiechem.

— A niby dlaczego cię to bawi?

— Ta magia jest mi dobrze znana. To magia Dawnych Bogów, dość prymitywnie odczyniona. Ta, nad którą Aelen Kofer pracowali od tysięcy lat. Bastard najwyraźniej jest samoukiem i nie musiał posługiwać się nią wśród ludzi, którzy wiedzą, co robią.

— Znaczy?

— Znaczy, że nigdy nie miał do czynienia z kimś, kto wie, co robi. Czy mówię aż tak pokrętnie?

Aelen Kofer zaczęli gadać wszyscy naraz w swoim języku.

— Przypomina mi to bardziej stado wron niż prawdziwe stado wron — rzuciła Heris.

Aelen Kofer, a szczególnie Żelaznooki, byli nadzwyczaj konserwatywni w kwestii swej godności. Jarneyn usłyszał słowa Heris. Zadudnił coś. Gwar rozmów ucichł. Jarneyn warknął coś jeszcze, co musiało znaczyć, że czas ruszać do pracy.

Plan był, pomimo całego tego harmidru. Krasnoludy ruszyły ochoczo do jego realizacji.

Zignorowali wejście. Grupami przedarli się przez ogrodzenie po obu stronach, o trzydzieści metrów od siebie, chronieni silnymi zaklęciami. Po dziesięciu krasnoludów ruszyło równolegle po obu stronach dawnej drogi. Cztery krasnoludy z każdej grupy przeszły wzdłuż ogrodzenia w stronę wejścia. Pozostałe czwórki — w przeciwnym kierunku.

Pozostałych piętnastu Aelen Kofer włącznie z Żelaznookim czekało wraz z Heris i Februaremem.

— Wy lepiej trzymajcie głowy opuszczone — polecił Jarneyn. — Udawajcie, że was tu nie ma. Jak będzie potrzeba, będziecie naszą paskudną niespodzianką.

— To rozsądne.

— Jasne. Niech sobie myśli, że to przeszłość go dogania, gdy w rzeczywistości dostaje po łbie od przyszłości — rzuciła Heris.

Żelaznooki się skrzywił. Nie rozumiał, co powiedziała.

Wrony były coraz bardziej zaniepokojone. Próbowaly stadnie rzucać się na krasnoludy. Aelen Kofer to w ogóle nie przeszkadzało. Ptaki nie mogły zrobić im krzywdy. Hełmy, brody i zbroje chroniły ich doskonale. I tak byli pokryci krwawą mazią i piórami w miejscach, od których odpadły ptaki.

Grupy czteroosobowe dotarły do wejścia. Powiedzieli coś do Żelaznookiego. Jeden z krasnoludów był na tyle uprzejmy, że wybrał język,

który znał Cloven Februaren. Przedstawił w nim techniczny raport dotyczący konstrukcji magii chroniącej lesistą wyspę.

Zdaniem Aelen Kofer była to prymitywna wiejska szopa z kamieni w porównaniu z bezbłędnie wymierzoną formułą Aelen Kofer.

Rzemieślnicy ruszyli do pracy przy wejściu.

Chwilę później Żelaznooki powiedział:

— Teraz droga wolna. — Przecisnął się przez wejście. — Z całą pewnością robótka wykonana metodą prób i błędów, ale i tak cholernie mocna.

— Fajnie musi być tak mieć mamę bóstwo — stwierdziła Heris. — Całą tę buzującą moc. Pewnie był z niego niezły czort, kiedy był mały.

Żelaznooki dał nużący wykład o tym, jak to półbogowie zyskują moc dopiero w wieku dojrzewania.

— Kolejna korzyść... żyje w zdrowiu od jakichś sześciu stuleci — przerwał mu Cloven Februaren.

Heris posłała mu znaczące spojrzenie.

Żelaznooki zirytowany, że ktoś mu przerywa, nie spieszył się wcale ze swoją pracą. Ale w końcu pośpiech bywa zabójczy w starciu z magią ochronną.

— Ach. Są i wilki. Z całą pewnością przerwaliśmy im drzemkę.

Był to gatunek wilków nieznanymi Februarenowi. Te coraz radsze w Firaldii były szare i miały wielkość mastifa. A okazy tutaj były ciemnopłowe, niemal czarne na grzbiecie i większe. Niektóre mogły dochodzić do dziewięćdziesięciu kilogramów wagi. Było ich całe mnóstwo, straszliwie rozjuszonych.

Aelen Kofer też nie mieli nic przeciwko wilkom. Czwórki przykucnęły, zasłaniając się tarczami, i siekły wszystko, co było w ich zasięgu. Kiedy jeden z kwadratów rozpadł się pod naporem watahy, krasnoludy po prostu zaczęły się zwijać w kule, pozwalając, by zbroje ich ochroniły, a na napastników posypał się grad bełtów.

— Dlaczego Bastardowi wydawało się, że wilki poradzą sobie z ludźmi w zbrojach? — zapytał Februaren.

— Może nie odwiedza go wielu uzbrojonych gości — warknęła Heris.

— Nie odwiedzają go ci w zbrojach Aelen Kofer — sprostował Żelaznooki. — Te bestie rozszarpałyby zwykłą kolczugę jak zbutwiałą szmatę. Stańcie tu, w środku. Nie nosicie zbroi Aelen Kofer.

Zbrojni Żelaznookiego utworzyli koncentryczne koła ustawione wokół Heris i Februarena.

Nadeszły wilki. Wszystkie naraz. Próbowaly przeskakiwać przez zewnętrzne koło. Wiele ucierpiało od ciosów włóczni, miecza czy topora, zadawanych od dołu. Ale były bardzo skoczne. Kilka wpadło na krasnoludów w wewnętrznym kręgu w locie i roztrącały Aelen Kofer niczym pionki.

Februaren chwycił Heris za rękę i odwrócili się bokiem. Stanęli za linią drzew za ogrodzeniem i obserwowali.

Krasnoludy z zewnętrznego kręgu nie rozerwały szyku. Nie odwrócili się, by pomóc tym za sobą. Pozwolili, by Żelaznooki wraz z towarzyszami poradzili sobie z rannymi wilkami.

Dwie grupy ustawione równolegle do drogi zatrzymały się, by dać wsparcie ogniowe.

Wilki bardzo szybko zrozumiały swój błąd. Największy i najciemniejszy zawył. Te, które przeżyły, puściły się pędem, zbyt szybko, by można je było wziąć na cel. Uciekały z podwiniętymi ogonami, lecz nie tak daleko, by ukryć swą porażkę.

Heris i Februaren dołączyli ponownie do Żelaznookiego.

— To cholernie użyteczna sztuczka, staruszk. Jesteś pewien, że nie możesz mnie jej nauczyć? — zapytał krasnolud.

— Nie, jeśli nadal chcesz być Aelen Kofer. — Nie wspomniał, że zauważył, iż Aelen Kofer mają więcej ścieżek wiodących do swego świata, niż się chcieli do tego przyznać. Bo jak inaczej można wytłumaczyć, że ich grupa była teraz o wiele liczniejsza niż wtedy, kiedy opuścili Dziedzinę Bogów? Powiększała się wyłącznie wtedy, gdy nie było wokół żadnego człowieka, który mógłby zobaczyć, jak to się dzieje.

Februaren miał przeczucie, że cała wyprawa przebiegłaby szybciej i bardziej komfortowo, gdyby tylko Aelen Kofer zrozumieli geografie śródziemia. Mogliby pokonać trasę lądową w swoim świecie, w o wiele bardziej przyjaznym klimacie. Ale nie poruszył tego tematu. Żelaznooki wyparłby się wszystkiego.

Sojusznicy nie muszą się dzielić wszystkimi swoimi tajemnicami.

— Za późno już dla mnie, by się teraz zmieniać — rzucił Żelaznooki. — To jest twój świat. Widziałeś kiedy tyle wilków w jednym miejscu?

— Nie. Wataha sześćdziesięciu, siedemdziesięciu już byłaby nieproporcjonalnie wielka.

— Z całą pewnością nie jest to naturalna sprawa.

Wokół leżało siedemnaście martwych wilków. Ranne zwierzęta zniknęły w lesie. Pozostałe stanęły poza zasięgiem kusz, ale były czujne, z dużą dozą respektu.

— To też nie jest zgodne z naturą — dodała Heris. — I nie interesują się nami dlatego, że są głodne.

Wilki wręcz tryskały zdrowiem. Były dobrze odkarmione i czyste.

— Co teraz? — zapytał Februaren.

— Wykopiemy facetowi drzwi i krzykniemy: A kuku! — odparł Żelaznooki.

— Czyli będzie zabawnie. Heris i ja będziemy tuż za wami.

Żelaznooki nagrodził staruszkę kwaśnym, niemal podejrzliwym spojrzeniem. Wydał jednak rozkaz swoim ludziom. Wrony zakrakały buntowniczo, ale trzymały się na dystans. Każdy ptak zbliżający się niebezpiecznie do Aelen Kofer musiał się liczyć z gwałtowną śmiercią.

Podobnie było z wilkami. Czekwały na okazję.

Bełt z kuszy Aelen Kofer śmigał tak szybko, że ofiara widziała tylko błysk, zanim ją dosięgnął.

Posępne, szare zamczysko stało w samym sercu lasu. Wyglądało na opustoszałe. Most zwodzony był opuszczony od tak dawna, że chwasty porosły jego krawędzie. Fosa wyglądała bardzo okazale, choć woda ledwo się poruszała. Nie była zamrznięta i miała nie więcej niż pół metra głębokości, ale była gęsta. Na dnie zalegał paskudny, rzadki muł.

Na moście leżały zwiędłe liście, kilka uschniętych roślin, które wyrosły spomiędzy desek, utworzyło się też kilka niebezpiecznych lodowych kałuż. Wokół niego na dziesięć metrów rozpościerał się teren usiany ludzkimi kośćmi.

— Te kości. Pamiętam — mruknął Żelaznooki. — Miałeś zamiar mi o tym powiedzieć zanim... Co?

Wrony zaczęły drzeć się jak opętane.

Na moście pojawiło się dwóch starszych mężczyzn. Jeden trzymał zardzewiały hak, a drugi włócznię, która lata swojej świetności miała kilka stuleci temu. Nie brakowało im pewności siebie. Przygotowywali się do obrony mostu.

Żelaznooki mruknął coś na temat miłosierdzia wobec szaleńców. Ale nie dał się też ponieść uczuciom.

— Przesuńcie ich, nie raniąc. Jeśli nie dadzą się przesunąć, nakarmcie nimi wilki i wrony.

Wrony już kołowały podekscytowane w powietrzu.

Żelaznooki przemówił w swoim języku. Starcy usłyszeli. Wydawali się zdziwieni. Stwierdzili, że jednak nie mają przewagi w ludziach i sprzęcie. Wrócili do środka ścigani wronim szyderstwem.

Wejście spowijał mrok niczym jakąś przepastną jaskinię.

— Miałeś zamiar mnie powstrzymać przed wejściem prosto do środka, prawda? — indagował Żelaznooki.

— Boja wiem. Może i tak. Z drugiej strony obserwacja wytrzymałości zbroi Aelen Kofer w zetknięciu z pociskami hakownic mogłaby być niezwykle pouczająca.

Staruszek zgadywał, opierając się na spekulacjach Pipera. Nawarstwienie różnorodnych pogłosek w połączeniu z ludzką wyobraźnią mogło coś skrywać, ale podejrzenie, iż znajduje się tu broń palna, wydawało się całkiem uzasadnione. Wyjaśnił to Żelaznookiemu już na początku tworzenia ekspedycji.

— Widzisz tu jakieś niezwykle kości?

— Widzę całe mnóstwo potrzaskanych w nietypowy sposób. Masz na myśli kości tej pasiastej maskary? Takiej, jakie próbowały najechać na Dziedzinę Bogów?

— Tak.

— Jak mięcho odchodzi, to wyglądają bardzo podobnie.

— Mają dodatkowe palce u rąk i nóg.

— A, taka sprawa. Ale drobne kości są porozrzucane pewnie na wiele kilometrów. Czasami są czarne. Nie pytaj dlaczego. Dowiedzieliśmy się tego, kiedy uprzątaliśmy te maskary, którymi zajęliśmy się wcześniej. Jak mamy to zrobić? A nie możesz po prostu przenieść się do środka?

— Nie. Nie wiem, w co bym wskoczył. Mogą tam być bardzo nieprzyjemne zakłęcia. Ale mógłbym wskoczyć na mury... Dziewczyno!

Heris odwróciła się, stanęła wśród spanikowanych wron, popatrzyła w dół i znów się odwróciła, by dołączyć do Februarena i Jarneyna.

— Niejedna hakownicą, Po Dwakroć Wielki. Dwie. Jedna jest z tych, które Piper nazywa ogarami. Z tych wielkich, których się pozbył, bo nie

sprawdziły się w Clearenzie. Starcy stoją obok nich z pochodniami. Nie widziałam nikogo innego. Gdyby nie oni, można by powiedzieć, że to miejsce jest opuszczone.

— Usun swoich ludzi z pola rażenia — zwrócił się Febrauren do Żelaznookiego, wskazując na łuk, wąski koniec bramy, który jego zdaniem powinno się opróżnić. — I powiedz im, że będzie dużo huk. Te maszynki strasznie głośno gadają.

— Jaki jest plan? — zapytała Heris.

— Niech sobie tamci myślą, że atakujemy całą hurmą. Wtedy otworzą ogień. I dopiero wówczas zaatakujemy.

Februaren i Żelaznooki ustalili szczegóły. Wrony i wilki obserwowały wszystko bacznie z bezpiecznej odległości. Wrony kibicowały. Od czasu do czasu podkradał się jakiś wilk, łapał padłego kamrata i odciągał go, dopóki jeden z Aelen Kofer nie postanowił się temu sprzeciwić. Żelaznooki powiedział do Februarena:

— To sprytne. Doskonała sztuczka.

Nikt jednak nie dał się nabrać.

Żelaznooki już miał kolejny plan w drodze. Niektórzy z jego ludzi przynieśli sztachety z ogrodzenia. Wilki krążyły wokół nich, ale nie ryzykowały.

Heris chciała rozejrzeć się po okolicy. Wyłoniła się na górze, po czym zeszła na dół.

— Wilki na coś czekają.

Bestie zbierały się w miejscu, w którym nie można było ich zobaczyć. Łaziły tam i z powrotem. Przynajmniej jeszcze dwa tuziny pojawiły się nie wiadomo skąd.

— Prawdopodobnie spodziewają się, że pojawi się Bastard.

Aelen Kofer pracowali w grupach i wykorzystując ogrodzenie, zakrywali fosę po prawej stronie mostu. Zaczęli konstruować drabinę.

— Czekajcie — rzuciła Heris.

Wzięła zwój liny od jednego z krasnoludów, odwróciła się bokiem, a następnie zrzuciła jej koniec ze szczytu murów. Kilku krasnoludów zebrało się wokół niego. Wspinali się zwinnie jak małpy, mimo że taszczyli ze sobą cały majdan.

Owa szóstka przygotowała kusze i wyszła naprzód, biorąc na cel dwóch starców. Następnie dali nura tak gwałtownie, że strącili Heris z murów. Nie

trafiła w prowizoryczny most, co oznaczało bezpośrednie spotkanie z lodowatą, paskudną, płytką wodą. Podniosła się, klnąc siarczyście, odwróciła się bokiem i przeniosła na górę w samą porę, by obserwować, jak opar spalonego prochu rozpływa się na dziedzińcu. Ociekająca wodą i drżąca cała na wietrze zapytała głośno:

— Wszyscy cali?

Krasnoludy nie mogły jej usłyszeć. Dudnienie ogara odebrało im słuch na chwilę. Heris sama miała problemy z usłyszeniem siebie, ale z powodu wody w uszach. Kiedy ogar zaryczał, ona spadała do fosy. Mury ochroniły ją przed hałasem.

Jakiś krasnolud odciągnął ją, kiedy warknęła mniejsza hakownicą. Kątem oka dostrzegła, jak dwóch starców przeładowuje ogara i stara się go wycelować w bramę.

Sześciu krasnoludów uniosło broń i wypuściło bełty. Wokół nich przelatywały krakające wrony. W dole było cicho.

Heris odwróciła się bokiem i zmaterializowała o półtora metra za ogarem. Lewa ręka jednego ze starców tkwiła przyszpilona krasnoludzkim bełtem do drewnianej podstawy hakownicy. Heris walnęła drugiego pięścią.

— Auć! Cholera! Dlaczego ja niczego sobie nie wzięłam? — Chwyła za obie pochodnie, odwróciła się bokiem i zrzuciła je do fosy ze szczytu murów.

— Teraz kolej na ciebie, Po Dwakroć Wielki! — Odtrąciła pikującą wronę. I patrzyła na tyle długo, żeby się upewnić, iż Dziewiąty Nieznany zrozumiał.

Znów się odwróciła.

Jeden ze starców, na chwiejnych nogach, próbował przeciąć bełt przyszpilający dłoń drugiego do framugi. Heris zrozumiała, dlaczego Piper sam pozbył się broni wielkokalibrowej. Niełatwo było przestawić maszynę. A odrzut sprawił, że rusztowanie, na którym była zawieszona, zaczęło pękać już po pierwszym wystrzale.

Chmara krasnoludów wdarła się na dziedziniec. Nad głowami wściekłe wrony dały upust swojemu niezadowoleniu, defekując w locie.

Clovena Februarena i Korbana Żelaznookiego nie było wśród przybyłych.

— Co teraz?

Heris postanowiła sprawdzić. I dotarła do mostu zwodzonego w samą porę, by zobaczyć, jak Żelaznooki i Dziewiąty Nieznany są atakowani

przez ogromną watahę. Wilki wydawały się zdesperowane, choć bez wielkiego entuzjazmu. Tym razem natrafiły na Aelen Kofer oraz ludzkiego czarownika, zanim krasnoludzka stal zdołała je rozerwać. Tym razem te, co przeżyły, uciekały z podwiniętymi ogonami, trzymając się nisko na łapach.

Februaren i krasnoludy zebrali wilcze truchła i skierowali się do zamku. Wrony za nimi. Kilka padło, jako że krasnoludy całkowicie straciły poczucie humoru.

Heris chciała zapytać, skąd to całe poruszenie. Uzyskała odpowiedź, kiedy tylko popatrzyła na martwe wilki.

Niektóre z zabitych podczas pierwszego ataku zaczęły zmieniać kształt. Największe wilki, te z najgęstszą, najciemniejszą sierścią. Przywódcy olbrzymiego stada.

— Nie mam pojęcia — odparł Februaren, odpowiadając na pytanie, którego Heris jeszcze nie zadała. — Zmienieni przez Noc. Może przez tego, który tu mieszka i wykorzystuje tych, co mieli nieszczęście zawitać w te strony. Stworzył sobie groźną watahę obrońców, którzy nie ośmielają się uciec. Ponieważ wszędzie napotkałaby ich okrutna śmierć przy pierwszych oznakach przemiany. Niech je szlag!

Utalentowany wroni snajper trafił go w środek czoła swym paskudnym pociskiem.

Starzec zanurzył dłoń w jednej z sakw, które miał przytroczone do pasa, mrużąc coś w starożytnym brotheńskim. Znalazł coś, rzucił tym w górę i krzyknął. Heris pomyślała, że to ziarna pieprzu.

Każde z ziarenek poszybowało w stronę jednej wrony. W powietrzu rozległy się głuchoe stuknięcia, kiedy ziarenka z wielką prędkością zaczęły uderzać w pióra wron. Setka ptaków zamarła w powietrzu, spadła na ziemię i legła w drgawkach. Reszta uciekła, robiąc jeszcze więcej hałasu niż dotychczas.

— Nieprzyjemny facet z tego Bastarda.

— Krew dochodzi do głosu, moje dziecko. A w środku?

— Przejęto hakownicy. I dwóch starców. Nie rozumiem, co się dzieje. Krasnoludy stały i czekały na rozkazy, kiedy wychodziłam.

Aelen Kofer znikły w fortecy, zostawiając Heris na zewnątrz. Nie znaleźli niczego godnego uwagi. Starcy byli jedynymi mieszkańcami budowli. Choć na drugim jej poziomie znajdował się apartament noszący ślady regularnego użytkowania.

Wyglądało na to, że jest od jakiegoś czasu nieobecny.

W zamku mieściły się głównie pomieszczenia magazynowe wypełnione zapasami dla ludzi, krasnoludów i wilków.

Wycie dobiegające z otaczającego zamek lasu świadczyło aż nadto dobitnie, co bestie sądzą o zmianie obsady twierdzy. Wrony wciąż krążyły w pobliżu, lecz wpadły w nastrój kontemplacyjny.

Aelen Kofer pozwoliły sobie na wielką ucztę na koszt Bastarda. Jedli na całego, pili na umór i bez opamiętania dokładali do ognia. Februaren na chwilę dołączył do nich wraz z Heris, choć poświęciła sporo czasu na komunikację z Piperem Hechtem, gdy tymczasem Februaren starał się przełamać urok wiążący umysły dwóch starców. Bez powodzenia.

Przypominali manekiny ukształtowane przez człowieka, którego tu nie było. Nie odzywali się. Pozostawieni samym sobie wrócili do prac gospodarczych w zamku. Ignorowali intruzów, którzy teraz znajdowali się w jego wnętrzu.

— Zostawcie ich w spokoju — polecił krasnoludom Februaren. — Pozwólcie pracować. Ale trzymajcie ich z dala od wszelkiej broni.

Było późno.

— Potrzebuję pomocy — powiedziała Heris. — Widzę coś, czego tu nie ma. Nasz cel się nie pojawił. Co mamy robić dalej, Po Dwakroć Wielki?

— Czekamy. W końcu Bastard wróci do domu. A to, co widzisz, jest tutaj naprawdę. Noc jest mocna i hula tu na całego. O wiele bardziej niż w jakimkolwiek miejscu, w którym dotychczas byłaś.

— Poprawiłeś mi humor. Dzięki temu będę mogła przysnąć. Mamy czekać?

— Tak.

— Czy nie zauważy, że coś jest nie tak, kiedy tylko się zbliży do tego miejsca?

— Może zauważy. Wątpię jednak. Nie będzie się rozglądał. Nigdy nie miał aż takich kłopotów.

Aelen Kofer nie znaleźli stajni w środku twierdzy ani w jej okolicach. Nie było też śladu po koniach, które by się tu pojawiły we współczesnych czasach. Bastard przychodził i wychodził przy użyciu niezwykłych środków transportu.

To było niepokojące.

A może po prostu poruszał się na piechotę.

Po raz ostatni wilki spróbowaly zaatakowac o północy. Tuzin z nich przybrało ludzki kształt. Przybyły w towarzystwie całych rojów pomniejszych Delegatur Nocy, ale poza tym bez broni.

Choć Aelen Kofer dostali ostrzeżenie, żeby zachować czujność, większość z nich pozbyła się ciężaru swych pancerzy. Kilku zapłaciło za to krwią.

Dziewiąty Nieznany zastawił pułapki za pomocą ogara i mniejszej hakownicy. Przydały się.

Niemniej jednak walka była krwawa.

O wschodzie słońca Februaren liczył ciała i stwierdził, że wilkołaki zostały wyrżnięte w pień. Wyraźnie nie były zainteresowane przetrwaniem. Pozbawione przywództwa zwykłe wilki powinny ruszyć teraz w swoją stronę.

Tyle że te wilki były związane z zamkiem od wielu pokoleń. Pomimo niedawnych wydarzeń zjawily się przy tylnej bramie i czekały, aż dwóch starców je nakarmi.

Februaren pozwoлил na to.

Wrony obserwowały. Przeważnie spokojnie. Były wszędzie. Aelen Kofer starali się uczynić ich żywot jeszcze bardziej żalonym. Ptaki bynajmniej nie odwzajemniały się im przesadną serdecznością.

Dziewiąty Nieznany, Żelaznooki oraz kilka innych ważnych person wśród Aelen Kofer pili, pławiąc się w ciepłej głównej komnacie niewielkiego zamku. Wdali się w ożywioną dyskusję, podlewaną piwem. Wiosna była wyraźnym zagrożeniem. Jej macki mogły sięgnąć do Andorayu w miesiąc. Wielu Aelen Kofer miało już serdecznie dość tego czekania. Przekonywali się wzajem, że Bastard nigdy się nie pojawi, kiedy będą przebywać w jego domu. Jeśli w ogóle istniał.

Niektórzy uważali, że jest wytworem wyobraźni ludzkiego czarownika. Ludzki czarownik odwzajemnił się spostrzeżeniem, iż Aelen Kofer zdają się jednak istnieć naprawdę, choć przez wielu są również za takowy wytwór uważani.

Heris wróciła do Brothe, by dojść do siebie w miejskim domu dziadka. Miała przykazane przez Dziewiątego Nieznanego, by odwiedzić rodzinę Pipera i dodać otuchy, ukoić ból... Co by zrobiła i tak, bez zachęty. Anna Mozilla była jej przyjaciółką.

Februaren nie potrafił zebrać myśli. Wymagało to sporej ilości piwa. Zrobił swoje. Dwaj starcy, których Aelen Kofer stopniowo odzierali z uroków z delikatnością rzemieślników zdzierających futro ze śpiącego lamparta, byli mistrzami browarnicznymi. Nazywali się Harbin i Ernst. Nie potrafili przypomnieć sobie, kiedy egzystowali gdziekolwiek poza zamkiem. Wydawało im się, że wtedy Cesarzem mógł być jeden z Fryderyków, a może Niemiec Gruby. Patriarchą był Celestyn Electon. Nikogo takiego Februaren nie znał.

— Przy tych dwóch to masz jeszcze mleko pod nosem — zauważył Żelaznooki.

— A poza tym warzą dobre piwo.

To prawda. I warzyli je dla wilkołaków od wieków. Z łatwością przystosowali produkcję do potrzeb hordy krasnoludów — przy wsparciu piwowarskiej magii Aelen Kofer.

Żelaznooki oznajmił swoim malkontentom, że zostaną tu tak długo, jak to będzie konieczne, by schwytać Bastarda. Albo też do czasu, aż skończą się półprodukty do wytwarzania piwa.

Psiochenie nie ustawało. Jedną z wielkich radości krasnoludzkiego żywota było kreatywne narzekanie. Teraz nieco przycichło. Aelen Kofer mieli na co czekać, przynajmniej na razie.

Jarneyn snuł się dzień i noc po zamku, mrużąc coś do siebie jak symboliczny duch w jasełkach. Nieme sumienie słuchało jedynie wszechobecnych, lecz teraz uparcie milczących wron. Pozostali Aelen Kofer dogadzali sobie, wiedząc, że prędzej czy później okoliczności zawiodą ich do ich świata bądź do Dziedziny Bogów.

— Właśnie tutaj, w tym miejscu, czarowniku, widzisz, dlaczego Aelen Kofer nie panują w Dziewięciu Światach — burknął Żelaznooki. — Kiedy tracimy główny cel z oka, momentalnie wkradają się animozje. Cierpimy na kulturową nieobecność ambicji. Możemy sklecić most z tęczy, jeśli ktoś takowy zamówi, ale nie ruszymy nawet palcem, żeby sobie poprawić życie. Potrafimy stworzyć Wielką Fortecę Niebiańską, przywiązując niezwykłą wagę do szczegółów, ale nie chce nam się zbudować sobie przyzwoitych domów.

— Jesteśmy coś dzisiaj przybici? — zapytał Februaren.

Jarneyn usiadł na wprost niego.

— Z rozpaczą uczestniczę w tej całonocnej sesji radości. Myślę sobie, że mój lud jest podobny do tych naszych nowych przyjaciół, Harbina i Ernsta. Jesteśmy jak roboty. Całkowicie ograniczone do...

Żelazne oczy zamknęły się. Korban zachrapał.

Przygody Dziewiątego Nieznanego ukazały prawdę, o której nie wspominały ani mity, ani podania. Krasnoludy chrapały. Zawsze. Niezależnie od okoliczności. Niemiłosiernie.

Februaren pomyślał, że krasnolud wykazał się inicjatywą i polotem. Poszedł wolnym krokiem do komnaty, którą zajął, i padł na puchowe łożo, które jak podejrzewał, należało do samego Bastarda. Odpląnął, zastanawiając się, czy kiedykolwiek dopadną poszukiwanego. Albo też, czy jest sens kontynuować poszukiwania, skoro Kharoulke wciąż leży na andorayańskiej plaży i nic nie wskazuje na to, że mu się polepsza.

— Podnieś swój zdechły tyłek z wyrka, Po Dwakroć Wielki. Coś się zaraz wydarzy.

Heris powróciła właśnie, wyposażona w zwykłe wiadomości oraz delikatesowe przysmaki. Wrony już jakiś czas temu znów zaczęły wariować. Teraz dołączyły do nich wilki.

Zamek wypełniła nadciągająca atmosfera zagrożenia — oraz stukotanie pospiesznie naprawianych mistycznych narzędzi Aelen Kofer.

Hałas i panika nie miały wiele wspólnego z jej przybyciem. Znikała i pojawiała się regularnie, nie wywołując zamieszania.

— Już czas — powiedział Dziewiąty Nieznany. Wylazł z łóżka i zmusił się, by wstać. Przyglądził włosy i odzienie i zauważył: — Nie spieszy się zbytnio, co?

— On to nie my, to oczywiste. — Heris odwróciła się bokiem, odeszła kawałek, by znaleźć się w zacienionym rogu za migocącą kulą, która była źródłem wzbierającej obecności.

Ukształtowała się czyjaś sylwetka, niczym mroczny, płaski duch przybierający ludzką postać, który z wolna nabierał kolorów oraz trójwymiarowości. Migotanie ustało. Przybyły nachylił się, trzymając dłonie na kolanach i dysząc ciężko. Dyszał tak przez długą chwilę, zanim uświadomił sobie, że ma publiczność. Później obydwójce zastanawiali się, czy to, co słyszeli jako stłumione przekleństwa, to nie były przypadkiem wygłoszone krzyki wron i wilków za oknem.

Wciąż dysząc, Bastard wyprostował się z trudem.

— To ty? Ty! Ale... jak...?

— Ach, brat Lester. Witamy. Nastąpiły pewne zmiany. I potrzebna jest twoja pomoc. Pozwól, że wyjaśnię.

W tej samej chwili Heris palnęła Bastarda w tył głowy, bo odczyniał jakieś uroki, gestykulując dłonią za plecami.

Pojawił się Khorben Jarneyn.

— Mamy go — oznajmił Dziewiąty Nieznany.

— To ten gość?

— On sam.

— Wcale nie jest podobny do matki.

— Może jest podobny do ojca.

— Nie spotkałem nigdy Gedanke'a. Nie wiem. Weź go pod ramię i zabierz z powrotem.

— Uch....

— Im dziwniejsze będzie otoczenie, w którym się ocknie, tym baczniej będzie słuchał twoich wyjaśnień. Będzie chciał się wszystkiego dowiedzieć, żeby mógł dojść, co się właściwie dzieje.

Februaren obrzucił jeńca wzrokiem. Miał nadzieję, że Żelaznooki ma rację.

— Heris? Możemy?

Alten Weinberg: Wiosna

Titus Zgoda zastukał we framugę otwartych drzwi.

— Wchodź — powiedział Hecht, odstawiając pamiątkowy kuferek Redfearna Bechtera. — Co jest?

— Algres Strach jest tutaj. Chce się z tobą widzieć. Jest mocno wzburzony.

— Mówił po co?

— Nie wprost. Nie mnie.

— Wprowadź go. I możesz podsłuchiwać do woli.

Hecht spodziewał się, że i tak będzie to robił, z jego zgodą bądź bez niej. Jego ludzie każdego dnia robili się coraz bardziej opiekuńczy. Były takie momenty, że tęsknił za bezproblemowym podejściem Madouca. Był oburzony tą pogłębiającą się izolacją.

Wrócił do oglądania spuścizny Bechtera. Robił to, kiedy miał kiepski nastrój. Zastanawiał się, czy było w niej ukryte jakieś głębsze przesłanie. Czy była to część układanki? Dowód na to, że świat jest w istocie chaotyczny i przypadkowy? Czyjego własne przejście przez życie było częścią boskiego planu, czy wyłącznie strumieniem wydarzeń bez jakiegokolwiek prawdziwego znaczenia?

Mógł znaleźć argumenty na jedną i drugą ewentualność. Czy tkwił w opowieści, która jest z całą pewnością pozbawiona tradycyjnej fabuły, gdzie wszystko łączy się w jedno i zbiega pod koniec? Jego opowieść składała się z mnóstwa splecionych z sobą drobnych wątków.

Titus Zgoda odkaszlnął, przytrzymał drzwi dla Algresy Stracha, a potem zniknął. Strach rozejrzał się wokół.

— Czy w tej świątyni nie ma uzbrojonych strażników? — Strach miał znów na sobie mundur Braunsnechtów, z dodatkową opaską z czarnego jedwabiu wokół nadgarstków.

— Lepiej im tego nie podpowiadaj.

— Łatwiej jest się dostać do Łagodnego niż do ciebie.

— Mnie też to przeszkadza. Ale mam też bolący bark, który przypomina mi, dlaczego tak jest. Staram się znosić nadgorliwość ludzi, którzy chcą mnie zatrzymać wśród żywych.

— Nie żebym krytykował. Ale jeśli pozwolisz im się całkowicie odizolować, wkrótce nie będziesz wiedział, co się dzieje.

Te słowa wtórowały obawom Hechta.

— Przyszedłeś, żeby mnie przed tym ostrzec.

— Nie. Mam za to ostrzeżenie innego rodzaju.

— Jeśli to kwestia niecierpiąca zwłoki, to lepiej wyduś to z siebie.

Strach postanowił się jednak nie obrażać.

— Szykuje się nowy spisek przeciwko tobie. Wygląda na to, że spiskowcami są znaczne figury.

Hecht się zastanowił.

— Wróciłeś na służbę u Księżniczki Prawowitej, tak? — Oczywiście znał odpowiedź.

— Wróciłem. Po części dzięki tobie. Jestem za to twoim dłużnikiem. Ponadto chcę chronić księżniczkę przed ambicjami jej rzekomych przyjaciół.

— Ach. Proszę, mów dalej.

Strach nie wymienił nazwisk, bo informacje uzyskał głównie z drugiej i trzeciej ręki. Ale była to intryga z udziałem niektórych elektorów, członków Komisji Dowolnej oraz starszych funkcyjnych na dworze. Planowali przewrót pałacowy. Wódz Prawowitnych miał być aresztowany na samym początku. I zabity, gdyby stawiał opór. Katrin miała zostać zastąpiona bardziej pojednawczą Helsepeth.

— Takie plotki krążą od czasu, kiedy Lothar wyciągnął kopyta — zauważył Hecht.

— I spiskowcy nigdy nie mieli odwagi, by zrobić tak śmiały krok. Wiem, ale ostatnie postęпки Katrin dodały im odwagi. A ja nie chcę, by mój dobroczyńca ucierpiał w walkach o władzę między najbardziej zepsutymi wielmożami Imperium.

— A zwłaszcza nie chcesz, by twoja pani stała się pionkiem w grze, która nie jest jej dziełem. — Hecht podejrzewał, że Strach skrywa głęboko utajone uczucia dla Księżniczki Prawowitej. Być może nawet bardziej realne niż wędrownego najemnika, który w ogóle nie był pewien, kim jest ani komu powinien być naprawdę wiemy. Podejrzewał też, że Algres Strach doskonale zna słabość Wodza Prawowiernych do Księżniczki Prawowitej.

Kapitan Strach, mężczyzna żonaty, proponował zawiązanie spisku potencjalnych kochanków, którzy nie ośmielili się nawet dotknąć.

— Tak, szczególnie mi to nie w smak — potwierdził Strach. — Kiedy Cesarzowa staje się bardziej nieprzewidywalna i okrutna, nie chcę tego. Tym razem mogłaby kazać ściąć Hespeth. Później byłoby jej przykro i byłaby bardzo skruszona, ale co by się stało, nie mogłoby się odstać.

— Gdyby ktoś zrobił coś naprawdę głupiego i powiedział, że działał w jej imieniu...

— Właśnie temu chcę zapobiec. Jeśli uda nam się dotrzeć do lata i dyplomaci zdołają zainteresować dwór małżeństwem, Katrin nie będzie odczuwała tak wielkiego zagrożenia. Choć małżeństwo Hespeth nie zmieni sukcesji. Katrin musi w tym celu wydać na świat potomka.

Hecht obawiał się, że wrogowie Katrin będą czuli presję, by ruszyć do działania, zanim Hespeth zostanie unieszkodliwiona na rynku małżeńskim.

— Mnóstwo staruchów zacierałoby łapy, gdyby udało się im pozbyć Hespeth z kraju. Gdyby Katrin zmarła, mogliby latami rządzić Imperium, jeśli udałoby im się trzymać Hespeth z dala. Zmusić ją do abdykacji. Rozumiem, że Anies jest stara, ale zdrowa jak koń.

Anies, siostra Johannesy, była następną w kolejce do tronu po Hespeth. Była stara, ale miała przed sobą jeszcze z dekadę życia. Hecht nie poznał jej, choć dzieliła Winterhall z Cesarzową i Księżniczką Prawowitą. Była prawdziwą wielką damą tego miejsca.

Strach mruknął coś z niezadowoleniem.

— Problemy dynastyczne. Musi być lepszy sposób — zastanawiał się Hecht.

— W jaki sposób można ściągnąć tu Jaime'a z Castaurigi, choćby na chwilę? Mógłby rozwiązać wszystkie nasze problemy, wkładając w to pięć minut wysiłku.

— To byłoby idealne. Ale musielibyśmy go porwać. Świadkowie są zgodni. Jaime zapalał do Katrin nieuleczalnym, irracjonalnym

obrzydzeniem podczas pobytu tutaj. Jest ono równie mocne jak jej obsesja na jego tle. Któż może wiedzieć dlaczego? Nikt nie wie, co się stało, kiedy byli sami. Ale stało się i uczucia Jaime'a są tak silne, że stracił nawet zainteresowanie przejściem Imperium za sprawą swych potomków.

Titus Zgoda był tego samego zdania. Ale czy zawsze tak będzie? Szansa musiała kąsać Jaime'a niemiłosiernie. Kiedy zapadał w sen nocą. O świcie, kiedy się budził. I za każdym razem, kiedy ktoś z jego rodziny przypominał mu, co odrzuca.

Mógł zostać ojcem dynastii cesarskiej.

— Może Hespeth powinna wyjść za mąż — rzucił Hecht. — Byłaby bezpieczniejsza. Jej mąż miałby prawny obowiązek chronić ją.

— Byłaby bezpieczniejsza. — Strach potwierdził to z goryczą w głosie. — Ale ponieważ Katrin nie ma w tym żadnego interesu, zawsze jakieś ostrze będzie nosiło imię Hespeth. Pokusa, by się wtrącić, mogłaby się nawet zwiększyć, gdyby wyglądało, jakby wtrącił się jakiś obcy ród. Szczególnie gdyby na horyzoncie pojawił się Regard z Arnhandu.

Wcześniej wszystkie strony oponowały. Ale zaczęło się to zmieniać, kiedy Katrin stworzyła własny legion gwardzistów, stanowczo odmawiając zwiędnięcia jako kobieta.

— Mogło się tak stać — powiedział Hecht. — Przeszkodą jest jednak to, że Arnhand tak bardzo wspiera Patriarchów z Brôthen. I w takiej sytuacji Anne z Menandu nie zmienia swoich priorytetów, kiedy zmiana mogłaby jej przynieść korzyść. Do tego z całą pewnością nie ma ochoty odgrywać złej teściowej. Katrin byłaby najlepszą partią dla Regarda.

Zaczął się martwić w tej samej chwili, w której to powiedział. Spostrzegł, że zasiał u Algresa Stracha niepokój o tym samym podłożu.

Katrin Ege była blisko z Łagodnym. Jaime z Castaurigi wręcz przeciwnie. Jaime pozostawał niezłomnym sojusznikiem Piotra z Navai, który nie robił tajemnicy z tego, co może sobie Łagodny zrobić ze swoimi zakusami wobec Connec. Latem dojdzie do konfrontacji zbrojnej. Anne z Menandu musiała kurczowo trzymać się sojuszników, którzy nie mieli ochoty stawiać twarzą w twarz ze zwycięzcą spod Los Naves de los Fantas oraz okrzepłymi w boju oddziałami direcjańskiej rekonkwisty.

Cesarzowa nie mogła się rozwieść z Jaime'em. Lecz nawet niezbyt rozgarnięty kościelny prawnik doprowadziłby do unieważnienia związku.

Winę za problemy z ciążą Katrin można było zrzucić na karb jego rozwiązłości i spiskowania z Nocą.

Strach stłumił jęk.

— Jeśli ludzie Katrin wpadną na to, będą na niej wisieć dzień i noc. Jej kochający Jaime stanie się nieistotny. Będą mówić o dobru Imperium. Nikt z rodu Ege nie może tego zlekceważyć.

— Masz rację. Element religijny jest również w stanie wpłynąć na jej emocjonalne przywiązanie. Naprawdę wierzy, że jest odpowiedzialna za dusze swoich poddanych.

— Po prostu utrzymaj jej zainteresowanie Ziemią Świętą. Karm tę obsesję i zagłódź na śmierć pozostałe.

— Oczywiście. Nie mów o tym nikomu. Ci ludzie udowodnili, że sami potrafią niezłe knuć.

Strach pokiwał głową.

— Wiem, że nie chcesz rzucać żadnych oskarżeń — ciągnął Hecht. — Ale może byś tylko rzucił nazwiska kilku osób, na które powinienem mieć oko?

Sumienie kapitana Stracha okazało się bardziej elastyczne, niż udawał. Przekazał listę obficie opatrzoną przypisami.

— Niektórzy nie mogą być mocno zaangażowani. Innych się pewnie spodziewałeś. A niektórzy mogą nas zaskoczyć, gdy nadejdzie czas, by się określić.

Hecht czytał. Kaligrafia Stracha była obsesyjnie precyzyjna. A jego ranking podejrzanych zawierał kilka niespodzianek.

— Powinienem już wracać. Nie lubię zostawiać jej samej — powiedział Strach.

Księżniczka Prawowita nie była oczywiście sama. Nie była strzeżona tylko przez Algresa Stracha.

— No dobra. Dziękuję ci. To była prawdziwa uczta myśli. Jedna sprawa. Nie bierz wszystkiego na siebie. To może cię przytłoczyć.

I wtedy na co się przydasz? Jak nie możesz zaufać nikomu innemu, to wyżyj się na mnie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Strach skinął głową.

— Tak zrobię. — Wyszedł.

Zapukał Titus.

— Wejdz. Słyszałeś?

— Nie wszystko, ale wystarczająco dużo.

— Masz tu listę. Niektóre pozycje cię zaskoczą. Może mają jakieś znaczenie dla naszego braunsknechtowskiego przyjaciela. Weź pod obserwację tyłu, ilu zdołasz. Ostrożnie. Jeśli Strach tego sobie nie wymyślił, pójdź dalej i zrób tak, żeby wiedzieli, że ich obserwujemy. To ich przerazi. Ale powinno sprawić, że najślabszy ucieknie z podwiniętym ogonem. Chcę się jak najszybciej widzieć z Sedlakową, Rhukiem i Prosekiem.

Po trzech próbach Wódz Prawowiernych zastał Cesarzową w na tyle dobrym stanie, by mogła uczestniczyć w demonstracji pomysłu, który jej przedstawił i zyskał wstępną aprobatę, lecz nie ostateczną zgodę.

— Sam pokaz zajmie ledwo kilka minut, Wasza Miłość. Ale trzeba go zobaczyć, żeby zrozumieć.

I tak Cesarzowa, jej siostra i garstka urzędników dołączyli do uczestników pokazu na polu treningowym jazdy, o cztery kilometry na północ od murów miejskich. Katrin nie była w dobrym nastroju. Kapitan Ephrian, dowódca jej gwardii, utrzymywał, że jej nastrój jest najbardziej promienny od czasu pogrzebu.

Wyszła z lektyki z pretensjami.

— Dlaczego nie mogłeś mi tego pokazać na placu Franza-Bennerousta?

— Z powodu niebezpieczeństwa, Wasza Miłość. Za chwilę sama zrozumiesz.

— Wynajęłam cię. Zdaje się, że mogę ci zaufać. Więc do dzieła! Dopóki na tyle dobrze się czuję, żeby mnie to jeszcze obchodziło.

Zaczęła podszczypywać Hespeth.

Hecht zszedł z trybuny z widzami. Czekali na niego Rhuk i Prosek. Dołączył do nich Titus Zgoda.

— Wciąż przypominam sobie, że jej nie wierzyłem, kiedy mówiła, że jest w ciąży — mruknął Zogda.

— Znaczy?

— Że mogła naprawdę być śmiertelnie chora.

— Wydawało mi się, że to oczywiste. Jest na równi pochyłej, odkąd pojawiło się to dziecko.

— Nie całkiem prawda, szefie.

Hecht już miał dać rozkaz: „Ognia!”. Opuścił prawą dłoń.

— Jaśniej, proszę.

— Instynkt mi podpowiada, że polepszyło się jej, od kiedy zaczęliśmy łązić za tymi ludźmi z listy Stracha. Uważam, że to znamienne.

— Mówisz, że pomogli jej zachorować?

— Właśnie tak podejrzewam.

Hecht udawał, że spogląda na pole. Ustawił tam dwanaście hakownic i cztery cięższe działa, żeby przeprowadzić pokaz. Stały w jednym rzędzie. Hakownice były wycelowane w stronę prowizorycznych strachów na wróble, które miały wyglądać jak piechota, ustawionych w odległości do siedemdziesięciu metrów.

Clej Sedlakova i Bhule Smolens odnaleźli wystarczająco dużo pogiętych zbroi, by częściowo wyposażyc każdego stracha na wróble.

Wśród strachów ustawiono bele ze słomą.

Przygotowano też dwa większe cele. Oba były walącymi się kamiennymi budynkami doskonale nadającymi się na taką okazję.

Hecht dał sygnał. Hakownice wypaliły jedna po drugiej, z lewa do prawa.

Większość strachów padła. Kilka najbliższych bali ze słomy rozprysnęło się na strzelnicę.

Rhuk i Prosek poczekali, aż dym opadnie, po czym wystrzelili z czterech pękatych broni, niemal o kształcie garnka, które nazywali móździerzami. Każdy odezwał się grubym, dudniącym głosem. Dwudziestokilogramowe kamienie poszybowały w powietrzu po łuku, co łatwo było śledzić wzrokiem. Trzy z czterech wylądowały na mniejszym kamiennym budynku i rozwalily go na kawałki.

Dym znów się przerzedził. Kait Rhuk zapalił lont tak ustawiony, by było go dobrze widać. Iskry i dym pognały w stronę większej kamiennej budowli. Róg i jedna ściana rozpadły się. Dźwięk dotarł do nich sekundę później, niczym kopniak wprost w żołądek. Mniejsze odłamki padły o kilka metrów od stanowiska obserwacyjnego.

Hecht podszedł tam.

— Wasza Miłość, gdybyś zechciała, prosiłbym cię, abyś obejrzała tę broń i to, co zrobiła z celów, ale z bliska.

Cała świta Katrin osłupiała. Być może na skutek dymu i hałasu. Wiedział, że jest to efekt krótkotrwały.

Katrin skinęła głową.

— Jak dotąd jestem pod wrażeniem. — Wstała, odmawiając pomocy, i ruszyła wolno na linię ognia. Drago Prosek podenerwowany wyjaśniał, na czym polegają różnice konstrukcyjne obu dział, tych ładowanych od frontu z otwartym lontem i moździerzy.

— Nazwaliśmy je tak, bo wyglądają trochę jak moździerze aptekarza.

Hecht zaprowadził Katrin na linię celu.

— Użyliśmy dzisiaj kamieni do strzelania z hakownic. Kamyki są za darmo. W bitwie chcielibyśmy użyć metalowych pocisków, bo są bardziej skuteczne.

Stara zbroja nie wytrzymała salwy z kamienia z odległości siedemdziesięciu metrów.

— Łucznicy są w stanie dokonać takich zniszczeń, prawda? I są dużo tańsi — stwierdziła Katrin.

— Może i tańsi. Ale wyszkoleni żołnierze nie muszą się obawiać łuczników. Strzał z hakownicy jednak przedrze się przez każdą tarczę i kolczugę. I należy wziąć pod uwagę, że ta broń jest już przestarzała tam, dokąd się udajemy. Krulik i Sneigon robią teraz większe i celniejsze oraz wytwarzają lepszy proch. I ślą Indali tyle, na ile go stać.

Katrin wolnym krokiem wróciła do szybkostrzelnych dział wykonanych według projektu Kaita Rhuka.

— Nie sędzę, żeby Krulik i Sneigon mieli coś takiego. Prawda?

— Nie, Wasza Miłość. Kait?

Rhuk pokazał Cesarzowej, jak załadowane już prochem pojemniki wchodzi w zamek z tyłu tuby. Wystarczyło nieznacznie przekręcić wystającą gałkę, tak żeby weszła w zamek i przytrzymała pojemnik w miejscu. Zapal w pojemniku wymagał napełnienia odrobiną prochu. Doświadczona załoga mogła w ten sposób strzelać cztery, pięć razy szybciej niż z broni ładowanej od lufy.

Na Cesarzowej zrobiło to wrażenie. Ale Rhuk powstrzymał Hechta, kiedy Katrin postanowiła ruszyć dalej.

— Nie staraj się jej namówić na broń szybkostrzelną. Nie zrobię ich więcej.

— Co? Dlaczego nie? To dzieło geniusza.

— Pojemniki muszą idealnie wchodzić w zamek. Odlewnicy nie są w stanie ich odlać z wystarczającą precyzją. Nie możemy ich właściwie ustawić. To nie jest wielkim problemem, jeśli strzelamy ze żwiru, ale

metalowy pocisk może się zaklinować i uszkodzić broń. Solidny pocisk tak by się zaklinował, że zasobnik by eksplodował. W warunkach polowych taka broń ma niezwykle krótką żywotność.

Hecht westchnął. Historia stara jak świat. Ludzki umysł potrafi wymyślać rzeczy, których ludzkie ręce nie zdołają wykonać.

— Rozumiem. Ale nie zarzucaj całkowicie tego pomysłu.

Podbiegł, by dołączyć do Cesarzowej, która poszła prosto do swej lektyki. Miała już dość ćwiczeń ruchowych.

— Jestem gotowa dać ci wolną rękę — oznajmiła. — Na następną naradę przyprowadź najlepszych w twojej ocenie zbrój mistrzów. Może zmienimy naszą strategię. Tymczasem latem zaleję Wschodnie Imperium swoimi emisariuszami. Może na coś się przydadzą.

— Jak sobie życzysz, tak będzie, Wasza Miłość.

— Szefie, jak myślisz, jak poszło? — zapytał Prosek. Nie doszedł jeszcze do siebie po tym, jak musiał się zwracać bezpośrednio do Cesarzowej.

— Spokojnie, Drago. Jest istotą ludzką, tak jak ty. Tylko bardziej niebezpieczną. I może nieco bardziej stukniętą. Myślę, że wypadliśmy dobrze. Dostała to, co chcieliśmy jej dać.

Prosek coś zamruczał pod nosem.

— No co?

— Powiedziałem właśnie, że te dwie kobiety są za mądre, cholera.

— Wiesz, że możesz mieć rację.

— Dostaniesz, czego chcesz — powiedziała Hespeth i wzięła łyk kawy, patrząc na Hechta znad filiżanki. — Od mojej siostry.

— Naprawdę? — Powiedział to przekornym tonem, który jego samego bardziej zaskoczył niż Księżniczkę Prawowitą.

— Wiem, co myślisz. Niegodziwcze.

— Auć! W takim razie lepiej będzie, jak cię zabiję, zanim komuś wypaplesz.

— Mądre posunięcie.

— Nic na to nie poradzę. Rozkojarzony jestem.

Hespeth uśmiechnęła się półgębkiem.

— I jestem tak szczęśliwy jak nigdy — dodał Hecht. — Życie układa się doskonale. Mam pracę, którą lubię, pracuję dla kogoś, kto jest tym

zainteresowany i wspiera mnie. Może tylko czasami mnie przeraża. Czego więcej pragnąć?

— Pragnąć? Może niczego. Chcieć? Mogłabym coś zasugerować, ale usłyszają mnie te stare krowy.

Zdawało się, że przyzwoitek przybyło w dwójnasób.

— No tak. Jest coś, co z pewnością byłoby miłe.

— Ona nie jest przerażająca. Jest okropnie przerażająca. Niemal mam nadzieję, iż znajdą jakiegoś księcia przygłupa, który będzie chciał mnie stąd wywieźć. W bezpieczne miejsce. Dopóki Katrin będzie się trzymać.

Czy była to wzmianka o czymś sekretnym, acz ważnym?

Helspeth nachyliła się do niego.

— Rada ma wysłać delegację do Castaurigi. W wielkiej tajemnicy. Żeby Jaime wrócił. Katrin nic nie wie. Jeszcze nie wie. Domyśli się.

Hecht nie wiedział. Titusowi to umknęło.

W ciągu ostatnich kilku tygodni z Alten Weinbergu wyruszyło wiele przedstawicielstw. Kilkunastu podejrzanych Algresa Stracha zostało umieszczonych w jednej czy drugiej. Hecht pomyślał, że to tak, jakby osoba przydzielająca zadania doskonale wiedziała, którzy z jej poddanych mogliby się najlepiej sprawdzić jak najdalej od miasta.

— To ryzykowna sprawa — wyszeptwała Helspeth. — Nie wiadomo, co Katrin zrobi, jeśli Jaime będzie stale odmawiał widzenia się z nią.

— Słyszałem pogłoski, że nie najlepiej się ma.

— Pogłoski? Widziałeś ją przecież przedwczoraj. Wyglądała na zdrową?

— Nie.

— No właśnie. Jej lekarze wciąż mają nosy na kwintę. A wiele osób, które nigdy przesadnie miłe wobec mnie nie były, zaczyna mi się przypochebiać.

— To dobrze. Czy lekarze ci coś mówili?

— Nie wprost. Uważają, że jest podtruwana. W kuchni Winterhall znaleziono pojemniki z arsenikiem i belladoną. Kucharze wyparli się jakiegokolwiek wiedzy na ten temat. Nie sprawiali wrażenia łgarzy. Nie ma pod ręką żadnego czarownika, który po śladach zidentyfikowałby winnych.

A do tego łotr z pewnością już zatarł ślady.

— Ciekawe. No bo widziałem, jak wygląda. Jakby zaczynało się jej poprawiać.

— Z twojego powodu.

— Co takiego?

— Ludzie zauważają pewne rzeczy, Piper. Na przykład to, że rozstawiasz swoich ludzi wśród połowy miejskiej arystokracji. I to, że zbiry, które próbują odwieść twoich ludzi od obserwacji, sami kończą zniechęceni do czegokolwiek na dobre.

— Naprawdę? — O tym nie wiedział. Ale też nie musiał wiedzieć. — Śledzeni mają zauważyć, że ktoś ich śledzi. Chodzi o to, by zachęcić ich do grzeczności.

— Są dostatecznie zachęceni. Zdrowie Katrin od razu zaczęło się poprawiać. Tak bardzo, że zauważyła to i sama zaczęła się starać. Zaczęła więc rozdawać nominacje ambasadorskie ludziom, którym ty najwyraźniej nie ufasz.

— W takim razie wszystko idzie ku lepszemu.

— Tylko że wciąż ma chorobę w głowie i sercu. W duszy i ciele. Mnóstwo ludzi uważa, że umrze bez względu na to, czy jest truta czy nie.

— Tak samo myśleli o twoim bracie.

— I Lothar umarł.

— Ale lata później nawet optymiści to obstawiali. Twoja siostra wciąż ma po co żyć. Ma swoją krucjatę.

— Swoją szaloną ekspedycję, która, jak ma nadzieję, uczyni ją sławniejszą niż Johanna Czarne Buty.

— Czy tak do tego podchodzisz?

— Aty nie?

— Nie. Ja jej wierzę. Jest tak szczerą, że aż przerażającą. Jak się człowiek zastanowi, dokąd może nas zaprowadzić jej determinacja... Jaką cenę przyjdzie za to zapłacić światu...

— Zastanawiasz mnie, Piper. Naprawdę. Można by się spodziewać, że jesteś rzeźnikiem. Taka już jest natura twojej profesji. Ale obchodzi cię krzywda, którą wyrządzasz. Może właśnie to... Nie. To instynkt zwierzęcy. Zaczęło się, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy. Tak czy inaczej, mój ojciec też taki był. Na pewno bardzo podobny.

— Obchodziło go to, ale nie pozwalał, by ta troska powstrzymywała go przed tym, co trzeba było zrobić.

— Tak jak ciebie nie powstrzyma.

— Nie powstrzyma.

— Dowiodłeś tego w Connec.

— Mam nadzieję, że świat zrozumie to, co chciałem tam udowodnić. Ale wątpię. Większość ludzi nie jest w stanie przyjąć subtelniejszych argumentów niż cios młotem między oczy.

Helspeth naląła świeżo zaparzoną kawę. Celowo dotknęła go kilka razy przy tej czynności.

Kilka kobiet zauważyło to, ale najwyraźniej nikogo to nie obeszło.

Hecht zastanawiał się, czy jakaś fakcja nie ma nadziei na rozwój tego romansu. Dzięki temu nie byłoby mowy o zamążpójściu Helspeth, przynajmniej na dziesięć lat. Kiedy kobieta osiąga pewien wiek, nikt nie oczekuje od niej, że będzie niewinną panienką. Zwłaszcza jeśli ma całkiem niezły posag.

A cóż mogłoby być lepszego niż całe Imperium?

Ku uciesze niektórych i rozpaczycy pozostałych Cesarzowa odzyskała naturalne barwy, siłę, energię, jeśli nie pełny ogląd rzeczywistości. Zrobiła się odważna. Zapuszczała się w uliczki miasta ledwo z kilkoma gwardzistami. Spoglądała przyszłości prosto w zęby i szydziła z niej w żywe oczy. Przekazała większość uciążliwych obowiązków swej siostrze i spędzała czas na obserwacji treningu swych oddziałów, zarówno tych zbierających się w Hochwasser, jak i jej własnych Prawowiernych, jak obecnie przechrzcila siły Hechta. I zatwierdziła dwukrotne zwiększenie ich liczebności w ciągu zaledwie dwóch tygodni.

Przekazała wpływy z jej licznych większych dóbr na rzecz Prawowiernych, ponieważ wiedziała, że nic się tam nie zmarnuje i nie ma wśród nich korupcji.

Żeby strumień pieniędzy mógł płynąć bez zakłóceń, Hecht dał Buhle'owi Smolensowi kolejne zadanie oraz władzę, by mógł je wypełniać.

Pokusa korupcji będzie rosła. Hecht dał do zrozumienia aż nadto dobitnie, że łapownictwo nie będzie tolerowane. Nawet tam, gdzie miejscowe zwyczaje dopuszczają takie zjawiska. Nie były to jego zdaniem grzechy moralnie niedopuszczalne, jedynie szkodliwe dla wizerunku i reputacji, jaką chciał stworzyć dla siebie oraz Prawowiernych.

Kiedy Prawowierni wyruszyli, przełącz Remyne do Firaldii nie była jeszcze otwarta, zamierzali więc okrążyć góry Jago na wschodzie. Misja miała przygotować tę okolicę na przemarsz wojsk następnego roku.

Wyglądało na to, że armia ma być większa, niż planowano. Cesarzowa wysyłała kapłanów, by zachęcali do przyłączenia się do krucjaty w Arnhandzie, Santerinie, Direcji oraz we wszystkich pomniejszych księstwach na zachodzie. Przy pozwoleniu Wschodniego Imperium kompanie kwatermistrzów weszły na obcą ziemię, by sprawdzić najlepsze naziemne szlaki komunikacyjne. Całe rzesze imperialnych rycerzy i szlachty zgłaszały swój akces do wyprawy. Hecht podejrzewał, że bardziej chcieli mieć na niego oko niż przystać do nich dla sprawy.

Cesarzowa również zgłosiła swój udział. Wróciła do lat dziecięcych. Sprowadziła zbroję, którą nosiła, kiedy wraz z siostrą jechały za Johannesem na południe w krucjacie calzirskiej. Zbroja była wtedy o wiele za duża na nią.

Cesarzowa wydawała się szczęśliwa. Jej stan zdrowia wciąż się poprawiał. Doniesienia napływające od ludzi, którzy pojechali do Castaurigi, były zachęcające. Hecht miał co do nich pewne podejrzenia. Ci ludzie nie mogli przecież pojechać tak daleko, zabiegać o posłuchanie u zupełnie niezainteresowanego tym, co mają do powiedzenia, króla Jaime'a, a potem jeszcze znaleźć posłańca do Katrin aż z Glimpsz.

Ziemie, przez które przejeżdżał Wódz wraz ze swymi oddziałami, były w większości niezaludnione. Im dalej Prawowierni zapuszczali się w głąb interioru, tym bardziej wyczuwalna stawała się obecność Nocy. Na tajemniczych terytoriach pomiędzy imperiami obecność Delegatur Nocy była wyczuwalna nawet w samo południe.

Była to obecność świadoma pojawienia się Bogobójcy.

Bogobójca kazał podróżować z bronią palną nabitą bożym śrutem. Za nimi szli ludzie z krzesiwami, zawsze gotowi do działania, gdyby Noc wykonała jakiś nieprzyjazny gest.

Heris unikała wyjaśnień, ale podczas krótkich, sporadycznych wizyt zarzekała się, że gdzieś hen, daleko rozgrywają się wielkie sprawy. W końcu Noc zauważy. Musi być czujny. Gniew Nocy mógł się obrócić w jego stronę.

Po każdej z takich odbywających się szeptem wizyt Hecht zastanawiał się ponownie, co robią Heris, Februaren i ich upiór. Miał o tym tylko mgliste pojęcie. Jego cyniczna natura podpowiadała mu, że nic dobrego z tego nie będzie i że ukrywają przed nim szczegóły, bo on na tym najbardziej ucierpi, jeśli plan nie wypali.

Nie było żadnej wytyczonej, oficjalnej granicy między Imperium Graala i Wschodnim Imperium. To zawsze było kwestią sporną. Oddzielało je mnóstwo księstw nieformalnie będących częścią jednego lub drugiego imperium, zwykle za sprawą roszczeń dwójki Cesarzy. Choć płacili lenno, w mniemaniu władców tych księstw były one niezależne, a ich władarze nigdy nie proklamowali ich niezależności, żeby tylko nie wzbudzić reakcji urażonego cesarskiego ego.

Hovacol było pod tym względem wyjątkiem. Niezwykle rozsądnie nie wytyczyło swoich terytoriów bezpośrednio między dwoma imperiami. Leżało nieco na wschód tego geograficznego chaosu. Król Plama oznajmił, że nie będzie niczym psem gończym. Ostatnio zaczął się domagać, by go lepiej traktowano niż sąsiadów. Imperia miały inne zajęcia. Cesarz i Cesarzowa zdawali się poprzestawać na ignorowaniu go.

Większość ludzi zamieszkujących Hovacol, którzy nie byli już poganami, preferowała Wschodni Obrządek. Jedna dziesiąta populacji uprawiała herezję pokrewną maysalskiej w Connec.

Wszystko to spowodowało upust nietolerancji Katrin.

Wódz Prawowiernych ustanowił przyszlą kwaterę nieopodal Glimpsz, o kilka metrów od linii, którą gdyby przekroczył, obserwatorzy z Rhûn byliby mocno zaniepokojeni. Jego kwatermistrzowski zwiad zaszedł dalej, by sporządzić mapy i szlaki uderzenia pod nadzorem poddanych Wschodniego Imperium. Hecht miał mieszane uczucia. Uwielbiał to, co robił. Pod względem historycznym było to zadanie jedyne w swoim rodzaju. Ale był niepokojony, ponieważ przebywał z dala od wydarzeń na zachodzie. No i dlatego, że był z dala od Anny i dzieci. I daleko od Helspeth. Poza tym coraz bardziej obawiał się zmian, jakie zachodziły u jego pracodawcy.

Cesarzowa z dnia na dzień robiła się coraz dziwniejsza w sposób, który trudno było określić. Zmiany zachodziły wewnątrz niej. Chciała je ukryć za wszelką cenę.

Katrin wezwała do siebie Wodza Prawowiernych. Hecht niechętnie zjawił się przed obliczem jej Cesarskiej Obecności, choć długo przygotowywał się na tę chwilę. Katrin chciała wysłać swoje wolne od zajęć oddziały na Hovacol. Mieszkańcy królestwa odmówili zerwania ze Wschodnim Obrządkiem. Tolerowali herezję. Akceptowali obecność pogan. Nawet ignorowali kilku niegodziwych praman.

Przećwiczywszy swoje wystąpienie, Hecht odezwał się pierwszy.

— Moi oficerowie mówią, że wszystko jest dostatecznie sprawdzone, Wasza Miłość. — Udał podniecenie zbyt duże, by je ukryć. — Wykonaliśmy wszystkie prace. Tak właśnie należało to zrobić, szybko, nie zwracając na siebie uwagi przy minimalnych stratach własnych i bez jawnej obrazy Cesarza. Szlaki infiltracji zostały wytyczone. Wybrano odpowiednich ludzi. Możemy ruszać, kiedy tylko dasz sygnał, pani.

Uwagę Katrin z całą pewnością odciągały sprawy poboczne, takie jak Hovacol wraz z jego królem — zadziornym kogucikiem.

Plan Hechta się powiódł. Tym razem. To, co mogło stać się bardzo nieprzyjemnym wieczornym spotkaniem, zmieniło się w fetę — która wkrótce sama ukazała swoją mroczną stronę.

Cesarzowa pochłonięła zbyt wiele miejscowej wody życia o dziwnym smaku. Trudno było zrozumieć, co mówi. Jednak wszyscy obecni, włącznie z Księżniczką Prawowitą, zrozumieli, kiedy Katrin zaprosiła Wodza Prawowiernych, by dzielił z nią łożo.

Świadkowie byli zbulwersowani. Hecht był przerażony jak nigdy w życiu. Jak ma się z tego wyplątać?

Wkrótce Katrin tak się zmęczyła trunkiem, że nie mogła drażyć tematu, choć co będzie, jeśli doda tę myśl do reszty swych obsesji? Zbyt często czyniła ze swoich frustracji główny motyw swego życia.

Cesarzowa pozostała w izolacji przez dwa dni, dochodząc do siebie po kacu gigancie. Nic nie wskazywało na to, że pamiętała, co wyprawiała. Nikt się nie palił, by jej o tym przypomnieć.

Mimo to, kiedy harcownicy wśliznęli się do Wschodniego Imperium, Hecht pojechał razem z nimi. A Helspeth wróciła do bezpiecznego Alten Weinbergu.

Dopiero po dwudniowej wyczerpującej podróży na południe, kiedy przypominał sobie wydarzenia ostatnich dni, uświadomił sobie, że minął wielki słup graniczny, nawet go nie zauważywszy. I żadną miarą nie mógł tego rzucić na karb złego zachowania swojej pracodawczyni.

Wyruszył szybko, by Katrin nie zrezygnowała z ratowania Ziemi Świętej. Jakiś wierny agent Gordimera Lwa, al-Minfet i al-Pramy mógł skorzystać z okazji, by zawędrować do Hovacol, trwoniąc majątek i siłę na wyrznięcie innych chaldaran. Mógł skwapliwie skorzystać z szansy, by zniszczyć reputację Cesarzowej Graala, kiedy złożyła taką propozycję.

Tak więc, ku zadowoleniu duszy, jego wierność nie musiała zostać wystawiona na ciężką próbę. I dostrzegł to dopiero teraz.

Obecne zadanie oraz przerażająca perspektywa stania się obiektem zainteresowania Cesarzowej nie pozwoliły mu na rachunek sumienia w sprawie tej podjętej w ciszy decyzji.

Khaurene: Taniec śmierci

Khaureński korowód szedł nieubłaganie dalej, wprost w krainę mrocznego losu. Król Regard zrobił się agresywny, kiedy tylko jego rodacy zaczęli do niego dołączać. Choć zawsze stawał przeciw przeważającym siłom, dzięki jego żywotności i zażartości udawało mu się wychodzić zwycięsko częściej niż ponosić klęskę. Był gotów do działania, często lekceważąc przezorność.

Khaureńscy zazwyczaj się wahali. Próbowali zebrać wystarczająco dużo informacji, by wiedzieć, na czym stoją, przed podjęciem decyzji. Direcjański garnizon podłapał tę przypadłość.

Padły miasta i zamki. Arnhandzkie siły potężniały każdego dnia.

Królewska matka była bardzo przekonująca.

Sukcesy Regarda spowodowały błyskawiczną odpowiedź z Navai i Castaurigi. Król Piotr ściągnął cztery tysiące weteranów z rekonkwisty. Jaime z Castaurigi sprowadził tysiąc dwieście zbrojnych, szlachetnie urodzonych weteranów spod Los Naves de los Fantas. Wraz z nimi nadciągnęło tysiąc czterystu innych wysłanych przez królów i książąt.

Panowie Direcji byli zdecydowani powstrzymać Łagodnego i Kościół przed zdobyciem zbyt wielkiej potęgi w Connec.

Tysiące Connekian również skierowało się do Khaurene. Arnhandzcy bandyci mieli stanąć przed przeważającą siłą połączonych armii, mając zbrojnych z Khaurene za sobą.

Tym razem Regard chciał skoncentrować swoje siły, zamiast uderzać we wszystkich kierunkach garstkami wojska. Chciał szybko podbić samo Khaurene.

Perspektywa panoszenia się Łagodnego i Anne z Menandu w Skraju Connec była tak powszechnie nie do przyjęcia, że kilku hrabiów, którzy porzucili Tormonda w czasie zamieszek, teraz wysyłało rycerzy i żołnierzy, by go bronili.

Nawet Terliaga zaproponowała pomoc militarną. Królowa Isabeth, na prośbę Piotra, poprosiła Terliagan, by skupili się na obronie Littoralu. Nie powinni dawać Łagodnemu dalszych pretekstów do wszczynania konfliktów na tle religijnym.

Terliaganie byli sami na tyle mądrzy, by to zrozumieć.

Brat Świeca uważał, że byli na tyle mądrzy, by zrobić dobre wrażenie, wychodząc z propozycją, po której spodziewali się, że zostanie odrzucona. Wystawienie pramańskich oddziałów przeciwko chaldaranom w rzekomej chaldarańskiej religijnej utarczce mogło zirytować nawet najwierniejszych przyjaciół Piotra.

Doskonały mieszkał u Kedle Richeut, córki Rauleta i pani Archimbault. Z Kedle i jej mężem, Soamesem. Któremu nie podobało się to wszystko, ale trzymał gębę na kłódkę. Soames nie miał przyjaciół. Nie chciał mieć więcej wrogów. Brat Świeca uważał, że jest odrażający. Do imentu.

Niejeden Poszukiwacz przypomniał Doskonałemu, że Soames powrócił z niewoli jako zupełnie zmieniony człowiek. Że stał się agentem Arnhandu czy może nawet Stowarzyszenia. Brat Świeca słuchał tych ostrzeżeń z uśmiechem i skinięciem głowy. Mogły być prawdziwe. Najpewniej były prawdziwe. Uważał, że to dobrze. Dla niego. Będąc między młotem a kowadłem, Soames nie poważyłby się go zdradzić. Co więcej, Soames najpewniej miał nadzieję, że dostarczy go swym tajemniczym panom zaraz po upadku Khaurene.

Doskonałym mógł stać się monetą przetargową, za której pomocą Soames mógłby sobie kupić spokój i bezpieczeństwo dla siebie i rodziny.

Mówiąc krótko, brat Świeca czuł się bezpieczniejszy i swobodniejszy w domu wroga. Ponadto chroniło go wychowanie Kedle. Dziewczyna miała swoje problemy, ale nie była ogarem Przeciwnika.

Brat Świeca czuł się bezpiecznie, wychodząc w towarzystwie Poszukiwaczy z Khaurene. Ponieważ Regard terroryzował tereny na północ od Khaurene i rósł w siłę z dnia na dzień, direcjańscy sojusznicy Tormonda oraz ci Khaureńczycy, którzy chcieli, aby plan sukcesyjny księcia spalił na panewce, nie mieli czasu na polowanie na zaginionego Doskonałego.

Brat Świeca, kiedy nauczał, zawsze wspominał w kilku słowach o adoptowaniu hrabiego Raymone'a przez Tormonda. Choć wprawilo go to w zakłopotanie, wychwalał też Raymone'a pod niebiosa. Tylko dlatego, że był patriotą.

Czas uciekał w oszałamiającym tempie, pędząc wprost ku apokalipsie. Khaurene rozpaczliwie potrzebowało go więcej, by się przygotować. Ale na wiele dni przed tym, zanim ktokolwiek, bogaty czy biedny, się tego spodziewał, na północ od miasta pojawili się arnhandzcy krzyżowcy.

Brat Świeca dołączał do tłumów na murach, ledwo tylko przebrany, zwykle w towarzystwie Kedle i jej dzieci. Czasami wychodził wraz z innymi starszymi maysalanami, robiąc sobie przerwę w przygotowaniach, by splunąć zagładzie w ślepią. Kilkakrotnie widział unoszący się w oddali dym, ale nigdy nie było wiadomo skąd. Wróg zbliżał się do miasta, a on nie powtarzał dawnych błędów, tracąc zasoby, których mógł potrzebować później.

Regard był pewien, że będzie w stanie wyrzec się prowincji na rzecz obrońców Khaurene.

Mówili, że młodemu królowi nie brakuje pewności siebie — dopóki znajdował się poza zasięgiem głosu matki.

Zdarzały się potyczki. Prokonsul króla Piotra, hrabia Diages Alplicova, uważał, że wroga należy nękać bezlitośnie, by wykrwawić go, skraść mu sen i wygodę, dezorientować i sprowadzić do defensywy. Żadna arnhandzka grupa poszukiwawcza, patrol czy mniejszy oddział nie mogli się spodziewać, że podczas wykonywania swych zadań nie natkną się na Dircjan przywykłych do wykorzystywania podobnej taktyki przeciwko pramańskim wrogom.

Rozchodziły się pogłoski, że Regard ma zamiar wymusić bitwę. Następnie zajmie Khaurene. Był święcie przekonany o wyższości arnhandzkich rycerzy nad innymi wojownikami.

— Noc nie pozwala, by taka pycha uchodziła bezkarnie — zauważył brat Świeca. — A może to ignorancja? Mamy szansę. Może tak się zdarzyć, że wkrótce wszystkie dzwony Arnhandu będą biły na trwogę.

— Miejmy taką nadzieję — odpowiedziała Kedle.

Choć się wycofała pod wpływem rygoru, jaki wprowadził Soames, była wciąż żarliwa jak Socia Rault. Na murach zostawiała dzieci pod opieką

starca, po czym sama pomagała przy wyrzutni pocisków. Khaureńskie kobiety czekał o wiele gorszy los niż mężczyzn.

Starzec widział tworzącą się legendę. Jeśli dojdzie do oblężenia.

Choć wiosna już dała o sobie znać, poniewczasie, zima nie zamierzała składać broni. Wracala raz za razem, kiedy armie zbierały zapasy, wdawały się w potyczki i ćwiczyły manewry. Nadeszły nieregularne i spóźnione burze śnieżne, co było niekorzystne i niezwykle irytujące. A potem obfite deszcze i ostry mróz, bardziej okrutny dla najeźdźców.

Arnhandowie rozpiechli się do miejsc, w których mogli znaleźć schronienie. Co oznaczało, że rozdzielili się na trzy duże koncentracje wojsk oraz liczne mniejsze oddziały. Król Regard i jego armia w sile trzech tysięcy osiedli na zamku w Repor ande Busch i wokół niego. Król, otoczony przez kapłanów nasłanych przez matkę, spędzał czas na poście i modlitwach. Na zewnątrz Repor ande Busch, który mógł pomieścić jedynie ściśniętych w niewygodach dwustu osiemdziesięciu zbrojnych, siły Regarda tkwiły żałośnie w obozach rozbitych na brzegach strumienia znanego czasami jako Envil, a czasami jako Auxvasse. Był wąski, płytki i mulisty i unosił nadmiar wilgoci ze stoków winnic rozciągających się za zamkiem oraz z podmokłych bagien między Repor ande Busch i Khaurene. Strumień dostarczał wody zaspokajającej potrzeby obozów. Gęstej wody wywołującej niesmak.

Pięć kilometrów na północny zachód od Repor ande Busch, Capital du Days oraz cztery tysiące zbrojnych kuliło się w kiepskim schronieniu wąskiej, głębokiej doliny zwanej przez miejscowych Loterią. Kąsający, mroźny wiatr nie dochodził na jej dno. Skuleni zbrojni nie zamierzali się stąd ruszać, ale brakowało pożywienia, nie było paszy i nie za wiele wody. Chrustu na opał dostarczały wyschnięte krzewy.

Trzecia koncentracja, pod wodzą kuzyna Anne z Menandu, Habanda, która gromadziła również najzagorzalszych religijnych agitatorów, połączyła się wokół Peque ande Sales, dziesięć kilometrów na północ od Loterii. Ich prawa flanką i tyły zadomowiły się w górskiej dziczy, do której Connekianie uciekali w trudnych czasach. Zawsze w pobliżu byli partyzanci różnej proweniencji. Z początkiem pogorszenia się pogody siły Habanda liczyły tysiąc pięciuset zbrojnych.

Kilka tysięcy więcej zbrojnych rozproszyło się w mniejszych grupach oddalonych od siebie o dzień szybkiego marszu. Wszyscy modlili się o

poprawę pogody.

Sytuacja wydawała się idealna dla navayańskich dowódców. Wróg był rozproszony, głodny i jego morale podupadło. Wielu z nich było niskiego stanu. Hrabia Alplicova miał nadzieję na wytłumienie arnhandzkich roszczeń w Connec przynajmniej na jedno pokolenie. Jeśli Direccjanie zaatakują z takim samym żarem, jaki pokazali pod Los Naves de los Fantas, Arnhand mógł tu już więcej nie wrócić.

Jedno ostre, szybkie i bardzo krwawe starcie. Po którym wzięto by króla Regarda do niewoli. Jego wykupem byłoby słowo honoru, że opuści Connec i nigdy więcej nie będzie dręczyć tej ziemi. Nigdy więcej nie będzie negował praw Piotra z Navai i jego sojuszników.

Przesadnie optymistyczni stratedzy zakładali, że rdzenni Connekianie są w stanie zdławić Stowarzyszenie, kiedy to obmierźłe bractwo nie będzie już miało wsparcia całej państwowej maszyny.

Brat Świeca stał na murach w tłumie setek innych widzów, głównie osób starszych, kobiet i dzieci. Trzymał na ręku najmłodsze z dzieci Kedle. Raulet Archimbault trzymał najstarsze owinięte w ciężki, poszarpany płaszcz. Niektórzy z tłumu obrzucali Rauleta surowymi spojrzeniami. Nie był za stary, by bronić miasta.

Kedle trzymała się blisko Doskonałego. Jej mąż stał obok, ale nie kwapił się, by ją osłonić przed zimnem.

Soames ścigał więcej znaczących spojrzeń niż Raulet. Ignorował patrzących z odrazą, wydawał się jednak napięty, nerwowy, zaniepokojony, a nawet przestraszony. Mógł to być zły dzień w życiu Soamesa Richeuta.

Navayanie przypominali przypadkową zbieraninę, nacierając na Repor ande Busch. Chorągiew króla Piotra nie wyruszyła wraz z nimi. Plotkowano, że król spędził noc na pijaństwie i wszetecznych zabawach z kobietą, która nie była Isabeth Khaureńską. Hrabia Diagres Alplicova, o którym szeptano, że trawi go niezaspokojona namiętność do królowej Isabeth, przejął dowodzenie.

Brat Świeca pomyślał, że Navayanie wahają się, czy pójść za dzisiejszym dowódcą.

Na lewo od Navayan Casturiganie szli do boju pod wodzą swego króla. Zadaniem Jaime'a było wcisnąć się między Repor ande Busch i Loterię, tak

żeby Captal du Days nie mogli wzmocnić sił króla Regarda.

Za Navayanami ustawiła się khaureńska milicja, w zaskakująco dużej liczbie. A jeszcze bardziej brat Świeca był zaskoczony, widząc chorągiew księcia Tormonda idącą wraz z nimi.

— O dziwo, zdołał wcisnąć się w zbroję — powiedział do Archimbaulta. — Nie zakładał jej od dwudziestu lat.

Nie było jednak innych connekiańskich sił. Rozproszone, chroniące się przed złą pogodą, nie chciały się zejść. Było zbyt wiele zamieszania, by mogło to dać jakieś rezultaty.

Choć zdecydowani wymusić walne starcie, ani Piotr, ani Regard nie byli przygotowani na taką ewentualność. Obaj byli jeszcze w łożnicy, kiedy świsnęły pierwsze strzały. Piotr miał dużo gorzej, cierpiąc z powodu potężnego kaca. Jego ludzie robili, co mogli, by go dobudzić, ubrać, przypasać broń, nałożyć nań zbroję i wsadzić na konia. Wyjechał z Metrelieux pod surowym spojrzeniem swojej królowej, a patrzyła z taką złością, że z kacem czy bez wolał ruszyć w bój niż się tłumaczyć.

Piotr dołączył do swoich rycerzy, gdy bitwa zaczęła się robić chaotyczna, a żadna ze stron nie miała innej strategii niż usieć najbliższej stojącego wroga. Kontyngenty Navayan osadziły swoje wierzchowce z dala od wiru walki i stały bezczynnie, ponieważ nie otrzymały żadnych rozkazów, a same nie podejmowały inicjatywy. Wielu Arn-handów postąpiło podobnie. A Khaureńczycy trzymali się z dala od niebezpieczeństwa.

Na murach stojący obok brata Świecy Raulet Archimbault mruknął:

— Czuję się, jakbym słyszał tę opowieść po raz drugi.

— Bo tak jest, tato — odparła Kedle. — Ale ostatnim razem odbyło się to z udziałem Naczelnego Wodza. I on był gotów.

— Zawojował nam głowy i serca i pognął nas z podkulonymi ogonami do Altai niczym przerażone szczury — prychnął Archimbault, łypiąc na Soamesa.

Kedle, co zauważył Doskonały, nawet nie zaszczyciła męża spojrzeniem.

— Ale wtedy wszystko było inaczej — dodał Archimbault.

W rzeczy samej. Siły patriarchalne były niezwykle karne i miały doskonałe dowództwo. Dla nich był to kolejny dzień pracy i systematycznego wyrzynania.

Navayanie zbliżyli się na odległość strzału z kuszy, zanim Arnhandom udało się obudzić swego władcę. Regard spędził noc z koniuszym o imieniu Thierry, pewien, że na drugi dzień nie będzie walki.

W tak niesprzyjającej pogodzie wszelkie ruchy stałyby się zupełnie niepraktyczne.

Wróg był przeciwnego zdania. Zaczął od ataków sondażowych. Przerażeni dworzanie przynieśli wieści, iż kilku ulubieńców Anne już padło w boju.

Sytuacja wyglądała na krytyczną.

Regarda nie można było poganiać. Odmawiał wszelkich rozmów o walce. Wypełnił poranne obowiązki religijne, domagając się dodatkowego błogosławieństwa dla wojownika idącego na śmierć dla chwały Boga.

Panika wkradła się w serca czekających na pojawienie się króla, szczególnie tych, którzy wyruszyli do Connec z zachłanności, a nie z przekonania. Kilkudziesięciu rycerzy postanowiło pozostawić Regarda pod bożą pieczę, zanim wypełni swój obowiązek. Wśród nich znalazło się trzech jego kuzynów, brat jego matki i ostatni kapłan — pupilek Anne, biskup Mortimar du Blanc, starszy członek arnhandzkiego oddziału Stowarzyszenia Tłumienia Świątokradztwa i Herezji.

Sygnaly od samego początku były złowróźbne. Giermkowie Regarda porwali troki jego kolczugi, kiedy je zaciągali. Kiedy szukali nowych, nadeszła wiadomość, że ostatnie pozory regularnej bitwy zniknęły.

Co płochliwsze serca odkryły w sobie przekonanie, że bardziej przydadzą się w domu niż w Khaurene. Anne może sobie pluć i kląć na czym świat stoi, ale nie padną dla niej martwi w zamarzające connekiańskie błoto.

Kilka kontyngentów z hrabstw, które zmieniły sojuszników z Tormonda IV na Charlve Głupka, odmówiło wzięcia udziału w walce, nie chcąc zrobić sobie regularnego wroga z Piotra z Navai.

Navayanie mieli podobne problemy. Wielu sojuszników direcjańskich nie chciało brać udziału w walce, dopóki sam Piotr nie przejmie dowodzenia.

W innym miejscu król Jaime z Castaurigi wyszedł przed szereg. Zamiast zablokować drogę do Khaurene, natarł na Loterię, dolinę, gdzie trudno było uderzyć konno.

W Repor ande Busch pękł popręg króla Regarda, kiedy stanął całym ciężarem w strzemionach. Spadł z konia i uderzył mocno głową i lewym ramieniem o ziemię. Czaszka jednak nie pękła, jedynie uszkodził sobie bark

i nie mógł unieść tarczy. Ponadto kiedy padał, skrzył lewą nogę. Świadkowie zdarzenia twierdzili, że słyszeli odgłos pękającej kości. Sam Regard przyznawał się wyłącznie do kontuzji kostki i kolana.

Kilkudziesięciu wojowników niepalących się zbytnio do walki stwierdziło, że to ostatni zły omen, jaki są w stanie znieść. Dołączyli do strumyczka zbrojnych kierujących się na północ.

W dodatku kiedy tylko Regard usiadł na swym wielkim, jabłko-witym ogierze bojowym, zwierzę z początku nie chciało go słuchać. Kolejny zły omen.

Ledwo dwieście kopii ruszyło w bój za arnhandzkim królem, kiedy w końcu wyjechał w pole, by stawić czoło zwycięzcom spod Los Naves de los Fantas.

Z potężnym kacem i wciąż pijany, Piotr z Navai przybył na pole bitwy w tym samym czasie. Sklął hrabiego Alplicovę, że nie był dość stanowczy i bezwzględny, i odsądzał od czci i wiary, wyzywając od idiotów i zaściankowych tumanów, hrabiego czy też księcia, któremu nie udało się wykonać zaleceń Alplicovy. Zwołał ich wszystkich do siebie.

Niektórzy wielmoże pojawili się skruszeni, inni mieli buntownicze miny. Niejeden pośrednio sugerował, że brak szacunku Piotra dla swej królowej jego samego kosztuje spadek poszanowania ze strony innych. I nie chodziło bynajmniej o to, że wziął do łóżnicy inną kobietę, ale że uczynił to w rodzinnym zamku swej żony, nawet nie starając się zachować dyskrecji.

Piotr, król Navai, budził respekt większości chaldaran i cieszył się mirem wśród wrogów, niemniej jednak był na drugim miejscu w sercach poddanych. Wielbiciele dobrej królowej Isabeth wierzyli, że pisana jest jej świętość.

Stan, w jakim znajdował się Piotr, uniemożliwiał zdolność racjonalnego myślenia i rozważnego podejmowania decyzji. Jego sojusznicy widzieli to aż nadto wyraźnie. W tym momencie nie mieli wiary, choć właśnie teraz była im najbardziej potrzebna.

Król Regard poprowadził szarżę, kiedy tylko udało mu się ustawić swych ludzi. Gdy linia atakujących ruszyła, kilkunastu jeźdźców stało dalej — jak wryci.

Navayanie nie byli gotowi, mimo że Regard bardzo powoli i bez ikry przygotowywał się do natarcia. Było ich jednak mnóstwo. Większość Arnhandów poszła za Regardem bynajmniej nie z poczucia obowiązku i zupełnie bez entuzjazmu.

Navayanie też go nie mieli w nadmiarze, kiedy rozpoczęła się walka jeden na jednego.

Regard utkwiał wzrok w chorągwi Piotra i nacierał w tamtym kierunku. Wciąż kręciło mu się w głowie. Miał problemy z utrzymaniem się na koniu. Jego przyjaciele musieli go asekurować z lewej strony i przytrzymywać w siodle.

Nikt dobrze nie wiedział, co się dzieje, a chaos jedynie się pogłębiał. Wszystko zaczęło przebiegać w myśl zasady: każdy sobie rzepekę skrobie. Przewaga i doświadczenie Navayan powinny szybko wziąć górę, ale się nie ujawniły. Hrabia Alpicova nie zdołał uzyskać kontroli taktycznej. Król Piotr przybył za późno. Wielu jego rycerzy nie miało nawet pojęcia, że pojawił się na polu bitwy. Sporo też wyhamowało na bagnistym gruncie, starając się okrążyć zdezorganizowanych i dezorientowanych Arnhandów.

W pewnym momencie ktoś przewrócił konia Regarda. Jego ludzie otoczyli go kordonem. Udało mu się wrócić na siodło, kiedy wrogowie zaczęli krzyczeć, że zginął.

Całą walkę można było zaliczyć do najgorzej obsadzonych i najmniej kompetentnie dowodzonych bitew stulecia, pomimo obecności weteranów, wyszkolonych wojowników oraz słynnych dowódców. W gruncie rzeczy nikt nie miał zielonego pojęcia, co robić.

Po — jak się zdawało — całym wieku nierozstrzygniętych, chaotycznych potyczek prowadzonych bez przekonania król Piotr stracił panowanie nad wierzchowcem. Zwierzę miało już dość. Wierzgnęło. Król spadł.

Podczas walki z pramanami Piotr zaczął nosić zwykłą zbroję, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Direccioncy pramanie z książęcych rodów uważali go za wcielonego demona. W każdej walce cała ich strategia polegała na próbach usieczenia go w pierwszej kolejności. Tym razem też tak było, choć jego chorąży trzymał się blisko niego.

Oszłamiony upadkiem Piotr nie zdążył krzyknąć, kim jest. Jakiś piechur, który mógł się wzbogacić na okupie za Piotra z Navai, zabił zupełnie

anonimowego rycerza. Murarskim młotkiem wybił kilka dziur w Piotrowym hełmie.

Nikt nie zauważył. Nikt nie wiedział. Chaos wciąż trwał. Hrabia Alplicova starał się wprowadzić jakiś ład, ale bezskutecznie. Zaczął wyprowadzać swoich ludzi z kotła, chcąc przeformować szyki.

Khaureńska milicja obserwowała to wszystko ze zbocza oddalonego o kilkaset metrów od pola bitwy. Stali bezczynnie, bo nikt im nie wydał rozkazu.

Connekiańscy hrabiowie się nie pojawili, choć wysłano gońców do ich licznych obozów.

Tormond IV po końskiej dawce lekarstwa wyjechał w pole, by dodać otuchy swym wojskom. Był jednakowoż zdolny jedynie zachować pionową pozycję w siodle.

Lud na murach miasta zakrzyknął z rozpacz, złości i wściekłości. Któż ośmielił się wysłać Tormonda do boju? Płakali. Najwięksi pacyfiści nawet byli zgodni: ktoś, wszystko jedno kto, musi wydać rozkaz i Arnhandowie zostaną pokonani. Byli rozproszeni, zdeorganizowani i było ich zdecydowanie mniej niż obrońców. Ich król wciąż spadał z konia. To był prawdziwy cud, ślepy traf, że Navayanie jeszcze ich nie zmiażdżyli.

Posiłki Arnhandów miały wkrótce nadejść, to było pewne. Z Loterii i Peque ande Sales, a potem z licznych małych kontyngentów.

Król Jaime i jego podwładni zaskoczyli Captala du Days. Arnhandowie skuleni na dnie Loterii byli pewni, że pogoda uniemożliwi wszelkie działania wroga. Jedyne ostrzeżenie nastąpiło tuż przed szarżą Castaurigan, kiedy pojawili się uciekający zbieracze.

Król Jaime był równie zażartym i bezwzględny wojownikiem jak kochankiem. I tego dnia nie poświęcał uwagi doktrynie wypracowanej wiekami doświadczeń na polu bitwy. Nie marnował czasu na zbiórkę i rozstawianie wojsk, żeby jego natarcie miało maksymalny impet. Po prostu wjechał w dolinę i zaczął zabijać.

Rzeź była straszna, szczególnie dla ciżby — większości zaludniającej obóz. Sami rycerze, kiedy zdołali włożyć zbroję i wsiąść na konia, poradzili sobie niezgorzej.

Kiedy tylko walki przeniosły się w pobliże Khaurene, zaczęły się ciągnąć w nieskończoność. Obie strony prawie padały z wycieńczenia. Król Jaime

wciąż prowadził swoich ludzi do boju. Rzeź była tak makabryczna, uciekało tak wielu, że Castauriganie zdobyli przewagę, nawet w dowodzeniu. Captal został zabity, jak i większość jego dowódców i najwaleczniejszych zbrojnych.

Doradcy Jaime'a chcieli, żeby opuścił pole bitwy i wysłał ludzi, którzy jeszcze mieli dość sił, do Khaurene. Kolejne oddziały Arnhandów mogły nadejść w każdej chwili.

Żądza krwi i sławy wzięła górę i młody król odmówił ustąpienia. Zamierzał spędzić całą noc w obozie pokonanych. Wydawało mu się, że Haband będzie zbyt przerażony, by wyjść z Peque ande Sales.

Ale Haband nadciągnął. Po dziesięciokilometrowym, forsownym marszu jego ludzie i tak byli mniej zmęczeni niż Castauriganie. Uciekinierzy z Loterii dołączyli do sił Habanda, skwapliwie chcąc odkupić wcześniejsze tchórzostwo.

Ludziom Habanda brakowało doświadczenia. Były to przeważnie bezużyteczne typy spod ciemnej gwiazdy, które skrywały wrodzone tchórzostwo wewnątrz Kościoła bądź Stowarzyszenia. Potrafili być okrutni dla wroga już pojmanego i rozbrojonego, ale już nie za bardzo wobec uzbrojonego rycerza.

Przez chwilę wydawało się, że będzie to popołudnie epickiej rzezi, jaka nastąpi po porannej jatce i zakończy się tak samo. Ci o zajętych sercach, którzy walczyli rano, nie byli w stanie wykrzesać już z siebie iskry odwagi. Większość znów podała tyły.

— Wtedy zupełnie przez przypadek jakiś biskup w zbroi zwałił króla Jaime'a ze słaniającego się konia. Młodzik skończył pośród dzikiej płataniny pieszych. Później przypisywano ten czyn każdemu biskupowi, który przeżył. Haband sam się przyznawał do tego wyczynu, choć rzesze świadków umiejscawiały go o wiele dalej, w towarzystwie, które uważało, że są zbyt cenni, by ginąć w okrutnej dolinie.

Nie liczyło się jednak, kto to zrobił. Równie dobrze mogło to być zbłąkane ostrze castaurigańskie.

Castauriganie stracili chęć do walki. Wycofali się z niej. Brat Jaime'a, Palo, ledwo szesnastolatek, próbował ich zebrać pod swoją komendą. Chciał odzyskać ciało Jaime'a. Jego doradcy jednak twierdzili, że ciało się później wykupi. Rad nierad poprowadził tych, co przeżyli, na południe.

W gruncie rzeczy nikt nie widział, jak król ginie. Ale nikt nie wyrażał najmniejszych wątpliwości, że zginął.

Odwrót był w pełni profesjonalny. Urządzili zasadzkę na ścigających i zabili wszystkich Arnhandów, na jakich trafili po drodze.

Brat Świeca od wielu godzin tylko kręcił głową. Gest ten przeszedł mu w tik. Nie potrafił nad nim zapanować. Podobnie jak każdy Khaureńczyk i Direcjanin, nie mógł uwierzyć, że milicja stała jak głaz nieruchomo przez cały dzień. Byle idiota wiedział, co należy zrobić. Starzec zaczął mówić do siebie. Był wściekły, że opuścił Sant Peyre de Mileage. Powinien był wrócić do Navai Medien, zanim szaleństwo skieruje się w miejsce, w którego środku znajdują się krzyżowcy, wypierając Poszukiwaczy i prawdziwych Khaureńczyków.

Świat rządził się teraz swoimi prawami. Świeca przestał mamrotać, kiedy uświadomił sobie, że ci wszyscy, z którymi stał na murach, zniknęli. Przypominał sobie jak przez mgłę, jak Raulet i Kedle starali się go zmusić do zejścia. Pewnie go opuścili pod wpływem strachu.

Ta katastrofa niczym echo minionych wieków wydarzyła się tylko dlatego, że jego najstarszy przyjaciel nie potrafił podjąć decyzji. Choć trzeba przyznać, że tym razem Tormond zrobił wszystko, co mógł, by stać prosto i oddychać pełną piersią.

— Mistrzu! — Zniecierpliwiony głos. Próbował zwrócić jego uwagę od jakiegoś już czasu.

Brat Świeca odwrócił się.

— Hodier! Dlaczego cię tam nie ma wraz z księciem?

— Bo Isabeth kazała mi zostać tutaj i zająć się tobą.

— Nie ma się czym zajmować. Wszystko skończone. Hrabia Raymone ma insygnia i dokumenty.

— Wiem. — Herold Tormonda podszedł bliżej, oddzielając się od eskorty w całości złożonej z Direcjan. — A jednak może znaleźć się przyczyna opóźnienia przejścia — stwierdził. — O, tam. Król Piotr nie użył swego geniuszu, bo ma bardzo mało do zyskania. Tormond wciąż dycha, ale nie może nic zrobić. Magnaci nie chcą niczego robić, ponieważ boją się utracić Tormonda w bitwie. A konsulowie chowają się pod łózkami.

Hodier wygłaszał swój monolog dla ojczystego miasta. Starzec słuchał w milczeniu. Komplikacje przy sukcesji. Są plagą w każdym kraju, od dawien

dawna, i wywołują niekończącą się dezorganizację, zamieszanie i niedolę. Musi być lepszy sposób.

Nie spodziewał się, że zobaczy to jeszcze za swego życia.

Każdy plan, każdy spisec, każdy eksperyment społeczny załamywał się, kiedy tylko wkraczał najgorszy z możliwych elementów — czynnik ludzki.

— Aresztuj mnie, Hodier. Zabierz mnie, skoro musisz. Marnujesz tylko swój czas. I mój. Tę drobinę, która mi została. Obecnie jestem wyłącznie obserwatorem. — Podszedł o pół kroku, żeby móc oprzeć się o blankę.

Przy bramie cieśle zaczęli wstawiać wsporniki.

Hodier stanął przy drugiej blance.

— Tormond był tego świadomy. Prawie nie spał wczoraj w nocy. Żałuje, że nie postąpił inaczej. Kiedy jego ciało i umysł zaczęły normalnie funkcjonować, postanowił, że chce wyjechać w zbroi, tak jak w dawnych czasach, żeby Khaureńczycy przypomnieli sobie, jak Wielki Niezdecydowany bronił swego miasta. Mógł wyjść na bohatera. Wtedy bardziej pewny swego, dziki bohater, hrabia Raymone mógł nadciągnąć i go pomścić. Zbudował sobie całą tę legendę w myślach.

— Ale?

— Ale nie wziął pod uwagę Piotra z Navai. Piotr chce być wielkim wojownikiem chaldarańskiego świata. Większym niż cesarzowie Graala. Równie wielkim jak cesarzowie Starego Imperium. Pomimo sukcesów nie stał się nikim wielkim poza Dircją. I jest przekonany, że jeśli nie doda Connec do swego diadem, nigdy nie będzie tym, kim chce być.

— Musi rozmówić się z hrabią Raymone'em. — To mogło się udać. Hrabia Raymone Garete miał wielkie ego. Był wzorcowym przedstawicielem swej klasy. Ale był też żarliwym patriotą zdolnym oddać hołd lenny królom Navai, jeśli to ocali jego ojczyznę.

— Wierzę, że właśnie królowa ma nadzieję do czegoś takiego doprowadzić — stwierdził Hodier.

— Królowa?

— Isabeth. Wysłała mnie. Mówiłem ci. Postrzega sprawy dużo wnikliwiej i jej analiza wykracza poza ten dylemat. Myślę, że chce, abyś zaniósł wiadomość do hrabiego Raymone'a.

— Och, na miłość Aarona! Popatrz na mnie! Za tydzień skończę sześćdziesiąt siedem lat. Wszyscy starsi ode mnie są już dawno martwi. Nie przeżyję kolejnej przeprawy przez Connec.

— Może i tak. Nie mnie o tym decydować. Moim zadaniem jest sprowadzić cię do Isabeth. Z nią się możesz kłócić.

Brat Świeca spojrział na ułamek bitwy widoczny z jego punktu obserwacyjnego. Zobaczył jedynie głównie chaos. I wyglądało na to, że może się to jeszcze skończyć dobrze, pod warunkiem że khaureńska milicja ruszy się wreszcie.

Ci przy księciu Tormondzie, udając, że wciąż on rządzi, w końcu podjęli decyzję. Milicja miała wrócić do miasta. W chwili, w której niewielu conneckiańskich rycerzy zaczęło się w końcu zjawiać.

Kiedy zaczęły zbierać się poobijane oddziały wojska z Loterii i Peque ande Sales, hrabia Alplicova rozkazał swoim Navayanom iść za Khaureńczykami. Wciąż nie miał pojęcia, jak niewielkie mogą być posiłki Arnhandów. Nie miał wieści od Castaurigan, którzy wycofywali się, mijając miasto na zachód.

Dopiero później obliczono, że cztery tysiące Arnhandów i ich sojuszników padło tego dnia w bitwie. Wielu zmarło później od otrzymanych ran. Straty Navayan, Castaurigan i sojuszników obliczono na tysiąc czterystu, a ponad setka dostała się do niewoli.

Khaureńska milicja Tormonda IV naliczyła dwadzieścia trzy ofiary, w tym sześć w wyniku działań wroga.

Brat Świeca stanął przed pochmurną, wściekłą Isabeth. właśnie odprawiła ludzi pokrytych brudem, potem i krwią. Doskonały zgadywał, że wieści nie są dobre. W końcu się do niego odezwała.

— Mówią, że Piotr nie żyje.

Słońce chyliło się do snu na zachodzie. Jego światło wlewało się przez wysokie okna zakończone lukami, zalewając salę audiencyjną płynnym złotem. Niezbyt na miejscu, stwierdził brat Świeca.

— Jaime też nie żyje — dodała Isabeth. — Castauriganie się wycofują. Mówią, że zostawiają Arnhandów bardzo osłabionych. Zabili mnóstwo uciekinierów z pola bitwy.

Brat Świeca westchnął skupiony na popołudniowym świetle. Był to omen nadchodzącej ciemności. Odwrócenie starego powiedzenia, że po najmroczniejszej nocy nadchodzi świt.

Goniec oznajmił, że khaureńscy wielmoże przekonali Tormonda. Wojska miały zawrócić do miasta, nie zadawszy nawet jednego ciosu.

Isabeth nagle postarzała się o wiele lat.

— Pamiętaj, jaki był Tormond ostatnim razem, kiedy go widziałeś — zwróciła się do Doskonałego.

— Nie było to tak znów dawno, jak sobie zapewne przypominasz.

— Och, naturalnie. Ale Tormond, gdy wyjechał w pole dziś rano, był w gorszym stanie pomimo starań wszystkich czarowników i medyków. Nie powinien był jechać. Ale bez Eardale'a Dunna nie mieliśmy nikogo więcej. Mas Crebet i Casteren Grout to jakiś ponury żart. — Miała na myśli konsulów, khaureński odpowiednik burmistrza.

— Jest jeszcze Wasza Królewska Mość — zauważył Hodier.

— Guzik. Nie pójdą za kobietą.

— Może warto było spróbować — zauważył brat Świeca. — Ale ta szansa już zniknęła.

— Kto to wie? Jaime zginął. Piotr zginął. Tormond jest na krawędzi życia. Hrabia Raymone jest na drugim krańcu Connec, a Regard stoi u bram. Więc tak czy inaczej na mnie kolej. Dowiemy się, kto zniósłby rozkazy kobiety.

Doskonały był w próżni. Ściągnięto go do Meterlieux, by omówić pewną sprawę, która została zepchnięta na boczny tor przez kolejno pojawiające się wieści. Świat się zmienił dla wszystkich, tam gdzie stali.

— Panowie Navai wkrótce wrócą — powiedziała Isabeth. — To może być emocjonujące. Muszę się do tego przygotować.

Brat Świeca widział to wyraźnie. Bez Piotra, który potrafił ich okiełznać, Direccjanie prędzej by zaczęli traktować Khaurene jak miasto okupowane, a nie jak sojusznika w potrzebie. Mogliby sądzić, że jest to usprawiedliwione, gdyż Khaureńczycy mogli pokonać Arnhandów, ale postanowili nic nie robić. Nie można tego puścić płazem.

— Musimy działać szybko — rzucił Hodier.

Isabeth machnęła tylko ręką.

— Dziś zostałam królową matką. Ale mój syn jest jeszcze pacholęciem. W normalnych okolicznościach hrabia Alplicova zostałby regentem, dopóki Piotruś nie doszedłby do właściwego wieku. Będę do tego dążyć. Ale los włożył dzisiaj ciężkie, podkute buty. Żywa czy martwa, straciłam też dziś brata. Żywy czy martwy, nie będzie już brany pod uwagę przez książąt ani Patriarchów, których Tormond przynajmniej zawsze niepokoił.

Do komnaty wpadł szambelan.

— Grupa brotheńskich Episkopalnych pod wodzą braci ze Stowarzyszenia próbuje przejąć kontrolę nad północną bramą.

— Noszą nasze barwy? — zapytała Isabeth.

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— W takim razie zabić ich. Jeśli się poddadzą, zrzucić ich z murów.

— Wasza Królewska Mość? — zapytał zatrwożony.

— Żadnych wyjątków. Jeśli mają rodziny, je też wyrznać.

Choć zbulwersowany, brat Świeca dokonał w myśli chłodnej kalkulacji. Pokaz okrucieństwa teraz ocali życie wielu ludziom. Nie mógł też zdobyć się na odruch współczucia wobec tych, którzy mieli zamiar spalić go na stosie.

Szambelan zniknął.

— Zrobię co w mojej mocy, zanim zabiorą nam wszystko — powiedziała Isabeth. Zamilkła na chwilę. Brat Świeca też nic nie powiedział. Wymownie. W końcu Isabeth się zadumała. — Króla Jaime'a też zabili.

— W takim razie z bożą pomocą śmierć zabierze też króla Regarda — mruknął Hodier.

— Z bożą pomocą. Widziano, jak padał kilka razy. Ale zawsze się podnosił.

Brat Świeca w końcu zdobył się na zadanie pytania.

— W jakim celu się tu znalazłem?

— Jesteś agentem i apologetą hrabiego Raymone'a Garete — odparła królowa.

— Tego bym nie powiedział.

— Ja mówię. Byłeś przyjacielem Tormonda. Tak uważał. Moim też, ale już nie tak bliskim. Spałabym jak dziecko, bo moje sumienie nawet by nie drgnęło, gdybym kazała cię wrzucić do studni. Hrabia Raymone.

— Co z nim?

— No właśnie. Tormond uczynił z Raymone'a swojego spadkobiercą. Wszyscy zdolni powstrzymać Raymone'a przed objęciem schedy polegli dziś w bitwie. Chcę wiedzieć, czego możemy się spodziewać z Antieux. Czy hrabia Raymone chce zostać księciem? Jakim jest człowiekiem?

— Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „tak”, a na drugie, że jest uparty. Hrabia Raymone Garete jest taki, jakim zawsze lud chciał widzieć Tormonda, tylko że w dwójnasób. Zostanie księciem, ponieważ da mu to władzę, by ukarać każdego cudzoziemca, który nie chce go zostawić w

spokoju, nie mówiąc już o wtrącaniu się w sprawy Antieux i całego Connec.

— Mogłabym polubić tego człowieka raczej niż Raymone'a, którego pamiętam.

— Ostrzeżenie. Jeśli Raymone obejmie księstwo, będzie wojna.

— Teraz trwa wojna.

— Mam na myśli wojnę z udziałem każdego mężczyzny, kobiety i dziecka aż do chwili, w której Raymone Garete odda ostatnie tchnienie. Albo kiedy Arnhand i Brothe skierują swoje oczy gdzie indziej. Nawet śmierć Raymone'a nie zakończy jej. Hrabina Socia jest bardziej krwiożercza niż on sam.

Tym razem szambelan, który znów się pojawił w komnacie, donosił, że dowódcy milicji, którzy wcześniej siedzieli z założonymi rękami, teraz wpadli w nastrój roszczeniowy.

— Gdzie jest Alplicova? Chcę, żeby tu przyszedł. Powiedz tym ludziom, że wkrótce ich przyjmę.

Po kilku minutach udało się zlokalizować hrabiego Alplicovę i zaciągnąć go przed oblicze królowej. Nie nadawał się do audiencji. Nie opatrzono mu jeszcze ran. Był zajęty, przygotowując Khaurene do obrony, i nie przejmował się oczyszczeniem i opatrzeniem ran.

— Czy czujesz się na siłach, by wytrzymać rygory dowodzenia, hrabio?
— zapytała gromkim głosem.

— Jak zwykle, zrobię to, co trzeba. Nie ma nikogo innego.

— Może i masz rację. Zbierz zaufanych ludzi i sprowadź ich tutaj. Szybko. Wielmoże są w nastroju roszczeniowym. Po tym, czego wszyscy dziś dokonali na polu bitwy, nie jestem zbyt ugodowa.

— Całkowicie rozumiem Waszą Królewską Mość.

— Mistrzu.

Nagłe zwrócenie uwagi Isabeth na brata Świecę sprawiło, że aż podskoczył, bo trwał zatopiony w posepnej zadumie. Nawet nie upomniał jej, że tytuł „mistrz” jest niepoprawny.

— Wasza Miłość?

Navayańska królowa nie upomniała go, że nie lubi być nazywana „Waszą Miłością”.

— Nie mam teraz dla ciebie czasu. Nie znikaj mi nigdzie.

— Jak sobie życzysz, pani.

— W tej chwili pragnę odnaleźć brata. Ktoś wyniósł go z pola bitwy i jak sądzę, jeszcze dycha. Odnajdź go. Zajmij się tym. Zadbaj o niego. Hodier. Musisz stać się cieniem Mistrza. Tam gdzie on, tam i ty. Rób wszystko, co ci każe.

— Wedle rozkazu — odparł bez cienia radości.

Doskonały i herold zostawili królową — dwaj starsi panowie, którzy z radością zeszli jej z oczu.

Ku zaskoczeniu niewielu osób spoza ich własnych rodzin Isabeth arestowała dowódców khaureńskiej milicji. Rozeszły się pogłoski, że kilku z nich przyjęło łapówki od Stowarzyszenia — albo od Anne z Menandu czy Patriarchy — by unikali walki. Zdrada była o wiele ciekawszym wytłumaczeniem takiego zachowania niż niezdecydowanie czy niekompetencja.

W Khaurene czuć było dużo złości. Wierni Brotheńskiego Episkopalnego zbierali za to cięgi. Nikt, na kogo padł choć cień podejrzenia, nie ośmielał się pojawić publicznie, bo groziło mu zrzucenie z murów miejskich, wprost na zamoczonych Arnhandów starających się przystąpić do oblężenia.

Zaczęły przybywać mniejsze, rozproszone grupy Arnhandów.

Król Regard był zbyt zeszywniały i posiniaczony, żeby móc się ruszać. Wstrząśnienie mózgu dodatkowo powodowało krótkie omdlenia. Ale dostrzegł szansę. Był gotów uderzyć, zanim jeszcze Khaureńczycy wyjdą z osłupienia.

Regardowi jednak brakowało zwolenników, którzy podzielaliby jego wizję.

Ci, którzy walczyli i przeżyli, ci, którzy nie zdezerterowali, byli zbyt wycieńczeni, by zrobić coś więcej oprócz poruszania się, a nadchodzące grupy zbrojnych były wychłodzone, zmęczone i głodne. I wszyscy stanęli twarzą w twarz z heretykami gotowymi walczyć do ostatka. Tym razem nie uciekną do Altai. Nie tak wczesną wiosną.

Kiedy słońce zaszło, prace przy oblężeniu toczyły się dość chaotycznie przy sztucznym świetle. Trudno było dostrzec lecące strzały. Co oznaczało, że trudno było się uchylać.

Bicot Hodier wziął dwóch zaufanych gwardzistów i nakazał im iść za sobą i Doskonałym.

— Tak na wszelki wypadek. Niektórzy ludzie mogliby skorzystać z nadarzającej się okazji.

Brat Świeca mruknął coś, łapiąc oddech, by nadażyć. Ale zrozumiał. Khaurene znajdowało się na krawędzi chaosu. Awanturnicy mogliby skorzystać z takiej okazji, widząc w niej nie tylko wytwór swej wybujałej wyobraźni. Ale i tak ruszyliby do działania.

Hrabia Alplicova zaczął aresztowania miejskich możnych i dowódców milicji, zanim herold i Doskonały zlokalizowali Tormonda.

Księżę został zanieiony do domu konsula Sieur Casterena Grouta. Wraz ze współkonsulem, Sieur Masem Crebetem, nie pojawili się na porannej odprawie i tym samym nie wyruszyli wraz z milicją w pole. Było to olbrzymie zaniedbanie obowiązków, jako że Crebet był przede wszystkim odpowiedzialny za poprowadzenie zaciągu miejskiego, gdyby wystąpiła taka konieczność.

Brat Świeca zastanawiał się, czy w pogłoskach o łapówkach jest jakieś ziarno prawdy.

Konsulowie nie byli zachwyceni przybyłymi gośćmi. Ale Sieur Casteren Group zrozumiał delikatną naturę swego położenia. Odegrał wspaniałe przedstawienie, ubolewając nad stanem zdrowia księcia.

Tormond był rzeczywiście w strasznym stanie. Brat Świeca zakazał przemieszczania go. Posłał po brata Forniera. I bardziej zaufanych żołnierzy, gdyby Grout i Crebet mieli kolejny napad bezdennej głupoty.

Isabeth powiedziała do brata Świecy: Ostatnio wykorzystywaliśmy cię bezlitośnie. I dałeś z siebie wszystko. Ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, zanim udasz się w ostępy. Arnhandowie zamierzają jutro przypuścić szturm na północną bramę. Obrońcami są głównie Poszukiwacze. Gdybyś zjawił się tam z moim bratem, dodałoby to im otuchy.

Morale Khaureńczyków upadło. Ci, którym się wydawało, że nie ucierpią, jeśli król Regard zatriumfuje, zaczęli mówić o podjęciu rozmów o kapitulacji. Ci zagrożeni ze strony Stowarzyszenia i Kościoła przyjęli odwrotne stanowisko, podobnie jak królowa Isabeth w imieniu Navai, jej męża i syna.

Siły Navayan zmaląy, kiedy Isabeth wysłała rozlicznych posłańców po całym imperium Piotra, by ostrzec każdy garnizon i każdego prokonsula, że mogą się spodziewać niepokojów.

Trudno było utrzymać wszystkie zdobycze Piotra, bez względu na to, jak wierni pozostawali hrabia Alpicova wraz ze swymi towarzyszami. Alpicovę wysłała z powrotem do Oranja, by chwycił w dłonie ster państwa za jej syna. I żeby się upewnił, że Piotruś jest bezpieczny od jakichkolwiek skrytych ambicji innych.

Brat Świeca zrozumiał, czego pragnęła Isabeth. Wraz z Tormondem stanowili symbol khaureńskiego nieposłuszeństwa. Bezbronni starszycy, fundamenty odrodzenia się khaureńskiej dumy.

Ta kobieta była mądra.

Ojciec Forniere pozostał przy księciu na tyle długo, że ten mógł wstać o własnych siłach. Z niejaką pomocą. Wraz z bratem Świecą zajęli miejsca na murze o dwadzieścia metrów od północnej bramy dobrze chronionej przez zapory. Doskonale wyjątkowo miał na sobie białą szatę. Zebrał wiwaty od obrońców, z których wielu znał. Ledwo dwa metry dalej pani Archimbault, jej córka i sąsiadki stanowiły wyłącznie żeńską załogę lekkiej balisty.

Gdzie są Raulet i mężczyźni? Jedyńi, których widział, byli mniej więcej w wieku brata Świecy.

Gdzieś tam każdy mężczyzna, który był w stanie się poruszać, został wezwany do przygotowania kontrataku. Biorąc pod uwagę niedawny popis, zanosilo się na katastrofę.

Arnhandowie zaczęli przysuwać maszyny oblężnicze do murów miasta. Nie było to łatwe zadanie. Musieli się poruszać po skarpie pod górę, pod ciągłym ostrzałem. Często dosłownie w ogniu. Khaureńskie maszyny miotały zapalone pociski. Nachylenie terenu i wysokie mury dawały obrońcom znaczną przewagę, jeśli chodzi o zasięg.

Płonące pociski dokonywały poważnych zniszczeń. Dwie wieże oblężnicze pokryto świeżą skórą. Jakiś geniusz kazał zakryć zastawy strzelnicze mokrą słomą, w wyniku czego stały się ciężkie, choć odporne na ogień. Podobnie postąpiono z żółwiem przykrywającym taran do rozbicia bramy. Pozostałe niewielkie zadaszania na kołach miały ukryć saperów, którzy próbowali wwiercić się bezpośrednio w mur. Gdzie indziej inni saperzy najwyraźniej zaczęli drążyć tunele.

Król Regard zebrał niezwykły zestaw artyleryjski — cała broń była standardowa, podobnie jak przechwycone działo. Król przygotował broń, odpowiednio ją zabezpieczył i tak rozpoczął się pojedynek z amatorami skrytymi na szczycie murów.

Regard się nie przebrał. Miał na sobie pyszną zbroję i barny, a przemieszczał się w otoczeniu heroldów i chorążych. Jego grupa stanowiła ulubiony cel obrońców.

Każdy, kto nań patrzył, zauważył, że z Regardem jest coś nie tak. Był powolny, wykonywał niezgrabne ruchy i wyglądało, jakby miał zawroty głowy. Ale chciał być wyłącznie na czele, zagrzewając swych krzyżowców i kierując ogniem artylerii. Czerpał dziką radość, własnoręcznie kłując Khaureńczyków. Wyrывał kusze piechurom i pędził naprzód, by wystrzelić bełt. Był doskonałym strzelcem. Blanki ocaliły wiele istnień.

Brat Świeca nie mógł wyjść z podziwu, widząc ducha pewnej zażartej Poszukiwaczki, która obsługiwała okoliczne maszyny strzelnicze.

— My mamy najwięcej do stracenia, jeśli wedrą się do środka — stwierdziła Kedle.

Kobieta miała wyraźną smykałkę do mordowania. Kiedy tylko samorzutnie przejęła dowodzenie nad konkretną balistą, każdy zaostrowany pręt uderzał tam, gdzie mógł siać największe zniszczenie. Jej celne oko sprawiło, że kilka machin oblężniczych wroga zamilkło na dobre. Wyrznęła też wielu zbrojnych próbujących zbliżyć się do niej w wieży oblężniczej.

Jej niezwykły talent wywołał zamieszanie wzdłuż muru. Ludzie przychodzili zobaczyć, co ona takiego wyprawia. Nie umiała tego wyjaśnić. Nosiciele amunicji pilnowali, by jej ekipie nie zabrakło pocisków. Pewien stary mechanik stał w pobliżu, na wypadek gdyby jej działo wymagało naprawy.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby do Doskonałego w posępnym uśmiechu i w tej chwili przypomniała mu Socię Rault. Zmusił się, by odwzajemnić uśmiech, a potem poszedł zobaczyć uruchamianie broni podobnej do używanych na okrętach wojennych w czasach klasycznych.

Żółw chroniący taran Arnhandów podpełzł do bramy. Ludzie w środku zaintonowali pieśń pracy.

Za plecami Doskonałego wybuchła jakaś sprzeczka. Odwrócił się.

Zmaterializował się tam Soames Richeut. Chciał energicznie odciągnąć Kedle z jej stanowiska, pomimo zjadliwych obelg rzucanych przez wszystkie kobiety wokół. Soames patrzył na nie wilkiem, jakby chciał zapamiętać ich twarze.

Kedle nie zamierzała odchodzić. Jej towarzyszki aż nadto dobitnie dały do zrozumienia, że nie dadzą jej nigdzie ciągać.

Brat Świeca zastanawiał się, kto zajmuje się dziećmi.

Soames zaskamlał z bólu, kiedy jego teściowa szturchnęła go tępym końcem pocisku, który miała właśnie załadować na balistę.

Brat Świeca odwrócił się z powrotem do żurawia. Jego długie ramię, dyndające nad arnhandzkim żółwem, obciążone było jednotonowym kamieniem zwanym popularnie „delfinem”. Doskonały nie miał pojęcia, skąd się tu pojawił. Bardziej przypominał penisa niż morskie zwierzę. Bez względu na nazwę czy pochodzenie był bardzo skuteczny, kiedy uderzył.

Pierwszy cios sprawił, że popękały i zdeformowały się potężne bale tworzące żółwia. Załodze żurawia zajęło dwadzieścia minut, pod ostrzałem, by znów podnieść delfina. Drugi cios przebił się przez drewno i ranił kilkunastu zbrojnych. Trzeci raz delfin spadł o metr dalej i było jasne, że nie można już odciągnąć żółwia do naprawy.

Direcjańscy weterani zrobili wypad za bramę, wyrznęli załogę żółwia i podpalili go. Arnhandowie musieli usunąć szczątki przed sprowadzeniem kolejnego tarana pod bramy.

Obsługujący wyciąg zaczęli przesuwać go, by zaatakować saperów kruszących mury — choć ci i tak już musieli radzić sobie z gorącym piaskiem, kruszącym się kamieniem oraz bombami zapalającymi.

Brat Świeca wciąż rozmawiał z księciem, jakby Tormond wszystko rozumiał i dowodził obroną. Usadzono go w taki sposób, żeby widzieli go okoliczni obrońcy, z których wszyscy brali udział w tej mistyfikacji.

W gruncie rzeczy nie było konkretnego dowództwa, jak stwierdził brat Świeca. Ludzie robili to, co uważali, że trzeba robić, szukając tylko tego, co potrafili robić najlepiej.

Soames Richeut zniknął na godzinę, po czym wrócił, by znów nagabywać Kedle. Nie był delikatny. Podobnie zresztą jak przyjaciółki Kedle wobec niego.

Doskonały stracił cierpliwość do złego męża. Podszedł, by go zrugać. Załoga Kedle odsunęła zasłonę, by wypuścić kolejne śmiercionośne drzewce.

Ktoś na zewnątrz czekał tylko na taką okazję.

Richeut zaszedł balistę Kedle od przodu, uniemożliwiając jej strzał. Arnhandzki bełt wbił się w jego prawą skroń i przebił mu głowę. Strzelec krzyknął: „Trzynasty!” - z akcentem z Pail.

Brat Świeca stał się świadkiem najbardziej spokojnego mordy, jaki kiedykolwiek widział, bo Kedle Richeut pomściła swego męża, zanim jeszcze jego ciało przestało drgać. W sekundę po tym, jak świętujący skończył sobie gratulować.

Wśród Arnhandów narastał z wolna tumult. Kiedy brat Świeca odważył się zerknąć, dostrzegł pstrokato odzianego króla Regarda podtrzymywanego przez jego heroldów. Pocisk Kedle przebił go na wylot, unieruchamiając w miejscu. Żył wciąż jeszcze, ale to nie mogło długo potrwać. Rana w brzuchu wykończy go wolno. Jedyne jakiś genialny mag mógłby mu pomóc, co było niepodobieństwem w armii, w której panoszyło się Stowarzyszenie.

Kedle nie czekała na łapiduchów. Posłała kolejny pocisk. Przeszedł przez ciało koniuszego Regarda, Thierry'ego, a następnie przez króla i zaczopował się w pośladku królewskiego spowiednika, Simona du Montriera.

Brat Świeca widział to, po czym odwrócił się i zobaczył, że Tormonda podniesiono, by mógł zobaczyć wroga. Księżę zagulgotał coś, co zdaniem Doskonałego brzmiało jak: „Tego nie będzie można przebić”.

Tak się tworzy historia, pomyślał brat Świeca. To jest jej ostry szpikulec. Trzech królów w jednym tygodniu. Być może trzech najważniejszych władców zachodniego świata. Wszystko się teraz zmieni.

Przyszłość rzeczywiście jawiła się smętnie. Sukces krucjaty calzirskiej, kampanii artecipeańskiej oraz triumf pod Los Naves de los Fantas mogły się okazać drobnymi potyczkami przy wydarzeniach ostatnich kilku dni.

Jedynie Doskonały podchodził do tego w ten sposób. Na murach zaczęto tańczyć i śpiewać oraz rzucać obelgi na wroga. Później całe miasto ruszyło do jednej wielkiej popijawy, oczywiście po tym, jak w końcu milicja ruszyła do boju. I odniosła takie zwycięstwo, że jedynie najbieglejsi w nogach wśród Arnhandów i mętów ze Stowarzyszenia zdołali uciec.

Khaureńczycy zostali ocaleni, choć zapłacili za to okrutną cenę. Ale burza wciąż wisiała nad resztą Connec.

Lucidia: Ostatnie podrygi

Na podstawie instrukcji z Shamramdi Nassim Alizarin zamknął ruch na trasie za Tel Moussą. Przywodził swoich żołnierzy na skraj wyczerpania, kąsając Niewiernego. Wróg, był tego pewien, zrozumie, że coś się szykuje. Nie można w końcu przechwycić wszystkich pojedynczych podróźnych. Ci, którzy się przedrą, będą roznosić plotki. We wszystkich państwach krzyżowych Amhandowie gotowali się na najgorsze, choć nawet dowódcy Indali nie mieli pojęcia, co zamierza ich władca.

Syn bratanka Indali brał udział we wszystkich pracach. Za każdym razem się przebierał. Pracował ciężiej niż sam Góra, do czasu gdy kurier przyniósł wezwania od Indali. Chłopak od razu wyjechał, w towarzystwie tylko kilku zbrojnych w swoim wieku.

Góra stał na wysokim murze. Obserwował jego odjazd, aż widać było tylko ślad po Azimie w postaci dalekiego tumanu kurzu. Zaangażował się w chłopaka emocjonalnie. Azim był taki, jaki mógł się stać jego Hagid.

— I za chwilę nastanie nowa era — odezwał się ktoś.

Nassim wrócił do swojego codziennego świata. Stał na murze w towarzystwie Kościeja i starego Aza, trzonu renegackich sha-lugów z Tel Moussy.

Azer er-Selim przemówił.

— Znaczy co? — zapytał Nassim.

— No popatrz tylko tam. Dalej, niż spoglądałeś. Widzisz rozmazanie na horyzoncie?

Nassim spojrział, ale niczego nie dostrzegł.

— Może to te twoje stare oczy. Ja widzę to, co zawsze tam widziałem. Nie igraj ze mną, Mistrzu Duchów.

— Nic na to nie poradzi, Wodzu — stwierdził Kościej. — Kiedy uczą tych wielbłądojebców ich fachu, poddają ich chłóście, jeśli powiedzą coś prostym językiem. Chodzi o to, by wszystko było mętne, żeby później nikt nie twierdził, że się pomylili.

Nassim patrzył na Kościeja długą chwilę. Kościej rzadko miał coś więcej do powiedzenia. Teraz usłyszał jego tygodniową porcję gadatliwości w pigułce.

Er-Selim też był zaskoczony. I zirytowany.

— No dobra, ale będzie po wszystkim, kiedy stary uściśnie Anioła Śmierci. Nasz pracodawca, nie ufając nam nigdy do końca, ukrywał, że ma zamiar najechać na al-Minfet.

— Co takiego?

— Indala przez rok udawał, że przygotowuje się do ataku na Ziemię Świętą. Przekonał wszystkich. My byliśmy głównym elementem w przekonywaniu obu stron.

— Ale ty wiesz, że jest inaczej?

— Tak. Ponieważ ja wyciągnąłem korzyści z naszych odwiedzin w Shamramdi. Wsadziłem swój nos tam, gdzie trzeba. Słuchałem. Wysilałem mózgownicę. — Stary Az zamilkł na chwilę, po czym dodał: — To jasne, jak się poobserwuje rodzinę Indali i zaufanych towarzyszy. I trzeba ignorować paplanie tych głupców z dworu al-Fartebiego.

— Daruj sobie gratulacje — powiedział Góra. — Gadaj.

— Już powiedziałem. Indala chce najechać na Dreanger, zająć al—Karn i zjednoczyć dwa kaifaty.

Nassim poczekał, aż ta myśl się lekko przegryzie, po czym zauważył:

— To stwarza dylemat moralny, prawda?

— Tylko jeśli się uprzesz. Choć udział w rewolcie przeciw Gordimerowi Lwu to nie to samo, co dołączenie do obcego przedsięwzięcia mającego położyć kres żywotom Gordimera i al-Minfet. To moralna rozterka, jakiej Indala nam oszczędził, trzymając nas w nieświadomości.

— Odpokutujemy za to.

— Czy Indali się powiedzie czy nie, sha-lugowie będą nas obwiniać.

— Może powinniśmy wysłać ostrzeżenie, póki jeszcze mamy tam przyjaciół?

— A uda nam się? Niezauważenie? Czy Indala nie dowie się, kogo może winić za to, jak zastanie Lwa, który będzie na niego gotowy?

— I tak może nas obwiniać, bez względu na to, co zrobimy.

— Jesteśmy bardzo przekonujący jako kozły ofiarne.

Nassim się zastanawiał.

— Może i Lew się złąjdaczył, a Łotr jest jeszcze gorszy, ale to nie są sha-lugowie, nawet nie Dreangerowie. W Shamramdi byli dreangerańscy agenci. Nic o takim zasięgu nie może pozostać tajemnicą. Słyszano pogłoski aż w al-Karn. Dano im wiarę, ponieważ geografia zmusza Indalę do nadejścia z północy.

— Jest jeszcze przepowiednia. Z całą pewnością podnosi Lwu ciśnienie.

Nassim zamyślił się, a potem powiedział:

— Będzie ciekawie, jeśli to jest spełnienie przepowiedni. — I dodał po chwili: — My róbmy swoje. Nic więcej. Nic mniej. To był nasz udział. — Zastanawiał się, czy Indala ma zamiar użyć go jako swojej marionetki. — Lepiej sprawdźmy naszą obronę — rzekł. — Gdybym ja był księciem krzyżowców, zaatakowałbym Shamramdi, jeśli Indala i Gordimer wzięli się za łby.

Kościej zdawał się być myślami zupełnie gdzie indziej. Nie było w tym nic niezwykłego w jego przypadku.

— Mamy jakieś pojęcie, co się stało z Łotrem? — zapytał po chwili.

Ten czarownik, zrehabilitowany na krótko, miał znów jakąś sprzeczkę z Gordimerem, raczej na tle religijnym niż z powodu złego zachowania. Lew nie miał za złe er-Rashalowi, że jest psychopatycznym łajdakiem, dopóki pozostawał wiernym pramańskim psychopatycznym łajdakiem. Ale przekroczył granicę, kiedy starał się wskrzesić starożytne demony.

Marszałkowi zajęło wiek cały, żeby zrozumieć, iż jego poplecznik darzy go nie większą miłością i szacunkiem niż sha-lugowego czeladnika Hagida, którego kazał zamordować z powodów znanych wyłącznie jemu.

Gordimer nie zrozumiał wiadomości, którą miało przekazać wystawienie głowy Rudensa Schneidela. Gdyby tylko nie był zaślepiony niezwykłą i zaciętą użytecznością er-Rashała. Ale w końcu doszedł prawdy.

Er-Rashał el-Dhulquarnen był zdeklarowanym, zaciekłym wrogiem Boga.

— Znów się ukrywa — powiedział Azer er-Selim. — Najpewniej wśród swych przodków na Wzgórzach Martwych. Wcześniej już się tam udał.

— Nic nas to teraz nie obchodzi — stwierdził Góra. — Kiedy tylko Bóg obwieści nam swoją decyzję... będziemy wiedzieć, jak stawić czoło przyszłości.

Patrzył na północ, w stronę odległego Idiam. I przejmował się, że tamto miasto umarłych, choć oddalone o setki kilometrów, tak bardzo zatręło mu duszę. Jednak nie zbliżył się nawet do niego podczas wypadów za granicę królestwa śmierci. Nie widział niczego, co sugerowałoby, że najbliższe otoczenie Idiam różni się od obszarów wokół niego. Były nawet dowody na to, że ktoś mieszka na tych nawiedzonych ziemiach.

Żaden dobry pramanin nie zapaściłby się tam z własnej woli.

Nassim obawiał się Andesqueluz, jakby lękał się o swoją duszę. A mimo to nawiedzone miasto przyciągało go. Choćby tylko po to, by mógł zaspokoić ciekawość.

— Kościej. Az. Opowiedzcie mi znów o Andesqueluz.

— Nie mam nic nowego do dodania — stwierdził Kościej.

— Ale spróbuj.

— Jego reputacja pozwala myśleć, że było to duże miasto — rzucił Azer.
— Dawno temu. Wątpię jednak, żeby kiedykolwiek mieszkało tam więcej niż tysiąc osób. Usytuowane jest na szczycie góry. Nie jest to wielka góra, niemniej jednak ma nazwę, Asher. Wszystkie budynki są albo wykute w skale Asher, albo zbudowane z kamienia góry.

— Ich święte miejsce — mruknął Nassim.

— Najświętsze ze świętych, dla tych pogan. Było ich zamkniętym królestwem. Uprawiali rośliny na niewielkich górskich poletkach, by mieć żywność. Żeby tam wejść, pielgrzymi musieli przytargać ze sobą koszyk ziemi.

— Tak tego niewiele, a jednak tyle pamiętamy — rzucił Góra lekko zaniepokojony wiedzą Azira.

— Każdą ścianę zdobią tam piktogramy. Łatwo je można odczytać. Mieszkańcy Andesqueluz trudnili się eksportem strachu. Ich czarownicy zbierali hołdy od wszystkich władców w tej części świata.

— W czasach, kiedy królowie byli kimś więcej niż wioskową starszyzną.

— Andesqueluz było potężne, ale zrobiło coś, co uraziło cały świat, który zjednoczył się i zniszczył Andesqueluz, mordując mieszkańców do ostatniego dziecka na rękach, a potem odszedł, zostawiając miasto i Idiam na zawsze. Panował strach, że nie zło zostało całkiem zniszczone, lecz ludzie. Zło trwało w uśpieniu. Nie można było go zniszczyć z powodu duszy góry Asher, którą jest sam Przeciwnik.

Nassim nie usłyszał niczego nowego. Znów zadał pytanie, które zadawał już wielokrotnie.

— Czego chciał er-Rashal od tych zmumifikowanych czarowników?

Z pewnością miało to coś wspólnego z Asher. El-Dhulquarnen już próbował wskrzesić Seskę, Nieskończonego, kolejne złe starożytne bóstwo.

— Słyszałem o tym coś nowego — powiedział Az. — Po tych wszystkich latach. Nie ma to nic wspólnego z Asher. Ale i tak jest nie do przyjęcia przez Wiernych.

— Proszę, powiedz.

— Myślę, że er-Rashal chce zostać dominującym. Chce stać się jedną z Delegatur Nocy.

— Masz rację. Prawdziwi Prawowierni nie chcieliby nawet o tym słyszeć. Mógłbyś mieć kłopoty, gdybyś tylko powiedział to komuś, kto w ten sposób myśli.

— I dlatego poszukiwanie dominacji wyszło z mody.

— Z pewnością. Az, masz coś do dodania w tej sprawie? Słyszałem coś podobnego o Artecipei. Czyżby Bastard wplątał się w taki niebezpieczny plan, opierając się jedynie na spekulacjach? Czy nie zechciałby się upewnić, że jest w stanie zmienić się w bóstwo, zanimby zaryzykował?

— Tego nie wiem. Nigdy nie myślał jak normalny Wiemy. Ale próby przemiany w bóstwo były powszechne w czasach starożytnych. Piktogramy w Andesqueluz świadczą o tym, że dominacja była źródłem egzystencji miasta. Poganie musieli odnosić jakieś sukcesy w tej dziedzinie. Co może jest wyjaśnieniem, dlaczego Idiam jest wciąż uważany za nawiedzony. Jeśli złe starożytne moce wciąż tam się włóczą po nocach.

— Widziałeś jakieś konkretne dowody?

— Nie. Ale wszyscy mieliśmy wrażenie, że coś nas obserwuje. Cały czas. Spotkanie z fałszywym kapitanem Tage'em było naszym jedynym bezpośrednim zetknięciem z Nocą.

— Wciąż nic — westchnął Nassim. — No dobrze. Powinniśmy mieć ciekawe lato. Jak myślicie? Czy Arnhandowie pomogą Gordimerowi? A może usiądą sobie wygodnie i będą oglądać przedstawienie?

— To może zależeć od tego, kto będzie najgłośniej ujadł — stwierdził er-Selim. — Wszystko będzie się koncentrowało w Vantradzie. To największe państwo krzyżowe i jedno z najbliższych potencjalnych miejsc kontaktu. Do tego położenie Vantradu koliduje z linią komunikacji Indali.

Ale król Berismond jest schorowanym chłopcem pod pantoflem starszej żony, której umysł trawi choroba. Indala jakimś cudem ją podkupił. Jednak znajdują się inni Arnhandowie, którzy dostrzegą niebezpieczeństwo zjednoczenia kaifatu.

Nassim spojrział na północny zachód.

— Byłaby to wymarzona sytuacja dla Rogerta du Tancret.

— Jeśli uznają Berismonda za niezdecydowanego czy słabego.

I jakże może się uwolnić od manipulującej nim Klotyldy?

— Al-Adil sugerował, że coś mogło się stać Czarnemu Rogertowi.

— Zawsze istnieje taka możliwość. Dla każdego z nas. Jakiś zamachowiec tutaj też mógłby przeniknąć. Ale du Tancret ma fenomenalny zmysł i wyczuwa zagrożenie na kilometr. Być może przyczyną jest miłość do Nocy. Nie opieraj żadnej strategii na założeniu, że zamachowcy usuną go z drogi.

— Myślałem tylko na głos. To nie jest mój problem. Mamy tu wystarczająco dużo zajęć.

Nassim zszedł po schodach na dół, rozmyślając o Azimie al-Adilu. Młody Az odnalazł drogę do jego serca. Byłby zdruzgotany, gdyby chłopak poszedł wprost w mrok, w ślady Hagida i Ambel.

Indala zapytał go, czy śmierć Ambel uczyniła z niego zepsute narzędzie. Zepsute nie. Ale widniało na nim wiele pęknięć.

Sha-lug Mohkam zbliżył się do Nassima, kiedy ten był już przy swojej kwaterze.

— Jest list od Akira — wyszeptał. — Udało mu się kupić pięćset kilo prochu. Przybędzie statkiem z Shartelle. Musimy wysłać ludzi na ich spotkanie. Devowie zaproponowali też baterię sześciu dwukilowych dział za sześćset osiemdziesiąt apariońskich dukatów za sztukę, jeśli weźmiemy cały zestaw.

— To tanio. Coś z nimi nie tak.

— Tam to już starość. Akir mówi, że wytrzymały liczne strzały próbne.

— Jeśli to możemy dostać. Dostosujemy się. Skąd ta rozrzutność z prochem?

— Akir mówi, że znaleźli sposób, jak produkować go w dużych ilościach dużo taniej.

— W takim razie oblicze wojny się zmieni.

Mohkam wzruszył ramionami. On nie musiał się przejmować.

— Dziękuję ci — powiedział Nassim. — Teraz muszę odpocząć.

Tsistimed i Wybrani

W niezwykłe metodyczny w eliminowaniu wrogów. Jego największym wyzwaniem od wielu pokoleń byli Wybrańcy wraz ze swymi dziwnymi towarzyszami. Żaden inny wróg nie ruszył za nim od ponad stulecia. Inni zadowalali się wyczekiwaniem na swój los, kiedy ich odnajdzie sam.

Tsistimedzie Złotym nie było ani krztyny przebaczenia. I był Ghargarlicea będzie cieszyła się chwilą wytchnienia, kiedy Tsistimed zlikwiduje zagrożenie ze strony wiecznej zimy.

Hu'n-tai At ruszyli z wiosennymi roztopami. Ścigali cofający się mróz wiedziony przez Wybranych, którzy opuścili swego paskudnego boga zimy.

Nie była to wojna z dużą liczbą potyczek. Znajdowano tylko zagłodzone ciała zamrożone przy drogach prowadzących do bardziej znośnego klimatu. Wielki pan stepu wiedział już w środku lata, że Wybrani nie będą stanowili zagrożenia.

Żaden człowiek nie pozostał na południe od ziem będących we władaniu Tsistimeda. Mógł obrócić teraz uwagę na Imperium Ghargarliceańskie, choć ten podbój nie przebiegnie tak szybko, jak by chciał.

Hu'n-tai At potrzebowali czasu, by odzyskać siły. To może zająć nawet dziesięciolecia. Tsistimed nie był z tego zadowolony.

Studnie Mocy wciąż słabły. Nie przeżyje ich o wiele dłużej.

Ich moc oraz potęga Nocy podtrzymywała go przy życiu. Kiedy trwały, trwał i Tsistimed Złoty. Kiedy zmarnieją, Tsistimed Złoty umrze.

Dziedzina Bogów: Wielka Forteca Niebiańska

Korban Żelaznooki i jego oddział wracali po własnych śladach do Dziedziny Bogów. Kiedy Heris i Cloven Februaren przybyli tam z Bastardem, Heris wykrztusiła zaskoczona:

— Kuuurde! Po Dwakroć Wielki! Pobili nas! Zaraz komuś łeb rozwałę! Wydymali nas, bo przez całą tę cholerną zimę szli do tego cholernego zamku.

— Niezupełnie. Uspokój się. Nie potrafią przemierzać naszego świata i przemieszczać się tam, dokąd chcą. Muszą najpierw pokonać trasę na piechotę, ze znanego im punktu wejścia.

— Tak jak u mnie było z Konstruktem, gdy zaczynałam.

— No właśnie. Ale pamiętaj, tutaj czas płynie inaczej.

Mogło tak być. Żelaznooki wykorzystał tę różnicę, by się doprowadzić do porządku po podróży.

Heris od razu rozpoznała dominującego — choć z perspektywy czasu nie było w tym nic niezwykłego. Był jedynym nieznanym niekrasnoludem. I nawet pod postacią Asgrimmura Grimmssona emanował potężną aurą. Jeszcze bardziej, kiedy przyglądał się Bastardowi, synowi i wnukowi fragmentarycznych Delegatur wewnątrz siebie.

Bastard nie zareagował na obecność dominującego. Był niepokieszony. Dopadły go dziwaczne postacie z mitów, porwały i nic na to nie mógł poradzić. Jednak kiedy dominujący się zbliżył, Bastard podskoczył, jakby go ktoś ukłuł.

— Teraz już wierzy — stwierdził Februaren.

Spojrzenie Bastarda skierowało się ku górze, do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej, i odbudowanego tęczowego mostu.

— To wszystko jest realne.

— Oczywiście, że realne — odparł Februaren. — Bez względu na to, w co wierzysz.

— Ja wierzę w Ferrisa Renfrowa. W nic więcej.

— Nawet nie w Nowe Imperium Brotheńskie? — zapytała Heris.

— W takim razie Ferris Renfrow jest również prawdą wewnątrz Nocy — Februaren wtrącił swoje trzy grosze. — Udajmy się do tawerny. Tam będzie nam wygodnie. Jarneyn i Svavar mogą ci opowiedzieć historię twojej rodziny.

Dominujący warknął. Upierał się, że ze Svavarem skończył raz na zawsze.

Februaren celowo go sprowokował, by powstrzymać potrzaskane dusze przed wywieraniem zbyt dużego wpływu.

Przez gardła bywalców tawerny płynęły hektolitry przedniego krasnoludzkiego piwa, a Bastard słuchał. Znał rozmaite opowieści o Arlensul i Gedanke, ale zapewniał, że nigdy nie podejrzewał jakichś osobistych związków z tymi bóstwami. Przyjął chaldarański światopogląd. Te stare bajania były dla niego tylko wiejskim folklorem i skompromitowaną mitologią.

— Nigdy? — zapytała Heris z niedowierzaniem.

— Ani razu. To zbyt niedorzeczne. I heretyckie. A kiedy byłem młody, każdy szarlatan z jakim takim talentem magicznym twierdził, że jest pomiotem Arlensul. Kościół zabił najbardziej przekonujących.

— Nie zacząłeś niczego podejrzewać nawet po tym, jak się przekonałeś, że masz tę wielką moc? — Heris przedzierzgnęła się sama w naczelną inkwizytorkę. Nie pochłonęła takiej ilości piwa jak mężczyźni. A do tego Renfrow ją intrygował.

— Niby dlaczego? Czy Februaren podejrzewał, że jest Bastardem?

— Cóż, no jest. To pewne. Powinieneś popracować dla niego.

— Heris! — Februaren nawet nie tracił czasu na okazanie rozbawienia.

— Podejrzewałem wiele — odparł Bastard. — Ale że mogę być odbiciem skompromitowanych bogów, to nie. Zrozumiano?

Dziewiąty Nieznany dał Heris klapsa w tyłek.

— Nie wtrącaj się. My tu próbujemy ocalić świat.

— Lepiej się przygotuj, że będziesz to robił o kulach.

— To kwestia rodzinna — wyjaśnił pozostałym. — Jej brat na przykład...
Heris przerwała mu:

— Mogę ocalić świat sama, niepotrzebny mi żaden Bastard. Dajcie mi hakownicę, tonę prochu i czterysta kilo posrebrzanych koralików. To cholerne ścierwo wciąż tam leży. — Posłała Februarenowi groźne spojrzenie, żeby przypomnieć, że jej brat nie miał w tym żadnego udziału. Zważywszy na to, że Renfrow ukrywał swą tożsamość.

Februaren skinął głową i zapytał:

— A kiedy ostatnio tam byłaś?

— Ach. Może i masz rację. Trochę dawno. Ale istnieje taka możliwość i nie wymaga całego tego zamieszania w innych światach, odszukiwania zaginionych bogów i konieczności znoszenia zgryźliwych istot mitycznych.

— Uważaj, co mówisz, ślicznotko — zawarczał Żelaznooki.

— Trzeba coś powiedzieć w tej sprawie, waląc w sedno naprawdę wielkim młotem. Ale skupmy się na tym, co tutaj robimy.

Bastard osuszył dżban.

— Proszę bardzo, to widoczny dowód, że on jest z nadprzyrodzonych — rzuciła Heris. — Jakbym wypła to, co on porozlewał, toby mnie pozamiatało. Ale po nim nawet nie widać.

Nie była to cała prawda, lecz Heris była blisko.

— Może i jestem tym, o kim mówicie — odezwał się Bastard. — Nie znajduję żadnych argumentów przeciw. A jeśli tak, to zabierajmy się do tego mistycznego interesu i zróbmy, co mamy zrobić. Mam pewne zobowiązania w prawdziwym świecie. Ludzie zaczynają rozrabiać, kiedy mnie tam nie ma.

— Doskonale powiedziane — przyznał Februaren. — Ja też nie sprawdzałem od dawna, co słyhać u moich. Svavar...

— Spróbujmy coś raz na zawsze ustalić, starcze. Nie Svavar. Jeśli musisz, to Asgrimmurze, ale nie Svavarze.

— Aja wołę: Ferrisie Renfrow — dodał Bastard. — Bastard ma niezbyt szczęśliwe konotacje.

Februaren zerknął na Korbana Żelaznookiego. Aelen Kofer wzruszył ramionami i przysunął kolejny kufel do swej brody.

— Ja tu jestem tylko wyrobnikiem, Synu Człowieczy. Jednym z ludu, co to przynieś, wynieś, pozamiataj, Aelen Kofer.

Februaren nie miał ochoty na sprzeczki. Bo Żelaznooki właśnie tego chciał. Miał ochotę pokłócić się, dla zabawy. On i jego plemię jeszcze nie zdystansowali się od tej przyrodzonej cechy północy.

— Asgrimmurze, ty powinieneś się teraz przemienić — rzucił Dziewiąty Nieznany. — Mamy tutaj... człowieka, którego potrzebowałeś. Jest z nami. Wiesz, w jaki sposób zapieczętowałeś Delegatury. Wiesz, czego potrzeba, by je uwolnić. Teraz więc będę niczym Żelaznooki. Jestem wyrobnikiem... będę tu siedział i czekał na polecenia.

Dominujący gdzieś głęboko z siebie dobył niski ryk, jakby pochodził z paszczy jakiegoś wielkiego potwora. Równie dobrze tak mogło być. W Dziedzinie Bogów postacie i cechy często istniały poza widzialną sferą.

Ferris Renfrew wraz z dominującym usiedli razem. Renfrew głównie słuchał. Februaren i Jarneyn spierali się o coś, co nie miało zupełnie sensu dla Heris. Została wychowana we Wschodnim Obrządku wiary chaldarańskiej i przeszła do Brotheńskiego Episkopalnego po tym, jak została uratowana przez Grade'a Drockera. Uśpione mity Wschodu nie przypominały za bardzo mitów Zachodu. Jak podejrzewała, już wystarczająco musiały mieszać w jego własnym panteonie.

— Czy jest jakiś powód, dla którego każesz mi tu siedzieć, Po Dwa-kroć Wielki? — zapytała Heris. — Zrobiliśmy, co do nas należało. Wyrwaliśmy Bastarda z jego siedziby i sprowadziliśmy go na miejsce.

— To prawda. I prawdopodobnie nic tu więcej po tobie, bo kończą się twoje możliwości. Ale kroczysz po prawdziwym micie. Nie ciekawi cię choćby odrobinę, jak jest wewnątrz Wielkiej Fortecy Niebiańskiej?

— O tyle, o ile — przyznała. — Ale przecież ona się donikąd nie wybiera, prawda? Zawsze mogę wrócić, kiedy w końcu ją opanujecie.

— To może się stać za kilka miejscowych godzin.

Dominujący wraz z Bastardem doszli do wniosku, że muszą się przyjrzeć na własne oczy fortocy. Musieli stwierdzić, co jest możliwe, zanim zdecydują, co mają robić.

— Nie byłem dalej niż na stopę na tęczowym moście — przyznał dominujący. — Nie chciałem tam niczego zepsuć, nie mając na podorędziu fachowców, którzy by mogli to naprawić.

— Aelen Kofer przechodzili przez most, żeby go sprawdzić, ale do fortecy nie wchodzili — przyznał Żelaznooki.

— Udajmy się teraz na spoczynek — zaproponował Februaren. — Wyruszymy tam jutro skoro świt.

To był dowcip. Jedynie Jarneyn go zrozumiał. Nagroził wysiłek skrzywieniem ust.

W Dziedzinie Bogów zawsze było samo południe.

Heris nie odeszła. Wspięła się na górę.

Był tam pojedynczy, wielki kiel wznoszący się w niebo. Widok zapierał dech w piersi. W Dziedzinie Bogów było coś więcej niż tylko port i miasteczko Aelen Kofer. Było dawno temu.

Wiosna nadeszła do najbliższego lasu, który rozciągał się w głąb łądu. Ale w oddali kolor bladł i zieleń bardzo szybko zmieniała się w barwę trawy zbyt długo przykrytej kamieniem. Jeszcze dalej rządziły już niepodzielnie szarości od czasu do czasu zabarwione wyblakłym brązem.

— Nie było wystarczającej mocy zewnętrznej, by ożywić cały ten świat — wyjaśnił dominujący.

Cloven Februaren chciał coś dodać, ale dyszał za ciężko. Wspinaczka wykańczała go, nie mógł jednak pozwolić, żeby Aelen Kofer wsadzili go na jeden ze swych wózków ciągniętych przez kozy.

Kozy Aelen Kofer były rozmiarów śródziemskiego łośia.

— Może dlatego, że magia jest rozrzedzona, wszystko w oddali wygląda na sztuczne — zauważyła Heris. — Jakby wszystko było zręcznie wykonanym malowidłem. Jakby ktoś się miał rozpędzić i wpaść na ścianę z namalowaną na niej resztą świata.

— Możesz mieć rację. — Żelaznooki pokiwał głową. — W pewien sposób, choć nie dosłownie. Ten świat rzeczywiście robi się mniej realny, im bardziej wszystko oddala się od Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Tak zawsze było. Teraz tylko jest to bardziej oczywiste. Gdybyśmy całkowicie zamknęli się przed światem śródziemia, za kilka tysięcy lat nie przetrwałoby nic oprócz artefaktów Aelen Kofer.

— Budujemy od wieków! — wtrącił się inny krasnolud.

Dotarli do tęczowego mostu. Jarneyn uśmiechnął się na tyle szeroko, że było to widać przez gęstwinę jego brody.

— I tutaj wszystko się wyjaśni.

Tęczowy most był tym, na co wskazywała jego nazwa. Nie był wielkim łukiem powstałym po burzy, lecz zakrzywionym fragmentem szczytu łuku rozciągającym się nad przepaścią o szerokości prawie stu metrów, głębokiej na pół kilometra, której dno skrywała mgła. Most był jasną plataniną jaskrawych barw. I był przezroczysty.

Mgła na dole zawirowała, co było widać przez tęczę. Ściany przepaści niczym bazaltowy nóż wbijały się wprost w dół. Na niektórych widać było kości olbrzymów, którzy padli podczas jednej bądź drugiej napaści tej rasy na Dawnych Bogów, wieki temu.

— To bardzo krzepiący widok — rzuciła Heris.

— Wspaniała fosa — zauważył Renfrow.

— Trzymajcie się środka mostu — ostrzegł Jarneyn. — Zawierzcie własnym stopom. Wasze oczy będą kłamać. I unikajcie nieprzyjaznych myśli.

Chwycił wodze najdalej stojącego koziego wozu i skierował go na plataninę kolorów.

— Póki co, schowam swoją dumę za pazuchę — wyszeptał Cloven Februaren.

— Po Dwakroć Wielki, czyżbyś miał zamiar pełzać?

— Mam zamiar wsiąść do jednego z tych wozów.

Aelen Kofer przechodzili przez most gęsiego, radując się klęską ludzi. Renfrow wpakował się na koziego wóz i zacisnął mocno powieki.

— Heris? — zapytał dominujący. — Ty też wsiadasz do wozu? — Najwyraźniej chodziło mu o to, że powinna się pospieszyć. — Okazje szybko mijają.

Coś w tonie jego głosu, niczym iskra troski o kobiecą słabość, zirytowało Heris.

— Nie, ja idę na piechotę.

Ruszyła naprzód, kierując się radami Jarneyna. Zaufaj stopom, a nie oczom i instynktowi. Unikaj złych myśli — do tego i tak nie była zdolna. Jej całe jestestwo skupiło się na stopach.

Dominujący szedł za nią na tyle blisko, że mógłby ją złapać, gdyby źle stanęła. Nie była tego świadoma.

Februaren wysiadł z wozu i czekał na końcu mostu. Złapał Heris za dłoń, kiedy stanęła na solidnym gruncie.

— No i proszę. Ale popatrz na Renfrowa. — Siedział wciąż w kozim wozie i trzął się cały. — Być może najpotężniejszy człowiek Imperium Graala. Dziecię boga. Zauważyłaś coś?

— Niekoniecznie. Chyba że nauką z tej lekcji jest to, że ciągle siedzi w wozie.

— To też. Oraz to, że nadal ma zamknięte oczy. A jego dłonie wciąż drżą.

— No i? Jaka z tego płynie nauka?

— Nie pozwól, by twa duma cię zabiła. Nie musiałaś nikomu niczego udowadniać, dziewczyno. Musiałaś przejść tę przeprawę żywa.

— Hmm?

— Naprawdę. Nie musisz imponować Jarneynowi i jego kompanom.

— Nie musi, ale i tak warto było zobaczyć, jak przechodzi przez most — stwierdził Żelaznooki. — Lista śródziemców, którym się to udało, jest bardzo krótka.

— Dajcie już spokój, zabierajmy się do roboty! — warknęła Heris.

— No dobrze. — Renfrow zsiadł z wozu. — Przekonaliście mnie na dziewięćdziesiąt osiem procent. — Spojrzał wilkiem na tęczyowy most.

— Wejźdźmy do środka i wtedy będziesz miał stuprocentową pewność — zaproponował Februaren.

Sam obrzucił most spojrzaniem. Głos mu drżał.

Heris nagle zrozumiała. On się bał. Dziewiąty Nieznany był przerażony!

Do diabła! Po uważnym przyjrzeniu się twarzy wszystkich stwierdziła, że każdy był przestraszony. Nawet Aelen Kofer i dominujący.

— Po Dwakroć Wielki, nie zaplanowałaś tego do końca, prawda?

— Tak, dziecko?

— Do tej pory plan był taki: wchodzisz do środka i otwierasz drogę. I masz nadzieję, że Delegatury Nocy będą grzeczne. Będą bardzo wdzięczne i będą chciały współpracować.

— To nieco zbyt uproszczony obraz...

— Ale prawdziwy. Czy jest coś w tej mitologii, że spodziewałaś się, iż zareagują tak, jak chcesz? Czyż nie są niegodziwie samolubne?

— Jesteś zbyt surowa.

— Ona ma rację — przerwał Renfrow. — Karle. Żelaznooki. Czy mieliście jakiś bardziej przemyślany niż ten, o którym mówi dziewczyna? A może ty, Asgrimmurze?

— Zamierzam wymusić na nich przysięgę, że będą się dobrze zachowywać i że pomogą nam w zamian za uwolnienie — powiedział dominujący. — Zanim ono nastąpi.

Niepewna, czy ma się obrazić, czy zarumienić za nazwanie dziewczyną, Heris powiedziała:

— Dorastałam w innej części świata. Nie znam szczegółów mitologii północy. Ale czy jeden z uwięzionych nie był nazywany Oszustem? Czy sama jego wredna natura nie zmusi go, by sobie z nami zatańczyć?

— Masz rację. Stokrotną rację — mruknął niepocieszony Żelaznooki.

— W takim razie musimy mieć środki, by go okiełznać — stwierdziła Heris. — Albo każdego z nich, kto nie będzie chciał być powolny.

— To są bogowie, kobieto. Nie dadzą sobie wykręcić rąk.

— Nie obchodzi mnie, jacy są.

Żelaznooki wzruszył ramionami i odwrócił się.

— Dominujący, teraz ciebie pytam. Zajrzyj do swego środka i znajdź ocenę...

— Już to zrobiłem. Ona ma rację. Choć może ryzykować wieczne uwięzienie, Oszust będzie czegoś próbował. Ale mamy dostatecznie dużo czasu, by Dawni Bogowie dowiedzieli się o tym, co się teraz dzieje. Pozostali powinni zaakceptować warunki uwolnienia.

— Potrzebujemy w ogóle tego Oszusta, by poradzić sobie z Kharoulke? — zapytała Heris. — Nie możemy go tam zostawić?

— Będziemy potrzebować ich wszystkich — odparł dominujący. — I nawet Oszust, jeśli pozna i zrozumie całą sytuację, będzie się dobrze sprawował dopóty, dopóki prawdziwe zagrożenie nie zniknie.

Oczy Dziewiątego Nieznanego się zwięzły.

— Heris. Dziewczyno ty moja. Znów coś knujesz. Błagam cię. Tylko nie przeciw bogom. Nawet nie przeciwko pogańskim bogom.

— Nie zrobię niczego głupiego. Ale chcę, żeby to wszystko się skończyło. Teraz. Zaplanujmy punkt po punkcie plan działania bez udziału piwa.

Stali ledwo o kilka kroków od bramy w wieży wiodącej do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

— To było sto razy wspanialsze miejsce — oznajmił Żelaznooki. — Teraz jest ledwo tak piękne jak zamek w śródziemiu. Tylko większe.

— Karle, skup się! — warknęła Heris. — To jest nieistotne. Mamy tutaj sprawę z Delegaturami.

Renfrow mruknął coś do Clovena Februarena, który z kolei powtórzył starą śpiewkę:

— Uwierzylibyście, że trzy lata temu bała się własnego cienia? Winię za tę przemianę mojego wnuka. No i trochę jej brata.

— Po Dwakroć Wielki, za dużo gadasz. Sprawy rodzinne powinny pozostać w rodzinie. — I Heris zakłęła na dokładkę. Jeśli Renfrow nie zrozumiał po wysłuchaniu staruszka, to ona sama uczyniła wszystko tak jasnym, że powinien zacząć notować.

Renfrow jednak wydawał się niezainteresowany. Był pod wielkim wrażeniem siedziby swojego rodu.

Bramy Wielkiej Fortecy Niebiańskiej były otwarte, tak jak zostawił je dominujący. Jedno skrzydło opierało się na ułamanym zawiasie.

— Doszliśmy tylko do końca tęczowego mostu — odezwał się Korban Żelaznooki. — Naprawy w fortocy są niepotrzebne.

— Ciarki mnie przechodzą na widok tego miejsca — rzucił dominujący. I skierował się wprost przez bramę.

W środku panowała bezbarwna, szara, pozbawiona życia aura. Moc ze świata śródziemia nie dotarła na szczyt góry.

Za bramą rozciągała się płaska, otwarta przestrzeń. Po obu stronach znajdowały się pozostałości po dawnych ogrodach i sadach. Magia zniknęła.

— Wiele nie pamiętam — stwierdził dominujący. — Za pierwszym razem byłem tu więźniem. To, co widziałem, było mniej barwne niż teraz. Ostatnim razem byłem zbyt zdjęty szaleństwem, by się rozglądać. Aelen Kofer będą musieli nas poprowadzić.

Heris skierowała się w lewo, ku ruinom sadu, przypominając sobie, że było to miejsce święte Starej Bogini. Pozostałości jabłoni pokrywały osad i grzyby.

Czy to źle wróży całej misji? Bogowie za sprawą tych owoców utrzymywali nieśmiertelność. Ale wyglądało, że z kolei stan sadu zależy od kondycji bogów.

— Czy to wszystko zwiędło, od kiedy byłeś tu ostatni raz?

— Nie wiem. Możliwe — odparł dominujący.

— Po Dwakroć Wielki, może to nie będzie tak niebezpieczne, jak się obawiałam. Ale tak czy inaczej musimy podjąć wszelkie środki ostrożności. Staruszek wyglądał na zagubionego.

Bryła fortecy wznosiła się przed nimi, wprost niebosięzna. Nie miała barwy. Słońce padało na nią i ginęło.

Heris wciąż przepytywała dominującego. Ten z kolei był niewzruszony.

— Ja byłem tu tylko więźniem. Nie wiem nic.

Zerknęła na Żelaznookiego. Krasnoludzki lord wzruszył ramionami.

— Dawne dzieje — rzucił. — Kiedy skończyliśmy budowę, to już tak nas nie zapraszali.

Warknęła więc na dominującego.

— Części ciebie tu żyły. Wystarczyło tego, żebyś obrócił tę twierdzę w perzynę.

Dominujący zeszywniał. Potem zaczął puchnąć.

Heris nie mogła powstrzymać języka.

— Jasne. No dalej. Zmieniaj się w rozdrażnioną wkurzoną bestię. Przemień się w coś, co byłoby brzydsze od ciebie takiego, jaki teraz jesteś. To będzie bardzo pomocne. — Odwróciła się do niego plecami. — Po Dwakroć Wielki, ta cała wyprawa za chwilę się rozleci. Najwyraźniej nie jesteśmy na nią przygotowani, może z wyjątkiem Asgrimmura. Jak Dawni Bogowie nie będą nam powolni, to nasz dominujący zacznie się trząść i nadymać.

Choć nie było to zbyt grzeczne, staruszek wydawał się bardziej zadowolony niż zagniewany.

— Wciąż trafiasz w samo sedno. Słyszałem. A teraz powiedz coś użytecznego.

— Musimy przypilnować, by nie było takiej ewentualności, że sobie pójdą, nie robiąc tego, czego od nich chcemy. Znaczy się, że te cholerne drzwi powinny być zamknięte na cztery spusty, zanim otworzymy areszt. Musimy zużyć całą dostępną magię, która wciąż tu jest. Czyli musimy posłać Aelen Kofer do domu, żeby Dawni Bogowie nie mogli ich zmusić do zorganizowania ucieczki do śródziemia. Mogę nawet pożyczyć kilka zabawek Gisorsa na wypadek, gdyby trzeba było ich skłonić do zmiany stanowiska.

— Kochana dziewczynka! — Februaren był rozpromieniony. — Myślę, że odnaleźliśmy naszą Dwunastą Nieznaną. A do tego jaką mądrą. I

rozumiem, co chcesz powiedzieć. Panowie. Moja uczennica, jak zwykle, postawiła niezwykle istotny problem. Nie ośmielamy się zostawiać niczego przypadkowi. Nie będziemy wywoływać doskonale znanych nocnych demonów.

Obserwując Heris, Ferris Renfrow zauważył:

— Zadufany w sobie czarodziej stał się banałem. Nie bez powodu pewne rzeczy stają się banałami.

Heris uśmiechnęła się do niego blado. Niezwykłe.

— Żelaznooki — powiedziała. — Możemy się do tego dostosować. Z pomocą Aelen Kofer. Chodź, pogadamy.

Skierowała się z powrotem w stronę tęczowego mostu.

Cloven Februaren patrzył za nią. Kraśniał z dumy.

— Doskonale sobie radzi — zamruczał i dodał po chwili: — Chłopaki, a może byśmy przeszukali ten śmietnik, żeby nie marnować czasu?

Wódz Prawowiernych: Harcownicy i najeźdźcy

Wkroczenie Wodza Prawowiernych do Wschodniego Imperium było całkowitym zaskoczeniem. Bezpośrednią reakcją na te wieści praktycznie wszędzie było, że tamtejsi ludzie na granicy mylą się albo wpadają w panikę.

Hagan Brokke i Clej Sedlakova poprowadzili jezdnię piechotę w błyskawicznych zrywach, by izolować zakłady Krulika i Sneigona. Carava de Bos i Rivademar Vircondelet mieli okazję zademonstrować, że wiara Titusa Zgody w ich umiejętności nie była próżna. Przemierzali knieję wokół zakładów, nawiązując przyjazne stosunki z miejscowymi, a potem z najemnikami strzegącymi factorii.

Wódz Prawowiernych dotarł do niezliczonych hut, odlewni, tartaków i pieców do produkcji węgla drzewnego w pięć dni po rozpoczęciu najazdu. Nie napotkał najmniejszego oporu.

Carava de Bos sprowadził zarządzających. Hecht rozmawiał z niektórymi z nich po zniszczeniu ich brotheńskiego przedsiębiorstwa. Przysięgli, że ograniczą sprzedaż swych produktów siłom patriarchalnym.

Hecht zignorował ich zaklinania.

— De Bos. Masz spis magazynowy?

— Nie mam tylu palców, panie.

— Co takiego?

— Przepraszam, panie. Kiepski żart. Jest niepełny. Jest tyle prochu strzelniczego, że nie damy rady go stąd wywieźć. I tak samo będzie z

bronią. Znalazłem prawie sześćdziesiąt gotowych jednostek broni. Właśnie zaczęli pakować dostawy.

— W takim razie przybyliśmy w samą porę.

— To prawda, panie. Czy mamy zacząć wszystko rozwalać?

— Tak. I nie marnujcie czasu. Prędzej czy później ktoś ze Wschodniego Imperium stwierdzi, że coś trzeba z tym zrobić.

Hecht całymi godzinami jeździł po obiekcie, sprawdzał wszystko i nie mógł wyjść z podziwu. Krulik i Sneigon dokonali tu prawdziwych cudów.

Miejscowi pomagali przy rozbiórce. Hecht pozwolił im zabrać wszystko, co chcieli, oprócz broni, prochu i rzeczy osobistych strażników, którzy stanęli za harcownikami. Pozostali zostali goli i bosi po odjeździe Prawowiernych, ale zachowali życie.

Titus Zgoda wolał się nie pokazywać. Nie potrzeba mu było więcej wrogów wśród devedian. Skierował się w dół rzeki, do Liume, by wynająć statki żeglugi przybrzeżnej. Hecht chciał jak najszybciej zabrać swój łup na ziemi Imperium. Najbliższa zaprzyjaźniona kraina leżała za Morzem Vierahskim.

Drugiego dnia po południu do Hechta podszedł Clej Sedlakova.

— Co my zrobimy z tymi wszystkimi devami, szefie?

— Chyba nie myślisz, że powinniśmy ich tak zostawić, nago na deszczu?

— Dlaczego nie? — Clej pokręcił głową.

— Bo oni zaczną wszystko od nowa. Może tutaj, może gdzie indziej. Ale teraz wydaje im się, że ich zabijesz, żeby tego nie zrobili.

— A ty myślisz, że słusznie podejrzewają?

— Tylko nie każ mi tego robić. Aż taki twardy to ja nie jestem.

— Byłoby to poważne marnotrawstwo talentu i umiejętności. Zabierzmy ich z sobą. Możemy ich zamknąć na cztery spusty w Hochwasser. Mogą tam sobie uprawiać swój fach w służbie Imperium.

— Mamy z nich zrobić niewolników?

— Raczej robotników przymusowych. Mój ojciec stwierdziłby, że to wyborne.

— Wyłuskaj tych najwartościowszych. Niech Vircondelet zabierze ich jak najszybciej.

— Tak, panie. — Ulga, jaką odczuł Sedlakova, była aż nadto widoczna.

Dlaczego nie uwierzył, że zostawi się ich nago i bez stawy?

Hecht spojrział pobieżnie na spadek zostawiony mu przez Redfearna Bechtera. Czy było w nim coś więcej niż tylko dziennik Grade'a Drockera? Jeśli tak, nie potrafił tego dojść. A Drocker nie był typem człowieka, który zabawia się skomplikowanymi układankami i zagadkami.

Cesarzowa przybyła w towarzystwie niespełna setki dworzan i gwardzistów, kiedy Sedlakova poszedł się zająć więźniami. Nie wyglądała na spokojną. Hecht podejrzewał, że jest chora i tylko robi dobrą minę do złej gry. Podbiegł, by ją powitać, uciszając protesty, które — jak był pewien — słyszała już setki razy. Była tutaj. Będzie musiał udawać, że się cieszy.

Katrin nie zamierzała robić tajemnicy ze swego przybycia.

— Chcę, żeby Monestacheus Deleanu wiedział, że to mój kaprys, nie zaś samowola mojego Wodza Prawowiernych. Nie można pozwolić wrogom Boga, by zbroili się w tę straszną broń.

A potem wzięła górę zachłanność. Wciąż myślała o oszczędnościach, jakie to przyniesie cesarskiemu skarbcowi.

Obecność Cesarzowej wzmogła jedynie ogólny chaos.

Wódz Prawowiernych otrzymał wezwanie od Cesarzowej wieczorem na drugi dzień po jej przybyciu. Gwardzista, który przyniósł wiadomość, powiedział mu, że Cesarzowa zamierza spożyć z nim wieczerzę. I że ma się odziać stosownie do okazji.

Oznaczało to pospieszną kąpiel i zmianę odzieży. W polu rzadko odróżniał się strojem od pozostałych żołnierzy.

Narzekał, bo mogło to spowodować opóźnienie w wyruszeniu w dalszą drogę. Zakończywszy misję, był gotów do wymarszu.

Cesarzowa zajęła kwatery zarządzających faktorią. Czyli warunki spartańskie. Nie miała nic przeciwko temu, choć do pomocy miała jedynie dwie znerwicowane dziewczyny. Resztę zostawiła pod pieczę gwardzistów, którzy, co Hecht zauważył, zabierali się do pracy z posępnymi minami.

Ochrona impulsywnej Cesarzowej mogła być większym wyzwaniem niż ochrona Naczelnego Wodza. Katrin nie musiała zjawiać się w niebezpiecznych miejscach. Nie musiała wcale być trudna. Ale czuła się nieodrodną córką swego ojca.

Katrin nie była w dobrym nastroju.

— Czy to twój najlepszy strój? Wyglądasz jak jeden z twoich ciurów.

— Obawiam się, że tak, Wasza Miłość. Nie spodziewałem się, że będę musiał włożyć coś lepszego.

— No i dobrze poszło. — Katrin zmieniła temat. — Co dalej?

— Wracamy do Hochwasser i do Alten Weinbergu. Później regularne ćwiczenia i planowanie na następny rok. Na razie powinniśmy wysłać szpicę do Ziemi Świętej. To, co wiemy teraz, to tylko garść pogłosek.

Katrin siedziała za osłoną dużego, surowego stołu. Pozostała tam bez ruchu, a co jakiś czas cień bólu spowodowanego niewygodą chmurzył jej lico. Z całą pewnością nie czuła się dobrze.

Jeden z gwardzistów przyniósł krzesło i ustawił je na wprost niej. Wskazała Hechtowi miejsce, zachęcając, by usiadł. Zaczęła mówić o sprawach związanych z krucjatą oraz o Imperium, ale wydawała się trochę rozkojarzona.

Pojawiło się pierwsze danie, jakaś miejscowa potrawa, której Hecht ani nie rozpoznał, ani się w niej nie rozsmakował. Były to kulki ciasta wypełnione mielonym mięsem, nieznanymi przyprawami i dziwnie posiekаныmi warzywami.

— Ich ludzie najwyraźniej nie pławili się w luksusach. Widać to po tych frykasach.

Hecht poczuł zapach kawy. Od razu usiadł prosto i spojrzał w stronę drzwi, za którymi zniknął obsługujący ich gwardzista.

Katrin zmusiła się do uśmiechu.

— Niektóre rzeczy są zbyt cudowne, by z nich rezygnować, choć zupełnie nie przeszkadza mi proste życie.

Pojawiła się kawa z czymś, co okazało się zarówno głównym, jak i ostatnim daniem — pieczonym combrem jakiegoś bliżej niezidentyfikowanej zwierzyny, którą stołowy gwardzista podzielił raczej zgodnie ze statusem niż z możliwościami uczujących.

Hecht spał się, jadł powoli, mówił o planach i miał nadzieję, że zniknięcie gwardzistów i nieobecność dworek nie jest zapowiedzią kolejnej niezręcznej sytuacji.

Katrin zaczęła schodzić na tematy osobiste. I zrobiła się ujmująca. Trochę jedzenia, kropelka wina czyniły cuda z jej nastrojem.

Wypytywała go o jego przeszłość i plany na przyszłość, o Annę Mozillę, dzieci, co prywatnie myśli o Hespeth i o jego uczucia względem niej. Wiedziała, że dla Pipera Hechta to drażliwe sprawy. Jak zwykle doszła do

pytania, które zdawało się ją cały czas pochłaniać: czy między nim a Hespeth do czegoś doszło?

— To jest dla mnie kłopotliwy temat, Wasza Miłość. Odpowiedź brzmi „nie”. Nie doszło. Ani też nie dojdzie. Wiedziałem, że trudno byłoby mi zachować swoje miejsce, gdyby tak się stało. — Później musiałby obracać się w kręgu niebezpiecznych kłamstw.

— Hespeth by nie nalegała. Hespeth jest sumienna, jeśli chodzi o powinności wobec Imperium. Ale szturchaniec w odpowiednim czasie i miejscu rozłożyłby ją na ziemi z nogami w górze.

Katrin dręczyła go. Starła się go sprowokować. I była zazdrosna o Hespeth. Znów.

— Niełacno mi mówić o tych sprawach, Wasza Miłość. Moje zadanie polega na pomocy Waszej Miłości w wyzwoleniu Ziemi Świętej.

— Jako Cesarzowa możemy podle naszej woli określać twoje zadania, Wodzu Prawowiernych — oznajmiła, po raz pierwszy w jego obecności używając pluralis maiestatis. Z drzeniem w głosie.

Hecht był teraz przerażony nie na żarty. Wiedział, do czego zmierza Katrin. Nie miał zamiaru być obecny, kiedy tam w końcu dotrze. Ale nie widział też drogi ucieczki.

— Słyszałeś pogłoski o moim prywatnym dworze, Wodzu? — Głos był jeszcze bardziej drżący.

Nie potrafił zaprzeczyć.

— Słyszałem, Wasza Miłość. To z pewnością plotki rozpowszechniane przez waszych wrogów, Wasza Miłość. Wszyscy władcy muszą się zmagać z takimi kalumniami.

— Ale obawiasz się, że może być w tym wszystkim ziarno prawdy, mam rację?

— Nie moje zadanie się tym zajmować. Moja misja...

— Pogłoski mogą być prawdziwe, Wodzu. Zafascynowało mnie spółkowanie ludzi. Kazałam niektórym moim damom dworu kopulować z kochankami, a ja patrzyłam. Niektórzy znajdują w tym przyjemność.

Większość, jak podejrzewał, czuła się upokorzona. Ich wstyd był tym, czym Katrin karmiła swój wewnętrzny mrok.

— Nie myślisz o mnie dobrze przez to wszystko. Cóż, sama o sobie nie mam najlepszego mniemania. Nie oglądałam tych, którzy nie chcieli. Tak czy inaczej, chciałam zaspokoić swoją ciekawość.

Hecht był w kropce. I jakoś jej nie wierzył.

— Oczywiście. Nie jestem już dziewicą. Czemuż miałyby to mnie ciekawić? Ale miałam tylko doświadczenie z Jaime'em. A on nigdy nie był takim kochankiem, o jakim szeptały, chichocząc, moje damy, kiedy myślały, że nie słyszę. Jaime był brutalem. Nie robił niczego, bym chciała być z nim, kiedy przelewał nasienie. Moi agenci dotarli do innych kobiet, które wykorzystywał podczas swojego pobytu w Al-ten Weinbergu. Nie zachowywał się w ten sposób wyłącznie wobec pogardzanej małżonki.

— Wasza Miłość, błagam. Nie powinienem tego słuchać.

— Ale słuchasz. Jaime z Castaurigi jest, był, przełomowym wydarzeniem w życiu Cesarzowej. Jaime z Castaurigi stworzył to, co widzisz: kobietę chorą na ciele i duszy. Kobietę, która nie jest w stanie wypełnić swej największej powinności wobec Imperium. Nie mogę już wydać potomka.

Hecht starał się ją pocieszyć. Nie udało mu się.

— Wodzu, wiem, że dyplomaci na zachodzie starają się ściągnąć Jaime'a z powrotem. Dla mnie. Na potrzeby sukcesji. Na potrzeby swych ambicji. To nie jest istotne. On nie przyjedzie. Konflikt między Jaime'em, jakiego sobie wyobrażałam, a Jaime'em rzeczywistym zostanie już ze mną na zawsze. Moim bieżącym problemem jest przerażenie, że to na zawsze może długo nie potrwać.

Hecht poczuł zażenowanie z innego powodu.

Czyżby źle ją ocenił? Czy zwierzała się mu tylko z utajonych mąk? Wyrzucała z duszy sprawy, którymi nie mogła się podzielić z nikim innym, ponieważ każdy inny wykorzystałby te zwierzenia jako narzędzie polityczne?

— Wodzu, ja konam. Wolno, lecz nieubłaganie dobiegam kresu.

— Ech...

— Tu nie chodzi tylko o truciznę. Choć z niej też się w pełni nie wyleczę.

— Ale...

— Po drugie, ciąża. Zmieniła coś we mnie. Czasami jestem śmiertelnie chora. Medycy i bracia leczący nie są w stanie dojść przyczyny. Nie potrafią mnie wyleczyć. Sikam na czerwono i robię się trupio błąda. Do tego dochodzą napady szaleństwa. Nie mam świadomości, kiedy mnie to dopada. Ludzie mówią mi o tym później. Kiedy jest za późno, by naprawić wyrządzoną szkodę.

Hecht czuł miarowy przypływ ulgi w jej skrępowaniu. Była to w istocie wycieczka z przewodnikiem po wewnętrznym piekle Katrin.

— Nie chciałbym cię w żaden sposób urazić, ale czy medycy nie rozważali egzorcyzmów?

— Jestem pewna, że to omawiali. Nie mieli jednak odwagi, by mi to zaproponować. Czy sama powinnam poruszyć ten temat?

— Mogłoby to uśmierzyć ich lęki.

— W takim razie zrobię to, kiedy wrócimy do Alten Weinbergu. Tymczasem mam dla ciebie nowe zadanie. — Katrin wstała, przeszła do zacienionego kąta sali, gdzie przez chwilę bawiła się wiszącym na ścianie kobiercem. Dłonie jej drżały. — Pomóż mi z tym, proszę.

— Oczywiście. — Odsunął krzesło, wstał, podszedł.

Szata opadła z Katrin. Bez niej była tylko bladą, szczupłą kobietą. Rozpostarła odzienie na ziemi, usadowiła się na nim na czworakach i przytknęła czoło do złożonych rąk.

— Wasza Miłość!

— Wiesz, co musimy zrobić.

— Ja nie mogę! To jest...

— W takim razie rankiem będę miała nowego Wodza Prawowiernych.

Jej głos nie pozostawiał cienia wątpliwości, że tak właśnie będzie.

Mimo to musiał stoczyć z sobą walkę, kiedy zaczął wolno i z ociąganiem rozpinać odzienie.

Nic dobrego z tego nie będzie. W żaden sposób. Mógł za to zapłacić wielką cenę, i do tego ostateczną. Nie mógł jednak zrzec się pozycji Wodza Prawowiernych, by tego uniknąć.

Gdyby jego ciało odmówiło posłuszeństwa, rozsądek tego wyboru i tak na nic by się zdał.

— Wasza Miłość, to nie jest najlepszy sposób.

— To sposób, jaki znam. W taki sposób nauczył mnie Jaime. Nie interesowało go, że można to robić inaczej. Czasami nawet nie trafiał tam gdzie trzeba. Ale nic go to nie obchodziło.

Ten człowiek wciąż był jej wielką obsesją.

Hecht nie widział innego wyjścia, musiał ulec. Jego ciało było bardziej powolne niż umysł. Od bardzo dawna nie widział się z Anną.

Hecht wykonywał polecenia Cesarzowej zaskoczony, że jest gotowa, i jeszcze bardziej zdziwiony, że odpowiednio reaguje, kiedy tylko upewniła

się, że nie będzie brutalny.

Katrin miała inną budowę niż Anna. Nie miał na tyle doświadczeń z kobietami, by wiedzieć, co to oznacza. Jeśli cokolwiek znaczyło.

Czując obrzydzenie do samego siebie, bojąc się potencjalnych reperkusji i nawet zatroskany, czy sprosta wymaganiom Cesarzowej, wytrwał dłużej niż kiedykolwiek, gdy robił to z Anną.

Katrin była głęboko zażenowana, kiedy było po wszystkim, jak podejrzewał Hecht, bardziej z powodu swego zachowania w trakcie niż ze względu na to, na co się zdobyła, by do tego doprowadzić. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, poza wyrażeniem mało romantycznej troski.

— A co się stanie, jak będą kłopoty?

— To kolejne z błogosławieństw mojego męża, Wodzu. Mówiłam ci. Po mojej ciąży stałam się jałowa.

— Nie wiedziałem.

Były to szokujące wieści.

— Nikt nie powinien o tym wiedzieć. Nie powinnam była ci mówić. Ta informacja może być niebezpieczna dla Imperium, wewnątrz i zewnątrz. Nie wspominaj o tym nikomu. Szczególnie tym idiotom, którzy spiskują na rzecz mojej siostry.

— Oczywiście, że nie wspomnę. — Wciągała go coraz głębiej. Był w nią coraz mocniej uwikłany. Musiała kontynuować swe rządy. Ci idioci, którzy spiskowali w imię Helspeth, nie pałali do niego miłością. Słownie wyraził to, co wcześniej wyznał ciałem. — Moje stanowisko jest dla mnie zbyt ważne, bym je ryzykował, rozpuszczając plotki.

Być może nie było to najszcześliwsze wyznanie, choć można było go wytłumaczyć, gdyż nie miał dobrego wyczucia sytuacji. Ale Katrin nie była wiele bardziej doświadczona od niego.

— Dziękuję ci, Wodzu. — Ubrała się. — Za wszystko. Nic ci nie jest? Jesteś jakiś taki blady.

— Moja rana. Nie czułem jej dopóki... Przypomina mi, że powinienem unikać wysiłku. Nawet teraz rwie.

Przebłysk uśmiechu. Czyżby wieszowała sama sobie?

— W takim razie lepiej wróć do mniej wyczerpujących zadań. Zanim ktoś znajdzie powód, by wymyślić nową złośliwą plotkę.

— Jak rozkażesz, tak będzie, Wasza Miłość.

— Oczywiście, że tak. — Bardziej do siebie niż do niego szepnęła: — Szkoda, że nie mogę być Hespeth. — A głośniej: — Wodzu, to się nigdy nie wydarzyło. Po drodze do domu wpadłam na pomysł zaatakowania Hovacolu. Odesłałam innych, bo jestem przekonana, że jeden z moich gwardzistów szpieguje dla króla Staina. Jestem z tego powodu wściekła. W gruncie rzeczy zaczynam wszędzie widzieć szpiegów. I bardzo długo musiałeś mnie odwodzić od pomysłu inwazji. — Zamilkła, by po chwili dodać: — Naprawdę zastanawiałam się nad Hovacolem. Omówiłam to z moimi ludźmi.

— Mądre posunięcie, Wasza Miłość. Ale proszę tego nie robić. To jest sprawa poboczna.

Jak daleko sięgała jej przebiegłość? Czyżby manipulowała wszystkimi? Czyżby ostatnie pół godziny było częścią wielkiego planu? Jeśli tak, to jak często jej choroba i napady szaleństwa były wyłącznie taktycznym posunięciem?

Zastanowiwszy się, pomyślał, że to nie było w stylu rodu Ege. Obie córki chciały, by ludzie uważali je za bardziej bezwzględne, bezpośrednie i uparte, niż był ich ojciec.

Vircondelet czekał na Hechta, gdy ten powrócił do ich wspólnej, prowizorycznej kwatery w byłym baraku pracowników.

— Niech mnie! Nie wyglądasz za dobrze, szefie. Co się stało?

— Rana rwie mnie jak cholera. Zapomniałem się i ją uraziłem. Co ty tu jeszcze robisz?

— Wyruszę o świcie. De Bos będzie prznosił wszystko, jeśli nie masz nic przeciwko. Na niego coś czeka w domu. Na mnie nie. Jak sobie to uraziłeś?

— Straciłem panowanie nad sobą. Zaczynam podejrzewać, że przesadziłem, wdając się w konszachty z tą wariatką.

— Sir! Za takie słowa...

— W takim razie będę mówił bardziej ogólnikowo. Obiecuję.

Ostrożnie usiadł na rozklekotanym krześle. Przez chwilę musiał unikać gwałtownych ruchów.

Zaczęli się zbierać pozostali z tych, co byli na służbie.

— Co się stało? — ponownie zapytał Vircondelet.

— Znów zaczęła z tym całym Hovacolem i królem Stainem. Chciała zaatakować po drodze do domu. I nie chciała słuchać, kiedy mówiłem jej, że nie mamy za wiele wojska i będziemy zbyt zajęci transportem bombard i hakownic oraz prochu, starając się na dokładkę unikać oddziałów Wschodu, żeby rzucać się w awanturę, którą sobie wymyśliła, bo jakiś chłystek, jakiś miejscowy tyranek nie podziela jej religijnych uprzedzeń.

Kilku zgromadzonych aż jęknęło.

— A musimy? — zapytał go Vircondelet. — Trzeba by od razu zacząć planowanie.

— Nie. Odwiodłem ją od tego. Na razie. Ale nie zapomni o tym. Muszę tylko skupić jej uwagę na Ziemi Świętej. A propos. Nie wspominajcie o tym jej ludziom. Z pewnością niektórzy szpiegują dla króla Staina.

Hecht nie dostrzegł niczego, co sugerowałyoby, że podejrzewają go o złe zachowanie.

— A co jej jest? — zapytał jeden z kancelistów. — O co jej chodzi z tą całą świętą wojną?

— Nie czuje się dobrze. I uważa, że jest bardziej chora, niż w istocie jest. Nie chce zostać drugim Lotharem.

— Czy chce zrobić wielki szum, który wkupi ją do rajów?

— Tak się właśnie zdaje, panie Tharep. Udało mi się od tego wymigać przy odrobinie szczęścia, uporu i krzyku. No dobrze, skoro mamy jutro wyruszać, to lepiej się położyć. Niech rana się trochę podleczy.

Czuł nerwowe skrępowanie. Niektórzy z tych ludzi wciąż nie mogli się pogodzić, że ich dowódca najpierw leżał rozsieczony na marach, a potem wrócił do życia. Żaden z argumentów nie skutkował, bo byli przekonani, że to sprawka Nocy. Nie żeby tym samym poświęcenie przez Noc było zawsze złe.

Nie wiedzieli, że Noc już go dobrze zna jako Bogobójcę.

Hecht leżał na wznak na swej zarekwirowanej pryczy i nie mógł zasnąć. Nie mógł przestać myśleć o Katrin. Kiedy odtwarzał w myślach szczegóły, nieuchronnie zaczął sobie ją wyobrażać jako Księżniczkę Prawowitą.

Próbował raz za razem odegnać myśli o tym, co się stało, dopasować to wszystko do swoich pierwotnych wyobrażeń — nie mówiąc już o tym, jaką przyjemność czerpała Katrin Ege z tego spotkania. Może dlatego, że zademonstrowała swą władzę absolutną.

Jego ciało zaczęło reagować na te wspomnienia.

— Cóż. To najlepszy dowód, że należy pukać przed wejściem.
Hecht podskoczył w panice i zawstydzeniu. Zasłonił się kocem.

— Heris? Co ty tu robisz, do diabła?

— Słodkie powitanie. Z całą pewnością nie przybyłam, żeby na to patrzeć. Muszę powiedzieć Annie, że bardzo za nią tęsknisz...

— Heris. Ja... ja...

— Daj spokój. Mnie też jest głupio. Musiałam się napomnieć, że jesteś moim bratem.

I to oczywiście wzbudziło u niego jeszcze większy wstyd.

— Czego chcesz? Po co przybyłaś? Stało się coś? Jesteś jakaś odmieniona.

— Bo jestem odmieniona. Mów ciszej. Twoje kokoszki zaraz tu wpadną. Pozwól, że ja będę mówić.

Opisała wszystko, co widziała od swej ostatniej wizyty. Hecht nie przerywał. Heris miała prawdziwy talent do streszczania tego, co najważniejsze.

— A więc teraz będziecie uwalniać te diabły?

— Wszystko jest gotowe do próby. Ale nie jestem do końca pewna, czy nam się uda. I dlatego wpadłam. Potrzebuję broni — wyjaśniła.

— Niech to szlag! Powinienem dać cię w obroty Rhuka i Proseka. Przydałby im się ktoś, kto rozumie się na prochu tak jak ty.

— Chociaż jestem panienką?

— To może być problem. Drago jest facetem do szpiku kości. Ale wycucie czasu masz doskonale. Mamy tutaj wszystkie typy broni prochowej, jakie sobie tylko można wymarzyć. Powiedz, czego potrzebujesz. Zostawię ci.

— Mnóstwo prochu. Kilka lekkich hakownic. I kilka tych ręcznych pukawek, których nie pozwalasz już używać swoim ludziom. A tak w ogóle dlaczego?

— Pozwalam, pozwalam. Przynajmniej niektórym. Ale rozdawanie ich wszystkim... poza tym, że są drogie... jest całkowicie bez sensu. Początkowo chodziło o to, by każdy miał broń, której będzie mógł używać, jeśli wylezie na niego jakaś poczwara Nocy. Ale nad nimi nie da się

zapanować. W ciemnościach są tak przestraszeni, że łądają się prosto w dym i huk. I w końcu strzelają jeden do drugiego.

— Boże, Piper. Mówisz jak dziadek, kiedy daje lekcje z Konstruktu.

— Przepraszam. Jakież wieści z domu? Byłaś?

— Dość dawno. Kiedy byłam w domu po raz ostatni, Anna była zdenerwowana, bo dziewczynki spędzały dużo czasu z dziadkiem. Uczył je Konstruktu. I Pełli też było wszędzie pełno. Anna musiała mu cały czas przypominać o spotkaniu z gnijącymi demonami. Powinien być tutaj z tobą.

— Powinien się zastanowić, co ma zamiar zrobić ze swoim życiem.

— Anna zgodziłaby się. A tak, co? Pamiętaj o jego przeszłości. To, co najlepiej potrafi, to gapić się w ciebie jak w tęczę. A teraz zostawię cię z twoimi sprawami. Wpadnę do domu miejskiego, żeby choć jedną noc się przespać w prawdziwym łóżku. Nie zapomnij zostawić mi zabawek.

— Nie zapomnę. Jak je przeniesiesz?

— Krasnoludzką siłą. Mam oddziały krasnoludów na wezwanie. Oczywiście wszyscy są mitycznymi tworam wyobraźni. Przecież jestem żarliwie wierzącą episkopalną chaldaranką.

Heris odwróciła się bokiem tak szybko, że Hecht nie zdążył wypytać ją o więcej.

Tak jak wszystko w życiu, wyjazd zabrał więcej czasu i był bardziej skomplikowany, niż się wydawało wcześniej. Każdy chciał wiedzieć, dlaczego Hecht zostawiał zapas prochu i broni w barakach. On sam nie chciał tego komentować.

Przy narastającej liczbie pytań bez odpowiedzi pojawił się kurier. Przyjechał okrakiem na rozdętym do granic wytrzymałości gniadym wałachu. Był w równie złej kondycji jak jego wierzchowiec. Należał do grupy, która wyruszyła wcześniej do Liume. Hecht wraz z Vircondeletem pomogli mu zsiąść z konia. Miał w sobie jeszcze na tyle życia, że podał złożone pismo. Vircondelet pomógł mu się położyć, co było obecnie jego jedynym marzeniem.

— Vircondelet, mam coś do zrobienia. Zostawiam ci dowodzenie, dopóki nie wrócę. Nie zasypiaj gruszek w popiele. I bądź czujny.

— Miejscowi mówią, że nie ma...

— Bądź gotów, panie Vircondelet. To coś wisi nad nami. Nie pozwól, by nas zaskoczyło.

— Tak, panie. Jak każesz — odparł wyraźnie zaskoczony.

Hecht przeszedł przez ruiny manufaktury, garbiąc się pod swym brzemieniem. Zobaczył gwardzistów Katrin uwijających się jak w ukropie. Nie zapraszał ich z osobna i raczej można powiedzieć, że unikali koordynacji wymarszu, ale najwyraźniej nie zamierzali tu zostawać po wyjeździe Prawowiernych.

Hecht podszedł do kapitana Ephriana.

— Muszę się z nią widzieć. Teraz, zaraz. Natychmiast. Złe wieści. — Zamiast się kłócić, pokazał list.

— O, cholera. Niech mnie wychędożą! Myśli pan, że to prawda? — Ephrian powiedział to wszystko matowym, monotonnym głosem.

— Nie wyobrażam sobie, żeby moi ludzie wysłali mi coś takiego, gdyby była to zwykła plotka.

— Zabiorę pana do niej, czyjej się to podoba czy nie, bo nie chcę być tym, który jej to powie.

— Tchórz.

— A pewnie, że tchórz.

— Ona nie przyjmie tego dobrze.

— Całkiem zeświruje, popierdoli się jej w główce jeszcze bardziej — warknął Ephrian. — Założę się.

Hecht nie ująłby tego tak barwnie, ale wiedział, o czym mowa. Katrin mogła zrobić coś nieobliczalnego.

Nie była zadowolona z jego odwiedzin. Starła się unikać bezpośredniej rozmowy.

— Wasza Miłość, właśnie otrzymałem straszliwe wieści od mojego szefa wywiadu. Musisz, pani, je poznać. Od razu.

— Mów. I lepiej, żeby to było coś ważnego, Wodzu.

— Nieopodal Khaurene w Connec rozegrała się bitwa. Connekianie i Dircjanie walczyli z królem Regardem z Amhandu, który najechał Connec z poduszczenia Patriarchy. — Podkreślał rzeczy oczywiste.

Katrin z wcielenia zniecierpliwionej, imperialnej dumy zmieniła się w przygarbioną, posępną bladą kobietę:

— Mów.

— Król Piotr z Navai i król Jaime z Castaurigi zostali zabici w boju. — Starał się złagodzić nieco rzeczywistość. Chciał szybko wkroczyć,

wyprowadzić cios, wyjść i pozwolić żelaznej woli rodu Ege tkwiącej w Katrin uporać się z tym.

— Nie igraj ze mną, Wodzu! — warknęła Katrin. — Ja cię stworzyłam. Mogę cię zniszczyć w jednej chwili.

— Możesz, Wasza Miłość. Ja tylko składam raport. Jak na niego zareagujesz, to jest twoja decyzja. Ale fakt pozostaje faktem, w Connec rozegrała się tragedia.

Cesarzowa wbiła w niego palące spojrzenie. Nie odezwała się. Jej służki zaczęły się krzątać i coś szeptać zatrwożone. Hecht wytrzymał spokojnie jej spojrzenie. Nie spodobało mu się, co zobaczył. Potworną wewnętrzną walkę między osobowościami, z której każda domagała się władzy nad umysłem łączącym je ze światem zewnętrznym. Ta, która na chwilę przejęła kontrolę, odezwała się:

— Wynająłeś statki, by przetransportować przejęty sprzęt?

— Tak. Nie jest pewne tylko, czy się wszystko udało. Kurier, który przywiózł wieści, nie wie tego. Ale padł, zanim zdołał zdać raport.

— W takim razie będą statki. Przepłyniemy przez Morze Vierańskie.

— Co takiego? Wasza Miłość? Słucham?

— Szaleńcza zachłanność Łagodnego uczyniła ze mnie wdowę. Teraz nawiążę z nim długą, czułą znajomość, jak to mawiał mój ojciec, zanim go zabiję.

Hechta zapowietrzyło. Zagulgotał coś bez składu i ładu. Zadrzał. To było... Nie potrafił znaleźć adekwatnej metafory. Spojrzał ku niebiosom. Czekał na znak? Błagał o boską interwencję? Niebiosa milczały. Nie zobaczył niczego poza zaciągniętym niebem. Nadchodził deszcz.

— Zapomnij o Ziemi Świętej, Wodzu — powiedziała Katrin. — Nie wyruszymy dopóty, dopóki moi baronowie nie napchają się tym, czego chcieli, od kiedy włożyłam gronostaje. — Słabszym głosem, już chyba do siebie, dodała: — Nie mogę uwierzyć, że mnie zdradził.

Hecht ukrył radość. Nie będzie musiał ruszać na wojnę ze swymi braćmi w wierze. Przynajmniej na razie.

A później pomyślał o Pinkusie Ghorcie i innych przyjaciółkach wciąż służących w siłach patriarchalnych.

— Taka jest decyzja, Wasza Miłość?

— Tak. Nieodwołalnie. Łagodny musi zostać ukarany.

— W takim razie zostawiam cię. Mam mnóstwo nowej roboty.

Wódz Prawowiernych patrzył, jak niezadowoleni żołnierze ładują się na statki, z których żaden nie był wystarczająco duży. Konie były jeszcze mniej zadowolone niż ludzie.

Pojawił się Titus Zgoda, łapiąc oddech.

— Czy to prawda, co słyszałem?

— Tak. I tak zupełnie spadło z sufitu. Świetnie się spisałeś z tym transportem.

— Niezupełnie. Wystarczyło, że powiedziałem: Cesarzowa chce wynająć statki. W dzisiejszych czasach marynarze nie mają za dużo roboty. Masz tutaj wszystkie łodzie i łajby przybrzeżne zdolne przemieszczać się na tyle szybko, by nie zatonać.

— Wykorzystamy je wszystkie. Zabieram czterystu ludzi i przechwycone hakownice. Pośłańcy już jadą do Glimpsz z rozkazami dla tamtejszych sił, żeby dobili do wybrzeża, byśmy mogli ich zabrać drugim rzutem.

— Chcesz zaatakować Firaldię z czterema setkami zbrojnych?

— Nie będą się mnie spodziewać. A Katrin postawi pod bronią garnizony miast imperialnych.

— Nie mogę w to uwierzyć — mruknął Zgoda.

— To wyzwanie.

— Wygląda mi na samobójczą misję.

— Pierwsza armia pramańska, która najechała na Dircję, liczyła siedem setek zbrojnych.

— Nie chodzi o ilość. Niepokoi mnie, że znów odchodzimy od naszego pierwotnego zadania.

— Wyjaśnij, proszę. — Hecht zmarszczył brwi.

— Kiedyś, dawno temu, zostaliśmy wynajęci, by okiełznać Connec. Właściwie to ty zostałeś wynajęty. Wtedy cię nie znałem. Skończyło się podbiciem Calziru. Nieco później wróciłeś do poskramiania Connec i wykonałeś kawał dobrej roboty, z moją pomocą. Miałeś wschodnią część w worku. Wtedy pojawił się nowy Patriarcha i wyruszyliśmy, żeby młócić jakichś pogan w Artecipei, zamiast dokończyć dzieła. A teraz mamy się szykować do największej cholerniej krucjaty, jaka kiedykolwiek miała wyruszyć do Ziemi Świętej. I idzie nam to całkiem sprawnie. Ale nagle i niespodziewanie znów ruszamy w przeciwnym kierunku.

— Może masz rację. Zastanawiasz się nad boską interwencją, czy tak?

— Raczej nad boską dekoncentracją. — Titus policzył statki. — Jakbym miał skłonność do zamartwiania się, zacząłbym się zastanawiać, dlaczego nagle Bóg wkurzył się na Łagodnego.

— Może Maysalanie mają rację. Może ich Dobry Bóg właśnie w to wszystko wkracza.

Titus był zniesmaczony. Podchodził do swej wiary bardzo poważnie, choć nie był fanatykiem wszystkich dogmatów.

Nikt nie powiedział armatorom ani żeglarzom, dokąd się udają, dopóki wojsko i ładunek nie znalazły się na pokładach jednostek. Żołnierze sami nie byli poinformowani aż do chwili, kiedy było już za późno i płynęli już na pełne morze. Trzydzieści dwa statki wypłynęły wraz ze słabym wieczornym odpływem.

Powstało wielkie zamieszanie. Żeglarze nie mieli doświadczenia w pływaniu w konwojach. Mimo to kolizji było niewiele i nikt nie ucierpiał. Utracili tylko jeden mały statek, który wpadł z impetem na podwodną skałę nieopodal wybrzeża firaldzkiego. Załoga i pasażerowie przeżyli. Pogoda nie zmieniła się na gorsze. Wiatr był na tyle silny, by nieść flotę szybko do celu podróży.

O świcie, po czterdziestu dwóch godzinach na morzu, wylądowali na plaży Vis Corcula, jednego z najmniejszych Państw Patriarchalnych, choć było to też księstwo. Książę Onofrio nie był fanatycznym zwolennikiem patriarszej sprawy. Nie powinien zrobić wiele więcej poza prężeniem mięśni.

Na brzegu Hecht zebrał swoje oddziały, szukając kogoś, kto znał teren.

Zadowolili się parą wieśniaków, których ciekawość przywiodła zbyt blisko i których zachłanność przerastała patriotyzm.

Przed południem na kwaterę imperialną zarekwirowano wygodną willę z widokiem na morze. Do południa sama Cesarzowa zajęła rezydencję i choć jej obecność nie była pożądana, zachowanie pozostało bez zarzutu. Nie wtrącała się do niczego. Określiwszy cel strategiczny, była zadowolona, że jej Wódz zajmuje się wszystkimi detalami operacji. Na razie.

Piper Hecht parł dalej z dwiema setkami ludzi i czternastoma hakownicami w stronę Fuerzy. Jego oficerowie zabrali mniejsze oddziały, by pokazać cesarskie barwy w co większych wioskach.

Najazd imperialny był całkowicie nagły i niespodziewany. Opór był śladowy. Jedna salwa padła u bram Fuerzy, by przekonać potencjalnych śmiałków.

Książę Onofrio Taglio di Fuerza ugiął kolano przed Cesarzową Graala w willi Fertelli w trzydzieści dwie godziny po jej przybyciu.

Katrin nie była surowa. Hecht przekonał ją, by postępowała łagodnie wobec tych, którzy byli gotowi na współpracę. Jego reputacja, jeszcze z Connec, z całą pewnością dawała do myślenia tym, którzy byli skłonni stawiać opór. Warunki były następujące: Onofrio miał zapewnić aprowizację, jakiś transport oraz trzydziestu zbrojnych, którzy nie będą musieli walczyć z Patriarchą. Książę zgodził się od razu. W zamian za to miało nie być plądrowania, gwałtu i morderstw — jeśli oczywiście książę i lud Vis Corcula nie będą przeszkadzać imperialnym ani próbować z nimi walczyć.

Heris pojawiła się w chwili, kiedy Hecht miał się udać na spoczynek podczas swojej drugiej nocy w Firdii, w willi położonej nieopodal zachodniej granicy Vis Corcula. Usytuowana była obok drogi, która przecinała Monte Sismonda i wiodła do głównego szlaku Starego Imperium, który z kolei, swego czasu, docierał do Brothe.

Hecht mógł dotrzeć do Ojczystego Miasta w trzy dni, gdyby chciał przeć naprzód jak szalony. Gdyby nikt nie zagroził mu drogi. Miał wystarczającą ilość wojska, by wywołać panikę, ale nie na tyle, żeby zaatakować duże miasto, nawet przez zaskoczenie. No i Bronte Do-neto nie mógł sobie pozwolić, by zostać pojmanym. A to mógł być jedyny sposób, żeby całą sprawę szybko zakończyć.

— Powinieneś być zbyt zmęczony, by tak podskakiwać, Piper — zauważyła Heris.

— No dobra, jestem zmęczony. Oczywiście...

— Nie marnuj czasu. Muszę iść szybko, przeprowadzić moje krasnoludy do ziemi obiecanej. Ale musisz wiedzieć jedno. Wieści o tym, że Katrin się wkurzyła i chce wypatroszyć Łagodnego, dotarły do Brothe kilka godzin temu. Mniej więcej godzinę przed tym, jak doszły słuchy, że jesteś tu, w Vis Corcula, w podłym nastroju i że ciagniesz w tamtą stronę.

— Wieści krążą szybko, kiedy są złe.

— Nie wiesz nawet połowy. Miasto ogarnęła panika. A Kolegium najbardziej ze wszystkich. Zadałeś tym staruchom szaleju czy jak? Nie pojmuję tego.

— Możesz obwiniać za to prowincjała Delariego.

— Dziadka?

— Żaden z niego awanturnik. Ale wie, jak podać kłamstwo, żeby pachniało jak prawda objawiona. Założę się, że to on zaczął rozpuszczać te plotki.

— Może tak być.

— Nie lubi Bronte'a Doneto.

— Łagodny pogrywa sobie z nim, odkąd zaciągnąłeś się do Imperialnych.

— Życie jest dziwne — westchnął Hecht. — I robi się coraz dziwniejsze.

— I komu ty to mówisz, braciszku? Dziesięć lat temu byłam niewolnicą targającą wodę i pokładającą się z takim jednym łajdakiem... Nie! Było, minęło. Choć czasami myślę o tej dwójce dzieci, które powiłam.

Hecht mruknął. To było coś nowego.

— Stary wie?

— Nigdy o tym nie mówiłam. W ogóle nie wiem, po co tobie to mówię.

— A Drocker wiedział?

— Jeśli nawet, to i tak wnuki nie bardzo go interesowały.

— Tak jak u mnie. Choć nie wiedziałem, kim czy czym był, dopóki ty i Delari mi nie powiedzieliście.

— Ty też masz dzieci?

— Dwie córki, ostatni raz widziałem je w al-Karn. Mogły od tamtej pory umrzeć z głodu, na ospę albo zostać zgłodzone przez reżim. Obiecano mi, że się nimi zajmą. Nie mam jak sprawdzić, co się z nimi dzieje. Teraz z Anną, Pellą, Lilą i Vali stworzyliśmy nową rodzinę. I lepiej byłoby dla Łagodnego, żeby zostawił ich w spokoju!

— Uspokój się, Piper. Dziadek ich przypilnuje. A Patriarcha wie, że są pod ochroną.

— Jestem spokojny. Ile masz czasu?

— Zależy, czego chcesz.

— Dobrze by było wiedzieć, co robi reszta Prawowiernych i jak szybko mogę się ich spodziewać. Byłoby miło wiedzieć, jak Patriarcha ma zamiar mnie powstrzymać przed uszczęśliwieniem Cesarzowej. I z dziką rozkoszą dowiedziałbym się, jak się sprawy mają w Alten Weinbergu i Hochwasser.

— Nie oczekujesz wiele, prawda?

— Jakbym miał jakieś życzenia, to równie dobrze mógłbym chcieć gwiazdki z nieba. Informacja uzależnia.

— Jasne. Zrobię, co będę mogła. Ale, jak mówiłam, mam watahę krasnoludów pod swoją pieczęcią, no i mam zadanie przymusić do czegoś paru bogów.

— Wszystko...

Ktoś zadudnił do drzwi, próbując się dostać do środka. Hecht zabarykadował je wcześniej.

Heris weszła w ciemny kąt pokoju, obróciła się, ale nie znikła. Jeśli zachodziła taka potrzeba, mogła zniknąć bez śladu. Hecht otworzył drzwi. Zaczęły już skrzypieć pod naporem ciżby. Zobaczył Rivademara Vircondeleta oraz kilku samozwańczych gwardzistów, którzy mieli zamiar użyć ławy jako tarana.

— Co wy wyprawiacie, w Imię Boże?

— Kinzer słyszał głosy. Pomyśleliśmy, że masz kłopoty.

— Czy wzywałem pomocy?

— Nie, panie. Ale...

— Idźcie sobie. I nie róbcie tego więcej.

Ludzie za plecami Vircondeleta próbowali zajrzeć do środka. Wyglądali na mniej pokornych, niż powinni.

Hecht zamknął drzwi.

— Martwią się o ciebie.

— Bardziej martwią się o siebie. Obserwują mnie bacznie, bo wydaje im się, że umarłem i wróciłem z martwych.

— Bo tak było. Ale nie byłeś opętany przez Noc. Wszystko to mamy pod kontrolą.

— Naprawdę? Umarłem?

— Wydawało mi się, że to zrozumiałeś.

— Ja... Nie. Wydawało mi się, że...

— Ty też się nie wygłupiaj. Nie zmieniłeś się ani na jotę. Mnóstwo ludzi było dłużej po tamtej stronie niż ty. Wrócili nietknięci. Będziesz tu też jutro wieczorem?

— Pewnie tak. Nie mam ludzi, żeby iść dalej. Jednak jakiś niespodziewany sukces dyplomatyczny mógłby to zmienić.

— W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Niespodziewany sukces dyplomatyczny jednak się trafił. Górskie szlaki Firaldii zaroily się od posłańców, imperialnych i patriarszych. Pierwsi nieśli dobre wieści. Najbliższe imperialne miasta szybko potwierdziły wsparcie dla Cesarzowej. Kilka pobliskich państw związanych z Patriarchą zapowiedziało, że będą się trzymać z dala od konfliktu.

— To są obietnice palcem na wodzie pisane — zauważył Titus Zgoda. — Zwrócą się przeciwko nam, jeśli tylko Łagodny odniesie jakieś zwycięstwo.

— Oczywiście. Tak wygląda firaldzka polityka. Oni się nigdy nie zmieniają.

— Chyba że pojawi się jakiś siłacz i położy temu kres.

— Ktoś silny i długowieczny. Johannesowi mogło się to udać, gdyby przeżył al-Khazen.

— Jakby mu się udało, bylibyśmy teraz po przeciwnej stronie. — Zgoda wzruszył ramionami.

— Bez wątpienia.

— Myślę, że potomstwo Johannes'a też na wiele stać. Jeśli coś je interesuje. Jeśli mają do czegoś przekonanie.

— Znaczy?

— Katrin i Helsepeth... obie potrafią podejmować trudne decyzje. A ich lud zdołał przywyknąć do kobiecych rządów. Ale Cesarzowa najwyraźniej nie ma do tego przekonania.

— Hmm? — wciąż nie rozumiał Hecht.

— Jest zmienna, szefie. Moglibyśmy pukać już do bram Brothe, a ona wymyśliłaby nagle, że musi coś jeszcze zrobić gdzie indziej.

— Będzie niezłomna, dopóki nie postawi Łagodnego pod ścianą i nie skłoni go do zwierzeń, dlaczego to jej kochaś już nie przebywa wśród żywych.

— Czerpiesz z tego jakąś cholerną radość, mam rację?

— Titus...?

— Jesteś inny od czasu, kiedy Cesarzowa zmieniła zdanie na temat Łagodnego i Kościoła. Jesteś z tego zadowolony. Mimo że przyjdzie nam stanąć oko w oko z przyjaciółmi, z którymi walczyliśmy ramię w ramię w innych kampaniach.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Titus, mam nadzieję, że damy Katrinie to, czego chce, zanim Pinkus zdoła się wyplątać z Connec. — Wieści z tego kierunku mówiły, że Naczelný Wódz ma poważne trudności.

Łagodny miał niewielu przyjaciół we wschodnim Connec. Hrabia Raymone Garete i jego hrabina zebrali plon.

Hecht naprawdę myślał, że Łagodny będzie się darł niczym przerażona dziewczynka, kiedy zrozumie, co się święci. Był w dużej mierze produktem własnej przeszłości.

Jego niewola w Plemencie nie była aż taka ciężka. Był to tylko okres wyjęty z życiorysu. Ale katusze, jakie cierpiał wcześniej w Connec, pozostawały niczym tatuaż wyryty w jego duszy. Nigdy więcej nie dopuści, aby znaleźć się na łasce innych.

Kłeska, porażka, poddanie się, niewola — żadna z tych rzeczy nie wchodziła w grę. Chyba że Bóg całkiem go opuści.

Hecht miał wielką nadzieję znów zobaczyć Heris. Im wyraźniej dostrzegał szansę, że wszystko się powiedzie, tym bardziej martwił go los Anny i dzieci.

Było takie stare powiedzenie „Dzieci są zakładnikami Fortuny”. I, niestety, każdego parszywca, który może je dopaść.

Znużona, w posepnym nastroju Heris odwróciła się bokiem i pojawiła w kilka sekund po tym, jak Kait Rhuk i Drago Prosek wyszli od Hechta.

— Wiem — burknęła. — Pośpię sobie w mogile.

— Nie wiesz, czy ktoś jest w pobliżu, zanim się pojawisz, prawda?

— Czasami. W większości wypadków nie. Zawsze mogę się pojawić tak, żeby mnie nie widzieli, jeśli oczywiście jestem wystarczająco wypoczęta.

— Pięć sekund wcześniej, a stanęłabyś między Rhukiem i Prosekiem.

— To byłoby żenujące.

— Tak sądzisz?

— Mam się przejmować tym, że mnie nakryją?

— Oczywiście. W ogóle że ktoś cię nakryje. Twoje pojawianie się to wielki atut, dopóki nikt o tym nie wie. Jak się tylko dowiedzą, to będzie po atucie.

— Zabieraj z sobą jedną z tych rozkładanych zasłon. Jak wszystko wypakujesz, ustawiaj ją w rogu, żebyś mogła się za nią pojawić. W ten sposób będę mogła zniknąć, zanim ktokolwiek zauważy, że masz gościa.

— Niezły pomysł. Co masz dla mnie?

— Nie masz żadnego życia towarzyskiego, co?

— Co takiego?

— Wiem. Cały czas tylko praca i praca. Można wtedy się ze wszystkim uporać. Ja też tak mam.

Hecht był zdezorientowany. Nie była to Heris, jaką znał.

— Za dużo przebywasz z Dziewiątym Nieznanym. Zmieniasz się w niego.

— Jestem niegrzeczną dziewczynką braciszku.

Heris zdała długi raport, ale nie wszystko w nim było zajmujące. Od czasu ostatniej wizyty dowiedziała się, co się święci w mnóstwie miejsc, włącznie z Krois w Brothe, obozem Pinkusa Ghorta o dwadzieścia kilometrów na północ od Antieux, Alten Weinbergiem, Winterhall, Hochwasser i nawet w Salpeno, gdzie Anne z Menandu wprost tryskała radością na wieść o śmierci khaureńskich władców. W Krois panowała panika, a w Alten Weinbergu euforia, ponieważ Katrin ruszyła szlakiem ojca. W obozie Ghorta niemożność podjęcia stanowczych decyzji sparaliżowała zbrojnych. Sam Pinkus był gotów wypełniać rozkazy, ale zakopał się po uszy w negocjacjach z posłami, wysłańcami, aniołkami Stowarzyszenia oraz resztą tej całej czeredy, z której każdy koniecznie chciał mu powiedzieć, co ma dalej robić.

Choć wieści o Cesarzowej były świeże, w Hochwasser od wielu tygodni zbierano zaciąg, co było dorocznym obyczajem w tym miejscu. Siły te już były w ruchu zgodnie z planem wymarszu nakreślonym jeszcze za czasów rządów Johanna II. Bynajmniej nie był to żaden tajny plan. Po przejściu przez góry Jago główne siły imperialne miały nadejść Zachodnim Szlakiem w stronę Brothe. Trudności mogły wystąpić głównie przy przeprawach rzecznych.

Tak było ze wszystkimi inwazjami i obroną od dwóch tysięcy lat. Tak będzie i teraz. Nakazywała to topografia terenu.

— Nic szczególnego — stwierdził Hecht. — I choć będą robić mnóstwo zamieszania, nie zdołają się zbyt energicznie poruszać. Jak blisko Łagodnego się dostałaś? Jakie ma plany?

— Na tyle blisko, że mogłam mu usiąść na kolanka. Gdybym chciała. Na tyle blisko, by dyszeć mu w kark. I przekonać go, że jego ulubione skrzydło Krois jest nawiedzone przez Ostaregę Nikczemnego, a Ostarega nie pałał do niego miłością.

— Ostarega Nikczemny?

— Jeden z wczesnych Złych Patriarchów. Jego tronowe imię brzmiało Clement Drugi. Był straszny. Bóg sprawił, że Kolegium w końcu dopadło go, gdy się nachylił nad antałkiem wina, i wysłało go ekspresowo do raju, nadziejąc na rozpalony do czerwoności żelazny pręt. Żeby nie było krwi.

— Uduszenie albo utopienie też by było dobre.

— Ale nie byłoby dostatecznie mocną deklaracją. Tu chodziło o sprawy osobiste.

— Chyba tak. A Łagodny jakie ma plany?

— Wiesz, dlaczego go tak straszę? Nawiedzone skrzydło Krois ma najlepsze wyciszone komnaty.

Hecht powściągnął zniecierpliwienie. Gdyby naskoczył na Heris, mogłaby sobie zniknąć.

— Dobrze myślisz — powiedział tylko.

Heris zatańczyła gige, co było dość absurdalne jak na kobietę w średnim wieku.

— Jestem taka sprytna! — Zupełnie jak dziecko. I ten uśmiech. — No dobra. Już nie będę cię dręczyć. Ma zamiar ściągnąć wszystkich, których może, i najechać wprost na ciebie przez Cienie.

Cienie było to pasmo sąsiadujące z Monte Sismonda, łańcuchem górskim tworzącym kręgosłup Środkowego Półwyspu Firaldzkiego. Dawno już zapomniano, skąd nazwa Cienie. Tak się te góry nazywają od czasów Starego Imperium.

To musiało mieć coś wspólnego z Nocą.

— Nie byłoby mądre, gdybym nie wyszedł mu na spotkanie.

— Ma zamiar spaść na ciebie, zanim ściągniesz wystarczającą liczbę Prawowiernych i Imperialnych, żeby przyprawić go o jeszcze większy ból głowy.

To jednak nie dość poruszyło Hechta, jej zdaniem.

— On nie żartuje, Piper. Rozkazał opróżnić więzienia. Już zbiera milicję. Wywiesił ogłoszenia o zaciągu najemników. Pod koniec tygodnia może mieć dwadzieścia tysięcy ludzi.

— Dwadzieścia... Tysięcy?

— Tak uważa. W Brothe jest mnóstwo głodujących. A on dobrze płaci.

— Dwadzieścia tysięcy. — To było jak kopniak w brzuch. Nawet jeśli plan Łagodnego był w połowie myśleniem życzeniowym. — To jednak tylko ciżba.

— Jasne.

Tyle że wśród tej cizby znajdą się ludzie, których sam szkolił, dając im bojową pewność siebie.

— Dobrze się czujesz, Piper?

— Tylko mnie trafiło. Nie sądziłem, że Bronte Doneto stanie się kolejnym Tormondem Czwartym, ale myślałem, że jednak będzie się trochę wahać.

— Pomyślał o tym, Piper. Wiedząc, że pewnego dnia zetrze się z tobą. Wie, że nie dasz mu marnować czasu. Więc zrobił to, co musiał zrobić.

Hecht zaczął chodzić w kółko, mrużąc: „Dwadzieścia tysięcy”.

— Pomyśl o innych zamiast zastanawiać się nad Łagodnym.

— O jakich innych?

— Zaangażowanych w to wszystko. Tych, na których polega Łagodny. Nie są przecież nim. Czy są gotowi walczyć? Czy ruszą z nadzieją, że sobie pójdziesz? Bo się ciebie boją? Bo żeby wyjść ci na spotkanie, musieliby opuścić Brothe pełne wrogów, którzy nie wiadomo co knują?

— Dwadzieścia tysięcy zbrojnych — mruknął Hecht.

— Możesz już przestać?

Jego umysł uporał się z tym. Zaczął myśleć jak generał. Generał, który stanął przed beznadziejnym zadaniem.

Po pierwsze, musiał chronić Cesarzową.

Następnie musiał chronić to, co zarekwirowali Prawowierni. Oraz broń na proch. Tak mocno sprowokowawszy Cesarza Wschodu, nie mógł pozwolić, by taki skarb wysliznął mu się z rąk.

Do tego musiał zapewnić bezpieczeństwo gromadzącym się firaldiańskim sojusznikom. Tak należało postąpić.

— Żałuję, że nie mogę tego omówić ze starym.

— Po Dwakroć Wielki, dziadek nie pomoże ci. Znajduje się w Dziedzinie Bogów. Ale dziadek już prędeej.

— Nie rozumiem, w jaki sposób...

— Mogę tam skoczyć. I zabrać cię z sobą.

— Co możesz?

— Chodź tutaj.

Hecht zrobił, co mu kazała, wciąż rozkojarzony możliwością walki z przeważającymi siłami patriarchalnymi w ciągu kilku dni.

Heris złapała go mocno, skręciła i ścisnęła go gwałtownie.

Zapadła ciemność.

Ciemność objawiała się snami, które przeważnie były koszmarami. Groza dudniła Hechtowi w uszach. Był pewien, że został tu uwięziony na zawsze.

— Doskonale, że miałeś przyspieszony kurs Konstruktu — stwierdził prowincjał Delari. — Dało to Heris podstawy, by przeciągnąć cię na drugą stronę.

Błada, wyczerpana Heris drżała jeszcze długo po przybyciu na miejsce. Pojawiły się niespodziewane kłopoty.

Hecht, również drżąc na całym ciele, wykrztusił:

— Cudownie, wspaniale. Co się stało, do diabła?

— Uspokój się. Nie wiem. Nie używam Konstruktu w ten sposób. Heris nie miała wcześniej tego problemu.

— Powiedz mi, Piper, co widziałeś — odezwała się Heris. — To może mi pomóc.

— Pełzający chaos. Duchy. Nic, co miałoby większy sens. Koszmary i polujące potwory. Co powinienem zobaczyć?

— Po Dwakroć Wielki i ja widzimy świat pozbawiony barw oprócz czerwieni i ciemności. Gdzie wszystko porusza się o tysiąckroć szybciej niż zwykle, kiedy się przemieszczamy.

Wyjaśniła, że jej podróże przenoszą ją przez tysiące odcieni czerwieni i bardzo niewiele z nich jest ciemnych. Udawała się tam, dokąd chciała, intensywnie myśląc o tym miejscu. Teraz, przy swoim doświadczeniu, mogła przemieszczać się do miejsc, których wcześniej nigdy nie widziała.

Hecht był przerażony, ale także zdumiony, bo znalazł się w wyciszonej komnacie domu miejskiego Muniera Delariego w kilka minut po tym, jak setki kilometrów dalej Heris zamknęła go w swoim uścisku.

Anna i dzieci wkrótce dowiedziały się o przybyciu Hechta. Prowincjał Delari nalegał, żeby przeprowadzili się do domu miejskiego, z dala od wściekłości Bronte'a Doneto.

Hecht gorąco podziękował za to Delariemu, a potem Annie za to, że przełknęła dumę i pozwoliła prowincjałowi umieścić rodzinę w bezpiecznym miejscu.

— Kochana, Doneto jest złym człowiekiem. — Zerknął na Delariego, zastanawiając się, jaka to waśń łączy prowincjała i Patriarchę.

— Nie poklepuj mnie protekcjonalnie po plecach, dopóki nie usłyszysz wszystkiego — powiedziała Anna.

— A więc jednak próbowałaś się zapierać, co?

— Oczywiście. Nikt nie będzie komenderował mną i dziećmi. Nawet Nieomylny Głos Boga.

— Ale...? — Hecht nie był w stanie oderwać od niej rąk, choć bez przesady w obecności rodziny.

— Znasz tego nowego z Castelli, Addama Haufa? Przyszedł do domu. Powiedział, że Łagodny chce zrobić z nas zakładników. To było, zanim doszły wieści o waszym lądowaniu w Vis Corcula.

— Bractwo Wojny nie pała do Łagodnego miłością — stwierdził Delari. — Ich obsesyjnym celem jest wyzwolenie Ziemi Świętej. Łagodnego interesuje wyłącznie wendeta na Connec.

Hecht parsknął tylko.

— Osobista krucjata Łagodnego nie poszła dobrze — dodał Delari.

Wtedy Hecht po raz pierwszy usłyszał o śmierci króla Regarda.

— Czy to oznacza, że Pinkus Ghort jest puszczony samopas?

— Nie. Wciąż jest kilka mniejszych oddziałów Arnhandu, którymi dowodzą kapłani Stowarzyszenia, całkowicie niekompetentni. Bez względu na swoją zawziętość Anne z Menandu nie poradzi sobie sama z interwencją. Teraz, kiedy zabrakło Regarda, pewnie porzuci Ghorta i Łagodnego.

— Będzie robiła co w jej mocy, by się trzymać władzy, aż Anselin usłyszy wieści i wróci do domu. Ale może równie dobrze w ogóle się nie zjawić. Nie kocha Anne, i ona może gorzko pożałować dnia, w którym się zjawi w domu. Ma wielkie poczucie niezależności. Może nie strawić zniewag, które znosił Regard.

Anna i dzieci miały coraz bardziej kwaśne miny podczas opowieści Delariego. Nic ich to nie obchodziło. Obchodził ich wyłącznie Hecht.

Hecht przez chwilę czuł tak samo.

Przerażało go, jak wielkie emocje wywołuje w nim ta wizyta. I jak wielkie poczucie winy nabrzmiało w nim za sprawą przymusowego epizodu z Cesarzową. Prawdę mówiąc, wątpił, by Anna uwierzyła, że dochował jej wierności na wyjeździe. Był mężczyzną. Oczekiwał pobłażliwości.

Delari dał znak Heris.

— A teraz pozwolimy ci się trochę nacieszyć rodziną, Piper — powiedziała. — Pamiętaj, muszę cię sprowadzić na poranną naradę sztabu.

Porywczość Hechta i tak dała znać o sobie.

— Na tyle wcześniej, bym miał czas dojść do siebie?

— Dobry pomysł.

Heris i Delari zaczęli się o coś cicho spierać. Hecht nie zwracał na nich uwagi. Zebrał rodzinę wokół siebie. Nagle zaczął się bać, że być może jest to ostatnia szansa nacieszenia się nimi razem.

Anna chciała zostać z nim sam na sam.

Ale dzieci nie dawały za wygraną. Hecht był wzruszony więzami łączącymi tę rodzinę, teraz również z udziałem Liii.

Zaprowadził wszystkich do salonu, gdzie umeblowanie stanowiły miękkie kobierce i duże poduszki. Delari nazywał tę komnatę salą orgii, choć w ostatnich stuleciach niczego takiego tu nie widziano. Było to wygodne miejsce dla odpoczynku w otoczeniu bliskich.

Hecht chętnie słuchał, co się u nich wydarzyło. Chłonał nawet najbardziej trywialne szczegóły. To wszystko wokół, co wydawało się nudne i nieciekawe, z oddalenia urastało do wagi najcenniejszego skarbu.

Pella twierdził, że traci rozum. Że musi stąd wyjść. I to nie na te głupie nauki u Szarych Braciszków ani też do pałacu Chiaro. I, do ciężkiej cholery! Tak! Wiedział, że to, co robi, może się skończyć tak, że wpadnie w łapy kogoś, kto będzie chciał go wykorzystać w rozprawie z Wodzem Prawowiernych. To nie w porządku! Nie prosił o coś takiego!

— Takie jest życie, chłopcze. Jak ci się poszczęści, będziesz miał same problemy przez kolejne sto lat.

Liii była wciąż zbyt nieśmiała, by mówić o sobie. Jednak Yali utraciła całą swoją powściągliwość. Trudno uwierzyć, że była milczącą małą dziewczynką, która przylepiła się do niego i Pinkusa w Sonsie.

— Pella ma rację — stwierdziła. — Szarzy Bracia są naprawdę bardzo nudni. Szczególnie jak się jest dziewczynką. Ale potem zaczęliśmy chodzić do szkoły dziadka Delariego. To była niezła zabawa.

— A co robiliście?

— Uczyliśmy się Konstruktu. Nie jestem w tym dobra, a Pella nie uważa na lekcjach, ale Liii to nasz geniusz. Już wie jak...

Hecht w końcu jej przerwał. Mimo że nie został sam z Anną, był szczęśliwy, mogąc spędzić tych kilka godzin ze swoją zupełnie nietypową rodziną.

— Czas ruszać, braciszku. — Heris ponownie potrząsnęła Hechta za ramię.

Zasnął z Anną i dziećmi ułożonymi wokół nich. Jedynie Anna i Vali poruszyły się, kiedy wstawał.

— Za godzinę będzie świtać — wyszeptała Heris. — Musimy ruszać.

— Nie wiem, czy zniosę to jeszcze raz — odpowiedział również szeptem.

— Nie ma wyjścia, Piper.

— Wiem. — Podrapał się po lewym nadgarstku.

Anna się przebudziła. Podwinęła nogi, podniosła się i oparła w półśnie o Hechta.

— Chciałabym, żebyś nie musiał iść.

— Ja też bym tak chciał.

— Jest tyle spraw do omówienia.

— Wiem. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będę mógł wrócić za parę dni.

Znów się podrapał. Nagle podskoczył, uniósł dłoń i popatrzył na nią.

Anna przywarła do niego. Vali poszła w jej ślady. Liii i Pella wciąż pochrapywali.

— Będę się modlić, żeby wszystko poszło dobrze — powiedziała Anna.
— Ale nie mam zbyt wielkiej nadziei.

On również nie miał.

— Piper! No chodźże! Nie mamy czasu.

— Heris, muszę najpierw pomówić z dziadkiem.

— Jeszcze śpi. Nie ma czasu. Chodź.

— W takim razie ty mu musisz to powiedzieć, kiedy wrócisz. Coś nadciąga. Coś mrocznego. Mój amulet zaczął mnie rwać kilka minut temu. Nie robił tego od tak dawna, że wydawało mi się, że się zepsuł.

— Miejmy nadzieję, że nikt nie wie, że tu jesteś. Lubię Turkinga i Felske.

Chodziło jej o to, że ta dwójka mogła być jedynym źródłem przecieku. A cena, jaką by za to zapłacili, byłaby ogromna.

W srogiej Heris tkwiła sroga dusza. Niezwykle sroga.

Hecht nie przypomniał jej, że wrogowie mają dużo bardziej mroczne i przebieglejsze środki szpiegowskie. Choć też wiedział, że ludzkie oczy są w stanie spenetrować wnętrze domu Muniera Delariego.

— Zobaczą się z nim, kiedy tylko cię odstawię — obiecała mu sroga dusza. — Jeśli coś na nas idzie, on sobie z tym poradzi.

— Trzymam cię za słowo.

— Piper, dość tego! Chodźmy.

Hecht miał równie trudną drogę jak przedtem. I byłaby jeszcze gorsza, gdyby jego myśli nie krążyły wokół Anny, dzieci i prowincjała Delariego.

Ich sytuacja była z dnia na dzień coraz trudniejsza.

Titus Zgoda przyszedł obudzić Hechta. Piper w duchu pogratulował sobie, że zdołał odewrzeć drzwi, zanim padł, zbyt wycieńczony, by rozpamiętywać koszmary widziane podczas przejścia.

— Szefie, czas wstawać — powitał go Zgoda. — Mamy dużo roboty. Stary, wyglądasz jak ciepła kupa. O co chodzi?

— Koszmary. Koszmary, które źle wieszczą, Titus. Świadczą chyba o tym, że potwory Nocy są gdzieś w pobliżu i szukają mnie.

— Wysłane przez kogoś? A może to tylko miejscowa wampirzerka?

— Jedno, drugie albo jedno i drugie. Nieważne. — Hecht wzruszył ramionami.

— Sprawdź to. — Ton głosu Zgody zdradzał głęboki sceptycyzm. — Nie było żadnych doniesień. A willa jest strzeżona podwójnie, a nawet potrójnie.

— Została wyegzorcyzmowana przed naszym przybyciem? — Przesadzał z tym udawaniem, ale nie mógł się powstrzymać.

— Może to to — przyznał Zgoda. — Przeniesiemy cię do komnaty z dala od tej.

— W porządku. Lubię ten pokój.

— Pomimo koszmarów? Zaczynasz mnie przerażać, szefie. Wolałbym, żebyś tego nie robił.

Hecht zrozumiał doskonale. Ostatnio robił dużo rzeczy, które niepokoiły Zgodę.

— Titus, nie robię tego celowo.

Zgoda zdawał się rozumieć, co Hecht chce przez to powiedzieć.

— Ostatnio wszyscy martwiliście się o mnie — powiedział Hecht do swoich oficerów. — Chciałem zaznaczyć, że wciąż wykonuję swoje obowiązki. A Cesarzowa i ja oczekujemy od was, byście wykonywali swoje. Czyli to, co nam Cesarzowa każe. Nie oczekuję, że będziecie skakać z radości przy tych pracach. Wcale nie. Ale dyskrecja w naszych działaniach jest mocno ograniczona, bo Cesarzowa jest tu z nami. Mogę się oczywiście z nią spierać. Toleruje to. I pozwala mi od czasu do czasu wpłynąć na jej decyzję. Ale to się dzieje wyłącznie wtedy, gdy nie ma świadków. Jeśli ktoś jest obecny, nie ugnie się, choćby zależało od tego jej życie.

— Ale co chcesz nam przez to powiedzieć, szefie? — zapytał Clej Sedlakova.

— Że idąc dalej, nie będziemy mieli swobody działania, do jakiej przywykliśmy. Będziemy działać zgodnie z nastrojami Cesarzowej, bo ona zamierza zostać z nami dłużej.

Wywołał poważne poruszenie.

— To przyciągnie do nas nieprzyjaciół jak gówno muchy — zakpił ktoś.

Hecht pokiwał głową. Miał problemy z rozbudzeniem się.

— Szefie, musimy zebrać jeszcze wielu zbrojnych, zanim zaczniemy hasać po otwartym terenie — szybko przekrzyczał pozostałych Sedlakova.

— Założę się, że jutro już będą mieli dziesięciokrotnie większe siły od nas. Jeśli naprawdę są w nastroju do bitki.

— Wszystko zależy od jednego człowieka. Od Łagodnego — zauważył Zgoda.

— Clej, sugerujesz, że powinniśmy przejść do defensywy? — zapytał Hecht. Nie miał zamiaru dzielić się z nimi hipotezą Heris, że Łagodny może wystawić dwadzieścia tysięcy zbrojnych.

— Przyznaję, nie jest to strategia typowa dla nas.

— Ale tak radzisz. I ja się z tym zgadzam. Choć bardzo chciałbym przeskoczyć przez te wzgórza i pognać do Brothe, żeby podpalać i niszczyć patriarsze winnice. Dlatego właśnie wypuściłem tylu zwiadowców. Szukają odpowiedniego miejsca na starcie, jeśli zostaniemy do tego zmuszeni. Dlatego musicie wszyscy myśleć nad tym, jak się ubezpieczyć, zanim przybędą nasi druhowie. — Dwadzieścia tysięcy. Nie mógł się pozbyć tej liczby z myśli.

— A ona nie będzie się niecierpliwić?

— Jest impulsywna, ale nie głupia. Posłucha mnie.

— Myślisz, że możemy liczyć, że Wielki Książę przybędzie na jej wezwanie? — zapytał Drago Prosek.

Było to być może kluczowe pytanie.

— Tak. Z powodu pewnych cech jego charakteru, a nie ze względu na powinność wobec Tronu Graala.

— No więc jak możemy sobie kupić trochę czasu? — zapytał Zgoda.

— Bezwzględnością. Będziemy tak agresywni, jak tylko się da. Niech Łagodny skoncentruje się na naszej niewielkiej sile, gdy tymczasem burza będzie mu się zbierać za plecami.

Dwadzieścia tysięcy.

— To będzie proste — stwierdził Prosek. — Musimy tylko robić to, co zrobili wtedy z Łagodnym. Zniszczyć jego rodowe włości. Te, z których czerpie pieniądze.

Sedlakowie to się nie podobało. Nie podobał mu się również Łagodny. Ale nie mógł spokojnie słuchać, kiedy jakiś Patriarcha był oskarżany o korupcję, nawet pośrednio.

— Daj spokój, Clej. Nawet ty musisz przyznać...

— Nieważne — warknął Hecht.

Kait Rhuk, który właśnie przybył, usadowił się obok niego.

— Znalazłem miejsce. Jest idealne. Już zacząłem tam przenosić ludzi. Ej! Nic ci nie jest, szefie? Nie wyglądasz za dobrze.

Hecht mruknął coś na temat bolesnej rany. I zapadł w sen na miejscu, pośród zebranych oficerów.

Nie miał przyjemnych snów.

Dziedzina Bogów: Triangulacja

Heris odgadła poprawnie za pierwszym razem. Cały trust mózgów zajmujący się uwolnieniem bóstw zebrał się w tawernie Aelen Kofer na nabrzeżu, by sprecyzować mglisty plan, obficie go podlewając płynnym chmielem. Cloven Februaren zaczął warczeć na nią, kiedy tylko weszła do środka.

— Gdzieś ty się podziewała, do diabła, dziewczyno?

Dziewiąty Nieznany nie był zadowolony. Dopóki tkwił w Dziedzinie Bogów, nie był w stanie wyciąć żadnego numeru.

Nie mając namacalnego dowodu, Heris nie była pewna, ale po kilku podróżach w tę i z powrotem zaczęła podejrzewać, że różnice czasowe między śródziem a Dziedziną Bogów są nieregularne. Mógł rządzić tym jakiś przewidywalny cykl, choć czas w domu nie biegł tak wolno jak tutaj.

— W realnym świecie zdarzyło się wiele, Po Dwakroć Wielki — odparła. — Jednak nic, co byłoby pocieszające. — Streściła pokrótce ostatnie wydarzenia. Starzec wyławiał dodatkowe znaczenie między jej słowami.

Wraz z Ferrisem Renfrowem od razu zaczęli się upierać.

— Musimy tam wracać.

— Jestem tylko skromną amatorką obserwacji, ale pomyślałam, że wielki rumak chaosu galopował do tej pory całkiem sprawnie bez was dwóch szarpiących jego lejce.

Żaden z nich nie był w nastroju na połajanki. Każdy chciał odciągnąć ją na prywatną rozmowę.

Dominujący, który nawet się nie odezwał, też miał błysk w oku.

Heris zignorowała ich wszystkich.

— Żelaznooki. Przybyłam z arsenałem broni, na którą natknęliśmy się w zamku Bas... w domu Ferrisa Renfrowa. Jest tego na tyle dużo, że każdy z nas będzie miał atut przeciwko Delegaturom Nocy. Potrzebuję jednak pomocy Aelen Kofer, żeby to tu przytargać.

— Tak mówisz? — rzucił z przekąsem. — Naprawdę? — dodał z większym entuzjazmem pod wpływem jakiejś zbłąkanej myśli, która przyszła mu do głowy.

A Heris odgadła ją od razu.

Aelen Kofer byli rzemieślnikami bogów. Czy usprawnienie działania nowej broni byłoby dla nich trudnym zadaniem? Dziecinnie prostym!

Może nie był to najlepszy plan, gdyż zakładał zapoznanie ich z owymi śmiertelnie groźnymi, choć ogólnie bardzo prostymi narzędziami, których skuteczność była ograniczona jedynie trudnością w odlewaniu ich.

Mądrzy rzemieślnicy, tacy jak Aelen Kofer bardzo szybko znaleźliby odpowiednie stopy, opracowaliby właściwe procesy odlewnicze i procesy chłodzenia oraz zakłęcia, które pozwoliłyby im stworzyć większą, lżejszą, celniejszą i bardziej zabójczą broń. Szczególnie że mogli pracować nad tym u siebie.

Februaren i Renfrow znów podnieśli raban w związku z obowiązkami w śródziemiu.

— No to idźcie! — warknęła Heris. — Asgrimmur i ja poradzimy sobie tutaj ze wszystkim.

Okazało się, że będą z tym poważne problemy. Aelen Kofer nie byli w stanie dostać się bezpośrednio do resztek zakładu Krulika i Sneigona. Heris odkryła jednak poniewczasie, że nie będzie to wymagało przejścia przez Imperium Graala w głośnej, krzykliwej czeredzie całego krasnoludzkiego plemienia. Jedynie wytrawny w swoim fachu, biegły w magii krasnolud mógł wyruszyć w drogę i otworzyć przejście. Co, naturalnie, wymagało sztuki uników, którą Aelen Kofer już dawno opanowali na mistrzowskim poziomie.

Oczywiście później potrzebna była cała zgraja, żeby zaciągnąć broń na miejsce. Ale wraz ze swymi kozami mogli odbyć tę drogę niespiesznie już po drugiej stronie. Krasnoludy nawet nie zająknęły się o pokrytych runami kamieniach.

— Po Dwakroć Wielki! Zanim mi uciekniesz. Słyszałeś, o czym mówiliśmy.

— Nie. Nie słuchałem.

— No to posłuchaj teraz. Mam zapas broni w miejscu, gdzie nikt jej nie pilnuje. Nie pomyślałam o tym, kiedy poprosiłam... o nie. Rozumiesz mnie?

Starzec westchnął i pokiwał głową.

— Podaj mi wszystkie makabryczne szczegóły. Zajmę się tym. — Zauważyła, że zachowywał się jak Pella, kiedy proszono go o wykonanie jakiegoś zadania. Reagował, jakby go ktoś przypalał rozpalonym żelazem.

Cloven Februaren był wiecznym nastolatkiem. Niezwykle potężnym, geniuszem — ze wszystkimi nabytymi cechami rozpuszczonego czternastolatka.

Z jego wszystkimi umiejętnościami i genialnym umysłem nie odczuwał potrzeby bycia dojrzałą osobą.

Cloven Februaren i Ferris Renfrow odeszli. Aelen Kofer ruszyli za nimi, pozostawiając na miejscu tylko niezbędną ekipę. Po jakimś czasie Heris został jedynie dominujący i trzy zgryźliwe krasnoludzkie starsze kobiety do towarzystwa. I raz na jakiś czas młoda syrena, która nazywała się Philleas Pescadore. Syreni lud uważał, że to zabawne nazwisko, ale nigdy nie wyjaśnili, o co chodzi. Zmieniała kształt i wychodziła z wody naga i piękna do bólu, wyłącznie kiedy w pobliżu przebywał Asgrimmur.

Heris wiedziała, że może nieco naciąga motywy i powody jej zachowania, ponieważ fakty były takie, że Philleas potrzebowała Asgrimmura do tłumaczenia i porozumiewania się.

Philleas była zarówno niezwykle ciekawa, jak i bardzo naiwna w stosunku do świata ponad linią wody. Dla niej ten świat był bardziej mityczny niż jej świat dla ludzkości. Jedynie kilka syren z jednego pokolenia, przeważnie młodych kobiet, mogło zmieniać się i na krótko uchodzić za przedstawicielkę rodzaju żeńskiego. Młode nagie kobiety, które nie odważyły się zawędrować daleko od morza, siłą rzeczy nie miały szans napotkać najlepszych mieszkańców lądu.

Philleas była ignorantką w dwójnasób. Jej cały świat ograniczał się do przystani. Znane jej niebezpieczeństwa to rekin i kraken.

Heris uznała, że dziewczyna jest bardziej irytująca niż interesująca. Wciąż zadawała pytania.

Nagle i niespodziewanie, w kilka dni po zniknięciu starszych panów, Asgrimur oznajmił:

— Philleas nie interesuje mnie tak, jak myślisz. Ona też w ogóle nie jest mną zainteresowana.

— Co takiego? — Całkowicie ją to zaskoczyło.

Znawali się na przystani. Dominujący przybrał najbardziej ludzką ze swoich postaci. Gapił się przez portal na świetność śród-ziemia.

Wrota były otwarte, żeby Heris mogła wyjść, gdyby musiała.

— Jej lud odnalazł kolejną kolonię na Morzu Andorayańskim. Chcą połączyć kolonie, zaślubiając Philleas z Kurlasem, syrenem w jej wieku z drugiej kolonii. To powinno być ciekawe. Philleas podpatrzyła wiele romantycznych cech u nas. Szczególnie u staruszka. Tymczasem morska kolonia od stulecia przywarła w ciepłe wody wokół wolnego wycieku mocy. Zmienili się w dość dziwne istoty.

Heris mruknęła coś, bo zupełnie jej to nie obchodziło. Po prostu nie chciała oglądać syreny w ziemskiej postaci i porównywać się z nią.

To nie było w porządku. Ani trochę. Dziewczyna nie była nawet człowiekiem.

— Myślę, że Februarenowi wydawało się, że to niezły żart — stwierdził dominujący.

— Pewnie tak. Czasami zachowuje się jak idiota. Jestem zaskoczona, że nie wykorzystał jej naiwności.

— Któż to może wiedzieć? On pewnie wie. Nie miałyby to znaczenia. To, co Philleas robi w ludzkiej postaci, jest zupełnie niezwiązane z tym, co robi jako syrena. Nie posądzałbym tu staruszka o jakieś niezdrowe ciągoty... jeśli w ogóle je ma w tym wieku... ale jego poczucie humoru mogłoby znaleźć niezłą pożywkę w tym, że za każdym razem, kiedy Philleas przybiera ludzką postać, zjawia się tu jako dziewica.

— Och, no to już po prostu... No dobrze. Nie mam pojęcia, co on na ten temat sądzi. Przecież nie będę węszyć, sprawdzać, czy mój najstarszy żyjący krewny nie jest przypadkiem zboczony. Asgrimurze, dajmy temu spokój. Niezręcznie mi się o tym gada.

— W takim razie wybierzmy się na górę.

— Słucham?

— Weźmy jakąś wałówkę i zbadajmy Wielką Fortecę Niebiańską. Przecież cię ciekawi, prawda?

— Oczywiście. Tak samo jak interesuje mnie, co się dzieje, kiedy statek pęka i wszyscy się topią.

— Dziwna ta twoja logika.

— Bo ja jestem dziwną kobietą. — Heris wzruszyła ramionami. — Przeżyłam bardzo dziwne życie. Patrzę na świat przez podejrzliwie zmrużone oczy.

— Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby przejść się po polu bitwy przed walką. Będziemy mieli więcej czasu, kiedy wrócą pozostali. Nadejdzie zima. Kiedy to się stanie, Kharoulke odżyje i będzie się miał dużo lepiej od nas.

— I powiem ci, że tu masz świętą rację.

Most tęczy wciąż błyszczał, emanując wprawiającą wszystko w drżenie energią. Heris nie miała najmniejszych trudności z przejściem. Konstruktor nie miał, co prawda, bezpośredniej mocy w Dziedzinie Bogów, ale używanie go poza nią znacznie zwiększyło jej pewność siebie.

Dominujący poszedł za nią, sam nie znając, co to strach. I nie miał powodów, by się bać. Gdyby spadł, wystarczyłoby, żeby się zmienił... Od podmuchu wiatru stracił równowagę. W jednej chwili wykształcił w sobie macki, które mocno przywarły do tęczy. Podciągnął się z powrotem na most i zmienił się w wielkiego ptaka, który kilka ostatnich metrów pokuśtykał na jednej łapie. W drugiej trzymał swoje spodnie.

— To imponujące — stwierdziła Heris. Zauważyła, że jedno skrzydło było nieco karłowate. — Słuchając tych wszystkich opowieści o ludziach zmieniających się w zwierzęta, zawsze zastanawiałam się, co oni robią z odzieniem.

— Jak się człowiek zmienia w pośpiechu, to traci odzienie. Jak się nie musi spieszyć, to zwykle może o to zadbać.

Ogólnie rzecz biorąc, pozostał istotą dwunożną, wbijając się w spodnie. Wtedy zmienił się całkowicie w człowieka, ale tylko na chwilę. Jego bose stopy i nagi tors zaczęły się znów zmieniać. Miał teraz lwie łapy i gęstą sierść powyżej pasa.

Na górze było zimno.

— Dla jakiejś boginki będziesz prawdziwym wyzwaniem — zauważyła Heris.

— Dałem sobie spokój. Jest tu woda, ale nie ma niczego dojedzenia.

— W takim razie będzie to krótkotrwałe wyzwanie. Mam jedno pytanie.

— Może będę mógł na nie odpowiedzieć.

Z niejasnych powodów Heris skierowała się w stronę martwego sadu jabłoni, kiedy tylko przeszli przez bramę.

— Brakuje ci... nieważne. To się pojawia i znika. Zawsze masz właściwą liczbę dłoni i rąk, kiedy stajesz się człowiekiem. Kiedy jesteś czymś innym, zawsze masz chromą kończynę. I dlatego utraciłeś koszulę i żywność.

— Oraz inne cenne przedmioty.

— No i co?

— Dłoni nie mam też jako człowiek. Mogę stworzyć iluzję dłoni.

— Iluzję? Widziałam, jak się posługiwałeś tą ręką.

— Widziałaś? Aby na pewno?

— Ech... No nie. A co się stało?

— Zaatakowałem kogoś, kiedy byłem oszalałym potworem z wysokich gór Jago. Nie spanikował jak cała reszta. Odrąbał mi ją. Nie było to przyjemne. Ale miało swoje zadanie. Ból w końcu przebudził we mnie odrobinę zdrowych zmysłów, jakie mi pozostały. To tutaj i ta dzika zasadzka później niemal mnie zabiły. — Asgrimmur wyciągnął prawą dłoń. Zaczęła się kurczyć. — Trochę niesamowite, co?

— Można tak powiedzieć. — Heris przeszła przez dziurę w kamiennym ogrodzeniu wytyczającym teren sadu.

W jednej chwili szarość zniknęła. Ogród rozkwitł wizją obrazu sprzed lat. Piękna blond bogini zerwała złote jabłko. Położyła je pod niewielką płytą, robiąc znak, który według Heris był błogosławieństwem. Spojrzała w kierunku Heris, jakby myślała, że usłyszała, jak coś nadchodzi. Najwyraźniej niczego nie dostrzegła. Zaniepokojenie zniekształciło jej urodę. I wtedy wizja się rozviała.

— Co się stało? — zapytał dominujący. — Poczułem coś, kiedy przeszłaś przez mur.

— Nie jestem pewna. Jakiś przebłysk przeszłości? Mogłam zobaczyć, jak ten sad wyglądał wtedy.

Drzewo, z którego bogini zerwała jabłko, leżało zbutwiałe u stóp Heris. Bez jednego termita.

Tak samo jak moc, owady nie wróciły do Dziedziny Bogów, choćby dlatego, że wejście znajdowało się pośrodku mroźnego morza. Choć

rezultatem ostatnich wypraw i powrotów było to, że pchły i wszy się odrodziły.

— To smutne, że to wszystko musiało odejść — stwierdziła Heris. — Było wspaniałe.

— Zapomniałaś, co tutaj żyło?

— Nie. Ale założę się, że nie byli gorsi od innych Delegatur z tego okresu. Czy często składali ofiary z ludzi?

— Domagali się tego. Ale niezbyt często. Ofiary to byli przeważnie skazańcy, kalecy albo ludzie, którzy i tak umierali już na jakąś chorobę. Albo też, po tym jak chaldarański kult dotarł do północnego świata, misjonarze.

Ale w ciężkich czasach bogowie czasami domagali się prawdziwych ofiar.

— Dobrze ci się rozmawiało z Clovenem Februarenem?

Heris wyszła z sadu i ruszyła w stronę wejścia do „strażnicy” fortecy. Strażnica była stosownie do okoliczności oparta na planie podobnych budowli, lecz jej nazwa stanowiła spory eufemizm w odniesieniu do wymogów architektury wojskowej śródziemia. Budowla rozciągała się na prawo i lewo i pięła wysoko w górę.

— Tak, przyznaję. Ten człowiek ma wprost niezwykły umysł. Większość tego, na co patrzysz, jest iluzją. Prawdziwa forteca znajduje się dalej, w skale niebotycznej góry.

— Nie jest to odpowiedź, jakiej oczekiwałam.

Dominujący zmarszczył brwi. Dopiero po chwili spróbował ująć to w taką odpowiedź, która znalazłaby aprobatę.

— Przykro mi, że jesteś zawiedziona. Nigdy nie wiem, jak się to wszystko dzieje. Ani dlaczego robię to, co robię. Wędrowiec i Wygnany byli mocnymi osobowościami. Nawet jako duchy czasami odprawiają złą magię.

Heris chciała coś powiedzieć, sprostować, że też nie o to jej chodziło, ale się powstrzymała.

— Czas spędzony ze staruszką naprawdę przyniósł mi radość — ciągnął Asgrimmur. — Pobyt w Fea był miłym przerywnikiem. Jeszcze bardziej radowało mnie jego towarzystwo tutaj, kiedy cię nie było. Cechuje go nienasycona ciekawość. Ale lubi też wszczynać spory. Z Bastardem kłóci się stale.

— Powiedziałabym, że ma nieskończoną zdolność do płatania figli. Co tutaj zmajstrował, kiedy nie patrzyłam?

Asgrimmur spojrział na nią obojętnie. Znów miała poważne problemy, żeby wyobrazić go sobie w roli okrutnego najeźdźcy, jednego z tych, którzy wyszli z Andoray wieki temu. Wtedy przypomniała sobie, że Dziewiąty Nieznany zasugerował, iż dominujący mógł sobie przyswoić wiedzę tych, których zabił w okresie szaleństwa.

— A więc, co robimy teraz? — zapytała. Starła się odgonić te myśli.

Staruszek o nienasyconej ciekawości zjawił się tutaj niezliczoną ilość razy, kiedy jej nie było. Może uda się jej skłonić Asgrimmura, by pokazał jej, czego się dowiedzieli. Może zmusi go do wyjaśnienia, w jaki sposób stał się tak odmienionym człowiekiem.

— Chodź.

Poszła za nim.

Pokazał jej miejsce, do którego nie miała ochoty później wracać.

— To tutaj mój brat i ja oraz nasi koledzy z dzieciństwa byliśmy trzymani, gdy Delegatury czekały, by nas uwolnić. To tutaj bohaterowie północy zebrani z pobojuwisk przez Poszukiwaczki Poległych oczekiwali na swoje przeznaczenie. To tutaj Ci, którzy dobrze służyli Dawnym Bogom za życia, wierzyli, że tutaj właśnie spędzą wieczność. Hala Bohaterów. Raj, który ma wiele wspólnego z chaldarańskim piekłem.

Choć minęło wiele lat, wciąż unosił się tu zapach śmierci.

Tam, w środku góry, nie było zbyt wiele światła. Heris była za to wdzięczna losowi. Dostrzegła porozrzucane kończyny i szczątki tak straszliwie poranione, że nie były w stanie odpowiedzieć na wezwanie do bitwy, gdy Wędrowiec zwołał ich, by ratować Noc.

Zanim Dawni Bogowie odeszli, w Hali Bohaterów nie było zgnilizny. Tylko smród świeżej śmierci. Ale teraz zgnilizna dotarła do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Powolna, pełznąca zgnilizna hamowana chłodem i obcymi prawami fizyki.

— Jak ich uwięziłeś? — zapytała Heris.

— Sprytem. Starali się wziąć mnie z zaskoczenia. Bezskutecznie. Pewnie coś mnie natchnęło. Ale byłem zbyt oszalały, by to pamiętać. Wyrwałem niezbędną wiedzę z Ojca Wszechrzeczy oraz z Wygnanego, tak jakbym wyrywał im płuca, tak sądzę.

Heris powstrzymała torsje.

— Strasznie śmierdzi. Jak to mogłeś wytrzymać przez dwieście lat?

— Dużo dłużej. Zapomniałaś o różnicy czasu? Ale mieliśmy szczęście. Utraciliśmy świadomość. Choć było wystarczająco strasznie. Pojawiły się sny. Mój brat... Nie ma sensu, żebym się tak tym katował.

— Rozumiem.

Pamiętając, co dominujący i jego brat kiedyś zrobili, Dawni Bogowie uwolnili ich.

— Moją najmocniejszą wy mówką jest to, że starałem się zająć bratem. Tak jak ty byś się zajęła, gdybyś miała brata.

— No dobra. Tak. Nieważne. Pokaż mi coś innego.

Nie było zbyt wiele do oglądania. Z całą pewnością nic równie spektakularnego. Tylko jeszcze kilka komnat, dużych i małych, gdzie pozostał tylko kurz. I to głównie kurz z wolnego rozpadu kamiennych ścian, po jednym pyłku naraz.

— Nie ma tu żadnych mebli — zauważyła Heris. — Bez względu na to, dokąd pójdziemy. Ani kawałka zbutwiałej tkaniny, ani skorodowanego metalu. To nie mogło być aż tak dawno, nawet jeśli czas płynie tu inaczej.

— Tutejsza chwała istniała, ponieważ doglądali jej Dawni Bogowie. Starożytni Aelen Kofer byli doskonałymi rzemieślnikami. Nawet forma i wymiary niektórych fragmentów Wielkiej Fortecy Niebiańskiej mogły się zmieniać wedle zachcianki obserwatora.

— Czy to ci sami Aelen Kofer, z którymi współpracujemy dzisiaj?

— Bez wątplenia jest to myśl warta zapamiętania.

— Mówisz, posługując się pamięcią?

— Wspomnieniami, ale nie moimi. Wciąż znać tu ślad dumy ducha Ojca Wszechrzeczy, choć on tylko zmusił krasnoludy, by wybudowały mu, czego chciał. Geniusz, który to stworzył, należał do Aelen Kofer.

— Skoro byli geniuszami, to jak zmienili się właściwie w niewolników?

Dominujący zatrzymał się, odwrócił do niej i patrzył na nią przez kilka chwil.

— Choć najgłupszy Aelen Kofer jest wielokrotnie mądrzejszy niż my, nie znaczy to, że jest też tylekroć silniejszy — powiedział w końcu. — Ani świadomy. Oni nie są... Oni są... Są rzemieślnikami, Heris. Kupcami i dostawcami. Ludem, który słucha rozkazów i je wykonuje.

Heris po raz pierwszy zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu, ale bez nacisku. Wiedziała, co chciał powiedzieć na temat krasnoludów. Znała

to od dawna.

— Ale ty wcale nie mówisz jak andorayański pirat — zmieniła temat.

Dominujący zmarszczył brwi, zastanawiając się, co ma na myśli.

— Masz jakieś praktyczne doświadczenia? Myślisz, że wiesz, jak mówi pirat?

— Andorayański pirat nie. Ale mam doświadczenie z pierwszej ręki. Choć zastrzegam, że jestem kobietą i byłam wtedy młoda. — Młodsza, niż Asgrimmur myśli.

Dominujący wyglądał na zaskoczonego.

— Pokaż mi, gdzie siedzą zamknięci Dawni Bogowie — poprosiła.

— Nie ma czego oglądać.

— W takim razie pokaż mi to nic.

Była to hala. Pusta, ogołocona ze wszystkiego jak inne, większe i mniejsze, które Heris oglądała w fortecy. Ta miała dziesięć na siedem metrów i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Obeszła ją całą. Pozbawione szyb okna w zewnętrznej ścianie wpuszczały dostatecznie dużo światła, choć o tej porze przesuwane się na niebie chmury były najobfitsze. Nic nie wskazywało, że to pomieszczenie jest jedyne w swoim rodzaju.

— Gdzie oni są? Jest jakiś kierunek? Punkt? Cokolwiek?

— Właśnie tutaj to zakończyłem. — Asgrimmur rozpostarł dłonie. — Tyle tylko pamiętam. Dalsze wypytywanie to strata czasu. Nie wiem. Przeciwiczyliśmy to ze staruszką ze dwadzieścia razy. Tyle tylko ci mogę powiedzieć. Nie wiem, i tyle. Choć jestem pewien, że mogę zwolnić więzy z pomocą Bastarda, Żelaznookiego i staruszka.

— Dobrze byłoby wiedzieć, w którym kierunku mam patrzeć, kiedy będziecie otwierać okowy.

Asgrimmur wzruszył ramionami. I udało mu się przybrać skruszoną minę.

— No dobra, wielki głupolu — westchnęła Heris. — Stoję tutaj. Brama się otwiera. Obserwuję to, w co się zmienia. Co ja tam zobaczę? Co będzie za bramą?

— Tu mogę być bardziej przydatny. Będzie tam... — Zwolnił i w końcu zamilkł. Wyglądał na skonsternowanego. Jakby nagle ktoś wyczyścił mu wszystkie wspomnienia.

— Nie mów. Właśnie zapomniałeś. — Heris pomyślała, że może wie, dlaczego Asgrimmur ma problemy z pamięcią.

— Zapomniałem. Pusta mózgowica.

— Jedna twoja klepka w mózgu jest silniejsza, bardziej racjonalna i o wiele bardziej niezależna, niż myślałeś. To ona sabotuje twoją pamięć.

Asgrimmur popatrzył na nią smętnie. A potem zakrzyknął gromko:

— Myślę, że masz rację!

— Która? Arlensul, która chce, żeby jej rodzinka została w zamknięciu? Albo Ten Który Słucha, który szykuje się, żeby dać nogę?

— Heris, ja nie wiem. Nie jestem dobry w sprawach z Delegaturami. Nie mam z nimi kontaktu. Nie jest tak jak teraz, że stoimy i rozmawiamy. Większość czasu to są tylko głosy duchów dobiegające z oddali. Mogę zrozumieć pojedyncze słowa. Czasami ich głosy nikną w chórze innych.

Czy miał na myśli tych, których zabił i zjadł, kiedy był złym potworem z Jago?

— Starożytni mają najsilniejsze głosy — powiedział. — Ale wszystkie pojawiają się i znikają.

— A co ci mówią?

— Przeważnie krzyczą. Włącznie z Ojcem Wszechrzeczy oraz z Wygnanym. W najbardziej intensywnych chwilach egzystencji wszystkie darły się z wielkiego bólu.

Heris wzdrygnęła się. To były okrutne sprawy.

— Powinniśmy iść — stwierdził Asgrimmur. — Niczego tutaj nie zwojujemy.

Słuchał czegoś jeszcze. Krzyku w głowie? Czy też głosów uwięzionych nieopodal Dawnych Bogów.

Podejrzewała, że tego drugiego.

— Wróćmy do tawerny i zobaczymy, co powiedzą Norgeny.

— Norgeny?

— Tak mówię o tych trzech czarownicach, które zostawił nam Żelaznooki, żeby były nam piastunkami. Norgeny przerośnie, nie dosłownie.

— A co to niby są te Norgeny?

Zmarszczył brwi. Jakże mogła tego nie wiedzieć?

— Ach, wy południowcy! Norgeny to coś takiego jak Parki czy Mojry. Trzy więdźmy, które snują nici przeznaczenia. Mniej więcej.

— A gdyby wciąż to robiły, to czy nie byłyby w zмовie z Dawnymi Bogami?

— Tamtych już dawno nie ma. Jest to inny rodzaj Delegatury. One już dawno rozplynęły się w życiu przeszłym, które przychodzi po zużytej Delegaturę.

Był to temat, przy którym zmarnowała całe godziny w rozmowach z Dziewiątym Nieznanym, prowadząc intelektualną grę. Pomyślała, że starszek dobrze to ujął. Delegatury nie umierały normalnym trybem, ale rozplywały się w niepamięci i bezruchu, stając się mułem na bagniskach Nocy. Chyba że ktoś próbowałby czynnie zabić, pochłonać, pożreć czy roztrzaskać Delegaturę. Wtedy przestawała istnieć. Chyba że, co możliwe, stawała się częścią składową innej Delegatury.

Kiedy to pomyślała, zerknęła na Asgrimmura.

Jego Norgeny może wypadły już z interesu, ale gdzieś tam dalej są. Uśpione. Ktoś obdarzony sprytem mógłby znaleźć sposób na obudzenie ich. Ci sprytni budzili już większe i bardziej przerażające Delegatury.

— No dobrze. Chodźmy pogadać ze starymi kobietami. Ale jutro wracamy tu z farbą, kredą i taśmą mierniczą. Oznaczmy pola ognia.

Dominujący wyglądał na zaskoczonego. Dusza w jego sercu należała do mężczyzny starszego od niego o dwa stulecia. Nie przeżył tych wszystkich zmian w ciągu tych lat.

W ten sposób jego bogowie zabrali mu jeszcze więcej.

Godziny spędzone w towarzystwie małomównych kobiet krasnoludów dały Heris całą masę szczegółów na temat Dawnych Bogów. Zapisała wszystko na pergaminie dostarczonym przez krasnoludy za pomocą piór i inkaustu wytworzonego przez Aelen Kofer.

I tak, kiedy wstała rankiem, to, co zapisała wieczorem, wciąż widniało na pergaminie, choć utrwaliło się też w jej wspomnieniach. To, co zapamiętała, włącznie z notatkami i wiadomościami dotyczącymi pozostałych informacji i myśli, mogła później wykorzystać.

Heris odwiedzała Wielką Fortecę Niebiańską każdego „ranka”. Za każdym razem odkrywała nowe obszary, ale też odwiedzała komnatę, co do której Asgrimmur upierał się, że właśnie tam uwięził Dawnych Bogów. Używała obficie kredy i farby, zarówno w środku, jak i w całym obiekcie, by się nie zgubić.

— Asgrimmur, minęło osiem dni, odkąd wszyscy wyruszyli.

— A w śródziemiu może to być tylko kilka godzin. Najwyżej dzień.

— Nie tym się przejmuję...

— W takim razie czym?

— Muszę cię dokądś zabrać. Chcę ci coś pokazać. O, tam. — Machnęła ręką w stronę portalu.

Stare karlice zaczęły marudzić, zanim Heris dokończyła wyjaśniać.

— Dość tego — przerwał im dominujący. — Róbcie, jak wam kazano. — Zaczął się zmieniać.

Heris stała za nim. Nie widziała, co pokazał krasnoludzkim kobietom. Odniosło to jednak skutek. Przestały zrędzić. Żadna z tej trójki nie odezwała się więcej do chwili, gdy przyciągnęły niewielką łódkę, która miała ich dowieźć do wrót na granicy Dziedziny Bogów.

— Niech Pani Fortuna ma was w swojej opiece — powiedziała najstarsza.

— Niech Pani Aura będzie dla was łaskawa — rzekła druga.

— Nie ryzykuj bez potrzeby, dziewczyno — dodała ostatnia.

Wszystkie trzy przemówiły w języku zrozumiałym dla Heris, choć ze strasznie chropawym akcentem.

— Dziękuję wam. — Podziękowania były szczere. — Chodź tutaj, Asgrimmurze.

— Czy miałeś wizję albo odczuwałeś silne emocje w czasie podróży? — zapytała Heris.

— Odwiedziłem piekło. I ciemność rojąca się od nocnych mar. — Trząść się, ale nie od chłodu.

— W takim razie to jest to. Robię coś nie tak.

— O czym tym mówisz? I co to za paskudny smród?

Stali na zimnym, szarym stoku, pośród pokruszonych bezdusznych głazów, z których większość miała ostre krawędzie. Lód wypełniał każdą szczelinę, do której słońce nie mogło dotrzeć. Miarowy wiatr niósł mróz do szpiku kości i fetor rozkładu. Niebo natomiast przedstawiało bezkres jasnego błękitu, od czasu do czasu zakłóconego pospiesznie pierzchającą i skręcającą się w górze puchatą chmurką.

Wiatr zawodził też tysiącem głosów, świszcząc między potężnymi zwałami kamienia. Był to chóralny tren.

— Idź za mną — rzuciła Heris. — I pochyl się trochę. Nie chcemy, żeby nasze sylwetki pojawiły się na tle nieba.

Asgrimmur w końcu zrozumiał, że znalazł się daleko od starych krasnoludzkich kobiet.

— Coś ty zrobiła?

— Dobrze by było iść w ciszy.

Heris podkradła się do krawędzi skały, konstatuując, że bardzo się zmieniła w krótkim czasie. Nie od chwili, kiedy uratował ją Grade Drocker, ale odkąd dziadek Delari sprowadził Gisorsa — Pipera — z powrotem do jej życia. Nie tak dawno jeszcze była niewolnicą, chaldaranką wykorzystywaną i używaną do woli w tym czymś, co ci idioci nazywali Dziedziną Pokoju. A teraz była nieokiełznaną podróżniczką przemierzającą arktyczne wzgórza z półbogiem, tysiące kilometrów od miasta swej hańby.

Dotarła do odpowiedniego punktu obserwacyjnego i wolno uniosła głowę. Przywołała Asgrimmura.

— Chodź tu na górę. Tylko ostrożnie.

Dominujący posłuchał.

— To tutaj. Bóg-potwór. I jego czciciele. Dwie zagłodzone postacie skulone, by zachować ciepło, obok cuchnącego boku Delegatury, prawdopodobnie tak szalone i słabe, że nie byłyby w stanie niczego zrobić, nawet gdyby dostrzegły obserwatorów.

Smród był obezwładniający. Heris oddychała przez usta, ale to pomagało tylko odrobinę.

— To jest ten straszny Wędrowiec Wiatru? Z jego powodów musimy uwolnić Dawnych Bogów?

— To on. Ale inni jego pokroju już też są na wolności.

Kharoulke latem rozciągnął się na całej połaci kamienistej plaży, tuż nad linią palącej żywym ogniem morskiej wody, i przypominał rozkładającą się meduzę większą niż wyrzucone na plażę stado wielorybów. Z niezależnych ran sączyła się ciemna ciecz, ściekając po boskim boku na kamienie, po czym niknęła w słonej wodzie.

— Dlaczego mamy się przejmować czymś takim? — zapytał dominujący.

— Ponieważ ta Delegatura, teraz dużo mniejsza, wciąż żyje tam, w tym truchle. I czeka. Bo zima zawsze nadchodzi. A zima tutaj jest długa i siarczysta. Wędrowiec Wiatru odżyje. Jeśli go pierwsi nie powalimy.

Heris musiała przyznać, że trudno było dostrzec w tej cuchnącej masie jakiegokolwiek zagrożenie. Trudno było też uwierzyć, że nie zdołała tego sama zniszczyć, zważywszy na olbrzymie wsparcie logistyczne i techniczne.

Nie rozumiała tego. Bez względu na to, jak często Dziewiąty Nieznany mówił, jaką to wiarę w niej pokłada, nigdy by nie wsparł jej tak, jak wspierał jej brata.

Rozmyślanie o tym nie pomogło nabrać lepszego zdania o mężczyznach.

— Będziesz tylko tak patrzeć? — zapytał dominujący.

— Tak.

— To wie, że tu jesteśmy.

— Co takiego?

— Czuję, jak wzywa coś, żeby nas dopadło.

— Ta zgnilizna. Czy to tylko kamuflaż...? Asgrimmur?

— Nic mi nie jest. Byłem... wyczuwało mnie, nie nas. Wywęszył tę moją cząstkę, która pokonała go dwa tysiące lat temu. Samej by cię nie zauważył. Wysła kogoś, by mnie załatwił.

Heris mogła to zrozumieć. Dominujący należał do Nocy. Ona zaś mogła pojawiać się i znikać, efemeryczna, ulotna, niezauważona do chwili, w której zaatakuje ten śmierdzący ziemski twór tam, w dole.

— W takim razie prawdopodobnie powinniśmy zniknąć. — Heris zaczęła się wycofywać.

— Za późno.

Jakieś nakrapiane skrzydło, brąz na węzowym brzuchu w kolorze tła, wyskoczyło zza krawędzi, bardzo szybko. Buzując zaciekłością, rzuciło się na dominującego.

Nie było większe od wiewiórki.

Asgrimmur schwycił to w powietrzu. Starło się kąsać. Rozwalił mu łeb o kamień, po czym sprawdził liczbę palców.

— Ktoś przesadził, prawda?

— Nie. — Heris złapała oddech. — Boska moc tworzenia i wpływania na otaczający świat naprawdę bardzo osłabła. Czy wyczuwasz coś jeszcze na poziomie nadprzyrodzonym?

Asgrimmur odwrócił miniaturowego potwora i dźgnął go palcem.

— Delegatura jest zawiedziona. To coś to była Krepa Nocy Wybraniec. Został stworzony przez boga. Miał być moich rozmiarów, ale szybszy,

bardziej morderczy i zdecydowany.

Zbocze zadrzało. Kamienie przesunęły się, ale wstrząs nie był na tyle mocny, by się stoczyły. Leżący na plaży bóg zadygotał i zaczęły nim wstrząsać dreszcze.

— Jest oszalały z furii, ale nie ma siły na nic innego poza trzymaniem się życia. Oczywiście przez długi czas.

— Pożyteczna umiejętność, umieć czytać bogu w myślach bez usmażenia własnego mózgu.

— Nie czytam mu w myślach, Heris. Bardzo bym nie chciał próbować. W mgnieniu oka przerobiłby mnie na dominującego Wybrańca Krepę Nocy. Wtedy poszczułby mnie na ciebie i innych.

— Wiesz to wszystko, nie czytając mu w myślach?

— To proste. Czuję jego emocje. Myślę, co by zrobiła boska cząstka we mnie na jego miejscu, gdybym miał jego moc. — Asgrimmur wychylił się, by mieć lepszy widok na plażę.

— Jest bezpiecznie? — Heris dołączyła do niego.

— Teraz tak. Przez chwilę. Jak chcesz, to możemy po złości oblać go słoną wodą.

— Zapomniałam wiaderka zabrać.

— Zniszczyłabyś to, co i tak jest już spisane na straty.

— A do tego są tam ci kapłani. — Wskazała.

— Oni nie stanowią problemu. Wykorzystał ich do stworzenia Wybrańca Krepę Nocy.

— Dowiadujesz się wszystkiego na bieżąco? — zapytała Heris.

— Ja zawsze... — Uświadomił sobie, że nie było to pytanie ogólne. — Od Delegatury? Tak.

— Czy jest coś, co może być użyteczne w walce? Bo jak jest, to zostanę tu, aż mi oczy zamarzną. A jak nie ma, to nie zostanę. Po prostu zwieję stąd jak najszybciej gdzie pieprz rośnie.

— Daj mi jeszcze kilka minut. Chyba że masz jakąś nagłą potrzebę.

— Mam potrzebę. Ale proszę bardzo. Napawaj się ile wlezie. W końcu muszę tylko wrócić do domu.

Connec: Podróż

Brat Świeca nie miał najmniejszych problemów z wyjazdem z Khaurene w zamieszaniu po śmierci króla Regarda. Nie wyjechał sam. Dołączyło do niego ponad trzydziestu maysalan na wozach, bryczkach z trzodą i bogactwem, jakby wręcz prosili okolicznych bandytów o rabunek.

Tak, mogli mu pomóc. Był pewien, że nie przeżyłby samotnie takiej wyprawy. Ale z drugiej strony, mogli też być przyczyną jego śmierci.

Chcieli opuścić Khaurene w okresie spokoju, zanim Anne z Me-nandu dokona zemsty. Która, jak wszyscy dobrze wiedzieli, nastąpi, tak pewna jak nadejście nocy.

Nie chcieli natomiast słuchać rad ani ostrzeżeń Doskonałego na temat niebezpieczeństw w podróży.

Nakazał im jechać na południe, przez góry Verses do Navai Medien, gdzie Kościół i Stowarzyszenie miały niewielkie wpływy, a Arn-hand żadnych. Gdzie heretycy byli witani z otwartymi ramionami, jeśli posiadali różne umiejętności i chęć do pracy. Navaya Medien była krainą zubożoną o sporą liczbę mieszkańców, najpierw przez niegdysiejszą zarazę, a potem przez dwa wieki szaleńczej walki, prowadzonej bez pardonu przez chaldarańskich królów i pramańskich kaifów.

Pokój jednak powrócił. Piotr z Navai przepchnął strefę walk na południe. Chaldarański triumf pod Los Naves de los Fantas gwarantował, że pramianie nie mogą być poważnym zagrożeniem przez kolejne pokolenie.

Ale ci emigranci byli wszyscy serdecznymi przyjaciółmi z maysalskiej społeczności mieszkającej w Khaurene: rodzina Archimbaultów i ich sąsiedzi. Większość stanowili ludzie, z którymi brat Świeca udał się na wygnanie do Altai. Straszliwa Kedle Richeut, *primo voto* Kedle Richeut,

była obecnie przywódczynią, do tego cieszącą się największym szacunkiem. Ale teraz nosiła nowe miano — Alazais Przekaz, po kobiecie Doskonałej zamordowanej przez Stowarzyszenie.

Używała przybranego nazwiska, ponieważ wszyscy wiedzieli o tym, że młoda maysalska matka o nazwisku Kedle Richeut wypuściła pocisk, który przeciął nić żywota Regarda z Menandu.

Grupa ciągnęła południowym szlakiem na Castreresone, który przechodził przez spokojniejsze okolice. Na żądanie Kedle każdy dorosły członek grupy wziął ze sobą broń z Khaurene. W tym całym zamieszaniu było to dziecinnie proste. Brat Świeca do każdej modlitwy dodał kodycyl, błagając Dobrego Boga o zachowanie tych ludzi.

Niemniej jednak kłopoty pojawiły się nieopodal Homodelu, który wciąż nosił ślady walk z czasów nękania Connec przez Naczelnego Wodza. Castreresone znajdowało się nawet nie o pół dnia podróży, ale bandyci bezczelnie panoszyli się wszędzie.

Podróżni natknęli się na czterech zbrojnych mężczyzn blokujących im drogę. Ich przywódca nosił rycerską zbroję, choć nie miała herbu ani dewizy. Był jedynym konnym w tym gronie. Na kolanie trzymał hełm. Pogarda, jaką czuł do maysalan, była aż nadto widoczna.

Brat Świeca nie słuchał, co powiedział jeździec, kiedy ten odezwał się po raz pierwszy. Miał mocny akcent. Sedno jego wypowiedzi było takie, że podróżni muszą się odsunąć od wozów i zwierząt.

Mocnym, spokojnym głosem, podając jednocześnie dziecko swej kuzynce Guillemette, Kedle powiedziała:

— Zejdźcie z drogi. Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Na co ten na koniu wybuchnął śmiechem. Jego towarzysze byli już mniej pewni. Nachylił się do nich, by coś im rzec...

Kedle błyskawicznie wyciągnęła gotową do strzału kuszę z wozu ciągniętego przez osła i posłała bełt wprost w prawe oko rycerza. Wymieniła kuszę na włócznię i podbiegła do pieszych.

Świadkowie tego zdarzenia wiedzieli, że dziewczyna ma zamiar zabić wszystkich trzech i że nic nie można na to poradzić. Sami bandyci to wiedzieli.

Najmłodszy, najwyraźniej niedomagający wyrostek, od razu dał nogę.

Kedle natarła na pozostałych niczym anioł śmierci, nie marnując ani sekundy ich zaskoczonego bezruchu. Raniła najcięższego, dźgając go w

wewnętrzzną stronę uda. Zatoczył się, wydając z siebie skomlącą skargę. Drugi był dwa razy większy od Kedle. Za broń służył mu zardzewiały długi miecz. Trzymał go obiema rękami i wściekle wymachiwał. Kedle cofnęła się, obeszała go dookoła i ustawiła się tak, że konia powalonego rycerza miała od strony ramienia z tarczą.

Na polu bitwy dzieją się różne dziwne rzeczy. Na miejscu tej utarczki koń rycerza nie ruszył się, gdy pana trafiono. Jeździec spadł i leżał twarzą na ziemi z lewą stopą wciąż zaplątaną w strzemię.

Dziewczyna dźgnęła konia. Wyskoczył naprzód, ciągnąc za sobą ciało, i zasłonił bandytę z mieczem, który na chwilę opuścił gardę. Przystawiła mu grot włóczni do brody i pchnęła, po czym ruszyła za rannym, który uciekał, kuśtykając. Obficie krwawił. Zignorowała jego błagania. Dźgała go dopóty, dopóki przestał się ruszać. Była jak opętana.

Wróciła do grupy wkurzona.

— Co z wami jest, ludzie? Żaden z was nie ruszył nawet palcem, by stanąć w naszej obronie. A co by było, gdyby w tym lesie czało się ich więcej?

— Laleczko, dlatego właśnie... — zaczął Raulet Archimbault.

— Nie dlatego. Zamarliście. Co do jednego. Jak króliki, które mają nadzieję, że lis ich nie zauważy. Gdzie się podziały te groźne wygadane wilki, które głośno wyły przed wyjazdem z Khaurene? No i ty, starcze. Mistrzu. Jesteś doświadczonym podróżnikiem. Dlaczego tylko stałeś w milczeniu z kciukiem w buzi?

— Przywykłem do radzenia sobie słowami w takich konfrontacjach.

— Przywykłeś do tego, że jesteś tak biedny, że nie mają ci czego zrabować, i w dodatku podróżujesz bez kobiet. Z tą czwórką nie byłoby gadania.

Przyklękła przy powalonym jeźdźcu, próbując wyciągnąć bełt. Tkwił mocno. Nie chciał wyjść. Kopnęła trupa z wściekłością, po czym uwolniła mu stopę ze strzemienia, żeby koń nie musiał ciągnąć za sobą truchła.

— No już, idź sobie, koniku. — Odwróciła się do grupy. — Byłyby gwałty i morderstwa. Sami wiecie.

Miała rację.

Kedle wróciła do swego wozu. Wyjęła kuszę i napięła ją ponownie, tocząc wokół groźnym spojrzeniem.

— Żeby tylko moje dzieci nie zginęły przez was. — Po chwili rzuciła: — Othon! Zostaw te trupy. Nie mają przy sobie niczego, co by nas interesowało.

— Ale...

— Othon.

Mężczyzna, dwukrotnie starszy od Kedle i dwa razy większy, zostawił martwego rycerza.

— Niech rabuje ich kto inny — rzuciła. — I da się schwytać z dowodami rzeczowymi. — Włożyła nabitą kuszę z powrotem do wozu, zabrała swe najmłodsze od Guillemette i powiedziała: — Ruszajmy. I niech nikt nie piśnie nawet słowem o tym, co się stało, kiedy dojedziemy do Castreresone. Ani w ogóle nigdy.

Znów zaczęło skrzypieć, kołatać i stukać. Nikt nie odzywał się przez dłuższy czas.

Ziemia przesunęła się pod ich stopami.

— Ani słowa, Mistrzu — powiedziała Kedle, kiedy usiadł obok niej. — Nie chcę słyszeć tych wszystkich bzdur.

— Jak sobie życzysz.

W końcu cisza zaczęła i jej doskwierać.

— Wielkim przykładem, Mistrzu, był dla mnie książę Tormond Czwarty.

— Ale Tormond nie zrobiłby...

— No właśnie. Wstrzymywałyby się. Odwlekał. Rozmawiał. Robiłby wszystko, by uniknąć podjęcia decyzji, która mogłaby kogoś zdenerwować. Albo, co gorsza, zmusiłaby go do działania. W konsekwencji moglibyśmy się znaleźć w ojczyźnie, w której połowa mieszkańców byłaby prześladowana, obce armie hasałyby po kraju, jak by im się żywnie podobało, a poruszanie się po szlakach groziłoby śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Starzec nie mógł na to nic odpowiedzieć.

Był jednak pewien kontrargument. Pacyfiści zawsze go mają. Lecz Februaren tak się zjednoczył ze światem doczesnym, że nie przychodził mu żaden do głowy.

— Ale trzech ludzie nie żyją — wymamrotał. W chwili, kiedy to powiedział, zrozumiał, że uwaga była absurdalna.

— Ale reszta, ludzie, na których nam zależy, żyją i nic im nie jest. Czyż nie?

Jakże można się spierać z tymi, którzy głęboko wierzą w matematykę oraz ludzką naturę?

W Castreresone zaczęły się problemy. Konsulowie postanowili nie wpuszczać do miasta więcej uchodźców, bez względu na to, czy posiadali rodzinę za murami czy też nie. Za to krewni mogli wyjść na zewnątrz i spotkać się z nimi. Mogli przynieść im pożywienie i napitek, koce, odzienie i tym podobne.

Castreresone nie doszło jeszcze w pełni do siebie po swoim romansie z dawnym Naczelnym Wodzem. Przedmieście o nazwie Inconje, gdzie nad rzeką Laur rozpięto olbrzymi most, było opuszczone przez mieszkańców. Obecnie gościło tysiąc uchodźców. Brat Świeca dostrzegł wiele znajomych twarzy. Wszyscy byli zmęczeni podróżą oraz związanym z nią nieustannym lękiem. Większość utraciła dobytek, zrabowany przez bandytów.

Gromadka brata Świecy nie miała już zamiaru stawać oko w oko z tymi zagrożeniami, pomimo jego zapewnień, że zostaną powitani z otwartymi ramionami przez hrabiego Raymone'a Garete.

— Pewnie i tak się myślę co do tego powitania — rzekł do Rauleta Archimbaulta rozdrażniony Doskonały. — Szuka ludzi z kręgosłupem. Ludzi gotowych pomóc mu zawrócić falę zła zatapiającą Connec.

Przerwał. Z cienia wokół wspólnego ogniska Kedle spoglądała na niego szyderczo. Mały Raulet leżał wtulony pod jej lewym ramieniem, ssąc jej prawą pierś.

Starzec odszedł od ognia i zawiązał się w koc. Był całkowicie zagubiony. Dalej od Doskonałości niż jego najnowsi uczniowie. Oni byli błogosławieni zapalem do nauki, dochodzeniem do zbawienia. On musiałby cofnąć się kilkakrotnie na Kole Życia, by wrócić do miejsca, w którym zaczynał, przybywając do St Jeules na synod Doskonałych, nie tak dawno temu.

O poranku brat Świeca był gotów dalej samotnie ruszyć w drogę. Miał obowiązki wobec królowej Isabeth oraz hrabiego Raymone'a. Nie spieszyło mu się jednak zbyt. Kręcił się wokół wspólnego ogniska, przytulał dziecko Kedle, bawił się z podrostkiem i szukał wszelkich wymówek, by zamienić słowo z każdym, nim w końcu weźmie swoją sakwę. Kiedy to zrobił, było już prawie południe.

Kiedy zszedł z mostu Laur po wschodniej stronie, zauważył znajomą twarz. Czy też raczej twarze. Rzezimieszka Gaitora i jego braci, Gartnera i

Geisa. Nie byli uradowani, że ich rozpoznał. Próbowali umknąć, mając nadzieję, że nie ruszy za nimi.

Doskonały wykrzyknął:

— Wygadam wszystko!

— Bardzo sprytnie, Mistrzu.

— Co? — Odwrócił się z dudniącym sercem. Za nim stała Kedle z dziećmi na wozie ciągniętym przez osła. W dłoni trzymała włócznie. — Co robisz?

— Idę z tobą. I nie kłóć się. Twoi przyjaciele chcą cię zostawić.

— To nie są moi przyjaciele. To ludzie tacy sami jak ci pod Homodelem.

— W takim razie z całą pewnością będziesz potrzebował kogoś, kto będzie miał na ciebie oko. — Szarpnęła za uzdę osła.

Brat Świeca westchnął. Poradziłby sobie z tym po rozmowie z młodymi zbójami.

— W porządku.

Spotkał Gaitora i jego braci na brzegu rzeki trzydzieści metrów pod pozostałościami wieży, która kiedyś broniła wschodniego podejścia pod most. Gapili się na Kedle. Jej obecność powstrzymywała ich od chamstwa czy obelg.

— Kim jest twoja przyjaciółka? — zapytał Geis.

— To Alazais Przekaz. Lepiej jej nie denerwuj.

— Czego chcesz, Mistrzu? — zapytał Gaitor. Z całej trójki on najbardziej nie miał ochoty na pogawędki z maysalaninem.

— Zastanawiałem się, co u was. Czy skorzystaliście z mej rady i zanieśliście swą sprawę do hrabiego Raymone'a. Wyglądacie jakoś tak dostatniej. Alazais — zwrócił się do Kedle — ci ludzie pomogli mi podczas mojej ostatniej podróży do Antieux.

— Wyglądają jak bandyci.

Ta uwaga dotknęła Gartnera do żywego.

— Już nie! Pracujemy dla hrabiego Raymone'a. Odnajdujemy prawdziwych bandytów i szpiegów. I świrów ze Stowarzyszenia.

Gaitor i Geis wybałuszyli oczy. Gartner odzywał się niezmiernie rzadko.

— Gart — wybuchnął Gaitor — co się, do diabła, z tobą porobiło?

— Nie chcę, żeby myślał sobie, że jesteśmy tacy jak dawniej, kiedy się na niego natknęliśmy, to wszystko!

Niemowlę Kedle zaczęło popiskiwać. Brat Świeca uświadomił sobie, że płacze z głodu. Było to najspokojniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widział. Raulet też był spokojny. Stał teraz, spoglądając przez burtę wozu i chłonąc wszystko wokół. Łatwo była zapomnieć o jego obecności.

Czterech mężczyzn stało w głuchoj ciszy, kiedy Kedle podała dziecku pierś. Z włócznią w prawej dłoni.

— Pewnie masz rację, Mistrzu — mruknął Gaitor. — To jakaś amazonka. Choć już najwyraźniej nie dziewica.

— W takim razie weszliście na uczciwą drogę.

— W dziewięćdziesięciu procentach. Przecież nie robimy niczego, żeby zdenerwować hrabiego i jego panią.

— Muszę udać się do Antieux — powiedział brat Świeca. — Mam wiadomość dla hrabiego. Podróżowałem z grupą uchodźców z Khaurene. Oni postanowili tam zostać.

— I z nią też?

Kedle oparła włócznię o wóz, by zmienić dziecku pieluchy. Skruszeni młodzieńcy byli nie mniej zażenowani, patrząc na to.

— Mówi, że jedzie ze mną. Mam nadzieję, że zmieni zdanie.

Tymczasem Gartner podszedł ostrożnie w stronę Kedle.

— Potrzebuje panna pomocy z tymi pieluchami?

Kedle przestraszona spojrzała na brata Świecę, czekając na jego opinię. Wzruszył ramionami.

— Zależy od ciebie. Swoimi dziećmi opiekował się bez zarzutu.

— I tęsknię za nimi — powiedział Gartner, robiąc jeszcze dwa kroki na tyle ostrożnie, by nie zdenerwować Kedle.

— Tęskni — potwierdził Gaitor. — Nie sądziliśmy, że będziemy tak długo w drodze.

— Udało wam się ulokować jakoś rodziny?

Podobnie jak rozłokował się ten zdesperowany tłum.

— Hrabia dał im miejsce. Jeszcze jedno robimy dla niego. Rozpowiadamy, że Raymone przyjmie każdego, kto będzie wobec niego tak lojalny jak hrabia wobec niego. No, jest.

Gartner wziął skórzany bukłak z wozu Kedle i poszedł w stronę mulistego brzegu rzeki. Następnie wraz z Kedle obmyli Rauleta i niemowlę. Kedle przyjęła jego pomoc, ale nie dopuszczała Gartnera na odległość włóczni.

— Ile ona ma lat? — zapytał Gaitor. — Nie powinna być taka ostra w tym wieku.

— Osiemnaście, dziewiętnaście. — Brat Świeca próbował rachować w myślach.

— Nie ma męża?

— Już nie. Dostał z kuszy w głowę podczas oblężenia Khaurene. — Sones nie żył. Nie należało źle o nim mówić.

Geis chciał wiedzieć wszystko na ten temat. Brat Świeca zdradził mu kilka smutnych szczegółów.

— A więc kiedy nas zatrzymałeś, od początku miałeś zamiar nakłonić nas, byśmy się tobą zaopiekowali podczas podróży do Antieux? — zapytał Gaitor.

— Coś takiego przyszło mi do głowy.

— Nie chcę tego robić. Właśnie zaczęliśmy się tu zdomawiać. Ale gdy tak wielu ludzi widziało, jak rozmawiamy z tobą, osobą znaną z tego, że pracuje dla hrabiego Raymone'a, zdaje się, że powinniśmy na jakiś czas zniknąć. Niech zatrą się podejrzenia.

— Twoja wielkoduszność...

— Mistrzu, zawdzięczamy ci wiele. Tyle że wolałbym już więcej się na ciebie nie natykać. Zeszłej zimy nie przetrwalibyśmy. Ale i tak długo to nie potrwa. Stąd do Antieux szlaki są bezpieczne. Bandyci, którzy nie posłuchali głosu rozsądku, zostali wyłapani.

Coś zaszło między Gartnerem i Kedle. Ostra wymiana zdań. Ale kobieta nie chwyciła za włócznię.

— Uważajcie z Alazais — ostrzegł brat Świeca. — Jest bardzo niebezpieczna.

— Zauważyłem, Mistrzu. Skoro mamy wspólnie podróżować, muszę mieć trochę czasu na przygotowania. Możesz zaczekać do jutra?

— Jak mus to mus.

— W takim razie o wschodzie słońca na końcu mostu.

Brat Świeca skłonił głowę na znak zgody. Poszedł dodać otuchy osłu Kedle. Biednemu, wykorzystywanemu zwierzęciu.

Kilka osób zmieniło zdanie. Rodzice Kedle i jej kuzynki Guillemette oraz Escamerole, do tego piekarz Scarre i jego żona. Siedmioro nowych towarzyszy podróży, ewidentnie zamożnych, wśród których znalazły się

trzy panny na wydaniu. Dwie najprawdopodobniej jeszcze dziewice. Jakże Gaitor i Geis mogli się oprzeć? Doskonały musiał zawrzeć układ z nieco ciężko myślącym, lecz ogólnie honorowym Gartnerem.

A może nie. Kedle wyposażyła swoje kuzynki w kilka sztuk broni o ostrych krawędziach.

Bandyci przemienieni w szpiegów czekali na miejscu, jak zapowiedzieli. Siedzieli na koniach. Nie były to może ogiery przedniej krwi, niemniej jednak wierzchowce.

— Jak to się stało, że nasza grupka się powiększyła? — zapytał Gaitor.

— Zmienili zdanie — odparł brat Świeca.

— Niespecjalnie wyglądają. Wszyscy heretycy, co?

— To prawda. Ale tylko ja nie jestem wojowniczy.

— Mnóstwo bab i staruchów.

— Mógłbyś posłać nas wszystkich do stu diabłów.

— Mógłbym. Ale wtedy nie miałbym wymówki, żeby zobaczyć się z rodziną, prawda? Co to takiego?

Po drugiej stronie mostu Laur wybuchło zamieszanie. Słychać było krzyki i wiwatowanie. Nie wyglądało to na zamieszki.

— Jesteśmy gotowi do drogi, ale możemy sprawdzić, co się dzieje — powiedział brat Świeca. — Na wszelki wypadek, gdyby miało to nas dotyczyć.

— Znów coś zbroiłes? — Gaitor się skrzywił. — Ściga cię pułk wojska? Sporo ludzi przybyło z Białego Miasta. Navayański garnizon wciąż tam stacjonuje.

— Nie chodzi o nas. No chyba że od rana Stowarzyszenie przejęło władzę w mieście.

— W takim razie musi to być jakaś wiadomość. Z pewnością wspaniała. — Dał znak Geisowi, żeby pojechał sprawdzić, co się dzieje.

Reszta ruszyła w drogę.

— Będzie niebezpiecznie? — zapytał Raulet Archimbault. Był przerażony, bo bał się o wnuki.

— Nie powinno być żadnych kłopotów aż do Antieux — odparł Gaitor. — Hrabia Raymone poluje na zbójów, którzy nie chcą się do niego przyłączyć. Jest bardzo surowy. Bardziej zajęty wyduszaniem szajek bandytów niż walką z Naczelnym Wodzem. Ale w pobliżu Antieux patriarsze patrole mogą nam trochę napsuć krwi.

— Ten nowy Naczelnny Wódz, zdaje się, nie jest taki zwawy jak poprzedni — stwierdził Archimbault.

— Jest coś w tym — zgodził się Gaitor. — Jest mało skuteczny, głównie przez Patriarchę. Łagodny narzucił mu mnóstwo niekompetentnych osób i ludzi, którzy mają swoje prywatne cele. Nie może nic zrobić w tej sprawie, choćby nie wiem jak się starał, bo co rusz ktoś się wkurza i chce, żeby robił coś innego.

— W takim razie dobra nasza.

— No właśnie. Smutna prawda jest taka, że Pinkus Ghort byłby gorszy od Pipera Hechta, gdyby wszyscy się wycofali i pozwolili mu działać.

Gaitor narzucił dobre tempo. Geis dogonił ich dopiero po dwóch godzinach i zaczął coś mówić szeptem do braci.

Kedle zajęła stanowisko w pobliżu wozu wypełnionego bronią.

— Ludzie, nastąpiła wielka zmiana w porządku świata — oznajmił Gaitor. — Cesarzowa Graala wypowiedziała wojnę Patriarsze. Obwinia go o śmierć jej męża, Jaime'a z Castaurigi. Jest już w Firdii z byłym Naczelnym Wodzem. Nie chciałbym być teraz w skórze Patriarchy.

Brat Świeca przyjął wiadomości z mniejszym entuzjazmem niż pozostali. Wiedział, że zwykle przecenia się znaczenie podobnych wydarzeń. Wieści takie zwykle przechodzą wiele przemian, przechodząc z ust do ust, zanim stężeją do swojej postaci historycznej, która zawsze przybiera dużo mniej dramatyczną formę.

Jednak nawet z dużą poprawką była to świetna wiadomość dla Connec. Patriarchalne siły nękające hrabiego Raymone'a będą musiały zostać odwołane. W obliczu gniewu Cesarzowej Graala Łagodny nie będzie mógł szczędzić ani jednego człowieka, ani jednego dukata na obronę.

Podróżnicy dotarli do krainy, w której oddziały patriarchalnych wyraziły niezadowolenie z powodu postawy hrabiego Raymone'a.

Mówiło się, że pierwotne rozkazy Naczelnego Wodza dotyczyły Ghorta, który miał pozostać na miejscu i przeorać całą okolicę. Wtedy miał się rozpocząć bezpośredni, zmasowany atak na Antieux. Ghort się sprzeciwił. Spowodowałoby to tylko utratę życia żołnierzy. Jednak nie mając innego wyjścia, zaatakował i, tak jak się spodziewał, jego siły zostały zdziesiątkowane. Nie miał najmniejszych szans na zwycięstwo.

Wtedy Łagodny nakazał Naczelnemu Wodzowi wracać do Brothe tak szybko jak się da i zebrać po drodze pełny feudalny zaciąg od wszystkich Państw Patriarchalnych. Miał nie robić żadnych wyjątków i nie przyjmować żadnych wymówek.

— Desperacja — stwierdził brat Świeca.

— Wygląda na to, że fortuna Łagodnego opuściła — zgodził się Gaitor.

Brat Świeca dostrzegał to samo, co z pewnością widział i hrabia Raymone. Szansę od samego Boga. Chwilę wytchnienia w czasie, gdy Patriarcha będzie walczył o życie. Szansę na rzucenie snopu światła we wszystkie zakamarki i schowki, w których mogli się czaić i mnożyć zaprzańcy ze Stowarzyszenia.

Przez chwilę brat Świeca zastanawiał się, jakimże to szlachcicem byłby Raymone, gdyby przyszło mu żyć w czasie pokoju.

Wieści z dalekiego wschodu stały się przedmiotem tak wielkich spekulacji, że czas po prostu frunął. Nie było żadnych przygód oprócz zetknięcia się z bandą braciszków ze Stowarzyszenia, którzy uciekali przed reperkusjami. Tego ranka zabrakło im odwagi, aby bronić swych przekonań.

Brat Świeca ocalił im życie. Namówił Gaitora, by ich puścił.

— Zbierasz to, co siejesz.

— My zbierzemy plon tego ścierwa mnożącego się jak szczury — odparła Kedle. — Zapamiętaj sobie te pyski, starcze. Sprawdź, czy nie zobaczysz ich w tłumie, który pewnego dnia przywiąże cię do stosu.

— Ależ ona jest krwiożercza, ta mała — wyszeptał Geis.

Brat Świeca pokiwał głową. Ale nie mógł się otrząsnąć po słowach prawdy wypowiedzianych przez Kedle. Ktoś zapłaci za jego dobroć.

Patrol z Antieux napotkał ich piętnaście kilometrów od miasta. Żołnierze słyszeli już o bracie Świecy. Utworzyli eskortę i pchnęli umyślnego z meldunkiem, że nadchodzi ważny posłaniec.

Hrabia Raymone wyjechał, by szykanować maruderów z sił patriarchalnych, uciekinierów ze Stowarzyszenia i bandytów. Jego zdobycze często wpisywały się w kilka z tych kategorii naraz. Socia natomiast była w mieście i zajmowała się głównie swoją ciężą. Wyszła na spotkanie brata Świecy. Była wylewna i podekscytowana, jakby witała

własnego ojca. Już było widać, że jest w ciąży. Była drażliwa na tym tle. Ubierała się tak, żeby nie było tego widać.

— Masz jakąś korespondencję od królowej? — zapytała.

— Mam — odparł brat Świeca.

— Ostatnio wciąż śle wieści. Spodziewam się, że nie ma tam nic nowego. Ale mówi, że ty przemawiasz za nią. Uważa, że zawierzemy ci, by zrobić to, co najlepsze dla Skraju Connec.

— Och nie, Socia... hrabino... nie! Urodziłem się trzeciego dnia po Stworzeniu. Jestem stary. Muszę odpocząć. To cud, że Dobry Bóg nie powołał mnie do siebie podczas tej podróży.

— Pozostawił cię z nami, bo wie, że masz zadanie do wykonania.

Kedle parsknęła śmiechem.

— Ci ludzie pomogli mi pokonać tę trasę — powiedział brat Świeca. — To przeważnie dobrzy ludzie. Choć ta dziewczyna z dzieckiem musi zdobyć trochę ogłady.

Socia uśmiechnęła się do Kedle, która odwzajemniła uśmiech. Szef gwardzistów Socii szepnął jej coś do ucha.

— Wiem, kim jest — odparła. — Spędziłyśmy razem zimę w Altai. To Kedle. Ma już dwójkę dzieci. Więc albo Soames się znalazł, albo stwierdziłaś, że nie on jeden na świecie.

Burzowe chmury przemknęły przez oblicze Kedle, ale pokiwała głową.

— Pojawił się. Zrobił mi kolejne dziecko i dał się zabić. Przez samego króla Arnhandu. Widać tu wiele aspektów poetyckiej i ironicznej zarazem sprawiedliwości dziejowej.

— Ha! Nazywają cię Królobój czynią. Wiedziałaś o tym? Więc lubię cię jeszcze bardziej. Ale jestem zazdrosna. Żałuję, że to nie ja go zabiłam. Cóż, może kto inny, innym razem się nawinie. Arnhandowie nie dadzą za wygraną i będą się tu roić, dopóki nie uciszymy Anne z Menandu.

Brat Świeca spojrział z ukosa na Socie. Czyżby słyszał w jej słowach jakąś złowrobną zapowiedź?

— Niektórzy z tych ludzi są niemal w moim wieku, hrabino — powiedział tylko. — I wszyscy jesteśmy wyczerpani. Do tego zbiera się na deszcz. Znowu.

Mokro było przez dziesięć minionych dni. Deszcz nie nadciągał znad Morza Ojczystego, jak zazwyczaj, ale przesuwiał się w dół, od północnego

zachodu, często w towarzystwie piorunów, czasem z gradem i porywistym wiatrem. Były to kolejne sygnały świadczące o tym, że świat się zmienia.

Socia wydała rozkazy.

— Ty, ty i ty — wskazała na Gaitora, Kedle i brata Świecę — zostańcie ze mną. Musimy pogadać. Martin, Jocelyn, zabierzcie pozostałych na przygotowane pokoje.

— Kedle ma dzieci, które... — zaczął brat Świeca.

— Niech je weźmie ze sobą. — Socia obrzuciła grupę spojrzeniem. — Wszyscy heretycy. Pamiętam was z naszego pobytu w górach. Ciebie jednak nie pamiętam.

— Escamerole, do usług Waszej Miłości. Nie wyjechałam do Altai. Moi rodzice nie chcieli opuścić Khaurene.

— Krewna? Kuzynka? Tak? Rozumiem. Chodź, pomożesz Kedle zająć się dziećmi. — Przyglądała się małemu Rauletowi. — Pięknie rośnie, zważywszy na ciężkie początki.

Brat Świeca pomyślał, że Escamerole zaraz się roztopi. Była lustrzanym odbiciem Kedle.

— Bądź dzielna — powiedział do niej. — Hrabina zjada na śniadanie tylko Arnhandów i klechy. — Ta uwaga nie uradowała zbytnio Socii.

Socia odbiła to sobie na gwardzistach. Przyjęli to z radością. Było jasne, że otaczają swoją hrabinę nabożną czcią.

Po kilku godzinach stało się oczywiste, że podczas nieobecności brata Świecy Socia stała się obiektem kultu jednostki, szczególnie wśród młodych żołnierzy z Antieux. Było również jasne, że samo Antieux żyło jednym tylko celem — wojną. Nieustanne boje z wrogami hrabiego Raymone'a i Connec stały się głównym miejskim przemysłem. Mężczyźni, kobiety i dzieci Antieux stali się wyznawcami owej apokaliptycznej wizji. Mogło być zmiecione z powierzchni ziemi przez zło, ale walka, którą toczyło, wpisywała miasto w nieśmiertelność. Przez kolejne tysiąc lat tam, gdzie prawowierni mężczyźni i kobiety będą zмагаć się z mrokiem, przywoływana będzie pamięć o Antieux.

Z tego, co udało się ustalić bratu Świecy, nikt nie wykladał tej doktryny. Pojawiała się jako wspólny miejski koszmar.

— Noc stworzyła ludzkość i ludzkość tworzy Noc — mruknął. Obawiał się, że uczestniczy w narodzinach samospełniającego się proroctwa. Tak jak sobie gmin wyobrażał, tak powinno być.

Socia szła do tej samej wygodnej komnaty, w której rozmawiał z nią podczas poprzednich odwiedzin. Przyniesiono strawę i napitek. Kedle i Escamerole zajęły się dziećmi, a brat Świeca i hrabina nadrabiali dłuższą rozłąkę. Nagle Socia zaskoczyła starca.

— Cięża dała mi nową perspektywę — oznajmiła. — Bardziej doceniam to, czego próbowałeś mnie nauczyć przez te wszystkie lata. Wciąż się z tym nie zgadzam, ale rozumiem, co mówiłeś.

— Chwała w niebiesiech.

— Czyżbym wyczuwała gniewny sarkazm?

— Możliwe. Utraciłem wiarę. Mogłem też utracić wszelkie umiejętności, jakie posiadałem, będąc osobą głęboko wierzącą.

— Po prostu uzalasz się nad sobą, bo świat realny nie chce zostawić cię w spokoju. Za każdym razem, kiedy z mozołem czołgasz się w stronę ukojenia w swojej wierze, ktoś taki jak ja wali cię na odlew w pysk zimną, przegniłą rybą rzeczywistości.

— Co takiego?

— Ćwiczyłam to od miesięcy. Ale nie ma tak mocnego wydźwięku wypowiedziane na głos.

— Ależ ma, moje dziecko. Myślę, że bez względu na korzenie naszej wiary... i możesz sobie nazywać ją, jak chcesz... jest to jedna z takich chwil, kiedy rozpacz jest jedyną rozsądną filozofią.

— Phi. Gadanie baranie. Moja rodzina należała do Poszukiwaczy Światła. Moi bracia... niech ich Bóg pobłogosławi i oświeci... nigdy nie utracili wiary. Ale nigdy też nie złożyli broni. Nie wiem, co ja wygaduję, do cholery, Mistrzu. Może powinnam była się urodzić tysiąc lat temu, kiedy porażka była nieuchronna, a wielkość człowieka mierzyło się zaciekłością w boju, nim dopadnie cię to, co nieuchronne.

— Aby poddać się woli Nocy.

— Mistrzu...?

— Powtarzasz przekonania większości ludzi przed Aaronem Chaldarem. Nieważne, co myśli jednostka, co czuje, co robi. Bogowie robią, co chcą. A więc trzeba się ukorzyć, by nie ucierpieć za mocno.

Była odmiennego zdania.

— Bunt, Mistrzu. Nie przyzwolenie. Walka do końca i jeszcze dalej.

— Jestem pewna, że się wybornie bawicie — rzuciła Kedle. — Ale lepiej, żeby był jakiś powód ściągnięcia tu nas wszystkich.

Brat Świeca popatrzył na Kedle i Escamerole. Każda trzymała dziecko na kolanach.

— Ma rację, Socio.

— Jasne. W porządku, staruszku. Opowiedz mi o waszej podróży. Powiedz mi, czego oczekuje królowa. I co ty o tym myślisz. Twoje dziewczyny mogą się wtrącać do woli, bo choć kocham naszego Mistrza, ma końskie klapki na oczach.

Brat Świeca przez godzinę snuł opowieść. Kedle przerwała mu dwukrotnie. Escamerole nie odezwała się ani słowem. Cały czas bawiła się z Rauletem, aż padł ze zmęczenia.

— Nie wiem, kiedy wróci Raymone — powiedziała Socia. — Może kiedy wyrznie wszystkich najeźdźców. Najprawdopodobniej żeby zobaczyć narodziny pierworodnego. Tymczasem mnie powierzył wszystkie sprawy. Bądź więc szczery, Mistrzu. Dlaczego Isabeth cię wysłała? Czego chce?

Brat Świeca wyjął dokumenty. Powiedział, co mu kazano powiedzieć. Socia nie zareagowała. Skończył mówić i obawiając się, że padnie jak długi, błagał, by pozwolono mu udać się na spoczynek.

— Dziękuję ci, Mistrzu — powiedziała hrabina. — Ulokowałam cię w twojej starej celi. Idź już.

Po czym wdała się w rozmowę z Kedle na temat uciążliwości takich rzeczy, jak karmienie i poród.

Hrabia Raymone powrócił trzy tygodnie po pojawieniu się brata Świecy w niezbyt wesołym humorze. Naczelny Wódz wyjechał do Connec w dobrym zdrowiu. Stowarzyszenie czmychnęło za nim. Nie było żadnych innych wrogów, których można by brać na męki i masakrować, z wyjątkiem tych nielicznych, których zabijano wyłącznie dla zachowania ładu społecznego.

Raymone Garete nie był pewien, co ma teraz zrobić w świecie, w którym zabrakło wrogów.

Lucidia: Wielka Kampania

Wysiłki Indali, by zjednoczyć kaifaty al-Minfet i Kasr al-Zed, zdobyły miano Wielkiej Kampanii, Indala al-Sul Halaladin nie mógł znaleźć sobie lepszego rębajły, który chroniłby flankę jego linii komunikacji, niż Nassim Alizarin. Żadne karawany nie mijaly Tel Moussy, czy to zmierzające na wschód, czy na zachód. Arnhandowie z Gerig borykali się z codziennymi zagrożeniami — choć trzeba było koniecznie uważać na młodego kasztelana. Anselin z Menandu był pełen wigoru, przebiegły i gotowy na wszystko. Robił, co mógł, jak najlepiej.

Nassim Alizarin nabierał coraz większego podziwu dla tego chłopaka.

Wpadli w rutynę wysyłania patroli i kontrpatroli, każdy starając się zwabić przeciwnika i spowodować, by ten popełnił błąd. Góra miał lekką przewagę w sukcesach. Młodzieniec Anselin od czasu do czasu potrafił mu się odgryźć. Miał przejściowe chwile zniecierpliwienia.

Tego lata wieści z południa wcale nie były krzepiące. Pomimo trudności Gordimer potrafił radzić sobie ze złym życiem oraz coraz gorszym charakterem i choć zraził do siebie wszystkich przyjaciół wśród tych, z którymi przebywał na co dzień, Szeryf sha-lugów nie zaprzepaścił swego geniuszu, który czynił z niego przerażającego przeciwnika.

Mit Gordimera wziął się z tego, iż nigdy nie przegrał bitwy, gdy dowodził swoimi oddziałami. W szkole nigdy nie przegrał bójki z kolegami. Jako młody oficer wypełniał każde zadanie bez zastrzeżeń i sprowadzał swych towarzyszy szczęśliwie do domu.

Poznał gorzyc porażki w dwóch przegranych bitwach. Nie dowodził wtedy ani nawet nie był w sztabie, ale był na tyle blisko, by widzieć, jak doszło do klęski, i zrozumieć, dlaczego tak się stało.

Nassim Alizarin był w otoczeniu Gordimera w jego młodych latach, sam będąc zdolnym kapitanem. Urósł wraz z wyniesieniem Lwa.

Żadna z informacji z południa nie zaskoczyła Góry.

Siły al-Minfet — z których sha-lugowie stanowili mniejszość, zwłaszcza na początku — rozpadły się przed lucidiańską falangą. Do czasu aż sam Gordimer wyjechał z al-Karn, by spotkać się z najeźdźcami w Nestorze, gdzie pustynia przechodziła w zieloną i żyzną deltę Shirne. Tam przeważająca liczba i szybkość lucidiańskiej konnicy na nic im się zdała. Sha-lugowie unieruchomili ich w jednym miejscu na grząskim gruncie, gdy tymczasem maszyny na pokładach dreangerańskich statków, stojących w kanałach nieopodal, zaczęły ich ostrzeliwać ciągłymi salwami.

Ponownie zrehabilitowany czarownik er-Rashał al-Dhulquarnen zasłużył się bardzo dla dreangerańskiej sprawy.

Walka pod Nestorem była niewyczerpana. Polegało to na krótkich, nagłych wypadach w ciągu kilku dni, kiedy tylko potężne początkowe starcie wygasło. Indala próbował wyciągnąć Gordimera. Lew kruszył flanki Indali, utrzymując je w zasięgu ognia ze statków. Lucidianie nie mieli środków, by je uciszyć.

Każda strona osiągnęła taki poziom strat, że sytuacja wyglądała na patową. Indala w końcu wybrał taktyczne wycofanie się na pustynię. Kiedy się tam znalazł, z dala od wroga, wysłał znaczne siły na południe. Tymczasem sam Indala pojawił się przed miastem Nestor. Zatrzymało to na miejscu główne siły Dreangeru, gdy tymczasem południowa grupa pojawiła się u bram al-Karn. Miasto zostało obronione przez miejscową milicję i weteranów sha-lugów w stanie spoczynku.

Azim al-Adil ed-Din był jednym z dowódców tej awantury.

Trzeba przyznać zdrajcom miasta, że Lucidianie zachowywali się jak dzika sfora. Bezlitośnie mordowali każdego, kto się im sprzeciwiał. Dzień po przejściu przez mury dotarli do Pałacu Królów i wymusili na Kaseemie al-Bakrze, kaifie al-Minfet, objęcie miasta swoją ochroną.

Najeźdźcy niezwykle brutalnie dławili przejawy oporu. Starsi sha-lugowie z załóg rozlicznych państwowych pałaców nie chcieli ulec. Ci weteranie byli o wiele wolniejsi niż lucidiańska młodzież, ale byli też zaprawieni w boju i znali teren.

Koszt zajęcia centrum miasta robił się zbyt wielki. Najeźdźcy pojмали Kaseema al-Bakra i usadowili się w jednej z wielkich, świątyń miejskich.

Wszystkie te wieści dotarły w końcu do Tel Moussy po drodze do Shamramdi. Nassim kroczył po twierdzy dumny jak paw z młodego Aza, jakby ten był jego własnym synem.

Wraz z prochem Akira i dwiema z obiecanych hakownic dotarły też inne wieści. Złe rzeczy działy się we Wschodnim Imperium, których szczegóły nie były znane do czasu przybycia Akira. Przedsięwziął on dodatkową wyprawę do Haeti, do dainshauskich odlewni. Okazało się, że pozostała część baterii dwukilowców nie nadejdzie.

Harcownicy z Imperium Graala przejęli devediańską manufakturę, zanim zdołano wywieźć towar. Sam Akir zdołał uciec - „o włos z boskich bokobrodów. Gdybym zmitrężył kolejne pół godziny, mieliby mnie”.

Było tego więcej. Harcownicy zabrali cały proch i broń oraz dodatkowo wszystkich rzemieślników. Zniszczyli też zakłady. Następnie przekroczyli Morze Vierańskie, by zaatakować Firdię.

— Po co zrobili coś takiego? — Nassim był w kropce.

Akir najwyraźniej nie potrafił opowiadać historii linearnie. Do tego zagłębił się w spekulacje, co może sobie myśleć Bóg, powodując te wszystkie wydarzenia.

Nassim słuchał wraz z całym garnizonem podczas kolacji. Po posiłku zwrócił się do Akira:

— Pomódl się ze mną. Mam kilka pytań.

Góra wypełnił swój obowiązek na najwyższym punkcie murów, gdy słońce już zaczynało zachodzić a srebro księżyca szło śladem gwiazd. Robiło się chłodno.

— Jak brzmi pytanie, generale? — odpowiedział Akir.

— Twój raport był pogmatwany. Miałeś tyle do powiedzenia, że nie ułożyłeś tego w jakimś sensownym porządku.

— I to najświętsza prawda.

Generał nie naciskał. Akir nie potrafił sobie przypomnieć wszystkich istotnych faktów, kiedy się denerwował.

Nassim przeplatał pytania z komentarzami na temat niezwykłego deszczu meteorytów.

— Dziś wieczór anioły ciskają kamienie śmierci całymi garściami.

Zastanawiał się, kto i gdzie może być ich celem. Sznury ognia wszystkie wędrowały na zachód.

Wysiłki Góry przyniosły wieści, które przez wiele jeszcze dni nie dotrą do jego krzyżowych sąsiadów, a do Indali co najmniej przez tydzień.

Trzech królów zachodu zginęło. Tych trzech, którzy ścięli kwiat męczyzn w al-Halambrze. Bóg jest wielki! Śmierć jednego spowodowała, że Imperium Graala obróciło się przeciwko Kościołowi Brotheńskiemu. Wyglądało na to, że największa inwazja na Ziemię Świętą spaliła na panewce. Bóg jest wielki!

Śmierć drugiego króla umiejscowiła dziedzica tronu tuż pod nosem, w Gherig. Bóg jest wielki!

Nassim starał się dociec, co mógł robić Else Tage w świetle rzeczywistych perspektyw największej z krucjat Cesarzowej Graala.

Z pewnością teraz Cesarzowa odłoży to na jakiś czas. A kiedy nasyci swój głód spokoju ducha, powinna się całkowicie wyzbyć krucjatowych żądz. Prawda?

Historia wojen między Patriarchami i Imperium Graala mówiła głównie o ich daremności. Władcy dziesiątek niewielkich państweczek firaldzkich napuszczali tylko jednych na drugich. Mieli swój interes w tym chaosie. Zwiększał ich wagę.

Mimo to... Wiele będzie zależeć od kapitana Tage'a. Mógł być człowiekiem, który przerwie ten impas, by ruszyć na wschód, upomnieć się o swoje krzywdy. Gordimer może przetrwać atak Indali tylko po to, by znaleźć się oko w oko z Imperium Graala.

— Akir, powiedz mi coś więcej o tym, co się stało w miejscu, w którym produkowali broń na proch.

Akir nie miał nic więcej do dodania. Musiał uciekać, zanim dowiedział się czegoś pożytecznego.

— Decydującym aspektem całości sprawy, generale, jest to, że Imperium Graala ma pod swoją pieczę całą broń oraz wytwarzających ją rzemieślników.

— Serce mi krwawi, Akir. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Góra od razu wiedział, kiedy wieści o śmierci Regarda dotarły do Gherig. Zaczęły bić dzwony. Ich łoskot był irytujący nawet w odległej Tel Moussie.

Nassim oczekiwał czegoś, co odwróciłoby uwagę. Od razu zaczął robić wypadki. Odnosił niejaki sukcesy, ale na krótko. Amhandowie z tego regionu uciekali do swej fortecy. Gherig był niczym żółw, który wciągnął

do środka łapy i łeb. Cudzoziemcy odzyskali równowagę, a potem zaatakowali.

Nassim miał nadzieję, że będzie mógł tak mocno dopiec Anselinowi z Menandu, by ten powstrzymał się z wyjazdem. Im dłuższa będzie jego powrotna droga do domu, tym większe szanse na rozprzestrzenianie się tam chaosu. Arnhand, bardziej niż jakiegokolwiek królestwo niewiernych, karmił i finansował ruch krucjat.

Anselin nie dał sobą powodować. Wyjechał z całą siłą, rozbił harcowników Nassima, zepchnął ich z powrotem do Tel Moussy i na pustynię, po czym skierował się do wybrzeża. Nikt go nie niepokoił.

Z Dreangeru nadeszły wieści. Nie było zbyt dobrze. Gordimer i er-Rashal udali, że wycofują się z Nestoru. Indala i jego dowódcy uwierzyli w to, co zobaczyli. Indala zabrał połowę pozostałych wojsk i popędził do al-Karn. Był o sześćdziesiąt kilometrów na południe od Nestoru, kiedy sha-lugowie zaatakowali oddziały, które tam zostawił. Zaskoczenie było całkowite. Rzeź po zaskoczeniu również nie miała.

Dreangerański sukces postawił Indalę w położeniu, w którym musiał wygrać tę wojnę, by przetrwać politycznie.

Wszyscy zabici mieli rodziny, które ich opłakiwały. Wielu miało wysoko postawionych krewnych, którzy mogli zacząć robić problemy, gdyby uznali, że szafuje życiem swych żołnierzy. Co więcej, jedność panująca w Kasr al-Zed wynikała z szacunku i podziwu, jaki wzbudzała rodzina Indali za sprawą swych licznych sukcesów. Indala musiał brnąć dalej, by wciąż utrzymać ten szacunek.

Po swym triumfie Lew opuścił Nestor. Wykorzystał wielką flotę stojącą w porcie Iskendemea, by przeskoczyć ujście Shirne do drugiego pod względem wielkości dreangerańskiego miasta. Tam przegrupował i doposażył armię. Miał zamiar maszerować wzdłuż zachodniego brzegu Shirne, mając nadzieję, że Indala się zjawi i będzie walczył. Przewaga była po stronie sha-lugów i sił dreangerańskich.

Indala osiągnął większość swych celów. Utrzymał al-Karn. Uwięził Kaseema al-Bakra. W świetle lucidiańskiego rozumowania to powinno zakończyć walki. Ale Gordimer i er-Rashal nie przywiązywali specjalnej wagi do tych faktów. Irytowali. Byli niewygodni. Należało ich zniszczyć.

Świat czekał na wynik.

W Ziemi Świętej arystokracja państw krzyżowych szykowała się do skoku na kark zwycięzcy.

Góra sporządzał comiesięczny raport dla urzędników w Shamramdi, kiedy pojawił się stary Az.

— Mam wybuchowe wieści, generale. I nie są dobre.

— Indala dostał w prezencie własny łeb?

— Nie. Nie to. To wciąż jest w rękach Boga. Mówię o tym, że królowa Klotylda nakłoniła Berismonda, by ponownie oddał Gherig w ręce Czarnego Rogerta.

— Och. — Nassim długo siedział w posępnej ciszy. W końcu posypały się pytania: — Co wiemy na ten temat? Skąd będzie nadjeżdżał? I kiedy?

Vis Corcula, Cienie

Był piękny letni świt w Cieniach. Zaczął się chłodem. Miało się to diametralnie zmienić, kiedy słońce wejdzie wyżej. Całą noc padał deszcz. Usianą dzikimi kwiatami połąć na razie skrywała przed Piperem Hechtem mgła. Gdzieś dalej, kilka kilometrów w dół stoku, obozowała armia wysłana, by oczyścić Vis Corculę z raka zwanego Prawowiernymi.

Hecht, Titus Zgoda i Rivademar Vircondelet zsunęli się tu po ciemku w deszczu. Nie widzieli zbyt wiele, ale to, co Hecht zdołał dostrzec, upewniło go, że stanął oko w oko z olbrzymią liczbę wojska w całkowitej rozsypce. Heris miała rację, mówiąc, że Łagodny jest w stanie ściągnąć wielką cizbę.

Deszcz zagłuszał wszelkie odgłosy. Nie chcieli zbliżyć się jeszcze bardziej w obawie, że natkną się na wartownika, bo słyszeli wyraźnie narzekania strażników, że muszą stać na warcie w tak paskudną pogodę.

Zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz niskiego ogrodzenia, które miało zatrzymać w środku owce i bydło, było mnóstwo ognisk. Obóz zaopatrywał się w długoletniej hodowli należącej do rodziny Benedocto.

Następnego ranka, gdziekolwiek Hecht się znalazł, z premedytacją wędrując samotnie, żołnierze bacznie go obserwowali. Chcieli wierzyć, że może sprawić cud. Chcieli wierzyć, że są najlepszymi z najlepszych i że są niezwyciężeni. Ale tracili ducha na widok rzesz wroga. Wraz z przybywaniem kolejnych oddziałów dysproporcja się ciągle powiększała. Był plan, lecz tak dziwny, że ludzie nie mogli uwierzyć, iż jest prawdziwy. Musiał być to plan, który — jak chciał Wódz — mieli odkryć patriarchalni szpiedzy.

I była to prawda. Hecht miał nadzieję, że wróg wykaże się w tej sprawie mniejszą wiarą niż jego ludzie, którzy pomimo odejścia od doktryny

rozumieli ogólną koncepcję.

Clej Sedlakova dołączył do Hechta pośród pagórków, które mogły być pozostałością po prehistorycznych kopcach grzebalnych.

— Robią się nerwowi, szefie. Wciąż nie zdradziłeś nikomu prawdziwego planu.

— Dym i lustra, Clej. Tak ma zostać. Czego nasi ludzie nie wiedzą, tamci na dole się nie dowiedzą. Powiesz im, co mają robić, kiedy ja powiem tobie. Co z łąką?

— Nabiera wody z każdą minutą. — Odpływ nie był zbyt dobry. Hecht widział kilka kałuż, żadna nie przelewała się przez trawę i kwiaty, ale z całą pewnością były na tyle głębokie, żeby woda dostała się mu do butów, kiedy będzie wracał z tego zwiadu.

— Dobrze. To pogorszy przyczepność. — Polizał palec i wystawił na wiatr. — Jednak tu nie jestem pewien. Nie mam pojęcia, w którą stronę powinien wiać.

— W tę czy w tamtą, nieważne, i tak gówno będzie widać.

— Racja. Przyślij mi Rhuka i Proseka.

— Znów? Nie wymęczyłeś ich do końca? Wiedzą, co mają robić. A roboty mają huk. Zostaw ich w spokoju.

— No dobra. — To kiedyś stanowiło o jego sile. Dawał człowiekowi zajęcie, a potem pozwolił mu je wykonać. — Masz rację. Poradzą sobie ze szczegółami. A ty lepiej ruszaj, jeśli chcesz tam dotrzeć na czas.

— A jeśli dzisiaj nie zaatakują? Albo jeśli będą chcieli cię nakłonić do kapitulacji?

— Jeśli nie dzisiaj, to jutro. Nie mogą ściągnąć dostatecznie dużych zapasów. Nie mieli czasu, by to przygotować. Jeśli będą chcieli rozmawiać, porozmawiam z nimi. I będę wyraźnie przeciągał wszystko, jakbym chciał poprawić swoją sytuację.

— Ty chcesz, żeby oni na nas natarli?

— Nie. Chcę, żeby myśleli, że tego właśnie chcę. Żeby ich dezorientować. I może żeby mi nie dać tego, czego chcę. Och, cholera jasna! Idź i delikatnie przekaz Cesarzowej, że nie powinna się tak węszać, kiedy masakra może wybuchnąć w każdej chwili.

Katrin w zbroi, z widocznym wysiłkiem przemierzała stromizny, starając się być w łączności z wojskiem. Był to zdaniem Hechta dość cyniczny zabieg.

— Zrobi się — powiedział Sedlakova, nie próbując nawet przypomnieć mu, że z pewnością słyszała to wszystko z ust kapitana Ephriana. — Prawdopodobnie napędza żołnierzom większego stracha, niż dodaje otuchy.

Clej odszedł, nucąc ulubioną melodię Madouca. Jeśli rozmawiał z Katrin, to Hecht tego nie zauważył.

Hecht poczuł słaby szept i wyczuł ruch powietrza.

— Masz zamiar tu się zasadzić, prawda? — zapytał cichy głos.

Hecht próbował ukryć zaskoczenie, ale mu się nie udało.

— No cóż. Witaj. Myślałem, że zniknąłeś w innym świecie.

Uśmiechając się od ucha do ucha, człowiek w brązach rzekł:

— Bo tak było. Ja mam teraz urlop, a twoja czepialska siostrzyczka coś dopracowuje. To niezwykła szeregulara, ta nasza Heris. Doskonale sobie poradzi jako Dwunasta Nieznana. Jeśli jakoś to wszystko przeżyjemy.

— My? Będziesz tu z nami?

— Mówię ogólnie. Ale czy będę tutaj? Tak. Ma się to wycucie czasu, co?

— Bardzo to podejrzane.

— Nie tak bardzo. Kiedy Heris przyniosła najświeższe wieści, Bastard i ja postanowiliśmy, że musimy wracać, żeby trochę tu namieszać. Kręcę się tu od kilku dni.

— Naprawdę? — Hecht rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył pojawienie się Dziewiątego Nieznanego.

Starzec przybył, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania.

— Od dwóch dni. Najpierw musiałem się udać tam, gdzie wiesz, i upewnić się, że hakownice Heris nie trafią w niewłaściwe ręce przed pojawieniem się Aelen Kofer. A potem musiałem się zobaczyć z Munem i zajrzeć w mroczne zakamarki Brothe. Obecnie nie jest to ładne miasto. Łagodny osobiście pilnuje, żeby nosiło jego niezatarte piętno. A Muno i jego pomagierzy niweczą jego działania.

— Skąd ci przyszedł pomysł, żeby się tu zjawić?

— To psota, drogi chłopcze. Złośliwy figiel. Całe ich mnóstwo.

— Na przykład?

— Cóż, niewidzialny człowiek może wzbudzić wielkie zamieszanie. Rozkazy trafiają w próżnię. Jakiś generał mówi jedno, a kapitan słyszy coś innego. Mogą też być duchy. Albo koszmary Nocy. Któż to wie?

Możliwości są nieskończone. — Februaren obrócił się bokiem i zniknął. Po chwili znów się pojawił.

— Zapomniałem ci powiedzieć. Mają zamiar zaatakować dzisiaj. Pierwsza fala już się szykuje. Nie będą negocjować. Mają rozkazy odnaleźć cię i pojmać bez względu na straty.

— Niezbyt to honorowe.

— Łagodny myśli podobnie jak ty, Piper. To poważna sprawa. Czas na mnie. Ludzie zaczynają szemrać.

Terens Ernest oraz samorzutnie wybrani gwardziści pojawili się w jednej chwili.

— Kto to był? Dokąd poszedł? — zapytał stanowczym głosem.

Terens Ernest był niebezpieczny. Zawsze gdzieś w pobliżu. I Hecht rzadko to zauważał. Nie mówiąc już nic o tym, co widział i słyszał.

Ernest skarłał pod groźnym spojrzeniem Wodza Prawowiernych. Nie mógł dorównać Madoucowi pod względem nietykalności, jaką ten cieszył się u swego pryncypała.

— Człowiek, który dla mnie szpieguje. Zapomnij, że go widziałeś. Czy cię wzywałem? Któręgokolwiek z was? Macie swoje posterunki. Chyba ich nie opuściliście, co?

W odpowiedzi usłyszał bezładną paplaninę o tym, jak to się martwią o niego. Znajdował się w otoczeniu obcych i wokół znikąd pomocy. A nie minęło wiele czasu od dnia, kiedy okazało się, że strzały się go jednak imają.

Hecht zdławił rosnący gniew. Był to gniew irracjonalny. Nie wolno besztać tych ludzi za to, że idą za głosem sumienia. Bez względu na to, jak uciążliwa była ta ich troska.

— W takim razie to wszystko. Wracajcie na swoje posterunki. Wróg nadciąga. Terens, powiedz panu Rhukowi i panu Prosekowi, żeby zjawili się u mnie jak najszybciej.

Tym razem miał im coś nowego do powiedzenia.

— Spokój. Muszę się streszczać.

Prosekowi i Rhukowi mniej przeszkadzało jego podejście do spraw niż pozostałym. Rhuk coś mruknął.

— Nadciągają — mówił dalej Hecht. — Nie wiedzą dokładnie, gdzie jesteśmy. Spodziewają się nas dalej, niż stoimy, ale poza tym wszystko im

jedno. Zróbmy im paskudną niespodziankę. Wszyscy czekajcie, aż zapalę świecę. Wszyscy. Zrozumiano?

— Chyba szef chce nam przekazać coś istotnego — rzucił Rhuk do Proseka.

— Jasne.

— Przestańcie dokazywać. Nie będzie żadnych posłów. Mają rozkaz zalać nas ciżbą i zabić. Wszystkich. Bez wyjątku. Uda nam się od tego wywinąć tylko wtedy, jeśli nikt nie spanikuje i wszyscy będą robić, co do nich należy. Przekażcie te słowa i przypominajcie im o tym cały czas.

— Tak jest.

— Dziękuję wam. A teraz w drogę. Słyszę, jak nadciąga kompania.

Nie było werbli ani rogów, ani dud, jedynie zgrzyt, chrzęst i bełkotanie pijanej awanturnicznej hołoty.

Czy to możliwe?

Dowódcy w niektórych armiach upijali swoich żołnierzy przed atakiem. W czasach, kiedy używano słoni bojowych, słonie też upijano.

Hecht przebiegł sto metrów w tył, pod górę, na wzniesienie, z którego chciał wszystko obserwować. Miał nadzieję, że atakujący go zobaczą i wezmą za pikietę.

Kiedy kilka sekund później znalazł się na miejscu, obok niego zmaterializował się Dziewiąty Nieznany.

— Nadciągają.

— Słyszałem ich. Czy są pijani?

— Niektórzy może i tak. Zeszłej nocy trochę z tym namieszałem. Każdy, kto coś pił, dzisiaj będzie niemrawy i skacowany.

— Ilu nadchodzi?

— Nie masz tylu palców u rąk i nóg, by policzyć. Niecałe wasze siły razem wzięte. Ale masz przewagę. Nie musisz zaiwaniać pod górę pięć kilometrów z kaczem.

Mgła na łące już opadła. Z tego miejsca stojąca woda była bardziej widoczna. Było jej więcej, niż Hecht wcześniej szacował, ale i tak ściekała po zboczach.

Z mgły za łąką wyłoniły się jakieś kształty. Po kilku chwilach było jasne, że oddziałom Łagodnego brakuje dyscypliny. Ale była ich kupa.

Cesarzowa zmaterializowała się równie niespodziewanie jak wcześniej Cloven Februaren. Hecht podskoczył i rozejrzył się dookoła. Dziewiąty

Nieznany stał sobie jak gdyby nigdy nic, przybierając minę wioskowego półgłówka. Katrin przyprowadziła z sobą kapitana Ephriana i czterech gwardzistów. Hecht nie mógł się powstrzymać.

— Co tu robisz, pani?

— To samo co ty, Wodzu. Pokazuję się tym, którzy mi służą.

— Ja robię coś innego, Wasza Miłość. Udaję, że jestem obserwatorem, żeby ludzie podchodzący z boczem pomyśleli, że będą musieli się jeszcze sporo powspinać, by rozpocząć walkę.

— W takim razie przepraszam za zniszczenie tej iluzji. Niemniej jednak nalegam na większy szacunek w rozmowie.

Był bliski wybuchu. Nie potrzebował żadnych sępów na ramionach szepczących mu do ucha. Ale z dala od wzroku Katrin kapitan Ephrian potrząsnął desperacko głową, ostrzegając go przed wyładowaniem złości.

Hecht wziął głęboki oddech i powiedział:

— Jak sobie życzysz, Wasza Miłość.

— Tak. Zawsze. Nie zapominaj o tym. Kim jest ten człowiek ubrany na brązowo? Nie przypominam sobie, żebym go wcześniej widziała.

— To agent. Znam go od wielu lat. Można mu ufać.

Februaren parsknął śmiechem. I nie potrafił zamknąć jadaczki na kłódkę.

— Agent Nocy. Piper, uważaj. Już czas.

No właśnie. Ludzie będą się denerwować.

— Podaj mi ten wiecheć.

Februaren podał i zrobił krok w tył. Potem jeszcze jeden. I trzeci w chwili, w której Hecht przystawił wiecheć do granatu produkcji Kaita Rhuka.

Tuzin kul ognia wystrzeliło na dziesięć metrów w niebo nad łączką pełną brodzących w wodzie zbrojnych, którzy klęli na czym świat stoi.

Sto czterdzieści sześć ukrytych jednostek broni na proch — włącznie z każdą zabraną Krulikowi i Sneigonowi — zagrało w ciągu kolejnych sekund, każda wyrzucając z siebie po kilka kilogramów glinki i kamieni.

Wszystko z przodu znikło w tumanach dymu. Nie można było ocenić efektów tej salwy. Był tylko jeden. Z kłębow dymu nie wyłoniło się już takie mrowie.

Dym, początkowo tak gęsty, że był w stanie wypalić płuca, poszybował na zachód i opadł z boczem Cieni.

Teraz Hecht chciał, żeby jego ludzie wypełnili wszystkie jego rozkazy bez pudła. Mieli utworzyć załogi do wyznaczonych wcześniej broni, korzystając z elementu zaskoczenia wroga. Musieli przeładować i strzelać w największą ciżbę. Oprócz hakownic nie było żadnych innych środków obronnych.

Oddziały pomocnicze z Vis Corculi miały zaciągnąć każdą nieobsługiwaną jednostkę broni na tylne pozycje.

Dym przerzedził się, ukazując łączkę nieopodał.

Hecht był przerażony.

Z dołu nie dobiegał żaden odgłos... Nie słyszał niczego z powodu spustoszenia, jakie wszystkie te eksplozje poczyniły w jego uszach. Na dole musiał panować straszliwy rozgardiasz.

Dym się wciąż rozwiewał i wędrował dalej.

Ludzie Łagodnego przestali się ruszać.

Hecht usłyszał głuchy odgłos hakownicy gdzieś w oddali. Komuś wydawało się, że widzi coś godnego strzału.

— I tutaj właśnie dym stanowi poważny problem — rzucił Hecht.

Nie otrzymał odpowiedzi. Cloven Februaren zniknął. Żałował, że Katrin też nie mogła zniknąć.

Wróg wznowił natarcie.

Zadudniła hakownicą. Potem druga. I jeszcze jedna. A potem jedna wybuchła. Hecht wyraźnie słyszał krzyki załogi.

Wiatr spotęźniał i zmienił kierunek na tyle, na ile pozwalało ukształtowanie terenu, o kilka metrów na północ. To wypchnęło dym nieco szybciej.

Wkrótce ludzie u stóp wzgórza przestali apatycznie piąć się w stronę strefy śmierci.

Dym rozproszył się całkowicie i ukazał pełnię grozy sytuacji. Wykorzystując gwardzistów Katrin jako posłańców, Hecht ponaglał oficerów, by przestawili hakownicy, przeładowali i wycelowali. Tyle, na ile pozwalał czas.

Cesarzowa nie odezwała się ani słowem i nie próbowała protestować, kiedy wykorzystywał jej ludzi. Kapitan Ephrian nie był zachwycony, ale zachował spokój.

Katrin odezwała się dopiero po tym, jak wróciła jej pełnia słuchu. Nie powiedziała jednak za wiele i Hecht zignorował ją na tyle, na ile się

odważył. Miał nadzieję, że żaden z wrogów jej nie rozpoznał. Ale dopóki upierała się, by pozostać na polu bitwy, miał nadzieję, że jej obecność przynajmniej wzmocni morale Prawowiernych.

Dzieło hakownic wywracało flaki na nice i było straszliwe, choć nie oznaczało jeszcze wiktorii. Atakujący, ci, którzy nie byli wcześniej zastraszeni, wiedzieli, że tę broń bardzo długo się ładuje. I jedynie kilka mogło strzelać dalej po pierwszej salwie.

Jednak zastanowiwszy się, Hecht stwierdził, że wróg mógł wiedzieć o broni tyle, żeby zrozumieć, jak bardzo jest wobec niej bezbronny.

Znów cisza. Jedyne widoczny dym od podnóża stoku zbliżał się do równiny. Hecht szukał śladów obecności Sedlakovy tam, w dole, ale niczego nie zobaczył.

— Ile tam jest ofiar? — zapytała Katrin. — Tysiąc?

— Albo więcej.

Większość zginęła. Lżej ranni starali się pomóc bardziej poszkodowanym. Stojąca woda zmieniała barwę na czerwoną. Hecht podejrzewał, że wielu mogło się utopić.

Sygnaly i posłańcy informowali go, kiedy kolejne baterie były znów gotowe do walki.

Na dole, poza zasięgiem ognia, ludzie biegli, by pomóc rannym, zerkali na górę i coś pokazywali, często wyraźnie się sprzecząc. Dowódcy Łagodnego próbowali zdecydować, co robić, nieświadomi, że każda minuta daje Prawowiernym możliwość coraz większej siły rażenia.

Hecht spojrział na wyższe wzgórza po obu stronach. Nie był to szczególnie trudny teren, gdyby wróg chciał ich obejść.

Niewielkie grupki świeżo przybyłych Imperialnych ulokowały się właśnie tam. Ostrzeżono by go, gdyby dowódcy Łagodnego spróbowali forsownego marszu.

Oficerowie na dole mieli nie więcej zapasu niż ich ludzie. Dopiero po pełnej godzinie zarządzili kolejny zmasowany atak, wprost na lufy. Brała w nim udział większa liczba zbrojnych. Było ich tak wielu, że potykali się jeden o drugiego. Nie wspominając już o martwych i rannych.

Jakiś nerwowy głupiec nie mógł zaczekać. Przytknął kopeć do zapasu.

Jeden przedwczesny wystrzał pociągnął za sobą kilka innych, a potem całą chaotyczną resztę. Ludzie padali jak kłosa żyta zmiotane huraganem.

Dym się zbliżał. Tym razem było gorzej. Powietrze niemal zamarło w bezruchu.

Hecht dostrzegł wielkie sylwetki poruszające się w dymie. Kształty niehumanitarne. Kim były? Złudzeniem? Nie mógł się zorientować, czy towarzyszy im jakiś dźwięk. Znowu ogłuchł.

Była to lekcja, którą należało odrobić dawno temu. Ludzie przy hakownicach i bombardach musieli chronić uszy.

Podszedł trochę pod górę, po czym przeszedł do miejsca, z którego miał nadzieję na lepszy widok przez dym. Zauważył, że jednak zasłonili sobie uszy. Więc tylko on był głuchy.

Cesarzowa poszła za nim. Mówiła coś od jakiegoś czasu, a on nie słyszał ani słowa.

Ona i jej gwardziści też zasłonili uszy kawałkami tkaniny.

Hakownice przeznaczone na pozostanie na miejscu po pierwszej salwie wciąż strzelały na oślep — z niewielką szansą, że nie trafią. Zostały ustawione podług wskazówek opracowanych przez Kaita Rhuka i Dragona Proseka. Deszcz ich kamieni powinien bić regularnie w łąkę, czy była widoczna czy nie.

Kilku ludzi wychodziło z dymu, słaniając się na nogach, z załamionym spojrzeniem, wiodeni siłą bezwładu.

Hecht usłyszał, jak Cesarzowa mówi:

— Wydawało mi się, że więcej ich przejdzie.

— Mnie też — odparł. — I jeszcze mogą przejść. W tym dymie wciąż mogą być ich tysiące.

Nie było już widać olbrzymich sylwetek.

Może w dymie było ich tysiące, ale wyłaniali się w grupkach po kilkunastu. Na oślep. Byli zupełnie nieskuteczni, chyba że któryś z nich zmuszał załogę hakownicy do przerwy w pracy i obrony przed nimi.

Tego właśnie Hecht się obawiał od chwili, w której zdecydował, że będą walczyć. Za każdym razem, kiedy broń wypadła z rotacji ogniowej, coraz więcej ludzi Łagodnego przedzierało się wyżej. I tak nacierali, aż wielu Prawowiernych nie mogło ładować broni. Choć niektórzy strzelali nieprzerwanie, a inni wracali szybko do pracy po odparciu bezpośredniego zagrożenia.

Powietrze znowu drgnęło. Dym zaczął się przemieszczać. Pozwoliło to załogom hakownic wycelować broń w największe skupiska ludzi

podchodzących pod górę.

Rzeź była okrutna i wykraczała daleko poza wcześniejsze wyobrażenia Hechta. Wykraczała również poza wyobrażenia Proseka i Rhuka, a ci dwaj zawsze mieli bardzo ponure przewidywania. Łąka znikła pod stosem ciał. Atakujący musieli wspinać się po nich i obchodzić martwych i konających, których ciała wciąż rozrywał grad kamieni.

Bryza przyspieszyła na tyle, że rozwiała wszystko oprócz najświeższego dymu. Atakujący nadchodzili teraz dziesiątkami zamiast setkami.

— Dlaczego nie ma ich więcej? — zapytała Katrin. — Prawie nas mieli.

— Nie wiem, Wasza Miłość. — Hechta bardziej interesowało, co zrobiły te olbrzymie kształty. Nie zauważył niczego. — To może być wina Cleja.

— Sedlakovy?

— Tego jednorękiego. Prowadzi moją jazdę.

— Wiem, kim jest. Czy to, co on robi, może mieć wpływ na to tutaj?

— Miał być na dole i zaatakować ich obóz.

— Z pięćdziesięcioma konnymi?

Hecht rozłożył ręce.

— Jeśli będzie miał szansę zadać większe straty.

Dziewiąty Nieznany mógł też zrobić coś, co odwróciło uwagę wroga.

Hecht nie chciał tego przyznać, ale założyłby się o wszystko, co miał, że pierwsza salwa wywoła panikę w szeregach wroga.

Tak się nie stało. Ponosili straszliwe straty i wciąż nacierali. A więcej jeszcze było w drodze.

Walka osłabła, choć wciąż trwała. Ludzie księcia Onofria, mający przesuwacze nieużywane hakownice, wykonywali swoje zadanie bez nadmiernej skwapliwości. Niektórzy zostali powaleni z bronią w ręku.

— Coś jest nie tak, Wodzu Prawowiernych.

— Markują, że coś robią. Chcą zostać złapani. Z moją bronią. Tu nie jest bezpiecznie, Wasza Miłość. Odejdź, proszę, zanim się znów zaczniesz.

— Nie chodzi mi o ludzi księcia — warknęła Cesarzowa. — Ale o ludzi Łagodnego. Popatrz na nich. Ktoś im coś zrobił. Inaczej by tak nie napierali.

Miała rację. Nacierali pomimo uderzeń pocisków, które waliły w nich po dwadzieścia naraz.

— Kapitanie Ephrian. Mogę wypożyczyć kilku pańskich ludzi jako posłańców? — On sam nie miał przy sobie nikogo. Nie przewidział

potrzeby pociągania za sznurki po rozpoczęciu bitwy.

Ephrian zerknął na Katrin. Ledwo zauważalnie skinęła głową.

— Kapitanie, obawiam się, że następny atak nie skończy się tak dobrze — powiedział Hecht. — Proszę zaprowadzić Jej Cesarską Mość w bezpieczne miejsce. — I dodał, patrząc Katrin w oczy: — Może jej się to nie spodobać, ale musi przeżyć, żeby móc mnie później ukarać.

Ephrian błysnął zębami w nerwowym uśmiechu. Katrin zagotowała się ze złości. Hecht zwrócił się do dwóch ludzi wyznaczonych przez kapitana:

— Chcę, żebyście pobiegli do miejsca, w którym ukryte są oddziały wsparcia. Jeden w jedną, a drugi w drugą stronę.

— Ci Imperialni?

— No właśnie. Wiecie, gdzie powinni być. A to co ma być, do diabła?

Nad odległym obozem wroga unosił się pęczniejący tuman dymu.

— Sir?

— O, tam! Och, rozumiem. No tak. Idźcie już. Jeden do Zgody, drugi do Vircondeleta. Powiedzcie im, że mają wkroczyć i uderzyć na tych tutaj z flanki. Na dole, poza zasięgiem hakownic. I niech nie próbują wygrać wojny w jednej potyczce. Niech na nich natrą, zdezorientują ich, wywołają panikę, jeśli to konieczne, a potem niech stamtąd znikają, jakby ich kto gonił. Jest to tylko eksperyment, by sprawdzić hipotezę Jej Miłości, że zostali zauroczeni. Ponadto chcę odciągnąć ich uwagę. Później dołączcie do kapitana Ephriana i Cesarzowej.

— Tak jest, panie.

— Idźcie z nią tak daleko, jak będzie trzeba. Aż na tyły, do brzegu, jeśli będziecie musieli. Tu może być bardzo ostro. — Podejrzewał, że gdzieś tam, poza zasięgiem jego wzroku, tworzy się trzecia i największa fala. Wciąż nadciągający strumyk zbrojnych był dostatecznie trudnym wyzwaniem.

— Tak jest. — Rozdzielili się i znikli.

Katrin poszła z kapitanem Ephrianem, nieszczerze zadowolona z tego.

Hecht zastanawiał się, jak zachowałyby się Hespeth w podobnych okolicznościach. Pomyślał, że jej poczucie obowiązku kazałoby się jej trzymać z dala. Nie była ani tak rozpuszczona, ani tak impulsywna jak Katrin.

Zauroczeni albo też pijani żołnierze wciąż nacierali coraz bliżej, pomimo wielkich wysiłków Rhuka i Proseka. Hecht szacował straty wroga na pięć tysięcy zabitych i konających na zasłanej trupami łące. Jeszcze więcej leżało po prawej stronie, na górze i za jego pozycją. Leżący nieopodal zabici składali się w połowie ze zdradzieckiego zaciągu księcia Onofrio.

Atakujący potraktowali ludzi Onofria tak jak Prawowiernych. Nie słyszeli zapewnień o przyjaźni. Hecht pomyślał, że może w ogóle nie mogli nic usłyszeć.

Vircondelet i Zgoda na rozkaz Hechta ruszyli do ataku, który był równie skoordynowany jak napaść roju komarów na słonia. Uderzyli na zgromadzone masy, tak jak przewidział Hecht, robiąc o wiele większe szkody, niż wskazywałyby na to ich liczebność. Patriarchalni byli zbyt powolni, by zareagować. Całą uwagę skupiali na tym, co było na wprost.

Titus Zgoda uderzył pierwszy z północy. Był już w pełnym biegu, kiedy Rivademar Vircondelet natarł z południa.

Zacząpny atak opóźnił trzecią falę uderzenia wroga w chwili, gdy zbrojni nad łączką wdali się w walkę wręcz z większością Prawowiernych.

Hecht sam odparł dwóch atakujących. Wydawało mu się, że jednego pamiętał z walki z calzirskimi piratami. Mężczyzna nie rozpoznał go. On, jego towarzysz oraz reszta atakujących poruszali się wolno, jakby stanowili część jakiejś armii trupów.

Hecht widział już coś takiego, wahał je i walczył z nim w al-Khazen. To tutaj nosiło piętno Nocy, ale nie było takie samo.

Będzie jeszcze czas na głębsze analizy.

Jedynie dwadzieścia hakownic wciąż strzelało regularnie. Dwukrotnie, raz za razem, i potem trzeci raz Hecht usłyszał eksplodującą broń. Usłyszał, jak załoga hakownicy niemiłosiernie krzyczy. Poczł swąd spalonego ciała. I pomyślał, że Krulik i Sneigon wcale nie byli takimi geniuszami.

Zmniejszona siła ognia była jakby dopasowana do zmniejszonego napływu atakujących. Napór się nasilił, po czym ustąpił.

Pojawił się Titus Zgoda z takim bezdechem, że przez kolejne pół minuty mógł tylko łapać powietrze. Kiedy w końcu próbował się odezwać, wyrzygał się, po czym wysapał:

— Starają się obejść nasze flanki, szefie. Są jak nieumarli czy coś innego. Nie mogę powstrzymać ich wszystkich.

Hakownica eksplodowała o piętnaście metrów od nich. Żelazny szrapnel zerwał pióra z hełmu Zgody.

— Bóg właśnie mnie zdegradował do ciury.

— Nie. Pokazał ci tylko, że kocha cię na tyle, żeby chybić. No i znów się zaczyna.

Kolejny tuman wspinał się w powietrzu nad obozem wroga, daleko u podnóża wzniesienia.

— Myślisz, że to Clej?

— Najwyższy czas.

To jednak nie mógł być Sedlakova. Nie było dowodów na to, że zaczęli kąsać wroga. Nie mieli też ze sobą materiałów wybuchowych.

Po chwili coś się zmieniło.

Hecht obserwował, jak nadchodzi, fala pędząca przez tych Patriarchalnych, których widział. Sam ją poczuł, ale impet był niewielki i bez znaczenia. Natomiast miał wielkie znaczenie dla atakujących. Atak załamał się w jednej chwili.

Oddziały Łagodnego stały bezradne, jakby starali się zebrać myśli. Ale hakownice grały dalej.

Ludzie Łagodnego puścili się biegiem.

— Wracaj do swoich — Hecht zwrócił się do Zgody. — Zobacz, czy coś się zmieniło.

— Jasne. — Titus był trochę podejrzliwy, jakby myślał, że Hecht to wszystko nagrał samymi pobożnymi życzeniami.

Świat stanął w miejscu. Dym się rozproszył. W długich chwilach przynoszącej ulgę bezczynności trzymający się na nogach Prawowierni ustawiali działającą broń, by powitać kolejny atak. Zniszczone i podejrzone sztuki wycofywano z linii strzeleckich.

Czas mijał. Nie było kolejnego ataku. Wróg wydawał się zainteresowany wyłącznie zabieraniem rannych. Hecht nie przeszkadzał im w tym. Jego oficerowie poczuli się na tyle pewnie, że zaczęli składać raporty. Zastali swego dowódcę przytłoczonego zwycięstwem.

Jak dotąd.

Był pewien, że nastąpi kolejny atak. Ukrywał przed nimi pewność, że tym razem będzie skuteczny.

Raporty były dobre. Były też i złe.

Dobre wieści głosiły, że straty własne są niewiarygodnie małe. Z początku Hecht usłyszał o czterdziestu trzech zabitych i rannych, z czego większość stanowiły ofiary wybuchu hakownic. Według Rhuka i Proseka nie można zrzucać wszystkiego na karb niedbalstwa Krulika i Sneigona. Hakownice eksplodowały, kiedy spanikowane załogi starały się zrobić za dużo w zbyt dużym pośpiechu. Nie wyczyścili dokładnie otworu w lufie przed załadowaniem. Albo wepchnęli za dużo ładunków. Albo też źle odmierzili ilość prochu. Bądź też postanowili dać podwójny ładunek. Wszystko to zdarzało się częściej, gdy ludzie byli wyczerpani, gdy kwas strachu wgryzał im się w rozum.

— To wygląda na dobrą nauzkę, Kait. Drago, popracujcie nad tym, kiedy będzie czas. Odmierzcie wcześniej ładunki prochu. Wymyślcie jakąś pieśń pracy, żeby w jej rytm po kolei, krok za krokiem, wykonywali wszystkie czynności przy ładowaniu. Coś w tym stylu. Aha. I znajdźcie jakiś sposób na ochronę uszu. Prawie ogłuchłem, a nie stałem przy hakownicy.

Obaj mężczyźni spoglądali na niego, jakby nie mogli uwierzyć w to, co właśnie powiedział.

— Szefie, robimy tak od dwóch lat.

— Och, no tak. Może powinienem zwracać baczniejszą uwagę...

Zewsząd rozległy się krzyki.

— Znów atakują!

W mgnieniu oka Hecht został sam. Ludzie pierzchali we wszystkich kierunkach. I nagle przestał być sam. Obok niego pojawił się zabawny człowieczek ubrany na brązowo.

— No i co o tym myślisz, Piper?

— Wygląda na fałszywy alarm.

— Nie o to pytam.

— W takim razie o czym co myślę?

— Masz cholerny problem z żołnierzami wroga, którzy wciąż wyłazą ci na zębiska tych twoich maszyn śmierci. Mam rację? O, tam, w dole. Wciąż tu podchodzą, prawda?

— Tak. Ale teraz wszyscy uciekli.

— A więc powiedz: Dziękuję ci, mój czcigodny przodku.

— Za...?

— Podchwyciłem pomysł od twojej siostry. Wziąłem baryłkę prochu i umieściłem ją tam, gdzie się na coś przyda, jak zrobi bum.

— Że co?

— Dwa razy próbowałem, ale w końcu dopadłem tego sukinsyna z Kolegium, który był odpowiedzialny za tę magię. Nazywał się Portante. Prowincjał Catio Portante.

— Nie znam tego nazwiska. Wygląda na to, że to jednak nie był fałszywy alarm, lecz sonda. — Siły wroga nacierały, choć w niewielkiej liczbie.

— Wcześniej też nie zwracałem na niego uwagi. To nędznik, i do tego drobnego kalibru. Z jednego z tych miast na północy, spokrewniony z Benedoctem przez małżeństwo. I daleki krewny Bronte'a Doneto.

— Zgaduję, że Łagodny ma mnóstwo przyjaciół, o których nic nie wiemy.

— Muno ich wszystkich zna. Powinieneś pozwolić, bym cię do niego zabrał.

— Oczywiście. — Hecht się wzdrygnął. Jakaś hakownicą zadudniła tubalnym powitaniem Patriarchalnych, którzy podeszli zbyt blisko. — Wpadnę podczas bitwy. Nikt nie będzie za mną tęsknił.

— Widzisz, dlatego właśnie nigdy nie dałem się wplątać w żadne duże obowiązki. Bo cię pochłaniają. Uniemożliwiają robienie tego, co się lubi. Jak tutaj. Przychodzą tu te wszystkie fiutki i chcą, żebyś myślał za nich. A ja nie mogę zniknąć, bo już mnie widzieli.

Rhuk i Prosek wrócili. Sonda wroga okazała się niegroźna.

— Możesz zachować swoje zdanie dla siebie, jak będziemy rozmawiali? — rzucił Hecht.

Februaren parsknął. Kłapanie dziobem to kolejna czynność, której nie można wykonywać, gdy się ma dużo obowiązków.

Prosek wydawał się zainteresowany wyłącznie staruszkami w brązach. Patrzył tylko i pozwolił mówić Rhukowi.

— Szefie, może byśmy się wycofali, kiedy przestaną? — zapytał Rhuk.

— Dlaczego?

— Jesteśmy wyczerpani i ranni, a broń zaczyna się męczyć.

— Kait, odczekam chwilę, żeby się przekonać, czy już panuję nad sobą. No dobrze, mów. Sześć hakownic eksplodowało. To wiem. I wiem dlaczego.

— To prawda. Ale nasze wcześniejsze szacunki strat były sporo zaniżone.

— Wykrztuś wreszcie.

— Wybacz, panie. — Rhuk zbladł. — Mamy dwudziestu trzech martwych bądź rannych po mojej stronie.

— I czterdziestu dwóch po mojej — dodał Prosek. — Ci ludzie dotarli do kilku moich pozycji, zanim atak się załamał.

— Do tego należy jeszcze dodać straty poniesione przez Vircondeleta, Zgodę i Sedlakovę — burknął Hecht. — Chyba że te już policzyliście.

Mężczyźni pokręcili głowami.

Prosek, wciąż gapiąc się na Clovena Februarena, jakby podejrzewał, że to wcielenie samego Przeciwnika, powiedział:

— Ludzie to nie problem. Kończy nam się amunicja. Szczególnie ładunki.

Ryknęła hakownicą. Hecht spojrzał w kierunku łączki. Próbnym atak wygasał. Żywi tam, na dole, szukali rannych, by zabrać ich do braci uzdrowiaczy.

— Czy nasi są bardziej wycieńczeni niż ci tam?

— Wątpię. — Prosek wzruszył ramionami.

— Ustawcie broń. Naładujcie i wycelujcie. Vircondelet i Zgoda wkrótce wrócą. Weźcie ich ludzi na wymianę. Ma być tylko jeden niedoświadczony na ekipę. Policzcie całą amunicję. Przecież nie mogliśmy zużyć całego tego prochu. Musiałem załadować go na siedem statków, żeby się zmieścił.

— O, nie, panie. Wciąż mamy tony prochu. Tylko nie tu, na górze. Nie było go czym przetransportować. A gdybyśmy nawet mieli transport, to i tak byśmy wszystkiego nie przywieźli. Zbyt duże ryzyko utraty.

— Mamy mało prochu, szefie — dodał Rhuk — ale jeszcze mniej ładunków. Zaczęliśmy od dwudziestu, dwudziestu pięciu na każdą broń.

Hecht zrozumiał, że była to niemal niewyobrażalnie duża ilość. Całe tony. Wozy.

— Ale bardzo szybko schodzą. Żadna z tych ekip nie wytraciła wszystkiego, z czym zaczynała, ale niektóre mają po dwa, trzy. Nie ma niczego, czym można by zastąpić te pociski. Teraz rozdzielamy to, co mamy, po równo. Nie wystarczy na długo, jeśli będzie kolejny duży atak. Och. I każda z ekip ma po jednym ładunku bożego śrutu. Na wszelki wypadek. Ale nie chcemy z tego strzelać.

Hecht zdławił złość. To nie była ich wina. Była to jego wina. Zrobili, co im kazano. Po prawdzie zrobili dużo więcej.

Nie spodziewał się, że to długo potrwa. Liczył na to, że zmasowany ogień wywoła panikę wśród wrogów. Powinien był jednak rozważyć możliwość, że jakiś oszalały czarownik będzie nimi manipulował i posyłał na śmierć do ostatniego żołnierza.

— Nie poszło tak, jak zaplanowałem — przyznał Hecht. — Ale teraz zaszły tam wielkie zmiany. Tak mi powiedziano. — Wykonał nieznaczny gest w stronę odzianego na brązowo mężczyzny. — Tak więc na razie trzymamy się z naładowaną bronią. Jednak zamiast rozdawać wszystkim amunicję, dostarczcie ją tym, którzy mają broń strzelającą po pierwszych dwóch salwach.

Hecht spojrział na Clovena Februarena, mając nadzieję, że usłyszy coś o małym prawdopodobieństwie kolejnego poważnego ataku.

Starzec zrozumiał, ale nie mógł niczego obiecać.

— Nie zabijajcie ludzi, którzy starają się tam pozbierać.

— Możliwe, że ktoś nam podkrada zapasy — dodał Prosek. — Brakuje mi kilkunastu baryłek prochu.

Cień złośliwego uśmiechu zatańczył na ustach Dziewiątego Nieznanego.

Hecht zrozumiał.

— Nie zmarnowały się, Drago.

Przerwa ciągnęła się godzinami. Wróg zabrał swoich zabitych i rannych, zanim dobrały się do nich zbierające się sępy i muchy. Prawowierni zajęli się swoimi.

Cloven Februaren znalazł sposób, jak niezauważenie zniknąć.

Siły patriarchalne nie ruszyły się aż do późnego popołudnia, kiedy Hecht zaczął już myśleć o zjedzeniu kolacji i wymknięciu się stąd. Gdzieś musiał znajdować się zamek na tyle duży, by można się było w nim zaszyć, dopóki gdzie indziej nie poczują brzemienia Imperium.

Ale nie chciał porzucić swoich hakownic. Mógłby, gdyby uciekł. A więc pozostało mu wyłącznie pozostanie na stanowisku.

Martwił się o Cleja Sedlakovę. Nie było po nim śladu. Cena, jaką zapłacił za ten dzień, już zaczęła go prześladować. Zginęli znamienicy weterani, ludzie, którzy byli z nim od czasów służby w Miejskim Regimentzie. I Titus odniósł pierwszą poważną ranę.

— Nadchodzą! — rozniosło się po zboczu.

I nie był to fałszywy alarm. Wróg wkroczył na łąkę i pełznął naprzód ku bocznym wzgórzom.

— Titus, nie przyjrzałem się temu wszystkiemu dokładniej, zanim się na to zdecydowałem — powiedział Hecht. — Jeśli pójdzie źle...

— Nieważne, szefie. Ja tu się usadowię. Wszystko w porządku. — Były to odważne słowa, ale nie, nie było w porządku.

Hecht wiedział, że będzie musiał zajrzeć w głąb swej duszy, jeśli to przeżyje. Nie miał pojęcia, czy źródłem jego problemów jest pycha, arogancja, zbyt duża pewność siebie czy też połączenie tych wszystkich wad.

Uśmiechnął się lekko, gdy przypomniał sobie, jak podobne doznania miewał w każdej trudnej sytuacji, kiedy jego wrogowie dali mu czas na rozmyślanie. Zaczął też myśleć o rzeczach nieistotnych. Jak zwykle.

Powinien pilniej studiować zasady Konstruktu. Teraz mógłby stąd uciec. Choć mogło go spotkać mniej bezpośrednio zagrożenie niż jego ludzi. Łagodny mógł chcieć zająć się nim później. Taki to już człowiek.

Utrzymano dyscyplinę. Załogi hakownic czekały.

Atak stracił impet, zbliżywszy się do prawdopodobnej linii śmierci. Większość tych ludzi widziała, co się stało z tymi, którzy szli tędy przed nimi. Oficerowie bezpiecznie z tyłu klęli i grozili swoim żołnierzom.

W końcu szturm ustał.

Gdzieś z dala, w dole szlaku, rozległa się olbrzymia eksplozja. W popołudniowym świetle szary dym poszybował w górę przy akompaniamencie krzyków i wrzasków. Wszyscy z przodu podskoczyli i zakotłowali się zaskoczeni.

— Pierwszą salwą, cel — pal! — rozkazał Hecht.

Ryknęły hakownice. Czerwieniejąca poświata słoneczna zabarwiła dym na jaskrawy pomarańczowo-karmazynowy kolor.

Dym przez jakiś czas wędrował w górę zbocza, pchany minimalnie cieplejszym powietrzem z dołu. Wkrótce jednak powietrze ostygło. Dym znów zsuwał się w dół. Nikt i nic nie wyłaniało się z niego. Skutecznie ukrył źródło całego zamieszania. Coś działo się tam, w dole. W uszach Hechta brzmiało to tak, jakby każdy z nich zwrócił się przeciwko sąsiadowi. Po części była to prawda. Każdy rozpaczliwie chciał ująć z pola ostrzału, lecz magia, która zmąciła ludziom umysły, pogłębiła jeszcze ich desperację.

Hecht wydał rozkazy, by nie strzelać, dopóki nie zaatakują.

Nadciągnęła ciemność. Dym się rozwiął. Pojawiły się zupełnie obojętne gwiazdy. Rivademar Vircondelet meldował, że Patriarchalni wycofali się z

łąki i teraz kryją się za załomem góry. Łąka była usiana świeżym ludzkim plonem. Wróg zabierał rannych. Pojawili się nocni padlinożercy.

W pewnym momencie, niezauważony, dopóki się nie odezwał, Cloven Februaren dołączył do Wodza Prawowiernych. Ludzie Hechta nie zwrócili nań uwagi.

— Już po wszystkim, Piper — zauważył Februaren. — Poddali się, ale możesz się jeszcze spodziewać nieprzyjemnych niespodzianek od Nocy. Nie zaszkodziłoby, gdyby kilka tych twoich zabawek naładować bożym śrutem, tak na wszelki wypadek. Zajmij się tym, a potem chcę, żebyś ze mną poszedł w pewne miejsce.

— Dlaczego? Dokąd?

— Na dół. Żeby porozmawiać z ludźmi po drugiej stronie.

— Powinienem zadać ci jakieś pytania?

— Możesz, jeśli chcesz. Możesz jednak nie otrzymać odpowiedzi, jaką chciałbyś usłyszeć.

— Tak właśnie myślałem. Titus!

— Panie...?

— Jak się czujesz? Jak ręka?

— Mówią, że przeżyję. Mam jedynie czternaście szwów, ale boli jak cholera.

— Dobrze to słyszeć. Nie wiem, co bym bez ciebie począł.

— Nie chcę przerywać tego rozkwitającego romansu, ale... — zrzędził Februaren.

— Sprawdź tylko, czy Titus jest w stanie do nas dołączyć. Titus, uniesiesz flagę parlamentariusza, co?

— Skoro nalegasz.

— Dobrze. Z całą pewnością na dole będą ludzie, których znamy. — Hecht pogroził palcem Dziewiątemu Nieznanemu. — Na moich warunkach, staruszk.

Februaren skrzywił się, lecz nie oponował.

— Czy to długo potrwa? — zapytał Hecht. — Cały dzień nie miałem nic w ustach.

— Powinieneś lepiej się o siebie troszczyć. Weź bochen chleba, ser i kiełbasę i chodźmy. Możesz sobie podgryzać po drodze. Będziemy iść wolno.

— No to w porządku. Mogę zaczekać. — Sceneria nie pobudzała apetytu.

Starzec parsknął śmiechem.

Hecht pomyślał, że Dziewiąty Nieznany jest na dobrej drodze przemiany w coś więcej niż człowieka. Czy było coś takiego jak uczeń dominującego? A może przypadkowy dominujący? Nieświadomy swego stanu?

Asgrimmur Grimmsson był dobrym przykładem.

Marszcząc brwi, Titus zaczął ściągać lampy i gwardzistów.

— Nasza broń dokonała straszliwej rzezi — oznajmił Titus.

— Nie gorszej niż miecze i topory — powiedział Terens Ernest dumny jak paw, że towarzyszy swemu dowódcy. — Chwała Bogu, że nie zaatakowali nas konnicą. Nie mógłbym się pogodzić z tym, gdybyśmy zabili kilka tysięcy koni.

Cloven Februaren parsknął, ale to był jedyny sposób, w jaki wyraził swą opinię.

— Prawdziwa groza to szybkość i bezosobowość, z jaką potrafimy teraz zabijać — stwierdził Hecht. — Niektórzy z tych, co strzelali z hakownic, nawet nie widzieli wroga z bliska. A tacy jak Prosek i Rhuk będą szukać sposobów, aby sięgnąć jeszcze dalej, celniej i szybciej. Uwielbiają wyzwania. Nigdy nie myślą o tym w kategoriach ludzkich.

Było to najkrwawsze pole bitwy, jakie w życiu widział. Było też kilka krwawszych starć w historii, kilka całkiem niedawnych: Los Naves de los Fantas i to, co się stało na zewnątrz Khaurene. Ale tutaj chodziło o przemysł na wielką skalę i zrozumiał, że jest to zatrważające.

— Co robi Łagodny, gdy się o tym dowie? — zapytał Titus.

— Rzuci na nas klątwę. Ekskomunikuje. Wyda jakieś buńczuczne bulle. Będzie obwiniał wszystkich prócz siebie. Zmienia się w swego kuzyna.

Dziewiąty Nieznany nie zamierzał milczeć.

— I nikt go więcej nie będzie brał poważnie, ponieważ wykazuje się tak wielkim talentem do popełniania głupstw jak Wzniosły. Nie jest tak ślepy i nieuczciwy, ale dla kontrastu mieliśmy też kilku Patriarchów bez skazy. Wygląda jak relikwiarz przeszłości. To, co się tutaj stało, przekreśli go w oczach brotheńskiego pospólstwa.

Hecht nie wierzył w to. Bronte Doneto był na to zbyt biegły.

— Może byśmy tak się skupili na naszym zadaniu?

Był zdenerwowany. Ciemność wydawała się nienaturalnie nieprzenikniona. Lampy nie zdołały jej odepchnąć na bezpieczną odległość.

Pole śmierci cuchnęło wylewającymi się wnętrznościami, krzepnącą krwią i już psującym się ciałem. Wciąż potykał się o zwłoki zabitych.

Do butów wlała mu się ohydna woda. Był głodny i zaczęła go boleć głowa. Choć znajdowali się wysoko i powietrze było chłodne, skrzydła owadów zdawały się bzyzczyć o prymitywnych bogach śmierci i ich powinnościach po bitwie jak owe stare diabły, które wykończył w Connec.

Jego amulet potwierdził, że tej nocy pojawiają się jedynie najbardziej pospolite Delegatury.

Niepokoila go możliwość wewnętrznej zdrady. Titus miał unieruchomione prawe ramię. Dziewiąty Nieznany był starszy niż grunt, po którym chodzili. Terens Ernest był nieznaną kartą. Rivademar Vircondelet uważał siebie za kochanka, a nie wojownika.

Zgoda, Vircondelet i Ernest poszli z nimi, bo czuli, że im nie ufa i że ich odstawia na boczny tor. Tym razem mieli okazję trafić do miejsca, gdzie zwykle spada młot.

Nie przedstawił im Clovena Februarena.

Poza Titusem, który musiał targać poselski porzecz, wszyscy nieśli lampy. Hecht, Ernest i Vircondelet mieli ponadto włócznie oraz zwykły zestaw ostrego żelaza. Włócznie okazały się użyteczne, gdyż poruszali się po grząskim gruncie.

Dziewiąty Nieznany uzbroił się w głupekowaty uśmiech.

Ta piątka nie przedstawiała widoku, który mógłby przejść do kart historii.

Kiedy przeszli przez łąkę, za załomem góry wypatrzyli pochodnie i niewielkie ogniska. W odległości stu kilkudziesięciu metrów czekało na nich w przyćmionym świetle około dwudziestu zbrojnych.

Drogę na równinę znaczyły kolejne oddalone od siebie małe ogniska. Na szlaku zapanowało poruszenie.

— Powinienem ich ściągnąć do mnie na górę — mruknął Hecht.

— Jesteś paranoikiem, Piper — rzucił Februaren i dodał: — Naucz się wiary w siebie.

Hecht wiedział, że wielu na niego czeka. Większość z nich nie należała do przyjaciół Bronte'a Doneto. W ich skład wchodził przedstawiciel czterech z Pięciu Rodzin Brothe, włącznie z Paludanem z potężnego rodu Bruglionich. Paludan był u bram śmierci, kiedy Hecht widział go po raz ostatni. Prowincjał Gerwase Saluda, długoletni przyjaciel Paludana, też tu

był. Obaj wciąż siedzieli w drewnianych wręgach, w których zazwyczaj wnoszono ich w góry. Przedstawicielem Arniena był Rogoż Sayag, z którym Hecht pracował niegdyś wynajęty przez jego rodzinę i później, podczas krucjaty calzirskiej.

Rody Colognich i Madesettich reprezentowali nieznajomi. Jedynie ród Benedocto, szczep Bronte'a Doneto, nie miał przedstawiciela.

Ktoś o tym doniesie. Szpiegostwo i zdrada były wpisane w duszę brotheńskiej polityki, która kształtowała większą politykę Kościoła.

W takiej grupie wszyscy ci ludzie byli dość dziwnymi sojusznikami. Niektórzy regularnie od pokoleń wbijali sobie nóż w plecy. To świadczyło o głębokości i zasięgu rozwijającego się kryzysu zaufania do obecnego Patriarchy.

Jak w tak krótkim czasie udało się Donetowi tak upaść?

Hecht dłużej zastanawiał się nad tym, jak Paludan i Gerwazy, obaj niesprawni, zdołali tak szybko dotrzeć na miejsce.

Wystąpił mężczyzna, którego Hecht nie znał.

— Nazywam się Acton Buccce z Bricei — powiedział. — Pełnię obowiązki dowódcy tej garstki, której udało się przeżyć wasze czary. — Acton Buccce był smutny i zły, ale trzymał emocje na wodzy. — Czy możemy podłożyć dREW do ognisk? — zapytał. — Chciałbym, żeby było więcej ciepła i światła. Tak wiele duchów uczyniło z niej jeszcze zimniejszą i ciemniejszą porę dnia niż zwykle.

Hecht zerknął na Februarena. Starzec pokiwał głową.

— Proszę bardzo. Napotkałem kilka z tych duchów, schodząc na dół.

Płomienie szybko wystrzeliły w górę. Wszyscy po patriarchalnej stronie zdawali się być wyziębieni i przybici. Hecht musnął swój amulet. Wciąż nie reagował ostrzeżeniem oprócz zwyczajowo pojawiającego się świerzbienia.

Potężniejące ogniska zamąciły przyzwyczajony do ciemności wzrok Hechta, ale rzucały wystarczająco dużo światła, by ukazać trupy leżące jeden obok drugiego, stykające się stopami na krawędzi drogi.

— Chciałeś porozmawiać, Actonie Buccce?

— Dwanaście godzin temu dowodziłem oddziałem Miecze Wolnej Woli. To byli najemnicy z najbiedniejszych dzielnic Brothe. Dwa tysiące dwustu zbrojnych, przeważnie doświadczonych. Zwerbowanych na trzydzieści dni, piętnaście płatne z góry. Teraz mam tysiąc trzystu zbrojnych w takim stanie, że nie mogą się samodzielnie poruszać. Mamy tyle trupów, że nie możemy

ich zabrać z sobą. Pochowamy ich w oznaczonych mogiłach, choć jeszcze wielu nie zidentyfikowano, żeby ich rodziny mogły po nich przyjechać, jeśli będą chciały.

Przerwał, jakby czekając na komentarz. Hecht nie odezwał się ani słowem.

— W sumie Patriarcha wysłał siedemnaście tysięcy zbrojnych — mówił dalej Bucce. — O wschodzie słońca byłem ósmy w starszeństwie w sztabie. Obecnie jestem najstarszy stopniem wśród tych, co przeżyli. Nalegają, abym zaspokoił moją skłonność do ocalenia tych, co jeszcze żyją. Pracujemy nad tym, choć wciąż marny jeszcze ciała do zabrania. Do tej pory zebraliśmy ponad cztery tysiące. A rannych jest więcej niż zabitych. Zakażenie zabierze większość z nich, ponieważ medycy nie są w stanie ich wszystkich wyleczyć. — Zamilkł.

— Ilu jest tu z poboru? — zapytał Hecht.

— Panie...?

— Każdy żołnierz w tej armii znalazł się tu z własnej woli. Każdy z nich zmienił się w najemnika żadnego krwi mojej i moich ludzi.

— To prawda. Choć można by sądzić, że to bieda zarządziła wśród nich pobór.

— Możliwe. Ale oni postanowili mnie zabić. Według moich obliczeń, jeśli ufać pańskim szacunkom, moi ludzie potrzebują jednego ciężkiego dnia, by na zawsze zmiażdżyć mrzonki Patriarchy.

— Mrzonki Patriarchy już konają. Jutro pochowam swoich zmarłych. Zwolnię każdy oddział, który odtąd będzie sobie radził sam. Chyba że wymusicie na nas walkę. Wtedy będziemy walczyć.

— Od początku nie miałem zamiaru walczyć.

Buce zacisnął usta. Był odmiennego zdania.

— Jestem gotów nie dopuścić do utraty choćby jednego istnienia, dopóki mnie Łagodny nie zwolni ze służby. Nie będę miał ich na sumieniu.

Nie poruszając ustami i szepcząc tak, że tylko Hecht go słyszał, Februaren powiedział:

— Ten człowiek jest szczery. Nie mówi ci tylko, że większość jego ludzi zdezerterowała.

Hechtowi udało się ukryć zaskoczenie.

— Kapitanie, jaki był główny cel tego spotkania? I dlaczego są tu obecni ci wszyscy ludzie?

— Przybyli z wojskiem, by obserwować przebieg działań, jak mi mówiono. Myślę, że mieli nadzieję zobaczyć tak paskudną klęskę, jakiej doświadczyliśmy. Nasz Patriarcha nie jest już uwielbiany przez klasę, z której się wywodzi.

— Mniej więcej znam się na polityce. Ale nie powiedział mi pan, dlaczego chciał się spotkać.

— Powiedziałem. Chcę położyć kres zabijaniu. W dodatku zgromadzeni nalegali na to spotkanie.

Hecht zerknął na Titusa. Czy Zgoda mógł coś wiedzieć na temat Bucce'a?

— Rozumiem to w ten sposób, że ci ludzie chcą, byś mógł bez przeszkód dotrzeć do Brothe na rozprawę z Łagodnym.

— Zakładam, że teraz zmieniliście zdanie od ostatniego głosowania.

Nikt nie odpowiedział. Wpatrywali się w ciemność za jego plecami. Czyżby Prosek zabrał na dół kilka hakownic, by wzmocnić imperialną siłę argumentów?

Hecht zerknął na Clovena Februarena. Starzec nie przejmował się tym w ogóle.

— Powiedz coś więcej — zwrócił się do Bucce'a.

— Mam tylko tyle do powiedzenia. Od siebie. Niech pan rozmawia z nimi. — Bucce był przerażony. On również patrzył w przestrzeń za Hechtem. — Nie będę się wtrącał, jeśli pozwoli nam pan zająć się zabitymi i rannymi.

Powtarzał się. Na użytek tego, kto tam stał.

— On mówi w imieniu pomagierów Łagodnego — odezwał się słabym, pełnym napięcia głosem Paludan Bruglioni. — My porozmawiamy, kiedy zakończysz tę rozmowę.

Hecht zerknął na Bruglioniego, a potem na Gerwase'a Saludę, jakby ten mógł wyjaśnić mu, w jaki sposób Paludan przeżył.

Paludan nie zauważył. Miał wzrok wbity w kogoś za plecami Hechta.

— Za tobą stoi Cesarzowa — duch wyszeptał Hechtowi do ucha.

— Tak podejrzewałem. Wasza Miłość nie wzięła sobie rady Wodza Prawowiernych do serca — rzucił, nie odwracając się.

— To była tylko rada, Wodzu. Mam więcej wiary w ciebie niż ty sam.

Nie było to miejsce ani pora na kłótnie.

— Dziękuję za zaufanie, Wasza Cesarska Mość. Czy usłyszałaś wystarczająco dużo, by pojąć, co się dzieje?

Katrin wyszła z za jego pleców, po lewej stronie. Kątem oka dostrzegł stojącego za nią ze speszoną miną Ephriana.

— Ci ludzie zdecydowali, że postawili na złego konia. Mają nadzieję ocalić życie i być może uszczknąć co nieco z łupów przez zmianę barw.

Nawet po latach spędzonych w Firaldii Hecht nie w pełni pojmował ideę Barw, która spajała poszczególne drużyny kibiców zaprzęgów końskich na hipodromie, ale też miejscową politykę i szerzej, była deklaracją czyjś stanowiska w długiej walce o władzę między Patriarchami Brotheńskiego Kościoła Episkopalnego i Cesarzami Graala.

Stanowisko Katrin było nagą prawdą.

Ale i tak byli w stanie zmiążyć Prawowiernych. I to w wielkim stylu, ponieważ wzięliby samą Cesarzową Graala do niewoli.

— Nie doceniasz siebie — wyszeptał Dziewiąty Nieznany. — Dzisiaj zmieniłeś bieg historii świata. Ponownie. Ale uważasz, że to coś wyłącznie na miarę Lasu Esther.

Hecht ani nie rozumiał, ani nie mógł uwierzyć. Ale i tak warto byłoby się nad tym zastanowić.

— Actonie Bucca z Bricei z Mieczy Wolnej Woli, jestem tutaj, Jej Cesarska Znamienitość. Co masz do powiedzenia?

— Wydawało mi się, że wyraziłem się jasno, Wasza Cesarska Mość.

— Powiedziałeś, że nie będziesz mi przeszkadzał, jeśli Wódz Prawowiernych puści cię wolno. Co ma swój urok. Z drugiej strony perspektywa eksterminacji was wszystkich, żebyśmy nie musieli się z wami więcej borykać, również jest kusząca. Ponadto nie byłoby tych wszystkich ludzi tutaj, gdyby ktoś nie spodziewał się specjalnego traktowania.

— Masz pani rację — zgodził się Paludan Bruglioni. — Przybyliśmy tutaj, spodziewając się twojej wygranej. Mamy nadzieję wynegocjować bezpieczeństwo naszych domów.

— Gówno prawda — wyszeptał Cloven Februaren. — Ale on wierzy w to, co mówi.

— Wszyscy uroczyście ślubujemy, że nie będziemy udzielać pomocy ani wsparcia Łagodnemu — Saludan przejął pałeczkę. — Nie będziemy też w żaden sposób przeszkadzać Prawowiernym.

Cesarzowa wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał nieco jak ryk osła.

— Tak łatwo nie będzie. I nie będzie tak tanio. Nie będzie czajenia się w pół drogi, żeby potem dołączyć do zwycięzców. Wybierajcie. I oznajmijcie

to świata. Wasze życie, wasze majątki, wasz honor. Chcę, żebyście się zdecydowali, zaangażowali i włączyli w to, co robię.

— Ktoś jest nieco zbyt pewny swego — mruknął Februaren.

— Tylko trochę — zgodził się Hecht.

Ale Katrin nie przeliczyła swych kart. Nikt nie oszczędził.

Rzecznik Pięciu Rodzin zgodził się na negocjacje warunków sojuszu po tym, jak ludzie Patriarchy zajmą się zabitymi, rannymi i wyruszą do domów.

— No, nie wiem, szefie — odezwał się Titus. — Zdaje się, że zbyt łatwo im odpuszczamy.

— Po tym, co im zrobiliśmy?

— Cesarzowa sama to powiedziała. Możemy mieć z nimi jeszcze do czynienia.

Na drugi dzień zwiadowcy Prawowiernych ruszyli w stronę równiny, kiedy Patriarchalni chowali swych zabitych. Przybyły też posiłki, dwustu zbrojnych z Glimpsz. A miało być ich jeszcze więcej. W Alamedinne zbierała się armia. Imperialne garnizony w każdym mieście północnej Firaldii demonstrowały swą wierność Imperium. W Państwach Patriarchalnych było wręcz przeciwnie.

Wieści o rzezi w Cieniach rozprzestrzeniały się szybko i potężniały w miarę przekazywania. Ludzie, którzy powinni mieć trochę oleju w głowie, przyjmowali najbardziej nieprawdopodobne wersje jako prawdę objawioną.

Plotkarze z Krois rozpowszechniali cichaczem niestworzone opowieści o Cesarzowej i jej Wodzu Prawowiernych — że podporządkowali się woli Nocy. Że nie byłoby klęski, gdyby cała siła ciemności nie odpowiedziała na wezwanie królewskiej wiedźmy i jej najemnego famulusa.

Z drugiej strony oskarżono Łagodnego o konszachty z Nocą i o to, że w istocie jest potworem, który wraca do swoich katakumb, choć dobrzy prowincjałowie nieustannie go zabijają. Te oskarżenia były miłsze gminowi. Plotki mówiły nawet o zawaleniu się hipodromu, łącząc Bronte'a Doneto z wydarzeniami w świecie podziemia.

Takie to wieści przynosił Cloven Februaren ze swoich wizyt w Brothe, gdzie jego szpiegowanie było mniej subtelne i sprytne niż zwiad Heris.

Zbyt dużą przyjemność sprawiał mu sabotaż.

Clej Sedlakova pojawił się po trzech dniach. Towarzyszyło mu jedynie osiemnastu jeźdźców, z których niemal wszyscy odnieśli rany.

Wróg zastawił na nich zasadzkę i wiedział, skąd nadciągną. Sedlakova i jego ludzie byli ostatnimi, którzy przeżyli długotrwałą walkę.

Prawowierni pochowali zabitych. Sprawdzili też swoją broń pod kątem uszkodzeń. Przywieźli amunicję i zapasy i witali kolejne oddziały posiłków.

Wodzowi Prawowiernych dwukrotnie udało się ująć mało entuzjastycznym zalotom Cesarzowej. Jej samokontrola znów słabła. Hecht nie był jedynym, który to zauważył.

Rivademar Vircondelet wsunął głowę do strzeżonej przestrzeni, którą Hecht zajął w patriarchalnym obozie. Vircondelet przejął część obowiązków Titusa Zgody, gdyż ten zajął się dowodzeniem.

— Kapitan Ephrian błaga, by się z tobą zobaczyć, szefie. Możesz mu poświęcić minutę?

— W takim razie wprowadź go.

Ephrian wszedł, przynosząc złe wieści.

— Siadaj, kapitanie. Mów, co cię sprowadza.

— Cesarzowa oczywiście. Nie mogę tak dłużej. Nie chce współpracować. Robi, co chce i kiedy chce.

— Taka praca.

— To rozumiem. Pamiętam, jaki był Johannes. Ale on nie był taki jak ona. Bez względu na to, co się wydarzy, to nigdy nie jest jej wina... To właściwie też jest częścią tej roboty, prawda?

— Przeważnie tak.

— Iw tym tkwi problem. Wpada w te swoje wisielcze nastroje. Chyba najgorsze od śmierci księcia i pogrzebu. Próbowaliśmy wszystkiego. Tyłek mnie boli od zabierania jej na przejażdżki. To działa najlepiej. Uwielbia sobie pogalopować. Jednak nie tym razem. Jestem przerażony, że zrobi coś sobie albo doprowadzi do jakiegoś skandalu.

— A cóż ja mogę pomóc?

— Nie wiem. Ona mnie nie słucha, kiedy ma te swoje napady. Czasami słucha jednak ciebie.

— Naprawdę? Chyba coś przeoczyłem.

— Powiedziałem „czasami”.

— Niezły numer z tej naszej Cesarzowej.

— To raczej przestraszona dziewczyna. Pozwala, by powodowały nią dziecinne emocje. Te jej czarne nastroje... Są coraz gorsze. Może wywołać problemy, z których się nie podniesiemy. Coś o wiele większego niż zaatakowanie zaprzyjaźnionego imperium albo wypowiedzenie wojny Kościołowi.

— Ciekawe.

— Nie toczymy wojny z Kościołem, kapitanie, tylko z Łagodnym. Może tego nie widać, ale różnica jest kolosalna.

— Łagodny wierzy, że to on jest Kościołem.

— To typowa wada wszystkich Patriarchów. A co chciałbyś, żebym zrobił z naszą krnąbrną panią? Jestem wynajętym wojownikiem, który i tak już przekroczył swoje kompetencje.

— Nie wiem. Mówiłem, że ona cię czasami słucha. Miałem nadzieję, że mnie jakoś natchniesz.

— Kapitanie, tak wielkiej wyobraźni to ja nie mam. Jakoś umknęła mi magiczna wiedza, by wszystko korygować. Żałuję, że nie wytrzymała nieco dłużej w dobrym zdrowiu. Niedobrze, kiedy twój pracodawca traci zmysły w połowie kampanii.

— Pamiętaj, że ostrzegałem. Ona może zacząć się zachowywać naprawdę dziwnie.

— Zastanowię się nad tym. Obiecuję. A teraz muszę wydać rozkaz wymarszu.

Ephrian zrobił urażoną minę, ale nic nie powiedział. Wiedział, że atak Prawowiernych na Brothe nie ma najmniejszego sensu. Miasto było zbyt wielkie. I nawet bardzo nie lubiany Patriarcha miał tam niemal nieograniczone możliwości.

Znalazł siedemnaście tysięcy zbrojnych gotowych ruszyć na Cienie.

Hecht tak naprawdę chciał stać się siłą, której nie można było zignorować do czasu, aż zbierze się potęga Imperium. Chciał się stać symbolem dla wszystkich Brotheńczyków niezadowolonych ze swego Patriarchy. Nadzieją we mgle.

Ciężar walk podejmą armie stacjonujące za górami Jago.

W całej Firaldii toczyły się mniejsze lub większe potyczki. Bez względu na polityczną zależność poszczególnych miast, księstw czy królestw, niektórzy obywatele bądź poddani byli przeciwnego zdania i byli gotowi zaznaczyć swoje stanowisko. Wszczynano też zamieszki nawet w Mieście

Ojczystym, gdzie przerażony senat przegłosował przekazanie dużych środków dla Miejskiego Regimentu.

Łata skąpstwa uczyniły z tych oddziałów siłę wręcz symboliczną.

Prawowierni brali udział w potyczkach. Łagodny miał swoich popleczników. Ale po Cieniach nie można było znaleźć żołnierzy gotowych stawić czoło Prawowiernym.

Przesądny lud przekonywał się, że Cesarzowa Katrin i jej Wódz Prawowiernych uciekli się do pomocy cesarzy. Cienie były świadkiem największej rzezi w Firaldii od czasów upadku Starego Imperium. Ci, którzy byli najlepiej poinformowani, czyli ci, co przeżyli bitwę, mówili wszystkim, że nie było tam żadnych cesarzy. I to — tam gdzie zyskali posłuch — przerażało ludzi jeszcze bardziej niż gadanie o cesarzach.

Szczególnie przerażające było wykorzystanie zmasowanych machin zniszczenia. Hakownice odarły walkę z kunsztu i honoru. Tak naprawdę oznaczało to, że wysoko urodzeni przekonali się, że grozi im takie samo niebezpieczeństwo jak najbiedniejszym ludziom z gminu, ciurom zbrojnym w okute kije i tyle samo wartym.

Hakownice nie sprawdzały, kim był twój ojciec. Hakownice nie brały dobrze urodzonych do niewoli dla okupu. Co gorsza, mógł je obsługiwać każdy niepiśmienny chłopski syn po kilku godzinach szkolenia.

Taka machina mogła powstać wyłącznie w mrocznym umyśle Przeciwnika.

Prawowierni byli już w trasie, kiedy przyszła wiadomość, że Patriarcha wspomagany przez topniejącą fakcję Kolegium wydał bullę określającą broń prochową jako dzieło Przeciwnika. Żaden prawdziwy chaldaranin nie miał prawa jej używać. Cała broń prochowa miała zostać natychmiast zniszczona.

Hecht siedział na furgonie, kiedy zbliżali się do posiadłości Bruglionich, na południowy wschód od Brothe. Posłaniec nie zauważył go. Kiedy wrócił do sztabu, słyszał, jak pokpiwają z Patriarchy.

— Co się dzieje?

— Posłuchaj tylko tego. — Rivademar Vircondelet czytał bullę.

— Obecnie w całym chaldarańskim świecie ludzie przekłęci posiadaniem tych wytworów zła całkowicie ignorują postanowienia Łagodnego.

Natomiast dowiedziawszy się o całej sprawie w Ceniach, natychmiast szukają innych dostawców niż Krulik i Sneigon.

— Nie wątpię. Taka jest ludzka natura.

Inni Patriarchowie próbowali już zakazać używania tej broni. Pozostała jednak w powszechnym użyciu.

Wódz Prawowiernych wraz z kilkoma porucznikami, którzy czuli się bardzo nieswojo z powodu przebywającej wśród nich Cesarzowej, weszli do willi Bruglionich. Była to klasyczna budowla z kolumnami z piaskowca oraz dachem krytym czerwoną dachówką, przycupnięta na skraju wielkich łąk, na tyle blisko Brothe, że widać było paskudne powietrze unoszące się nad miastem. Fragmenty willi pochodziły jeszcze z czasów Starego Imperium. Bruglioni utrzymywali, że została zbudowana przez jedną z cesarskich rodzin przed pojawieniem się Aarona z Chaldaru. Odegrała swoją rolę w kilku ważnych wydarzeniach historycznych.

— I wygląda na to, że stara rudera znów się na coś przyda — burknął Paludan.

Poruszał się w fotelu na kołach i było mu to pisane do grobowej deski. Mistrzowie uzdrowicielskiej magii mogli jedynie uśmierzać jego ból. Gerwazy Saluda był również przykuty do fotela, ale miał nadzieję, że odzyska sprawność i będzie się poruszał o protezie.

— Słyszałem powiedzenie, że żaden dobry uczynek nie obejdzie się bez kary. Myślę, że to jest nasza kara za to, że daliśmy się wtedy namówić Arnienie, by dać ci pracę.

— Masz rację. Ale dostałeś, za coś zapłacił. To tylko sposób Katrin na naznaczenie ciebie.

Wszyscy przedstawiciele Pięciu Rodzin, którzy wymknęli się do Cieni, byli obecnie gośćmi w posiadłości Bruglionich. Łagodny wkrótce dostanie pełny raport w ich sprawie.

— My wcale nie szukamy guza — oznajmił Hecht. — My po prostu chcemy wzniecić płomień niepokojów. Uważamy, że o wiele poważniejszym problemem jest siedzenie tutaj z bronią przy nodze niż wdawanie się w awanturę, którą prawdopodobnie byśmy przegrali.

Hecht uświadomił sobie już wcześniej, że wzmocnione baterią hakownic wojsko nie jest agresywną czy też szybką formacją. Armia tam, w Ceniach, miała wielkie szczęście. Była to armia defensywna.

Przy wszystkich posiłkach, które zjawiły się w ciągu kilku dni, siły Hechta liczyły mniej niż tysiąc zbrojnych. Tysiąc weteranów biorących udział w firdzkich potyczkach można było uznać za dużą siłę, ale w tym podboju, przeciwko temu przeciwnikowi — już nie.

Ku wielkiej konsternacji Paludana i Saludy Hecht zaczął się przygotowywać do obrony posiadłości. Rhuk i Prosek ustawili broń tak, by napastnicy pozałowali, że się tu w ogóle zbliżyli. Sedlakova i Zgoda przemierzali okolicę, szukając strumieni z okrągłymi otoczkami o wielkości i twardości właściwej, by ich użyć jako amunicji. Szukali też gliniastej gleby, którą można by było wypełnić pustą przestrzeń między otoczkami w lufie.

Rivademar Vircondelet poprowadził konne patrole w stronę Miasta Ojczystego, żeby obserwatorzy mogli zauważyć zbliżające się imperialne proporce.

Łagodny zamknął najbliższe bramy i nie kwestionował obecności wroga w pobliżu.

Cloven Februaren obudził Hechta w środku nocy. Towarzyszyła mu Lila zdjeta nieśmiałą dumą, że posiada wystarczającą wiedzę o Konstrukcie, by móc odbyć tę dziwną podróż. Milczała. Bez wątpienia przykazano jej, by trzymała buzię na kłódkę.

— Piper, Łagodny zupełnie oszalał — wyszeptał Dziewiąty Nieznany. — Jego oddziały przeczesują Brothe i aresztują wszystkich, którzy się im nie spodobają. Castella zawarła swoje podwoje. Pięć Rodzin się szykuje, bo zaatakował wczoraj cytadelę Bruglionich. Czy też zgłiszcza cytadeli.

— Gerwazy i Paludan nie będą zadowoleni. — Choć ich posiadłość I tak zmieniła się w niedającą się bronić ruinę.

— I mina zrzednie im jeszcze bardziej po tym, jak usłyszą, że wielu zginęło. Ich ludzie stawili opór.

Obserwował, jak Lila porusza się wolno, niemal jak zjawa.

— Anna musi porządnie nakarmić to dziecko.

— Anna i dziewczęta nie odżywiają się teraz za dobrze.

— Co takiego?

— Muno pozwolił Addamowi Haufowi przenieść je do Castelli. Z powodu Łagodnego.

— Naprawdę postradał zmysły? On doskonale potrafi udawać, że robi coś, gdy tymczasem knuje zupełnie co innego.

— Może i jest całkowicie zdrowy i zręcznie udaje słabość umysłu. Ale jakoś nie wierzę, że zajmowałyby się takimi głupstwami. Wkrótce ruszy na Delariego. Imperialne oddziały wlewają się do północnej Firaldii. Może twoi przyjaciele za długo pozostawali w Connec. Teraz będzie musiał walczyć z armią Imperium. I teraz, kiedy Łagodny będzie modlił się o przybycie Ghorta, imperialna armia z Alamedinne i Calziru zbliży się od południa.

— Więc Anna i dzieci są bezpieczne?

— Anna i dziewczynki. Zauważ, że nie powiedziałem niczego o chłopcu. Upartym łobuziaku.

— Lila?

— Tak? — Dziewczynka niemal płynęła do niego, jakby tylko muskała podłogę palcami u stóp.

— Co Pella nawywijał?

— Zaczął się nudzić. Dał nogę. To było, kiedy jeszcze mieszkaliśmy u dziadka Delariego. Może wrócił do Sonsy sprawdzić, co z jego siostrą.

Hecht zaklął.

— A czego się spodziewałeś? — zapytał Februaren. — Chłopak wcześniej już dawał sobie doskonale radę. Do tego wychowywał się na opowieściach o dzielnym Duarneńczyku, który za młodu opuścił dom rodzinny.

— Mam nadzieję, że nie da się zabić.

— Twoja wyobraźnia nie pozwoliła ci zginąć.

— Jeszcze nie. Ludzie o mniejszym szczęściu dali się zabić za sprawą marzeń.

— Dość. Wkrótce w mieście będzie naprawdę gorąco. Bądź gotów skorzystać z tego.

— Mógłbym skorzystać z twoich szczególnych umiejętności.

— Moje szczególne umiejętności są teraz też mocno ograniczone. Jestem starym człowiekiem, Piper. I nie zamierzam dożyć swych dni, wałęsając się po willi dla bogaczy. Czy wiesz, że oni mają podgrzewaną łaźnię?

— Wiem. Byłem tam. Moi ludzie nie. Już i tak dostatecznie utrudniam życie Bruglionim.

Dziewiąty Nieznany policzył wszystkie szelmostwa, jakich miał zamiar dokonać w ciągu kolejnych kilku dni, powiedział, że ma na oku przynajmniej dwa numery, i zniknął, obracając się bokiem.

— Ej! Zapomniałeś o Liii!

— W porządku. Potrafię sama wrócić. — Dziewczynka na chwilę spojrzała mu w oczy, co najwyraźniej przychodziło jej z dużym trudem. — Jestem w tym dobra. A on chce, żebym coś zrobiła, gdy wróci na północ.

— Ale ty jesteś przecież jeszcze dzieckiem.

— Mam niemal piętnaście lat. Co robiłeś, kiedy miałeś niemal piętnaście lat?

Brał udział w kampanii z sha-lugami. Nie po raz pierwszy zresztą. Ale to było co innego. I tak jedynym argumentem, jaki mu przyszedł do głowy, było to, że jest dziewczynką.

— Zbyt się nami przejmujesz — powiedziała Lila. — Może oprócz Anny. Ona wcześniej żyła pod kloszem. Nie może uwierzyć, że istnieją naprawdę źli ludzie.

To całkowicie wyczerpało resztki odwagi dziewczynki. Już nie patrzyła mu w oczy. Znow poruszyła go jej bladość i ta jej widmowa postać.

— Nie mogę przestać się martwić, Lila. Jesteście moją przybraną rodziną, ale nigdy mnie z wami nie ma.

— Źle się czuję, kiedy się przejmujesz. Nie zasługuję na to. Próbuję. Bardzo usilnie próbuję. Ale zawsze czuję przerażenie na myśl, że utracę to wszystko i będzie tak jak dawniej.

Zrozumiał, dlaczego Februaren sprowadził tu Lilę. Rozpaczliwie potrzebowała ukojenia.

— Nie pozwól, żeby rządziła tobą przeszłość. Robiłaś to, co musiałaś. Teraz to co innego. Bądź tym, kim chcesz być. — Lila znalazła się w przełomowym punkcie życia. Za wszelką cenę chciała być potrzebna, chciała, żeby jej wybaczone. Przy tym wszystkim mogła też wybaczyć samej sobie, że kroczyła piekielnymi ulicami i powróciła. Musiała przyznać przed sobą, że posiada swoją wartość i zasługuje na to, by przeżyć. Mogła zacząć wierzyć, że nie jest już duszą skazaną na potępienie.

Hecht miał ochotę ją przytulić i ukoić, ale obawiał się związanego z tym emocjonalnego ryzyka. Vali dałaby się obłaskawić uściskiem. Vali nie rozumiałaby tego opacznie, bo Vali nie dręczyły demony Liii.

To była ich najdłuższa rozmowa od czasu, kiedy umieścił ją u Anny. Zanim się rozstali, podał Liii list do Anny sugerujący, że niedługo się zobaczą.

Zaczął go świerzbić lewy nadgarstek.

— Lepiej już idź. Coś wisi w powietrzu.

— Tak, czuję to. Dzięki, ojcze.

Uścisnął ją lekko, uważając na ramię, i Lila wyszła.

Swędzenie nadgarstka świadczyło o poważnej ingerencji jakiejś znaczniejszej Delegatury Nocy.

W posiadłości zastosowano zwykłe środki ostrożności, chronili ją też Prawowierni i gwardziści Katrin. Ci ostatni byli szczególnie krzepcy. Ale coś potężnego i srogiego chciało się dostać do środka. Wciąż szukało słabych punktów.

Nie było samo, lecz w towarzystwie dziesiątek pomniejszych stworów Nocy.

Nie udało mu się przebić. Ale Hecht nie wyspał się dobrze. Po śniadaniu i odebraniu porannych raportów zabrał Kaita Rhuka i wyruszył na polowanie.

Delegatura o niezbyt wielkiej randze była skonsternowana, z jaką łatwością Bogobójca odnalazł lisią norę, w której na dzień skrył się jej lokator. Jej konsternacja nie trwała długo.

Kolejnej nocy pojawiły się następne maskary, wszystkie dużo mniejsze i bardziej wystraszone. Weterani biegli w fachu polowań na Delegatury Nocy w Connec wyłapywali je i eksterminowali, jak tylko mogli. Skorzystali z okazji, by niedoświadczonych nauczyć arkanów tej sztuki. Niebawem ich przeżycie mogło zależeć od tej wiedzy.

Hecht robił, co mógł, by tworzyć sprzeczne raporty. Wiedział, że pomimo wszystkich środków ostrożności informacje te dotrą do Łagodnego. Stworzenia Nocy były jak komary. Kiedy człowiek myślał, że wybił już wszystkie, nadciągały nowe chmary.

Cloven Februaren nie wrócił, jak obiecał. W ogóle się nie pojawił. Lila natomiast tak, późnym popołudniem na trzeci dzień po zajęciu posiadłości Bruglionich. Zmaterializowała się za parawanem, który Hecht ustawił u siebie za namową Heris. Lila słuchała wszystkiego bacznie. Ale pojawiła się, kiedy Hecht rozmawiał z Haganem Brokke, który przybył właśnie z siedmioma setkami Prawowiernych i Imperialnych zza Morza Vierańskiego. Titus Zgoda i Rivademar Vircondelet sporządzali notatki.

Lila wyszła zza parawanu, nie oceniwszy sytuacji.

Zgodzie odjęło mowę. Vircondelet skoczył na równe nogi. Nie znał tej dziewczyny. Wysnuł dość pochopne wnioski. Wódz Prawowiernych lubi młode i chude.

Brokke wyglądał na zmieszanego.

Przerażona Lila zamarła.

— To są ważne sprawy, Lila — wykrztusił Hecht. — Idź do drugiego pokoju i poczekaj, aż skończymy.

Była niezwykle bystra. Przeżyła dzięki swojemu rozumowi.

— Tak, ojczy.

Mądra dziewczynka. To i zeznanie Titusa zdusi wszelkie spekulacje w zarodku. No cóż, przynajmniej niektóre.

— Musimy teraz ustalić, jak najlepiej wykorzystać siłę, którą dysponujemy — powiedział Hecht. — Obawiam się, że Cesarzowa będzie nalegała na demonstrację. Nie rozumie, że to, co się stało w Cieniach, to była jednorazowa sprawa.

— Daj im jeden cud, a oni już myślą, że możemy to robić na zawołanie — zadudnił Brokke.

Kharoulke: W bólu

Zły los wzmocnił uchwyt na szyi Wędrowca Wiatru. Wolno i nieuchronnie Delegatura scalała się z terażniejszością, choć wciąż miała na tyle władzy nad potencjalnymi wizjami przyszłości, by dostrzec, że kilka z nich może się obrócić na jego korzyść.

Jego poczucie tego świata jako całości oraz szerokich horyzontów Nocy niezwykle osłabło. Bracia, jego zniechęceni bracia, również nie byli w stanie powrócić. Nie trzeba było wcale całej żółci tych, co ich uwięzili, by nie dopuścić do ich odrodzenia. By się dokonało, wystarczyła ludzka obojętność i upadek Studni Życia.

Leżące w uśpieniu od wieków nasiona zakiełkowały. Ale ich kłacza wyłoniły się podczas srogiej suszy.

Po raz pierwszy w żywocie, który sięgał czasów sprzed pamięci, Delegatura odkryła emocje niepowiązane ściśle z żądzą, głodem, wściekłością i nienawiścią. Kiedy zmarnowała swoją tajemną moc na stworzenie Wybrańca Krey Nocy, a potem kilka nędznych imitacji tej Delegatury zostało zgniecionych jak karaluch, poznała, co to rozpacz. I strach.

Po raz pierwszy od tysiącleci, jeśli nie całych epok czy wręcz eonów, Kharoulke Wędrowiec Wiatru zaczął rozważać możliwość całkowitego, permanentnego i nieuchronnego końca kosmicznej świadomości znanej mu jako Kharoulke Wędrowiec Wiatru.

Żeby tylko skończyło się lato.

Alten Weinberg: Księżniczka Prawowita

Okończoności znów narzuciły imperialny płaszcz na ramiona Hespeth. Katrin, obecnie nazywana skrycie „Szaloną Cesarzową”, była daleko. Uczestniczyła w prywatnej wojence prowadzonej przy pomocy prywatnej armii.

Wieści o śmierci Jaime’a dotarły do Hespeth na drodze z Glimpsz do Alten Weinbergu. Wiedziała, że reakcja Katrin będzie daleka od racjonalnej.

Takie było powszechne oczekiwanie.

Hespeth wróciła do domu i od razu znalazła się pod czujnym okiem lordów i rycerzy, którzy czekali na pozwolenie wyruszenia do Firaldii. Probrotheńscy starcy Katrin stali się niewidzialni. Antypatriarchalnych było widać wszędzie, bo gotowali się do tego, czego chcieli od czasów, gdy Cesarzem był Johannes.

Napięcie nieco zelżało, kiedy nadeszły oficjalne wieści, że Katrin zamierza uwolnić wszystkich od Łagodnego za to, że pozbawił ją męża. Nakazywała wprawić wszystko w ruch, a imperialna machina wojenna zaskoczyła i zaczęła pracować swoim rytmem.

Wszyscy mówili Hespeth, że wspaniale zastępuje Katrin. Od czasu do czasu podpisywała jakiś dekret. Martwiła się o Wodza Prawowiernych. Przejmowała się swoją obsesją na punkcie Wodza Prawowiernych. Martwiło ją również, że Wódz Prawowiernych nie przysłał ani jednego listu od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni.

Zastanawiała się, ile to potrwa, zanim Katrin wybierze jednego spośród zachłannych zalotników, którzy — od czasu, gdy została wdową — zaczęli się już roić niczym czerwie na padlinie zdechłego psa. Modliła się, żeby Katrin szybko ponownie wyszła za mąż.

Pomijając te troski, były to dni przepelnione błogością. Zazwyczaj okrutna polityka odeszła w cień. Wszyscy koncentrowali energię na lżeniu Łagodnego i jego popleczników, na co z całą pewnością zasługiwał. Ludzie z wielu zakątków Imperium ochoczo, bez specjalnego rozkazu, kierowali się na południe, by dołączyć do Wielkiego Księcia w przejmowaniu Brothe. Niektórzy udali się wschodnimi szlakami, by dołączyć do kampanii Lorda Admirala fon Tyre na zalewowej równinie Aco, poniżej wschodniego wybrzeża Firaldii i na wyspach Morza Vierańskiego.

Ci, którzy przejeżdżali przez Alten Weinberg, zatrzymywali się, by złożyć pokłon Księżniczce Prawowitej.

Helspeth zapytała lady Hildę Daedle:

— Zauważyłaś, jacy wszyscy ostatnio są mili? Jakby wystarczyło dać im wojnę poza granicami państwa, żeby przeistoczyli się na powrót w istoty ludzkie.

— Nie chodzi o wojnę, ale o twoją siostrę, pani.

— Słucham?

— Pewnie słyszałaś te pogłoski na temat jej zachowania? Na temat jej zdrowia? Na temat stanu jej umysłu?

Wszystko, co słyszała Helspeth, przechodziło przez sito. Nikt nie chciał przekazywać krępujących informacji.

— Nie. Mów.

— Ona... Nie zachowuje się odpowiedzialnie, kiedy tak jeździ wraz z Prawowiernymi. Wszyscy się boją, że palnie jakieś głupstwo. Albo że szaleństwo...

— Hildo, to do ciebie niepodobne.

— Bo to bardzo delikatna sprawa. I przerażająca. Ale prawda jest taka, że wszyscy myślą, iż niedługo ty zostaniesz Cesarzową, pani. Chyba że Katrin weźmie się w garść.

— Nie sądzę, żebym chciała być Cesarzową.

— Zrzekłabyś się tronu na rzecz ciotki Anies?

Zapadła długa cisza, po której rozległ się pełen napięcia chichot. Anies Ege była niemal stereotypową, zalęknioną odwieczną starą panną.

Odludkiem nawet tu, w Winterhall. Anies trzeba było zamknąć w żeńskim klasztorze trzydzieści lat temu. Ale jej brat Johannes trwał przy niej, choć nie mógł jej przymusić do niczego — ani do małżeństwa, ani do złożenia zakonnych ślubów.

— Myślę, że nie. Wilki rozszarpałyby ją na strzępy. Imperium by upadło.

— No i sama widzisz, pani. Nie ma wyboru. Ach, jest coś.

Jedna z córek damy dworu zbliżyła się pospiesznie.

— Wasza Wysokość. Kapitan Strach prosił mnie, żeby przekazać, że jakiś ważny gość chciałby się z tobą widzieć, pani. Zaleca audiencję, gdy tylko będziesz mogła go przyjąć.

— Czy mówił, kto jest tym ważnym gościem?

— Owszem i Wasza Wysokość będzie uradowana. To Ferris Renfrow, Wasza Wysokość.

Zapadła długa cisza. Ferris Renfrow! Marnotrawny powrócił.

— Doskonale. Powiedz kapitanowi, że tak, od razu w wyciszonej komnacie. Idź! Biegnij! Hildo, proszę, niech przyniosą wino, kawę i przekąski. Oraz kadzidło. Jeśli Renfrow postąpił zgodnie ze swym zwyczajem, to wraca wprost z jakiegoś nieprzyjemnego miejsca i ma na to dowód w postaci tamtejszego zapachu.

Renfrow nie postąpił zgodnie ze swym zwyczajem. Najpierw się wykąpał. Miał na sobie odzienie nie tylko czyste, ale też nowe.

— Gdzieś się podziewał? — zapytała Helspeth niemal na bezdechu. — Czasy są niespokojne. Potrzebujemy cię. — Zagoniła go do wyciszonej komnaty.

— Niestety, księżniczko, jestem tylko jeden. Muszę wybierać, w których ważnych wydarzeniach mam brać udział. Jestem tu, by zameldować. W formie opowieści. To historia epicka. Zabierze nam trochę czasu. Nie możesz przerywać pytaniami ani zadawać pytań, kiedy skończę. Powiem ci, co powinnaś wiedzieć, i tylko tyle. — Spojrzał na lady Hildę. — Ty zamknij dokładnie drzwi. A potem ogłuchnij na chwilę.

Uczył nieznacznego gest. Hilda Daedle stała tak z otwartymi ustami, pocierając uszy. Renfrow wyjął cynowe pudełko z kieszeni. Otworzył je i wytrząsnął z niego pół tuzina ospałych stworzeń przypominających przezroczyste szczypawki ze skrzydłami ważek. Rozproszyły się po wyciszonej sali, obwąchując ściany. Lądowały na nich, wciskając się w

szczeliny, skąd wyciągały ciemnobrązową substancję, która śmierdziała jak zgłiwiały ser.

— Jestem zdumiony — powiedział Ferris Renfrow. — Ktoś musiał majstrować coś przy tych komnatach. Lepiej zacznij notować, kto tu może wchodzić.

Było tak wiele szczelin, że cztery stworzenia Nocy były wyczerpane do cna, zaklejając je. Pozostała dwójka nie miała nawet siły, by dofrunąć do swego pudełka. Renfrow zebrał je i zamknął.

Opowiedział swoją historię. Nie pozwolił sobie przerwać. Nie chciał odpowiedzieć ani na jedno pytanie, kiedy skończył.

— Powiedziałem ci, co powinnaś wiedzieć, pani, a nie to, co chciałabyś wiedzieć. Zbliżamy się do najważniejszego momentu. Nie z powodu tego, co dzieje się w Firaldii, w Skraju Connec, Arnhandzie czy gdziekolwiek indziej, ale z powodu tego, co się dzieje w Nocy. — Większość opowieści dotyczyła jego udziału w planie, by wypuścić uwięzionych bogów, których istnieniu Kościół zawsze zaprzeczał.

— Ale...

— Rządź dobrze, serduszko ty moje. Nie zapominaj o błędach, które popełniała twoja siostra. Unikaj ich. Niech unikanie ich stanie się twoją kolejną pasją.

— Panie!

— Twoje zauroczenie było oczywiste od lat. Kontroluj je. Ten człowiek nie jest tym, kim myślisz, że jest. Nie jest też tym, za kogo ja go zawsze brałem. Może nawet nie jest tym, za którego on sam siebie uważa. Zaraz wyruszam. Potrzebują mnie w Firaldii. Łagodny ma tam sprytnych i śmiertelnie niebezpiecznych ludzi, którzy dla niego pracują. Może bardzo uprzykrzyć życie Wielkiemu Księciu. Ale wrócę. Prawdopodobnie za tydzień.

— Będę czekała z zapartym tchem.

Renfrow aż podskoczył.

— Sarkazm? Hmm. Postaraj się znaleźć dla mnie czas, kiedy się tu zjawię.

— Zawsze. Możliwe, że będę chciała zadać ci parę pytań.

Renfrow uśmiechnął się niepewnie, wziął łyk kawy i wykonał gest w stronę Hildy z Avenge.

— Znow słyszę! — wybuchnęła lady Hilda. Posłała Ferrisowi Renfrowowi posępne spojrzenie, ale ugryzła się w język.

Renfrow pchnął drzwi na oścież, popatrzył wilkiem na tych, którzy próbowali podsłuchiwać.

— Tutaj jest kilka nazwisk, którymi warto by się zainteresować, Wasza Wysokość.

Wkrótce potem Renfrowa nie można było nigdzie znaleźć w Alten Weinbergu, choć było z tuzin takich, co chcieli go dokładnie obszukać.

Osiem dni minęło, zanim Ferris Renfrow pojawił się znowu. Hespeth zabrała go od razu do wyciszonego pokoju, choć tym razem wydawał się mniej skryty. Próbował jedynie ukryć, że przemierzył Firaldię wzdłuż i brał udział w kilku potyczkach, a jego obecność zaważyła na ich wyniku. Naczelnny Wódz sił patriarchalnych był sprytnym łotrem i zwabił, dwukrotnie, Wielkiego Księcia w matnię, tak że siły imperialne mogły zostać zdziesiątkowane. Gdyby nie interwencja heroicznego Ferrisa Renfrowa.

— Połowa Kolegium popleczników Łagodnego jest w to zamieszana — stwierdził.

— Nieczęsto się to zdarzało ostatnio.

— Ostatnio ponad sto lat temu. Ale poglądy ludzi polaryzują się tak samo jak przed schizmą, którą wywołał Patriarchat Viscesment. Twoja siostra zwraca się przeciwko Łagodnemu, wyzwalając mnóstwo skrywanych emocji.

Hespeth popijała herbatę. Nie poleciła służkom, by zaparzyły kawę. Czekala, mając nadzieję, że Renfrow zrozumie, iż łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

— Odwiedziłem armię nadciągającą z południa. Więcej gadania niż to wszystko warte. Sześciuset wygłodniałych żołnierzy, rycerzy, sierżantów, giermków na koniach i pieszych. Z ogonem kilku tysięcy tych, co idą za wojskiem. To doświadczeni wojownicy. Jak dołączą do Wodza Prawowiernych, stworzą groźną fację na południe od Brothe. Zamkną miasto od tamtej strony. Wielki Książę zagrozi je od północy. A Admirał fon Tyre, prawdopodobnie za późno, ale jednak w końcu przekroczy Monte Sismonda i zakleszczy je od wschodu. Szkoda, że te wszystkie kupieckie republiki się nie zaangażują. Mogłyby zablokować Teragi i odciąć Miasto Ojczyste od morza.

— Eee...

— Widziałem Wodza Prawowiernych, choć przypadkowo. Miałem zamiar odwiedzić twoją siostrę. I zrobiłem to. Ale Hecht i jego ludzie nakryli mnie.

— I?

— Najwyraźniej dobrze się ma. Twoja siostra, mówiąc szczerze, wręcz przeciwnie. Jej służki i gwardziści robią, co mogą, praktycznie niemal trzymają ją w niewoli, żeby nie zaszkoziła sobie lub Imperium. Ale oni jedynie reagują na symptomy choroby. Nie leczą jej.

— Katrin miała problemy z zachowaniem od dzieciństwa. Nigdy nie miało to nic wspólnego z tym, co działo się wokół. Po prostu miała swoje humory.

— Jej problem nie polega na tym, że coś jest nie tak z jej głową.

— Co? — Hespeth spojrzała w lewo, bo wydawało się jej, że zauważyła jakiś ruch. Teraz nic nie było widać.

— Ale jest problem. Chodzi o jej mózg, nie duszę czy ducha.

— Jest opętana?

— Sama tak uważa. Ale opętało ją jej własne ciało. Coś w jej wnętrzu szwankuje.

— Czy to choroba, od której się traci zmysły?

— Kilka chorób, mówiąc ściślej. Zatrucie sporyszem to powszechna przypadłość.

— Ale wywołuje to spożywanie zgniłej mąki, prawda?

— To trucizna zawarta w nasionach żyta, które pokryła pleśń. W wypadku Katrin to jej ciało produkuje tę truciznę. Jest to choroba znana w jej rodzinie.

— Czyli ja też mogłabym oszaleć...?

— Ze strony jej matki. Jeden z jej dziadków zmarł na to. Było to spektakularnie długie szaleństwo. Trzymali go w pasach przez szesnaście lat. Jej siostra zmarła na tę samą chorobę w dzieciństwie. Byli też inni, którzy cierpieli na nią. W każdym pokoleniu na setki lat wstecz.

Hespeth dokonała wielkiego przeskoku myślowego.

— Czy ta choroba mogła sprawić, że dzieci Katrin umierały w jej łonie?

— Może i tak. Albo też dwie trudne ciąży wywołały bardziej zjadliwą formę choroby. I do tego zamieszanie polityczne. A w dodatku w takiej postaci, że pojawiły się oskarżenia o zgubną magię.

— Ale... — Znów coś zamajaczyło jej na obrzeżach pola widzenia, ale kiedy się odwróciła, nie dostrzegła niczego.

— Ale Katrin miała tylu wujków. Braci matki. W żadnej z ich rodzin nie było problemów ze zdrowiem psychicznym.

— Na tyle, na ile wiemy. Panowie z Machen trzymali sprawy rodzinne w sekrecie.

— No tak. A więc, biorąc to wszystko pod uwagę, co się zmieniło dla mnie?

— Po pierwsze, musisz wiedzieć, że Katrin przechodzi właśnie okres sporadycznych i łagodnych ataków i wejdzie w fazę, w której choroba zakłóci jej tok myślenia na dłużej. Jeśli nie zostanie zdiagnozowana i nie będzie leczona, Cesarzowa może narobić wiele szkód. Większych i poważniejszych. Jej ostatnie decyzje były całkowicie irracjonalne.

— Ma Wodza Prawowiernych, który nad wszystkim panuje. Co ja mogę zrobić... Nie będę spiskować przeciwko niej.

— Omów to z jej wujami, kiedy będą tędy przejeżdżać w drodze na wojnę. Przywołaj moją osobę jako źródło twoich trosk. Posłuchają. Będą musieli zrozumieć, zanim cokolwiek będzie można z tym zrobić.

— Cholera! Co się tam dzieje? — Hespeth wskazała palcem. Wyczuła ruch i dostrzegła go kątem oka. Coś niczym robak z czarnego dymu zaczęło się wyłaniać ze szczeliny w ścianie przy podłodze na wprost niej.

Renfrow zaklął.

— Uznałem, że ten pokój jest w porządku, bo nie było mnie tylko przez chwilę. To kolejna lekcja, księżniczko. Niczego nie zakładać z góry.

Renfrow uwolnił resztę swoich latających robaków. Doszły już do siebie. Zaatakowały i pożarły robaka z dymu.

— Niczego nie zakładać z góry — powtórzył wstrząśnięty Renfrow.

Bo oto nagle w pokoju pojawił się inny mężczyzna. Cały ubrany na brązowo.

Hespeth wydawało się, że już go kiedyś widziała. Gdzieś w tle, obok Pipera Hechta. Skłonił się nieznacznie, uśmiechnął się rozbawiony i zwrócił do Ferrisa Renfrowa.

— Czas do roboty, bracie Lester. Ty tu sobie, waszmość, się zabawiasz, gdy tymczasem wszyscy inni starzeją się, czekając przy Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

Renfrow wyglądał na wystraszonego, co zadziwiło Hespeth. Ten człowiek musiał być niezwykle srogi, skoro potrafił przestraszyć Ferrisa Renfrowa.

Mężczyzna wyciągnął dłoń.

— Pozwól, bracie Temagat, że ja to uczynię. Twoje metody są zbyt powolne.

Renfrow pozwolił mu się chwycić.

— Licz od dziesięciu do jednego — nakazał intruz. Spojrzał Hespeth prosto w oczy. — Piper zasyła uściski i całuski. — Nagle odwrócił się jakoś tak bokiem wraz z Renfrowem i obaj zniknęli.

Renfrow nie zabrał swoich latających szczypawek. Hespeth oddała im pokój we władanie. Wyszła, zauważając od razu, kto był w pobliżu i kto mógł szpiegować.

Uściski i całuski? Aż się wzdrygnęła. Wspaniałe uczucie. I poczuła się równie głupio jak trzynastoletnia chłopka, której imponowało, że chłopcy ją podrywają, bo zaokrągliła się przez zimę.

Z Brothe do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej

Intensywne życie Clovena Febmarena stało się jeszcze bardziej emocjonujące. Zostawiwszy Pipera Hechta, odwrócił się bokiem i wylądował w domu miejskim Delariego, atakowanym właśnie przez motłoch. Muniera nie było w domu. Pani Creedon też nie. Felske leżała rozciągnięta jak długa na podłodze w głównym holu i krwawiła. Jej męża okładali w pobliżu.

Intruzi zaczęli się rozchodzić po domu, żeby sprawdzić, co można ukraść.

Dziewiąty Nieznany pojawił się tylko przez sekundę, żeby ocenić sytuację. Później zmaterializował się w okolicach domu ze sztyletem, którego ostrze było niewiele szersze niż igła do szycia. Poruszał się szybko. Natarł na nich od tyłu. Rezultaty tego ataku może do pięknych nie należały, ale przynajmniej nie trzeba będzie wiele sprzątać. Żaden nie krwawił obficie.

Mężczyzna w brązach dał pierwszeństwo tym, którzy pragnęli stąd uciec. Wybrał następnie prowodyrów i tych, którzy męczyli nieszczęsnego Turkinga, kiedy już nie było chętnych na rejteradę. Na koniec skupił się na pojedynczych rabusiach.

Miał zamiar złożyć na tyle mocne oświadczenie, żeby nikt o nim nie zapomniał.

Mordował szybko i skutecznie, ale z mniejszym powodzeniem, niż miał zamiar. Zbyt wiele podróży zdezorientowało go. No i niektórzy rabusie zdołali uciec.

Dziewiąty Nieznany dwoił się i troił, aż uspokoił się na tyle, żeby przypomnieć sobie, że zostawił Lilę u Pipera. Jeśli przeniosła się do miejskiego domu...

Ostatni intruz dał dyla. Februaren zajął się poszkodowanymi. Zobaczył, że Felske żyje, jest tylko mocno poturbowana i nieprzytomna, bez ujmy na honorze. Turking był jeszcze bardziej pobity.

Lecznicze umiejętności Februarena były niewielkie, ale robił, co mógł. I martwił się o Muniera i panią Creedon.

Parsknął śmiechem. Może uciekli jak kochankowie.

Prowincjał Delari wrócił na krótko przed wschodem słońca. Nie pytał, co się stało. Było to aż nadto oczywiste. Wpadł w zimną furję, tak srogą, że aż Dziewiąty Nieznany poczuł się nieswojo.

— Spokojnie, Muno.

— Panuję nad sobą. Jestem tak wściekły, że mógłbym gryźć granit, ale panuję. — Toczył wokół wściekłym spojrzeniem. — Musimy zacząć sprzątanie i naprawy. Co z nimi?

— Żyją. I szybko dojdą do siebie, jak sprowadzisz uzdrowiciela. A wiesz, co się stało z panią Creedon?

— Nie. Czasami idzie pomóc konającej matce. Ściągnę uzdrowiciela w mgnieniu oka. A co z Lilą?

— Nie wróciła tutaj. Pomyślałem, że zjawiała się od razu u Anny.

— Upewnij się. Sprawdziłeś wytłumiony pokój?

— Nie. Ratowałem tych dwoje. I przegnałem tych, co chcieli sobie zabrać coś na pamiątkę.

Bronte Doneto miał w zwyczaju oddzielać swoje życie prywatne od życia publicznego i dobrze je chronić. Nie miał żony ani dzieci, ale jak większość wyższych duchownych miał kochankę, mało znaną Carmellę Dometię. Donna Carmella mieszkała w luksusowym domu nieopodal miejskiego domu Doneta. Kariera męża Carmelli wymagała od niego przebywania w zamorskim Hypraxium we Wschodnim Imperium, gdzie do niedawna doglądał handlowych interesów Benedocta. Fortuna uśmiechnęła się do Gondolfa Dometii, kiedy skończyło się bezkrólewie i urząd objął Łagodny. Gondolfo został patriarchalnym ambasadorem w Złotej Bramie. Miał tam pozostać dopóty, dopóki Bronte Doneto zasiadał na patriarchalnym tronie.

Fortuna nie uśmiechała się już tak promiennie do ukochanej Łagodnego. Donna Carmella rzadko go widywała. Wcale nie narzekała z tego powodu. Odznaczała się ograniczonym apetytem na mężczyzn. Doneto ślepy nie był, ale i tak obdarzał ją uczuciem. Była być może jedyną osobą oprócz niego samego, do której pałał miłością.

Donna Carmella miała czteroosobową służbę. Przez większość czasu niewielka dodatkowa komnata gościła jakąś kobietę, która podzielała jej szczególne zamiłowania, choć rzadko tę samą przez dłuższy okres. Namiętne zauroczenia Carmelli Dometii nie trwały długo.

Donna Carmella drżała ze strachu nocą, kiedy musiała wystawić dodatkowe warty z powodu niepokojów w mieście. Jej związek z Patriarchą mógł być nieznany pospólstwu, ale nie stanowił tajemnicy w kręgach Kolegium, w których przebywali wrogowie Łagodnego.

Dodatkowe straże nie pomogły. Śmierć wpadła w odwiedziny.

Sam ją obudził.

Była bardziej zaskoczona niż przerażona. Jej gość był stary, zaniedbany i kruchy. Cuchnął, jakby nie brał kąpieli od wielu tygodni.

— Kto?... co?

— Twój dobry przyjaciel popełnił śmiertelny błąd i to bardzo smutne, piękna pani. Próbował zlecić morderstwo. Porażka nie oczyszcza go z winy. Ja jednak nie będę tak okrutny jak jego wysłannicy.

Błyskawiczny cios wbił wąskie ostrze pod obfitą pierś.

Starzec przechodził z jednego pomieszczenia do drugiego. Nie zostawił nikogo przy życiu. Wiadomość musiała być głośna i bijąca w oczy niczym dźwięk mosiężnej trąby przystawionej do ucha. Zostawił po sobie sześć ciał, dwa zabite psy, dwie martwe papugi i kota. Następnie wywabił myszy i szczury, by dać pełny wyraz swej odrazie. Właśnie wykańczał ostatniego szczura w kuchni, kiedy wyczuł iskrę życia pod podłogą.

Czyżby ktoś się schował w piwnicy?

Nie. Były tam więzione jakieś nieoczekiwane ofiary Bronte'a Doneto. Ludzie o szczególnym znaczeniu dla człowieka, który przyjął infułę. Ludzie, których los chciał trzymać w tajemnicy przed wszystkimi — oprócz niego wiedziała o nich tylko ta wszeteczna kobieta.

Zabójca wiedział, co to żal. Żałował, że zabił tę kobietę, która mogła mu odpowiedzieć na parę pytań, zanim odkrył, że musi je jej zadać.

Dziewiąty Nieznany zmaterializował się wewnątrz głównej jadalni domu miejskiego Delariego.

— Muno! Zobacz, co znalazłem!

Przez cały dzień w domu nie zdołano usunąć wszystkich zniszczeń.

Delari wyszedł z kuchni, szurając stopami, a za nim wyłoniła się pani Creedon. Kucharka poruszała się wolniej niż prowincjał. Śmiertelnie blada, była w głębokim szoku. Groza nie chciała jej wypuścić z objęć.

— Miałem rację. Poszła pomóc matce — powiedział Delari. — Wszyscy wiedzieli, że starsza pani weszła w powolny, długi i bolesny proces konania.

— Ale popatrz, co znalazłem, Muno.

Delari zbliżył się, zmrużonymi oczyma wpatrując się w wynędzniałego, brudnego i słabego towarzysza Februarena.

— Armand? Czy to ty?

— To on, Muno. Zawołaj z powrotem medyka. Mam jeszcze więcej do zabrania. — Odwrócił się bokiem, zostawiając Delariego, by zajął się swym utrzymankiem.

— Pani Creedon, jeśli będzie pani tak miła. Brat Lomas jest z Turkingiem i Felske. Proszę go tu sprowadzić.

Przyglądał się Armandowi. Nie dostrzegł żadnych śladów tortur, ale chłopaka nie karmiono zbyt dobrze i nabawił się kilku schorzeń. Teraz też był chory. Doneto musiał go schwytać w dniu, w którym umarł Hugo Mongoz. To wyjaśniało, dlaczego nie było go widać od tak dawna.

Cloven Februaren pojawił się z kolejnym wyzwoleniecem z domu Donny Carmelli.

— Tego nie znam, Muno. Z całą pewnością będzie miał wiele ciekawych historii do opowiedzenia. Chyba że całkowicie zmysły postradał.

Pani Creedon przybyła z bratem Lomasem. Zakonnik-uzdrowiciel był oburzony stanem zdrowia uwolnionych.

— To jest niewyobrażalne. Któż mógł się poważnie uczynić taką potwornością?

— Ten sam, który zaatakował ten dom — stwierdził Februaren. — Ale ty nie możesz puścić pary z gęby. Zrozumiałeś? Ulecz złamane ciała i serca, jeśli potrafisz, ale o polityce zapomnij. Muno, jest jeszcze jeden. Będziesz zaskoczony.

Mężczyzna w brązach wyszedł z pokoju, zanim obrócił się bokiem. Z powrotem pojawił się w odwrotnej kolejności.

— Ostatni. Nie w tak znów złym stanie jak pozostali.

— Pella?

Minęło kilka dni, nim odkryto śmierć w domu Dometii. Wlatujące i wylatujące przez pozbawione szyb okna na piętrze padlinożerne ptaki oraz bzyczenie much w końcu zwróciło czyjąś uwagę.

Wieści szybko dotarły do Łagodnego.

Zrozpaczony po zniszczeniach swojej wspaniałej miejskiej rezydencji Patriarcha był bardzo słabowity. Wieści go zdruzgotały. Nie robił nic przez trzy dni. A potem zaprzysiął: Jego zemsta będzie miała wymiar epicki, choć nie miał pojęcia, kogo miałyby wziąć na cel.

Sprawca nie krył jakoś szczególnie swej tożsamości. Ale Heris pojawiła się, zanim odkryto potworność w domu Donny Carmelli. Staruszek uważał odkrycie tej masakry za konieczne, zanim głębiej zaciągnie Łagodnego do piekła na ziemi.

Ostarega Nikczemny miał się wykazać jeszcze większą nikczemnością.

Był wieczór. Februaren poświęcił cały długi dzień na rozpoznanie. Mógł powierzyć te informacje Liii, która z kolei przekazałaby je Piperowi.

Cały dzień tropił Pinkusa Ghorta oraz innych graczy na północy. Ghort, opuszczając Connec, ucierpiał z powodu wielu zaciekłych ataków partyzantów, a później przedzierał się przez Viscesment, gdzie miejscowi próbowali utrzymać mosty. Przekonali się, że Pinkus Ghort wie, jak skutecznie używać nowych hakownic. Zostawił Viscesment w płomieniach, a jego ulice usłane trupami.

Ghort przejeżdżał przez Ormienden i Dromedan na nadbrzeżnych wzgórzach, zbierając patriarchalne garnizony, a następnie natrafił na oddziały imperialne nieopodal Alicei. Wywiązała się walka. Imperialni wycofali się, ale jedynie do czasu nadejścia posiłków.

Wielki Książę Hilandle, kierując się planami ustalonymi jeszcze przez Johanna Czarne Buty, po wyjściu z przełęczy Remyne pomaszerował przez północną Firaldię na zachód. Planował zbliżyć się do Brothe wzdłuż Zachodniej Drogi. Dołączył do miejscowych imperialnych nękających Naczelnego Wodza i zmusił go, by zawrócił i walczył.

Bezpośrednie walki były sporadyczne. Obie strony swobodnie używały nowych hakownic. Imperialni rzucili niespodziewanie jakieś nowe czary, kiedy dołączył do nich Ferris Renfrow.

Po drugiej stronie Pinkus Ghort, który miał ponoć robić bokami, zademonstrował niezwykle błyskotliwy manewr konnicy. Jego lekka konnica neutralizowała imperialnych rycerzy, nadgryzając ich flanki i zagrażając imperialnemu orszakowi.

W całym tym manewrze starcie było jednorazowe. Straty były niewielkie. Obu dowódców zadziwiła znajomość rzeczy drugiego. Należało przewyciężyć uprzedzenia.

W ogólnym rozrachunku to Naczelny Wódz Pinkus Ghort zdobył palmę pierwszeństwa. Wyprowadził swoje siły z matni. Wielki Książę nie miał ochoty rzucać się w bezładną pogoń.

Tak właśnie wyglądała sytuacja, kiedy w poszukiwaniu porządnego posiłku i snu Dziewiąty Nieznany wrócił do miejskiego domu Delariego. Zastał w nim Heris.

— Heris, dziewczyno, wyglądasz starzej.

Miał ochotę odgryźć sobie język. Wyszarpać sobie jego ostrą krawędź. Nie mówi się czegoś takiego nawet kobiecie, która jest niewolnicą próżności w dużo mniejszym stopniu niż reszta jej gatunku. Ale była to prawda. Różnica czasowa między śródziem i Dziedziną Bogów sprawiła, że Heris była wyraźnie dojrzała.

Musiała się też przebrać w świeże odzienie.

— Dziękuję ci, Po Dwakroć Wielki. Sam też dobrze wyglądasz.

— Wyglądam jak odgrzewana śmierć. Moje życie to piekło na kółkach. Ani chwili wytchnienia. Spodziewam się, że twoje pojawienie się oznacza, iż będzie jeszcze gorzej.

— Aelen Kofer ściągnęli nowe hakownice. Wypełnili też inne zadania. Czekamy teraz na ciebie i Bastarda.

Staruszek spojrział na prowincjała. Delari wzruszył ramionami bez słowa.

— Domagam się porządnego posiłku, smacznego snu, a potem kolejnego porządnego posiłku, Muno. Jak twoi goście?

— Do wyciszonego pokoju.

— Jasne. No dobrze. — Heris nie słyszała tej opowieści. — Po kolacji. Zjadłbym konia z kopytami. Czy pani Creedon jeszcze może...?

— I to jak. Zniszczono jej kuchnię, jej nic się nie stało. Prawdziwa rozpacz, że będziemy musieli poradzić sobie bez Turkinga i Felske.

Ta część historii, jak spostrzegł Februaren, była Heris znana. I niczego w niej nie trzeba było chronić przed uszami ciekawskich.

Pobyt w wyciszonym pokoju trwał krótko. Delari podał Heris szczegóły napaści.

— Musieli mnie obserwować od dłuższego czasu. Niestety mam swoje nawyki. Pani Creedon nie. Jej nieobecność w czasie napadu była czystym przypadkiem, ale szczęśliwym dla niej.

— Wspomniałeś coś o gościach — odezwała się Heris. — I dlatego tu weszliśmy, tak?

— Uratowałem trzech więźniów z piwnicy tej Dometii — wyjaśnił Dziewiąty Nieznany. — Zostawiłem jeszcze dwóch, którzy nie umarli na tyle dawno, żeby zostały z nich tylko szkielety. Nie byli obrabowani. Należeli do Bractwa Wojny. Muno uważa, że byli Łowcami Czarownic, których Bronte Doneto uznał za niebezpiecznych świadków. Możliwe, że ostatnimi ludźmi, poza Donetem, którzy wiedzieli, co się wtedy wyrabiało w katakumbach. Łatwo zgadnąć, dlaczego kazał zamknąć tam twojego utrzymanka, Armanda, i Pellę...

— Pellę? Naszego Pellę?

— Tego samego. W końcu się wyrwał i proszę, przygoda czekała na niego tuż za rogiem. Teraz powinien być bardziej posłuszny. Jeśli ma przynajmniej rozum, jakim Bóg obdarzył ropuchę. To czysty przypadek, że wciąż tam nie siedzi. — Februaren zastanawiał się. — Ciekawy jestem... myślicie, że lekcja byłaby skuteczniejsza, gdybym zostawił go tam, żeby ktoś go odnalazł, po tym jak odkryli ciała? Miałoby to też szeroki oddźwięk polityczny.

— Ale przecież znajdą martwych Łowców, prawda? — zapytała Heris.

— Ubolewam nad zdolnościami przyswajania wiedzy przez tego chłopca. Jednak dochodzi do siebie. Pozostali nie czują się tak dobrze. Być może przebywali tam za długo.

— Patriarcha miał zamiar odegrać się na Piperze i dziadku, porywając Pellę i Armanda? — Heris nie mogła w to wciąż uwierzyć.

— Myślę, że głównie na twoim bracie — odparł Delari. — Armand to kolejny agent Dreangerów, który zjawił się przed Piperem. Znali się.

Armand mógł powiedzieć coś, czego nie powinien mówić, i Doneto zachował go sobie na odpowiedni moment.

— Pella mówi, że go nie torturowano — powiedział Februaren. — Nie wie, jak z innymi. Był tam tylko kilka dni, bo Łagodny robił w tym czasie wszystko, by ocalić swój tyłek.

Heris siedziała w milczeniu, przetrawiając wszystkie informacje. Mijały minuty. W końcu powiedziała:

— Czy mamy zamiar powiadomić Łagodnego, że nie pochwalamy jego zachowania?

Nawet Februaren był wystraszony.

— Dziewczyno moja! Nie uważasz, że to, co się zdarzyło Donnie Carmelli, powinno wystarczyć?

— O, tak. Jak sądzę. Czy naprawdę była dla niego aż tak ważna? Diabła tam. Nieważne. Przyjrzymy się dokładnie, kiedy skończymy w Dziedzinie Bogów. Muszę się wyspać w wygodnym łóżku i zjeść dobre śniadanie.

Bronte Doneto, zostając Patriarchą, nie przeniósł swego domostwa do Krois. Żaden Patriarcha tego nie robił. Komnaty Patriarchy w tej wielkiej fortecy były jedną z tajemnic tego urzędu. Tak jak wszyscy Patriarchowie, Doneto zostawił swój dom pod opieką zaufanych krewnych i założył tam potężne zaklęcia ochronne.

Tuż przed świtem jakaś owinięta w płaszcz postać zmaterializowała się w korytarzu przed pokojem, którego Bronte Doneto używał do pracy i miejsca odpoczynku, trzymał tam też swoje najcenniejsze rzeczy, włącznie z wielką kolekcją rzadkich win i spirytualiów. Gabinet był chroniony przez równie duży zestaw zabójczych czarów. Wszystko, co żywe, po wejściu do tego pomieszczenia ginęło śmiercią gwałtowną. Linie śmierci widać było na podłodze usianej trupami owadów.

Postać w płaszczu miała ze sobą niewielki antałek. Wraz z zawartością ważył piętnaście kilo. Z jednego końca sterczał długi na ćwierć metra, wolno tłący się lont. Postać położyła antałek na boku i stopą pchnęła go, by przetoczył się przez zabójczy korytarz. Baryłka podskakiwała i zmieniała kierunek, ale zatrzymała się przy nodze bogato zdobionego krzesła.

Postać w płaszczu zniknęła.

Na wschodzie zamajaczyły pierwsze zwiastuny światła dziennego. Eksplozja wyrwała dziurę w południowej ścianie trzeciego piętra miejskiego domu Doneta. Kawałki szarego kamienia rozprysły się na prawie sto metrów wokół. W ciszy, jaka zapadła po eksplozji, cały budynek zaczął skrzypieć i jęczeć. Nagle reszta północnej fasady poddała się urokowi przyciągania ziemskiego.

W środku buchnęły płomienie.

Całą okolicę zdjęła panika. Z okolicznych domów zaczęli się wylewać ochotnicy gotowi rozpocząć akcję ratowniczą. Pożary były przekleństwem wszystkich starych miast.

Ten pożar walczył ile sił, ale nie udało mu się przetrwać i rozprzestrzenić.

Heris i Dziewiąty Nieznany pojawili się przy przystani w Dziedzinie Bogów. Najpierw pojawił się Dziewiąty Nieznany, później Heris, choć Februaren opuścił dom miejski Delariego dwadzieścia minut wcześniej.

— Chyba wiem, czemu dzisiejszego ranka wyglądasz na tak wymęczoną, dziewczyno.

— Odwykłam od miękkich piernatów.

— Och. Ktoś dostał się zeszłej nocy do patriarchalnych magazynów w Krois. Zginęła baryłka prochu, a było ich tam sześć.

— Zastanawiające. Po co ktoś miałby robić coś takiego?

— leż mnie to gryzie. Ale później eksplozja zerwała całą północną fasadę z domu Bronte'a Doneto.

— Niezwykłe. Nikt bardziej niż on nie zasługiwał na coś takiego. I proszę, oto komitet powitalny.

W ich stronę szli Żelaznooki i Asgrimmur Grimmsson.

Widać było też tuzin innych krasnoludów zatopionych w ciężkiej pracy.

— Żelaznooki, myślałem, że mamy wydostać stąd twoich, zanim otworzymy bramę — powiedział Cloven Februaren.

— I wydostaniemy. Tymczasem wciąż pracujemy, żeby wszystko poszło gładko. Heris, wszystko jest gotowe, tak jak chciałaś.

— Nawet włócznia?

— Dwanaście włóczni. Dwie formuły. Spojone tą samą magią, która trzyma tęczowy most.

— Korban, mogłabym cię ucałować.

— No to szybko, póki moja kobieta nie widzi.

— To piękne, Korban. Skończenie piękne. Jesteś geniuszem. Teraz muszę tylko znaleźć sposób, żeby tam to wszystko zataszczyć.

Jarneyn naprawdę do niej mrugnął.

— Nie ma sprawy. To Andoray. Serce dziedziny rządzonej przez Dawnych Bogów. Aelen Kofer mogą się pojawiać wszędzie, gdzie chcą, w Andoray. I zrobiliśmy to. Maszyny są na miejscu. Włócznie gotowe.

— Co tu się dzieje, Heris? — zapytał Februaren.

— Miałam mnóstwo czasu, kiedy czekaliśmy ma moje hakownice. Wymyśliłam sposób, by zmniejszyć siłę Wędrowca Wiatru.

Żelaznooki parsknął. Podobało mu się to. Z całą pewnością.

Februaren zmarszczył brwi. Ta dziewczyna knuła coś złego. Znów.

Żelaznooki był coraz bardziej rozbawiony.

Dominujący zdawał się równie dobrze bawić.

Grimsson najwyraźniej złożył śluby milczenia. Stał tylko z głupkowskim wyrazem twarzy.

— A gdzie jest Bastard? — zapytała Heris. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapytała ostrym tonem: — Czy ktoś w ogóle pomyślał, żeby zawiadomić go, że jesteśmy gotowi?

— Trudno na niego trafić — rzucił Żelaznooki — jak się jest niską, szeroką i włochatą osobą, która ma trudności językowe. A Asgrimmura to najpewniej od razu by zaatakowali.

— Asgrimmur, gdyby się tylko postarał, mógłby wejść do sali tronowej Imperium Graala pod jakąkolwiek postacią. Ja natomiast wyczuwam tutaj wielką, dymiącą kupę lenistwa. Po Dwakroć Wielki i ja nie powinniśmy wszystkiego robić sami.

Żelaznooki tylko popatrzył dobrotliwie.

— Masz ten swój niewyparzony języczek, dziewczyno — rzucił Februaren. — Przepraszam, Żelaznooki. Kiedy coś jej nie leży, ma ten paskudny dar trafiania w sedno.

— Przywykłem.

— Bastard nie został powiadomiony?

— Nie wiemy. Próbowaliśmy. Mam przecucie, że nas ignoruje.

— To się jeszcze zobaczy. — Februaren stanął twarzą do wody. — Zawieźcie mnie na zewnątrz. Chwyć drania za ten jego pokręcony świński ogonek i przyciągnę go z powrotem.

— Twoja pewność siebie nie przestaje mnie zadziwiać, Po Dwakroć Wielki — rzuciła Heris.

— Przypilnujcie tylko, żeby wszystko było pod parą.

Cloven Februaren zniknął. Heris zabrała Żelaznookiego i Grimmsona i spoiła ich najlepszym ciemnym piwem w tawernie Aelen Kofer.

— No to jak myślicie? Powinniśmy dalej to żłopać? A może lepiej spróbować wykorzystać moją metodę?

— Ja jestem gotów — stwierdził dominujący.

Żelaznooki przyglądał się Asgrimmurowi z tajemniczą miną, po czym spojrzał na Heris.

— Moje młode byczki byłyby chętne. Ale trzeba je zawołać i przeskolić. Będą musiały wrócić do naszego świata, by się przenieść.

— A może by ich przeskolić po drodze?

— Nie. Wolimy zachować nasz świat dla siebie. Ty rób sobie te sztuczki z odwracaniem się.

— To zajmuje więcej czasu — burknęła Heris.

— Wszystko zajmuje czas — skontrował Jarneyn. — To jest przekleństwo śmiertelników. — Skierował się w stronę barki, która wciąż skrywała portal do świata Aelen Kofer.

— A więc, co robimy? — Gdyby Heris wiedziała, że będzie jeszcze więcej czekania, zostałaaby w Brothe. Mogłaby tam nieźle jeszcze namieszać. A potem spać w wygodnym łóżku.

— Możemy sprawdzić, co zrobili w Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

Heris zupełnie przestała się obawiać spacerów po tęczowym moście. Przeszła po nim, jakby stąpała po solidnej granitowej płycie. Bez konkretnego powodu zaszła do martwego sadu. Nie była tu od pierwszej wizyty. Przeszła przez zwalony mur.

— Asgrimmur?

— Co?

— Popatrz na to. Czy to jest to, o czym myślę?

W miejscu, w którym miała wizję z piękną blondynką sadzącą złote jabłka, wyrastał piętnastocentymetrowy pęd. Nie był okazem zdrowia — blady, zielonkawo-żółty.

Dominujący prawie nie oddychał.

— Tak sędę. Ale nie wchłonał wiele magii. Może nie przeżyć.

Heris wpatrywała się w niego. Pomyślała, że i pęd jest świadomy jej obecności.

Bogowie będą potrzebowali swych złotych jabłek po uwolnieniu.

— Asgrimmur, w naszych planach i przygotowaniach nie uwzględniliśmy jabłek.

Dominujący zastanowił się nad tym przelotnie.

— Nie uwzględniliśmy, no tak.

— Jak mogą być mocni, gdy ich uwolnimy? Jak długo mogą wytrzymać bez tych owoców? Bo to drzewo nie wyda jabłek za ludzkiego życia.

— Raczej nigdy. — Odwrócił się ze zwieszonymi ramionami. Wyszedł z ogrodu i poczłapał w stronę wejścia do twierdzy.

O co mu chodziło?

Niczym zawiedziony duch Wędrowca. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że cierpliwość nie wystarcza. Że nie będzie odnowy. Nie będzie ucieczki przed ciałem, w którym był pasażerem niemającym nic do powiedzenia.

Może dałoby się go wyegzorcyzmować? Lubiła obecnego Asgrimmura Grimmssona.

Heris ruszyła za zatopionym w myślach dominującym do hali, w której miał się odbyć powrót. Widać tu było prawdziwą dżunglę kolorów, równie ostrych i szarpiących zmysły jak nieopatrznie ugryziona ostra papryczka. Nigdzie więcej w fortecy nie było kolorów.

Aelen Kofer lampy spalające olejki nasączyli magią, by dać kolor, którym Heris chciała malować i zakreślać kredą linie i znaki dla uczestników, musieli bowiem wiedzieć, gdzie stać i gdzie się przesuwac. Kolory zdobiły podłogę, sufit i ściany. Szlaczki biegły tam i z powrotem, by ludzie nie skierowali się w niewłaściwą bądź niebezpieczną stronę. Sześć hakownic stało wycelowanych w obszar wewnętrznej ściany naznaczony kwadratem w bijącej w oczy czerwieni. Na czerwonym widniały duże czarne kropki. Rzędem przy ścianie wzdłuż dwóch najcięższych hakownic, których kolby oświetlało światło z zewnątrz, stały dwa półmetrowej szerokości stoły na kozłach. Na stołach leżały młoty, dłuta zakończone gwiazdką, miedziane tuby wykładane srebrem, dmuchawy ze srebrnym pyłem, oleje i maści, pasta czosnkowa i wszystko to, co Heris, Jarneyn czy dominujący uznali za niezbędne w takiej sytuacji.

Heris dyskretnie sprawdziła, czy rzeczy wybrane przez dominującego leżą na końcach stołu, jak najdalej od czerwonej farby.

Zaufanie zaufaniem, a ostrożność nie zawadzi. Jak zawsze.

Dominujący najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. A może po prostu nic nie zauważył.

Ale to nie wszystko. Aelen Kofer zakupili srebra wartego w śródziemiu fortunę. Srebro było wszędzie, we wszystkim, we wzorach, które miały spętać Dawnych Bogów i pokierować nimi, jeśli wymknęliby się spod kontroli. Srebro wystawi ich wprost na paszczęki hakownic. Srebro skłoni do poważnej refleksji, zanim zdołają uciec do swego nieszczęsnego świata. Każdy, który się wyzwoli, zostanie sprowadzony do rangi skrzata czy południcy. Potem będą mogli już tylko udać się do dziedziny zmarłych.

Przed wypuszczeniem bogów Żelaznooki miał zasklepić wszystkie wyjścia na zewnątrz. Jedynie ci wewnątrz Dziedziny Bogów będą pokutować.

Ciężkie szklane butle w kształcie łez o płaskim dnie stały blisko pomalowanej ściany. Ich szyjki były wygięte pod kątem prostym i zwężone na tyle, by pasowały do miedzianych tub o srebrnym wnętrzu. Butle były różnej wielkości, od trzech litrów do takich o wielkości łba wieprza. Były to arcydzieła krasnoludzkiego szklarstwa. Grube szkło nosiło ślady lśniącej materii, dymu, szarości i fioletu. Do całości materiału dodano srebrny pył.

Heris miała nadzieję przenieść Dawnych Bogów z jednej niewoli do drugiej, w której miano sporządzić umowy, zanim będą mogli zostać całkowicie uwolnieni.

— Będiesz chciała czegoś więcej? — zapytał dominujący. Był zirytowany, bo straszna z niej była pedantka.

Jego dominujące osobowości miały przeważnie ochotę rozwalać i porywać, a z konsekwencjami radzić sobie po fakcie.

— Jestem pewna, że tak. Liczę na to, że Dawni Bogowie będą zdeorientowani i skołowaceni na tyle, że my, śmiertelnicy, będziemy mogli przejąć kontrolę. — Sprawdziła, jak to rozegrają.

Zbyt wiele zależało od dominującego.

Musiał okiełznać tkwiące w nim Delegatury Nocy. Potem Bastard musiał zrobić to, co powinien zrobić krewny.

Heris nie rozumiała tego fragmentu. Ale wszystkie stare pierniki były zgodne. Nie można było niczego zwojować bez obecności boskiej krwi. To

oni byli obeznani z Nocą. To oni znali wszystkie nadprzyrodzone zasady.
Taką miała nadzieję.

Żelaznooki czekał na przystani z niecierpliwością.

— Dobrze was widzieć... — Nie wyjaśnił, co go tak zirytowało.

— Młodziaki już tam są. Włącznie z moim jedynakiem. Wędrowiec Wiatru stara się wziąć w garść. Wie, że pojawienie się Aelen Kofer oznacza, iż nadchodzi atak. Zawsze tak było. Pomyśli, że Dawni Bogowie są na wolności i zwrócą się do Aelen Kofer, by przygotowali im przedpole. Ale będziecie tylko wy. Pospieszcie się. Nie chcę, żeby zniszczył przyszłość naszego plemienia.

Heris się skrzywiła. Gdyby Jarneyn nie upierał się tak bardzo, by ocalić świat krasnoludów przed zalewem obcych, ona i dominujący już dawno by tam byli.

— A więc stawiać żagle i ciągnąć razem, hej-hooo.

Nikt się nie uśmiechnął.

Wciąż jej powtarzano, że musi popracować nad swoim poczuciem humoru.

Żelaznooki nie marnował czasu, wyprowadzając Heris i Asgrimmura z Dziedziny Bogów.

Dominujący zadrzał, kiedy złapała go przed przejściem. No tak. A więc on również wiedział, co to strach, mimo całej swej siły i mocy.

Po drugiej stronie, gdy zjawili się w tym samym punkcie co poprzednio, Asgrimmur był całkowicie roztrzęsiony. Panowanie nad sobą odzyskał dopiero po kilku minutach.

— Czy te przejścia są naprawdę tak ciężkie? — zapytała Heris. Dla niej były teraz wyłącznie jak mrugnięcie okiem.

— Tak. Za każdym razem gorsze. To było straszne. Czuję się jak w pułapce. Im więcej czasu upływało, tym bardziej byłem pewien, że nigdy stamtąd nie wyjdę.

— W takim razie trzeba będzie to zbadać. No dalej. Możesz mówić, kiedy będziemy przygotowywać zestaw strzelecki.

— A co mam powiedzieć?

— Chcę, żebyś powiedział mi, czego doświadczasz, jasno i wyraźnie. Chcę wiedzieć, dlaczego to się różni od tego, czego ja doświadczam. No popatrz tylko.

W Wędrowcu Wiatru zaszła wielka zmiana. Wielka, rozlazła meduza zniknęła. Bóg zamienił dwie trzecie swojej masy na postać, która koncentrowała siłę i wymagała mniej energii.

Wędrowiec Wiatru przypominał teraz gigantyczną, tłustą ropuszą kijankę, która za chwilę zrzuci resztki ogona.

— Nietrudno to wyjaśnić — powiedział Asgrimmur. — Kiedy przechodzisz na drugą stronę, jesteś istotą ludzką trącającą akord na strunach Nocy. Kiedy zabierasz mnie ze sobą, jakoś moja część wraca do domu. Wygnany i Wędrowiec byli zrodzeni z Nocy. Svavar był tam więziony od stuleci. Teraz zostaje odrzucony, podobnie Wygnany i Wędrowiec, ale z drugiej strony są również przyciągani. I możemy zobaczyć wszystkie istoty żyjące w tym miejscu. Odrażające dusze.

— Dusze? Czy to jest jak piekło? Albo czyściec? A może otchłań?

— Coś jakby otchłań. Dla dusz bogów. Delegatury mają po dwie dusze. Jedną przynoszą do naszego świata, drugą zostawiają w Nocy. Są nią przymocowani. Widzę je, kiedy przechodzimy na drugą stronę.

— Cóż, to brzmi sensownie. — Heris była jakaś rozkojarzona. — Tym razem ma oczy. Patrzy na nas... Padnij!

Ściągnęła dominującego w dół.

Jęzor ropuchy uderzył w miejscu, w którym znajdowali się jeszcze przed chwilą. Heris zmarnowała kilkanaście sekund, zastanawiając się, w jaki sposób wyczuła ruch Kharoulke. Może wielokrotne podróże do tego miejsca wyostrzyły jej zmysły.

— Dlaczego marnuję czas na czczych rozmyślaniach, kiedy ten potwór zamierza...? Wy, Aelen Kofer! Czemu nie strzelacie?

Asgrimmur starał się coś powiedzieć.

— Jasne. Na razie to nieistotne. Chodź. — Złapała go za rękę i szarpnęła dumna z tego, że zapamiętała, która jest prawdziwa. Skierowała się do najbliższej krasnoludzkiej balisty.

Wytworzona przez Aelen Kofer broń była cudownym urządzeniem. Została złożona w miejscu, z którego nie można było ostrzelać Wędrowca Wiatru. Żaden z Aelen Kofer nie przyznał się, że mówi jakimś językiem, którym posługiwała się Heris.

Asgrimmur przerwał jej wywody.

— Nie mogą jej złożyć w linii prostej, bo Delegatura dosięgnie ich swym jęzorem.

Uniesienie Heris prysnęło.

— A więc wszystko na próżno? Czyżbym znów przechytrzyła samą siebie?

— Znów?

— Po raz pierwszy. Co mam teraz robić?

— Idź do drugiej maszyny, która jest poza zasięgiem ropuchy, i zacznij działać. Kiedy Delegatura skupi się na niej, te krasnoludy podniosą swoją maszynę.

— Gadasz na tyle dobrze po krasnoludzku, żeby im to przekazać?

— Rozumiem kontekst. Ale części mnie mówiły tym językiem, kiedy były niezależne.

— Mam cię. Prawdopodobnie trzymanie się z nimi też co nieco pomogło. No tak. No to lecimy. Idziemy do drugiej. Tylko tak dalej, chłopaki. Świetnie wam idzie.

Syn Jarneya zwany Miedziakiem podłapał nieco śródziemskiego firaldzkiego od Heris, Asgrimmura i Dziewiątego Nieznanego. Miedziak dowodził drugą i jeszcze większą maszyną Aelen Kofer.

— Czemu nie strzeliliście jeszcze do tego cholerstwa? — zapytała ostro Heris.

— Rozkazano nam nie zaczynać ostrzału, dopóki nie będziesz na miejscu, żeby sprawdzić efekt każdego strzału.

Heris burknęła coś o tym, że zaczyna rozumieć frustrację swego brata.

— No dobra. To gadaj. Co masz zamiar zrobić, Miedziak? I skąd masz takie imię?

Jego towarzysze zaczęli chichotać. Uwagi Heris nie umknęło, iż doskonale zrozumieli jej pytanie. Później przypomniała sobie, że przecież Aelen Kofer posiadali tajemniczą moc rozumienia wszystkich języków. Kiedy czegoś nie rozumieli, to tylko z rozmysłu.

— Taki kiepski żart — odparł Miedziak. — Kilkaset lat temu palnąłem głupstwo.

— No dobra. Jak będę musiała się dowiedzieć, zapytam Żelaznookiego. A co robicie?

Po części było to oczywiste. Krasnoludy tak mocno kręciły korbą balisty, że aż zazgrzytała w proteście.

— Przy pierwszym strzale prędkość będzie najważniejszym elementem — wyjaśnił jej Miedziak. — Będzie to pocisk, który zmajstrowaliśmy

razem, gdy czekaliśmy. — Gestem dłoni zaprosił ją bliżej maszyny. Był to swego rodzaju łuk z długimi ramionami wykonanymi z walcowanego rogu bestii, która nie występowała w śródziemiu.

Kiedy przestali kręcić korbą, przeszli do amunicji starannie ułożonej na najbardziej płaskim gruncie. Heris naliczyła osiem drągów, każdy o długości ponad czterech metrów. W przekroju miały od siedmiu do piętnastu centymetrów. Wybrali drąg o największej średnicy, wykonany jakby z lodu; przypominał żłobkowaną marmurową kolumnę. Głównia rozszerzała się do szerokości trzydziestu centymetrów na metr od końca i miała od przodu wydrążony stożek głęboki na czterdzieści pięć centymetrów.

— Wygląda mi to jak lód — stwierdziła Heris.

— Bo to jest lód. Starannie zamrożony, a następnie scalony wiązaniami, których użyliśmy w tęczowym moście. Gdyby niebo nie było zachmurzone, dostrzegłabyś, jak pięknie światło odbija się w środku.

— I lód ma zrobić Wędrowcowi Wiatru krzywdę? Przecież to bóg zimy.

— Pocisk nie pozostanie lodem. Impet zmieni lód w gorącą wodę. Kiedy drzewce rozszczepi się na dwadzieścia cieńszych. Delegatura będzie miała dwadzieścia wodnych pocisków wbijających się w ciało. Ból powinien złamać jej koncentrację.

Drąg umieszczono na właściwym miejscu. Aelen Kofer przeszli tam, gdzie mogli zacząć kręcić korbami, kiedy tylko balista wyrzuci pierwszy pocisk.

— To był twój pomysł — stwierdził Miedziak. — My tylko to zmajstrowaliśmy. Bo to właśnie robią Aelen Kofer. Siadaj na tronie i dźgnij ropucha w oko.

Heris pozwoliła się posadzić na fotel na szczycie maszyny, nieco z boku, za lodowym pociskiem.

— Widzisz dwie dębowe dźwignie po prawej stronie? Ta bliżej ciebie to wajcha bezpieczeństwa. Najpierw przesunąć właśnie ją w przód. Kiedy chcesz strzelić, musisz zrobić to samo z drugą. Pamiętaj o właściwej kolejności, lewa dźwignia, prawa, inaczej będziesz miała problem.

— Kapuję. Do przodu bliższą dźwignią, a potem strzelać drugą. — Chwyciła wajchę bezpieczeństwa. Była długa jak rękojeść topora. Skupiła się na Delegaturze, która z kolei wbiła w nią ślepią.

Bóg wiedział, co się święci. Był gotów coś z tym zrobić. Kharoulke był absolutnie skupiony na tej jednej chwili. Całkowicie opuścił Dziedzinę Nocy. Była to walka o przetrwanie. Żadna inna chwila w historii Dziewięciu Światów czy Nocy się nie liczyła. To była *ta* chwila. Być może zarówno dla Delegatury, jak i dla Heris. I poczuła ciężar tego, co tliło się jeszcze w Delegaturze Nocy. Nie powinna była robić tak nikczemnej rzeczy. Była Wybraną...

Poczuła niespodziewany ostry ból w lewym pośladku. Podskoczyła i spojrzała w dół. Miedziak mrugnął do niej.

— Jak masz strzelać, to strzelaj, córo człowiecza. Najpierw lewa, potem prawa.

Heris pchnęła dźwignie. Ten kurdupel z włochatym tyłkiem pożałuje, że to zrobił. Nie patrzyła na Wędrowca Wiatru, dopóki nie szczęknęła dźwignia spustu.

Machiną szarpnęło gwałtownie, kiedy napięty wielki łuk wystrzelił. Trzasnęła targnięta odrzutem tak mocno, że wycisnęła Heris całe powietrze z płuc.

Jęzor boga wystrzelił, by złapać pocisk z lodu. Na mgnienie oka psychiczna przestrzeń wypełniła się mroczną kpina. Bóg odrzuci pocisk. A potem stworzy nową Wybraną.

Drzewce Aelen Kofer musiało się dostosować do praw fizyki panujących w śródziemiu, w tej części świata, w której nie pozostało wiele magii, a bóstwo już i tak zagarnęło swoją część.

Potworna ropucha jęzorem odbiła lecący w jej stronę pocisk. Ale poruszał się zbyt szybko, nabierając takiego pędu, że nie można go było odrzucić na bok. Nie trafił w dziesiątkę. Poza tym zadziałał tak, jak został zaprojektowany. W końcu był to artefakt Aelen Kofer.

Krasnoludy kręciły się wokół maszyny, znów precyzyjnie celując, nakręcając cięciwę i wkładając pocisk.

— Ten to głównie sól — powiedział jej Miedziak. — Pomysł Khorbena. Nie wiem, jaka muza go natchnęła. Sól pomoże jak umarłemu kadzidło. Z drugiej strony wewnątrz soli są żelazne noże. Po zwolnieniu pocisku zaczną się kręcić.

Heris obserwowała, jak kładą pocisk na prowadnicy.

— Najpierw lewa wajcha, potem prawa — przypomniał jej Miedziak.

— Pamiętam.

Machiną nie targnęło tak gwałtownie jak za pierwszym razem. Krasnoludy nie widziały tym razem potrzeby, by strzelać z największą prędkością.

Kiedy cięciwa wróciła na swoje miejsce, Heris zobaczyła, jak druga balista ustawia się na pozycji. Wypuściła swój pierwszy pocisk w pół sekundy po tym, jak ona wystrzeliła swój trzeci, długi drewniany drąg wypełniony tysiącami małych ołowianych strzałek, z których każda miała końcówkę z żelaznych kolców lub srebrną główkę. Ołów miał się rozdzielić. Kolczaste główki były lekko zakrzywione. Leciały po łuku i wbijały się w boskie ciało.

Drewno odpadło w locie. Drobne pociski uderzyły w Wędrowca Wiatru szeroką chmurą.

Drzewce w drugiej maszynie było tego samego typu.

Tysiące wrzodów i krost wykwitło na skórze wielkiej ropuchy. Bóg zafalował gwałtownie, a większość jego cielska przetoczyła się po zaplamionych, oślizłych kamieniach. Wrzask zarówno fizyczny, jaki i psychiczny zmroził napastników. Przez pół minuty Heris nie była w stanie zebrać myśli.

Drżała na całym ciele, musiała wziąć się w garść. Na dole Kharoulke desperacko próbował zrobić to samo. Jego gwałtowne falowanie sprawiło, że zaczął się ześlizgiwać. Jego tylne łapy i ogon znalazły się po części w wodzie. Jakiś szary, ohydny opar buchnął z cielska boga w miejscach, w których zniknęły strzałki.

Krzyk zdawał się trwać bez końca.

Uwijając się jak marynarze w szkwale i przy przeciążeniu, Aelen Kofer znów gotowali maszynę do strzału.

— Może któryś z was ma ochotę? — krzyknęła z góry Heris.

— Nie możemy tego robić — zadudnił Miedziak. — Jesteśmy Aelen Kofer. Nie wolno nam. My tylko wytwarzamy przedmioty i wyjaśniamy, jak działają.

Heris pomyślała, że to twierdzenie można sobie włożyć w zadek męskiej rogacizny. Aelen Kofer potrafili działać i działali, kiedy wiedzieli, że im to ujdzie płazem. Cokolwiek by to było.

Miedziak zabezpieczał się. Lawirował. Pilnował, by mogli wyprzeć się wszelkiej odpowiedzialności. Mimo iż przyłożyli genialną rękę Aelen Kofer do tego morderstwa.

Od tego momentu walka zmieniała się w egzekucję. Wędrowiec Wiatru był zbyt słaby. Nie mógł nic zrobić, przyjmował tylko cięgi i miał nadzieję, że to przeżyje. Oraz że jego wrogowie nie ściągną na niego nic innego, zanim przyjdzie zima.

Ale zima miała przyjść. Zima przyniesie ocalenie. Nadchodząca zima będzie najsrozsza w całej epoce. Ten świat nie wyłoni się ponownie po kolejnej zimie.

— Zwolnijmy nieco — powiedziała Heris. — Pozwólmy, by każdy pocisk kończył swe dzieło, zanim wypuścimy kolejny.

Kłęby oparu wydobywające się z cielska Wędrowca Wiatru zmieniły się w całe strumienie. Utworzyły chmurę wokół potwora. Heris chciała, żeby chmura opadła.

Zeszła rozprostować nogi.

— No i co pan powie? — zapytała dominującego. Zerknęła na słońce. Dzień się kończył. Mogło im nie wystarczyć światła, by to dokończyć.

— Nie czuję się najlepiej — stwierdził Asgrimmur.

— Co takiego?

— Nie byłem taki chory od czasu, kiedy przecierpiałem tę pomniejszą wersję, którą Kharoulke teraz przechodzi.

— Ale przecież ty przez to nie przechodzisz.

— Nie. Teoretycznie nie. Poza tymi częściami we mnie, które mają łączność z Nocą. Cała Noc to odczuwa. Jestem zdezorientowany, przestraszony, zły i skołowany. I w pełni świadomy, że dzieje się coś bezprecedensowego.

— A twoi Dawni Bogowie też?

— Szczególnie oni.

— A inni Dawni?

— Nie sądzę. Znajdują się w miejscu poza Dziewięcioma Światami, a jedynie Dziewięć Światów ma łączność z Nocą.

— Twoi Dawni Bogowie. Reszta Nocy. Przecież nie mogą współczuć temu potworowi.

— Wygnany nie tak bardzo. Wędrowiec... to nie jest współczucie. Jest strach i wszystkie te rzeczy, które odczuwa Noc. No i... nie. To nie ma sensu. A może ma? Jest jakaś wina, rozpacz i jeszcze inny rodzaj winy?

— Któż mówi, że jesteś zdezorientowany? To jasne jak strzał w pysk. Czas, żebym sobie trochę postrzelała. — Opar wokół Wędrowca Wiatru się

rozwiął. Cętkowane, ropiejące resztki ropuchy były o jedną trzecią mniejsze niż w chwili rozpoczęcia ataku.

Jej pierwszy strzał zmienił powierzchnię cielska w skórę bulgoczącą jak smoła. Heris usłyszała, jak te bańki pękają. Każda wypuszczała gęsty strumień oparu. Ropucha wkrótce ponownie zniknęła w chmurze.

Heris przechyliła się w tył.

Dominujący wspiął się i zawisnął po drugiej stronie jej fotela.

— Zrozumiałem, co czuje Wędrowiec. Ponieważ jest samolubny jak wszyscy bogowie, nie interesuje go, co to oznacza dla Nocy. Wydaje mu się, że nie będziesz miała potrzeby wypuścić pozostałych Dawnych Bogów.

— Nie pogniewałabym się wcale. Żeby nie musieć nawet próbować. Ale byłoby to zupełnie nie po krasnoludzku, gdyby po całej tej pracy, którą włożyliśmy w to, żeby to zrobić, teraz sobie odpuścić.

— No tak. Właśnie.'

— Co to ma znaczyć?

— Że Wędrowiec jest pewien, iż nie pozwolisz, żeby twa praca poszła na marne. Że ponieważ teraz ich już nie potrzebujesz, wydostaniesz ich, by ich zabić.

Heris zastanowiła się nad tym. I pomyślała, że nie byłby to wcale taki głupi plan. Ale też zupełnie niepotrzebny. Dawni Bogowie mogli tkwić bezpiecznie tam, gdzie do tej pory byli.

— Wędrowiec uważa, że Dawni bardzo się przeliczyli, kiedy zatrudnili nas, Andorayan, by nas wykorzystać przeciwko człowiekowi, który przypadkowo odkrył sposób mordowania Delegatur Nocy.

Ale nie wiedział tego, dopóki sama Noc nie pomogła mu tego zrozumieć.

— Jasne. To była wpadka pierwszej klasy.

— I teraz te fakty, do tej pory niezauważone, wpłynęły do świadomości Wędrowca. Możliwe, że sam Bogobójca został źle zidentyfikowany.

— Co takiego? — Heris wyciągnęła dłoń w kierunku jednej z dźwigni.

— Byłaś niewolnicą, kiedy miało miejsce zdarzenie z Lasu Esthery. W Ziemi Świętej. Niespełna trzydzieści pięć kilometrów dalej. Niedostrzegalna separacja, widoczna z Wielkiej Fortecy Niebiańskiej o całe wieki wcześniej. Wędrowiec uważa, że odległość, czas i zbieg okoliczności zaowocowały tym, że wybrano nie tego Bogobójcę.

Heris mruknęła coś na temat tego, że to powinno zostać w rodzinie.

— Zabijasz coś, co kiedyś, dawno temu, było najbardziej przerażającą Delegaturą Nocy ze wszystkich. To osłabiony Kharoulke, ale jak najbardziej prawdziwy, a nie jakiś duch boga wskrzeszony przez szalonego czarownika, który pożąda nieśmiertelności. I masz go w swojej mocy, możesz wykasować cały panteon i jeden z Dziewięciu Światów.

— Ależ ty chrzanisz, Asgrimmur. Schył się. Czas na kolejną salwę.

Pociski z obu machin uderzyły w Wędrowca Wiatru. Ciałem boga wstrząsnęły gwałtowne drgawki, ale tym razem nie osunął się do wody.

Wstrząsy nie ustawały, jakby pękł kręgosłup bóstwa.

— Jasna cholera! Na ziemię, Heris, padnij! — rozkazał Asgrimmur.

— Na ziemię, no schodźże, kobieto — warknął Miedziak.

On i jego ludzie zaczęli wpełzać pod najbliższe kawały rozłupanego bazaltu.

Heris poczuła zagrożenie. Padła między porzucane kamienie, skrzyła kostkę i schowała się w ostatniej chwili.

Oślepiający błysk. Ryk, który przyćmił wszystkie wybuchy prochu, jakie Heris słyszała w życiu. Ziemia zadrżała i zatrzęsa się. Ktoś wrzasnął, bo jego kryjówka spadła na niego. Przez chwilę powietrze było zbyt gorące, by nabrać go w płuca. A potem straszliwy wicher pognał w dół zbocza.

Olbrzymia kula ognia wspinała się, przedzierając się przez nisko wiszące chmury.

— No cóż — mruknęła Heris. — To właśnie widział Piper, kiedy zdychał boski robak. Niech to diabli! Dobrze, że ten stary łajdak był tak wyczerpany, że niewiele miał w sobie mocy.

Nie słyszała własnych słów. Ani niczego innego. I bardzo dobrze. Jej towarzysze nie musieli wiedzieć, co gada do siebie.

Przypomniała sobie, co mówił Piper na temat incydentu z boskim robakiem. Jajo. Musi tu być jakieś jajo. Piper kolekcjonował je, odkąd zaczął zabijać Delegatury Nocy. Trzeba sprawdzić, czy nie ma tu czegoś takiego.

Asgrimmur i Miedziak zakrzyknęli gromkim głosem i zaczęli do niej machać, kiedy zbiegała po zboczu. Nie musiała udawać, że ich nie słyszy.

Eksplozja nie pochłonęła Delegatury całkowicie. Śluz i kawałki przegniłego „smalcu” walały się wszędzie, również w wodzie cieśniny Ormo. Smród skręcał trzewia. Ale nie było już śladu po boskiej istocie.

Wręcz przeciwnie. Była tu próżnia i wrażenie, że zabrakło czegoś bardzo istotnego. Heris poczuła nieodparty żal, który wcale nie był naturalny.

Wytropiła jajo. Było większe niż te, które opisywał Piper. Promieniowało mocnym wewnętrznym światłem i takim żarem, że musiała się zatrzymać o pięć metrów dalej. Światło zaczęło blednąć.

Zacząła wyczuwać inne istoty, niewidzialne stwory Nocy w poszukiwaniu prawdy. Nic, co mogłoby zagrażać, jedynie drobne istoty, które przyszły zobaczyć to na własne oczy. Zacząła słyszeć ich szept i szelesty.

Dołączył do niej Miedziak oraz Asgrimmur. Krasnolud przykucnął. Dominujący stał na szeroko rozstawionych nogach z dłońmi splecionymi z tyłu. Obaj wpatrywali się w jajo.

— Możemy stąd zniknąć, kiedy tylko się wystudzi — powiedziała Heris.

— Co chcesz z tym zrobić? — zapytał Asgrimmur.

— Dwie dusze. To jest jedna, którą Wędrowiec Wiatru sprowadził na ten świat. Chcę mieć pieczę nad jajem. Chcę je zabrać tam, gdzie będzie można je zniszczyć.

— Pewnie najbezpieczniej byłoby je tu zostawić.

— Może i tak. Aleja tego nie zrobię. Miedziak, czy twoje chłopaki zaczęły już demolkę? Choć to prawdziwa zbrodnia niszczyć tak piękne maszyny.

Rozkojarzony Miedziak wzruszył ramionami.

— Nie będą zniszczone, tylko rozłożone i umieszczone w magazynie do następnego razu, kiedy będą potrzebne. A będą. Taka już jest natura tych stworzeń.

Heris pomyślała, że najpewniej hakownice Pipera będą brały udział w przyszłych egzekucjach bóstw.

Asgrimmur chwycił Miedziaka za ramię.

— Nie wrócę tak samo, jak tu przybyliśmy. Nie przeżyłbym tego. Przespaceruję się wraz z moim nowym serdecznym przyjacielem. Chyba że chce tu zostać i się zadomowić. Fajnie by było z nadejściem zimy. Nauczyłbym go jeździć na nartach.

Heris spostrzegła, że Miedziak aż się trzęsie. Krasnolud kipiał złością. Ale nie odmówił.

Wiedziała, że daleko nie zajdzie, czyniąc taką samą sugestię.

Krasnolud nie mógł odmówić. Był w końcu Aelen Kofer. Asgrimmur nosił w sobie ducha Ojca Wszechrzeczy. Miedziak nie miał wyjścia.

Był to dowód na to, że każdy krasnolud musi opuścić Dziedzinę Bogów, zanim wykona jakikolwiek ruch w sprawie uwięzionych bóstw.

— Rozumiem — powiedziała Heris. — Miedziak, będziecie szli na piechotę?

Krasnolud zastanowił się, zanim odpowiedział, widząc, co może zdradzić.

— Tak. To tylko jeden dzień drogi. Kozie wozy przeniosą części machin.

— Wspaniale. W takim razie możecie mi wyświadczyć przysługę. Zabierzcie jajo do Dziedziny Bogów. Wydaje mi się, że nie byłoby zbyt rozsądne nosić je, przecinając Noc.

Asgrimmur nie zareagował jednoznacznie, choć dostrzegła u niego pewną ostrożność. Miedziak zareagował, ale tylko w stylu kogoś stale uciskanego przez innych.

— O biada, biada — zaczął wzdychać.

W Dziedzinie Bogów zawsze było samo południe, nie miało więc znaczenia, że było już po zmroku, kiedy jajo w końcu wystygło na tyle, że można je było zawinąć w skórzane pasy na amunicję i przenieść w tajemny krasnoludzki sposób do wozu ciągniętego przez kozy w świetle Aelen Kofer. Chwilę później Heris odwróciła się bokiem i przeniosła do Dziedziny Bogów.

Cloven Februaren jeszcze nie wrócił. Była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Zniknęła w miejscowej kryjówce, nie ogłaszając swego powrotu.

Dziewiąty Nieznany i Bastard siedzieli w tawernie Aelen Kofer z Żelaznookim, kiedy odświeżona Heris pojawiła się w środku, szukając czegoś dojedzenia. Krasnolud i starzec zasypali ją pytaniami.

— Z Miedziakiem wszystko dobrze. Idzie tu. Asgrimmur razem z nim. Nie przeżyłby kolejnego przejścia. Jak się ma w sobie Noc, to można tam utknąć. Na zawsze. Po Dwakroć Wielki, musimy coś ponownie przemyśleć.

— Przemyśleć? O co chodzi? Ponownie przemyśleć co?

— Co mamy zamiar tam zrobić. — Wskazała kciukiem w kierunku Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

— Dlaczego? — Zmrużył oczy. Czuł, że coś się święci.

Heris poczuła zapach jedzenia. Podali jej to co zwykle.

— Bo ja już zabiłam Wędrowca Wiatru — oznajmiła, nim się zajęła posiłkiem. Tak, jak ci mówiłam, że potrafię, ale nie chciałeś mi wierzyć.

Wczoraj. Z pomocą Aelen Kofer.

Żelaznooki i jego towarzysz wpatrywali się w nią. Gapili się na nią. I nie chcieli uwierzyć.

— Zabrałam niemal całą broń, ale musiałam, żeby tego dokonać, Po Dwakroć Wielki. Miedziak wiezie tu jego duszę w jaju. Kharoulke Wędrowca Wiatru już nie ma. A całą Noc opanowała panika i zamieszanie.

Wciąż nie mogli wierzyć. Nie chcieli uwierzyć.

— Tak. Ja. Zwykła dziewczyna. Ja to zrobiłam. — Jej buńczuczne spojrzenie rzucało wyzwanie każdemu z nich, gdyby ośmielili się twierdzić, że to oni osłabili Wędrowca Wiatru. Od samego początku harowała za dwóch.

— Ona ma rację co do Nocy — powiedział Cloven Februaren. — Nigdy nie widziałem tam takiego harmidru.

Bastard pokiwał w milczeniu głową.

— Zaczekamy na Miedziaka i dominującego — powiedział Żelaznooki. — Zobaczymy, co oni będą mieli do powiedzenia.

Heris była śmiertelnie obrażona, ale wiedziała, że tylko tego mogła się spodziewać. Na razie.

Brothe: Wódz Prawowiernych

Sługa zawiózł Paludana Bruglioniego na brukowane patio. Wódz Prawowiernych jadł śniadanie ze swoim sztabem i oficerami łącznikowymi z sił imperialnych z południowej Firdii. Ich dowódca, książę Manfred Otho z Alamedinne, odmówił spożywania posiłków z najemnikiem. Cesarzowa, pijana lub oszołomiona narkotykiem, siedziała nieopodal, przyglądając się tej scenie. Jej obecność była wyzwaniem rzuconym szlachcicom z południa, którzy próbowali traktować z politowaniem jej polecenia, gdy przyszło do tytułowania Wodza Prawowiernych zwierzchnikiem wszystkich sił imperialnych na południe od Brothe.

Gdyby kampania miała potrwać dłużej, byłyby konflikty. Ród Ege nie pałał miłością do Manfreda Otho i jego ojca, Manfreda Ludovico, których zabrakło w szeregach imperialnych podczas krucjaty calzirskiej. Południowcy z trudem tolerowali to, że rządzi nimi kobieta z rodu Ege. Przyjmowanie rozkazów od pochodzącego z gminu najemnika oznaczało zbyt wielką zniewagę. Jedynie perspektywa łupów sprawiała, że bunt nie podnosił ohydneho łba.

Perspektywa plądrowania była jednak bardzo niepewna.

Agenci Patriarchy byli wszędzie wokół, takie chodziły słuchy. Szczerze mówiąc, tak właśnie było. Jedynie posiadłości i dobra powiązane z rodziną Benedocto miały zostać splądrowane. Ród nie był zamożny. Benedocto wciąż byli winni pieniądze, które poszły na łapówki w związku z wyborem ostatniego Patriarchy z ich rodu, Wzniosłego V.

Mądrzejsi, choć zde gustowani południowcy rozumieli, że nie mają możliwości przeforsowania swoich żądań. Wielki Książę, obecnie posiadający sześć setek zbrojnych, stacjonował niecałe siedemdziesiąt

kilometrów na północ od Brothe. Admirał fon Tyre był niemal tak samo blisko, choć wciąż znajdował się za Monte Sismonda. Miał pod swoją komendą dwa tysiące dwustu zbrojnych. Obaj dowódcy byli w stanie wesprzeć zbrojnie wolę Cesarzowej, gdyby Wodzowi Prawowiernych nie udało się dokonać tego w pojedynkę. Wierne oddziały Wodza liczyły obecnie tysiąc trzysta osób. Z tymi wszystkimi hakownicami, które przyczyniły się do wygrania bitwy w Cieniach. Oraz kilku pomniejszych potyczek.

Paludan wjechał na miejsce obok Hechta. Wódz Prawowiernych nie dał się zaskoczyć. Usłyszał dźwięk kół na kamiennych płytach.

— Dzień dobry, panie — powiedział.

— Dzień dobry. Zajmę tylko chwilę. Albo dwie. Po pierwsze: dziękuję, żeś wczoraj uważał, aby nie zniszczyć winnic.

— Dziękuję, że pan to docenia. Było szemranie, ale zwykłem minimalizować straty przyjaciół.

Poprzedniego dnia widziano silny zwiadowczy oddział kawalerii nadjeżdżający z południa, od Brothe. Przyjaciele Titusa Zgody z miasta wysłali ostrzeżenie. Konnica Hechta wpędziła ten oddział w zasadzkę, w której hakownice rozniosły ich na strzępy. Południowcy obserwowali wszystko. Ich jedyną reakcją był płacz nad tymi wszystkimi końmi, których nie można było wyłapać, kiedy hakownice zrobiły swoje. Do tego było niewielu więźniów, za których można było wziąć okup.

— A ta druga sprawa? — zapytał Hecht.

— Nie wiem, co ci doniesiono. Słyszałem, że Brothe się rozpada. Regiment Miejski nie jest w stanie utrzymać ładu. A Łagodny wydaje coraz dziwniejsze, iście drakońskie rozkazy.

— Też to słyszałem. Wpadł w szal, kiedy ktoś zabił jego kochankę i zdemolował miejski dom.

Hecht dowiedział się tego od Liii.

— Może to myślenie życzeniowe, ale moje źródła mówią, że ani Regiment Miejski, ani milicja nie będą walczyć, kiedy staniesz pod murami miasta.

Hecht przez kilka sekund spoglądał Paludanowi w oczy.

— Rivademarze, to spotkanie zostaje zawieszony — powiedział w końcu. — Powiadomię cię, kiedy je wznowimy. Titus, zostań. Reszcie życzę przyjemnego poranka. Albo sobie popracujcie. Jak wolicie.

Titus przeszedł na drugą stronę stołu i usiadł obok Hechta. Pozostali uczestnicy spotkania wstali z miejsc.

— Będziemy potrzebować wyciszonej komnaty? — zapytał Zgoda.

— Niestety, jedyna, jaką mam, została zniszczona — powiedział Paludan.

— Udała nam się wczoraj zasadzka — rzucił Hecht.

— A udała się. — Zgoda pokiwał głową. — Dzięki zmyleniu przeciwnika. To będzie się udawało, dopóki przyjaciele Łagodnego z Kolegium będą chcieli uniknąć zetknięcia z ostrzem włóczni.

— Czy znasz, panie, kogoś wewnątrz, kto byłby gotów z nami współpracować? — Hecht zwrócił się do Bruglioniego.

— Myślę, że wszyscy znamy. W tym jednak wypadku mówię o kimś związanym z Arnieną. O kimś, kogo zna Rogoż Sayag.

Hecht pokiwał głową niezaskoczony. Brotheńska polityka jako taka była nie do uniknięcia. Ale nie spodziewał się, że tak szybko to się zacznie.

— Wojna nie wpływa dobrze na interesy — rzekł Paludan. — Chyba że toczy się gdzie indziej, a my sprzedajemy obu stronom środki do wyrzynania się wzajem. Jeśli to potrwa do końca lata, koszty będą nie do udźwignięcia. Do Brothe zbliża się dziesięć tysięcy zbrojnych. Od czasu bitwy w Cieniach Łagodny nie może znaleźć zbrojnych gotowych go bronić. Jedynie Pinkus Ghort daje pewną nadzieję. A on jeszcze nie dotarł do Brothe. Wielki Książę wciąż go spowalnia.

Hecht uważał, że Hilandle jest albo sprytniejszy od innych, albo też ma więcej szczęścia. Od samego lądowania w Firaldii wykonywał wszystko tak jak należy.

— Tak więc, jeśli dotrę tam pierwszy, wjadę do miasta i zaskoczę przyjaciół Łagodnego... — odezwał się Hecht.

— Jeśli wjedziesz do miasta niespodziewanie i przejmiesz kilka bram, prawdopodobnie będziesz w stanie ofiarować Cesarzowej to, czego pragnie, i być może odczujemy ulgę, której tak bardzo oczekujemy.

— Siedzimy tu i rozmawiamy o tym zupełnie jawnie. Oni będą wiedzie! i, że nadciągamy.

— Może nie. Choć nie mamy działającej wyciszonej komnaty, nie jesteśmy całkiem odsłonięci. Jeśli będziemy utrzymywać środki ostrożności i strzec tego miejsca, Łagodny pozna jedynie strzępy naszych planów. Zdobyć bramę? Przecież to oczywiste, prawda? Nie trzeba być geniuszem wojskowości ani kazać siedzieć swoim szpiegom Wodzowi Prawowiernych

na karku, żeby się tego spodziewać. Ale którą bramę? I czy Łagodny może ufać wszystkim swoim ludziom, którymi obsadził poszczególne stanowiska?

Hecht zastanowił się nad tym. Paludan miał rację.

Najbardziej podniosłym aspektem życia, nawet obecnie, był straszliwy ból. Czy w czasach przed Starym Imperium było jeszcze gorzej? Ze wszystkich dokonań Starego Imperium — niemal niezniszczalnych dróg i robót publicznych oraz wszystkich wspianych budowli, które wciąż są w użyciu — poskromienie Nocy musiało być największym dokonaniem. I najmniej docenionym.

— W takim razie zbierzmy siły, panie — powiedział Hecht. — Znasz ludzi, pozwolę, byś opracował plan. Proszę przyjść do mnie z konkretnymi.

Hecht sam będzie pracował nad swoją działką w oparciu o informacje od Titusa. Nad czymś, co może stać się alternatywnym kierunkiem przy wzbudzaniu minimalnego zainteresowania. Lub kilkoma kierunkami.

Kiedy tylko Paludan ich opuścił, Hecht powiedział do Zgody:

— Daj mi spis sprawnych hakownic, Titus. Obojętnie, co zrobimy, hakownice będą głównym elementem.

— Sto czternaście hakownic. Trzydzieści dwie się zużyło.

— Ale Rhuk uważa, że niektóre da się naprawić.

— A co z bronią ręczną?

— Nie majak się dowiedzieć. — Zgoda wzruszył ramionami. — Ci, co je mają, chowają je przed nami. Moglibyśmy im je zabrać.

Hecht miał ochotę śmiać się i kłać w żywy kamień. Rozumiał żołnierski punkt widzenia w tej kwestii. Życie własne było o wiele ważniejsze niż jakiś dęty plan jakiegoś generała czy sztabowego oficerka. Broń ręczna była podstawowym zabezpieczeniem, gdy się lazło w mrok.

Krulik i Sneigon mieli w spisie ponad dwieście sztuk broni ręcznej, kiedy Prawowierni przybyli do factorii. Dwadzieścia dwie sztuki przekazano Rhukowi i Proseкови.

Z cięższych sztuk zniknęło jedynie pół tuzina z tych odłożonych dla Heris. Sto pięćdziesiąt dwie odnaleziono, wiele poza formalnym inwentarzem manufaktury. Te pozaoficjalne miały zniknąć w devediańskich dzielnicach miast w całym świecie Brotheńskiego Kościoła Episkopalnego. Sto czterdzieści sześć hakownic zastosowano w bitwie o Cienie.

— Czy umieścili już całą broń na wozach, kołach czy innym cholerstwie?
— Przewożenie broni było niezwykle uciążliwe. Od samego początku Rhuk i Prosek eksperymentowali z różnymi sposobami poprawy mobilności artylerii. Każdy pomysł palił na panewce tuż po rozpoczęciu strzelania. Odrzut łamał nawet najbardziej wytrzymałe wozy.

— Wszystko gotowe. Jednak jest dość ciężko. Prosek chce zbudować wóz o dwojakim przeznaczeniu, który będzie mógł ciągnąć zapasy bądź sprzęt obozowy, ale po przerobieniu będzie mógł dostarczać hakownice na wymianę.

— I za to właśnie dostaje żołd. Mnie interesuje tylko szybkie przemieszczanie się po przekroczeniu murów.

Prawowierni i Imperialni z południa oraz garstka tych mieszkających na wschód od Monte Sismonda ruszyli w kierunku Brothe pod czujnym okiem patroli Łagodnego, które jednak nie interweniowały. Hecht zatrzymał się na polu pośród łąnów zboża z widokiem na mury obronne.

By przywrócić nadwątlony honor południowcom, Hecht przekazał dowództwo nad polem bitwy Manfredowi Otho Altomindo, Prawowitemu Księciu Alamedinne na okres dnia bądź do chwili, w której Cesarzowa postanowi inaczej. Książę Manfred nie był najstarszym rangą południowcem, lecz przywódcą symbolicznym był jego ojciec, Manfred Ludovico — stary, przykuty do łoża.

Hecht niczego nie oddawał, składając dowództwo na jeden dzień w jego ręce. Łagodny nie zamierzał pozwolić Bogu, by ten zdecydował o jego losie na polu bitwy.

Manfredowie nie mieli dostatecznie precyzyjnych informacji na temat prawdziwej sytuacji, która wyglądała tak, że doradcy Łagodnego przekonali go, by wycofał się do defensywy do czasu, kiedy południowe zaciągi nie wypełnią swej lennej powinności.

Podobne ograniczenia istniały wśród zaciągów zbieranych w Państwach Patriarchalnych. Ale kumotrów Łagodnego najbardziej interesowało tylko ich własne kruche bezpieczeństwo.

Młodszy Manfred ustalił porządek bitwy. Jego południowcy mieli stanowić środek uderzenia, ustawieni w tradycyjnym szyku kawalerii. Pogardzani Prawowierni tworzyli flanki wraz z garstką lekkiej kawalerii ustawionej za ich szeregami. Hecht był zbulwersowany i zarazem

rozbawiony, ponieważ ta lekka jazda była złożona z pramanów pozyskanych z ówczesnego Calziru przed krucjatą calzirską.

Nic się nie wydarzyło. Nawet herold nie wyjechał. Hecht przejął z powrotem dowodzenie o zmierzchu. Nakazał rozbicie obozu ze zwróceniem szczególnej uwagi na zabezpieczenie przeciwko magii i Delegaturom. Manfred Otho udał się na spoczynek, psiocząc na brak polotu rycerzy Brothe.

Doniesienia z miasta mówiły, że Kolegium stoi na progu wojny domowej. Na ulicach harcownicy Łagodnego mieli przewagę. Ich zachowanie było odrażające.

Jedynie dzielnica devedianska była spokojna. Devowie pozamykali się i pochowali, szykując się na zwyczajowe ataki, które zawsze ich dotykały, gdy tylko w mieście wybuchały niepokoje społeczne.

— Czy szanują nas w dzielnicy devediańskiej?

— Po tym, co zrobiliśmy w Kruliku i Sneigonie? Nie.

— To rozumiałe. Oni chcieli tylko zarabiać pieniądze. To właśnie devowie robią.

Zgoda posłał mu posępne spojrzenie. Nienawidził stereotypów i uogólnień.

— Więc lepiej niech się przygotowują na prześladowania z powodu naszych sukcesów — rzucił Hecht.

— Co takiego?

— Zastosuję zwyczajową logikę. Hakownice zapewniły nam krwawe zwycięstwo w Cieniach. A devowie produkują hakownice.

— A to, że obrabowaliśmy devów, żeby dostać hakownice, nikomu nie przyjdzie do głowy. Masz rację. Zwyczajowa logika.

— To mogłoby się wydarzyć dziś w nocy, Titus. Udam się do mojego namiotu, by się pomodlić. Proszę mi nie przeszkadzać. Proszę, przypomnij panu Ernestowi.

Zgoda nic nie powiedział. Po prostu poszedł do swoich zadań.

Lila pojawiła się w samą porę.

— Dziewczyno, wyglądasz na zmęczoną.

— Bo ciężko pracuję. Pradziadek Delari zawsze ma dla mnie więcej do roboty, niż jestem w stanie zrobić.

— Nie pozwól mu się wykorzystywać. Odmów. Uważasz na siebie?

— Tak, bardzo uważam. Miasto jest teraz śmiertelnie niebezpieczne.

— Dobrze, że to rozumiesz. Nie ryzykuj. Nadejdziemy dziś wieczorem.

— I spodziewają się was. Już wzmocnili bramy. — Lila wyjęła mapę i pokazała, jakie to powitanie szykują ich wojskom.

— Dziewczyno droga, niemal jakbyś siedziała na ich odprawach.

— A myślisz, że nie siedzę?

— Wiedzą o planie Arniena, prawda?

— Agent Benedoctów znajduje się blisko pana Sayaga. Benedoctowie mają szpiegów we wszystkich Pięciu Rodzinach.

I nie było w tym nic dziwnego. Wszyscy tak robili. Niektórzy z tych szpiegów pracowali dla dwóch, trzech rodzin jednocześnie.

— Mamy jakieś nazwiska?

Lila podała skrawek papieru.

— Jest jeszcze więcej. To są tylko te, które podsłuchałam.

Hecht spojrział na listę, ale nie zobaczył nazwiska nikogo znanego. Podziwiał precyzyjną dłoń Lili. Najwyraźniej dużo ćwiczyła, by wyrobić sobie taki charakter pisma.

— Lila, wspaniale. Jesteś w tym lepsza niż Heris czy naprawdę stary człowiek.

— Nie, wcale nie. Ja po prostu robię to tak, jak byś sobie tego życzył. Oni robią tylko tak, jak sami chcą.

— Muszę ci przyznać. — Jeszcze raz przestudiował mapę. — To niedobrze. Te miejsca to wszystko zasadzki.

— Mówiłam. Ustawili kuszników na dachach. I nie możesz ich zaskoczyć. Każdy mały skrzat i południca w tej części świata będą śledzić wasze ruchy. Patriarcha pościągał ich z obszaru na dwieście kilometrów wokół Brothe.

Hecht wpatrywał się w mapę. Długo. I nic go nie mogło natchnąć.

— Co z Pellą?

— Znów głupieje. Ciągłe jęczy. Starzec powinien go zostawić tam, gdzie go znalazł. Żeby skruszał. Mógłby zawsze po niego wrócić, gdyby go nie znaleźli.

— Ostro. A Vali? A Anna?

— Vali ciężko pracuje, by być na tyle dobra, żeby mogła mi pomagać. A Anna ciągle płacze.

— Co takiego? Dlaczego?

— Myślę, że jest na takim etapie życia. Nieważne, czy jest smutna, szczęśliwa czy zła. Wszystko wywołuje u niej płacz. Z wyjątkiem tych momentów, kiedy włącza się jej prawość i ma zamiar udać się do Krois, by skopać Łagodnego, żeby zrozumiał swoje błędy.

— I bardzo dobrze. Chyba. Córa honoru. Masz pojęcie, co powinniśmy dzisiaj wieczorem zrobić?

Lila uśmiechnęła się szeroko.

— Zaatakujcie ich, gdzie ich nie ma. Ja w nich walnę tam, gdzie będą.

W Mieście Ojczystym zaczęło się zaraz po północy — przez ponad dwie godziny co cztery minuty rozlegała się eksplozja. Cele były rozrzucone po mieście i ładunki wybuchały bez precyzyjnego planu, choć za każdym razem notowano straty wśród zwolenników Łagodnego lub wśród obrońców miasta.

W tym schemacie zdarzały się luki czasowe. Za każdym razem, kiedy tak się działo, ktoś zrzucał liny z tej części murów, które nie były pilnie strzeżone.

Prawowiernym nie udało się zaskoczyć obrońców we wszystkich miejscach. Pomimo ogólnego zamieszania niektórzy pilnowali swoich obowiązków.

Ci, którzy zostali wybrani do wspinaczki po murach, wciągali drabinki sznurowe. Byli to ludzie doświadczeni w kontaktach z pomniejszych Delegaturami i wszyscy byli podejrzani w sprawie posiadania nielegalnej ręcznej broni prochowej. Wspinali się na górę i pomagali innym wejść na mury, po czym montowali wyciągi, gdzie się dało, i wciągali lekkie hakownice oraz amunicję. Zabezpieczali punkty zaczepienia i odganiaли roje pomniejszych Delegatur Nocy.

Hakownice miażdżyły kontrataki, które w końcu ustały. Strach przed tą bronią głęboko wrył się w świadomość popleczników Łagodnego po bitwie w Cieniach.

Gdy tylko do strażnicy przy bramie wrzucono wiązkę materiałów wybuchowych, jej załoga poddawała się bądź uciekała. Pod ogniem z hakownic dwie bramy przeszły z rąk do rąk pomimo przygotowanych zasadzek.

Uznając południowców za przydatnych wyłącznie do siania zamętu, Hecht pozwolił im wpaść z wyciem do miasta po otwarciu bram.

— No i tyle w sprawie niezdożytego Miasta Ojczystego — zadudnił Hagan Brokke.

— Tu nie chodzi o sam atak — zauważył Rivademar Vircondelet — ale o to, że jak się do czegoś zabieramy, to do końca. Teraz już wiedzą, że nadciągamy. Będą zbierać siły, by nas odeprzeć.

Niedaleko szczęknęły hakownice, kamienie zagrzechotały o dachy, a spadające dachówki musiały trafiać w szpiegów bądź obrońców, bo było słychać okrzyki bólu.

Tymczasem południowcy wjechali do miasta. Hecht patrzył, aż zniknęli mu z pola widzenia.

— Ciekawe, ilu z nich przeżyje.

— Jak będą się trzymać w kupie i robić, co im kazałeś, to większość. — Brokke odkaszlnął. Miał płuca wrażliwe na dym prochowy. — Ale założę się, że rozleżą się po mieście, żeby plądrować, i obrońcy będą ich wyławiać małymi grupkami.

Mieli wpaść z rykiem w ulice miasta i ciąć każdego, kto się nawinie. Zasiać strach, by ulice opustoszały. Najeźdźcy mogli pociągnąć na północ, w stronę Krois, gdzie wściekły, choć podobno bardziej racjonalny niż kiedykolwiek Łagodny będzie starał się jak najlepiej wykorzystać atak wroga, na co miał wielką nadzieję.

— Mamy jakąś szansę wygrać, szefie? — zapytał Vircondelet.

— Mamy. Teraz, kiedy już jesteśmy za murami. W walce hakownice będą bardzo pomocne.

— Ulice łatwo zająć — stwierdził Brokke. — Ale Łagodny zaszyje się w Krois. Może tam czekać, aż przyjedzie Ghort, by ocalić mu tyłek.

— Ale nie będzie tam bezpieczny — powiedział Vircondelet. — Ponieważ szef wie, jak się tam dostać pod rzeką.

— Wiem — przyznał Hecht. — Ale Łagodny wie, że ja wiem. To on pokazał mi to przejście. Wystawi tam specjalny komitet powitalny.

Wybuchy ustały. Hecht podejrzewał, iż oznacza to, że Lila nie może dalej podkradać prochu Prosekowi. Albo tak się zmęczyła, że przestała to robić.

Kiedy tylko zajęto bramy, przez chwilę wyglądało na to, że Brothe to kolos na glinianych nogach. Na początku opór był śladowy.

Zmieniło się to po wschodzie słońca.

Czyżby miejscowi bardziej obawiali się ciemności niż napastników? Amulet Hechta przekazywał różne sygnały, ale na razie nie pojawiło się nic dużego.

Kiedy ciemność się rozproszyła, zabierając ze sobą złe duchy, Hecht poczuł coś nowego, co maskowało się pod szelestem wszystkich większych istot.

Znajdowało się w katakumbach. I było olbrzymie. Do tego stało pomiędzy Prawowiernymi i rzeką Teragi. Roztaczało aurę tego samego morderczego potwora, który powracał bez względu na to, ile razy został upolowany. To wcielenie było silniejsze niż jakiegokolwiek inne do tej pory.

To pewne, że wywoła sporo zamieszania, kiedy tylko ciemność powróci. Było to dziecie mroku Bronte'a Doneto.

Piperowi Hechtowi wydawało się, że wie, co knuł Bronte Doneto, kiedy Muniero Delari natknął się na niego w katakumbach.

Prawowierni poruszali się wolno. Napotykając zaciekłą obronę, swoimi hakownicami robili wielkie szkody wśród obrońców. Nie zawsze było jasne, komu należy się lanie. Wrogowie Łagodnego nie mieli zamiaru zachowywać ostrożności w łojeniu popleczników Patriarchy.

Coś się zaczęło wyłaniać. Tak jak się Hecht spodziewał, ich radosna szarża na obrońców miasta zakończyła się fiaskiem. Zostali za nią ukarani. Ci, co przeżyli, starali się łączyć w grupki lub powrócić do Prawowiernych.

Hecht miał nadzieję, że nie będzie to zmarnowana lekcja ludzi, którzy poznali, co to walka twarzą w twarz, piersią w pierś, gdy staje się na wprost wroga i czuje jego nieświeży oddech. Po południu rozważał wycofanie się do bram, by poczekać na Wielkiego Księcia bądź Admirala. Jego wcześniejsza ocena szans okazała się słuszna. Dokonywał zniszczeń na wielką skalę, ale nie miał wystarczająco dużo ludzi, by to zdyskontować, nawet z pomocą marnotrawnych południowców i miejscowych ochotników. Ci ostatni zresztą nie przedstawiali zbyt wielkiej wartości. Nie spieszyło im się do wojskowej dyscypliny ani przeprowadzania akcji militarnych.

Jeszcze większą liczbę ludzi należało wysłać, by strzegli wydłużającej się linii komunikacyjnej od bram do szpicy ataku.

Rozeszły się pogłoski, że Łagodny nakazał Pinkusowi Ghortowi, żeby przestał się bawić z Wielkim Księciem i przedarł do Brothe bez względu na straty.

Po południu w Kolegium zaczęli się pojawiać przeciwnicy Łagodnego. Wywodzili się z domów Imperium bądź z imperialnych dóbr w Firdalii. Stronnicy Łagodnego mieli przewagę w pałacu Chiaro.

Hechtowi serce zamarło. Nie było dobrze. Mogło to zwiastować katastrofę. Gdyby Łagodny dostał się do Konstruktu... Modlił się, by Heris miała rację, mówiąc, że Patriarcha nic o projekcie nie wie. Inaczej jego triumf byłby pewny.

Hecht jeszcze mocniej poczuł potwora w katakumbach. Zbliżał się. Rósł w siłę. On też go wyczuwał. Hecht był coraz bardziej przekonany, że stwór jest większy, niż ktokolwiek podejrzewa. I że wciąż rośnie, z każdą godziną, z każdą minutą.

Tak było na pewno. Jeśli starcy się nie mylili, iż karmi się strachem i nienawiścią. Albo też, że duży rośnie, zjadając małego. Patriarcha zapełnił miasto pomniejszymi Delegaturami.

Z nastaniem wieczoru pojawiło się jeszcze więcej miejscowych ochotników gotowych walczyć przeciwko Łagodnemu. Czy też, częściej, przeciwko rodzinie Benedocto. Wszyscy byli w jakiś sposób powiązani z głównymi rodami, które ostatnio sporo przeszły.

Titus upierał się, że z ochotnikami będzie więcej kłopotów niż pożytku z nich. Hecht kazał mu porozstawiać ich, wysyłać z jakimiś zadaniami, jak na przykład noszenie walczącym zapasów i ładunków.

Natarcie ominęło rodowe cytadele Bruglionich i Colognich. Forteca Bruglionich była zasiedloną przez wrony i owady ruiną, nad którą unosił się odór śmierci. Warownia Colognich przetrwała, choć mniej strzeżone nieruchomości bardzo ucierpiały. Było mnóstwo oznak walki, lecz żadne nie wskazywały, że ktoś używał czarów.

Kiedy słońce znikło za horyzontem, Hecht zaczął się zastanawiać, jak najlepiej poradzić sobie ze stworem w podziemiach. Na pewno wyjdzie z dołu tej nocy. Nie będzie lepszej okazji.

Był to potwór najciemniejszej strony Nocy, śmiertelnie niebezpieczny, ale też nie niezwyciężony. Boski śrut powinien go pohamować. Pozostawało pytanie, jak dobrze w niego wycelować.

Hecht przekierował natarcie tak, by ominęło miejski dom prowincjała Delariego. Miał nadzieję zastać tam broniącego się staruszka, który mógłby mu służyć radą. Zobaczył jedynie ruiny, choć bez trupiego odoru. Po prowincjale i jego domownikach nie było nawet śladu. Jednak uchodźcy z

pałacu Chiaro utrzymywali, że Delari żyje, jest ogólnie nieprzyjemny i szykuje Patriarsze jakąś paskudną niespodziankę.

A gdzie była Lila? Ona wiedziałaaby, jak dotrzeć do staruszka. Hecht zaczął się martwić o dziewczynę. Powinien już mieć od niej jakiś znak życia.

Imperialne natarcie dotarło do hipodromu, odnowionego w pełni sezonu wyścigów. Czy też raczej było tak do śmierci króla Jaime'a z Castaurigi, która zmieniła świat.

Pod stadionem było dziesiątki koni oraz mnóstwo ludzi, którzy zajmowali się zwierzętami i całym obiektem, również mieszkających w jego zakamarkach, z dala od widoku publicznego. Z hipodromu dobiegały zapachy gotowanej strawy oraz stajenne.

Kiedy Hecht spoglądał na stadion, pojawił się Hagan Brokke.

— Szefie, późno już. A my jesteśmy zbyt sterani, żeby dalej walczyć po ciemku. Powinniśmy się tutaj zatrzymać. Moglibyśmy kontrolować dostęp...

— Masz rację. Po prostu się przyglądałem. Daj znać wszystkim. Niech tak się stanie. I wyślij gońców, żeby przekazali naszym ludziom, że albo przyjdą tutaj, albo niech cofają się do bram. Nie chcę dzisiaj w nocy widzieć nikogo na ulicach. Może się tam zrobić paskudnie.

— Nocne stwory?

Cały sztab uważał, że Wódz Prawowiernych ma teraz jakąś specjalną łączność, po tym jak zmarł i został wskrzeszony.

— Wielkie Nocne Stwory. Niech każda hakownica będzie naładowana bożym śrutem. — Jego amulet robił się coraz bardziej niespokojny, gdy słońce już zaszło. Reagował tak samo jak tej nocy, gdy Heris zabrała go z wizytą.

Z początku wyglądało na to, że jest to wieczór, w którym całe miasto ma zamiar wylec na ulice i rozpocząć szaleństwo. Rozlegały się odgłosy starć, krzyki z oddali, wybuchały pożary blisko i daleko. Zewnętrzne mury hipodromu były na tyle wysokie, by można było z nich obserwować okolicę w kilku kierunkach, włącznie z okolicą Castelli, Krois i pałacu Chiaro. W stronę, w której od tysiąca pięciuset lat tętniło serce Brothe. Wokół Krois i pałacu Chiaro krążyły światła. Castella była zaciemniona.

Hecht poprosił dowódców do siebie, na górę, skąd podczas rozmowy mógł obserwować męki miasta. Zjawili się, lecz bez entuzjazmu. A kilku

spóźniło się bez powodu. Titus Zgoda utrzymywał, że przyjmował dane wywiadowcze od miejscowych. Clej Sedlakova powiedział, że witał oddziały piechoty z Alamedinne, które właśnie przedarły się do hipodromu. Gdy przybyli, liczba odzyskanych południowców sięgnęła połowy pierwotnego stanu.

Hecht już położył krzyżyk na Haganie Brokke. Ale wtedy pojawił się. Nie sam.

Za nim — Cesarzowa.

Był zbyt zmęczony, by się porządnie zezłościć. Robił dobrą minę do złej gry, wypytując zgromadzonych, czy ktoś wie coś o tym nowym hipodromie. Miał zamiar nie wypaść z roli do samego końca, choć obecność Katrin była stuprocentową gwarancją śmierci bądź niewoli. Jakże Łagodny mógłby się oprzeć okazji zakończenia tej wojny jednym szybkim posunięciem?

Titus Zgoda zapytał, co chce wiedzieć na temat hipodromu.

— Poprzedni się zapadł, bo zawaliły się katakumby. Czy jakoś to zabezpieczono na przyszłość? — Gdyby tego nie zrobiono, katakumby mogły dać potworowi drogę ataku.

Opinii było kilka. Nikt nie miał pewności. Hecht przyglądał się Cesarzowej i rannemu kapitanowi Ephrianowi, który był błydy, wyczerpany i na skraju załamania. Katrin wyglądała, jakby upaliła się kufem. I tak też od niej zalatywało.

Ephrian zauważył, że Hecht węszy w powietrzu.

— To naprawdę pomaga — powiedział. Po czym zasnął.

Hecht zazdrościł mu.

Zaczął mówić o prawdopodobieństwie poważnego zetknięcia się z Nocą. Ta noc mogła zdecydować o losach całej kampanii. Nie skomentował obecności władczyni. Jeśli Prawowierni przetrwają, będą mogli nazajutrz się przedrzeć przez Teragi, a tam przystąpią do oblężenia Krois i pałacu Chiaro. Wtedy będą mogli odpocząć i poczekać na Wielkiego Księcia.

Hecht starał się, żeby to zabrzmiało, jakby ta wojna była już wygrana. Żeby tylko przetrwać tę noc.

W nocy wszystko ucichło. Amulet Hechta szarpał się jak na smyczy.

Katrin posłała błydy uśmiech bez konkretnego adresata.

Coś wybuchło po drugiej stronie stadionu. Wóz z prochem? Nie. To była spora eksplozja, ale w podziemiach. Nie było żadnego błysku czy dymu, tylko stłumiony huk i drzenie ziemi. Wszyscy zaczęli sobie zadawać kretyńskie pytania.

Druga strona stadionu aż jęknęła. Potem coś zadudniło i majestatycznie opadło w kłębach dymu w głąb ziemi.

— Czy zabezpieczyli katakumby tak, żeby to się więcej nie powtórzyło?
— zapytał Titus. — Myślę, że raczej nie.

— Mamy tam ludzi i broń — rzucił Hecht. Zauważył, że nie jest to obszar, który się poprzednio zapadł. — Jeszcze raz, a będziemy mieli całkiem nowy hipodrom. Ruszcie się tam i sprawdźcie, co trzeba.

Wydarzyło się coś jeszcze oprócz wybuchu i zapadnięcia się ziemi.

Sztab Hechta był już pewien, że nastąpił atak.

Sensacje wywołane amuletem przybrały nową postać.

— Czekaście.

Hechtowi wydawało się, że Katrin coś powiedziała.

— Wasza Miłość?

Ale Cesarzowa zawędrowała spojrzeniem gdzieś daleko. A kapitan Ephrian spał w najlepsze.

— Ojcie. Tutaj.

— Lila?

— Tutaj.

W cieniu, w którym ledwo można było schować szpilkę.

— Dziewczyno, zamartwiałem się na śmierć. A ty sobie po prostu zniknęłaś zeszłej nocy.

— Musiałam pomóc pradziadkowi zamknąć Konstruktor. A potem musiałam się przespać. A potem musiałam mu pomóc zastawić pułapkę, która właśnie się zamknęła.

— To była ta eksplozja?

— To najbardziej oczywista część.

— Przyzwyczał się do rozwalania tego miejsca.

— Ale to dobrze. Dobrze dla ciebie. Oznacza to, że potwór wlaź w pułapkę. Nie będziesz musiał z nim walczyć.

Hecht potarł lewy nadgarstek.

— No, nie wiem. Odczuwam to, jakby Noc wciąż była mocno aktywna.

Ktoś zawołał z dołu. Hecht odkrzyknął coś o pilnowaniu Cesarzowej.

— Muszę iść — stwierdziła Lila. — Muszę pomóc pradziadkowi dziś w nocy. Nie przejmuj się tym potworem. Ładunki były wypełnione srebrem. Rozszarpały go na strzępy. — Odwróciła się bokiem.

Hecht sam się odwrócił. I zobaczył, że Katrin go obserwuje i wcale nie wygląda na osobę pod wpływem narkotyków.

— Kto to był, Wodzu?

— Moja córka. Czarodziejka.

Nowe zapadnięcie się hipodromu posłużyło do zawarcia rozejmu między robotnikami obu stron. Trzeba było wszystkich ratować, szczególnie konie i ludzi, którzy z nimi mieszkali.

Była to kolejna długa noc, bez chwili wypoczynku. Plusem jednak było to, że ofiar było zaskakująco niewiele.

Lila powiedziała, że odpowiedzialny za to jest Muniero Delari. Prowincjał ponownie zniszczył potwora z katakumb, być może tym razem na zawsze. A efekty były natychmiastowe i dalekosiężne.

Z nastaniem ranka w mieście zapanowała cisza. I pojawiła się cała masa plotek. Kłótnia w Kolegium przybrała gwałtowny obrót. Najbardziej zagorzali poplecznicy Łagodnego zbiegli do Krois, gdzie mieli Patriarsze towarzyszyć przez kilka dni w oczekiwaniu na Naczelnego Wodza, który przyjdzie im z odsieczą.

Czy to się Łagodnemu podobało czy nie, Pinkus Ghort nie mógł tak po prostu odwrócić się do Wielkiego Księcia plecami. Wyrznęliby wtedy wszystkich. Musiał utrzymać odpowiednią liczbę zbrojnych na potrzeby ratowania Patriarchy.

Obecnie poparcie wielmożów dla Łagodnego gwałtownie zmalało. Ci, o których Hecht wiedział, znajdowali się w areszcie rodów, które nie nosiły miana Benedocto. Nie stawiali oporu.

Czy ten potwór na dole mógł być upiorem starego boga waśni?

Hecht odstawił Cesarzową i jej ludzi do Penitalu, gdzie Ambasador Milcz-Trajkot wytrwał w oblężeniu przez kilka tygodni. Oblegający rozproszyli się nocą.

Wódz Prawowiernych potarł lewy nadgarstek. Amulet ledwo go poślaskotał tego poranka.

Prowincjał Delari spisał się na medal. Naprawdę była to jego zasługa.

Kontynuowano operacje militarne. Krois należało odizolować. Pałac Chiaro został zneutralizowany. Należało wzmocnić północną bramę, by uniemożliwić wjazd Naczelnego Wodza, którego patriarchat na zbieranina, pochodząca głównie z zaciągu, liczebnie przewyższała nęających ich imperialnych.

Hecht poszedł do jednej z niewielkich furt Castella dallas Pontellas i poprosił o możliwość odwiedzenia swojej rodziny. Najpierw jednak umożliwił swoim żołnierzom zobaczyć się z bliskimi przy minimalnym ryzyku.

Chaos nasilał się i gasł. Nie było żadnych poważniejszych wybuchów przemocy. Nie nastąpił też atak na dzielnicę devów. Hecht od razu rozpuścił pogłoski obwiniające go o zduszenie ataku w zarodku.

Hecht w końcu usiadł w otoczeniu swojej rodziny. Nawet Muniero Delari im towarzyszył. Choć triumfujący, starzec wyglądał, jakby był na ostatnich nogach i miał tego świadomość.

— Tym razem było tego za dużo, Piper. Ochrona Konstrukt, nękanie Doneta, mordowanie potwora, próba odwrócenia sytuacji w Kolegium... Wszystko na głowie jednego staruszka. A Doneto wciąż jest na wolności i knuje nową intrygę.

— Przestań. Został powstrzymany. Resztę zostaw innym.

— Nie ma nikogo innego.

— Pella, mam dla ciebie zadanie. Możesz wziąć Vali do pomocy.

— Tato?

— Zabierzcie tego starego głupca do łóżka i usiądźcie na nim, aż wam powiem, że możecie go uwolnić. Brothe jakoś przeżyje bez jego majstrowania przy wszystkim.

Vali i Pella zbliżyli się do Delariego. Nie musieli go ciągnąć na siłę. I on też nie protestował.

Wystarczyło tylko, by ktoś odebrał mu możliwość samodzielnego podejmowania decyzji. Mógłby wtedy poddać się swemu zmęczeniu.

— Jesteś jakaś dziwnie milcząca, odkąd się zjawiłem — Hecht zwrócił się do Anny.

Reagowała niezwykle żywiołowo, ale poza tym była nietypowo dla siebie wyciszona.

— Nie wiem, co to jest. Nie mogę sobie z tym poradzić emocjonalnie. To takie irytujące, bo nie można tego zmienić. Jesteśmy, kim jesteśmy, i świat jest taki, jaki jest, ale mam podejrzenia graniczące z pewnością, że nie byłabym ani odrobinę szczęśliwsza, gdyby nagle wszystko zmieniło się tak, jak bym chciała.

— Zawsze potrafiłaś spojrzeć na wiele spraw bez emocji. Lepiej niż ja, tak naprawdę.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Na dłuższą metę to jeszcze trwa. Pinkus nadciąga i ma nade mną przewagę liczebną.

— I będziesz walczył. Oczywiście.

— Jeśli będę zmuszony. Gdybym mógł wcześniej wyłuskać Łagodnego...

— Już nie. Proszę, bądź tutaj. I zachowaj to wszystko dla Titusa i pozostałych.

— Co u Noë i dzieci?

— Nie wiem. Nie miałam od nich znaku życia, odkąd to wszystko się zaczęło. Hauf nie chciał poszerzyć parasola ochronnego Bractwa na rodzinę devów.

— Titus tam poszedł. Jutro się dowiemy. — Poczul głęboki, samolubny niepokój, że wieści nie będą dobre.

Złe wieści mogły go kosztować utratę Zgody i jego talentów.

Nie chciał o tym myśleć. Nie chciał w ogóle myśleć. Zatracił się w miłości.

W Mieście Ojczystym panował względny spokój. Były drobne potyczki, ale bez poważnego rozlewu krwi. Hecht wciąż był zajęty spotykaniem się z tymi wszystkimi, którzy uważali, że mogą mu się teraz naprzykrzać. Stwierdził, że Łagodny jest równie zajęty w Krois.

Wieści były dobre. Titus odnalazł swoją rodzinę w dobrym zdrowiu i po raz pierwszy zobaczył swego najmłodszego syna. Co więcej, rodzina Noë w końcu wybaczyła jej, że porzuciła wiarę przodków, kiedy jej mąż ją zmienił. Pogodziła się z nimi.

Hecht nie uważał wcale, że konwersja Titusa była szczerą, ale bez najmniejszego trudu dostrzegł, że nawrócenie Noë było czystą iluzją.

Nieważne. Była ukojeniem Titusa.

Jedną z osób stawiających żądania był Addam Hauf, mistrz komandorii w Castelli. Hauf był bardzo zainteresowany zaangażowaniem Imperium w nową krucjatę.

— Odpowiedź jest bardzo prosta — odrzekł mu Hecht. — Wyruszamy następnego lata, no chyba że wydarzy się jakaś katastrofa. Albo zabraknie funduszy.

Hauf zachichotał.

— Schwytajcie tego łotra Doneto. Powieście go za jego wstrętne paluchy. Niech płaci. Musi mieć całe skrzynie pieniędzy z łapówek.

Niekoniecznie. Jednym z powodów, dla których prowincjałowie opuszczali Łagodnego, było to, że do tej pory nie zapłacił za ich głosy.

— Teraz może wcale nie być taki zamożny. Nie przychodzą żadne wpływy z Imperium, odkąd Katrin zmieniła zdanie.

— Zabierzcie mu to, co posiada.

— Doskonale. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić teraz, kiedy zamknął się w Krois.

Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony wystrzał tuzina hakownic.

Prawdopodobnie była to broń rozstawiona na brzegach Teragi, wycelowana w Krois. Ostrzał miał raczej psychologiczne niż praktyczne znaczenie. Pociski nie były na tyle duże, by dokonać poważnych zniszczeń.

— Są przejścia pod rzeką — podsunął Hauf.

— O których Łagodny doskonale wie.

— Czyli co, to śmiertelna pułapka?

— Oczywiście.

Być może. Prowincjał Delari pracował nad tym. I niewiele wskórał.

— A więc Imperium jest *zdecydowane* podjąć krucjatę?

— Tak.

— To dobrze. Choć za rok latem może być już za późno.

— A to niby dlaczego?

— Bo kiedy my tu walczymy między sobą, Indala prowadzi kampanię na rzecz zjednoczenia kaifatów, żeby sam mógł wyruszyć na swoją krucjatę.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Jesteś zaskoczony, panie?

— Bo to dość niespodziewane. I nic dobrego z tego dla nas nie wyjdzie. Ale... Czy spodziewa się zmóc Gordimera Lwa i sha-lugów?

— Będzie musiał, prawda? Bo inaczej nie pomaszerowałyby w ogóle na Dreanger.

— Chyba nie.

Hecht w ciągu ostatnich kilku lat przestał zwracać uwagę na Gordimera, Dreanger i cały wschód. Czyżby Lew mógł już paść do tej pory?

Z Penitalu nadeszło wezwanie opatrzone podpisem Ambadora. Terens Ernest wraz z dziesięcioma zbrojnymi w długich kolczugach odprowadzili Hechta na miejsce. On sam nie uważał, żeby takie środki ostrożności mogły go uchronić przed tym, co stało się zeszłej wiosny.

Rana wciąż mu dokuczała.

— Panie, jestem twego wzrostu i wagi — powiedział po drodze Ernest. — Ćwiczyłem twój sposób chodzenia z tym styliskiem do łopaty w kręgosłupie i drzewcem do topora w ramionach. Powinniśmy przebrać mnie w twoją odzież, panie, kiedy będziemy stać na zewnątrz. Kiedy sprawy zwolniły bieg, łotry mają czas planować wszelkie podłości.

— Terens, nie wiem, czy powinienem cię ucałować, czy powiedzieć, żeś najgłupszy z ludzi, jakich znam. Masz rację. Trzeba podjąć dodatkowe środki ostrożności. W gruncie rzeczy wszyscy powinniśmy zakładać długie kolczugi i hełmy, gdy wychodzimy z obozu.

— Jasne — rzucił z sarkazmem Terens.

Wódz Prawowiernych był jedynym człowiekiem, który nie nosił hełmu.

— W takim razie będę musiał zmienić swoje nawyki — rzucił Hecht.

Ambador powitał Hechta bardzo ciepło.

— Jest mi niezmiernie miło znów pana widzieć, Wodzu.

— Prawdę mówiąc, jeszcze dziesięć dni temu nie powiedziałbym, że to będzie możliwe. A pański ojciec dokonuje cudów.

— Naprawdę? Nie tak dawno myśleliśmy, że już po nim.

— Niedługo możecie ujrzeć odmienionego człowieka. No dobrze.

Czemu zawdzięczam zaszczyt wezwania mnie tutaj?

— Ona pragnie pana widzieć. Nie jest zadowolona. Nie konsultuje się pan z nią. Nie informuje jej o niczym od czasu bitwy o Cienie.

Hecht nie protestował. Była to prawda. Gdyby Zgoda, Vircondelet czy Sedlakova działali w taki sposób, musiałyby ich palnąć po łbie. Ale... wcale nie był mniej dotknięty identycznym zachowaniem swojej pracodawczyni.

Ambasador zaprowadził go do dużej wyciszonej komnaty, w której czekała Cesarzowa — został tam wpuszczony po dłuższej chwili, co miało mu przypomnieć, kto tu jest panią, a kto sługą. Musiał sobie jeszcze uzmysłwić, że Cesarzowa jest zawsze obok i patrzy mu przez ramię. Nie była w oddaleniu, jak Patriarchowie, kiedy był jeszcze Naczelnym Wodzem.

Aromatyczny zapach kawy uderzył go w nozdrza, kiedy otworzono drzwi. Aż mu ślinka pociekła. Ten zapach był niczym dobry omen.

Z drugiej strony... nie dostrzegł żadnej służącej, żadnego gwardzisty ani damy dworu, kiedy ruszył w kierunku źródła tych zapachów. Sam. Bayard Milcz-Trajkot nie wszedł wraz z nim do środka.

Katrin Ege była wydana na pastwę kuf albo alkoholu, była również niewolnicą swych lęków i pragnień. Nie miała nic na sobie. Jej postać była jeszcze bardziej wychudła niż wtedy, kiedy widział ją ostatni raz bez odzienia. Całe jej ciało pokrywały sińce. Czyżby ktoś ją bił?

— Co, do diabła?

— Wodzu, znasz swoją powinność.

Bełkotała. Musiała coś pić. I z za cudownego zapachu kawy przebijał odór kuf. Więc może raczyła się jednym i drugim, by doprowadzić się do takiego stanu. Co oznaczało, że robiła to od jakiegoś czasu.

Katrin opadła na łokcie i kolana, opierając prawy policzek na złożonych dłoniach.

— Wasza Miłość... — Chciał odmówić, ale po roku już ją znał, sam wiedział aż za dobrze, że zbyt tego chciała, by mogło mu się udać. — Wygląda na to, że nie odżywasz się, pani, zbyt dobrze. I masz sińce. Czy ktoś...

— Zapomnij o tym. Sama się posiniaczyłam. Karałam swoje ciało za moje zdrożne żądze. Ale ciało mnie pokonało. Chodź tutaj. Zerznij mnie.

Hecht był zbulwersowany. Zniesmaczony. Czuł odrazę. A pomimo to czuł podniecenie. W tej kobiecie nie było niczego pociągającego, kiedy wystawiała mu się jak kotka w rui. A jednak...

Bez wątpienia ona czuła to samo co on, ale zdradzona przez swe wewnętrzne zło nie mogła nic poradzić na swoje reakcje.

— Masz taki sam wybór jak poprzednio, Wodzu.

Powiedział sobie, że musi mieć tę pozycję. Musi być Wodzem Prawowiernych, kiedy następna krucjata spadnie na Ziemię Świętą.

W niczym nie przypominało to seksu z Anną Mozillą, a jednak na swój przewrotny sposób było bardziej ekscytujące. Cesarzowa!

On był panem władczyni, metaforycznie rzecz ujmując, na tych kilka minut, podczas których zmusił najpotężniejszą panującą na zachodzie, by krzycząc, błagała go o więcej.

Dusząc się z obrzydzenia do samego siebie, Hecht nie chciał wracać do Castelli. Nie chciał spojrzeć w twarz swojej rodziny. Nie chciał widzieć się z Anną, dopóki nie znajdzie jakiegoś sposobu, by odpokutować za swój grzech. Albo też, dopóki nie uda mu się go jakoś sprytnie zracjonalizować.

Przypomniał sobie sińce Katrin. Jej męka musiała być większa niż jego cierpienia. Ileż ona musiała przejść, zanim poddała się swej żądzy?

— Panie? — Terens Ernest oczekiwał poleceń.

— To nie była przyjemna wizyta, panie Ernest. Przejdźmy się wzdłuż rzeki i osuszmy gąsiorok, podziwiając cuda Ojczystego Miasta.

Była to pierwsza wizyta Ernesta w mieście — nie można było jej uznać za pielgrzymkę.

— Nie będzie to zbyt niebezpieczne?

— Może i tak. Stań po mojej lewej. Ostatni raz, kiedy ktoś chciał mnie tu zabić, ukrył się za tymi posągami. Użył łuku.

Ernest słyszał już o tym, nie od swego pryncypała. Znał opowieści o każdej próbie zamachu, włącznie z tymi, o których Hechtowi nie powiedziano.

— Co się stało? — zapytał Ernest. — Może pan o tym mówić? Widział się pan z Cesarzową? Jej gwardziści mówią, że kompletnie znikowała.

— Widziałem się z nią. Było mnóstwo gadania. Nie jest zadowolona z tego, jak potraktowałem nasze gościnne miasto. Jak na jej gust jestem zbyt delikatny.

Przystanął i spojrzął z powrotem na Krois rozłożone na kamiennej wyspie pośród Świętej Toni. Bronte Doneto siedział tam, ledwo pół kilometra stąd, sam nieźle kopnięty. I całkowicie bezpieczny.

Pinkus Ghort powinien przybyć jakoś nazajutrz, wbrew najlepszym chęciom Wielkiego Księcia. Ten robak wciąż się skręcał i wywijał.

Elecht zauważył ślady po potężnych eksplozjach. Czyżby sprawka Liii? Dziewczyna wpakuje się w kłopoty, jeśli będzie tak nieostrożna. Uśmiechnął się z przekąsem na swą własną głupotę.

Jakieś krzyki rozległy się w tamtej okolicy, po czym dał się słyszeć tętent końskich kopyt na kamieniach.

Brothe w tej dzielnicy było zbudowane w większości z kamienia, włącznie z nabrzeżami kanałów Teragi. Zadufanie Starych Brotheńczyków. Nawet Święta Toń znajdowała się teraz pod ich kontrolą.

Hecht wraz z gwardzistami odwrócili się w kierunku zamieszania. Kilku jeźdźców pędziło w tę stronę, a za nimi biegli piesi. Jeździec na przedzie przeszedł w galop. Jego pojawieniu się towarzyszyło szaleństwo.

Pierwszy jeździec nie był mężczyzną. Była to Katrin Ege w niedopasowanej zbroi; pędziła do swego Wodza Prawowiernych z największą prędkością, jaką mógł osiągnąć jej wierzchowiec.

Hechtowi serce zamarło. To mogło oznaczać koniec... Co, do diabła? Czyżby zupełnie już jej odbiło?

Ernest chwycił Hechta i odciągnął go w bezpieczniejsze miejsce między posągami.

Za późno. O wiele za późno. Wywrzaskując słowa, które nikomu nic nie mówiły, Katrin już była przy nich. Jej rumak o włos minął Hechta i Ernesta. Obaj odskoczyli i wylądowali na chodniku z pokrwawionymi dłońmi.

Kapitan Ephrian śmignął obok nich z maską desperacji na twarzy. Chciał schwycić lejce konia Katrin.

Nie było to najlepsze podłoże dla konia o żelaznych podkowach. Ephrian zderzył się z Katrin. Jeździec galopujący za Ephrianem zderzył się z nimi obojgiem. Połączony impet wypchnął Katrin i Ephriana za krawędź nabrzeża. Krzycząca kobieta i mężczyzna wraz z rżącymi końmi wpadli, obracając się w powietrzu, wprost do rzeki.

Hecht sekundę później skoczył za nimi. Wystarczyło mu czasu, by rzucić kolczugę i zostawić broń. Terens Ernest skoczył zaraz za nim.

Hecht dopiero później zastanowił się nad tym, co zrobił, choć zimna woda skłaniała do takich refleksji. Zobaczył, jak Ephrian macha na oślepe rękami, bo był kiepskim pływakiem, ale na szczęście wyplątał się ze strzemion. Hecht popłynął za Katrin, która poszła pod wodę, wciąż starając się oderwać od wierzchowca. Wydostała się. Jej koń podryfował dalej. Z początku rżał żałośnie, ale potem wziął się w garść i popłynął w kierunku niższego północnego brzegu.

Terens Ernest starał się pomagać przy Katrin. Był wytrawnym pływakiem.

Kapitan Ephrian dotarł do nabrzeża, ale nie miał się czego złapać, więc próbował trzymać się blisko kamieni, a słaby nurt unosił go dalej, w jakieś dogodniejsze do wyjścia miejsce.

Na Ephriana nikt nie zwracał uwagi, choć wszyscy potencjalni ratownicy zgromadzili się na górze.

Hecht nie był aż tak dobrym pływakiem, za jakiego się uważał. Razem z Terensem dopadli do nabrzeża i napotkali ten sam problem co kapitan Ephrian. Nie było się czego złapać. Ludzie na górze zaczęli krzyżeć, żeby się trzymali, bo ktoś pobiegł po liny.

Ernest puścił się i ruszył śladem Ephriana. Hecht nie mógł im pomóc. Z łzawiącymi oczami wbił krwawiące palce w szczelinę między kamieniami, a drugą ręką utrzymywał twarz Katrin nad wodą.

Stracił przytomność.

Piper Hecht, Wódz Prawowiernych, obudził się w obcym łóżku. Ból głowy i nudności podpowiedziały mu, że jest na środkach uspokajających. Bolała go lewa dłoń. Miał zabandażowane palce. Zlepione powieki uniemożliwiały otwarcie oczu. Próbował się podnieść.

— Budzi się! — Ten głos należał do Vali. Ściągnął kilka osób natychmiast, a pozostałych w ciągu kilku minut.

Z tętniącym bólem głowy Hecht wydawał dźwięki niezrozumiałe nawet dla niego samego.

Czyjaś dłoń wsunęła mu się pod głowę, uniosła ją. Słodka zimna woda wypełniła mu usta. Mokra szmatka przetarła powieki.

— Spokojnie, Piper — powiedziała Anna. — Znów oszukałeś starego zgreda.

Ciężka dłoń spoczęła na jego piersi, zmuszając, by znów się położył.

Naprawdę sam chciał odpocząć. Odpoczynek musiał być dobry. Nie znalazłby się w tych okolicznościach, gdyby nie wydarzyło się coś tragicznego.

Zapalono lampy. Zaczął rozróżniać otoczenie.

Otaczała go rodzina. Pella. Dziewczynki. Anna. Heris i obaj starszankowie. Co oni tu wszyscy robili?

Przypomniał sobie. Chciał o coś zapytać, ale wiedział, że musi zachować siły. Powiedzą mu to, co powinien wiedzieć.

Zapach świeżej kawy był niczym cios obuchem, niczym kopniak w podbródek, który budzi wszystkie wspomnienia.

Anna i Pella podnieśli go i podparli poduszkami. Heris wcisnęła mu małą filiżankę w prawą dłoń.

— Aleś nas przestraszył, braciszku.

— Taak?

— Nie chciałeś puścić tej kobiety.

— Utonęła — powiedziała Anna. — Jeszcze zanim ją wyciągnąłeś. Przeżyliście tylko ty i jej koń.

Hecht chciał się zerwać. To było szaleństwo. Nie wspomniał nic o matce Katrin. Ci ludzie nie wiedzieli i też by nie zrozumieli.

Ernest się utopił? To wielka niesprawiedliwość.

Gdzieś spoza kręgu widzenia odezwał się Dziewiąty Nieznany.

— Piper, musisz skończyć z tym wylegiwaniem i uzalaniem się nad sobą. Pinkus Ghort stoi u bram.

— Naprawdę?

— Nie dosłownie. Jeszcze nie. Ale może zapukać do nich choćby jutro. Musimy podjąć działania, by wyeliminować jego motywację.

— Wybacz, ale dlaczego jesteś tu wraz z Heris?

— Przybyliśmy, żeby cię wyciągnąć, abyś mógł zobaczyć, jak kończymy naszą robotę — powiedziała Heris.

— Ona zabiła boga, Piper — dodał Februaren. — Po prostu waliła w niego, aż zrobił bum! Jak ten robak w Decharge. Tylko że tamten przy tym to był szczeniak. Ten był prawdziwym Wielkim Dawnym Bogiem.

— A po co ja wam jestem potrzebny?

— Później, Piper — uspokoiła go Heris. — Po Dwakroć Wielki, przestań paplać. A może byśmy dali Łagodnemu podwójną dawkę Ostaregi Nikczemnego?

— Mnie pasuje.

Nie wdając się w dalsze dywagacje, obydwójce obrócili się bokiem.

Hecht był na nogach i ubrał się już, kiedy wrócili, ale wciąż kręciło mu się w głowie. Anna zaczęła zmieniać mu bandażę, mówiąc:

— Nie jest tak źle, jak myślałam, kiedy cię przynieśli. Za kilka tygodni będziesz jak nowy.

Februaren pojawił się w biegu. Jego włosy się tliły. Gdyby nie natknął się na ścianę, toby upadł. Pojawiła się też zgięta wpół Heris. Padła na kanapę.

Oddychała głośno i chrapliwie. Gdyby była mężczyzną, Hecht wziąłby ją za ofiarę sprawnie wykonanego kopniaka w krocze.

Dziewiąty Nieznany odciążył stopy, opierając się o stół.

— Myślę, że dobrze poszło — wydyszał.

— Jasne. — Heris starała się roześmiać. Przewróciła się na kanapie. — Powinniście zobaczyć tamtych.

— Co się stało? — zapytał Hecht.

— Nie zaskoczyliśmy ich. Doneto ma sprytnych kumpli.

Anna dokończyła bandażować palce Hechta. Podsunęła Februarenowi krzesło. Usiadł bardzo ostrożnie.

— A jednak utarliśmy im nosa. Teraz możecie sobie wejść przez tunele. Chyba że je zalali wodą. Zawsze mogą to zrobić.

Flecht starał się zrozumieć, co mówią, ale nie potrafił wydobyć choćby krztyny sensu z wypowiedzi obojga.

— Przy pierwszej okazji powinniśmy zawiadomić księżniczkę Helspeth, co się stało, żeby była przygotowana, kiedy wieści dotrą do Alten Weinbergu — powiedział Hecht.

Heris i Februaren jęknęli i spojrzeli na niego wilkiem.

— Ja to mogę zrobić — powiedziała Lila.

— Nie. Nie możesz — rzucił Hecht. — I tak już za dużo ryzykowałeś.

— Ja to zrobię. Rano — powiedział Dziewiąty Nieznany. — Potrzebuję jednak jakichś dowodów, przedmiotów twoich i Cesarzowej, żeby mnie wzięli poważnie.

— Napiszę ci list. To powinno wystarczyć. Ona rozpozna mój charakter pisma.

Alten Weinberg: Złe wieści, złe wieści

Niewysoki mężczyzna w brudnych brązowych szatach wyszedł z cienia w alkowie Księżniczki Prawowitej. Właśnie wstała. Jej służki uciekły z krzykiem.

— Znowu ty.

— Ja. Mam wieści. Posłuchaj uważnie. To niezwykle istotne. Tylko ty się o tym dowiesz, zanim przybędą strażę. — Opowiedział, co się stało z Katrin, i podał list od Pipera Hechta, obecnie *jej* Wodza Prawowiernych. Zniknął w kilka sekund, zanim Algres Strach wpadł do środka.

— Już go nie ma, kapitanie.

— Kogo?

— Czarownika. Tego samego, który zabrał Ferrisa Renfrowa. Przyniósł wiadomość. Wyprowadź tych ludzi stąd i zamknij drzwi. Ty zostań po tej ich stronie.

Kiedy to wykonał, Hespeth się odezwała.

— Katrin nie żyje. Wpadła do Teragi i utonęła. Było ze dwudziestu świadków, połowa z nich to jej gwardziści. Jestem pewna, że to nie wszystko w tej historii. Czarownik przyniósł list od Wodza Prawowiernych. Nie czytałam go jeszcze. Teraz, natychmiast, chciałabym, żebyś zaczął się przygotowywać do tego, co nastąpi, kiedy wieści dotrą do miasta.

— Wierzysz temu czarownikowi?

— Wierzę. — Mocno ścisnęła list od Wodza, już pragnąc, żeby Strach sobie poszedł, aby mogła go przeczytać.

— W takim razie masz, pani, rację. Należy zacząć od razu. I nikomu nic nie mówić. Niedługo ktoś tu naśle kogoś czy coś na przeszpiegi.

— Tak.

Helspeth ledwo doczekała, aż Strach wyjdzie z komnaty. W wielkim pośpiechu dwukrotnie upuściła list. Chwilę później prychała jak zła kotka, krzycząc na swoje służki, by zostawiły ją w spokoju, aby mogła dokładnie odczytać to, co Wódz ma do powiedzenia.

Wielka Forteca Niebiańska: Gra Heris

Działania w Brothe zupełnie wytraciły tempo. Najpierw nadeszła wiadomość, że Pinkus Ghort, stojący za bramą i szykujący się do szturm, a zarazem przygotowujący się do poskromienia Wielkiego Księcia, nagle i nieoczekiwanie rozpuścił cały zaciąg do domów, zostawiając sobie tylko swoich ludzi. Nie złożył broni, ale też zapowiedział, że będzie walczył tylko wtedy, kiedy zostanie zaatakowany.

Tymczasem Prawowierni zdobyli Krois. I nie wzbogacili się na tworzeniu historii. Przez tysiąc dwieście lat, odkąd ta twierdza stała na wyspie, nie została nigdy zdobyta.

— Zniknęli! — wykrzyknął z wyrzutem w głosie Vircondelet. — Przeczesałismy każdy kąt tej twierdzy. Po prostu ich tam nie ma.

Zostało kilka osób ze służby, ludzi, których rodziny od stuleci stanowiły część Krois. Mówili, że Łagodny i jego współpracownicy wymknęli się nocą na pokładzie trzech łodzi. Uciekli na statek czekający na nich w dole rzeki. Słudzy nie wiedzieli, dokąd się skierował.

Hecht zaklął pod nosem. Łodzie Doneta z całą pewnością przepływały obok Castelli. Strażnicy Bractwa musieli je widzieć i zignorować. Lekceważono wszelki nocny ruch na falach Teragi.

Heris i Dziewiąty Nieznany wdali się w sprzeczkę. Nie wyjaśnili, na jakim tle. Hecht podejrzewał, że staruszek chciał odnaleźć statki i zatopić je, gdy tymczasem Heris wołała dokończyć swój plan w królestwie legend, mitów i złych bogów.

— Piper, potrzebuję tych jajek, które zbierasz, tych po zabitych Delegaturach — powiedziała Heris.

— Po co ci one?

— Delegatury mają dwie dusze. Jedną przynoszą ze sobą na świat, a drugą zostawiają w ukryciu Nocy. Jaja są ich duszami ze śródziemia. Jeśli jajo i ukryta dusza zejdą się razem, nie będzie dobrze.

— A co z tym potworem w katakumbach?

To jajo nie zostało zabrane.

— Po Dwakroć Wielki jest pewien, że wciąż tam jest, pod tym gruzowiskiem.

— Nie wiem, co to zmieni, Heris. Ja nigdy tych jajek nie zbierałem. To Rhuk i Prosek je kolekcjonowali. Plombowali je w metalowych skrzynkach, ale co potem z nimi robili, tego nie wiem.

— Dowiedz się. Poczyłałam już starania, by je zabrać i przetransportować.

— Co masz zamiar z nimi zrobić?

— Mam zamiar się ich pozbyć.

Ale najpierw musiała je przenieść do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. A nie mogła ich przetransportować Konstruktem. Uwięzione dusze mogły uciec, kiedy przecinała cięciwę.

Hecht był w kropce. Ale nie musiał rozumieć tego wszystkiego, skoro rozumieli to Heris i Dziewiąty Nieznany.

Hecht spędził kilka godzin z Pinkusem Ghortem, obserwując, jak przyjaciel się upija, i wysłuchując jego narzekań.

— Pipe, jestem bezrobotny. Cieszę się, że nie musieliśmy się brać za łby, ale cholera, stary, nie mam już roboty.

— To nie potrwa długo. Potrzebują doświadczonego dowódcy, by stanął na czele Regimentu Miejskiego.

Wielki Książę wkroczył do miasta, by zaprowadzić ład i porządek. Prawowierni już byli w drodze, kierując się do Alten Weinbergu, z trumną Katrin na czele kolumny. Hecht miał do nich dołączyć później.

Hecht odwiedził posiadłość Bruglionich. Skrzywił się, widząc zniszczenia, jakich dokonały jego oddziały pomimo najszczerzej chęci.

— Klątwa Pipera Hechta wciąż wraca do rodu Bruglionich — powiedział do Paludana Bruglioniego i Gerwazego Saludy. — Gerwazy, nie mogłem namówić na to prowincjała Delariego, więc wyznaczyłem cię na ochotnika, byś przejął Krois. Ktoś musi tam rządzić, zanim wszystko się unormuje.

— Mianujesz mnie Patriarchą?

Paludan zaśmiał się w głos. Saluda nie był człowiekiem religijnym. Wstąpił do Kolegium tylko dlatego, że Bruglioni nie mieli lepszego kandydata.

— Tymczasowo. Żeby był tam ktoś, kto wie, jak się trzyma wodze. Ja muszę pędzić. Musimy też mocno złapać za wędzidło w Alten Weinbergu.

— Ale...

— Jest w twoich rękach, Gerwazy. — Hecht nie zatrzymał się, by toczyć spory.

Wszystko się szybko ułożyło, kiedy bogaci i potężni zaczęli się bać. Trzydzieści godzin po tym, jak Wódz Prawowiernych i Wielki Książę Hilandle wspólnie mianowali Bayarda va Milcz-Trajkota imperialnym namiestnikiem w Brothe. Pinkus Ghort został dowódcą Miejskiego Regimentu, który mieli teraz zasilić ludzie z rozwiązanych patriarchalnych sił. A oszołomiony Gerwazy Saluda wprowadził się do Krois.

I po tym wszystkim, co wycierpieli ostatnio książęta Kościoła, i przy tak wielu ostrych naciskach na powrót uczciwości Hecht był pewien, że Saluda może wygrać wybory. Jeśli zostaną zorganizowane. Jeśli Kościół zechce zdetronizować Łagodnego, będzie to wydarzenie bez precedensu. Tradycyjnie złym bądź nielubianym Patriarchom pomagano w przejściu do życia wiecznego. Ale tego ostatniego nielubianego Patriarchy nie można było nigdzie znaleźć, żeby mu pomóc. I kiedy tylko strach zacznie się rozchodzić po kościach, jego przyjaciele zaczną się znów pojawiać.

— Mam nadzieję, że w rzece — rzucił Hecht.

— Możesz już sobie pójść? — warknęła Heris. — Możesz, do cholery, już zniknąć, panie Piper Hecht? Warczysz na dziadka, bo musi być tam, żeby dopilnować każdego cholernego szczegółu, ale ty jesteś dwa razy gorszy od niego! No dalej! Idź już! Prędkiej!

Hechtowi poczerwieniały policzki. Heris miała rację. I prawdopodobnie też to, co insynuowała, było prawdą. Z wiekiem coraz mniej chętnie

powierzał szczegóły innym. To nie było dobre. To nie dzięki temu zyskał swą reputację. Nie to wywindowało go na wyżyny.

— Heris, wielki kocioł przygania garnkowi, co? — odezwał się z szyderstwem w głosie Dziewiąty Nieznany.

Heris zaczęła ściągać ludzi razem. Miała plan. Lila i Dziewiąty Nieznany pomagali jej. Hecht wylądował w środku, z Anną, Pellą i Vali przyciśniętymi do niego. Byli otoczeni przez inną trójkę, a wszyscy trzymali dłonie na ramionach sąsiada, z twarzami zwróconymi do środka, ściskając się jeszcze mocniej.

Jedenasta Nieznana obserwowała to z łagodnym uśmiechem na twarzy.

Wciśnięty między przyjazne osoby Hecht odczuł tylko dotknięcie koszmaru podczas przejścia do dziwnego szarego miejsca, gdzie jego amulet nagle zaczął wykazywać niezwykłą aktywność.

Widział bardzo niewiele kolorów, nie licząc krzykliwych barw na statku zacumowanym nieopodal. Z początku miał spuszczone wzrok.

Niedaleko miejsca, w którym się znaleźli, z przyjemnego budynku wyszli jacyś ludzie. Niektórych znał, innych nie. Wszyscy trzymali solidne kufle i wydawali się bardzo przyjacielscy.

Hecht rozpoznał Ferrisa Renfrowa i dominującego. Niscy, szerocy i bardzo owłosieni ludzie, wszyscy w hełmach, z brodami, w kolczugach z bronią — tych znał tylko z opowiadań siostry.

Co to za szaleństwo? Został wychowany na pobożnego pramana. To było wprost nie do uwierzenia.

Teraz podniósł wzrok na górę, gapił się na tęczowy most i nienaturalnie wielki, niezwykle wysoki zamek.

Heris wcisnęła się obok niego.

— Jak poszły przenosiny? — wyszeptała. — Lepiej?

— O wiele lepiej. Ale nie byłoby tak, gdybyś mnie nie wcisnęła w środek. Pella! Ani kroku. Jeśli tylko pomyślisz, żeby dać gdzieś nogę...

Pella przypatrzył się dobrze krasnoludom, a potem wcisnął się między Lilę i Vali.

Vali wskazała na Renfrowa.

— Pamiętam tego człowieka. Był w Rycerzu Buław.

Anna oniemiała. Hecht wziął ją za rękę, splótł z nią palce i przytrzymał, jakby w obawie, że ucieknie albo zemdleje.

Heris dokonała prezentacji. Ferris Renfrow znany w mitach jako Bękart. Asgrimmur Grimmsson, bezduszny, dominujący i niegdyś, dawno temu, straszliwy andorayański pirat Svavar. Khorben Jarneyn Gjoresson, również mityczny i lepiej znany jako Korban Żelaznooki, księżę korony Aelen Kofer. Za Żelaznookim jego ojciec oraz syn, Gjore i Miedziak. A potem ten krasnolud, tamten krasnolud, których imiona zbierała w tajemnicy i zapamiętywała, ku ich całkowitej konsternacji. Nagle i niespodziewanie dodała, będąc już w posępnym i niebezpiecznym nastroju, ze ściśniętym gardłem, bo oto syrena zaskoczyła ją i pojawiła się w jak do tej pory najbardziej apetycznej postaci, zostawiając mokry ślad na nabrzeżu:

— I Philleas Pescadore, która mówi w imieniu ludu morza.

Anna niemal zmiażdżyła dłoń Hechta. Był zadowolony, że ścisnęła mu tę zdrową.

Pella aż się zaślinił. Jego siostry uwiesiły się na nim, szczerze nienawidząc syreny za jej nagą doskonałość.

Ale to wszystko uszło uwagi Philleas.

— Musimy zaczynać — rzuciła Heris. — Większość z nas ma bardzo ważne zadania w śródziemiu. Żelaznooki, Asgrimmur, porozmawiajcie z moim bratem, a ja pogadam z Renfrowem.

Hecht miał ochotę z całej siły kopnąć siostrę w zadek. Powiedziała to celowo.

Dziewiąty Nieznany zabrał dominującego i Korban Żelaznookiego na stronę. Było widać, że to starzy kumple. Hecht poczuł się pozostawiony samemu sobie. I choć rozumiał, że nie było to celowe, nie był też przyzwyczajony do spychania na margines, z dala od centrum wydarzeń.

Heris po prostu chciała, żeby zobaczył wszystko na własne oczy. Chciała, żeby zobaczył, jaka jest mądra. Hecht stwierdził, że mu to nie przeszkadza. Heris, podobnie jak Lila, potrzebowała dowartościowania. Pozwolił jej być gwiazdą. Zasłużyła sobie na to. Podejrzewał jednak, że kilku innych również mogło uważać się za gwiazdy.

Mylił się. Dawni Bogowie ustępowali Heris. Była siłą sprawczą. Uważali ją za prawdziwego Bogobójcę, bohaterkę przez duże „B”. Piper Hecht był tu tylko na przyczepkę.

Heris uparła się, żeby wszyscy wspięli się na górę.

— Ale jeśli Wędrowiec Wiatru już zginął, po co to wszystko? — zapytał Hecht. — Czemu nie mogą sobie dalej gnić w tej Otchłani?

Czy się zaczerwieniła? To naprawdę wyglądało, jakby dostała kolorków na policzkach.

— Przewiduję użyteczne wyniki tego przedsięwzięcia, jeśli doprowadzę je do końca.

— Czyli jakie? — Nie mógł się pozbyć nuty podejrzliwości z głosu.

— Piper... jeśli to się uda, wepchnę te jaja duszy do kieszonkowego wszechświata Asgrimmura. Wyzwolę go z jego klątwy. I może będę mogła zaprzęgnąć kilka Delegatur Nocy do naszej sprawy.

— Ee... co takiego?

— Być może niektórzy z tych Dawnych Bogów pomogą nam w podzięce za odzyskaną wolność.

Powiedziała mu o schwytanych bogach, wymieniając ich imiona, i że zdobyła te informacje od krasnoludów, które znały ich osobiście. Aelen Kofer nie darzyli bogów miłością — z dwoma wyjątkami.

Hecht mruknął coś, skrzywił się i pomyślał, że to wszystko jest zbyt nieprawdopodobne, żeby było prawdziwe. Choć wspaniale byłoby mieć Delegaturę Nocy za sprzymierzeńca, który byłby w stanie pożreć każdą paskudę bez mrugnięcia i bekania.

Anna stała tylko, całkowicie zagubiona. Piper Hecht był trochę mniej zdezorientowany tylko dlatego, że tak wiele dowiedział się wcześniej od Heris. Ale wciąż czuł się jak na poły ślepy widz. Dzieci potraktowały Dziedzinę Bogów, jakby została stworzona wyłącznie dla ich rozrywki.

Krótki sen po okresie planowania, który zdaniem Hechta wyglądał jak zawody w picciu piwa — i nagle cała hałastra idzie na górę. Aelen Kofer zabrali kozie wozy. Nikogo nie zostawiono na dole, choć Anna wyrażała taką chęć. Nawet wiekowy Gjore poczłapał ze wszystkimi. Minęło kilka tysiącleci, odkąd ostatni raz wściubił nos za bramę Wielkiej Fortecy Niebiańskiej.

— Nie przywykłam do przygód. — Anna spojrzała na Heris. — A już na pewno nie do takich na świeżym powietrzu. Zawsze chciałam wieść spokojne życie. I takie było, dopóki Piper Hecht nie pojawił się pewnego wieczoru u moich drzwi, podając się za Fraina Dorao.

— I co takiego zrobił? — zapytała Heris.

— Nic. Był dżentelmenem w każdym calu. Idealnym gościem. A potem wyjechał. I uzależniłam się od niego. Najbardziej śmiałym czynem, jaki popełniłam, była podróż do Brothe, gdzie go odnalazłam i uczyniłam swoim kochankiem.

— Byłaś wśród nas wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak jesteśmy pokręcani. Więc miłej jazdy życzę. Och. Obiecuję ci, że wrócisz do swojego nudnego, zdrowego na umyśle starego życia, zanim słońce zajdzie. — Heris powiedziała to w świetle, w którym zawsze było południe.

Hecht słuchał i zadręczał się, łając się w myślach za to, że tak ściśle związał się z kobietami swego życia.

Nie otrząsnął się jeszcze po przemożnym wpływie Katrin Ege, z jej wszystkimi perwersyjnymi potrzebami. Nie mógł sobie też wybaczyć, że tyle cierpienia przysporzył Annie Mozilli, choć Anna nie miała o tym pojęcia.

Przed oczami stanęło mu kilka twarzy. Wspomnienia z Tętniącej Życiem Wiosennej Szkoły, Gordimera Lwa w młodym wieku, Grade'a Drockera oraz Redfearna Bechtera. Stawał się sentymentalnym, zapatrzonym w siebie głupcem.

Anna złapała go za zdrową rękę.

— Piper? Dobrze się czujesz?

— Nie. Dowiaduję się w brutalny sposób, jak człowiek się starzeje. — Ugryzł się w język. Większość tutaj była od niego starsza. Król Gjore być może nawet o kilka tysiącleci.

Stanęli przed tęczowym mostem. Aelen Kofer załadowali wszystkich na kozie wozy. W większości wypadków nie przyjmowali żadnych wymówek.

Hecht patrzył, jak Heris praktycznie śmiga przez most daleko na przedzie przed wozem, w którym jechali on, Anna i Dziewiąty Nieznany. Nie miał pojęcia, co się dzieje ani dlaczego nie wybuchnął, kiedy Lila i Vali pognały za Heris, z dominującym tuż za nimi, zupełnie niezauważone.

Hecht spojrzął w dół.

Powinien mieć zamknięte oczy, tak jak Anna i staruszek. Nie znalazłby się wtedy na granicy krzyku i zwrócenia całego śniadania, bo ujrzał kości olbrzymów, ostre bazaltowe skały i bezdenną śmierć.

Nie zobaczyłby, jak jego córki chodzą w powietrzu.

Dowiedziałyby się, że przeszły na drugą stronę nieświadome, że tęczowy most jest wytworem wyobraźni i jeden fałszywy krok kończy się upadkiem

w otchłań.

Pella przejechał w wozie razem z Lerrisem Renfrowem. Pella zwrócił uwagę. Miał cholernie dobre rozeznanie, co znajduje się pod stopami tych, którzy przekraczają tęczyowy most. On przejechał go z zamkniętymi oczami. Podobnie jak jego towarzysz.

Później, stojąc na twardej skale, choć wciąż z duszą przyciąganą syrenim powabem upadku, Hecht wybuchnął:

— Pozwoliłaś Liiri i Vali *przejsć* przez coś takiego?

Heris wskazała na coś. Dziewczynki były już przy bramie i z ożywieniem rozmawiały z dwoma krasnoludami, równie zaciekawionymi nimi. Potem poszli popatrzeć na jedyną żywą rzecz w fortecy — wysoką do pasa, niezdrową, zielonkawą jabłoń.

— Nigdy więcej, ale to nigdy nie narażaj moich dzieci na takie ryzyko. *Nigdy!*

Anna była tego samego zdania, ale zbyt roztrzęsiona mogła tylko przytakiwać.

— Jesteś po prostu wkurzony, bo nie zaufałam ci, że zrobisz coś, z czym dwie dziewczynki znakomicie sobie poradziły — rzuciła szyderczo Heris.

Nieprawda. Ale ona zręcznie zamknęła go w kręgu, w którym wyszedłby na tyrana, gdyby wciąż na nią krzyczał.

— Nigdy, Heris. Pamiętaj, *nigdy*.

Piperowi Hechtowi zdawało się później, że minęło ledwie kilka minut, odkąd poszedł za siostrą i znalazł się w dużym pomieszczeniu wypełnionym kolorowymi bohomazami.

— Wszyscy stajecie w zielonym okręgu i czekacie na to, co wam powiem — warknęła Heris.

Aelen Kofer, którzy znaleźli się tam już wcześniej, poruszali się ostrożnie między stołami, hakownicami, wielkimi szklanymi butlami i przedmiotami o mniej oczywistym przeznaczeniu. Heris przemawiała do nich po kolei, bardzo spokojnie. Krasnoludy wyszły.

— Pella! — Heris nie mówiła głośno, lecz stanowczo. — Stój spokojnie. Nie odchodź nigdzie. Nie ruszaj niczego. Pod oknami jest kamienna ława. Usiądź na niej. Piper, Anno i pozostali. Nie dotykajcie niczego, chyba że wam pozwolę. Jak mnie nie posłuchacie, to może skończyć się to dla was tragicznie. I na dodatek my też przez was zginiemy.

Aelen Kofer poszeptali coś jeszcze z Heris i wyszli. Wśród ostatnich była królewska trójka. Żelaznooki przed wyjściem zapalił kopcie przy każdym stanowisku strzeleckim.

— Powodzenia, Heris.

Dwie ekipy po dwa krasnoludy w każdej przyniosły dwa wózki z przegródkami, które w ogóle nie wydawały dźwięku. Unosiły się nad ziemią. Na półkach leżały wykładane filcem tacki wypełnione dziesiątkami jaj duszy, dużymi, małymi i pstrokatymi. Większość wyglądała jak kawałki bursztynu. Było ich tak wiele, że Hecht nie mógł uwierzyć, iż on wraz ze swymi ludźmi tyle naprodukował.

— Piper. To, co powiedziałam Pełli, odnosi się także do ciebie. Siadaj. Anno, przytrzymaj go. — Heris odwróciła się znów do jajek i pokazała krasnoludom, w którym miejscu mają podnieść wózki na stoły. Przywołała do siebie Februarena, Renfrowa i dominującego i poszeptła z nimi coś, stojąc między stołami. Wózki zjechały z powrotem ze stołów, z dala od linii ognia hakownic. — Po prostu będzie trochę ciasniej. Nie wiedziałam, że będzie ich tak cholernie dużo.

Hecht usadowił się i pozwolił Annie wziąć się za rękę. Chłonał kolorowe bohomazy i słuchał narzekań Pełli. Patrzył na Annę z zachwytem.

Najpiękniejszą cechą urody Anny Mozilli były jej oczy. Ogromne, brązowe, pełne ciepła. Tu i teraz były jeszcze większe niż kiedykolwiek. Odczuwała nabożny podziw dla tego wszystkiego. I cała dygotała. Ponieważ czuła również trwogę.

— Lila. Vali. Chodźcie — powiedziała Heris. Ustawiła dziewczynki za dwiema najdalej rozstawionymi hakownicami. Wydała precyzyjne instrukcje i pokazała, jak i kiedy mają wystrzelić z hakownic. — I nie wahajcie się. Kiedy macie strzelić, strzelajcie. Będziecie miały mniej niż dwie sekundy, jeśli powstanie wyłom.

Zbliżyła się do ławy pod oknem.

— Piper, chcę, żebyście ty i Anna stanęli za dwiema środkowymi hakownicami. Anno? Nic ci nie jest?

— Jestem tylko troszkę tym przytłoczona — odezwała się przytłumionym szeptem. — Ale mogę to zrobić. Powiedz mi tylko, co mam zrobić i kiedy.

— A ty, Piper?

— Poradzę sobie — odparł, choć był skwaszony degradacją do zwykłego żołnierza.

— Dobrze. Dzięki ternu Asgrimmur będzie mi mógł pomóc z przodu.

— A co ze mną? — zapytał opryskliwie Pella.

— Dam ci znać, czego będę od ciebie potrzebować. Tymczasem siedź. Bądź cicho. I nie dotykaj niczego.

Aby zażegnać konfrontację, Hecht zapytał:

— A co będzie, jeśli ktoś wypali? Zakładam, że broń jest nabita bożym śrutem. W tym pomieszczeniu ściany, podłoga i sufit są z kamienia. Może być rykoszet, siostra.

— Wzięłam to pod uwagę, braciszku. Każda broń jest wycelowana w jedną z tych butli ze srebrnego szkła. Ściana za nimi jest pokryta dwudziestoma centymetrami miękkiej gliny i zaprawy.

Heris podeszła do Vali.

— Dlaczego ona mi tak grozi? — nadąsał się Pella.

— Bo się tak zachowujesz — rzekł Hecht. — Słuchaj! To, co Heris tutaj robi, może zmienić kształt przyszłości w trzech światach. Albo wszyscy zginiemy. A ty reagujesz tylko egoistycznym niezadowoleniem, najwyraźniej dlatego, że nikt nie chce tańczyć, tak jak mu zagrasz. Choć w ogóle nie wiesz, o co tu chodzi. — Nie był w stanie do niego dotrzeć. — Słuchaj, ona tylko reaguje na to, co widzi i słyszy. Czy zrobiłeś coś, by udowodnić jej, że jesteś godny zaufania i można na tobie polegać? I czy można liczyć, że zrobisz to co należy, jak przyjdzie co do czego?

— O cholera!

Hecht chciał warknąć. Ale chłopak tylko zareagował na to, co zobaczył po drugiej stronie komnaty.

Heris właśnie otworzyła żyłę w lewym nadgarstku Ferrisa Renfrowa i pobierała jego krew. Cloven Februaren czekał z bandażem. Kiedy miała szkarłatnej cieczy mniej więcej na tyle, że wypełniła kubek ze srebrnego szkła, skinęła na starszka. Februaren założył bandaż. Renfrow skinął głową.

— Już się goi.

— Pella — powiedziała Heris. — Teraz twoja kolej. Wdrap się do jednego z tych okien i obserwuj nabrzeże. Powiedz mi, kiedy złota barka zacznie się zmieniać.

Marszcząc brwi i uśmiechając się szyderczo, Pella wspiął się do wykuszu okna i wyjrzał na zewnątrz.

— O, cholera jasna! — rzucił. — Niech mnie święty Aaron! — Wycofał się do środka, drżąc cały. — Tato. Nie... ja tego nie mogę zrobić! — Był zawstydzony i przerażony zarazem.

— W takim razie ty obserwuj, Piper — powiedziała Heris. — Pella, zajmij miejsce przy hakownicy obok Vali. To pozycja najważniejsza. Jak tutaj się spietrasz, to zabijesz nas wszystkich. Ale nie strzelaj też bez powodu. Piper. Okno.

Zrobił, co mu kazano. I w pełni zrozumiał przerażenie Pełli. To było cholernie wysoko. I ta przepaść wołała do niego — no, skocz sobie!

Jego żołądek próbował mu powiedzieć, że już właściwie spada.

Heris ruszyła do działania. Wysłała Dziewiątego Nieznanego do hakownicy obok Liii. Ustawiła dokładnie Bastarda i dominującego.

— Niech się teraz nikt nie rusza, oprócz mnie. I Pipera po tym, jak zamelduje. Potem on też stanie przy swojej hakownicy.

Wzięła krew Renfrowa, po ścisłych obliczeniach. Potem ona też przestała się ruszać. Stała, spoglądając na Hechta, i czekała.

Hecht leżał na brzuchu, twarzą do dołu, i ścisnął kamienną płytę Wielkiej Fortecy Niebiańskiej. Próbował opanować przerażenie. Żaden ludzki umysł nie był w stanie znieść takiego widoku.

Krasnoludy wciąż schodziły z góry serpentyną drogi, a właściwie biegly. Ich sylwetki zmalały, zmieniły się w kropki zmierzające do złotej barki. Kropki z przystani dołączyły do nich. Wszyscy wsiedli na statek.

Mijały minuty. Nagle rozległo się głośne uderzenie niczym młotem — bum! — i cały kolor zniknął z barki i portu. Brama na Morze Andorayańskie zamknęła się z trzaskiem.

— Heris, właśnie zginęły kolory — powiedział Hecht.

— Dobrze. Już odeszli. Dziedzina jest zamknięta.

Miała na myśli, że odeszli Aelen Kofer, zamykając za sobą wyjście. Bez względu na to, co się tutaj stanie, żaden z Dawnych Bogów nie będzie mógł za nimi pójść ani uciec do śródziemia.

— Wszyscy gotowi? — zapytała Heris. — Dziewczynki? Piper? Anna? Pella? Po Dwakroć Wielki? No to jedziemy.

Przewróciła naczynie z boską krwią.

Spis treści

- 1 Imperium Graala: Knieja Nocy
- 2 Lucidia: W oku Gherig i Cienia Idiamu
- 3 Alten Weinberg: Uroczystości
- 4 Stranglhorm, w Gurecie, w cieniu lodu
- 5 Lucidia, Tel Moussa: Bolesna prawda
- 6 Navaya Medien: Zmęczony człowiek
- 7 Miasto Matka: Czas zmian
- 8 Daleko na Wschodzie, Najstarsze Miasto: Cienka struna
- 9 Dziedzina Bogów: Dziewiąty Nieznany
- 10 Alten Weinberg: Siostry
- 11 Tel Moussa: Nowy bóg odpowiada ojcu
- 12 Connec: Konfrontacje
- 13 Na zamarznętym stepie z gadającymi trupami
- 14 Lucidiańska granica: Potyczki
- 15 Złe miejsce, zły czas
- 16 Inne Światy

- 17 Brothe: Krótka idylla
- 18 Przylądek Tondur: Andoray
- 19 Lucidia: Wojna przygraniczna
- 20 Dziedzina Bogów: Czas i jego bieg
- 21 Miasto Imperium: Nowe Życie
- 22 Wybrani: Ranny Bóg
- 23 Lucidia: Shamramdi
- 24 Brat Świeca: Pełny krąg
- 25 Alten Weinberg: Smężna wiosna
- 26 Wybrani: Przemiany
- 27 Ziemia Święta: Sroga Nowa Krew
- 28 Dziewiąty Nieznany: Zamek w głuszy
- 29 Alten Weinberg: Wiosna
- 30 Khaurene: Taniec śmierci
- 31 Lucidia: Ostatnie podrygi
- 32 Tsistimed i Wybrani
- 33 Dziedzina Bogów: Wielka Forteca Niebiańska
- 34 Wódz Prawowiernych: Harcownicy i najeźdźcy

- 35 Dziedzina Bogów: Triangulacja
- 36 Connec: Podróż
- 37 Lucidia: Wielka Kampania
- 38 Vis Corcula, Cienie
- 39 Kharoulke: W bólu
- 40 Alten Weinberg: Księżniczka Prawowita
- 41 Z Brothe do Wielkiej Fortecy Niebiańskiej
- 42 Brothe: Wódz Prawowiernych
- 43 Alten Weinberg: Złe wieści, złe wieści
- 44 Wielka Forteca Niebiańska: Gra Heris